

— WIELKIE SERIE FANTASY —

HARRY HARRISON



Tom I trylogii EDEN



NA ZACHOD OD EDENU

HARRY HARRISON

Na zachod od Edenu

Przełożył

Janusz Pultyn

PROLOG: KERRICK

Przeczytałem poniższe stronicie i szczerze uważam, iż stanowią prawdziwą historię naszego świata.

Niełatwo przyszło w to uwierzyć. Moje widzenie świata było, rzec można, bardzo ograniczone. Urodziłem się w małym obozowisku, obejmującym trzy rody. Ciepłą porę roku spędzaliśmy na brzegu wielkiego jeziora pełnego ryb. W najwcześniejszych wspomnieniach stoję nad tym jeziorem, patrząc ponad jego spokojnymi wodami na wysokie góry, widzę jak na ich szczytach bieleją pierwsze śniegi zimy. Gdy śnieg pokryje nasze namioty i trawy wokół nich, nadejdzie czas, by łowcy wyruszyli w góry. Chciałem szybko dorosnąć, paliłem się do polowania z nimi na sarny i jelenie.

Nieskomplikowany świat prostych radości minął bezpowrotnie. Wszystko uległo zmianie – nie na lepsze. Czasem budzę się w nocy marząc, że nigdy nie stało się to, co nastąpiło. Ale to głupie myśli, świat jest, jaki jest, zmienia się teraz na każdym kroku. To, co uważałem za całość istnienia, okazało się zaledwie drobną cząstką rzeczywistości. Moje jezioro i góry to tylko niewielki skrawek wielkiego kontynentu, rozciągającego się między dwoma ogromnymi oceanami. Wiedziałem o zachodnim oceanie, bo nasi łowcy polowali tam na ryby.

Wiedziałem też o innych stworzeniach, nauczyłem się nienawidzić ich na długo przedtem, nim zetknąłem się z nimi po raz pierwszy. Nasze ciało jest ciepłe, a ich zimne. Na głowach rosną nam włosy, łowcy z dumą hodują brody, także zwierzęta, na które polujemy, mają ciepłe ciała, futra lub sierść. Inaczej jest z Yilané. Są zimne, gładkie i pokryte łuskami, mają pazury i zęby, by nimi rozdzierać i rwać, są ogromne, budzą strach. I nienawiść. Wiedziałem, że żyją w ciepłych wodach południowego oceanu i w ciepłych krajach na południu. Nie znosiły zimna, więc zostawiały nas w spokoju.

Wszystko to uległo zmianie, zmianie tak straszliwej, że już nigdy nic nie będzie takie samo. Na swe nieszczęście wiem, iż nasz świat stanowi tylko maleńką część świata Yilané. Zamieszkujemy północ wielkiego kontynentu łączącego się z wielkim lądem południowym. A na wszystkich tych ziemiach, od oceanu do oceanu, roi się od Yilané.

Dalej jest jeszcze gorzej. Za zachodnim oceanem leżą inne, jeszcze większe

kontynenty, na których w ogóle nie ma łowców. Żadnych. Są jednak Yilané, tylko Yilané. Cały świat, poza naszym malutkim zakątkiem, należy do nich.

Teraz powiem wam rzecz najgorszą o Yilané. Nienawidzą nas tak samo jak my ich. Nie miałyby to znaczenia, gdyby były jedynie wielkimi, bezdusznymi bestiami. Moglibyśmy zamieszkiwać zimną północ, unikając ich w ten sposób.

Lecz są i takie, które dorównują łowcom rozumem i zaciekłością. A ich ilość nie da się ogarnąć, wystarczy stwierdzić, iż wypełniają wszystkie lądy wielkiego świata.

To, co opowiem dalej, nie jest przyjemne, ale się wydarzyło i musi być przekazane.

Jest to opowieść o naszym świecie, o wszystkich stworzeniach na nim żyjących, o tym, co się zdarzyło, gdy grupa łowców wyruszyła wzdłuż wybrzeża na południe, i o tym, co tam napotkała. A także o tym, co się zdarzyło, gdy Yilané odkryły, iż świat nie jest wyłącznie ich, w co zawsze wierzyły.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Isizzó fa klabra massik, den sa

rinyur meth alpi.

POWIEDZENIE TANU

Pluń zimie w gębę, bo

zawsze umiera na wiosnę.

ROZDZIAŁ I

Amahast nie spał już, gdy na oceanie zaczęły kłaść się pierwsze odblaski nadchodzącego świtu. Widoczne były już tylko najjaśniejsze gwiazdy. Wiedział, czym są: wspinającymi się każdej nocy na niebo tharmami poległych łowców. Teraz jednak nawet te ostatnie, najlepszych tropicieli, najwspanialszych myśliwych, nawet one umykały przed wschodzącym słońcem. Tu, daleko na południu, było ono palące, świeciło inaczej aniżeli słońce północy, do którego przywykli, wznoszące się niewysoko na bladym niebie ponad zaśnieżonymi lasami i górami. Mogło być nawet innym słońcem. Choć teraz, przed wschodem, tu, nad samą wodą, było niemal chłodno, przyjemnie, to jednak z dniem powróci skwar. Amahast zgonił gryzące go w rękę owady i czekał na świt

Z mroku wynurzyły się powoli zarysy ich drewnianej łodzi. Wyciągnęli ją na piasek, spory kawał za wyschłe wodorosty i muszle, wyznaczające najdalszy zasięg przyływu. Tuż przy niej dostrzegął z trudem ciemne postacie śpiących członków jego sammadu, czterech, którzy wybrali się z nim na tę wyprawę. Nieprzywoływane, naszło go wspomnienie o jednym z nich, umierającym Dikenie. Wkrótce zostanie ich tylko trzech.

Jeden z mężczyzn podnosił się powoli, z bólem opierając się mocno na włóczni. To stary Ogatyr; miał sztywniejące, obolałe ręce i nogi – wynik wieku, wilgoci ziemi i mroźnych objęć zimy. Amahast wstał także, również z włócznią w dłoni. Obaj mężczyźni podeszli do wypełnionych wodą dołów.

–Dzień będzie gorący, kurro – powiedział Ogatyr.

–Tu wszystkie dni są gorące, stary. Dziecko może to przewidzieć. Słońce wyciągnie ból z twych kości.

Podchodzili wolno i ospale ku czarnej ścianie lasu. Wysoka trawa szumiała w porannej bryzie; w koronach drzew śpiewały najwcześniej wstające ptaki. Jakieś leśne zwierzę obgryzało czubki niskich tu palm, potem grzebało blisko nich, w miękkiej ziemi szukając wody. Poprzedniego dnia łowcy pogłębili doły i teraz wypełniła je czysta woda.

–Napij się – nakazał Amahast, zwracając się twarzą do lasu. Ogatyr z sapaniem opadł na ziemię i zaczął łapczywie chleptać.

Jakieś nocne zwierzę mogło jeszcze wynurzyć się z zalegających między drzewami ciemności i Amahast stanął na straży z nastawioną włócznią. Wąchał wilgotne powietrze przesycone zapachem gnijących roślin, nad którymi unosił się słaby aromat kwitnących nocą kwiatów. Gdy stary człowiek skończył, stanął na warcie. Wówczas zaczął pić Amahast, zanurzając twarz głęboko w zimnej wodzie. Potem ochlapał nią swe nagie ciało, zmywając brud i pot poprzedniego dnia.

–Tam, dokąd dotrzemy dzisiaj, będzie nasz ostatni postój. Następnego ranka musimy zawrócić, wycofać się – zawołał Ogatyr przez ramię, wpatrując się bacznie w krzewy i drzewa przed sobą.

–Już mi to mówiłeś, ale nie wierzę, by kilka następnych dni mogło coś zmienić.

–Pora wracać. O każdym zachodzie słońca zawiązywałem supeł na sznurze. Dni są coraz krótsze, umiem to rozpoznać. Każdy zachód nadchodzi coraz szybciej, codziennie słońce słabnie i nie wspina się już tak wysoko na niebo. Zaczyna się też zmieniać wiatr, nawet ty musiałeś to zauważyć. Całe lato wiał z południowego wschodu. Teraz już nie. Pamiętasz, jak w zeszłym roku sztorm nieomal zatopił łódź i zwałił drzewa w lesie? Było to o tej porze. Musimy wracać. Pamiętam takie rzeczy, zawiązuję je na moim sznurze.

–Wiem o tym, stary – Amahast przeganiał palcami pasma długich włosów. Sięgały poniżej ramion, a na piersiach spoczywała mu dumnie jasnowłosa broda.

–Ale wiesz, że nasza łódź nie napelniła się jeszcze.

–Mamy wiele suszonego mięsa...

–Za mało. Potrzebujemy więcej, by przetrwać zimę. Łowy były niepomyślne. To dlatego wyruszyliśmy na południe dalej niż kiedykolwiek przedtem. Potrzebujemy mięsa.

–Tylko jeden dzień, potem musimy wracać. Najwyżej jeden. Droga do gór jest długa i ciężka.

Amahast nic na to nie odrzekł. Szanował Ogatyra za wszystko, co wiedział stary

człowiek: jak właściwie wykonywać narzędzia, jak wynajdywać czarodziejskie zioła. Starzec znał zarówno obrzędy konieczne do rozpoczęcia łowów, jak i zaklęcia, których moc odganiała duchy zmarłych. Tkwiła w nim cała mądrość życia, tak jego jak i przodków, rzeczy opowiadanych mu i zapamiętanych. Mógłby mówić o nich od wschodu słońca do zapadnięcia nocy i nie wypowiedzieć wszystkiego. Były jednak rzeczy nowe, o których stary nic nie wiedział, i to właśnie one trapiły Amahasta, domagały się wyjaśnienia.

Zaczęły się od zim, nie kończących się, srogich zim. Dwukrotnie już coraz dłuższe dni, coraz jaśniejsze słońce zapowiadały wiosnę, która jednak nie następowała. Głębokie śniegi nie topniały, lód na strumieniach pozostawał gruby. Potem nadchodził głód. Sarny i jelenie przenosiły się na południe, porzucały znane sobie doliny i górskie hale, trzymane teraz mocno w bezlitosnym uścisku zimy. Amahast wiódł ludzi swego sammadu w ślad za zwierzętami; zeszli z gór na rozciągające się u ich stóp równiny. Musieli to zrobić, by nie umrzeć z głodu. Łowy nie były jednak udane, bo okrutna zima przetrzebiła stada. Ciężkie dni przeżywały i inne sammady. Polowały tam nie tylko te, z którymi łączyli się przez małżeństwa, ale i inne, których nigdy przedtem nie spotkali. Ich mężczyźni dziwnie mówili marbakiem albo wcale nim nie mówili, z gniewem wystawiali włócznie. Ale wszystkie sammady należały do Tanu, a Tanu nigdy ze sobą nie walczyli. Nigdy jeszcze tak się nie zdarzyło. Teraz jednak do tego doszło i na ostrych, kamiennych grotach włóczni pojawiła się krew Tanu. Amahast martwił się tym równie mocno, co nie kończącymi się zimami. Włócznia potrzebna była, by polować, nóż, by obdzierać ze skóry, ogień, by gotować. Tak było zawsze. Tanu nie zabijają Tanu. Żeby samemu nie popełnić tej zbrodni, wyprowadził swój sammad ze wzgórz.

Maszerowali dzień za dniem w stronę wstającego słońca, nie zatrzymując się, nim nie doszli do słonych wód wielkiego morza. Wiedział, że drogę na północ mają zamkniętą, bo lód dochodził tam do brzegu oceanu. Mogli tam żyć tylko Paramutanie, ludzie skórzanych łodzi. Droga na południe stała otworem, lecz tam, w puszczech i dżunglach, których nigdy nie nawiedzał śnieg, żyły murgu. A gdzie one, tam śmierć.

Pozostawało więc jedynie falujące morze. Jego sammad od dawna znał sztukę budowy drewnianych łodzi, z których latem łowiono ryby. Nigdy jednak nie wypływali tak daleko, by stracić z oczu ziemię i obozowiska na plaży. Tego lata musieli. Suszonych kałamarnic nie starczy na zimę. Gdyby łowy okazały się równie nieudane, jak poprzedniej zimy, to żadne z nich nie dożyje wiosny. Południe, pozostawało tylko południe, i dlatego wyruszyli. Polowali wzdłuż wybrzeża i na wysepkach, stale w strachu przed murgu.

Obudzili się już pozostali. Słońce stało nad horyzontem i z głębi dżungli dobiegały pierwsze krzyki zwierząt. Czas wypływać na morze.

Amahast kiwnął głową z powagą, gdy Kerrick przyniósł mu skórzaną torbę z ekkotazem, potem wygarnął garść zbitej masy pokruszonych żołądź i suszonych jagód. Wyciągnął drugą rękę i rozczochrał gęstą strzechę włosów na głowie syna. Jego pierworodny. Wkrótce stanie się mężczyzną i otrzyma męskie imię. Na razie jednak jest jeszcze dzieckiem, choć silnym i wysokim. Jego skóra, zwykle blada, była teraz opalona na złoto, tak jak wszystkich uczestników wyprawy. Jedynym strojem była związana w pasie sarnia skóra. Na skórzanym rzemyku zwisała mu z szyi miniatura noża z gwiezdneho metalu, noszonego przez Amahasta. Nóża nie tak ostrego jak kamienny, ale cenionego z powodu rzadkości. Te dwa noże, duży i mały, były jedynymi przedmiotami z gwiezdneho metalu, jakie posiadał sammad. Kerrick uśmiechnął się do ojca. Miał osiem lat i po raz pierwszy polował z mężczyznami. Nigdy jeszcze w jego życiu nie zdarzyło się coś równie ważnego.

–Wypiłeś swoją porcję? – spytał Amahast. Kerrick przytaknął. Wiedział, że aż do zmroku nie dostanie już wody. Była to jedna z ważnych rzeczy, jakich łowca musi się nauczyć. Gdy przebywał z kobietami i dziećmi, pił, kiedy tylko czuł pragnienie, a kiedy zgłodniał, skubał jagody lub jadł świeże korzonki, które właśnie kopali. Nic więcej. Teraz jest z łowcami, robi to co oni, wędruje bez jedzenia i picia od przedświt do zapadnięcia zmroku. Z dumą ujął swą małą włócznię. Udało mu się nie uciec z przerażenia, gdy coś ciężkiego zaczęło hałasować w dżungli za nimi.

–Zepchnijcie łódź – rozkazał Amahast.

Nie musiał poganiać ludzi; odgłosy murgu stawały się coraz głośniejsze i straszliwsze. Niewiele mieli do załadowania, tylko swe włócznie, łuki i kołczany ze strzałami, sarnie skóry i torby ekkotazu. Po zepchnięciu łodzi na wodę ogromny Hastila i Ogatyr przytrzymali ją na chwilę, gdy wsiadał chłopiec, trzymający ostrożnie wielką muszlę z żarzącymi się resztkami ogniska.

Z tyłu, na plaży, Diken próbował wstać i dołączyć do pozostałych, ale zabrakło mu sił. Pobladł z wysiłku, na twarz wystąpiły grube krople potu. Amahast podszedł, ukląkł przy nim i rogiem posłania, na którym leżał ranny, wytarł mu twarz.

–Odpocznij. Zaniesiemy cię do łodzi.

–Dziś nie, skoro nie mogę wejść sam – wychrypiał Diken, z trudem łapiąc powietrze.
– Zaczekam tu na wasz powrót. Lepiej dla mnie.

Z jego lewą ręką było bardzo źle. Miał obie pogryzione i wydarte dwa palce, wynik nocnej napaści na ich obóz wielkiego zwierza z dżungli. Ledwo widoczną bestię poranili włóczniami i odegnali w ciemność. Rana Dikena początkowo nie wyglądała tak brzydko, łowcy przeżywali z gorszymi. Zrobili dla niego wszystko, co mogli. Przemyli ranę w morskiej wodzie, póki krew nie spłynęła swobodnie, potem Ogatyr położył na niej okład z mchu benseel, zebranego na moczarach wysoko w górach.

Ale tym razem to nie wystarczyło. Ciało rozpałiło się, potem zsiniało, a wreszcie cała ręka Dikena szerniała; rana strasznie śmierdziała. Wkrótce umrze. Amahast przeniósł wzrok z opuchniętej ręki na tkwiącą w tyle zieloną ścianę dżungli.

–Gdy nadejdą zwierzęta, nie zdążą zjeść mego tharmu – powiedział Diken, podążając oczyma za wzrokiem Amahasta. Otworzył na chwilę zaciśniętą w pięść prawą dłoń. Skrywał w niej kamienny odprysk, przypominający ostry wiór, używany do obdzierania i ćwiartowania zwierzyny. Dość ostry, by przeciąć żyły człowieka.

Amahast powoli wstał i stał piasek z nagich kolan.

–Będę cię szukał w niebie – szepnął tak cicho pozbawionym uczuć głosem, że słyssał go tylko umierający.

–Zawsze byłeś mi bratem – powiedział Diken. Po odejściu Amahasta odwrócił twarz i zamknął oczy, by nie widzieć, jak pozostali odpływają i żegnają go może jakimiś znakami.

Gdy Amahast dotarł do łodzi, ta kołysała się już lekko na niewielkich falach. Była dobrym, mocnym czółnem wyciosanym z wypalonego pnia wielkiego cedru. Kerrick rozdmuchiwał ogień tłący się na leżących na dziobie kamieniach. Po dołożeniu drewno zaczęło trzaskać i buchnął płomień. Mężczyźni wpuścili już wiosła w dulki, byli gotowi do wypłynięcia. Amahast usiadł na burcie i umieścił wiosło sterowe. Widział, jak wzrok pozostałych spoczął na pozostawionym na plaży łowcy, choć nikt się nie odezwał. Tak powinno być. Łowcy nie okazują bólu ani litości. Każdy człowiek ma prawo wyboru chwili, w której uwolni swój tharm, by wzniósł się do ermanu, nocnego nieba. Przywita go tam władający nim Ojciec-Niebo i tharm łowcy przyłączy się do innych tharmów wśród gwiazd. Każdy łowca ma do tego prawo i nikt nie powinien o tym rozmawiać ani się temu przeciwstawiać. Nawet Kerrick wiedział o tym i milczał jak inni.

–Ruszać! – rozkazał Amahast – Do wyspy!

Niska, pokryta trawą wyspa leżała blisko brzegu i osłaniała plażę przed potęgą fal oceanu. Dalej, na południe, wznosiła się ponad słony przybój morza, co umożliwiało rozrost drzew. Trawa i las obiecywały udane łowy. Jeśli nie ma tam murgu.

–Patrzcie, w wodzie! – zawołał Kerrick, wskazując na morze. Przeplýwała pod nimi, wlokąc macki, ogromna ławica hardaltów. Bezkostnych, chronionych muszlami ciał nie sposób było policzyć. Ujętą za koniec włócznię Hastila skierował w morze. Był ogromny, wyższy nawet od Amahasta, lecz mimo to bardzo szybki. Odczekał chwilę i pchnął włócznię w wodę, zanurzając rękę. Potem ją dźwignął. Grot uderzył celnie, prosto w miękkie ciało pod muszlą. Wyciągnięty z wody hardalt wylądował na dnie łodzi, macki wiły się słabo, czarny atrament ciekł z przekłutego pęcherza. Wszystkich

to rozśmieszyło. Hastila nosił trafne imię, włócznia-w-ręce. Włócznia, która nie chybia.

–Smacznego – powiedział Hastila, następując nogą na muszlę i wyswobadzając włócznię.

Kerrick był podniecony. Wydawało się to takie łatwe. Jedno szybkie pchnięcie – i mieli wielkiego hardalta, mogącego ich wszystkich wykarmić przez jeden dzień. Naśladując Hastilę, ujął za koniec swoją włócznię. O połowę krótsza od broni łowców, miała jednak równie ostry grot Hardalty płynęły nadal, większe niż poprzednie, a jeden z nich musnął powierzchnię tuż pod dziobem.

Kerrick pchnął mocno w dół. Poczuł, jak grot zanurzył się w ciele. Chwycił drzewce oburącz i pociągnął. Włócznia drżała i wyskakiwała mu z rąk, lecz trzymał ją kurczowo, szarpiąc z całych sił.

W bryzgach piany wynurzył się obok łodzi lśniący wilgocią łeb. Włócznia wyskoczyła z ciała zwierzęcia i Kerrick upadł tuż przed rozwartym pyskiem. Skrzeczący ryk rozległ się tak blisko, że owiał chłopca cuchnący oddech. Ostre kły zacisnęły się na łodzi, rwąc z niej drzazgi.

Hastila już tam był, jego włócznia wbiła się między te straszne szczęki raz i drugi. Marag wrzasnął głośniej i potok krwi trysnął na chłopca. Potem pysk zamknął się i przez chwilę Kerrick widział tuż przed twarzą okrągłe, nieruchome oko. Zaraz potem znikło, zapadając się w kłębach krwistej piany.

–Wiosłujcie do wyspy – nakazał Amahast. – Za hardaltami na pewno ciągną inne takie bestie, jeszcze większe. Czy chłopak jest ranny? Ogatyr wylał garść wody na twarz Kerricka i natarł ją.

–Tylko wystraszony – powiedział, patrząc na pobladłe lico.

–Miał szczęście – zaszepił się Amahast. – Szczęście uśmiecha się tylko raz. Nigdy już nie pchnie włócznią na oślep.

„Nigdy! – pomyślał Kerrick. Prawie wykrzyknął to słowo, patrząc na poszarpane drewno tam, gdzie sięgały szczęki zwierzęcia. Słyszał o murgu, widział ich zęby w naszym jankach, dotykał nawet gładkiej, kolorowej sakwy wykonanej z ich skóry. Tak naprawdę nigdy nie bał się opowieści o potworach wielkich jak góry, mających zębiska jak włócznie, oczy jak kamienie i pazury jak noże. Teraz jednak wystraszzył się. Odwrócił twarz ku brzegowi, nie chcąc, by inni zobaczyli łzy, jakie na pewno miał w oczach. Przygryzał wargi, gdy powoli zbliżali się do lądu. Łódź przemieniła się w łupinę na morzu pełnym potworów. Rozpaczliwie pragnął znaleźć się znów na twardej ziemi. Niemal krzyknął, gdy stępka zazgrzytała o piasek. Zmył wszystkie ślady krwi maraga, podczas gdy inni wyciągali łódź z wody.

Amahast cicho syknął przez zęby. Na ten sygnał wszyscy zastygli w ciszy i bezruchu. Łowca leżał nad nimi w trawie, patrząc ponad grzbiet. Skinął im trzymaną na płask dłońią, potem kiwnął, by dołączyli do niego.

Kerrick przyczołgał się jak inni, nie wychylając się ponad trawę, potem ostrożnie rozchylił dłońmi źdźbła, by móc spoza nich patrzeć.

Sarny. Stado drobnych zwierząt pasło się w zasięgu strzały. Wyrosłe na bujnej trawie wyspy, poruszały się wolno, strzyżeniem uszu oganiając się od much. Kerrick wciągnął powietrze rozszerzonymi nozdrzami i poczuł słodki zapach ich sierści.

–Idźcie cicho wzdłuż brzegu – polecił Amahast – Wiatr wieje w naszą stronę, nie poczują nas. Podejźmy bliżej. – Nisko zgarbiony, pobiegł pierwszy, za nim inni, a na końcu Kerrick.

Przy brzegu, schyleni do ziemi, nacięli strzały i wyciągnęli łuki. Potem wyprostowali się i wystrzelili razem.

Strzały trafiły, powalając dwa zwierzęta i raniąc trzecie. Koziołek mógł odbiec dość daleko ze strzałą w boku. Amahast pognął za nim i szybko go dogonił. Osaczone zwierzę odwróciło się, opuściło groźnie różki. Łowca ze śmiechem skoczył do przodu, chwycił rogi i przekręcił. Sarna prychnęła i zachwiała się, potem z beknięciem upadła. Amahast wyginał jej szyję, gdy podbiegł Kerrick.

–Weź włócznię i zabij po raz pierwszy. Mierz w gardło z boku, wbij głęboko i przekręć.

Kerrick zrobił, jak mu kazano, i koziołek ryknął w agonii, zalewając czerwoną krwią ręce chłopca. Był z tego dumny. Pchnął włócznię głębiej w gardło, aż zwierzę zadrżało i zdechło.

–Dobry cios – powiedział z dumą Amahast. Ton jego głosu wzbudził w Kerricku nadzieję, że nie usłyszy już ani słowa o maragu w łodzi.

Łowcy śmieli się radośnie, rozcinając i patrosząc ciała. Amahast wskazał południową, wyższą część wyspy.

–Przenieście je do drzew i powieście, by spłynęła krew.

–Czy zapolujemy jeszcze? – spytał Hastila. Amahast pokręcił głową. – Nie, skoro mamy jutro wracać. Potrzebujemy dnia i nocy, by sprawić i uwędzić to, co tu mamy.

–I zjeść – dodał Ogatyr, głośno cmokając. – Zjeść nasze porcje. Im więcej zmieścimy w brzuchu, tym mniej będzie do dźwigania na plecach!

Choć pod drzewami było chłodniej, wkrótce otoczyły ich gryzące muchy. Zaczęli je rozgniatać, prosili Amahasta, by rozpałił ogień, który je odeгна.

–Ściągnijcie skóry – nakazał, potem kopnął leżący konar, który rozsypał się na kawałki. – Za grząsko tu. Drewno jest zbyt mokre na ognisko. Ogatyrze, przynieś ogień z łodzi i podsycaj suchą trawą, dopóki nie wrócę. Przyniesiemy z chłopcem drewno wyrzucone przez fale.

Zostawił łuk i strzały, ale zabrał włócznię i ruszył przez lasek na oceaniczny brzeg wyspy. Kerrick poszedł szybko za nim.

Szeroką plażę pokrywał drobny piasek, biały niemal jak śnieg. Załamujące się z łoskotem fale wpadały daleko spienionymi wałami. Skraj wody zalegały kawałki drewna, porozrywane gąbki, nieskończone ilości wielobarwnych muszli, fioletowe ślimaki, długie, zielone wicie wodorostów z gramolącymi się po nich maleńkimi krabami. Kilka drobnych kawałków wyrzuconego przybojem drewna niewartych było zainteresowania, poszli więc w stronę przylądka wysuwającego się w morze skalistym cyplem. Wspięli się łagodnym zboczem i między drzewami dojrzeli, iż przylądek zakręca, tworząc osłoniętą zatokę. Na piasku po drugiej stronie zatoki ciemne postacie, być może foki, wygrzewały się na słońcu.

W tej samej chwili spostrzegli, że pod pobliskim drzewem ktoś stoi i także spogląda na zatokę. Może inny łowca. Amahast otworzył usta, by go zawołać, gdy postać wyszła z cienia. Słowa ugrzęzły mu w gardle; stężał mu każdy mięsień ciała.

To nie łowca, nie człowiek, lecz inne stworzenie. Przypominające człowieka, pod każdym jednak względem odpychająco różne. Istota była bezwłosa i naga, z wyrastającym z czubka głowy i biegnącym wzdłuż kręgosłupa barwnym grzebieniem. W słońcu ohydnie błyszcząca pokryta łuskami kolorowa skóra.

Marag. Mniejszy od gigantów z dżungli, ale jednak marag. Jak wszystkie w czasie odpoczynku tkwił nieruchomo niczym kamienna rzeźba. Potem serią drobnych szarpnięć obrócił głowę w bok, ukazując okrągłe, nieruchome oko i potężną, wysuniętą szczękę. Stali równie cicho jak muthu, mocno ściskając włócznię; niewidoczni, bo istota nie obróciła się na tyle, by dojrzeć między drzewami ich tkwiące nieruchomo postacie.

Amahast ruszył się dopiero wtedy, gdy wzrok maraga przesunął się na morze. Zbliżał się bezszelestnie, unosząc włócznię. Dotarł na skraj drzew, gdy bestia spostrzegła czy poczuła jego obecność, szarpnęła głową w jego stronę i spojrzała mu prosto w twarz.

Łowca wbił kamienny grot włóczni w pozbawione powieki oko, dosięgając mózgu. Marag zadrżał i upadł ciężko. Zdechł zanim uderzył o ziemię. Wcześniej Amahast

wyciągnął włócznię, odwrócił się i przebiegł wzrokiem z bocznej plaży. W pobliżu nie było więcej tych stworzeń.

Kerrick dołączył do ojca, stanął przy nim i obaj w milczeniu przyglądali się leżącemu ciału. Stanowiło ono przybliżone, wstrętne naśladownictwo człowieka. Czerwona krew nadal wypływała z oczodołu zniszczonego oka, podczas gdy drugie patrzyło na nich czarną, pionową szparką źrenicy. Brakowało nosa, ziały tylko przysłaniane klapkami otwory. Potężne szczęki rozwarły się w agonii, ukazując białe rzędy ostrych, spiczastych zębów.

–Co to jest? – spytał Kerrick, z trudem wydobywając słowa.

–Nie wiem. Jakiś marag. Mały, nigdy dotąd takiego nie widziałem.

–Stał i chodził zupełnie jak człowiek, Tanu. Marag, ojczyzna, ale z rękoma takimi jak my.

–Nie takimi. Policz! Raz, dwa, trzy palce i kciuk. Nie, ma tylko dwa palce i dwa kciuki.

Wargi Amahasta skurczyły się, odsłaniając zęby, gdy spoglądał na trupa. Miał krótkie, wygięte nogi, płaskie stopy o palcach zakończonych pazurami, bulwiasty ogon. Istota leżała skurczona, jedna łapa schowana była pod ciałem. Amahast kopnięciem nogi odwrócił je na wznak. Kolejna zagadka: w zaciśniętej dłoni dostrzegł teraz coś wyglądającego na długi, guzłasty kij z czarnego drewna.

–Ojczyzna, plaża! – zawołał Kerrick.

Schowali się pod drzewami i patrzyli z ukrycia na wynurzające się z morza, tuż obok nich, stworzenia. Były to trzy murgu. Dwa przypominały zabitego przez nich. Trzeci był wyższy, grubszy i powolniejszy. Wysunął się do połowy z wody, przekręcił na grzbiet i legł nieruchomo z zamkniętymi oczami. Pozostałe dwa z trudem wypchnęły go dalej na piasek. Większa istota wydmuchała pianę ze szparek oddechowych, pazurami jednej nogi drapiąc się wolno i leniwie po brzuchu. Jeden z mniejszych murgu zamachał łapami w powietrzu i wydał ostry, klekoczący dźwięk.

Gniew chwycił Amahasta za gardło, dławiąc je tak, że aż sapnął głośno. Nienawiść niemal go zaślepiła, gdy w nieświadomym odruchu runął w dół zbocza z wysuniętą przed sobą włócznią.

Po chwili znalazł się przy istotach i dźgnął najbliższą. Ta jednak cofnęła się i odwróciła, tak iż grot tylko zadrasnął jej bok, ześliznąwszy się po żebrach. Następny cios Amahasta był celny.

Łowca uwolnił włócznię i odwrócił się, by ujrzeć taplającego się w wodzie, uciekającego drugiego maraga, który szeroko rozrzucił łapy i upadł, gdy mała

włócznia śmignęła w powietrzu i trafiła go w plecy.

–Dobry rzut – powiedział Amahast i upewniwszy się o śmierci stworzenia, wyszarpnął z niego włócznię, by wręczyć ją Kerrickowi.

Pozostał tylko duży marag. Miał zamknięte oczy, najwidoczniej nieświadom tego, co się działo wokół niego.

Amahast wbił mu głęboko włócznię w bok. Zwierzę wydało niemal ludzki jęk. Miało grubą warstwę tłuszczu i myśliwy musiał dźgać kilka razy, nim się uspokoiło. Wówczas oparł się o swoją włócznię, dyszał ciężko, patrząc ze wstrętem i nienawiścią na zabite zwierzęta.

–Takie jak te muszą być niszczone. Murgu są inne niż my, popatrz na skórę, łuski. Żadne z nich nie ma sierści, boją się chłodu, mają trujące mięso. Wszystkie napotkane musimy niszczyć. – Wydusił z siebie te słowa, a Kerrick mógł tylko przytaknąć skinieniem głowy, bo czuł równie głęboką i instynktowną odrazę.

–Idź po nich – polecił Amahast. – Szybko. Tam, widzisz, po drugiej stronie zatoki, jest więcej murgu. Musimy zabić je wszystkie.

Zauważył jakiś ruch i chwycił włócznię sądząc, że stworzenie jeszcze nie zdechło. Poruszyło ogonem.

Nie! To nie ogon się poruszał, lecz coś pełzało pod skórą u jego podstawy. Była tam szparka, rodzaj otworu, u podstawy grubego ogona bestii. Amahast rozpruł ją czubkiem włóczni, potem z trudem powstrzymał wymioty na widok bladawych istot gramolących się na piasek.

Wijące się, ślepe, maleńkie kopie dorosłych. Na pewno ich młode. Rycząc z gniewu, rozdeptał je nogami.

–Zniszczyć wszystkie, zniszczyć. – Mruczał ciągle te słowa, a Kerrick uciekł między drzewa.

Enge hantčhei

agatč embokčka lirubushei kakshčsei,

hčawahei; hevai'ihei,

kaksheintč, enpelei asahen enge.

PRZYSŁOWIE YILANÉ

**Opuszczenie ojcowskiej miłości i wejście
w objęcia morza jest pierwszym**

cierpieniem

w życiu – pierwszą radością są

pobratymcy,

z którymi się tam łączysz.

ROZDZIAŁ II

Enteesenaty przecinały fale rytmicznymi ruchami wielkich, wiosłowatych płetw. Jeden z nich wynurzył z oceanu łeb na długiej szyi, obejrzał się dookoła. Schował się pod wodę dopiero po dojrzeniu w oddali ogromnego, zanurzonego kształtu.

Przed nimi była ławica kałamarnic – inne enteesenaty klekotały w wielkiej radości. Wałąc potężnymi, długimi ogonami, pruły wodę, gigantyczne i niepowstrzymane, rozwierając szeroko paszcze. Prosto w środek ławicy.

Wzbijając fontanny wody, ławica uciekała na wszystkie strony. Większość kałamarnic umknie pod osłoną wydzielanego czarnego płynu, lecz sporo trafi w zbrojne płytkami pyski, zostanie pochwyconych i połkniętych w całości. Morze znów opustoszało, uciekinierzy rozproszyli się w oddali. Nasycone stworzenia zawróciły i popłynęły wolno z powrotem.

Przed nimi pokonywało ocean jeszcze większe zwierzę. Woda opływała ciało uruketo i pieniała się wokół jego ogromnej płetwy grzbietowej. Zbliżywszy się do niego, enteesenaty zanurkowały i płynęły z równą szybkością, blisko długiego,

użębionego pyska. Zwierzę musiało je zauważyć, gdyż jedno oko poruszało się wolno, śledząc ich ruchy czarną źrenicą obramowaną kostnym pierścieniem. Mętny mózg stwora po jakimś czasie rozpoznał je i pysk zaczął się wolno rozwierać, aż stanął otworem.

Enteesenaty kolejno podpływały do wielkiej rozdziawionej gęby i wsuwały głowę do jej środka. Zwracały tam niedawno złapane kałamarnice.

Dopiero po opróżnieniu żołądków wycofywały się i okręcały ruchami bocznych płetw. Za nimi paszczyka zamknęła się równie powoli, jak otworzyła i potężne uruketo ruszyło w drogę.

Choć większość gigantycznego cielska znajdowała się pod wodą, stercząca płetwa grzbietowa stwora wystawała ponad fale. Jej spłaszczony wierzchołek był suchy i stwardniały. Pokrywały go białe cętki odchodów siadających na nim ptaków i blizny w miejscach, gdzie zdołały rozryć ostrymi dziobami twardą skórę. Jakiś ptak kierował się właśnie ku czubkowi płetwy z rozciągniętymi, wielkimi, białymi skrzydłami i rozcapierzonymi, płetwiastymi łapami. Nagle skrzeknął i odleciał z łopotem, przestraszony długim pęknięciem, jakie powstało na górze płetwy. Szpara powiększyła się, sięgając krańców płetwy. Wielkie rozdarcie żywego ciała ciągle się rozszerzało, wydzielając opary zatęchłego powietrza.

Wreszcie szpara powiększyła się na tyle, iż swobodnie wynurzyła się z niej Yilané, odbywająca wachtę jako drugi oficer. Wdychała głęboko świeże powietrze, wspinając się na szeroki występ kości znajdującej się w środku płetwy, blisko jej czubka. Wystawiła głowę i ramiona, rozglądając się wkół uważnie. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, wycofała się w głąb, minęła sterniczkę wpatrującą się w przezroczystą tarczę. Oficer spojrzała jej przez ramię na jarzącą się igłę busoli i zobaczyła, że zbacza z wyznaczonego kursu. Wyciągniętą ręką sterniczka ujęła między kciuki lewej dłoni wystający kłębek nerwów i ścisnęła go mocno. Drżenie przebiegło cały statek, nastąpiła reakcja na wpół rozumnej istoty. Oficer kiwnęła głową i zeszła niżej, do długiej, wewnętrznej komory. Jej źrenice szybko rozszerzały się w słabo rozświetlonym mroku.

Jedynym oświetleniem komory o żywych ścianach, rozciągającej się niemal na całą długość grzbietu uruketo, były fluoroscencyjne pasma. Z tyłu, w niemal całkowitej ciemności, leżały więźniarki związane razem w kostkach. Paki towarów oddzielały je od przebywających w przedzie członków załogi i pasażerek. Oficer podeszła do dowodzącej, by zdać raport. Erafnaiś uniosła wzrok znad świecącej mapy i skinęła z uznaniem. Zadowolona, zwinęła mapę, umieściła ją w niszy i sama ruszyła na płetwę. Idąc powłóczyła nogami; był to skutek odniesionej w dzieciństwie rany. Blizna po niej nadal marszczyła skórę na plecach. Jedynie dzięki wielkim zdolnościom zdołała dojść tak wysoko. Po wyjściu na zewnątrz rozejrzała się wokół z wierzchołka płetwy, oddychając głęboko.

Z tyłu znikają wybrzeża Maninłč. Na horyzoncie, ledwo widoczny, rozciągał się ku północy łańcuch niskich wysp. Zadowolona, pochyliła się i odezwała zgodnie z regulaminem. Wydając rozkazy, mogła być bardziej bezpośrednia, niemal brutalna. Ale nie teraz. Grzecznie i bezosobowo zwracała się jak ktoś mający niższą rangę do stojących wyżej od niego.

Ponieważ dowodziła tym żywym statkiem, musiała przemawiać do kogoś rzeczywiście bardzo znacznego.

–Ku swojej przyjemności możesz coś ujrzeć, Vaintč.

Powiedziawszy to cofnęła się, ułatwiając przejście. Vaintč ostrożnie wspięła się po żebrowanym wnętrzu płetwy, aż w towarzystwie dwóch innych osób znalazła się na środkowym występie. Stały one z szacunkiem z boku, gdy podeszła dalej. Trzymając się krawędzi, Vaintč otwierała i zamykała nozdrza, rozkoszując się ostrym, słonym powietrzem. Erafnaiś wpatrywała się w nią z podziwem, bo była naprawdę piękna. Gdyby nawet nie wiedziała, że postawiono ją na czele nowego miasta, to i tak jej pozycję zdradzałby każdy ruch. Nieświadoma podziwiającego ją wzroku, Vaintč stała dumnie, trzymając wysoko głowę z wystającymi szczękami. W pełnym blasku słońca jej źrenice się zwężyły, tworząc wąskie, pionowe szparki. Silne dłonie dzierżyły mocno oparcie, a szeroko rozstawione stopy utrzymywały równowagę. Jaskrawo-pomarańczowa, piękna pierś falowała wolno. Z jej postawy widać było, iż urodziła się, by rządzić.

–Powiedz mi, co jest przed nami – odezwała się nagle.

–Łańcuch wysp, Najwyższa. Ich nazwa mówi, jakie są. Alakas-aksehent, ciągnące się złote, rozsypane kamienie. Piaski i wody wokół są ciepłe przez cały rok. Wyspy tworzą sznur sięgający stałego lądu. To tam, na brzegu, rośnie nowe miasto.

–Alpčasak. Piękne plaże – powiedziała Vaintč do siebie, tak iż reszta nie mogła usłyszeć jej słów. „Czy takie jest moje przeznaczenie?” Odwróciła się do dowodzącej. – Kiedy tam będziemy?

–Dziś po południu, Najwyższa. Na pewno przed zmrokiem. Płynie tu ciepły prąd, który powiedzie nas szybko w tamtą stronę. Pełno tu kałamarnic, tak iż enteesenaty i uruketo jadają obficie. Czasem za bardzo. To jeden z kłopotów w długim rejsie. Musimy ich bardzo pilnować, bo inaczej zwolnią i nasze przybycie się...

–Cicho! Chcę zostać sama z moimi efenselč.

–To radość dla mnie – mówiąc to, Erafnaiś cofała się, aż ostatnie słowo stało się niesłyszalne.

Vaintč zwróciła się do milczących pobratymczyń, okazując serdeczność każdym

gestem.

–Jesteśmy tu. Dobięła końca walka o dotarcie do nowego świata, Gendasi*. Teraz zacznie się dalsza, jeszcze większa, o wzniesienie nowego miasta.

–Pomożemy, zrobimy, o co poprosisz – powiedziała Etdeerg. Mocna i niewzruszona jak skała, gotowa była pomagać z całej swej siły. – Rozkazuje nam nawet umrzeć! – U kogoś innego brzmiałoby to pretensjonalnie, ale nie u Etdeerg. Szarość biła z każdego ruchu jej ciała.

–Nie proszę o to – powiedziała Vaintč. – Chciałabym tylko, byś służyła u mego boku jako pierwsza pomocnica we wszystkim.

–Sprawi mi to zaszczyt

Potem Vaintč zwróciła się do Ikemend, która wyprostowana czekała na rozkazy.

–Ty masz najbardziej odpowiedzialne stanowisko. Trzymasz swą przyszłość między kciukami. Pokierujesz hanalč i samcami.

Ikemend okazała zgodę, radość i gotowość starań. Vaintč poczuła zadowolenie, potem zważył się jej humor.

–Dziękuję wam obu – powiedziała. – Zostawcie mnie teraz. Chcę mieć tu Enge. Samą.

Vaintč przytrzymała się mocno stwardniałego ciała uruketo, gdy to wspięło się na wielką falę. Zielona woda przelała się przez grzbiet i rozbiła w słonych rozbryzgach o czarną wieżę płetwy. Niektóre z nich zmoczyły twarz Vaintč. Przezroczyste błony zsunęły się jej na oczy, potem powoli cofnęły. Nie zauważyła smagnięcia słonej wody, bo myślami była daleko od ogromnej bestii niosącej ich przez morze do Inegban*. Przed nimi leżał Alpčasak, złote plaże jej przyszłości – lub czarne skały o które się rozbije. To albo to, nic pośredniego. Pchana ambicją, wspięła się wysoko, odkąd za młodu opuściła oceany, pozostawiła w tyle wszystkie z jej efenburu, prześcigając i przewyższając nawet starsze od niej o wiele lat Trzeba piąć się w górę, jeśli chce się osiągnąć szczyt. I po drodze robić sobie wrogów. Vaintč wiedziała jednak jak mało kto, że równie ważne jest zdobywanie sojuszników. Pamiętała o wszystkich z jej efenburu, nawet o tych najniżej stojących. Spotykała się z nimi, gdy tylko mogła. Jeszcze ważniejsza była umiejętność wzbudzania szacunku, a nawet podziwu, w młodszych efenburu. W mieście były jej oczami i uszami, jej tajną siłą. Bez ich pomocy nigdy by nie zdołała wyruszyć w tę podróż, największe ryzyko jej życia. Stawką było zwycięstwo lub klęska. Kierowanie nowym miastem, Alpčasakiem, było wielkim awansem, zadaniem wysuwającym ją przed wiele innych. Niebezpieczeństwo tkwiło w tym, że najdalej położone od Entoban* miasto przysparzało już kłopotów. W razie opóźnień w tworzeniu nowego grodu czekałby ją

upadek, upadek tak głęboki, iż nigdy by się z niego nie podźwignęła. Jak Deeste, którą miała zastąpić jako eistaa nowego miasta. Deeste popełniała błędy, prace pod jej kierunkiem przebiegały zbyt wolno. Vaintč przejmowała jej miejsce – wraz ze wszystkimi nierozwiązanymi problemami. Gdyby zawiodła, sama zostałaby zastąpiona. Ryzykowała wiele, ale warto było spróbować, bo gdyby się jej powiodło, na co wszyscy liczyli, wówczas jej gwiazda rozbłyskiwałaby coraz mocniej i nic nie zdołałoby jej zaćmić.

Ktoś wynurzył się z dołu i stanął przy niej. Znajoma sylwetka, zabarwiona goryczą. Vaintč czuła wspólnotę swego efenburu, najsilniejszą ze wszystkich więzi, choć przyćmioną przez niepewność otwierającej się przed nimi przyszłości. Vaintč pragnęła, aby jej efenselč zrozumiała, co może zdarzyć się z nią na brzegu. Teraz. To ostatnia okazja na prywatną rozmowę przed lądowaniem. Potem będzie za dużo słuchających uszu i przyglądających się oczu, by mogła wobec nich odsłonić swe myśli. Teraz trzeba raz na zawsze skończyć z tą głupotą.

–Niedługo lądujemy. Tam, przed nami, to Gendasi*. Dowodząca obiecała mi, że znajdziemy się w Alpčasaku dziś po południu. – Vaintč zerknęła kąciukiem oczu, ale Enge nie odpowiedziała, jedynie ruchem jednego kciuka wyraziła, iż słucha. Nie był to gest obraźliwy, ale nie objawiał żadnego uczucia. Początek był nie najlepszy, lecz Vaintč nie dopuści, by to rozgniewało jej rozmówczynię, czy też powstrzymało przed uczynieniem tego, co należy uczynić. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz ze swą efenselč.

–Opuszczenie ojcowskiej miłości i wejście w objęcia morza jest pierwszym cierpieniem w życiu – powiedziała.

–Pierwszą radością są pobratymcy, z którymi się tam łączysz – Enge dokończyła znajome słowa. – Korzę się, Vaintč, bo przypomniałaś mi, jak głęboko zraniłam cię swym egoizmem...

–Nie chcę żadnego korzenia się ani przeprosin. Ani nawet tłumaczenia się z twego niezwykłego zachowania. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ty i twoje naśladowczynie nie zmarłyście jak przystoi. Nie będę o tym mówić. I nie o sobie myślałam. Ty, tylko ty mnie martwisz. Nie dbam też o te zbałamucone istoty na dole. Skoro okazały się dostatecznie rozumne, by poświęcić swą wolność dla nieprzystojnej filozofii, to czemu nie miałyby być dość bystre, by dobrze pracować. Miasto zdoła je wykorzystać. Zdoła wykorzystać i ciebie – ale nie jako więźnia.

–Nie proszę cię o zdjęcie okowów.

–Nie musisz. Już to nakazałam. Hańbą dla mnie jest przebywanie z kimś z mojego efenburu zakutym jak zwykły przestępca.

–Nie chciałam nigdy zhańbić ciebie czy naszego efenburu. – Enge już nie przepraszała. – Postępowałam zgodnie z moimi poglądami. Poglądami tak niezachwianymi, iż odmieniły zupełnie me życie, jak odmieniłyby i twoje, efenselč. Miło mi jednak słyszeć, że czujesz wstyd, bo wstyd stanowi część samoświadomości będącej podstawą wiary.

–Przestań. Czułam wstyd jedynie za nasze efenburu, które poniżyłaś. Czuję gniew, nic ponadto. Teraz jesteśmy same, nikt nie usłyszy, co powiem. Posłuchaj mnie! Dołącz do pozostałych więźniarek. Będziesz z nimi skuta, póki nie dobijemy do brzegu, ale nie dłużej. Gdy tylko statek odbije, odłączę cię od nich, uwolnię i będziesz pracować ze mną. Alčasak będzie gotowy. Ciężko walczyłam o zaszczyt zostania eistaa nowego miasta. Będę kierowała jego budową i przygotowywała na dzień przybycia naszego ludu. Potrzebna mi w tym pomoc. Pracujące ciężko przyjaciółki zostaną wraz ze mną wyniesione. Proszę cię, Enge, byś przyłączyła się do mnie, pomogła w tym wielkim dziele. Jesteś moją efenselč. Razem zanurzyliśmy się w morzu, razem wzrastałyśmy, razem wynurzyłyśmy się, złączone więzami tego samego efenburu. Te więzi niełatwo rozerwać. Dołącz do mnie, wznos się ze mną, bądź moją prawą ręką! Nie możesz mi odmówić. Zgadzasz się?

Enge pochyliła głowę, skrzyżowała dłonie ukazując, że jest związana, uniosła je do twarzy i dopiero podniosła wzrok.

–Nie mogę. Związana jestem z moimi towarzyszkami, Córami Życia, więzią silniejszą niż z moim efenburu. Szły tam, gdzie je wiodłam...

–Wiodłaś je na pustynię i wygnanie – na pewną śmierć.

–Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Mówiłam tylko to, co słuszne. Przekazywałam prawdę objawioną przez Ugunenapsę, która przyniosła jej wieczne życie. Jej, mnie, nam wszystkim. To ty i inne Yilané jesteście zbyt zaślepione, by to dojrzeć. Jedno tylko może przywrócić wzrok tobie i im: zdobycie wiedzy o śmierci, co daje wiedzę o życiu.

Gniew wytrącił Vaintč z równowagi. Niezdolna wyrzec słowa, jak dziecko wzniosła ręce, ukazując Enge płonące czerwienią wnętrza dłoni. Wyciągnęła je ku jej twarzy w najbardziej obraźliwym z gestów. Gniew rozpałił się w niej jeszcze bardziej, gdy Enge nie ruszyła się i zlekceważywszy wściekłość, powiedziała łagodnie:

–Nie musi tak być, Vaintč. Możesz się do nas przyłączyć, odkryjesz coś większego niż osobiste pragnienia, większego niż wierność efenburu...

–Większego niż wierność swemu miastu?

–Może – bo przewyższa wszystko.

–Brakuje słów, by określić to, o czym mówisz. Stanowi to zdradę wszystkiego, czym żyjemy; czuję jedynie wielki wstręt. Yilané żyją jak Yilané, począwszy od jaja czasu. W ten ład, jak robak wgryzający się w ciało, wtrąciła się nikczemna Farnaksei, głosząc swe buntownicze bzdury. Okazano jej wielką cierpliwość, mimo to obstawała przy swoim. Ostrzeżono ją i nadal obstawała, aż nie było innego wyjścia niż wygnanie jej z miasta. I nie umarła, pierwsza z żyjąco-martwych. Gdyby nie Olpesaag, wybawicielka, być może żyłaby jeszcze i rozpaliała waśnie.

–Nazywała się Ugunenapsa, bo przez nią objawiła się ta wielka prawda. Olpesaag zniszczyła jej ciało, ale nie objawienie.

–Tak ty ją nazywałeś, ale ona była Farneksei, pytającą-nieroztropnie, i zginęła przez tę zbrodnię. Taki właśnie będzie kres waszych dziecinnych poglądów, brudnych myśli zagrzebanych na dnie z koralami i wodorostami. – Odetchnęła głęboko, próbując się uspokoić. – Czy nie rozumiesz, co ci ofiarowuję? Ostatnią szansę. Życie miast śmierci. Przyłącz się do mnie, a zajdziesz wysoko. Jeśli ta niesmaczna wiara tyle dla ciebie znaczy, to zachowaj ją sobie, ale nie mów o niej ani mnie, ani żadnej innej Yilané, zachowuj ją ukrytą przed wszystkimi. Zrobisz tak!

–Nie mogę. Jest w niej prawda, która musi być wypowiedziana głośno...

Rycząc wściekle, Vaintč chwyciła Enge za kark, ścisnęła okrutnie kciukami jej piersi i pchnęła w dół, wciskając twarzą w twardą powierzchnię płetwy.

–Oto prawda! – krzyczała, wykręcając głowę Enge, by ta wyraźnie pojęła każde słowo. – Ptasie łajno, które wycieram twą głupią, okrągłą gębą, to rzeczywistość i prawda. Poza nim jest prawda nowego miasta na skraju dżungli, ciężkiej pracy, brudu i braku wszystkich wygod, jakie znasz. Oto twe przeznaczenie i pewna śmierć. Obiecuję ci, że jeśli nie porzucisz swej wyniosłej postawy, twe bezsilne kwilenie...

Vaintč odwróciła się, słysząc ciche chrząknięcie i ujrzała dowódczynię, która wspięła się do nich, a teraz próbowała usunąć się z oczu.

–Chodź tu! – krzyknęła Vaintč, cisnąwszy Enge na występ. – Co oznacza to wtrącanie się, to szpiegowanie?

–To nie... to nieumyślnie, Najwyższa, odejdę – Erafnaiś była tak zmieszana, że nie potrafiła dokończyć zdania.

–Co więc cię przywiodło?

–Plaże. Chciałam tylko pokazać białe plaże, plaże narodzin. Tuż za przylądkiem, który widać przed nami.

Vaintč z radością przyjęła sposobność wycofania się z niesmacznej rozmowy.

Niesmacznej dla niej, bo poniosły ją nerwy. Rzadko się to zdarzało, gdyż wiedziała, że daje tym przewagę innym. Teraz dowodząca rozniesie plotki, nic dobrego z tego nie wyniknie. To wina Enge, niewdzięcznej, głupiej Enge. Spełni się teraz jej przeznaczenie, spotka ją dokładnie taki los, na jaki zasłużyła. Vaintč wczepiła się kurczowo w oparcie, opadł z niej gniew, oddech zwolnił. Wpatrywała się w zielony brzeg, leżący tak blisko. Wyczuła, że Enge podnosi się, pragnąc również ujrzyć plażę.

–Zbliżymy się do brzegu tak blisko, jak tylko można – powiedziała Erafnaíš.

„To nasza przyszłość” – myślała Vaintč. Pierwsze chlubne pokrywanie samców, pierwsze składanie jaj, pierwsze narodziny, pierwsze efenburu dojrzewające w morzu. Gniew już ją opuścił i niemal uśmiechnęła się na myśl o tłustych, nieruchawych samcach wylegających się bezmyślnie na słońcu, o dzieciach, szczęśliwych i bezpiecznych w ich torbach ogonowych. Pierwsze narodziny, pamiętna chwila dla nowego miasta.

Kierowane przez załogę uruketo zbliżyło się do brzegu, niemal do przybojowych fal. Brzeg przesunął się, odsłaniając plażę.

Enge i dowodząca zdrętwiały. Vaintč krzyknęła głośno straszliwym, pełnym bólu głosem.

Rozdarte, pocięte ciała zaścielały gładki piasek.

ROZDZIAŁ III

Krzyk bólu Vaintč urwał się nagle. Gdy przemówiła, słowa jej pozbawione były złożoności i wszelkiej subtelności. Pozostały nagie znaczenia, bez wdzięku, szorstkie i ponaglące.

–Dowodząca! Poprowadzisz natychmiast na brzeg oddział dziesięciu najsilniejszych członków załogi. Uzbrojonych w hčsotsany. Rozkaż, by uruketo zatrzymało się tutaj. – Podeszła wyżej na sam skraj płetwy i wskazała na Enge. – Pójdiesz ze mną.

Wbijając pazury nóg w skórę uruketo, Vaintč zeszła na grzbiet zwierzęcia i skoczyła do przejrzystego morza. Enge zrobiła to samo.

Wynurzyły się z przyboju obok zwłok samca. Wokół rozwartych ran roiły się muchy, pokrywając ciało i zakrzepłą krew. Enge zachwiała się na ten widok jakby pchnięta niewidzialnym podmuchem wiatru. Nieświadomie skręcała kciuki i palce jakby w dziecięcym proteście.

Inaczej Vaintč. Stała twarda i nieruchoma jak skała. Jej oczy zimno ogarniały sceny rzezi.

–Chcę odnaleźć stworzenia, które to zrobiły – powiedziała wypranym z uczuć głosem, podchodząc bliżej i pochylając się nad ciałem. – Zabijały, ale nie jadły. Mają pazury, kły lub rogi – spójrz na te cięcia. Widzisz? Zginęły nie tylko samce, zabito również ich obsługę. Gdzie są strażę? – Odwróciła się do dowodzącej, która właśnie wynurzała się z morza z uzbrojonymi marynarzami. Ponagliła je gestem. – Rozstawcie się w szeregu, miejcie broń w pogotowiu i przeszukajcie plażę! Odnajdźcie strażniczki, które musiały tu być – podążcie tymi śladami i sprawdźcie, dokąd prowadzą! Marsz! – Patrzyła, jak wyruszyły, odwróciwszy się dopiero na wezwanie Enge.

–Vaintč, nie pojmuję, jakie stworzenia spowodowały te rany. To wszystko pojedyncze cięcia lub pchnięcia, jakby te istoty miały tylko jeden róg lub pazur.

–Neniteski mają jeden róg na końcu nosa, wielki i poszarpany, także huruksasty.

–Gigantyczne, powolne, głupie stworzenia nie mogły tego dokonać. Sama ostrzegłaś mnie przed niebezpieczeństwami tej dżungli. Nieznane zwierzęta, szybkie i groźne.

–Gdzie były strażę? Znały niebezpieczeństwo, czemu nie spełniły swego obowiązku?

–Spełniły – powiedziała Erafnaiś, zbliżając się wolno plażą. – Wszystkie zginęły.

Zabite tak samo.

–To niemożliwe! A ich broń?

–Nie użyta. Naładowana. Te istoty, te istoty, takie groźne...

Jedna ze stojących na plaży członkiń załogi wołała z daleka. Jej ruchy były niewyraźne, głos stłumiony. Biegła ku nim, bardzo podniecona. Stawała na chwilę, próbując mówić, potem podbiegła bliżej, aż można ją było wreszcie zrozumieć.

–Znalazłam ślad... chodźcie... tam jest krew. Nieopanowane przerażenie w głosie dodawało wagi słowom. Vaintč pierwsza pobiegła na jej spotkanie.

–Poszłam tropem, Najwyższa – wołająca wskazała na drzewa. – Było kilka zwierząt, chyba pięć, sądząc ze śladów. Wszystkie kończą się na skraju wody. Odeszły. Ale jest jeszcze coś, co musisz zobaczyć!

–Co?

–Miejsce morderstwa pełne krwi i kości. Ale coś... jeszcze. Musisz zobaczyć sama.

Nim doszły, usłyszały wściekle buczenie much. Doszło tu do masakry. Przewodniczka wskazała w milczeniu na ziemię.

Leżała tam kupka osmolonych kawałków drewna i popiołów. Z jej środka unosiło się siwe pasmo dymu.

–Ogień? – spytała na głos Vaintč, równie zdumiona tym odkryciem jak i pozostałe. Widziała go już przedtem i nie polubiła. – Cofnij się, głupia! – rozkazała, gdy dowodząca podeszła do dymiących popiołów. – To ogień. Jest bardzo gorący i rani.

–Nie wiedziałam – tłumaczyła się Erafnaiś. – Słyszałam o nim, ale nigdy go nie widziałam.

–Jest tu jeszcze coś – powiedziała członkini załogi. – Na brzegu jest muł. Stwardniał w słońcu. Są na nim bardzo wyraźne ślady stóp. Wyrwałam jeden, oto on.

Vaintč podbiegła i przyjrzała się popękanemu krążkowi mułu, potem przyklękła i wskazała na wgłębienia w twardej powierzchni.

–Te istoty są małe, bardzo małe, mniejsze od nas. Stopy mają miękkie, bez śladów pazurów. Patrzcie tutaj – policzcie!

Wyprostowała się i z wyciągniętą ręką odwróciła się twarzą do pozostałych. Rozcapierzyła palce, kolor gniewu pulsował na jej dłoni.

–Pięć palców, tyle tu jest, a nie cztery. Czy ktoś słyszał o bestiach mających pięć palców? – Odpowiedziało jej tylko milczenie. – Za dużo zagadek. Nie podoba mi się to. Ile strażniczek tu było?

–Trzy – odpowiedziała Erafnaiś. – Po jednej na każdym końcu plaży, trzecia blisko jej środka...

Przerwała, gdy podbiegła członkini załogi, przedarłszy się przez krzaki. – Tam jest łódka – krzyczała. – Wylądowała na plaży.

Gdy Vaintč wyszła spomiędzy drzew, zobaczyła podskakującą na przyboju, załadowaną jakimiś pojemnikami łódź. Jedna z pasażerek trzymała ją, by nie odpłynęła; pozostałe dwie, stojąc na brzegu, przyglądały się trupom. Odwróciły się ku podchodzącej Vaintč, która dostrzegła naszyjnik z poskręcane drutu na szyi jednej z nich.

–Jesteś esekasak, obrończyni plaży narodzin – Vaintč zwróciła się do niej – dlaczego nie obroniłaś swych podopiecznych? Nozdrza esekasak rozszerzyły się z gniewu.

–Kim jesteś, że mówisz do mnie jak do...

–Jestem Vaintč, obecna eistaa tego miasta. Teraz odpowiedz na moje pytanie, niska, bo stracę cierpliwość.

Esekasak dotknęła błagalnie ust, cofając się jednocześnie o krok.

–Wybacz mi, Najwyższa, nie wiedziałam. To szok, ci martwi...

–Odpowiadasz za to. Gdzie byłaś?

–W mieście, po żywność i nowe strażniczki.

–Jak długo byłaś nieobecna?

–Tylko dwa dni, Najwyższa, jak zawsze.

–Jak zawsze! – Vaintč czuła, jak wściekłość przydaje szorstkości jej słowom. – Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego zostawiłyście swą plażę, by udać się morzem do miasta? Gdzie jest cierniowy wał, umocnienia?

–Jeszcze nie wyrosły, Najwyższa. Rzeka jest poszerzana i pogłębiana, nie została też jeszcze oczyszczona z groźnych zwierząt. Ze względów bezpieczeństwa postanowiłam umieścić plażę narodzin po stronie oceanu, oczywiście tymczasowo.

–Ze względów bezpieczeństwa! – Vaintč nie była już w stanie opanować wściekłości.

Krzyczała, wskazując na ciała: – Są martwi – wszyscy. Odpowiesz za to! Lepiej, byś zginęła z nimi! Za to, za największą zbrodnię, żądam najwyższej kary. Jesteś wygnana z miasta, ze społeczności mówiących, dołączysz do niemych. Nie pożyczysz dtugo, ale każdej chwili aż do śmierci będziesz pamiętała, że wyrok ten zawdzięczasz swej nieobowiązkowości, swemu błędowi. – Vaintč podeszła bliżej i złapała kciukami metalową oznakę wysokiego stanowiska. Pociągnęła mocno i zerwała. Złamane końce zraniły szyję esekasak. Wrzuciła oznakę w przybój, intonując litanie pozbawienia osobowości.

–Zrywam ci twą odpowiedzialność. Wszystkie tu obecne zrywają ci twe stanowisko za niedopełnienie przez ciebie obowiązków. Każda obywatelka Inegban*, naszego ojczystego miasta, każda żyjąca Yilané przyłącza się do nas w zrywaniu z ciebie obywatelstwa. Teraz zabieram ci imię i nikt żyjący nie wymówi go już na głos, ale nazwie cię Lekmelik, ciemność zła. Spycham cię do bezimiennych i niemych. Idź!

Vaintč wskazała na ocean, uniesiona własnym gniewem. Pozbawiona osobowości esekasak opadła na kolana, wyciągnęła się jak długa na piasku u stóp Vaintč. Ledwo można było zrozumieć jej słowa.

–Tylko nie to, nie, błagam! Bez hańby, to Deeste tak rozkazała, zmusiła nas. Miało nie być narodzin, nie wymusiła dyscypliny seksualnej. Nie można mnie za to hańbić, miało nie być narodzin. To, co się stało, nie jest z mojej winy...

Głos uwiązał jej w gardle, umilkła; ruchy kończyn uspokoiły się i zamarły.

–Zabierzcie tę istotę! – rozkazała Vaintč.

Erafnaiś wskazała dwie członkinie załogi, które bezwładne ciało przewróciły na wznak. Lekmelik miała otwarte oczy, spokojny już oddech. Wkrótce umrze. Sprawiedliwości stało się zadość. Vaintč kiwnęła aprobowująco głową i szybko zapomniała o całej sprawie; za dużo miała do zrobienia.

–Erafnaiś, zostaniesz tutaj i dopilnujesz usunięcia ciał – rozkazała. – Potem doprowadź uruketo do miasta. Ja popłynę tam łodzią. Chcę zobaczyć tę eistaę Deeste, którą mam tu zastąpić.

Gdy Vaintč weszła do łodzi, strażniczka poprosiła pokornie o pozwolenie na odezwanie się. Mówiła wolno, z pewnym wysiłkiem.

–Nie będziesz mogła zobaczyć Deeste. Deeste nie żyje. Od wielu dni. Była gorączka, zmarła jako jedna z ostatnich.

–Moje przybycie opóźniło się bardzo. – Vaintč usiadła, a strażniczka wypowiedziała rozkazy do ucha łodzi. Ciało zwierzęcia zadrżało, napędzane przez wyrzucany strumień wody.

–Opowiedz mi o mieście – powiedziała Vaintč. – Ale najpierw twoje imię. – Mówiła spokojnie, ciepło. Ta strażniczka nie była winna zabójstw, nie pełniła wówczas obowiązków. Teraz Vaintč musi myśleć o mieście, znaleźć sojuszników, których będzie potrzebowała, aby prace szły gładko.

–Jestem Inlčnat – strażniczka już nie była tak przestraszona jak przed chwilą. – To będzie dobre miasto, wszystkie tego chcemy. Pracujemy ciężko, mamy wiele trudności i kłopotów.

–Czy jednym z nich była Deeste?

Inlčnat odwróciła dłonie, by ukryć barwę swych uczuć. – Nie mnie o tym mówić. Bardzo krótko jestem obywatelką.

–Skoro żyjesz w mieście, to jesteś miastem. Możesz mi powiedzieć, bo jestem Vaintč i eistaą. Jesteś mi winna lojalność. Masz czas, by się zastanowić, co to oznacza. To ode mnie pochodzi władza. Do mnie należy się zgłaszać ze wszystkimi kłopotami. Ode mnie pochodzą wszystkie decyzje. Teraz znasz już swoje obowiązki. Będiesz odpowiadać szczerze na wszystkie moje pytania.

–Odpowiem, jak rozkażesz, Eistao – zapewniała Inlčnat, która powoli pojmowała nowy porządek rzeczy.

Powolutku, pytając rozważnie i cierpliwie, Vaintč zaczęła sobie odtwarzać obraz wydarzeń w mieście. Strażniczka stała zbyt nisko, by wiedzieć, co działo się na wyższych szczeblach władzy – świadoma była jednak rezultatów podejmowanych tam decyzji. Nie były zadowalające.

Również Deeste nie była popularna. Otoczyła się grupą zauszniczek robiących niewiele lub zgoła nic. Wszystko wskazywało, że to właśnie one zapomniały o swych obowiązkach, nie stworzyły innych sposobów uzyskiwania satysfakcji, gdy nadeszła pora składania jaj, lecz po prostu wykorzystały samców, nie zważając na nieprzygotowanie plaży narodzin. Jeśli to prawda, a łatwo będzie ją wykryć, to sądy publiczne nie zmarnują czasu. Przestępczynie zostaną skazane na pracę poza miastem, będą harowały, dopóki nie padną lub nie zostaną zabite, czy nawet zjedzone przez dzikie zwierzęta. Nie zasługują na nic lepszego.

Nie wszystkie wiadomości były złe. Oczyszczono pierwsze pola, a samo miasto wyrosło już więcej niż w połowie. Jego wznoszenie szło zgodnie z planem. Po zwalczeniu gorączki nie było żadnych kłopotów zdrowotnych poza urazami spowodowanymi ciężką pracą. Gdy łódź wpłynęła do rzeki, Vaintč wiedziała już, co robić. Opowieści Inlčnat muszą być oczywiście sprawdzone, to jasne, ale instynkt mówił jej, że w słowach tej prostytutki zawarta była istota problemów miasta. Nawet jeżeli część z tego okaże się plotką, zasadnicze fakty się ostaną.

Słońce zapadało za wałem chmur, gdy łódź wpłynęła w plątaninę kanałów tworzących port. Vaintč, poczuwszy chłód, odruchowo owinęła się jednym ze swych płaszczy, dobrze nakarmionym i ciepłym. Gdyby nie masakra na plaży, należałoby na formalne przywitanie po przybyciu uruketo. Teraz było to niestosowne. Chciała spokojnie objąć Alpčasak, by móc podejmować decyzje, gdy do miasta dotrze wieść o rzezi. Zabójstwa nie zostaną zapomniane, pamiętane będą jako zakończenie złego okresu, początek dobrego. Uroczyście obiecywała sobie, że od tej chwili wszystko potoczy się zupełnie, ale to zupełnie inaczej.

ROZDZIAŁ IV

Przybycie Vaintč zostało zauważone. Gdy łódź dobijała do nabrzeża, ktoś tam już stał, ciasno owinięty w płaszcz, wyraźnie na nią czekając.

–Kto to? – spytała Vaintč. Inlčnat podążyła za jej spojrzeniem.

–Słyszałam, że nazywają ją Vanalpč. Ma wysokie stanowisko. Nigdy ze mną nie rozmawiała.

Vaintč знаła ją, a w każdym razie jej raporty. Rzeczowe i oficjalne, nie zawierały ani słowa o sprawach osobowych czy kłopotach. Była esekaksopą, dosłownie znaczyło to zmieniająca-kształty-rzeczy. Należała do bardzo nielicznych znających sztukę tworzenia nowych, pożytecznych rodzajów roślin i zwierząt. Teraz tylko ona odpowiadała za rozwój miasta. Podczas gdy Vaintč była eistaaą, przywódczynią nowego miasta i jego mieszkańców, Vanalpč odpowiadała za jego kształt. Vaintč próbowała ukryć nagle napięcie. Pierwsze spotkanie było bardzo ważne, zależały od niego ich przyszłe stosunki. Od nich zaś zależał los i przyszłość Alpčasaku.

–Jestem Vaintč – przedstawiła się, wchodząc na szorstkie deski nabrzeża.

–Witam cię serdecznie w Alpčasaku. Jedna z fargi zauważyła uruketo i zameldowała mi o tym. Bardzo pragnęłam, byś tu przybyła. Nazywam się Vanalpč, służąca – przedstawiła się oficjalnie, z gestem poddaństwa. Zrobiła to w sposób staroświecki, wykonując do końca ruch obu rąk, bez zwykłego, współczesnego skrótów. Potem stanęła mocno na wyprostowanych nogach, oczekując poleceń. Vaintč od razu poczuła do niej sympatię i odruchowo wyciągnęła rękę w geście przyjaźni.

–Czytałam twoje raporty. Ciężko pracowałaś dla Alpčasaku. Czy fargi powiedziały ci jeszcze coś... czy mówiła o plaży?

–Nie, tylko że przybywasz. Co jest z plażą?

Vaintč otworzyła usta, by opowiedzieć, lecz zrozumiała, że nie może. Od ostatniego krzyku bólu doskonale panowała nad swymi uczuciami. Czuła, że gdyby teraz zaczęła mówić o masakrze samców i młodych, wybuchnęłaby znów gniewem. Nie byłoby to słuszne politycznie ani nie pomogłoby jej w stworzeniu wrażenia chłodu i skuteczności, jakie zawsze okazywała publicznie.

–Inlčnat – rozkazała – powiedz Vanalpč, co zastałyśmy na plaży. Vaintč przeszła się nabrzeżem tam i z powrotem, planując pierwsze pociągnięcia. Gdy Inlčnat umilkła, Vaintč odwróciła się i zobaczyła, że obie czekają na rozkazy.

–Teraz rozumiesz – powiedziała.

–Straszne. Należy odnaleźć i zniszczyć istoty, które to zrobiły.

–Czy wiesz, kim mogą być?

–Nie, ale znam kogoś, kto może wiedzieć. To Stallan, pracuje ze mną.

–Czy rozmyślnie nosi imię łowczym'?

–Zasługuje na nie. Samotnie wędruje po otaczających miasto dżunglach. Wie, co można tam spotkać. Na podstawie jej wiedzy poczyniłam zmiany w projekcie miasta, które muszę przedstawić ci szczegółowo...

–Potem. Choć jestem eistaą, to mniej pilne sprawy mogą poczekać, póki nie wyjaśnimy wszystkiego, co się wiąże z zabójstwami. Z miastem w porządku, nie ma żadnych naglących potrzeb?

–Mogą poczekać. Wszystko idzie jak należy. Gorączka została powstrzymana. Kilka zgonów.

–Zmarła Deeste. Czy nie będzie jej brakowało? Vanalpč zamilkła, spuściła oczy. Gdy się odezwała, jasne było, iż uważnie dobiera słowa.

–W mieście panowały złe nastroje i wielu obwiniało za to Deeste. Zgadzam się z tą opinią. Mało komu będzie jej brakowało.

–A te to...

–Bliskie jej osobiście. Szybko się przekonasz, kto do nich należy.

–Rozumiem. Poślij teraz po Stallan i każ jej zgłosić się do mnie. Tymczasem pokaż mi miasto.

Vanalpč poprowadziła między wysokimi korzeniami, potem odsunęła zwisającą zasłonę, która zadrżała pod jej dotknięciem. Wewnątrz było cieplej i zrzuciły płaszcze na leżący obok drzwi stos. Płaszcze powoli wysunęły czułki, badając ścianę, aż wyczuwszy słodki zapach bieli drewna, przyssały się do niej.

Minęły tymczasowe budowle rosnące nad wodą, przezroczyste płyty umocowane do tworzących szkielet miasta szybko rosnących drzew.

–To nowa technika – wyjaśniła Vanalpč. – Ostatnie nowe miasto wzniesiono bardzo dawno. Od tego czasu poczyniono wielkie usprawnienia.

Ożywiła się, z uśmiechem pogłaskała kruche płyty.

–Rozwinęłam je sama. To powiększone i przekształcone poczwarki owadów. Dobrze

nakarmione w stadium larwalnym dają bardzo dużo tych płyt. Oddziela się je i spala, póki są miękkie. Twardnieją od światła. Nie marnujemy zasobów. Patrz, wchodzimy teraz do miejskiego drzewa.

Wskazała na płataninę grubych korzeni tworzących mury, pokrytych wchłoniętymi przezrzystymi płytami.

–Te arkusze to czysty węglowodan. Z ich rozkładu drzewo czerpie wartościową energię.

–Wspaniale. – Vaintč stanęła pod skupionym światłem, obok rozciągającego błotniste skrzydła grzejnika. Rozglądała się z nieudawanym podziwem.

–Nie sposób wyrazić mego zadowolenia. Czytałam wszystkie twoje raporty, wiem, czego tu dokonałaś, ale co innego zobaczyć to na własne oczy. To poruszające, poruszające, poruszające. – Gestem powtórzyła i podkreśliła ostatnie słowo. – Tylko tyle zawrę w pierwszym sprawozdaniu dla Entoban*.

Vanalpč w milczeniu skinęła głową, nie śmiać się odezwać. W projekt miasta włożyła doświadczenie całego życia. Alpčasak stanowił jego zwieńczenie. Nie tajony entuzjizm nowej eistai był przytłaczający. Dopiero po dłuższej chwili odzyskała mowę i wskazała na grzejnik.

–To jest tak nowe, że nie trafiło jeszcze do raportu. Postukała w grzejnik, który na chwilę wysunął macki z naczyń drzewa, odwrócił ku nim niewidzące oczy i cicho pisnął.

–Wiele lat eksperymentowałam z nimi. Teraz mogę uczciwie powiedzieć o powodzeniu eksperymentów. Ten grzejnik żyje dłużej niż inne i nie potrzebuje żadnych pokarmów oprócz cukrów i soków drzewa. Dotknij go, ma też znacznie wyższą temperaturę.

–Podziwiam to.

Vanalpč z dumą ruszyła w dalszą drogę między kotarami splątanych korzeni. Przy przechodzeniu przez otwór pochyliła się, przytrzymując korzenie, aby mogła wejść Vaintč, potem wskazała na gruby pień drzewa tworzącego tylny mur. Ze śmiechem wysunęła przed siebie otwarte, skierowane ku górze dłonie.

–Tu leżało takie małe, że nie sposób było wyobrazić sobie, ile długich dni pracy będzie wymagało przygotowanie tworzących je zmutowanych łańcuchów genów. I dopóki nie wyrosło, nikt nie miał najmniejszej pewności, że nasza praca wyda owoce. Dostałam to miejsce oczyszczone z drzew i krzaków, także z owadów, potem sama je nawoziłam i podlewałam, tym kciukiem zrobiłam dołek i posadziłam ziarno. Pierwszą noc spędziłam przy nim, nie byłam w stanie odejść. Następnego dnia ukazał się

maleńki, zielony kielek. Nie potrafię opisać, co czułam. A teraz – tak wygląda.

Z ogromną dumą i szczęściem Vanalpč poklepała grubą korę rosnącego tam drzewa. Vaintč podeszła i stanęła obok niej, by samej dotknąć drzewa i poczuć tę samą radość. Jej drzewo, jej miasto.

–Tu zostanę. Powiedz wszystkim, że to moje miejsce.

–To twoje miejsce. Zasadzimy mury, by otoczyć miejsce Eistai. Pójdę teraz i zaczekam na Stallan. Przyprawdżę ją tu.

Gdy odeszła, Vaintč siedziała w milczeniu, póki nie zauważyła przechodzącej fargi. Posłała ją po jedzenie. Fargi wróciła z kimś.

–Nazywam się Hčksei – przybyła przedstawiła się bardzo oficjalnie. – Rozniosła się wieść o twoim przybyciu, wielka Vaintč, pośpieszyłam więc, by powitać cię serdecznie w twoim mieście.

–Jakie są twoje zadania, Hčksei? – spytała równie oficjalnie Vaintč.

–Staram się wspierać i pomagać innym, być lojalną wobec miasta...

–Byłaś bliską przyjaciółką martwej teraz eistai Deeste? Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie i trafiło celnie.

–Nie wiem, co słyszałaś. Niektórzy ludzie zazdroszczą innym, roznoszą plotki...

Jej słowa przerwał powrót Vanalpč. Towarzyszyła jej druga postać, przepasana pasem przez ramię, z którego zwisał hčsotsan. Vaintč spojrzała nań i odwróciła wzrok nic nie mówiąc, choć prawo zakazywało noszenia broni w jej pobliżu.

–To Stallan, o której mówiłam – powiedziała Vanalpč, patrząc obojętnie na Hčksei, jakby jej nie było.

Stallan uczyniła gest oficjalnego powitania, potem cofnęła się ku drzwiom.

–Zapomniałam się – wychrypiała i Vaintč po raz pierwszy zauważyła długą szramę znaczącą jej gardło. – Nierozważnie noszę broń. Dopiero gdy cię zobaczyłam, uświadomiłam sobie, że powinnam była ją zostawić.

–Poczekaj – powiedziała Vaintč. – Nosisz ją zawsze?

–Zawsze. Równie często przebywam poza miastem jak w nim. To nowe miasto, pełne niebezpieczeństw.

–To nadal noś broń, Stallan, skoro jej potrzebujesz. Czy Vanalpč powiedziała ci o

plaży?

Ponuro milcząca Stellan przytaknęła.

–Czy wiesz, co to mogły być za stworzenia?

–Tak i nie.

Vaintč zignorowała pełen niedowierzenia i pogardy gest Hčksei.

–Wyjaśnij!

–W tym nowym świecie są bagna i dżungle, wielkie puszcze i wzgórza. Na zachodzie jest duże jezioro, a za nim ocean. Na północy niekończące się lasy. I zwierzęta. Jedne bardzo przypominają znane nam z Entoban*. Drugie są zupełnie inne. Im dalej na północ, tym ich więcej. Zastawałam tam coraz liczniejsze ustuzou. Niektóre zabiłam. Mogą być niebezpieczne. Wiele towarzyszących mi fargi odniosło rany, niektóre zmarły.

–Niebezpieczne! – Teraz Hčksei roześmiała się na głos. – Czy niebezpieczna jest mysz spod podłogi? Musimy posłać po elinou, by rozprawiły się z twymi strachami.

Stellan wolno odwróciła się ku Hčksei.

–Zawsze się śmiałaś, gdy mówiłam o tym, na czym zupełnie się nie znasz. Nadeszła pora ukrócenia tych śmiechów.

Chłód w jej głosie zniechęcał. Czekwały w milczeniu, gdy wyszła i wróciła po chwili z wielkim pakunkiem.

–Na tym lądzie żyją ustuzou, stworzenia noszące sierść, większe od myszy spod podłogi, z której się śmiałaś. Przed przybyciem na nowy brzeg znałyśmy tylko ten jeden rodzaj ustuzou, dlatego wydawało nam się, iż wszystkie muszą być drobnymi szkodnikami. Teraz wiemy, że jest inaczej. Przykładem ta nie mająca nazwy bestia.

Rozwinęła paczkę i rozłożyła na podłodze skórę zwierzęcia, zwierzęcia-futra, sięgającą od ściany do ściany. Całkowite milczenie było odpowiedzią na podniesienie przez Stellan jednej z łap i wskazanie na stopę z pazurami, każdym o długości dłoni.

–Eistao, odpowiedziałam na twoje pytanie: tak i nie. Oto przyczyna, te pięć pazurów. Wiele z największych, najbardziej niebezpiecznych futrzastych stworów ma pięć palców. Uważam, iż zabójcy z plaży musieli być jakimś ustuzou, z nie spotykanego dotąd gatunku.

–Myślę, że masz rację, – powiedziała Vaintč, odsuwając kopnięciem grube, miękkie

futro, czując wstręt przy jego dotknięciu. – Jak sądzisz, zdołasz je odnaleźć?

–Pójdę ich śladem. Na północ. Tylko tam mogły pójść.

–Znajdź je! Szybko. Zamelduj mi! Potem je zniszczymy. Wyruszysz o świcie?

–Za twym zezwoleniem – wyruszę zaraz.

–Wkrótce się ściemni. Zdołasz poruszać się nocą? – spytała. – Jak to możliwe?

–Mogę to robić tylko w pobliżu miasta, gdzie linia brzegowa jest bardziej regularna. Mamy duże płaszcze, a moja łódź prowadzi nocny tryb życia. Popłynę wzdłuż brzegu i do świtu dotrzemy daleko.

–Rzeczywiście jesteś łowczynią. Nie chcę jednak, byś wyruszyła samotnie, byś tylko ty narażała się na niebezpieczeństwo. Przyda ci się pomoc. Hčksei powiedziała mi, że pomaga innym. Popłynie jako twa pomocnica.

–To będzie męcząca podróż, Eistao – powiedziała Stallan beznamiętnym głosem.

–Pewna jestem, że zaowocuje nowymi doświadczeniami – Vaintč odwróciła się, ignorując Hčksei i jej gorączkowe gesty. – Niech zakończy się powodzeniem!

Naudinza istak ar owot at kwaiaro,

at

etcharro – ach i marinanni terpar.

POWIEDZENIE TANU.

**Łowca wybiera zawsze najdłuższą
i najtrudniejszą drogę. Ale jej
kresem są gwiazdy.**

ROZDZIAŁ V

Nisko nad horyzontem błysnął piorun, przez chwilę ukazując zwały ciemnych chmur. Po dłuższym czasie rozległ się daleki, niski grzmot. Sztorm cofał się, oddalał od morza, zabierając ze sobą ulewny deszcz i porywisty wiatr. Wysokie fale nadal jednak łamały się o brzeg, biegły daleko po piasku i rozciągającej się za nim słonej trawie, dochodziły niemal do wyciągniętej łodzi. Tuż za nią, między drzewami małego zagajnika, skóry przywiązane do wiosel tworzyły tymczasowe schronienie. Wydobywający się spod nich dym wisiał nisko pod gałęziami. Stary Ogatyr wychynął z kryjówki, mrużąc oczy w pierwszych promykach popołudniowego słońca przedzierających się przez ustępujące chmury. Powąchał powietrze.

–Sztorm minął – oznajmił. – Możemy wyruszać.

–Nie na tych wodach – powiedział Amahast, grzebiąc w ogniu, aż się rozпалиł. Kawały dziczyzny wędziły się w dymie, tłuszcz kapał ze skwierczeniem na ogień. – Łódź zostanie zalana, wiesz o tym. Może rano.

–Jesteśmy spóźnieni, bardzo spóźnieni...

–Nic na to nie poradzimy, stary. Ermanpadar zsyła sztormy, nie troszcząc się zbytnio, czy to nam sprzyja.

Odwrócił się od ognia, spojrzał na sarnę. Udały im się łowy na stada saren wędrujące po przetykanych rzadkimi krzewami i lasami trawach wybrzeża. Po rozebraniu i uwędzeniu tego ostatniego zwierzęcia łódź się wypełni. Rozciągnął przednie nogi sarny i przejechał po skórze ostrym odłamkiem kamienia. Nóż nie był

już ostry. Amahast wyrzucił go i krzyknął do Ogatyra:

–Tyle możesz zrobić, stary, możesz zrobić nowe ostrze.

Stępkając z wysiłku, Ogatyr dźwignął się. Od ciągłej wilgoci bolały go kości. Podeszedł sztywno do łodzi i pogrzebał w niej. Wrócił, trzymając w każdej ręce kamień.

–No, chłopcze, nauczysz się czegoś – powiedział, powoli siadając, wyciągnął kamienie w stronę Kerricka. – Patrz. Co widzisz?

–Dwa kamienie.

–Jasne. Ale jakie kamienie? Co możesz o nich powiedzieć? – Obracał je w dłoniach, by chłopiec mógł dokładnie im się przyjrzeć. Kerrick postukał w nie palcem i wzruszył ramionami.

–Widzę tylko kamienie.

–To dlatego, że jesteś młody i nigdy się nie uczyłeś. Nigdy byś się tego nie dowiedział od kobiet, bo to wyłącznie męska rzecz. Aby być łowcą, trzeba mieć włócznię. Włócznia musi mieć grot. Dlatego też musisz nauczyć się odróżniać jeden kamień od drugiego, dostrzegać ukryty wewnątrz kamienia grot lub ostrze, otwierać go i wydobywać to, co w nim skryte. Teraz zacznij swoją naukę.

Podał Kerrickowi okrągły, obrobiony przez wodę kamień.

–To obuch. Widzisz, jaki jest gładki? Zobacz, ile waży. Tym kamieniem rozbija się inne kamienie. Otworzę nim tamten, który nazywa się „przecinak”.

Kerrick długo obracał kamień w dłoniach, przyglądając mu się z wielkim skupieniem, zapamiętując szorstką powierzchnię i błyszczące krawędzie. Ogatyr odczekał cierpliwie, aż skończy, potem odebrał kamień.

–Nie ma w nim żadnego grotu – powiedział. – Ma złą wielkość, zły kształt. Ale są w nim ostrza, jedno tutaj, widzisz? Czujesz? Teraz je uwolnię.

Ogatyr pieczołowicie umieścił przecinak na ziemi i uderzył go obuchem, odłupując z boku ostry odprysk.

–Oto ostrze – powiedział – ale jeszcze tępe. Teraz patrz pilnie, co będę robił.

Wyjął z torby kawałek jeleniego rogu, położył kamienny wiór na swym udzie i ostrożnie naciskał na ostrze koniuszkiem rogu. Za każdym razem odpryskiwał drobny wiórek. Gdy obrobił przecinak na całej długości, był on ostry, wąziutki. Wręczył go Amahastowi, który cierpliwie przyglądał się całej lekcji. Amahast

podrzucił kamień w dłoni i kiwnął głową z zadowoleniem. Z wprawą przeciął bok sarny, rozpruwając go od szyi do biodra.

– Nikt w naszym sammadzie nie równa się z Ogatyrem w robieniu noży – powiedział.
– Niech cię uczy, synu, bo łowca bez noża nie jest łowcą.

Kerrick skwapliwie sięgnął po kamienie i walnął nimi o siebie. Poszły tylko iskry. Spróbował ponownie, z takim samym skutkiem. Dopiero gdy Ogatyr ustawił mu dłonie we właściwej pozycji, udało mu się odłamać poszarpany wiór. Bardzo dumny ze swego pierwszego osiągnięcia, chłopak ostrzył odpryski kawałkiem jeleniego rogu, póki nie otarł palców.

Wielki Hastila ponuro przyglądał się jego wysiłkom. W końcu wypełził z kryjówki, ziewając i przeciągając się, powąchał powietrze, jak przedtem Ogatyr, a następnie wdrapał się na skarpę. Sztorm minął, wiatr słabnąc coraz bardziej kaprysił, słońce dopiero zaczynało wyglądać. Jedynie spienione grzywacze rozciągające się po horyzont świadczyły o wczorajszej nawałnicy. Po drugiej stronie skarpa opadała w porośnięte trawą moczary. Majaczyły w niej ciemne kształty. Ujrawszy je, łowca wolno przykucnął i wrócił do schronienia.

– Są tam następne sarny. To dobre miejsce na polowanie.

– Łódź jest pełna – powiedział Amahast, odcinając płat wędzonego mięsa. – Dołożymy coś, a zatonie.

– Bolać mnie kości od leżenia tu cały dzień – mruknął Hastila, sięgając po włócznię. – Chłopak musi się też nauczyć, jak podchodzić zwierzynę, by móc ją zabić nowym, ostrym grotem. No, Kerrick, weź włócznię i chodź ze mną! Skoro nie możemy zabić saren, to przynajmniej spróbujemy je podejść. Pokażę ci, jak zbliżyć się pod wiatr i podczołgiwać do najbardziej nawet ostrożnego zwierzęcia.

Kerrick chwycił włócznię, lecz nim podążył za ogromnym łowcą, spojrzął na ojca. Żując twarde mięso, Amahast skinął głową.

– Hastila wiele ci pokaże. Idź z nim i ucz się.

Śmiejąc się radośnie, Kerrick dogonił Hastilę, ruszył obok niego.

– Jesteś zbyt hałaśliwy – powiedział Hastila. – Wszystkie stworzenia w puszczy mają dobre uszy i dosłyszą cię na długo przedtem, niż zobaczą...

Hastila zatrzymał się i uniósł rękę, nakazując milczenie. Potem przyłożył dłoń do ucha i wskazał na zagłębienie w rozciągających się przed nimi wydmach. Kerrick słuchał uważnie, ale słyszał jedynie szum odległego przyboju. Gdy ten osłabł na chwilę, dobiegł go wyraźnie inny dźwięk, ciche trzaski spoza wydmy. Hastila uniósł

włócznie i bezszelestnie ruszył. Kerrick czuł, jak mocno bije mu serce, gdy podążał za ogromnym łowcą, poruszając się jak tylko mógł najciszej. Trzaski były teraz głośniejsze.

Gdy doszli do stóp wydmy, poczuli słodki, mdlący zapach gnijącego mięsa. Składali tara, daleko od obozowiska, resztki sprawionej zwierzyny. Trzaskające dźwięki były już dużo głośniejsze, towarzyszyło im bzykanie niezliczonych much. Hastila dał znak Kerrickowi, by się zatrzymał, sam wdrapał się na zbocze i wyjrzał ostrożnie na drugą stronę. Cofnął się i zwrócił ku chłopcu wykrzywioną wstrętem twarz, po czym kiwnął na niego. Gdy ten znalazł się pod grzbietem wydmy, łowca ujął włócznie jak do rzucania i kazał Kerrickowi uczynić to samo. Co tam było? Jakie zwierzę podeszli? Kerricka przepęłniły na równi strach i ciekawość. Skoczył w przód.

Na głośny krzyk Hastili trzy stworzenia uniosły głowy, przez chwilę zamarły bez ruchu zaskoczone jego nagłym pojawieniem się. Ramię łowcy śmignęło w dół, wyrzucając włócznie, która trafiła najbliższe zwierzę między tylne nogi. Upadło i rzucało się, głośno skomlać. Pozostałe uciekły, sycząc ze strachu, przebierając długimi nogami, wyciągając szyje i ogony.

Kerrick nie ruszał się, stojąc nadal z uniesioną wysoko włócznie, zeszywniały ze strachu. Murgu. Jeden z nich zdychał, chwytając włócznie ostrymi pazurami nóg. Bardzo przypominał maraga, którego zranił w morzu. Otwarty pysk. Ostre zęby. Coś koszmarnego.

Hastila nie patrzył na chłopca, nie zauważył jego przerażenia. Zbyt pochłaniała go nienawiść. Murgu. Jakże były mu wstrętne. Padlinojad, ze śladami krwi na głowie i szyi, kłapał słabo zębami w jego stronę. Łowca kopnął go w bok i stanął mu na karku, wyciągając włócznie. Zwierzę było pokryte łuskami i zielonymi plamami na jasnoszarym cielsku, było duże jak człowiek, choć z głową nie większą niż pięść. Pchnięte ponownie włócznie, zadrżało i zdechło. Hastila odegnał chmarę much od twarzy, wyszedł z jamy. Kerrick opuścił włócznie i starał się powstrzymać drżenie. Hastila dostrzegł to, położył dłoń na ramieniu chłopca.

–Nie bój się ich. Przy całej swej wielkości są tchórzami, padlinojadami, plugastwem. Nienawidź ich – ale się nie bój. Pamiętaj zawsze, czym są. Gdy Ermanpadar stworzył Tanu z rzeczno mułu, stworzył także jelenie i inne zwierzęta, by Tanu mogli na nie polować. Położył je na trawie obok gór, gdzie jest czysty śnieg i świeża woda. Ale potem rozejrzał się i zobaczył pustkowia na południu. Był już jednak zmęczony, rzeka została daleko, nie wrócił więc do niej, lecz wykopał zielony szlam z bagna. Z niego uczynił murgu, tak iż po dziś dzień są zielone. Nadają się tylko do zabijania, by mogły powrócić do bagna, z którego powstały.

Mówiąc to, Hastila wbił włócznie w piasek i obracając nią usuwał resztki krwi maraga. Uspokoilo go to. Strach opuszczał Kerricka. Marag zdechł, pozostałe

uciekły. Niedługo zostawią ten brzeg i powrócą do sammadu.

–Teraz pokażę ci, jak podkradać się do zwierzyny – powiedział Hastila. – Te murgu były zajęte jedzeniem, inaczej by cię usłyszały – hałasowałeś jak drapiący się po zboczu mastodont.

–Byłem cicho – bronił się Kerrick. – Wiem, jak chodzić. Kiedyś podszedłem wiewiórkę tak blisko, że znajdowała się zaledwie na wyciągnięcie włóczni...

–Wiewiórka to najgłupsze zwierzę, a długozęby są najsprytniejsze. Sarna nie jest sprytna, ale słyszy najlepiej ze wszystkich. Teraz zostanę tu, na piasku, a ty pójdziesz dalej brzegiem do wysokiej trawy. Potem podejdziesz mnie cicho, bo mam uszy sarny.

Kerrick chętnie pobiegł zboczem przez mokrą trawę, potem padł i odczołgał się od obozowiska. Skradał się długo, potem znów zawrócił w stronę oceanu, by zająć łowcę od tyłu. Harówka nie na wiele się zdała, bo gdy w końcu dotarł na szczyt wzgórza, Hastila już tam na niego czekał.

–Musisz zawsze uważnie spojrzeć pod nogi, zanim zrobisz krok – powiedział łowca. – Ruszaj się posuwicie, a nie stąpaj. Rozchylaj trawę, a nie przedzieraj się przez nią. Spróbuj jeszcze raz.

Hastila zszedł na skraj wody, by zmyć w falach pozostałe ślady krwi maraga. Kerrick ponownie wspiął się po stoku i zatrzymał na górze by odetchnąć.

–Tym razem nie słyszałeś mnie – zawołał, potrząsając wyzywająco włócznią.

Hastila machnął ręką i opuścił włócznię. Coś ciemnego wynurzyło się za nim z przyboju. Kerrick przeraźliwym wrzaskiem ostrzegł go i Hastila odwrócił się z nastawioną włócznią. Rozległ się krótki dźwięk, przypominający trzask łamanej grubej gałęzi. Łowca wypuścił włócznię, złapał się za brzuch i upadł twarzą w wodę. Mokre łapy chwyciły go i zniknęły wśród spienionych fal.

Kerrick z krzykiem biegł do obozowiska. Amahast i Ogatyr wyskoczyli naprzeciw. Dysząc opowiadał, co się stało, i prowadził wzdłuż brzegu do miejsca, gdzie zginął Hastila.

Piasek był pusty, podobnie jak ocean. Amahast pochylił się, podniósł z wody długą włócznię łowcy, potem znów przyjrzał się morzu.

–Nie dostrzegłeś, jak to wyglądało?

–Tylko jego łapy, ręce – chłopiec szczekał zębami. – Wysunęły się z morza.

–Ich kolor?

–Nie widziałem. Mokre, chyba zielone. Czy mogły być zielone, ojczy?

–Mogły być wszystkim – odparł ponuro Amahast. – Są tu najróżniejsze murgu. Nie będziemy się już rozdzielać, zawsze któryś będzie czuwał w czasie snu pozostałych. Jak najszybciej wracamy do sammadu. W *tych* południowych wodach jest tylko śmierć.

Alaktenkčalaktčkan

olkeset esetakolesnta tsuntesnalak*

tsuntensilak satasat.

PRZYSŁOWIE YILANÉ

To, co dzieje się teraz i po teraz,

tak długo nie ma znaczenia, póki,

jutro-jutra jest takie samo,

jak wczoraj-wczoraj.

ROZDZIAŁ VI

Ucichł sztorm i minął deszcz; ziemia parowała teraz w ciepłe palącego słońca. Vaintč stała w cieniu uschłego drzewa przypatrując się, jak robotnice starannie sadzą ziarna w równych rządkach. Vanalpč osobiście zaznaczyła je na ziemi, a teraz wolno podchodziła do Vaintč, dysząc w upale szeroko otwartymi ustami.

–Czy coś zagraża wzrostowi sadzonek? – spytała Vaintč, gdy Vanalpč stanęła obok niej w cieniu. Ta, nie mogąc wydobyć słowa, zaprzeczyła gestem.

–Jedynie w czasie wzrostu cierni, a trwa to tylko jakieś osiemdziesiąt dni. Niektóre zwierzęta będą je skubały, dopóki ciernie nie zaczną wydzielać trucizny. Przeżuwaczy odstraszą gorzkim smakiem, a mniejsze zwierzęta zabiją.

–Czy to twoja nowa odmiana? – spytała Vaintč, wychodząc na słońce.

–Tak. Rozwinięto ją w Inegban*, tak iż mogłyśmy zabrać ze sobą sadzonki. Przywykłyśmy już tak do cierniowych żywopłotów wokół miejskich pól, iż zapominamy, że nie są tam od jaja czasu. Kiedyś je sadzono, kiedyś były małe, dopóki nie urosły wzwyż i wzdłuż. Teraz rosnące nad starymi nowe gałęzie tworzą barierę nie do przejścia. Ale nowy żywopłot dla nowego miasta wymaga nowej koncepcji. – Mówiła swobodniej, przestała już dyszeć. – Opracowany przeze mnie nowy żywopłot cierniowy zdąży urosnąć i go zastąpić.

–A drzewa? – spytała Vaintč, patrząc w stronę bezlistnych, uschłych drzew

sterczących smutnie wokół nowego pola.

–Już zostały zniszczone. Popatrz na konary odpadłe od tamtego dużego. Pochłonęły je bardzo żarłoczne drewnożerne chrząszcze. Po zjedzeniu drewna przejdą w stadium larwalne. Wtedy pozbieramy poczwarki chowające się w twardniejącym oprzędzie. Można je przechowywać, dopóki nie będą znów potrzebne.

Vaintč wróciła do cienia i dostrzegła, że większość robotnic uczyniła to samo. Popołudnie było gorące i przyjemne, ale nie nadeszła jeszcze pora zakończenia pracy.

–Po zasadzeniu tych ziaren odeślij robotnice do domu – poleciała Vaintč.

Enge pracowała z nimi. Vaintč poczekała, aż spojrzy na nią, wtedy skinęła, by podeszła. Enge wyraziła gestem wdzięczność, nim się odezwała.

–Kazałaś zdjąć więźniarkom okowy. Jesteśmy bardzo wdzięczne.

–Nie ma za co. Kazałam je zakuć na uruketo, aby nie mogły podjąć próby pokonania załogi i ucieczki.

–Nie rozumiesz Cór Życia, prawda? Gwałt jest sprzeczny z naszymi zasadami...

–Miło mi to słyszeć – powiedziała sucho Vaintč. – Moją zasadą jest niedawanie okazji. Teraz, gdy uruketo odpłynęło, każdy niezadowolony ze swego losu może uciekać jedynie w puszcę lub dżunglę. Ponadto twoje towarzyszki będą lepiej pracowały bez więzów.

–A więc nadal jesteście więźniarkami.

–Nie – zaprzeczyła stanowczo Vaintč – nie jesteście. Jesteście wolnymi obywatelkami Alpčasak z takimi samymi prawami i obowiązkami jak reszta mieszkanek. Wyciągnij wnioski z przeszłości. Rada Inegban* uznała was za niegodne obywatelstwa miasta i wysłała tutaj, byście zaczęły nowe życie w nowym mieście. Mam nadzieję że nie powtórzycie tu tych samych błędów, które popełniłyście tam.

–Czy to groźba, Vaintč? Czy Eistaa Alpčasaku uważa nas za gorsze od pozostałych obywateli – czy będziemy inaczej traktowane?

–To nie groźba, ale ostrzeżenie, moja efenselč. Wyciągnij wnioski z tego, co się stało. Między sobą wierzcie w co chcecie, ale zatrzymujcie to dla siebie. Nie wolno wam rozmawiać o tym z innymi. Żadna z nas nie pragnie tego słyszeć.

–Skąd możesz mieć pewność? – spytała twardo Enge. – Takaś mądra?

–Dość mądra, by wiedzieć, iż jesteście podżegaczkami – odparła oschle Vaintč. – Na tyle przewidująca, by z ostrożności obserwować was bacznie. Nie spowodujecie tu takich kłopotów jak w Inegban*. Nie będę taka cierpliwa jak tamtejsza rada.

Enge, choć dotknięta tym, co usłyszała, głos miała obojętny i pozbawiony obrazy.

–Nie sprawiamy umyślnie kłopotów. Wierzimy tylko...

–Świetnie. Dopóki będziecie wierzyły skrycie po kątach, gdzie inne nie będą was słyszeć. Nie zniosę żadnej działalności wywrotowej w moim mieście.

Vaintč czuła, iż zaczyna tracić nerwy w obliczu twardej jak skała niezłomności dziwnych wierzeń Enge. Z ulgą więc przyjęła widok śpieszącej ku niej z wiadomością fargi. Choć nie mówiła za dobrze, pamięć miała doskonałą.

–Miasto... przybyła... imieniem Stellan. Rzeczy ważne przekazuje... posłuchania prosi.

Vaintč odesłała ją gestem, potem niegrzecznie odwróciła się plecami do Enge i poszła do miasta. Stellan czekała na jej powrót, zachowaniem swym zdradzając odniesiony sukces.

–Zrobiłaś to, o co cię prosiłam? – spytała Vaintč.

–Zrobiłam, Eistao. Tropiłam zabójcze zwierzęta, póki ich nie odnalazłam. Wtedy strzeliłam, zabiłam jedno i powróciłam z ciałem. Jest tu blisko. Zostawiłam nic nie wartą Hčksei, by je pilnowała. W tym ustuzou jest coś dziwnego i niepokojącego.

–Dziwnego? Co? Musisz mi powiedzieć.

–To trzeba pokazać, byś zrozumiała.

Stellan poprowadziła w milczeniu do nadrzecznej części miasta. Czekala tam Hčksei, stojąc na straży przy mocno obwiniętym pakunku. Miała brudną, podrapaną skórę i gdy tylko Vaintč i Stellan podeszły, zaczęła żałośnie protestować. Nim wypowiedziała pierwsze słowo, łowczyni uderzyła ją w głowę, powalając na ziemię.

–Gorzej niż bezużyteczna – syknęła. – Leniwa, hałaśliwa w czasie polowania, przepojona strachem. Opóźniała mnie i o mało przez nią obie nie zginęłyśmy. Nie chcę więcej mieć z nią do czynienia.

–Ani Alpčasak – szybko osądziła Vaintč. – Opuść nas! Opuść miasto! Dołącz do ambenin!

Hčksei zaczęła protestować, lecz Stellan brutalnie kopnęła ją w usta. Hčksei uciekła,

a wrzaski towarzyszące jej agonii odbijały się od napowietrznych korzeni i liści. Vaintč natychmiast zapomniała o bezwartościowym stworzeniu i wskazała na pakunek.

–Czy to zabójcze zwierzę?

–Tak. – Stallan zerwała przykrycie i zwłoki Hastili stoczyły się na bagnistą ziemię.

Na ich widok Vaintč ogarnęło przerażenie i zdumienie. Opanowując odrazę, podeszła powoli, potem szturchnęła ciało nogą.

–Były cztery stworzenia – mówiła Stallan. – Wszystkie mniejsze od tego. Odnalazłam je i śledziłam. Wędrują nie brzegiem, lecz oceanem. Nie mają jednak łodzi, lecz siadają w wodzie na drzewo i popychają je innymi kawałkami drewna. Widziałam, jak zabijały inne fu trząś te zwierzęta, tak jak musiały zabić samców i strażniczki na plaży. Nie robią tego zębami, pazurami czy rogami, bo jak widzisz, są bezrogie, a ich zęby i pazury są małe i słabe. Zabijają czymś w rodzaju ostrego zęba przymocowanego do kija.

–Te futrzaste zwierzęta znają różne sztuczki. Mają mózgi.

–Wszystkie stworzenia mają mózgi, nawet takie prymitywne hčsotsany. – Stallan poklepała broń zwisającą jej z ramienia. – Ale traktowane odpowiednio hčsotsany nie są groźne. W przeciwieństwie do tych. Zechciej teraz, proszę, bliżej przyjrzeć się bestii. A to drugie futro, na dole, nie wyrasta z bestii, lecz ją owija. Tam jest torba, w której znalazłam to, ten obrobiony kamień z ostrą krawędzią. Widzisz, tą owijającą skórę można zdjąć, pod nią to stworzenie ma własne futro.

–To samiec! – krzyknęła Vaintč. – Samiec zwierzęcia-futra o małym, bestialskim mózgu, na tyle śmiały, by zagrozić nam, Yilané. To chcesz mi powiedzieć? Że te paskudne bestie są dla nas tak niebezpieczne?

–Tak uważam, Vaintč. Ale ty jesteś eistaą i to ty decydujesz, co jest czym. Powiedziałam tylko to, co widziałam, pokazałam ci, co znalazłam.

Vaintč długo trzymała w kciukach ostry kamień. Długo przyglądała się trupowi, zanim się odezwała.

–Sądzę, iż nawet ustuzou mogło rozwinąć w sobie niski stopień inteligencji i przebiegłości. Nasze łodzie rozumieją kilka rozkazów. Wszystkie zwierzęta mają jakieś mózgi. Można wyszkolić enteesenaty, by poszukiwały w morzu pożywienia. Któż jest w stanie stwierdzić, jak dziwne rzeczy zdarzały się od jaja czasu w tym dzikim zakątku świata, tak odległym od naszego? Dopiero zaczynamy to poznawać. Nie ma tu Yilané, które by zaprowadziły porządek. Wynika z tego możliwość, i trudno ją odrzucić, mając przed oczami dowód, że gatunek wstrętnego ssaka osiągnął

pewien poziom wypaczonej inteligencji. Wystarczającej dla poszukiwania kawałków kamienia i zabijania nimi. Tak, to możliwe. Ssaki te powinny jednak pozostawać w swojej dżungli, zabijając się i zjadając. Nierozsądnie powędrowały za daleko. Te szkodniki, samcze szkodniki, zabiły naszych samców. Widać więc jasno, co trzeba robić. Musimy je odnaleźć i wybić do nogi. Nie mamy wyboru, jeśli nasze miasto ma przetrwać na tych plażach. Zdołamy to uczynić?

–Musimy to uczynić. Ale musimy wyruszyć silną grupą, zabrać wszystkie, które się da bez szkody dla miasta. Uzbrojone w hčsotsany.

–Powiedziałaś przecież, że było ich tylko czterech? A teraz zostało przy życiu tylko trzech... Może być ich więcej? Takich samych?

–Musি być. Tych kilku z jakiegoś powodu odłączyło się od głównego stada. Teraz do niego wracają. Jestem tego pewna. Musimy wyruszyć z dużą siłą i odnaleźć wszystkich.

–I zabić wszystkich. Oczywiście. Wydam rozkazy, byśmy mogły wyruszyć natychmiast.

–Byłoby to nierozsądne, bo jest już późno, a nas będzie wiele. Jeśli wyruszymy o świcie, zabierając tylko najlepiej odkarmione i najszybsze łodzie, dognamy ich łatwo, bo poruszają się wolno. Śledząc ich, odnajdziemy pozostałych.

–I wyrzniemy, jak oni wyrznęli samców. To dobry plan. Każ zabrać to zwierzę do ambesed i położyć tam, by wszyscy je zobaczyli. Będą nam potrzebne zapasy i świeża woda, co najmniej na kilka dni, byśmy nie musiały się zatrzymywać.

Fargi rozeszły się pospiesznie po całym mieście, nakazując obywatelkom gromadzić się w ambesed, aż stało się tam tak tłoczno, jak nigdy przedtem. Tłum Yilané z gniewnym pomrukiem pchał się, by zobaczyć zwłoki. Gdy Vaintč wchodziła do ambesed, zauważyła, że Ikemend przyzywa ją gestem; stanęła do razu.

–Proszę cię, Eistao, tylko na kilka słów.

–Czy twoje obowiązki nie przysparzają ci kłopotu? – spytała Vaintč, zdjęta strachem. Powierzyła Ikemend, swej efenselč, bardzo ważną funkcję strzeżenia i chronienia samców. Po bardzo krótkim przesłuchaniu poprzednia strażniczka przyznała się, że wszystkie zabójstwa na plaży wynikły z jej zaniedbania. Zachorowała i zmarła, nim Vaintč zerwała z niej imię.

–Wszystko w porządku, ale samce usłyszały o martwym ustuzou i chcą je zobaczyć. Czy można im na to pozwolić?

–Oczywiście – nie są dziećmi. Niech pamiętają o swych obowiązkach. Ale dopiero

po opróżnieniu ambesed. Niepotrzebne nam histeryczne sceny.

Nie tylko Ikemend starała się zwrócić na siebie uwagę Vaintč. Zastąpiła jej drogę Enge i nie ruszyła się mimo polecenia usunięcia się na bok.

–Słyszałam, że zamierzasz ścigać i zabić bestie-futra.

–Słyszałaś dobrze. Ogłoszę to teraz publicznie.

–Nim to zrobisz, muszę ci coś powiedzieć. Nie mogę cię poprzeć. Ani żadna z Cór Życia. Sprzeciwia się to wszystkiemu, w co wierzymy. Nie możemy wziąć udziału w tym zabijaniu. Zwierzęta niższe są takie, jakie są, bo nie wiedzą nic o śmierci. Nie można ich za to niszczyć. Zabijamy, gdy musimy jeść. Każde inne zabijanie jest zakazane. Rozumiesz więc, że nie możemy...

–Milcz! Zrobicie, co rozkażę. Nieposłuszeństwo będzie zdradą. Enge odpowiedziała zimno.

–To, co nazywasz zdradą, dla nas jest darem życia. Nie wycofamy się z tego.

–Wycofacie się. Mogę zaraz kazać zabić was wszystkie.

–Możesz. Staniesz się wówczas morderczynią i grzesznicą zarazem.

–Nie ma we mnie grzechu – tylko gniew. Oraz odraza i pogarda dla mej efenselč, która w ten sposób zdradza swój gatunek. Nie zabiję was, bo potrzebuję waszych rąk do ciężkiej pracy. Do naszego powrotu będziecie skute razem. Ty również. Nie będziesz już specjalnie traktowana. Wyrzekam się ciebie jako efenselč. Popracujesz z nimi i z nimi umrzesz. Wyklęta i znieawidzona za zdradę. Oto twój los!

Alitha thurlastar, hannas audim

senstar,

sammad deinarmal na mer ensi edo.

POWIEDZENIE TANU

Sarna zostanie upolowana, mężczyzna

umrze,

kobiety się postarzeją – przetrwa

tylko sammad.

ROZDZIAŁ VII

Siedząc jak zwykle na dziobie łodzi, Kerrick doglądał ognia. Było to jednak zajęcie chłopców, a on chciał wiosłować wraz z innymi. Amahast pozwolił mu spróbować, był jednak na to za słaby, wielkie wiosło ważyło za dużo, by je udźwignął. Wychylony teraz do przodu, mrużył oczy w mgłę, ale nic nie było widać. Niewidoczne ptaki, skryte w oparach, krzyczały jak kwilące dzieci. Wskazówką był dobiegający z lewej strony daleki huk fal. Zwykle poczekaliby, aż mgła się uniesie. Tym razem pamięć o Hastili, wciągniętym na zawsze pod wodę, nie pozwoliła im zwlekać. Ruszyli najszybciej, jak tytko mogli; pragnęli zakończyć wreszcie tę wyprawę. Kerrick wciągnął głębiej powietrze, uniósł głowę i ponownie rozszerzył nozdrza.

–Ojczy! – krzyknął. – Dym, poczułem dym.

–To nasz dym i zapach mięsa – odparł Amahast i zaczął szybciej poruszać wiosłem. Czyżby sammad był już tak blisko?

–Nie, to nie jest stary dym. Jest świeży – niesie go wiatr z przodu. I posłuchaj fal. Czy nie szumią inaczej?

Rzeczywiście tak było. W smrodzie skór i mięsa mogliby pomylić się co do dymu. Fale jednak, to coś innego. Ich szum słabł, zostawał z tyłu. Wiele namiotów sammadu rozbitych było na brzegach wielkiej rzeki, w miejscu jej ujścia do morza. Bardzo możliwe, że fale wpadły teraz w koryto, tłumione przez nurt słodkiej wody.

–Do brzegu! – rozkazał Amahast, napierając mocno na wiosło.

Niebo nieco się rozjaśniło: mgła ustępowała. Pośród skrzeczenia mew dobiegł ich krzyk kobiety. Odpowiedzieli radośnie.

Odkąd słońce przebiło się przez mgłę, opary zaczęły wznosić się coraz szybciej. Nadal zwisały nisko nad powierzchnią wody, lecz pod nimi był brzeg z oczekującymi namiotami, płonącymi ogniskami, kupami odpadków – całą znajomą krzątaniną obozowiska. Łódź była już widoczna. Rozległ się wielki wrzask, ludzie spieszyli od namiotów na skraj wody. Wszyscy krzyczeli radośnie. Wtórowało im trąbienie pasących się na łące mastodontów. Byli w domu.

Mężczyźni i kobiety pospołu wbiegli do wody, ale powitalne okrzyki umilkły, gdy policzono obecnych na łodzi. Na wyprawę łowiecką wyruszyli w pięciu. Tylko trzech wracało. Gdy łódź zazgrzytała o piaszczyste dno, chwycono ją i wciągnięto na brzeg. Nikt się nie odzywał, tylko kobieta Hastili zaczęła nagle przeraźliwie zawodzić, gdy przekonała się, że nie ma go w łodzi. Dołączył do niej szloch kobiet Dikena i jego dzieci.

–Obaj zginęli – padły pierwsze słowa Amahasta, rozwiewające uludną nadzieję, iż może ciągną za nimi. – Diken i Hastila są wśród gwiazd. Czy wielu jest poza obozowiskiem?

–Alkos i Kassis wybrali się na ryby w górę rzeki – powiedział Aleth. – Tylko oni są dalej.

–Idź po nich – rozkazał Amahast. – Sprowadź ich natychmiast z powrotem. Zwiąż namioty, ładować zwierzęta. Wyruszamy dziś w góry.

Rozległy się krzyki i jęki protestu, nie byli przygotowani na ten nagły wymarsz. Gdy wędrowali, codziennie rano rozbijali obóz: przychodziło im to łatwo, bo rozpakowywali tylko najważniejsze rzeczy. Teraz było inaczej. Obozowisko letnie rozciągało się po obu stronach małej rzeki, z rozrzuconymi w nieładzie po namiotach koszami, futrami, wszystkim.

Ogatywr wrzasnął na nich, przekrzykując jęki zrozpaczonych kobiet:

–Róbcie, co powiedział Amahast, bo zginiecie w śniegach. Pora już późna, a droga daleka.

Amahast nie sprostował. Ten powód był równie dobry, jak każdy inny, a może i lepszy od prawdziwego, którego słuszności nie umiałyby dowieść. I tak był pewien, że go tropiono. Jako łowca wiedział, kiedy na niego polują. Przez cały ten dzień i dzień poprzedni czuł na sobie czyjś wzrok. Nic nie mówił, gdy się oglądał, morze za nim było zawsze puste. A jednak coś tam było, wiedział to. Nie mógł zapomnieć, że

Hastila został wciągnięty do oceanu i nie powrócił. Teraz Amahast pragnął, by wyruszyli jeszcze za dnia, by zapakowali sanie, zaprzęgli do nich mastodonty i oddalili się od morza i tego, co się w nim kryło. Dopiero gdy wrócą w znajome góry, poczują się bezpiecznie.

Mimo że poganiał ludzi, aż biegali spoceni, że krzyczał na kobiety i bił młodych, gdy się lenili, zwijanie obozowiska zajęło cały dzień. Nie tak łatwo opuścić letni obóz. Trzeba pozbierać i zapakować porozrzucane rzeczy, wsadzić też do koszy macki hardaltów suszące się na żerdziach. Nie starczyło na to koszy, niektórzy jęczeli i skarżyli się, gdy kazał zostawić część zdobyczy. Nie było czasu nawet na opłkanie zmarłych; zajmą się tym później. Teraz muszą wyruszać.

Słońce zapadło już za wzgórze, gdy byli gotowi. Będą musieli wędrować nocą, ale robili już tak przedtem. Niebo było jasne, z widocznym nowym półksiężycem i świecącymi wyraźnie tharmami wojowników, które poprowadzą ich w drogę. Trąbieniem i machaniem trąb wyrażały swój protest od dawna nie noszące uprzęży mastodonty, pozwoliły jednak, by chłopcy wspięli się na ich grzbiety. Przewracając oczami, patrzyły, jak przewiązywano wielki tyki. Z boku każdego zwierzęcia zwisały po jednej, wraz z poprzeczkami tworzyły ramy, na które ładowano namioty i góry rzeczy.

Kerrick siedział na karku wielkiego samca, Karu, zmęczony jak wszyscy pozostali, lecz mimo to zadowolony, że sammad wyrusza. Chciał jak najszybciej odejść od oceanu. Bał się morza i zamieszkujących je stworzeń. Z całego sammadu tylko on widział, jak z wody wynurzyły się łapy, by wciągnąć Hastilę. Ciemne łapy w oceanie, ciemne kształty w morzu.

Spojrzał na wodę i zaczął wydawać przeraźliwe, przeciągłe wrzaski, które z trudem przebiły się przez głosy innych. Oczy wszystkich skierowały się na wskazywany przez niego ocean.

Z wieczornych ciemności wynurzyły się jeszcze ciemniejsze kształty. Niskie, czarne, poruszające się – mimo braku wiosł – szybciej niż każde czołno Tanu, zbliżały się w jednej linii, prosto jak łamiąca się fala. Nie zatrzymał ich przy bój; zaszurały o brzeg. Wyszły z nich murgu, dobrze widoczne pomimo słabnącego światła.

Stojący blisko wody w czasie ich lądowania Ogatyr widział je wyraźnie. Poznał, kim są. – Takie same jak te, które zabiliśmy, tam na plaży...

Najbliższy marag uniósł długi kij i ścisnął go dwiema łapami. Rozległ się głośny trzask, ból przeszył pierś padającego Ogatyra.

Trzaskały inne kije, ponad nie wzbijały się krzyki ludzi, pełne bólu i przerażenia.

–Uciekają! – zawołała Vaintč, ponaglając atakujące. – Za nimi! Żaden nie powinien

zbiec.

Pierwsza znalazła się na brzegu, pierwsza strzeliła hčsotsanem, zabiła pierwsze ustuzou. Teraz chciała zabijać dalsze.

Nie była to walka, ale rzeź. Yilanč mordowały wszystkie żywe istoty: mężczyzn, kobiety, dzieci, zwierzęta. Same poniosły małe straty. Łowcy nie zdążyli odszukać łuków. Mieli swe włócznie, lecz zamiast nimi rzucać, co dawało szansę uśmiercenia przeciwnika, większość mężczyzn usiłowała pchać nimi wroga i padała zastrzelona, nim zdołała uderzyć.

Tanu mogli tylko uciekać, ścigani przez zabójców z morza. Przestraszone kobiety i dzieci biegały wokół Karu i mastodont uniósł wysoko głowę, trąbiąc ze strachu. Aby nie spaść, Kerrick chwycił się długiej sierści zwierzęcia, a potem zszedł na ziemię po drewnianym drągu i pobiegł po włócznie. Szarpnęła go za ramię silna ręka.

–Leć! – rozkazał mu ojciec. – Uciekaj na wzgórze!

Amahast obrócił się szybko, gdy pierwszy marag wybiegł zza cielska mastodonta, przeskakując drewniany pał. Nim zdążył użyć swej broni, Amahast przebił go włócznią, którą zaraz wyszarpnął.

Vaintč ujrzawszy upadek zamordowanej fargi, wstrząsnęła nią chęć zemsty. Ociekający krwią grot zbliżał się ku niej, ale nie uchyliła się. Uniosła hčsotsan i wycisnęła szybkie strzały, które powaliły ustuzou, nim zdołało ją dosięgnąć. Nie zauważyła małego, odczuła jego obecność dopiero, gdy ból przeszył jej nogę. Rycząc powaliła go tylnym końcem hčsotsan a.

Rana mocno krwawiła i bolała, ale nie była poważna. Gdy się o tym przekonała, gniew jej minął szybko i spojrzała na toczącą się wokół zażartą walkę.

Było już niemal po wszystkim. Przy życiu pozostało może tylko kilka ustuzou. Leżały w zwałach między koszykami, bezwładne trupy zalegały skóry i ramy. Atakujące z morza mieszały się teraz z tymi, które przypuściły natarcie z tyłu, od rzeki. Takiego manewru okrążającego używały w młodości przy łapaniu zdobyczy w morzu. Sprawdził się dobrze i na lądzie.

–Przestać natychmiast zabijać – zawołała Vaintč do będących najniżej. – Przekażcie innym. Dość już! Chcę, by kilka przeżyło. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tych futrzastych bestiach.

Wiedziała już teraz, że to tylko zwierzęta używające ostrych odłamków kamienia. Mają prymitywną organizację społeczną, narzędzia z łupanego grubo kamienia, wykorzystują również większe stworzenia, które zostały zabite podczas panicznej ucieczki. Wszystko to wskazywało, że jeśli była jedna taka grupa, to równie dobrze

mogą być i inne. Skoro tak, to musi dowiedzieć się o nich wszystkiego.

Małe, uderzone przez nią, zaczęło się poruszać u jej stóp i piszczeć. Przywołała będącą w pobliżu Stellan.

–Łowczyni, zwiąż je, by nie mogło uciec. Wrzuć do łodzi.

W pojemniku, zwisającym z noszonej przez nią uprzęży, były jeszcze strzałki. Musi wymienić zużyte w walce. Hčsotsan był dobrze nakarmiony i mógł strzelać jeszcze jakiś czas. Poklepała go palcem, aż rozwarł się otwór ładujący i wtedy wcisnęła strzałki do środka.

Pojawiły się już pierwsze gwiazdy, ostatki czerwieni zapadały za wzgórze. Potrzebny był jej płaszcz, gestem posłała fargi, by przyniosła go z łodzi. Wtulała się w jego ciepłe wnętrze, gdy przyprawdzono do niej niedobitków.

–To wszystko? – spytała.

–Naszym wojowniczkom niełatwo się było opanować – powiedziała Stellan. – Gdy już się zaczniesz zabijać te stwory, trudno przestać.

–Sama się o tym przekonałam. Dorosłe – wszystkie martwe?

–Wszystkie. To małe wyciągnęłam, gdy się chowało. – Trzymała je, potrząsając mocno za długie włosy, tak iż płakało z bólu. – Te bardzo młode znalazłam pod okryciem innego. – Podniosła kilkumiesięczną niemowlę wyciągniętą z powijaków mocno trzymany w objęciach martwej matki.

Vaintč ze wstrętem spojrzała na drobną bezwłosą istotę podsuwaną jej przez Stellan. Łowczyni przywykła do dotykania i chwytania wszelkiego rodzaju paskudztw; Vaintč mdliło na samą myśl o czymś takim. Była jednak eistaą i musiała zachowywać się tak, jak każda inna obywatelka. Wyciągnęła powoli ręce i wzięła wiercące się stworzenie. Było ciepłe, cieplejsze niż płaszcz, niemal gorące. Wstręt osłabł w niej na chwilę, gdy poczuła przyjemne grzanie. Obracane wkoło młode otwarło czerwone, bezzębne usta i jęknęło. Strumień ciepłych odchodów zalał ręce Vaintč. Chwilowa przyjemność ustąpiła fali wstrętu.

Tego było za wiele. Cisnęła stworzeniem, jak tylko mogła najmocniej, o najbliższy głaz. Ucichło wkrótce za jej plecami, gdy szybko szła do wody, by się umyć. Zawołała Stellan.

–Już wystarczy. Powiedz innym, by wracali do łodzi, gdy tylko się upewnią, że nic nie przeżyło.

–Stanie się tak, Najwyższa. Wszyscy martwi. Koniec z nimi.

„Naprawdę” – pomyślała Vaintč, zanurzając ręce w wodzie. Czy koniec? Zamiast dumy ze zwycięstwa czuła, jak pogrąża się w mrocznym przygnębieniu.

Koniec – czy dopiero początek?

ROZDZIAŁ VIII

Enge podeszła do ściany i schyliła się, by poczuć ciepło grzejnika. Choć słońce już wstało, w mieście pozostało jeszcze trochę nocnego chłodu. Wokół niej budziły się, jak zwykle, do życia różne zwierzęta i rośliny Alpčasaku, nie zwracała jednak na to uwagi. Stała na pleciance podłogi położonej na grubej warstwie zeschniętych liści. Wśród nich rozlegały się głosy dużych chrząszczy i innych usuwających odpadki owadów, a gdy nastawiała uszu, słyszała biegające myszy. Wokół zaczął się ruch, nadejście dnia budziło do życia. Wysoko w górze pierwsze promienie przebijały się przez liście wielkiego drzewa, podobnie jak i wielu innych roślin tworzących żywe miasto. Słońce wchłaniało parę wodną, na jej miejsce napływała wolno woda pompowana naczyniami drzew i pnączy; woda włączana w żyjącą sieć milionami tkwiących w ziemi włoskowatych korzeni. Obok Enge czułki odrzuconego przez nią płaszczka niezauważalnie kurczyły się, ssąc biel drzewa.

Dla Enge wszystko to było równie naturalne jak powietrze, którym oddychała, jak bogactwo przeplatających się, wzajemnie zależnych form życia otaczających ją zewsząd. Nieraz myślała o tym, wyciągała wnioski etyczne. Dzisiaj, po tym, co usłyszała, nie miała na to ochoty. Chwalenie się mordowaniem innych gatunków! Jakże pragnęła przekonać te nie czujące winy samochwały, wyjaśnić im znaczenie życia, zmusić, by zrozumiały okropieństwo popełnionych zbrodni. Życie równoważyło śmierć, jak morze równoważyło niebo. Jeśli ktoś zabija życie – to zabija siebie.

Uwagę Enge zwróciła fargi, która pociągnęła ją za związane ręce. Była zmieszana jej sytuacją, nie wiedziała, jak się do niej zwracać. Słyszała, że Enge należała do najważniejszych, ale teraz miała skrępowane nadgarstki, jak któraś z najniższych. Bez słów dotknęła Enge, by zwrócić jej uwagę. – Eistaą chce, byś przyszła – oznajmiła.

Gdy Enge weszła, Vaintč siedziała w pomieszczeniu utworzonym przez żywą korę miejskiego drzewa. Na stole obok niej leżały stworzenia-pamięci. Jedno z nich przyciskało mackę znad szczątkowych oczu do fałdy ugunkshaa, oznajmiciela-pamięci. Ugunkshaa mówił spokojnie, jednocześnie migiała jego naturalna soczewka, ukazując czarno-biały obraz Yilanč, która kiedyś przemawiała do stworzenia-pamięci. Vaintč uciszyła ugunkshaa i wskazała Enge kamienny grot włóczni.

–Podejdz – rozkazała. Gdy Enge zbliżyła się, Vaintč uniosła w dłoni kamienne ostrze. Enge nie złękła się i nie cofnęła. Vaintč ujęła ją pod ramię.

–Nie boisz się? Przekonasz się za chwilę, jak ostry jest ten odłamek kamienia. Równie ostry jak każdy z naszych struno-noży.

Przecięła więzy, uwalniając ręce Enge. Ta ostrożnie rozcierała podrażnioną skórę.

–Uwalniasz nas wszystkie? – spytała.

–Nie bądź zachłanna! Tylko ciebie, bo potrzebuję twej wiedzy.

–Nie pomogę ci w morderstwie.

–Nie musisz. Zabijanie skończone. – „Na razie” – pomyślała w duchu. Gdyby powiedziała to głośno, odsłoniłaby swe myśli. Była niezdolna do kłamstwa, samo to pojęcie było jej całkowicie obce. Nie sposób kłamać, gdy każdy ruch odsłania rzeczywiste znaczenie słów. Dla Yilanč jedynym sposobem ukrywania myśli było ich niewypowiadanie. Vaintč była mistrzynią w tej formie zatajania. Zastosowała ją teraz, bo potrzebowała pomocy Enge.

–Nadeszła pora nauki. Czy nie badałaś kiedyś stosowania języka?

–Wiesz, że tak, z Yilespei. Byłam jej pierwszą uczennicą.

–Byłaś. Pierwszą i najlepszą. Nim zgnilizna wkradła się do twego mózgu. Jeśli pamiętam, robiłaś różne głupie rzeczy, obserwowałaś, jak dzieci porozumiewają się między sobą, czasem naśladowałaś je, by zwrócić ich uwagę. Podejrzewam nawet, że podsłuchiwałaś samców. To mnie zawsze dziwiło. Dlaczego ich, te najgłupsze ze wszystkich stworzeń? Czego w ogóle można się od nich nauczyć?

–Rozmawiając ze sobą w naszej obecności, odmiennie mówią o sprawach...

–Nie o tym myślałam. Nie rozumiem, po co badać takie rzeczy? Jakże to może mieć znaczenie, jak mówią inni?

–Bardzo duże. Jesteśmy językiem, język jest nami. Pozbawione wiedzy o języku, jesteśmy nieme i równe zwierzętom. Takie myśli i badania doprowadziły mnie do wielkiej Ugunenapsy i jej nauk.

–Dużo lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś nadal prowadziła te swoje badania językowe, trzymając się z dala od kłopotów. Te z nas, które zostaną Yilanč, muszą nauczyć się mówić w czasie dorastania – to rozumiałe, bo inaczej ani ty, ani ja nie byłybyśmy tutaj. Ale czy można nauczyć mówić młode? Wydaje się to głupim, odstręczającym pomysłem. Czy to możliwe?

–Możliwe – powiedziała Enge. – Sama to robiłam. To niełatwe, większość młodych nie chce słuchać, ale możliwe. Korzystałam ze sposobów stosowanych przez łodników.

–Ale łodzie są niemal tak głupie jak płaszcze. Potrafią co najwyżej zrozumieć kilka poleceń.

–Technika jest taka sama.

–Dobrze. – Vaintč zmrużyła chytrze oczy i zaczęła starannie dobierać słowa. – Możesz więc nauczyć zwierzę rozumieć i mówić?

–Nie, mówić nie. Rozumieć tak, kilka prostych rozkazów, jeśli mózg jest dostatecznie duży. Mówienie wymaga jednak specjalnych narządów i obszarów w mózgu, jakich nie mają zwierzęta.

–Słyszałam przecież mówiące zwierzęta.

–Nie mówiące, lecz powtarzające wyuczone zbitki dźwięków. Ptaki to potrafią.

–Nie, chodzi mi o mówienie. Porozumiewanie się z innymi.

–Niemożliwe.

–Mówię o futrzastych zwierzętach. Wstrętnych ustuzou.

Enge zaczęła pojmować do czego zmierza Vaintč i powiedziała, że rozumie.– Oczywiście. Jeśli te istoty mają jakiś stopień rozumu, na co wskazywałoby używanie prymitywnych narzędzi, to czemu nie, mogą ze sobą rozmawiać. Cóż za niezwykła myśl. Słyszałaś, jak rozmawiały?

–Tak. I ty możesz, jeśli chcesz. Mamy tu dwoje. – Kiwnęła na przechodzącą fargi. – Znajdź łowczynię Stallan. Przyślij ją natychmiast do mnie.

–Jaki jest stan zwierząt? – spytała Vaintč wchodzącą Stallan.

–Kazałam je umyć, potem zbadałam ich rany. To tylko zadrapania. Kazałam też usunąć z ich głów pełne brudu futro. Większe to samica, mniejsze samiec. Piją wodę, ale nie jedli nic z tego, co im dotąd dawałam. Musisz jednak uważać, gdy się do nich zbliżysz.

–Nie mam takiego zamiaru – Vaintč zadrżała z odrazy. – To Enge się do nich zbliży.

Stallan zwróciła się do Enge.

–Musisz zawsze stać do nich przodem. Nigdy nie odwracaj się plecami do dzikiego zwierzęcia. Mniejsze gryzie, mają też pazury, dlatego dla bezpieczeństwa je związałam.

–Zrobię tak, jak powiedziałaś.

–Jeszcze jedno – dodała Stallan, wyjmując ze swej upręży i otwierając małą torbę. – Gdy czyściłam bestie, znalazłam to zawieszzone na szyi samca. – Położyła na stole

obok Vaintč mary przedmiot.

Było to jakieś ostrze wykonane z metalu, z wywierconym z jednego końca otworem i wydrapanymi na wierzchu prostymi wzorami. Vaintč postukała w nie kciukiem.

–Został starannie oczyszczony – oznajmiła Stallan. Vaintč podniosła przedmiot i obejrzała z bliska.

–Wzory nieznane, podobnie jak i metal. – Nie spodobało się jej to, co zobaczyła. – Gdzie te zwierzęta to znalazły? Jaki to wzór? A metal, skąd go dostały? Nie próbujcie mi wmawiać, że posiadły umiejętność tworzenia metali. – Wypróbowała ostrze na swej skórze. – Zupełnie tępe. Co to może znaczyć?

Nie otrzymała odpowiedzi na te niepokojące pytania – i nie spodziewała się ich. Wręczyła Enge kawałek metalu.

–Kolejna zagadka, którą musisz rozwiązać, gdy nauczysz się rozmawiać z tymi stworzeniami.

Enge zbadała przedmiot i oddała go.

–Kiedy mogę je zobaczyć? – spytała.

–Zaraz – powiedziała Vaintč i dała znak Stallan. – Zaprowadź nas do nich.

Stallan prowadziła korytarzami miasta do wysokiego, ciemnego przejścia. Prosząc gestem o zachowanie milczenia, odsunęła klapę umieszczoną w ścianie. Vaintč i Enge zajrzały do znajdującej się za nią komory. Zobaczyły, że zamykają ją ciężkie drzwi. Nie było tu innych otworów, a światło, słabe i przefiltrowane, dochodziło przez umieszczoną wysoko, ledwo przejrzystą płytę.

Na podłodze leżały dwie małe, wstrętne istoty. Drobną odmianą zastrzelonego zwierzęcia, na które Enge musiała patrzeć w ambesed. Miały nagie, podrapane w czasie usuwania futra, czaszki. Bez futra i śmierdzących kawałków skór, w które były owinięte, widać było, że pokrywa je w całości odpychająca skóra, jednobarwna i woskowana. Większa istota, samica, leżała płasko, wydając ciągle jęklive dźwięki. Samiec przykucnął obok, słychać było różnorodne chrząkania. Trwało to dość długo, aż jęki ustały. Potem samica wydawała inne dźwięki. Vaintč nakazała Stallan gestem, by zamknęła klapę i odeszła.

–To może być rodzaj mowy – powiedziała Enge, podekscytowana wbrew sobie. – Nie ruszają się podczas mówienia, co jest bardzo dziwne. Będzie to wymagało wielu badań. Cała sprawa jest czymś zupełnie nowym. Język ustuzou, same stworzenia, to coś innego, niż dotychczas badałyśmy. Ale to może być pociągające.

–Istotnie. Tak pociągające, że nakazuję ci nauczyć się ich mowy, byś mogła z nimi rozmawiać.

Enge uczyniła gest poddaństwa.

–Nie możesz nakazać mi myśleć, Eistao. Nawet twoja wielka władza nie sięga wnętrza głów innych. Zbadam mowę zwierząt, bo tak chcę.

–Nie obchodzą mnie powody – dopóki słuchasz poleceń.

–Dlaczego chcesz je zrozumieć? – spytała Enge.

Vaintč starannie dobierała słowa, aby nie odkryć swoich motywów.

–Jak i ciebie, porywa mnie myśl, że zwierzę może mówić. Nie wierzysz, bym miała zainteresowania intelektualne?

_ Wybacz podejrzenia, Vaintč. Zawsze byłaś w naszym efenburu. Prowadziłaś je, bo rozumiałaś to, czego my nie pojmowałyśmy. Kiedy mogę zacząć?

–Od razu. W tej chwili. Jak się do tego zabierzesz?

–Nie mam pojęcia, bo nigdy dotąd tego nie robiono. Pozwól mi wrócić i posłuchać dźwięków. W rym czasie ułożę plan.

Vaintč odeszła w milczeniu, zadowolona z tego, czego dokonała. Współpraca Enge była niezbędną; w razie jej odmowy musiałaby posłać wiadomość do Inegban* i długo czekać, nim znaleziono by i przysłano kogoś do zbadania mówiących bestii. Jeśli rzeczywiście mówią, a nie tylko wydają dźwięki. Vaintč potrzebowała informacji szybko, gdyż mogło być więcej stworzeń stanowiących zagrożenie. Potrzebowała informacji dla bezpieczeństwa miasta. Najpierw musi dowiedzieć się wszystkiego o tych futrzastych zwierzętach, wykryć, gdzie i jak żyją. Jak się rozmnażają. To będzie pierwszy krok

Następnym będzie ich wybicie. Do nogi. Zupelne wymazanie z powierzchni ziemi. Bo przecież – pomimo pewnej inteligencji i prymitywnych, kamiennych narzędzi – były tylko żalonymi zwierzętami. Krwiożerczymi zwierzętami, które bez litości wyrznęły samców i młode. Ta zbrodnia spowoduje ich upadek.

Skryta w mroku, głęboko zamyślona Enge obserwowała stworzenia. Gdyby choć jeden gest odsłonił jej prawdziwe motywy Vaintč, odmówiłaby oczywiście współpracy. Gdyby przestała na chwilę myśleć, być może odkryłaby jej zamiary. Nie doszło do tego, bo pochłonął ją bez reszty ten fascynujący problem językoznawczy.

Niemal pół dnia stała, obserwując w milczeniu, słuchając, usiłując zrozumieć. Nic nie

pojęła z tego, co usłyszała, ale zaczęła jej świtać pewien plan. Cicho zamknęła klapę i poszła szukać Stallan.

–Będę z tobą – powiedziała łowczyni, gdy otwierała drzwi. – Mogą być niebezpieczne.

–Byle krótko. Gdy tylko się uspokoją, muszę zostać z nimi sama. Możesz jednak czuwać za drzwiami. W razie potrzeby zawołam cię.

Dreszcz przebiegł pierś Enge, gdy weszła wraz z Stallan. Uderzył w nią nieznośny smród bestii. Przypominało to wejście do zwierzęcej nory. Zapanowała nad uczuciem wstrętu i stała nieruchomo, gdy drzwi zamykały się za wychodzącą Stallan.

Kennep at halikaro, kennep at hargoro

ensi naudin ar san eret skarpa tharm

senstar et sano lawali.

POWIEDZENIE TANU

Chłopiec może mieć bystre nogi i silne

ręce, lecz łowcą stanie się dopiero

wtedy, gdy

na grocie jego włóczni znajdzie się

tharm zwierzęcia.

ROZDZIAŁ IX

–Zabiły moją matkę, potem brata, tuż obok mnie – powiedziała Ysel. Przestała już krzyczeć i szlochać, ale łzy nadal wypełniały jej oczy i spływały po policzkach. Wytarła je wierzchem dłoni i znów zaczęła drapać ogoloną głowę.

–Zabiły wszystkich – powiedział Kerrick.

Nie zapłakał ani razu, odkąd go tu zabrano, może ze względu na dziewczynę, jęczącą i zawodzącą bez przerwy. Była od niego starsza o pięć czy nawet sześć lat, lecz mimo to wrzeszczała jak niemowlę. Kerrick ją rozumiał, wiedział, że tak było najłatwiej. Można się było tylko poddać. Ale nie wolno mu było. Łowca nie płacze, a on był na łowach. Z ojcem, Amahastem, największym łowcą. Teraz martwym, jak wszyscy inni z sammadu. Poczul dławienie w gardle, zwalczył je. Łowca nie płacze.

–Czy nas zabiją, Kerrick? Nie zabiją nas, prawda? – spytała.

–Nie.

Ysel zaczęła znów jęczeć, objęła go ramionami i przycisnęła mocno do siebie. Nie wydawało mu się to stosowne – tylko małe dzieci dotykały się nawzajem. Jednak choć wiedział, że jest to zakazane, cieszyła go bliskość jej ciała. Miała małe, twarde piersi, lubił ich dotykać. Gdy jednak zrobił to teraz, odepchnęła go od siebie i

zapłakała jeszcze głośniej. Wstał i odszedł oburzony. Głupia dziewczucha, nie lubi jej. Nigdy z nim nie rozmawiała przed przywiezieniem ich tutaj. Gdy jednak zostali tylko we dwoje, wszystko się dla niej zmieniło. Dla niego – nie. Lepiej byłoby, gdyby przebywał z nim któryś z przyjaciół. Wszyscy jednak zginęli, ból szarpnął nim na to wspomnienie. Nie przeżył nikt więcej z sammadu. Ich los będzie podobny. Ysel chyba tego nie rozumiała, nie chciała uwierzyć, że nic nie mogą zrobić, aby się uratować. Szukał starannie, wiele razy, ale w drewnianej komorze nie było niczego, co mogłoby posłużyć za broń. Nie było też jak uciec. Tykwy były za lekkie, by zranić murgu, które tu przychodziły. Wziął tykwę z wodą i łyknął trochę; burczało mu w pustym brzuchu. Był głodny – ale nie na tyle, by zjeść przyniesione im mięso. Zbierało mu się na wymioty od samego widoku. Nie było ugotowane ani surowe. Coś z nim zrobiono, że zwiślało z kości jak zimna galareta. Dotknął go palcem i wzdrygnął się. W tym momencie skrzypnęły i otwały się drzwi.

Ysel przycisnęła twarz do ściany i krzyczała z zamkniętymi oczami, nie chcąc widzieć, kto wszedł. Kerrick stał twarzą do wejścia z zaciśniętymi pięściami. Marzył o swej włóczni. Co by zrobił, gdyby tylko miał swą włócznię.

Tym razem weszły dwa murgu. Może widział je wcześniej, a może nie. Nie miało to znaczenia, wszystkie wyglądały jednakowo. Niezgrabne, z łuskami i grubymi ogonami, nakrapiane kolorowo, z tymi paskudztwami sterczącymi im za głowami. Murgu chodziły jak ludzie i chwytaly rzeczy powykręcanyimi łapami o dwóch kciukach. Kerrick cofał się wolno, aż oparł się ramionami o ścianę. Spojrzały na niego nic nie wyrażającymi oczyma. Znów pomyślał o włóczni. Jedno z murgu poruszało łapami, wydając niezrozumiałe dźwięki. Kerrick czuł na palcach twarde drewno.

–Czy już coś zjedli? – spytała Enge. Stallan zaprzeczyła gestem i wskazała na tykwę.

–To dobre mięso, strawione enzymami i gotowe do jedzenia. Używały ognia do pieczenia swego mięsa przed jedzeniem, wiedziałam więc, że nie zechcą jeść na surowo.

–Czy dałaś im jakieś owoce?

–Nie. Są mięsożerne.

–Mogą być wszystkożerne. Mało wiemy o ich zwyczajach. Przynieś trochę owoców.

–Nie mogę zostawić cię samej. Vaintč osobiście poleciła mi cię strzec. – W głosie łowczyni wyczuwało się niepewność spowodowaną sprzecznymi poleceniami.

–Jeśli będzie trzeba, obronię się przed tymi małymi stworzeniami. Czy już kogoś zaatakowały?

–Gdy tylko je tu wsadziłyśmy. Samiec jest napastliwy. Biłyśmy go, aż przestał. Od tej pory to się nie powtórzyło.

–Będę ostrożna. Wypełniłaś polecenia Vaintč. Teraz posłuchaj moich. Stallan nie miała wyboru. Wyszła z oporami. Enge czekała w milczeniu, myśląc, jak porozumieć się ze stworzeniami. Samica leżała twarzą do ściany, znów wydając piskliwe dźwięki. Mały samiec stał cicho, niewątpliwie tępy jak wszystkie samce. Pochyliła się i chwyciwszy samicę za ramię, starała się ją odwrócić. Skóra stworzenia była ciepła i nie budziła wstrętu w dotyku. Zawodzenie stało się głośniejsze – gdy nagły ból przeszył jej rękę.

Rycząc z gniewu, powaliła samca na ziemię. Zęby stworzenia przebiły jej skórę, pociekła krew. Wysunęła palce z pazurami i syknęła gniewnie. Samiec odsunął się. Enge ruszyła za nim i stanęła. Poczowała się winną.

–Jesteśmy grzeszne – gniew ją opuszczał. – Zabiliśmy resztę waszego stada. Nie można cię winić za to, co zrobiłeś. – Potarła skaleczoną rękę i spojrzała na jasną plamę krwi na dłoni. Otworzyły się drzwi i weszła Stallan, niosąc pomarańcze w obciętej tykwie.

–Samiec mnie ugryzł – powiedziała spokojnie Enge. – Czy są jadowite?

Stallan rzuciła tykwę i skoczyła ku niej. Obejrzała ramię, a potem uniosła twardą pięść, by uderzyć zasłaniającego się samca. Enge powstrzymała ją lekkim dotknięciem.

–Nie, to przeze mnie. Co z tym ugryzieniem?

–Dobrze oczyszczone niczym nie grozi. Musisz pójść ze mną, bym je opatrzyła.

–Nie, zaczekam tutaj. Nie chcę okazać lęku wobec tych stworzeń. Nic mi nie będzie.

Stallan cofnęła się niechętnie. Wyszła szybko i wkrótce wróciła z drewnianą skrzynką. Wodą z pojemnika oczyściła skaleczenie, potem zerwała osłonę z nefmakela i przyłożyła go na ranę. Wilgotna skóra Enge obudziła śpiące stworzenie. Przyłgnęło, zaczynając wydzielać płyn przeciw-bakteryjny. Stallan wyjęła ze skrzynki dwie czarne, węzlaste bryłki.

–Muszę związać ręce i nogi samca. Nie pierwszy raz atakuje. To stworzenie jest złośliwe.

Mały starał się uciec, lecz Stallan złapała go jedną ręką. Drugą chwyciła więź, okręciła nią kostki samca, potem wsadziła ogon więzi w jej pysk. Więź zaczęła odruchowo połykać swój ogon, zaciskając się wokół kończyn. Dopiero gdy samiec został dobrze skrępowany, Stallan rzuciła go na bok.

–Zostanę tu, by cię strzec – powiedziała. – Muszę. Vaintč kazała cię chronić. Raz wyszłam i zostałam zraniona. Nie mogę dopuścić, by to się powtórzyło.

Enge niechętnie wyraziła zgodę, potem spojrzała na tykwę i rozsypane na podłodze owoce.

–Obróć ją, by mnie widziała – powiedziała do Stallan. Wskazała

owoce leżącej na brzuchu samicy. – Wezmę okrągłe-słodkie-coś-do-jedzenia.

Ysel wrzeszczała ochryple, gdy zimne łapy dotknęły jej i uniosły brutalnie. Łkała gryząc palce, gdy drugi marag zbliżył się pokazując pomarańczę. Otworzył powoli pysk, odsłaniając rzędy ostrych, białych zębów. Trzymając pomarańczę, wydawał niezrozumiałe wrzaski, drapiąc pazurami podłogę. Ysel jęczała ze strachu, nieświadoma, że przegryzła palce i po brodzie cieknie jej krew.

–Owoce – powiedziała Enge. – Okrągła, słodka rzecz, dobra do jedzenia. Napelnij żołądek, ucisz go. Jedzenie wzmacnia. Zrób, co ci każe. Najpierw namawiała, potem rozkazała:

–Weźmiesz ten owoc. Zjesz go teraz!

Zobaczyła krew z rany zadanej przez stworzenie i odwróciła się ze wstrętem. Położyła na podłodze tykwę z owocami i skinęła do Stallan, by podeszła z nią do drzwi.

–Mają prymitywne narzędzia – powiedziała. – Mówiłaś, że mieli jakieś schronienie i że służyły im wielkie zwierzęta? – Stallan potaknęła.

–Muszą więc mieć pewien stopień inteligencji.

–Nie znaczy to, że umieją mówić.

–Trafna uwaga, łowczyni. Przypuśćmy jednak, iż mają język, którym mogą się porozumiewać. Nie pozwolę, by jedna porażka mnie powstrzymała – patrz, samiec się rusza! Musiał poczuć owoce. Męskie reakcje są prymitywniejsze, głód jest dotkliwszy niż nasze groźby. Patrz! – krzyknęła z triumfem. – Je owoc. Pierwszy sukces. Możemy je teraz karmić. Widzisz, niesie owoc samicy. Altruizm – to musi oznaczać inteligencję.

Stallan to nie przekonało.

–Dzikie zwierzęta też karmią swe młode. Widziałam, jak współpracowały podczas polowania. Widziałam. To nie dowód, że są inteligentne.

–Może i nie, ale nie poddam się tak szybko. Skoro łodzie mogą rozumieć proste polecenia, to dlaczego te zwierzęta nie mogłyby być podobnie zdolne?

–Będziesz więc je uczyła tak samo, jak uczone są łodzie?

–Nie. Pierwotnie tak zamierzałam, ale chcę osiągnąć wyższy stopień porozumienia. Uczenie łodzi wymaga pozytywnych i negatywnych wzmocnień. Uderzenie prądem elektrycznym karze za błąd, a jedzenie jest nagrodą za posłuszeństwo. To dobre przy tresowaniu zwierząt, tych jednak nie chcę tresować. Chcę rozmawiać, porozumiewać się z nimi.

–Mowa jest bardzo trudna. Wiele stworzeń wynurzających się z morza nie potrafi jej nigdy opanować.

–Masz rację, ale to kwestia wieku i doświadczenia. Młode mogą mieć trudności z opanowaniem dorosłego języka. Pamiętaj jednak, że przebywając w dzieciństwie w morzu, porozumiewają się na swój sposób.

–To naucz te bestie języka dziecięcego. Może zdołają go opanować. Enge uśmiechnęła się.

–Już wiele lat nie mówisz jak dziecko. Czy pamiętasz, co to znaczy?

–Uniosła rękę i zmieniła barwę dłoni z zielonej na czerwoną, potem znów na zieloną, wykonując jednocześnie gest palcami.

–Kałamarnice – dużo – uśmiechnęła się Stallan.

–Pamiętasz. Ale zauważyłaś, jak ważna jest barwa dłoni? Bez tego nic nie zrozumiałabyś. Czy te futrzaste zwierzęta zmieniają kolor dłoni?

–Chyba nie. Nigdy nie widziałam, by to robiły. Choć ich ciała bywają czerwone i białe.

–Może to stanowić ważną część ich mowy.

–Jeśli ją mają.

–Zgoda, jeśli ją mają. Muszę zwrócić uwagę, gdy znowu będą się odzywały. Ważniejsze jednak to nauczyć je, by mówiły jak Yilanč. Począwszy od najprostszych wyrażeń. Muszą nauczyć się kompletności porozumiewania.

Stallan pokręciła głową.

–Nie wiem, co to znaczy.

–Pokażę ci, byś lepiej pojęła. Słuchaj uważnie, co powiem. Gotowa?

–Jest mi ciepło. Zrozumiałaś?

–Tak.

–Dobrze. „Jest mi ciepło” – to stwierdzenie. Kompletność wynika z połączenia wyrażeń stwierdzenia. Powiem to teraz jeszcze wolniej: Jest... mi... ciepło... Poruszam w ten sposób kciukiem, jednocześnie lekko spoglądam w górę, mówiąc „ciepło” unoszę trochę ogon. Wszystko to, wypowiedane głośno dźwięki i właściwe ruchy, połączone razem tworzy kompletne wyrażenie.

–Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – od myślenia nad tym boli mnie głowa.

Enge roześmiała się, okazała, iż docenia żart.

–Równie źle czułabym się w dżungli, wśród drzew, jak ty w dżungli języka. Bardzo niewiele go badało, może dlatego, iż jest taki złożony i trudny. Sądzę, że pierwszym krokiem do zrozumienia go jest spostrzeżenie, iż nasz język stanowi element filogenezy.

–Teraz dopiero rozboleła mnie głowa. Myślisz, że te zwierzęta cię rozumieją, skoro nawet ja nie mam pojęcia, o czym mówisz? – Stellan wskazała stworzenia, które znieruchomiały teraz pod ścianą, a wokół nich wałała się pusta tykwa po owocach i kawałki skórek pomarańczy.

–Nie będę próbowała niczego tak skomplikowanego. Chciałam tylko powiedzieć, że dzieje naszego języka odzwierciedlają nasz rozwój. Gdy jako bardzo młode po raz pierwszy wchodzimy do morza, jeszcze nie mówimy, ale szukamy obrony i pociechy u innych z naszego efenburu, wraz z nami wchodzących do wody. Gdy nabieramy rozumu, widzimy, jak starsze rozmawiają ze sobą. Proste ruchy ręki lub nogi, zmiany barwy dłoni. Rosnąc uczymy się coraz więcej, a po wyjściu z morza dodajemy dźwięki do tego, czego się nauczyłyśmy dotąd. I tak stajemy się Yilanč z pełną możliwością porozumiewania się między nami. Powróćmy jednak do naszego problemu. Jak mogę nauczyć naszego języka stworzenia, które nie mają takiego cyklu życia? A może mają? Czy po urodzeniu przechodzą fazę wodną?

–Moja wiedza w tej dziedzinie nie jest pełna, musisz też pamiętać, że ten gatunek ustuzou jest dla nas nowy. Wątpię jednak, by żyły kiedykolwiek w wodzie. Łapałam i hodowałam niektóre z występujących w dżungli małych gatunków. Wszystkie chyba mają pewne rzeczy wspólne. Są na przykład bardzo ciepłe.

–Zauważyłam. Wydaje mi się to zastanawiające.

–Inne rzeczy są równie dziwne. Spójrz na tego samca. Jak widzisz, ma tylko jeden

penis, którego nie może przyzwoicie wciągać. Żaden z gatunków ustuzou, jakie złapałam, nie ma normalnego podwójnego penisa. Badałam też ich zwyczaje rozrodcze, są odrażające.

–O co chodzi?

–O to, że po zapłodnieniu jaja samice noszą młode. A gdy się urodzą, nadal trzymają je blisko siebie i karmią z miękkich narządów rosnących na ich klatkach piersiowych. Możesz je tu zobaczyć u młodej samicy.

–Jakie to niezwykle. Uważasz więc, że młode pozostają na lądzie? Że nie idą, jak należy, do morza?

–Zgadza się. To wspólna cecha wszystkich obserwowanych przeze mnie gatunków ustuzou. Ich cykle życiowe wydają się różnić od naszych pod każdym względem.

–Czy doceniasz doniosłość swych obserwacji? Jeśli mają swój język, to na pewno nie uczą się go tak samo, jak my uczymy się naszego. Stellan zgodziła się z nią.

–Czy nie prowadzi to do najważniejszego pytania? Jeśli mają język, to jak się uczą nim mówić?

–To rzeczywiście najważniejsze pytanie i muszę spróbować znaleźć na nie odpowiedź. Mogę ci jednak z całą szczerością powiedzieć, że w tej chwili nie mam najmniejszego pojęcia.

Enge spojrzała na dzikie stworzenia. Ich pyski lepiły się od soku zjedzonych owoców; bezmyślnie patrzyły na nią. Jak może znaleźć sposób porozumienia się z nimi?

–Zostaw mnie teraz, Stellan. Samiec jest mocno spętany, samica nie wykazuje najmniejszych oznak gwałtowności. Jeśli zostanę sama, będą patrzeć tylko na mnie, nie rozpraszać swej uwagi.

Stellan niechętnie wyraziła zgodę.

–Będzie, jak prosisz. Teraz rzeczywiście nie ma wielkiego niebezpieczeństwa. Będę jednak tuż za drzwiami, które zostawię lekko uchylone i nie zaryglowane. Musisz mnie zawołać, jeśli w jakiś sposób ci zagrażą.

–Zawołam. Obiecuję. Teraz muszę zacząć pracę.

ROZDZIAŁ X

Zakładanie nowego miasta wymagało ogromnej pracy. Wiele dodatkowego trudu pochłaniało naprawianie błędów popełnionych przez poprzednią eistaę, słusznie zmarłą Deeste. Wszystko to wypełniało Vaintč dni od brzasku do zmroku. Zapadając w sen, zazdrościła czasem nocnym łodziom i innym pracującym przez całą dobę stworzeniom. Gdyby mogła czuć każdego dnia choćby odrobinę dłużej, ileż więcej by dokonała. Był to pomysł, który zajmował jej umysł przez wiele dni tuż przed zaśnięciem. Myśli te nie zakłócały jej snu, bo zakłócenie snu było dla Yilanč czymś fizycznie niemożliwym. Gdy tylko zamykała oczy, zapadała w sen, nieruchomiała w nim tak, że obcy przekonany byłby o jej śmierci. Mimo to spała tak lekko, iż łatwo budziło ją cokolwiek. Nieraz w nocy krzyki zwierząt wybijały ją ze snu. Otwierała oczy i nasłuchiwała chwilę. Jeśli nie słyhać było nic więcej, zamykała oczy, zapadając ponownie w sen.

Dopiero szare światło świtu budziło ją zupełnie. Tego ranka – tak jak każdego – wyszła z ciepłego łóżka na podłogę. Trącone palcem nogi łóżko zadrżało, podeszła do przypominającej tykwę, wypełnionej wodą narośli na jednym z niezliczonych pni żywego miasta. Ssała słodkawą wodę, póki nie napiła się do syta. Łóżko powolnymi ruchami zwijało się w leżący wzdłuż ściany długi pakunek. Jego ciało stygło i zapadało w stan śpiączki oczekując, kiedy znów będzie potrzebne.

W nocy padało i wilgoć drewnianej podłogi nieprzyjemnie ziębiła stopy Vaintč, gdy tylko wyszła spod dachu. Zmierzała do ambesed, coraz więcej fargi przyłączało się do niej.

Każdego ranka, przed rozpoczęciem pracy, kierujące realizacją projektów, podobnie jak wszystkie inne obywatelki miasta, przechodziły przez ambesed. Zatrzymywały się tu na chwilę i rozmawiały. Ta wielka, otwarta przestrzeń w środku miasta tworzyła centrum, w którym skupiała się cała jego różnorodna działalność. Vaintč doszła do swego ulubionego miejsca po wschodniej stronie, które najpierw oświetlało wstające słońce. Zatopiona w myślach, nie dostrzegała usuwających się jej z drogi obywaterek. Była eistaą, chodzącą zawsze najkrótszą drogą. Kora drzewa nagrzała się już, z przyjemnością przywarła do niej, mrużąc oczy, gdy padało na nie światło wschodzącego słońca. Z radością patrzyła na budzący się do życia Alpčasak. Była dumna, że właśnie ona tworzy to miasto. Ma je wyhodować, wznieść na tym dzikim, obcym wybrzeżu. Wzniesie je dobrze. Gdy zimne wichry zawieją nad dalekim Inegban*, nowe miasto będzie już stało. Wtedy jej lud przybędzie, by tu zamieszkać i czcić ją za wszystko, czego dokonała. Gdy o tym myślała, gdzieś na dnie drażyła ją niepokojąca myśl, iż wtedy nie będzie już tu eistaą. Z innymi przybędzie tu Malsas«, eistaą Inegban*, przeznaczona do kierowania i tym nowym miastem. Może. Vaintč kryła się z tą myślą i nigdy nie wypowiadała głośno jej imienia. Może. Tyle rzeczy może się zdarzyć. Malsas«nie jest już młoda, spotykała się z oporem z dołu; czas

wszystko zmienia. Gdy nadejdzie ten decydujący moment, Vaintč sobie poradzi. Na razie ma dość pracy przy wznoszeniu nowego miasta – i musi ją wykonać dobrze. Etdeerg podeszła wezwana gestem Vaintč.

–Czy stwierdziłyście, co zabija zwierzęta pokarmowe? – spytała.

–Stwierdziłyśmy, Eistao. Wielkie, czarne ustuzou z groźnymi pazurami i długimi, ostrymi zębami – tak długimi, że wystają z pyska nawet wtedy, gdy zwierzę go zamknie. Stallan zastawiła sidła w pobliżu wydartego przez nie w płocie otworu. Rano znalazłyśmy je tam martwe. Sidła złapały zwierzę za nogi, tak że nie mogło uciec, a pętla otoczyła jego szyję i zadusiła.

–Odetnijcie głowę i przynieście mi oczyszczoną czaszkę. Odsyłając Etdeerg, Vaintč skinęła na Vanalpč. Zostawiając grupę, w której rozmawiała, znawczyni biologii podeszła.

–Zamelduj mi o nowej plaży – nakazała Vaintč.

–Prawie ukończona, eistao. Teren oczyszczony, cierniowa bariera jest wysoka, rafa koralowa rośnie dobrze – zważywszy na tak krótki czas.

–Cudownie. Możemy więc zająć się nowymi narodzinami. Narodzinami, które zetrą w pamięci mord na starej plaży.

Vanalpč skinęła głową, nie mogła jednak powstrzymać się od wyrażenia wątpliwości.

–Plaża jest gotowa, lecz mimo to niebezpieczna.

–Ciągle ten sam problem?

–W końcu zostanie rozwiązany. Współpracuję ze Stallan i doszliśmy do wniosku, że zbliżamy się do rozwiązania. Bestie będą zniszczone.

–Muszą być zniszczone. Samce będą bezpieczne. To, co się stało, nigdy się nie powtórzy.

Ponury nastrój mijał, gdy Vaintč, rozmawiając z innymi mieszkankami zagłębiała się w niezliczone problemy nowego miasta. Cały czas myślała jednak o łowczyni Stallan. Gdy Stallan nie pojawiła się, skinęła na fargi i kazała jej odnaleźć łowczynię. Zbliżało się już południe, gdy ta odnalazła Vaintč spoczywającą w cieniu listowia.

–Przynoszę dobre wiadomości, Eistao. Plaża wkrótce będzie bezpieczna.

–Jeśli to prawda, skończy się hańba miasta.

–Koniec też z aligatorami. Znalazłam miejsce ich rozmnażania. Kazałam fargi przynieść tu wszystkie jaja, złapać wszystkie młode. Są bardzo smaczne.

–Jadłam je, to prawda. Będiesz je więc hodowała wraz z innymi stadami mięsnymi?

–Nie, są na to zbyt groźne. Buduje się dla nich specjalne zagrody w pobliżu rzeki.

–Bardzo dobrze. A co zrobimy z dorosłymi?

–Za duże, by złapać w sidła – zabijemy. To strata dobrego mięsa, ale nie mamy innego wyjścia. Z pomocą nocnych łodzi podejźmy je, nim ożywią się rano i zabijemy na miejscu.

–Pokaż mi, gdzie się rozmnażają. Chcę sama to zobaczyć.

Vaintč była już dostatecznie długo w ambesed. Coraz większy upał powodował, że wszystkie jej rozmówczynie drętwiały i drzemały w cieniu. Sama nie chciała odpoczywać; miała za dużo roboty.

Grupa fargi szła w ślad za nimi, gdy powoli zbliżały się do brzegu. Nawet pod drzewami było gorąco, kilka razy zanurzyły się w sadzawkach wykopanych dla ochłody wzdłuż ścieżki. Większość mijanego bagniska nie została jeszcze oczyszczona. Pokrywała je gęstwa krzewów i cuchnących roślin, w których rojno było od małych, tnących owadów. Wreszcie dotarły do piaszczystego brzegu otoczonego gęstymi zaroślami. Rosła tam wysoka trawa, małe palmy i dziwne, płaskie rośliny, uzbrojone w niezmiernie długie igły. Łąd Gendasi* różnił się bardzo od znanego im świata. Wypełniało go wiele nowych, nie widzianych dotąd rzeczy, których należało się strzec.

Przed nimi była rzeka o powolnym, głębokim nurcie. Leżące w niej łodzie były właśnie karmione przez doglądające je fargi. Krew spływała z drobnych ust, w które fargi wpychały kęsy czerwonego mięsa.

–Aligatorów – wyjaśniła Stellan. – To lepsze, niżby się miało marnować. Łodzie są tak dobrze karmione, że chyba gotowe do rozrodu.

–To trochę je wygłodźcie. Potrzebne są wszystkie w stanie gotowości.

Wzdłuż brzegów rzeki rosło mnóstwo drzew, gęsto i bujnie. Były wśród nich szare, o grubych pniach, a tuż obok wysokie, zielone, o drobnych igłach, jak również jeszcze wyższe, czerwone, z korzeniami rozchodzącymi się łukowato we wszystkie strony. Ziemię między drzewami zaścielały purpurowe i różowe kwiaty; jeszcze więcej kwiatów wyrastało z gałęzi. Wielkie, różnobarwne kielichy. Dżungla tętniła życiem. W jej głębinach darły się ptaki, a po pniach pełzały pokryte czerwonymi pasami ślimaki.

–To bogata ziemia – powiedziała Vaintč.

–Entoban* musiał kiedyś też być taki – powiedziała Stallan, szeroko rozwartymi nozdrzami wciągając powietrze. – Zanim miasta się rozrosły, zajmując cały ląd od oceanu do oceanu.

–Myślisz, że naprawdę tak wyglądał? – Vaintč z trudem dopuszczała do siebie tę nową myśl. – Trudno to pojąć. Zawsze uważało się, iż miasta były tam od jaja czasu.

–Nieraz rozmawiałam o tym z Vanalpč. Wyjaśniała mi, że to, co widzimy na tym nowym lądzie, Gendasi*, mogłybyśmy równie dobrze bardzo dawno temu ujrzeć w Entoban*. Zanim Yilanč wyhodowały miasta.

–Masz rację. Skoro my wznosimy tu nasze miasta, to musiał być czas, kiedy istniało tylko jedno miasto. Budzi to niepokojącą myśl, że kiedyś miast nie było wcale. Czy to możliwe?

–Nie wiem. Musisz porozmawiać o tym z Vanalpč. Jest mistrzynią w takich powodujących ból głowy rozważaniach.

–Masz rację. Zapytam ją. – Uprzytomniła sobie, że fargi zbyt szybko do nich zbliżyły, starając się, z otwartymi ustami, zrozumieć rozmowę. Gestem zniecierpliwienia Vaintč odesłała je do tyłu.

Zbliżały się do terenów rozrodczych aligatorów. Brzegi oczyszczono już z wielkich stworzeń. Niedobitki były czujne, zanurzały się pod wodę i znikaly z oczu, zanim łódź podpłynęła. Jako ostatnie uciekły samice. Te prymitywne i nierozumne zwierzęta opiekowały się swymi jajami i młodymi. Łodzie skierowano do brzegu, na którym pracowała w słońcu brygada fargi. Wylądowały obok nich i Vaintč zwróciła się do nadzorczyń, Zhekakot, obserwującej fargi spod dużego drzewa.

–Opowiedz mi o waszej pracy.

–Robimy wielkie postępy, eistao. Wysłano do miasta dwie łodzie jaj. Łapiemy wszystkie młode. Są bardzo głupie i łatwo je schwytać.

Nachyliła się nad pobliską zagrodą, szybko wyciągnęła rękę i wyprostowała się, z dala od siebie trzymając za ogon małego aligatora. Skręcał się sycząc, próbując ugryźć drobnymi ząbkami.

Vaintč skinęła głową.

–Dobrze, bardzo dobrze. Usunie to zagrożenie i napelni nasze żołądki. Chciałabym, aby wszystkie nasze kłopoty znalazły takie rozwiązanie.

Zwróciła się do Stalla.

–Czy są też inne tereny rozrodcze?

–Nie ma żadnych. Stąd aż do miasta. Gdy oczyścimy ten, ruszymy w górę rzeki i na moczary. Potrwa to długo, ale musi być zrobione.

–Dobrze. Nim wrócimy do miasta, przyjrzyjmy się jeszcze nowym terenom.

–Muszę wracać do innych łowczyń, Eistao. Zhekakot pokaże ci drogę, jeśli pozwolisz.

–Zgoda – odpowiedziała Vaintč.

Powietrze stało się duszne i gorące, wiatr ucichł niemal całkowicie. Łodzie wpełzły do wody, a Vaintč zauważyła, że niebo przybrało dziwny, żółty odcień, jakiego nigdy dotąd nie widziała. Nawet pogoda była inna w tej części świata. Gdy płynęły z prądem, wiatr począł się wzmacniać, ale zmienił kierunek i dał im teraz w plecy. Vaintč odwróciła się i ujrzała na horyzoncie ciemną kreskę. Wskazała na nią.

–Zhekakot, co to może znaczyć?

–Nie wiem. Jakieś chmury. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Czarne chmury zbliżały się z niewiarygodną szybkością. Przed chwilą były tylko plamką nad drzewami, teraz wznosiły się, przesłaniając niebo. Wraz z nimi nadszedł wiatr. Uderzył nagle, jak pięścią w łodzie, zakołysał nimi i jedną przewrócił.

Krzyki urwały się, gdy wszystkie pasażerki wpadły do lekko wzburzonej wody. Łódź zanurkowała, plusnęła i zdołała się wyprostować, podczas gdy Yilanč rozproszyły się na wszystkie strony, chcąc uniknąć zderzenia z łodzią. Żadna nie ucierpiała, z wielkim trudem zostały wyciągnięte ze wzburzonej wody i umieszczone na innych łodziach. Dawno temu wyszły z oceanów swej młodości i słabo pływały. Vaintč wykrzykiwała rozkazy, aż jedna z odważniejszych fargi, pragnąca zdobyć wyższą pozycję nawet za cenę grożącego jej zranienia, podpłynęła do nadal szalejącej łodzi i zdołała się na nią wdrapać. Krzyknęła na nią ostro, kopnęła w czułe miejsce i w końcu zdołała ją opanować.

Wicher wiał wściekle, grożąc zatopieniem innych łodzi. Wszystkie Yilanč opuściły już błony na oczy i zacisnęły silnie klapki nozdrzy, chroniąc je przed zacinającym deszczem. Pomimo ogłuszającego wiatru z puszczy dobiegł przeraźliwy trzask łamiącego się gigantycznego drzewa, które pociągnęło za sobą mniejsze.

Głos Vaintč nie mógł przebić się przez wiatr, ale rozumiały jej rozkazy nakazujące trzymać łodzie z dala od brzegów, by nie spadły na nie łamiące się drzewa.

Łodzie skakały dziko na rozszalałych falach; Yilanč kuliły się blisko siebie, starając zachować ciepło w zimnym, ulewnym deszczu. Wiatr znów stał się porywisty, potem lekko osłabł. Najgorsze już chyba minęło.

–Z powrotem do miasta! – rozkazała Vaintč. – Jak najszybciej.

Niewiarygodny wicher wyrył szlak przez dżunglę, obalając nawet największe drzewa. Jak wielkie są zniszczenia? Czy wiatr uderzył w miasto? Leżało na jego drodze, a tworzące je drzewa są jeszcze młode, ciągle rosną. Czy są dobrze ukorzenione? Do jakich szkód mogło dojść! Z przerażającą wizją zniszczeń przed oczyma Vaintč kopniakami poganiała łódź, by płynęła jeszcze szybciej.

Trzymając związane zwierzę za kark, Stallan zwolniła pęta krępujące nogi, potem wrzuciła je do klatki. Iak ją to pochłonęło, że dopiero gdy się wyprostowała, zauważyła zmianę pogody. Z rozwartymi klapkami nozdrzy wąchała powietrze. Było w nim coś znajomego – i złego. Łowczyni znalazła się w pierwszej grupie badawczej, jaka przebyła ocean w drodze do Gendasi*, poszukując miejsca pod nowe miasto. Gdy wybrały brzegi Alpčasaku, pozostała tu z nielicznymi, a uruketo odpłynęło do Inegban*. Były uzbrojone, silne i świadome niebezpieczeństw kryjących się w niezbadanej dżungli. Ale omal nie zniszczyło ich nieznane niebezpieczeństwo, pozbawiając zapasów żywności, zmuszając do wyboru między głodem lub polowaniem. Była to burza o tak porywistym wietrze i deszczu, jakiego nigdy przedtem nie zaznały.

A zaczęła się tak samo, od żółtego nieba, nieruchomego, gęstego powietrza. Stallan zamknęła klatkę ze zwierzęciem i krzyknęła najgłośniej, jak tylko mogła: – Alarm!

Wszystkie będące w pobliżu fargi odwróciły się, bo było to jedno z pierwszych słów, jakie poznawały.

–Ty do ambesed, reszta rozproszyć się. Ostrzec wszystkie! Zbliża się burza z porywistym wiatrem. Na plaże, otwarte pola, do wody – z dala od drzew!

Pobiegły, niektóre szybciej niż Stallan. Gdy uderzyły pierwsze porywy wichru, setki Yilanč wybiegły na otwarte miejsca. Potem burza uderzyła całą swą mocą i spadające ściany deszczu przesłoniły widok miasta.

Stallan znalazła grupę fargi przytulonych razem na brzegu rzeki i wcisnęła się między nie, chroniąc przed zimnym deszczem. Stały tak, gdy uderzył w nie wiatr. Niektóre młodsze syczały ze strachu, ale ucichły po ostrych słowach Stallan. Zmusiła je do pozostania razem i przeczekania szalejącej wokół burzy. Gdy było po wszystkim, kazała im wracać do miasta.

Kiedy zmęczona łódź Vaintč dobiła do zaścielonego śmieciami brzegu, Stallan już czekała. Z daleka, zanim można ją było usłyszeć, gestami okazywała, że wszystko

jest w dobrym stanie. Nie doskonałym, ale dobrym.

–Powiedz o stratach – zawołała Vaintč, wyskakując na brzeg.

–Dwie fargi zginęły, a...

Vaintč przerwała jej gniewnym ruchem.

–O mieście najpierw, nie o obywatelkach.

–Nie doniesiono na razie o niczym poważnym. Sporo mniejszych zniszczeń, złamanych konarów, niektóre części miasta zwało na ziemię.

Wysłano fargi na inspekcję nowych pól i hodowli, ale żadna jeszcze nie wróciła.

–To dużo lepiej, niż się spodziewałam. Przesłać raporty do ambased!

Idąc przez miasto, widziała zniszczenia. W wielu miejscach zerwało żywe powały, a chodniki były zasłane szerokimi liśćmi. Z mijanej zagrody dochodziły jęki i Stallan ujrzała sarnę ze złamaną, w panicznej ucieczce przed burzą, nogą. Uciszyła ją jedną strzałką z noszonego zawsze przy sobie hčsotsanu.

–Jest źle, ale nie tak źle, jak mogłoby być – powiedziała Vaintč. – To mocne miasto i dobrze rośnie. Czy wichur może znów uderzyć?

–Chyba nie – w każdym razie już nie w tym roku. Zdarzają się wiatry i deszcze, ale wichury bywają tylko o tej porze roku.

–Potrzebny nam tylko rok. Zniszczenia zostaną naprawione, a Vanalpč dopilnuje, by wzmocniono wszystko, co rośnie. Ten nowy świat jest okrutny i twardy – ale i my potrafimy być równie okrutne i twarde.

–Będzie jak mówisz, Eistao – powiedziała Stallan. Przepelniło ją przekonanie, iż Vaintč wie dokładnie, co mówi, i że dokona tego, co zamierza. Za każdą cenę.

ROZDZIAŁ XI

Alpčasak rósł, lecząc jednocześnie swe rany. Całe dni Vanalpč przedzierała się przez miasto, dokładnie opisując szkody poczynione przez burzę. Zastrzyki hormonalne przyspieszały teraz wzrost, aż liście powały od nowa pozachodziły na siebie w splątanych wzorach. Dodatkowe pnie i korzenie drzew wzmacniały ściany. Ale prosta odbudowa nie zadowalała Vanalpč. Grube pnącza, mocne i elastyczne, wiły się teraz przez ściany i powałę.

Miasto nie tylko się umocniło, ale też stawało się z każdym dniem bezpieczniejsze, w miarę jak oczyszczone pola wgryzały się w otaczającą je dżunglę. Rozwój ten choć na pozór przypadkowy, był jednak zamierzony i starannie zaprojektowany. Najbardziej niebezpieczną pracę, umieszczanie poczwerek w dzikiej dżungli, wykonywały Córy Śmierci. Choć przed większością dzikich stworzeń broniły je uzbrojone fargi, nie chroniło to przed skaleczeniami, wypadkami i ranami od cierni ani przed ukąszeniami kryjących się węży. Wiele ucierpiało, niektóre poważnie, kilka zmarło. Tak jak Vaintč, inne nie przejmowały się ich losem. Najważniejsze było miasto.

Po rozsianiu poczwerek śmierć dżungli była przesądzona. Żarłoczne gąsienice zostały wyhodowane w tym celu. Dla ptaków i zwierząt miały gorzki, odpychający smak. Im samym odpowiadała każda tkanka roślinna, ślepe i nienasycone pełzały po pniach, wśród trawy, niszcząc wszystko na swej drodze. Po ich przejściu na ich drodze pozostawały tylko szkielety drzew, a ziemię zaścielały odchody. Jadły, dopóki wstrętne, pokryte szczeciną nie osiągnęły długości ręki Yilanč.

A potem zdychały, bo śmierć była zapisana w ich genach, umieszczona tam celowo, aby nie pochłonęły świata. Zdychały i rozkładały się na warstwie swych odchodów. To było też zaplanowane przez Vanalpč i podległych jej inżynierów genowych. Nicienie przetwarzały ohydłą masę w żyzną ziemię, wspomagane przez żyjące w ich wnętrzościach bakterie. Zanim jeszcze chrząszcze pochłonęły uschłe drzewa, wysiewano trawę i sadzono cierniste zapory. Każde nowe pole wyjedzone z dżungli oddalało ją coraz bardziej od miasta, tworząc kolejną zaporę przed ukrytymi niebezpieczeństwami.

W tym powolnym postępie nie było jednak nic niezwykłego. Yilanč tworzyły jedność ze swym otoczeniem, były częścią środowiska, nieodwołalnie z nim powiązaną. Inny sposób życia był dla nich niewyobrażalny. Pola nie miały regularnej linii. Ich kształt i wielkość zależały od odporności listowia i żarłoczności gąsienic. Cierniowe krzewy tworzyły zaporę ochronną o różnej grubości, podczas gdy wiele skrawków pierwotnej dżungli pozostawało na miejscu, urozmaicając krajobraz.

Zróznicowane też były pasące się stada. Przybywające z Inegban* uruketo

przywoziło za każdym razem zapłodnione jaja lub nowo narodzone młode. Najbardziej bezbronne gatunki trzymano na polach bliskich środka miasta, na nowych dorastały uruktuby i onetsensasty. Owe uzbrojone – lecz łagodne – wszystkożerne pasły się teraz beztrosko i bezpiecznie na skraju dżungli. Były już dwa razy większe od mamutów i ciągle rosły. Wielkie rogi i chronione pancerzami boki chroniły je przed wszelkimi niebezpieczeństwami.

Vaintč była zadowolona z osiągnięć. Wchodząc codziennie do ambesed, była przekonana, iż nie natrafi na żadne problemy, którym by nie sprostała. Tego jednak ranka miała niewyraźne przeczucie, że stało się coś złego. Zbliżała się do niej pośpiesznie fargi odpychając brutalnie inne, co wskazywało na wagę przynoszonych przez nią wieści.

–Eistao, uruketo wróciło. Byłam na łodzi rybackiej, sama je widziałam...

Szorstkim gestem Vaintč uciszyła grupę mieszkanek, potem kiwnęła na kilka wybranych.

–Spotkamy się na nabrzeżu. Ciekawa jestem wiadomości z Inegban*.

Schodziła ścieżką w powadze i milczeniu, otoczona przyjaciółkami i pomocnicami, z tyłu ciągnęła się czereda fargi. Choć w Alpčasaku nigdy nie było zimno, o tej wilgotnej porze roku często padało i jak wiele innych szła w płaszczu, który zarówno grzał, jak i chronił przed mżącym kapuśniaczkim.

Zakończone pazurami płaskie łapy eisekola pogłębiły rzekę i przyległy port. Ładunek uruketo musiał już być przeładowywany na łodzie, bo ogromne zwierzę mogło teraz dopłynąć do brzegu. Właśnie wynurzało się z zalewanego deszczem oceanu, gdy Vaintč przybyła ze swym orszakiem nad basen. Kierująca portem nadzorowała fargi układające na podwodnej półce świeże ryby dla nakarmienia uruketo. Tępawe stworzenie przyjęło ten dar, ustawiając się w pozycji umożliwiającej zacumowanie go w basenie. Vaintč z zadowoleniem obserwowała przebieg tej operacji. Dobre miasto było sprawnym miastem. Przeniosła wzrok z ogromnego, czarnego cielska na płetwę, z której Erafnaiś kierowała przybijaniem.

Obok dowódczym stała Malsas<.

Vaintč zeszywniała na jej widok, bo zupełnie zapomniała o istnieniu innej eistai. Teraz pamięć powracała, przejmując bólem dotkliwszym niż ciosy noża.

Malsas<, eistaa Inegban*. Dla niej wzniesiono to miasto. Miała tu przyprowadzić swój lud po jego ukończeniu i rządzić zamiast Vaintč. Malsas<, wyprostowana i czujna, z pożądaniami władzy w oczach. Nie była chora ani stara. Będzie eistaa Alpčasaku.

Vaintč nie ruszała się nadal, by nie zdradzić swych myśli, gdy Malsas z towarzyszkami i pomocnicami wynurzyła się z uruketo i podeszła do niej. Vaintč miała nadzieję, że powitanie zdoła zamaskować jej prawdziwe uczucia.

–Witaj w Gendasi*, Eistao, witaj w Alpčasaku – powiedziała Vaintč, zabarwiając słowa radością i wdzięcznością z powodu przyjazdu.

–Cieszę się, że jestem w Alpčasaku – odpowiedziała Malsas zgodnie z zasadami dobrego wychowania. Ostatnia sylaba słowa „cieszę się” wymagała otwarcia ust z odsłonięciem zębów i Malsas przedłużyła ten gest Wskazywało to dyskretnie na niezadowolenie, dostatecznie zauważalne przez Vaintč, by nie trzeba było tego powtarzać. Osiągnięcia Vaintč zasługiwały na uznanie, lecz można ją było szybko zastąpić. Vaintč przestała myśleć o zazdrości i zdradzie, na chwilę spuściła wzrok, przyjmując ostrzeżenie.

Ta szybka wymiana sygnałów była tak niezauważalna, że uszła uwagi pozostałych Yilanč. Konflikty na tym szczeblu nie powinny ich obchodzić. Malsas odesłała gestem pomocnice i fargi, zanim w drodze do miasta podjęła rozmowę, której nie można było podsłuchać.

–Ubiegła zima była chłodna, a obecna jest jeszcze mroźniejsza. Tegorocznego lata żadne młode ani fargi z Soromset nie starały się o przyjęcie do Inegban*. W najcieplejsze dni wysyłałam grupę łowczyń, by sprawdziły, co się tam dzieje. Miasto zmarło. Soromset już nie istnieje. Zmarło tak jak Ergetpe. Liście drzew są martwe, padlinożerne kruki dziobią kości żyjących tam niegdyś Yilanč. Na plażach i wodach otoczonego lądami morza Isegnet Yilanč zamieszkiwały trzy wielkie miasta...

Zawiesiła głos, a Vaintč dokończyła za nią:

–Ergetpe zmarło z zimna. Soromset było następne. Pozostał tylko Inegban*.

–Pozostał tylko Inegban*, ale każdej zimy mróz podchodzi coraz bliżej. Nasze stada maleją i wkrótce nastąpi głód.

–Alpčasak czeka.

–Będzie czekać aż nadejdzie pora. Teraz najpilniejsze jest zakładanie nowych pól i powiększanie hodowli zwierząt. My z kolei musimy wyhodować dalsze uruketo, niestety, to trwa długo, za późno zaczęłyśmy. Mamy jednak nadzieję, że nowa konstrukcja genetyczna okaże się udana. Będą wprawdzie mniejsze od tego, na którym przybyłam, ale rosną znacznie szybciej. Musimy mieć ich tyle, by przenieść latem całe miasto. Teraz pokaż mi, co zastaniemy po przybyciu do Alpčasaku.

–Zastaniecie to – powiedziała Vaintč, wskazując na pnie, pokryte pnączami ściany i plecionkową podłogę rozciągającego się wokół nich miasta. Deszcz ustał, w słońcu

srebrzyły się leżące na liściach kropelki. Malsas<sprawiała wrażenie zadowolonej. Vaintč zatoczyła ręką szeroki łuk:

–Za miastem – pola, hodowle pełne różnych zwierząt, cieszących oko i gwarantujących wyżywienie mieszkańców.

Vaintč wydała polecenie uzbrojonym strażniczkom, by szły przed nimi, gdy mijając pasące się na łąkach zwierzęta, zmierzały ku najdalej wysuniętym polom. Zza wysoko sklepionych wałów z grubych pni i cierni dostrzegały gigantyczne postacie uruktubów zrywających zielone liście z drzew pobliskiej dżungli. Nawet z tej odległości mogły słyszeć hurkot wielkich kamieni w ich drugich żołądkach, ułatwiających trawienie i zgniatających ogromne ilości zjadanej przez nie paszy. Malsas<w milczeniu podziwiała ten widok. Potem zawróciła w kierunku miasta.

–Dobrze budowałeś, Vaintč – powiedziała, gdy znów znajdowały się wśród innych Yilanč. – Wszystko przemyślałeś dobrze.

Vaintč – dziękując za pochwałę – była szczera. Uznanie dla pracy i pochwała eistai w obecności wszystkich była wyróżnieniem wykluczającym wszelkie myśli o zazdrości czy buncie. Bez wahania poszłaby w tej chwili za Malsas<na pewną śmierć. Mieszkanki miasta tłoczyły się wokół nich, słuchały, uczyły się i zapamiętywały. Dopiero gdy przeszły przez otwór w Ścianie Historii, ich rozmowa ponownie stała się poważna, gdyż wszystko w Ścianie przypominało śmierć.

Pomiędzy kręgiem ambesed a kręgiem plaż narodzin stała ciernista Ściana Historii. Wplecione w nią były symboliczne przedmioty obrazujące przeszłość. Czy Yilanč naprawdę kiedyś posługiwały się wielkimi krabami, takimi jak tu przechowywane, trzymały je w oceanach jako broń strzegącą rozrodu samców? Twierdzono, że tak było, choć nie mogło to być prawdą od jaja czasu. Parzące pokrzywy, ciernie, tych na pewno używano w przeszłości, tak jak używa się ich teraz. Ale te skorupy wielkich skorpionów? Nikt o nich niczego nie wiedział, mimo to pradawne skorupy były starannie przechowywane i czczone. Bardzo delikatnie wyjęto je z murów Inegban* i przywieziono tu na znak ciągłości miasta.

Ponieważ ściana ta była również historią życia, przy wejściu, obok plaż, zatknięto zachowane ciała bojowych hčsotsanów. Obok leżały czaszki z wielkimi kłami zabitych przez nie napastników.

Na samym końcu znajdowała się wyblakła na słońcu, kulista czaszka o pustych oczodołach. Otaczały ją groty włóczni i ostre kamienne noże. Malsas<stanęła przed nią, okazując ciekawość i prosząc o wyjaśnienia.

–Jedno z plugawiających ten ląd ustuzou. Wszystkie czaszki tu zgromadzone należą do zawszonych, noszących futra, śmierdząco-ciepłych ustuzou, które nas nękały i

które zabiłyśmy. Ale najgorszy jest ten tu, bezimienny gatunek. Tymi ostrymi kamieniami popełniono czyn straszniejszy od wszystkich innych.

–Zamordowały samców i dzieci. – Malsas wypowiedziała te słowa ze śmiertelną nienawiścią.

–Tak. Dopadłyśmy je i wszystkie zabiłyśmy.

–Słusznie. Już was nie niepokoją?

–Nie. Wybite do nogi. To nie miejscowy gatunek, nadciągnął z północy, wytropiłyśmy go i wybiłyśmy co do jednego.

–A więc plaże już bezpieczne?

–Z każdej strony z wyjątkiem rafy koralowej. Rośnie ona jednak szybko i gdy będzie dostatecznie wysoka, nastąpią pierwsze narodziny. Wtedy plaże narodzin będą zabezpieczone przed wszystkimi.

Vaintč wysunęła pazury jednej dłoni nad białą czaszką:

–Zwłaszcza przed tymi dzieciobójcami. Nigdy już nam nie zagrażą.

ROZDZIAŁ XII

Na oficjalne powitanie Malsas<i jej grupy przygotowano tego dnia szczególny posiłek. Podobne wizyty zdarzały się tak rzadko, że większość młodszych fargi przyglądała się temu po raz pierwszy. Cały dzień kręciły się podniecone, przekrzykując się wzajemnie, choć rzadko która słuchała tego, co mówi druga. Było to dla nich nowe i niezwykle. Na co dzień Yilanč jadały dobrze, wyczekując niecierpliwie chwili, gdy zasną z pełnymi brzuchami w samotności. Każda podsuwała przyrządzającym posiłki szeroki liść i otrzymaną porcję wspaniale zenzymowanego mięsa zjadała w jakimś spokojnym miejscu. Takie były zwyczaje i nie mogły wyobrazić sobie, by mogło być inaczej.

Tego dnia pracowano mało. Mieszkanki miasta wypełniały ambesed, tłoczyły się pod jego ścianami, żeby lepiej widzieć, wspinały się na niżej rosnące gałęzie ogrodu.

Vaintč i Malsas<po przeprowadzeniu inspekcji miasta wróciły do ambesed. Tam Malsas<spotykała się kolejno z odpowiadającymi za rozwój Alpčasaku, najwięcej czasu poświęciwszy Vanalpč. Zadowolona z tego, co usłyszała, Malsas<zakończyła rozmowy i zwróciła się do Vaintč:

–Ciepło słońca i rozwój miasta pozwoliły mi przestać myśleć o zimie. Pod tym wrażeniem wrócę do Inegban*. Nadchodząca zima stanie się mniej groźna. Erafnaiś zameldowała, że uruketo załadowano i dobrze nakarmiono, tak że może odplynieć w każdej chwili. Zjemy, a potem odjadę.

Vaintč wyraziła żal z powodu rozstania. Malsas<podziękowała, ale odrzuciła możliwość dłuższego pobytu.

–Rozumiem twe uczucia. Zobaczyłam jednak dosyć, by być pewna, że wszystko znajduje się w dobrych rękach. Uruketo jest jednak powolne; nie możemy zmarnować ani jednego dnia. Jedźmy. Znasz Alakensi, moją główną doradczynię i efenselč? Niech tym razem obsłuży cię przy posiłku.

–Jestem zaszczyczona, bardzo zaszczyczona, – powiedziała Vaintč, dumna z wyróżnienia, które ją spotkało. Nie zwracała zupełnie uwagi na osobę Alakensi, którą znała od dawna. Znała jej podstępny umysł i podłe intrygi.

–Dobrze. – Malsas<przywołała gestem Vanalpč. – Teraz zjemy. Alakensi, najbliższa mi ze wszystkich, będzie obsługiwała Vaintč. Ty, Vanalpč, za wszystko, co zrobiłaś dla rozwoju tego miasta, za dobry projekt i jego wykonanie, zostałam wybrana, by mnie obsługiwać.

Usłyszawszy to, Vanalpč nie była w stanie nic powiedzieć. Milczała, jakby dopiero co wynurzyła się z oceanu. Duma biła z każdego ruchu jej ciała.

–Z tej uroczystej okazji będą dwie potrawy – powiedziała Vaintč. – Jedna ze starego świata, druga z nowego.

–Stare i nowe połączy się w naszych wnętrzach, jak Inegban* połączy się z Alpčasakiem – z powagą stwierdziła Malsasκ.

Odpowiedziały jej okrzyki uznania ze strony stojących najbliżej. Było to trafne, śmiałe porównanie, cieszyły się, że długo jeszcze będą mogły o tym rozmawiać. Vaintč nie odezwała się, dopóki słowa Malsasκnie zostały wszystkim powtórzone.

–Potrawą z Entoban* jest uruktub, wyhodowany z jaja ostrożnie dowiezonego na ten brzeg, wysiedzianego w słońcu Gendasi*, wyrosłego na ziołach Gendasi*. Mamy i inne, ale ten był największy, widziałyście wszystkie, przechodząc obok pastwiska na bagnach. Podziwiałyście gładkość jego skóry, długość łuku szyi, grubość boków. Widziałyście to.

Odpowiedzią był pomruk uznania, choć dostrzegły jedynie drobną głowę na końcu długiej szyi, która wynurzyła się wysoko z wody, trzymając w pysku ociekające, zielone rośliny.

–Pierwszy zabity uruktub jest tak wielki, że wszystkie najedzą się nim do syta. Potem Malsasκi jej towarzyszki, które przybyły z Inegban*, otrzymają zwierzę, jakiego nigdy dotąd nie jadły – szybkozonogą sarnę z gatunku spotykanego tylko tutaj. Za chwilę zaczną się ucza.

Obie usługujące szybko wyszły. Wróciły z tykwami pełnymi mięsa i każda uklękła przed eistaą, którą obsługiwała. Malsasκsięgnęła po długą kość z małym czarnym kopytkiem, z której luźno zwisało chłodne, słodkie mięso. Oderwała duży kawałek i uniosła tak, by wszystkie mogły zobaczyć.

–Uruktub – zawołała, a wszystkie, które to usłyszały, roześmiały się z dowcipu, najmniejsza bowiem kość uruktuba była większa od tego całego zwierzęcia.

Vaintč była zadowolona. Posiłek przebiegał gładko. Gdy skończyły jeść i umyły ręce w przytrzymywanych przez usługujące tykwach, uroczystość dobiegła końca. Teraz do jedzenia zabrały się pozostałe mieszkanki, by skończyć przed zapadnięciem mroku.

Byty tym tak zajęte, że wreszcie Malsasκmogła swobodnie porozmawiać z Vaintč. Mówiła cicho, a ruchy ciała ledwo zarysowywały gesty.

–Wszystko, co tu usłyszałam, jest zgodne z prawdą. Pracujecie tu ciężko, a ty najciężej. Sądzę przeto, że zdołasz wykorzystać do pracy Córy Śmierci, które z sobą przywiozłam.

–Widziałam je. Zostaną wykorzystane.

–Wykorzystaj je, aż umrą! – Malsas<kłapnęła złowrogo zębami. – Mamy ich coraz więcej, jak termyty podgryzają korzenie naszego miasta. Uważaj, żeby nie próbowały robić tego i tutaj.

–Nie będą miały możliwości, choćby najmniejszej. Mamy dla nich ciężką i niebezpieczną pracę. Taki ich los.

–Myślmy więc podobnie, to dobrze. Teraz o tobie, ciężko pracująca, niezłomna Vaintč. W czym można ci pomóc?

–W niczym, mamy wszystko, co potrzeba.

–Nie wspomniałaś o potrzebach osobistych, ale wiem, że przyda ci się ktoś do pomocy. Dlatego życzę sobie, by pierwsza u mnie we wszystkim, moja prawa ręka, efenselč Alakensi powiększyła krąg twoich zastępczyń. By stała się pierwszą twą pomocnicą i dzieliła z tobą trudy.

Vaintč nie mogła sobie pozwolić na najdrobniejszy ruch, najcichsze słowo, bo zdradziłaby nagły przyływ gniewu, jaki ją opanował. Nie musiała jednak nic mówić. Malsas<patrzyła jej prosto w oczy i rozumiały się doskonale. Pozwoliła sobie tylko na nieznaczny, kpiący gest zwycięstwa, potem odwróciła się i poprowadziła orszak do uruketo.

Gdyby Vaintč miała broń, to w tej chwili wpakowałaby śmiercionośną strzałkę w oddalające się plecy. Malsas<musiała zaplanować intrygę jeszcze przed przybyciem tutaj. Miała w Alpčasaku swoich szpiegów, donoszących jej o wszystkim, co się tu działo. Wiedziała, że Vaintč, jako miejscowa eistaą, niechętnie przekaze władzę. Dlatego zostawiła tu ohydną Alakensi. Tkwiąc u boku Vaintč, będzie ją obserwowała i szpiegowała – donosząc o wszystkim. Swą obecnością przypominać będzie stale o nieuchronnym losie Vaintč. To ona pracować będzie nad wzniesieniem tego miasta, by na końcu zostać strącona. Tego dnia wszystko przypadnie Malsas<. Zrozumiała teraz, co się stało; jej przeszłość określiła jasno przyszłość. Niech Vaintč pracuje, trzusi się, buduje to miasto – wraz z nim swoje przeznaczenie.

Vaintč bezwiednie przebierała nogami, grube ostre paznokcie darty drewno podłogi. Nie! Nie dopuści do tego! Chciała przecież zdobyć pozycję dzięki swej pracy, zasłużyć na kierowanie miastem. Nic więcej. Malsas<nigdy tu nie zapanuje! Alakensi umrze; pozostawienie jej tutaj równało się wyrokowi śmierci. Szczegóły nie mają znaczenia. Decyzja została podjęta.

Gdy zima zapanuje w Inegban*, słońce wzejdzie nad Alpčasakiem. Tam rządzić będzie słabość, tu siła. Alpčasak jest jej – nikt nigdy go jej nie zabierze.

Wściekła Vaintč unikała innych, wybrała najbardziej okrutną drogę, tak iż dostrzegło ją tylko kilka fargi, które uciekały przed gniewem emanującym z każdego jej kroku. W każdym ruchu jej ciała czaiła się śmierć.

Wysoko nad portem znajdowała się pusta strażnica. Vaintč weszła tam i skryta w wydłużającym się cieniu czekała na zakończenie ładowania uruketo. Ostatnim ładunkiem były nieruchome ciała licznych saren. Vanalpč ulepszyła truciznę używaną zwykle do oszalańniania dużych zwierząt, by można je było przenosić. Nowy jad nie oszalał – ani nie zabijał – lecz doprowadzał stworzenia na sam skraj śmierci. Bicie ich serc było ledwo wyczuwalne, oddech spowolniony. W takim stanie przebędą ocean do Ingeban*, nie potrzebując ani jedzenia, ani wody. Stanowiąc będą pożywienie dla głodujących obywaterek tego miasta. Vaintč pragnęła, by los taki spotkał Malsasç, i powiedziała to głośno, choć nikt jej nie słuchał.

–Niech leży martwa, choć nieumarła, aż do kresu jej czasu.

Gdy uruketo zniknęło w półmroku, Vaintč wróciła cicho i samotnie przez gęstniejącą ciemność. Mimo ogarniającego ją nadal gniewu zasnęła natychmiast.

Sen nie oczyścił jej umysłu z nienawiści, lecz ukrył ją głęboko na skraju myśli. Spotkany w ambesed wydała się taka sama jak zawsze. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na Alakensi, by zeszywniała z nienawiści. Tego dnia wiele miało się przekonać o jej złym humorze. Na swe nieszczęście podeszła do niej Enge.

–Mam drobną prośbę, Eistao – powiedziała.

–Odmawiam. Dla ciebie i twoich chodzących martwych stworzeń mam tylko pracę.

–Nigdy dotąd nie byłaś okrutna bez powodu – odparła spokojnie Enge. – Wydaje mi się, że dla eistai wszystkie obywatelki powinny być równe.

–Dokładnie tak. Ale postanawiam od tej chwili, że Córy Śmierci nie są już obywatelkami. Będziecie pracować aż zdechniecie. Oto wasz los.

Widok stojącej przed nią Enge przypomniał jej sprawę, zagrzebaną głęboko w pamięci.

–Co z ustuzou, które uczysz mówić? Minęło wiele czasu.

–Potrzeba jeszcze więcej czasu, taką miałam prośbę. Więcej czasu – lub wcale.

–Wyjaśnij!

–Każdego ranka zaczynam pracę z ustuzou z nadzieją, że będzie to dzień porozumienia. Każdego wieczora opuszczam je z przeświadczeniem, że był to dzień

stracony. Samica jest rozumna, ale może to tylko rozum elinou, buszującego w mieście, szukającego i zabijającego myszy? Wydaje się, że działa rozumnie, a okazuje się, że to instynkt.

–Co z samcem?

–Głupi, jak wszystkie samce. Nie odpowiada, nawet bity. Siedzi tylko i gapi się w milczeniu. Samica jak elinou reaguje na łagodność i miło z nią przebywać. Ale choć upłynęło tyle czasu, potrafi wypowiedzieć tylko kilka zdań, zwykle błędnie, zawsze bez związku. Musiała nauczyć się ich tak jak łódź, więc na pewno nic dla niej nie znaczą.

–Nie jestem zadowolona z tych wiadomości – powiedziała Vaintč. I pomyślała, że Enge mogłaby przez cały ten czas pracować na polach, a tak traciła tylko czas. Powody, dla których podjęła próby porozumienia się z ustuzou, przestały być ważne. Te stworzenia niczym już nie grożą, a dosyć jest innych problemów. Jednak, mimo że niebezpieczeństwo minęło, pozostało jeszcze zainteresowanie intelektualne. Zapytała głośno:

–Skoro te istoty nie potrafią się nauczyć mówić jak Yilanč, to czy ty możesz nauczyć się ich języka?

Reakcja Enge wyrażała wątpliwość.

–Na to pytanie też nie potrafię odpowiedzieć. Najpierw sądziłam, że należą do rodzaju ambenin, niemówiących stworzeń, z którymi nie można się porozumieć. Teraz jednak uważani je za ugunin...

–Niemożliwe! – Vaintč odrzuciła taką myśl. – Jakże jakiegokolwiek stworzenia mogą porozumiewać się, nie przekazując ani nie przyjmując informacji? Tworzysz kolejne zagadki, a ja czekam na jasną odpowiedź.

–Wiem i przepraszam, ale wciąż nie mogę dojść do sedna. Ich głosy i gesty nie tworzą logicznego ciągu, zapamiętałam tysiące ich ruchów i dźwięków, a wszystkie są pozbawione znaczenia. Są takie bezbarwne i nieruchawe. Wreszcie doszłam do wniosku, i to niełatwo było osiągnąć – że porozumiewają się na innym poziomie, który na zawsze pozostanie dla nas nieznanym. Nie mam pojęcia, co może nim być. Słyszałam o teorii wysyłania myśli, bezpośredniej rozmowy jednego mózgu z innym. Albo o porozumiewaniu się za pomocą fal radiowych. Można by to zbadać, gdybyśmy miały w mieście fizyczkę.

Zamilkła, gdy Vaintč raz jeszcze wyraziła wątpliwość.

–Nie przestajesz mnie zadziwiać, Enge. Miasto straciło wybitny umysł, gdy poświęciłaś się swej ohydnej filozofii. Teraz jednak myślę, że twoje badania trzeba

przerwać. Zobaczą ustuzou i postanowię, co dalej. Skinęła na przechodzącą w pobliżu Stallan.

Szła przodem, za nią Enge i Stallan. Gdy zbliżyły się do celi więziennej, Stallan skoczyła, by otworzyć zaryglowane wejście. Vaintč weszła i przyglądała się młodym ustuzou, podczas gdy Stallan stała w pogotowiu na wypadek nagłego ataku. Samica siedziała skulona, jej uniesione wargi osłaniały zęby i Vaintč rozzłościła się na tę wyraźną groźbę. Mały samiec stał nieruchomo pod tylną ścianą.

–Niech pokażą swe sztuczki – Vaintč rozkazała Enge.

Słyszac zgrzyt rygli przy otwieraniu drzwi, Kerrick skoczył by oprzeć się o ścianę pewny, że nadszedł dzień śmierci. Ysel zaczęła się z niego śmiać.

–Głupi chłopak – mówiła, drapiąc gojące się skaleczenia na nagiej głowie. – Tchórzliwe dziecko. Marag przyniesie nam jedzenie, będzie się bawił...

–Murgu przynoszą śmierć i któregoś dnia nas zabiją.

–Głupi. – Rzuciła w niego skórką i odwróciła się ze śmiechem do wchodzących.

Pierwszy wszedł stąpając ciężko obcy marag. Przestała się uśmiechać. Obok zobaczyła jednak znajomą postać i uśmiech powrócił. Pomyślała, że ten dzień zaczyna się jak poprzednie.

Była leniwą, niezbyt bystrą dziewczynką.

–Powiedz mi coś – poleciała Vaintč stanąwszy przed ustuzou. Potem powtórzyła to wyraźniej, wolno i dobitnie, jakby zwracała się do młodej fargi:

–Powiedz... mi... coś!

–Błagam, może spróbuję pierwsza – poprosiła Enge. – Mnie odpowie łatwiej.

–Nie. Spróbuję jeszcze raz. Ale jeśli te istoty nie umieją mówić, to koniec z nimi. Zbyt wiele czasu straciłyśmy.

Odwróciwszy się do samicy ustuzou Vaintč powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu:

–To moje osobiste polecenie – bardzo pilne. Przemówisz teraz, i to tak dobrze jak każda Yilanč. Jeśli to uczynisz, będziesz żyła i rosła. Mowa oznacza rozwój, mowa oznacza życie – rozumiałaś?

Ysel rozumiała, pojęła groźbę i poczuła, jak wraca strach, tak długo powstrzymywany.

–Ciężko mi mówić, proszę. – Ale słowa Tanu nie wywołały żadnej reakcji u górującego nad nią wielkiego, brzydkiego stworzenia. Musi sobie przypomnieć, czego się nauczyła. Próbowwała, próbowała z wszystkich sił. Mówiąc i jednocześnie wykonując niektóre ruchy.

–Has leibe čnč uu...

Vaintč była zaskoczona. Mówi? Co powiedziało? Nie może to przecież znaczyć: "Stare samice rosną zwinnie". Enge była zmieszana.

–To może również oznaczać, że rosnąca giętkość przydaje wieku samicom.

Vaintč ogarniał gniew. Może innego dnia podjęłaby próbę dalszego porozumienia się z ustuzou. Ale nie dzisiaj. Po wczorajszej zniewadze i pozostawieniu Alakensi.

–To wystarczy – zwłaszcza że próbowała być grzeczna dla tych wstrętnych, futrzastych bestii. Nachyliwszy się, złapała samicę ustuzou za ręce i uniosła ją przed sobą, rycząc wściekle, rozkazała jej przemówić.

Ta nawet nie próbowała. Zamknęła oczy i wypuściła z nich wodę. potem odrzuciła głowę do tyłu, otworzyła szeroko pysk i wydała zwierzęcy krzyk, aż Vaintč przeszedł dreszcz. Ogarnęła ją nienawiść i przestała myśleć. Zatopiła w gardle ustuzou długie, ostre, spiczaste zęby, ugryzła mocno i pozbawiła je życia. Gorąca krew trysnęła jej w usta, dławiąc i napełniając obrzydzeniem. Odrzuciła ciało, wypluwając krew. Stallan drgnęła, okazując aprobatę.

Vaintč wzięła podsuniętą jej przez Enge tykwę z wodą, wypłukała usta, resztkę wylała na twarz. Minął zaślepiający ją gniew, odczuła zadowolenie z tego, co zrobiła. Ale pozostało przy życiu jeszcze drugie ustuzou, wraz z jego śmiercią wyginą wszystkie. Spojrzała groźnie na Kerricka.

–Teraz ty, ostatni – powiedziała, sięgając po niego. Nie miał gdzie uciec. Poruszył ciałem i przemówił:

–... esekakurud... – esekvilshan... elel leibelebe...

Podeszła bliżej, choć początkowo wydawało jej się to pozbawione sensu. Spojrzała uważniej na stworzenie. W jego głosie słychać było błaganie, a przynajmniej niezdarną tego próbę. Dlaczego jednak tak chodzi na boki? To bezsensowne. Zrozumiała nagle – to stworzenie nie ma przecież ogona i nie może go unieść odpowiednio. Ale jeśli kiwanie ciałem ma zastąpić uniesienie ogona, to być może stworzenie starało się przekazać uczucie najwyższego wstrętu i okazać nieprzepartą chęć przemówienia. Oderwane pojęcia zaczęły układać się w jedną całość, aż Vaintč krzyknęła głośno.

–Rozumiesz, Enge? Widzisz – robi to znowu.

Niezdarnie, ale wyraźnie, na tyle, by być zrozumiane, ustuzou mówiło.

–Bardzo nie chcę umrzeć. Bardzo chcę mówić. Bardzo długo, bardzo mocno.

–Nie zabiłaś go – powiedziała Enge, gdy wyszły z komory i Stallan zaryglowała drzwi. – Choć nie miałaś litości dla samicy...

–Drugie było bezwartościowe. Nauczysz mówić samca. Może się to przydać gdyby dotarły tu watahy tych stworzeń. Ale mówiłaś, że to nigdy się nie odezwało?

–Nigdy. Musi być rozumniejsze od tamtego. Cały czas jedynie mnie obserwowało.

–Jesteś lepszą nauczycielką niż sądziłaś, Enge. – Po odniesionym sukcesie Vaintč była skłonna do pochwał. – Jedynym twym błędem było to, że uczyłaś niewłaściwe ustuzou.

ROZDZIAŁ XIII

Mimo czystego nieba drobny śnieg zaciął ostro na górskiej przełęczy. Przenikliwy północny wiatr, przedzierając się przez góry, porywał go z niżej leżących zboczy i gnał niepowstrzymanie przez przełęcz potężnymi lodowatymi falami.

Walczący z wściekłością zawiei, niemal zgięty wpół, Herilak stawiał niepewne kroki w tumanach śniegu. Odłamany kawałek rakiety śnieżnej opóźniał marsz. Gdyby jednak stanął, by ją naprawić, zamarłby bez wątpienia. Dlatego wielki mężczyzna, niezdarny w opatulających go warstwach futer, zataczając się, parł dalej. Poczłł zmianę nachylenia stoku, gdy wszedł na przełęcz, upadł, lecz wstał, otrząsnął się ze śniegu i chwiejnie szedł dalej. Gdy minął skalistą grań z oczyszczonych przez wiatr szarych głazów, wyczuł, że wichura słabnie. Jeszcze tylko kilka kroków i ucieknie przed wiatrem, osłoni go przed nim skała.

Opadł z westchnieniem ulgi, opierając plecy o nierówną powierzchnię. Wspinaczka wyczerpała jego, zdawałoby się, niespożyte siły.

Zewnętrzne rękawice miał pokryte lodem i śniegiem, musiał nimi walić o siebie, zanim na tyle zmiękły, by je zdjąć. Ciepłymi rękawiczkami wewnętrznymi startł zmrożony śnieg z brwi i rzęs. Spojrzał na leżącą niżej dolinę.

W tym zacisznym miejscu zimowały nadal nieliczne jelenie, daleko dostrzegał ciemne plamki ich stad. Bliżej grupa wysokich drzew osłaniała łąkę nad potokiem nigdy nie zamarzającym przy źródle, z którego wytryskał. Było to dobre miejsce do zimowania, znano je jako levrelag Amahast, obozowisko sammadu Amahasta. Jego żona Aleth była siostrą Herilaka.

Dolina była jednak pusta.

Herilak słyszał o tym od łowcy ze swego sammadu, który spotkał łowcę z sammadu Ulfadana, przysięgającego, że tu był i że mówi prawdę. Mimo to Herilak chciał się o tym sam przekonać. Wziął włócznię, łuk i strzały, natarł się grubo gęsim smalcem, nałożył miękkie futra bobra włosem do środka, a na to strój z grubej skóry jelenia. Z raketami przywiązany do wielkich futrzanych butów nie bał się zimy. Zabrał niewiele jedzenia, bo musiał się szybko poruszać, w torbie na ramieniu miał zapas suszonego mięsa, zgniecionych orzechów i jagód ekkotaz.

Teraz zobaczył to, czego się obawiał. Ssąc grudkę śniegu, pochylony naprawiał raketę śnieżną. Co chwila odrywał się od pracy, by zerknąć na leżącą pod nim pustą dolinę, jakby nie wierząc w to, co zobaczył. Dolina jednak pozostawała pusta.

Gdy skończył, było już południe. Żując kawałek suszonego mięsa, zastanawiał się, co dalej. Nie miał wyboru. Zjadł, wyprostował się. Był potężny, przewyższał o głowę

najwyższych w swym sammadzie. Stał tłuściz z brody i spojrzął w dolinę wypatrując, którądy musi iść. Na południe. Ruszył wzdłuż stoku, nie oglądając się ani razu na opustoszałe obozowisko.

Szedł cały dzień i stanął dopiero wtedy, gdy o zmroku zaśniły pierwsze gwiazdy. Zawinał się w futra i przed snem, zanim zamknął oczy, popatrzył w niebo. Coś mu się przypomniało, znów rozwarł powieki i odszukał znajome konstelacje. Mastodont pędzący na Łowcę trzymającego w pogotowiu włócznię. Wygięty rząd gwiazd w pasie Łowcy. Czy nie pojawiła się na nim nowa iskra, w pobliżu środkowej gwiazdy? Nie była tak jasna jak pozostałe, lecz widział ją wyraźnie w mroźnym, przejrzystym zimowym powietrzu. Nie miał pewności. Na tak honorowym miejscu mógł znaleźć się tylko tharm wielkiego wojownika, dodającego łowcy mocy. Nie był pewien, czy nie było jej tam przedtem. Myśląc o *tym*, zamknął oczy i zasnął.

Po trzech dniach marszu od brzasku do mroku Herilak doszedł przed wieczorem do drzew rosnących nad szybko płynącą rzeką. Nurt jej był tak gwałtowny, że nie zamarzła na środku. Szedł cicho, jak każdy łowca, raz tylko spłoszył stadko saren, które uciekły między drzewa, skacząc wysoko i wzbijając za sobą śnieżny pył. Przynajmniej jedna byłaby łatwym łupem – ale nie polował teraz na sarny. Przedzierając się przez zarośla, stanął nagle i pochylił się. Zobaczył sidła z zajęczych jelit rozciągnięte między dwiema gałązkami.

Od tej chwili szedł śpiewając i celowo zaczepiał włócznią o rosnące nisko gałęzie. Nie krył się, chciał być zauważony. W żadnej opowieści starych łowców nie wspomina się o takim zachowaniu. Stało się to konieczne dopiero teraz. Tanu zabijali Tanu. Świat nie był już tak bezpiecznym miejscem jak niegdyś, kiedy to łowcy nie obawiali się łowców.

Wkrótce poczuł pod nogami wydeptaną w śniegu ścieżkę. Gdy doszedł do następnej polany, stanął, wbił włócznię w zaspę jak sztandar i przykucnął za nią. Nie musiał długo czekać.

Cicho, jak smuga dymu, po drugiej stromej polany pojawił się łowca. Miał nastawioną do ciosu włócznię, lecz opuścił ją, ujrawszy siedzącego Herilaka. Po chwili wbił ją również w śnieg. Spotkali się na środku polany.

–Jestem na waszych terenach łowieckich, ale nie poluję – powiedział Herilak. – Tu poluje sammad Ulfadana. Jesteś sammadarem?

Ulfadan kiwnął potakująco głową. Zgodnie ze swym imieniem miał długą, sięgającą do pasa, jasną brodę.

–Jesteś Herilak – powiedział. – Moja siostrzenica wyszła za Alkosa z twego sammadu.

Pomyślał chwilę i wskazał ręką za siebie.

–Weźmiemy wólczyce i pójdziemy do mojego namiotu. Jest cieplejszy niż śnieg.

Szli obok siebie w milczeniu, bo łowcy na szlaku nie szczebiocą jak ptaki. Rzeka płynęła szybko, gdy podążali ścieżką wzdłuż zamrzniętych brzegów. Doszli do miejsca, gdzie związała się w zakole. W jego środku mieścił się zimowy obóz sammadu, dwanaście wielkich, mocnych namiotów. Na łące mastodonty ryły w śniegu, poszukując przysypanej trawy. Ich oddechy tworzyły kłęby pary. Z każdego namiotu wzbijał się w bezchmurne niebo wąski pas dymu. Dobiały krzyki bawiących się między namiotami dzieci. Ten spokojny obraz był dobrze znany Herilakowi, tak samo wyglądał jego sammad. Ulfadan uchylił szeroką płachtę i wszedł do mrocznego wnętrza namiotu.

Siedzieli w milczeniu. Starsze kobiety zaczerpnęły stopionego śniegu z cebra wydłubanego w pniu i stojącego obok ognia, rozlały go do drewnianych kubków i dodały suszonych ziół, zaparzając aromatyczny napój. Łowcy ogrzewali dłonie o kubki i popijali napar. Trajkoczące kobiety poowijały się w skóry i po kolei wyszły z namiotu.

–Zjesz? – zapytał Ulfadan, gdy zostali sami.

–O gościnności Ulfadana rozprawiają w namiotach Tanu od morza do gór.

Uprzejme słowa o obfитоści posiłku niezbyt pasowały do kilku płatów suszonej ryby, starej i strasznie śmierdzącej. Zima ciągnęła się długo, a do wiosny było jeszcze daleko. Nim nadejdzie, w namiotach zapanuje głód.

Herilak z głośnym, pochwalnym siorbniem wypił ostatnie krople napoju, udało mu się nawet czknać, by pokazać, jak obfity posiłek otrzymał. Wiedział, że powinni teraz pomówić o łowach, pogodzie, wędrujących stadach, a dopiero później przejść do celu odwiedzin. Ale i ten zwyczaj, pochłaniający wiele czasu, uległ zmianie.

–Matka żony mego pierwszego syna jest żoną Amahasta – powiedział Herilak. Ulfadan skinął potwierdzająco głową, bo o tym wiedział. Wszystkie sammady z dolin w tych górach połączone były różnymi małżeństwami.

–Byłem na miejscu zimowania sammadu Amahasta i było tam pusto.

Ulfadan ponownie przytaknął.

–Poprzedniej wiosny powędrowali na południe, kierując się w dół tej doliny. Zdechła im połowa mastodontów. To była ciężka zima.

–Wiadomo, że wszystkie zimy są teraz ciężkie. Ulfadan chrząknął niechętnie

potwierdzając.

–Dotąd nie wrócili.

Herilak zbierał myśli, przypominając sobie szlak wiodący doliną do równin, potem na wschód w stronę morza.

–Ruszyli więc nad morze?

–Obecnie co roku rozbijają obóz nad rzeką przy jej ujściu do morza.

–Ale w tym roku nie wrócili.

Nie było żadnej odpowiedzi poza milczącym potwierdzeniem. Stało się coś, o czym nie wiedzieli. Może sammad znalazł inne zimowisko. Niejeden sammad zniszczyły mrozy i obozowiska stały się puste. Było to możliwe, lecz obaj obawiali się, że stało się coś znacznie gorszego, o czym nie mieli pojęcia.

–Dni są krótkie – powiedział Herilak wstając – a droga długa. Ulfadan wstał również i w geście pożegnania objął ramiona potężnego łowcy.

–Zimą droga do morza jest długa i pusta. Niech strzeże cię na niej Ermanpadar.

Nie było nic do dodania. Herilak owinął się futrami i ponownie skierował wólczną na południe. Dopiero gdy osiągnął równinę, mógł ruszyć szybciej, bo śnieg był tu zmrożony i twardy. Jedynym jego wrogiem była teraz zima, gdyż skuty lodem kraj pozbawiony był życia. Tylko raz w czasie wielu dni wędrówki dojrzał wychudłą, żalostną sylwetkę jelenia, ściganego przez małe stadko głodnych długozębów. Widział, jak ruszyły równiną w jego stronę. Obok był niski pagórek z kępą bezlistnych drzew na szczycie. Herilak stanął przy nich obserwując.

Wynędzniały jeleni słabł, jego poranione boki ociekały krwią. Zachwiał się i zatrzymał po osiągnięciu stoku, zbyt wyczerpany, by biec dalej. Głodne długozęby zbliżały się ze wszystkich stron. Zapach ciepłej krwi powodował, że nie zwracały uwagi na niebezpieczeństwo. Jeden z napastników nadział się na ostre jak noże rogi. Ale przywódca stada skoczył ku zadnim nogom jelenia i przegryzł mu ścięgna. Zwierzę upadło z rykiem i było po wszystkim. Przywódca napastników, wielka, czarna bestia z grubą grzywą włosów na szyi i piersi, cofnął się, jakby zapraszając innych do jedzenia. Mięsa wystarczy dla wszystkich.

Cofający się długozęb poczuł, że jest obserwowany. Podpowiedział mu to niezawodny instynkt dzikiego zwierzęcia. Warcząc spojrzął na wzgórze, gdzie stał Herilak. Ich wzrok spotkał się. Skulone zwierzę ruszyło do góry. Zatrzymało się w połowie stoku, tak blisko, że Herilak widział żółte, wściekłe oczy.

Herilak patrzył nieruchomym wzrokiem. Nie ruszył się, nie wysunął włóczni, w milczeniu nawiązał kontakt z przywódcą napastników. Jeśli pójdą swoją drogą, to i on ruszy swoją. Zaatakowany, będzie zabijał. Długożab wiedział, co znaczy włócznia. Żółte oczy patrzyły uważnie, zwierzę zrozumiało, bo nagle się odwróciło i zeszło ze wzgórza. Zabrało się do jedzenia, inne zrobiły mu miejsce. Nim jednak zanurzył pysk w świeżym mięsie, obejrzał się raz jeszcze. Pod drzewami nie było już nikogo. Zwierzę-włócznia odeszło. Wilk opuścił łeb i spokojnie zaczął żreć.

Zawieja zatrzymała zawiniętego w futra Herilaka przez całe dwa dni. Przespał większość czasu, starając się nie naruszać topniejącego zapasu żywności. Miał jednak do wyboru: jeść albo zamarznąć. Gdy burza wreszcie minęła, ruszył dalej. Tego samego dnia poszczęściło mu się, natrafił na świeże ślady królika. Wsunął włócznię pod ramię na plecach i nałożył strzałę na cięciwę łuku. Wieczorem upiekł świeże mięso. Najadł się do syta, a może jeszcze bardziej. Siedział długo. Kiwając się w półśnie przypiekał resztki.

Tu, na południu, leżało mniej śniegu, lecz nocny szron był obfity. Złodowaciałe trawy nad rzeką trzaskały mu pod nogami. A jednak posłyszał coś nowego. Zwinął dłoń przy uchu i wsłuchiwał się uważnie. Tak, coś szumiało w oddali. Odgłos przyboju, bijących o plażę fal. Morze.

Trawa już nie skrzypiała pod nogami, gdy bezszelestnie poruszał się z wyciągniętą włócznią, rozglądając się dokoła. Był przygotowany na każde niebezpieczeństwo.

To jednak minęło już dawno. Łąka rozciągająca się pod szarym, zimowym niebem pokryta była kośćmi mastodontów. Wiatr, mroźny jak śmierć, przelatował pod wysokimi sklepieniami ich żeber. Padlinożerne kruki, a po nich wrony dokładnie oczyściły kości. Tuż obok mastodontów znalazł pierwsze szkielety Tanu. Zaciśnął mocno zęby, oczy mu się zwężyły, gdy odkrywał coraz więcej szkieletów zaścielających brzeg rzeki. To było miejsce masakry, pole śmierci.

Co tu się stało? Martwi, wszyscy martwi, cały sammad. Szkielety dorosłych i dzieci leżały tam, gdzie zginęli, ale kto dokonał tej zbrodni? Jakiż wróg napadł, zabijając wszystkich? Inny sammad? To niemożliwe, bo zabrano by broń i namioty, wprowadzono mastodonta. A te zabito wraz z właścicielami. Namioty pozostały, przeważnie zwinięte i złożone na włókach obok mastodontów. Ten sammad likwidował obóz letni, odchodził, gdy spadła na niego śmierć.

Herilak szukał dalej: pomiędzy szczątkami największego szkieletu błysnął metal. Delikatnie odsunął kości i podniósł czerwony od rdzy nóż z gwiazdnego metalu. Starł rdzę i przyjrzał się dobrze mu znanym wzorom. Włócznia upadła na zamrożoną ziemię, gdy pochwyciwszy nóż w obie ręce, rzucił go w górę i zawył z żalu. Ze łzami w oczach wykrzykiwał głośno swój ból i gniew.

Amahast nie żyje! Mąż jego siostry nie żyje. Zginęły dzieci, kobiety, zginęli doskonali myśliwi. Nie żyją, wszyscy nie żyją! Nie ma już sammadu Amahasta.

Herilak otarł łzy. Z gardła dobył się pomruk wściekłości. Gwałtowny gniew wziął górę nad smutkiem. Musi teraz odnaleźć zabójców. Nisko pochylony chodził tam i z powrotem, jakby jeszcze czegoś szukał. Robił to starannie i dokładnie, jak tylko łowcy potrafią, póki nie przeszkodziła mu noc. Położył się obok szczątków Amahasta i szukał na niebie jego tharmu. Jest tam na pewno jedną z najjaśniejszych gwiazd.

Następnego ranka znalazł, czego szukał. Wyglądało to na jeszcze jeden kawałek oddartej skóry, jeden spośród wielu. Gdy jednak szarpnął zmrożone, czarne skrawki, dostrzegł, że wewnątrz tkwi szkielet. Uważnie, aby nie pomieszać ich jeszcze bardziej, wydobyl kości ze skórzanej osłony. Zrozumiał, co znalazł, lecz mimo to pracował dalej, aż odsłoniły się wszystkie kości.

Długa, szczupła istota, o cienkich, nie używanych nogach. Dużo żeber, o wiele za dużo i więcej kości kręgosłupa, niż wydawało się to możliwe. To marag, bez wątpienia. Widział już takie. Ale żadne murgu nie mogłyby żyć tak daleko od gorącego południa.

Południa? Czy miało to znaczenie? Herilak wstał i spojrział na zachód, skąd przybył. Tam nie ma murgu, to oczywiste.

Powoli odwrócił się ku północy i wyobraził sobie rozciągające się tam bez końca lody i śniegi. Żyli tam Paramutanie, podobni do Tanu, choć mówiący inaczej. Ale było ich bardzo mało, rzadko wypuszczali się na południe, walczyli tylko z zimą, nigdy z Tanu czy między sobą. Na wschodzie był tylko ocean – i nic więcej.

Ale z południa, gorącego południa, mogły przybyć murgu. Mogły przynieść śmierć i powrócić na południe.

Herilak ukląkł na zmarzłym piasku. Przyglądając się szkieletowi maraga, chciał zapamiętać wszystkie szczegóły, by móc narysować na piasku jego podobiznę i nie zapomnieć nigdy ani jednej kości.

Potem wstał i rozdeptał kruche szczątki. Odwrócił się i nie oglądając się ruszył w drogę powrotną.

ROZDZIAŁ XIV

Kerrick me domyślił się, iż uratowanie życia zawdzięczał jedynie swemu wiekowi. Nie znaczyło to, że Vaintč oszczędziła go, bo był taki mały; czuła ogromną odrazę do ustuzou w każdym wieku ci chętnie widziałyby je wszystkie martwe. Ysel była za duża, by w sposób naturalny nauczyć się nowego języka, zwłaszcza tak złożonego jak mowa Yilanč. Marbak był dla niej jedynym znanym językiem i z innymi kobietami zawsze kpiała z łowców z Gór Lodowych odwiedzających ich namioty: mówili tak źle, że ledwo dawało się ich zrozumieć. Było to dla niej oznaką głupoty, bo każdy rozumny Tanu mówił oczywiście marbakiem. Dlatego też nigdy nie pociągało jej uczenie się yilanč, wystarczało, że wkuła na pamięć kilka śmiesznych dźwięków, by ucieszyć nimi maraga i dostać od niego coś do jedzenia. Czasem pamiętała nawet, aby mówiąc poruszać ciałem. Wszystko to było dla niej jedynie głupią zabawą – i nie przypuszczała nigdy, że może stać się przyczyną śmierci.

Kerrick nie myślał o języku jako o oddzielnym zjawisku, chciał tylko zrozumieć i odpowiadać. Był na tyle mały, żeby nauczyć się języka nieświadomie, słuchając i podpatrując. Gdyby nawet przypuszczał, że w języku Yilanč występuje tysiące jednostek pojęciowych, które można łączyć na ponad 125 miliardów sposobów, wzruszyłby tylko ramionami. Liczby te nie miały dla niego znaczenia, zwłaszcza że nie potrafił wyobrazić sobie większej od dwudziestu. Jeśli czegoś się nauczył, to nieświadomie. Teraz jednak, podczas lekcji, Enge zwracała mu uwagę na pojęcia, kazała powtarzać niezdarne ruchy, aż wykonywał je prawidłowo.

Nie mógł zmieniać miejscowo barwy skóry, dlatego uczono go tak zwanej szarej mowy. W gęstej dżungli o świcie czy o zmierzchu, kiedy światło jest bardzo słabe, Yilanč porozumiewały się bez używania barw, tak zmieniając wyrażenia, by były jednoznaczne.

Kerrick każdego ranka wraz z otwarciem drzwi spodziewał się śmierci. Zbyt dobrze pamiętał rzeź sammadu, wszystkiego co żywe – mężczyzn, kobiet, dzieci, nawet mastodontów. On i Ysel zostaną także zbici, wydawało mu się to nieuniknione. Gdy wstrętny marag przynosił rano jedzenie, a nie śmierć, sądził, że została ona odroczone o jeden dzień. Potem przyglądał się w milczeniu, jak głupia Ysel ciągle się myli. Nie pomagał jej ani maragowi, miał w sobie dumę łowcy. Nie odpowiadał na pytania i starał się w milczeniu, jak na łowcę przystało, znosić spadające za to

. Po wielu dniach odkrył, że rozumie, co Enge mówiła do innego maraga, którego najmocniej nienawidził, bo bił go i wiązał. Zachowywanie milczenia stało się odtąd jeszcze ważniejsze, bo skrywało w tajemnicy tę wiedzę; maleńka wygrana po druzgocącej klęsce.

Potem Vaintč zabiła dziewczynę. Nie żałował jej, bo była głupia i należało jej się

połączenie z resztą sammadu. Dopiero gdy Vaintč chwyciła jego, mając na pysku świeżą krew zamordowanej, odwaga łowcy opuściła go. Był już tylko zwierzyną. Tak później usprawiedliwiał siebie, usiłując sobie wytłumaczyć, dlaczego uniknął śmierci w *tych* ostrych, okropnych zębach. Tak naprawdę, był wówczas równie przerażony, niezbyt świadom, co robi i przemówił na tyle dobrze, by ocalić życie.

Kerrick był nadal przeświadczony, że zginie któregoś dnia, gdy murgu będą miały go dosyć. Chciał, by nie nastąpiło to jednak jutro, i po raz pierwszy pozwolił sobie na drobny przebłysk nadziei. Każdego dnia pojmował coraz więcej i coraz więcej i lepiej mówił. Mimo to ani razu nie wypuszczono go z komory. Gdy mu na to pozwolą, ucieknie, chyba że chcą go trzymać w zamknięciu do końca życia. Murgu człapały, a nie chodziły, i na pewno potrafi szybciej od nich biegać. W rym tkwiła jego tajemna nadzieja i ze względu na nią robił wszystko, o co go proszono, licząc na to, że zostanie mu zapomniana krnąbrność.

Każdy dzień zaczynał się tak samo. Stallan otwierała drzwi i wchodziła. Kerrick starannie ukrywał swą nienawiść do tej gwałtownej natury. Choć się już nie wyrwał, łowczyni nadal przewracała go na podłogę, boleśnie przyciskała plecy kolanem, nakładając na nadgarstki i kostki żywe więzi. Potem Stallan przeciągała mu po głowie struno-nożem, usuwając odrastające włosy, a przy rym zwykle zacinając. Enge przychodziła później, z owocami i galaretowatym mięsem, do jedzenia którego w końcu się zmusił. Mięso daje siłę. Kerrick nigdy nie odzywał się do Stallan, chyba że biła go żądając odpowiedzi, które padały bardzo rzadko. Dobrze wiedział, że nie ma co liczyć na współczucie tego wstrętnego, chrapliwego stworzenia.

Ale Enge to coś zupełnie innego. Bystrymi oczyma chłopca zauważył, że Enge zachowywała się nie tak jak inne murgu. Choćby to, że wyraziła żal i ból po zabójstwie dziewczyny w przeciwieństwie do Stallan, która je pochwałała. Enge bardzo rzadko przychodziła ze Stallan. Kerrick mówił coraz lepiej i gdy upewnił się, że potrafi powiedzieć to, co chce, zaczął codziennie niecierpliwie oczekiwać na otwarcie drzwi. Gdy wchodziła Stallan, zapominał o wszystkim aż do następnego ranka.

Trwało to do dnia, kiedy weszła również Enge. Kerrick nic nie powiedział, ale wyprężył się tak, że Stallan obeszła się z nim brutalniej niż zwykle. Gdy wykręciła mu rękę do tyłu i poczuł zaciskające się zimne więzi, spytał:

–Dlaczego mnie krzywdzisz i więziesz? Nic ci nie zrobiłem. Jedyłą odpowiedzią Stallan było uderzenie w głowę. Kącikiem oka dojrzał, że słucha go Enge.

–Trudno jest mówić będąc związanym – powiedział.

–Stallan – przemówiła Enge – to stworzenie ma rację.

–Napadło na ciebie, zapomniałaś?

–Nie, ale to się zdarzyło, gdy weszliśmy po raz pierwszy. Przypomnij to sobie, że ugryzło mnie, bo myślało, że krzywdzę samicę. – Zwróciła się do Kerricka. – Czy nadal będziesz próbował mnie zranić?

–Nigdy. Jesteś moją nauczycielką. Wiem, że gdy będę mówił dobrze, dasz mi jedzenie i nie skrzywdzisz.

–Podziwiam to ustuzou, że umie mówić, ale jednak to dziki stwór i musisz być przy nim bezpieczna. – Stellan była nieugięta. – Vaintč nałożyła na mnie ten obowiązek i wypełnię rozkazy.

–Wypełniaj, ale w granicach rozsądku. Uwolnij przynajmniej nogi. Ułatwi to mówienie.

Stellan z oporami przystała na to tego dnia i Kerrick szczególnie się przykładał, bo zrobił krok w kierunku realizacji swego planu.

Nie umiał liczyć mijających dni, zresztą zbytnio mu na tym nie zależało. Gdy był na północy ze swym sammadem, zima różniła się wyraźnie od lata, a przy łowach konieczna była znajomość pór roku. Ale tu, w niekończącym się upale, czas nic nie znaczył. Raz o przezroczystą skórę nad komorą bił deszcz, chmury przyćmiewały światło. Kerrick wiedział tylko, że od śmierci Ysel minęło wiele dni i że potem doszło do przerwy w codziennych lekcjach. Zgrzyt rygla przyciągnął uwagę obu Yilanč, odwróciły się, obserwując otwierające się drzwi. Kerrick ucieszył się z urozmaicenia, dopóki nie zobaczył, że weszła Vaintč.

Chociaż murgu były bardzo do siebie podobne, nauczył się je odróżniać. A Vaintč nigdy nie zapomni. Automatycznie uczynił gest poddaństwa i szacunku, gdy zbliżyła się do nich. Z ulgą spostrzegł, iż jest w dobrym humorze.

–Dobrze ci idzie szkolenie zwierzęcia, Enge. Niektóre głupie fargi nie odpowiadają tak szybko i zrozumiale jak ono. Każ mu coś powiedzieć.

–Możesz sama z nim porozmawiać.

–Mogę? Nie wierzę. Przypomina to wydawanie poleceń łodziom i ich odpowiedzi.

Zwróciła się do Kerricka i powiedziała wyraźnie:

–Płyn w lewo, łódź, płyn w lewo.

–Nie jestem łodzią, ale mogę pójść w lewo.

Odszedł powoli, podczas gdy zaskoczona Vaintč wyraziła zadowolenie:

–Stań przede mną. Powiedz, jakie dostałeś imię.

–Kerrick.

–To nic nie znaczy. Jesteś ustuzou, nie możesz więc mówić prawidłowo. Trzeba to wymawiać „Ekerik”.

Vaintč nie potrafiła zrozumieć, że jego imię składa się tylko z dźwięków. Dodała do niego tony gestowe, tak iż w całości znaczyło to powolno-głupi- Kerricka to nie obeszło.

–Ekerik – powiedział, potem drugi raz, z gestami – powolno-głupi.

–Zupełnie jakbym rozmawiała z fargi – powiedziała Vaintč. – Zauważ jednak – uśmiechnęła się – jak niewyraźnie powiedziało „powolno-głupi”.

–Nie może lepiej – wyjaśniła Enge. – Nie mając ogona, nie jest w stanie wykonać właściwego ruchu. Samo jednak, jak widzisz, nauczyło się tego obrotu, który przypomina właściwy.

–Wkrótce to stworzenie będzie mi potrzebne. Uruketo przywiozło z Inegban* Zhekak, ma pracować z Vanalpč. Jest próżna i tłusta, ale jest też najtęższym umysłem w Entoban*. Musi tu zostać, bo potrzebujemy jej pomocy. Chcę, by jej dogadzano na każdym kroku. Musisz dopilnować, by to ustuzou przyciągnęło jej uwagę. Chcę unaocznić nasz sukces w postaci mówiącego ustuzou.

Gdy Vaintč zwracała się do niego, Kerrick okazywał wyłącznie pełną szacunku uwagę. W przeciwieństwie do Yilanč, których myśl była natychmiast uzewnętrzniana, potrafił bardzo dobrze kłamać. Vaintč obejrzała go od stóp do głów.

–Wygląda na zapaskudzone, musi zostać umyte.

–Jest myte codziennie. To jego naturalny kolor.

–Obrzydliwy. Podobnie jak i jego członek. Czy nie można coś zrobić, by schował go do sakwy?

–Nie ma sakwy.

–To kaźcie ją zrobić i przymocujcie. Takiego koloru jak ciało ustuzou, by nie rzucała się w oczy. A czemu ma tak podrapaną czaszkę?

–Futro jest codziennie golone. Kazałaś to robić.

–Oczywiście, ale nie kazałam, by to stworzenie było przy tym kaleczone. Porozmawiaj z Vanalpč. Niech znajdzie lepszy sposób usuwania futra. Zrób to zaraz!

Gdy wychodziły, Kerrick wyraził jedynie pokorne podziękowanie i szacunek. Dopiero gdy zniknęły za drzwiami, pozwolił sobie na wyprostowanie się i głośny śmiech. Znalazł się w brutalnym świetle, lecz choć miał zaledwie dziewięć lat, nauczył się świetnie w nim poruszać.

Vanalpč przyszła tego samego dnia, przyprowadzona przez Stallan. Za nimi ciągnął się jak zwykle orszak pomocnic i gorliwych fargi. Było ich za dużo jak na małą komorę i Vanalpč kazała wszystkim, poza pierwszą asystentką, pozostać na zewnątrz. Asystentka położyła paczki i pojemniki na podłodze, podczas gdy Vanalpč obeszła Kerricka wokół, przyglądając mu się bacznie.

–Nigdy dotąd nie widziałam żywego ustuzou – powiedziała. – Znam je jednak dobrze. Zrobiłam sekcję tego drugiego.

Powiedziała to za plecami chłopca, tak że nic nie zrozumiał. Dobrze się stało, bo wyrażenie określające sekcję oznaczało dosłownie „ciąć-martwe-ciało-na-kawałki-dla-nauki”.

–Powiedz mi, Stallan, czy to naprawdę mówi?

–To zwierzę – Stallan nie podzielała powszechnego zainteresowania ustuzou i pragnęła jego śmierci. Słuchała jednak rozkazów i nie krzywdziła go.

–Mów! – rozkazała Vanalpč.

–Co mam ci powiedzieć?

–Cudownie! – Vanalpč opuściło dalsze zainteresowanie. – Czego używacie do usuwania futra?

–Struno-noża.

–Bardzo nierozsądnie. Pocięłaś zwierzę. Tak można ciąć jedynie mięso. Przynieś mi unutakha – poleciła pomocnicy.

Ta położyła na dłoni Vanalpč brązowe, podobne do ślimaka stworzenie.

–Używani go do przygotowywania próbek. Zjada futro, ale nie skórę. Jak dotąd stosowano je wyłącznie do martwych okazów. Zobaczmy, czy poradzi sobie z żywym.

Stallan przewróciła Kerricka na podłogę i przytrzymała. Vanalpč wyprostowała

skręconego unutkanha i położyła na głowie chłopca. Zadrżał od zimnego, śluzowatego dotknięcia, co wzbudziło wesołość u Yilanč. Czuł wilgotne pełzanie po skórze.

–Bardzo dobrze! – stwierdziła Vanalpč. – Ciało nienaruszone, a futro usunięte. Teraz następna sprawa. Ustuzou potrzebuje sakwy. Mam tu wygarbowaną skórę, barwą pasuje niemal idealnie. Pozostaje tylko umieszczenie jej we właściwym miejscu i przymocowanie. Zaopatrzyłam ją w specjalne bandaże, by przylegała do skóry. Dobrze. Podnieś to teraz.

Brutalne i nieprzyzwoite dotknięcia omal nie doprowadziły Kerricka do płaczu, ale się opanował. Murgu nie zobaczą go we łzach. Zimny ślimak pełził mu po głowie, teraz siedział na oku. Gdy zsunął się, zerknął w dół, na przymocowany sączeł. Nie przejęło go to. Zapomniał o nim, gdy ślimak powoli przesuwiał się po rzęsach drugiego oka.

Dopiero po wielu latach Kerrick dowie się, że sakwę wykonano z zachowanej i dobrze wyprawionej skóry Ysel, dziewczyny, którą zamordowano na jego oczach.

ROZDZIAŁ XV

–Długo myślałam o twojej pozycji – powiedziała Enge. – Doszłam do wniosku, że jesteś najniższy z niskich.

–Jestem najniższy z niskich – przytaknął Kerrick, starając się skupić na jej słowach, by nie myśleć o pełznącym mu po głowie wilgotnym unutakhu. Oczyszczał mu skórę z włosów dopiero trzeci dzień i chłopca nadal to denerwowało. Niecierpliwie czekał końca, gdy będzie już mógł zmyć lepkie ślady. Nabierał coraz większego szacunku do stworzonka. Gdy zdejmował je poprzedniego ranka, przyczepiło mu się do palca i zjadło przeszło połowę paznokcia. Teraz odpełzło na tył głowy i Kerrick mógł wierzchem dłoni wytrzeć pozbawione brwi i rzęsy oczy.

–Czy słuchasz mnie uważnie? – spytała Enge.

–Tak. Jestem najniższy z niskich.

–Nie mów w ten sposób. Nie nauczyłeś się jeszcze mówić prawidłowo. A przecież musisz. Powiedz to tak: Najniższy z niskich.

Kerrick zapamiętał jej pochyloną postać, podkulony ogon i spróbował to powtórzyć najlepiej jak umiał.

–Teraz lepiej. Musisz ćwiczyć. Bo niedługo staniesz przed najwyższymi tutaj, a one nie zniosą obrażania mowy.

–Skąd wiesz, że jestem najniższy z niskich? – spytał Kerrick, jak gdyby nie wiedział, o co chodzi. W istocie rozmowa zaczęła go nudzić, choć była niepokojąca.

–Vaintč jest eistaą i rządzi w Alpčasaku. Jest najwyższa. Pod nią, ale bardzo wysoko nad tobą i nade mną, są Stallan, Vanalpč i inne kierujące miastem. Choć teraz mówisz lepiej od wielu fargi, to i tak stoisz od nich niżej, bo one są Yilanč, a ty jesteś ustuzou, zwierzęciem umiejącym mówić, lecz mimo to zwierzęciem.

Kerricka nic nie obchodziła struktura społeczna Yilanč i powiązania między ich pozycją a przywilejami. Zaciekawilo go tylko słowo, którego dotąd nie słyszał.

–Kim są fargi?

–To, no, po prostu fargi. – Enge uświadomiła sobie, że niczego nie wyjaśniła. Długo siedziała nieruchomo, szukając definicji. Trudno ją było sformułować, jak w każdym oczywistym przypadku, nad którym nikt się nie zastanawia. – To tak, jakby spytać: Czym jest słońce? Jest słońcem. Definiowane pojęcie jest sobą samym. – Wiedziała, że fizyczki mogłyby jej podać wiele faktów dotyczących słońca, znacznie więcej, niż

jest to potrzebne. Skoro jednak ma tak wykształcić ustuzou, by pokazało się publicznie, to musi ono poznać wszystkie znane innym pojęcia. Oczywiście między innymi i to, czym są fargi. By to wyjaśnić, musiała zacząć od początku.

–Po opuszczeniu plaż narodzin młode zanurzają się w oceanie. Żyją w nim wiele lat, rosnąc i dojrzewając. To szczęśliwy okres, bo ryby łapie się łatwo i prawie nic nie zagraża. Wszyscy wchodzący do oceanu tworzą jedno efenburu. Są dla siebie efenselč, wiąże to ich do końca życia. Gdy osiągną dojrzałość, wychodzą z oceanu, by żyć na lądzie. Samce są odłączane i odprowadzane do miasta. Są za głupie, by samodzielnie zdobywać pożywienie. To trudny okres, bo każda fargi musi sama zacząć sobie radzić. Żywności jest mnóstwo, ale czyhają niebezpieczeństwa. Miasto zapewnia przeżycie i młode udają się tam, zdobywają doświadczenie i uczą się mówić, tworząc najniższy poziom miasta. To są fargi. Ty jesteś od nich niższy.

–To rozumiem, tylko nie zrozumiałem słów o samcach. Czy fargi to samice?

–Oczywiście.

–Ale ty jesteś samcem.

–Nie obrażaj mnie. Nigdy nie widziałeś samca, bo przebywają zamknięte w hanałč.

Kerricka zaskoczyły te słowa. Samice – wszystkie murgu to samice! Nawet ta paskudna Stallan. Rzeczywiście, u tych murgu nic nie trzyma się kupy. Wszyscy Tanu umieją mówić, nawet dzieci. Te murgu muszą być głupie.

–Cóż dzieje się z tymi, które nie nauczą się mówić? – spytał.

–To nie twoja sprawa. Zapamiętaj tylko, że stoisz niżej od najniższej fargi, nawet od yleibe, czyli mówiącej z najwyższym trudem.

–Jestem najniższym z niskich – zgodził się Kerrick tłumiąc ziewanie.

Chwilę później lekcję przerwało odryglowanie drzwi. Kerrick przybrał kamienną twarz, by ukryć wstręt, jaki odczuwał, gdy wchodziła Stallan. Teraz przyniosła zamknięte naczynie.

–Nadeszła pora – powiedziała Stallan. – Vaintč chce, by przyprowadzić ustuzou. Przyniosłam to, by je spętać.

Kerrick nie protestował, gdy Stallan zdjęła unatakha. Potem wyszorowała chłopca od stóp do głów wodą. Nie spodobała jej się więź ściskająca mu nadgarstki i zastąpiła ją nową. Następnie wyjęła z naczynia coś długiego i ciemnego, co trzymane za jeden koniec skręcało się powoli.

–Nie chcemy żadnych kłopotów z tym ustuzou – powiedziała Stallan, przewracając Kerricka i owijając mu szyję wyjętym stworzeniem, które zacisnęło pysk na własnym ciele, tworząc ciasną pętlę. Łowczyni trzymała je mocno za ogon.

–Kaź mu iść za tobą – powiedziała do Enge, nadal uznając, że Kerrick to nic innego jak tylko wytresowane zwierzę. Odczuwali do siebie jednakową nienawiść.

Kerrick nie przejął się rym: po raz pierwszy od schwytania zobaczy, co znajduje się za drzwiami. Mgliste wspomnienia bólu, zatarty obraz lasu i drzew były wszystkim, co pozostało mu w pamięci z drogi do komory. Teraz był czujny. Starał się udawać pokornego i posłusznego. Enge szeroko otworzyła drzwi. Ruszył za nią, z rękoma związanymi na plecach. Stallan szła z tyłu, mocno trzymając smycz.

Widział przed sobą słabo oświetlony, zielony tunel. Podłoga była drewniana jak w komorze, lecz ściany miały inną konstrukcję. Składały się na nie różne rośliny, cienkie i grube pnie drzew, pnącza, kwitnące krzewy oraz wiele dziwnych, nieznanym mu organizmów. Zachodzące na siebie liście tworzyły pułap. W bocznych korytarzach dostrzegał poruszające się postacie, potem wyszli na oświetloną słońcem przestrzeń. Po długim uwięzieniu mrużył oczy od nagłego blasku. Światło sprawiało ból, lecz mimo to uważnie rozglądał się zażawionymi oczyma.

Czy to wszystko wkoło to Alpčasak? Gdy Enge opowiadała mu o mieście, wyobrażał je sobie jako olbrzymie obozowisko z niezliczonymi namiotami rozciągającymi się jak okiem sięgnąć. Powinien był się domyśleć, że murgu nie mają pojęcia o prawdziwym obozie. Chociaż ta gmatwanina korytarzy i drzew była imponująca. A wszędzie, gdzie spojrzał, dostrzegał murgu. Miał wrażenie, że go osaczają. Przechodziły go ciarki, gdy tłoczyły się wokół niego, przepychały, by zobaczyć ustuzou, dotknąć je. Były głupie, wiele potrafiło ledwo mówić. To muszą być te fargi, o których słyszał.

Korytarz zakończył się nagle otwartą przestrzenią, znacznie większą od mijanych uprzednio. Oczy Kerricka przywykły już do światła, dostrzegał wokół grupki Yilanč. Stallan krzyknęła ostro i fargi rozsunęły się, umożliwiając im przejście. Szli po twardo ubitej ziemi ku ścianie, pod którą czekała mała grupka. Dwie spośród stojących miały bardzo wysoką pozycję, bo nawet z daleka widać było, z jakim szacunkiem zachowują się ich towarzyszeki.

Kerrick rozpoznał Vaintč, tej nigdy nie zapomni. Obok eistai przycupnęła bardzo gruba Yilanč o mocno naprężonej skórze, która robiła wrażenie, jakby miała pęknąć. Vaintč zatrzymała ich gestem i zwróciła się do stojącej obok grubaski.

–Widzisz tu, Zhekak, jedno z ustuzou, które popełniły znaną ci zbrodnię.

–Przyprowadź je bliżej – nakazała Zhekak cienkim głosem, tłuszcz utrudniał ruchy jej kończyn. – Nie wygląda na zbyt groźne.

–Jest jeszcze młode. Dorosłe są gigantyczne.

–To ciekawe. Pokażcie mi jego uzębienie.

Gdy Kerrick zastanawiał się nad znaczeniem nowego wyrażenia, Stallan złapała go z tyłu za głowę i rozwarła mu usta. Przyciągnęła go bliżej, by Zhekak mogła zajrzeć mu w zęby. Była zdziwiona tym, co ujrzała.

–Bardzo podobne do zachowanych okazów, Vanalpč. Jest tu wiele do zbadania, bardzo interesujące. Widzę już dzień, gdy Alpčasak górować będzie nad innymi miastami wiedzą o ustuzou i ich wykorzystywaniu.

Vaintč cała promieniała zadowoleniem.

–Jest jeszcze coś, co powinnaś wiedzieć. Ono mówi.

Zhekak cofnęła się, wyrażając niewiarę, zdziwienie, nieprawdopodobieństwo i szacunek, a jej potężne ciało wiło się, gdy próbowała powiedzieć to wszystko naraz.

–Zademonstruj – nakazała Vaintč.

Stallan przyciągnęła Kerricka do siebie, a Enge stanęła z bolcu, by mógł ją widzieć.

–Powiedz swe imię stojącym przed tobą i mającym wysokie pozycje.

–Jestem Kerrick, najniższy z niskich. Zhekak była szczodra w pochwałach.

–Wspaniała tresura. Nigdy dotąd nie widziałam zwierzęcia, które umiałoby powiedzieć swe imię.

–Ono umie więcej – słowa Enge były pełne szacunku dla Zhekak. – Potrafi mówić tak, jakby było Yilanč. Możesz z nim porozmawiać, jeśli zechcesz.

Zhekak spojrzała z ogromnym niedowierzaniem. Pochyliła się i powiedziała bardzo wolno i bardzo wyraźnie:

–Trudno mi w to uwierzyć. Chyba nie umiesz mówić.

–Umiem. Potrafię mówić bardzo szybko i bardzo wyraźnie.

–Wytresowano cię, byś to powiedziało.

–Nie. Uczyłem się tak jak fargi.

–W oceanie?

–Nie, nie umiem pływać. Uczyłem się mówić, słuchając Enge.

–To bardzo dobrze. – Zhekak powiedziała to z pogardliwą obojętnością, zrozumiała dla Enge. Słowa uznania dla tej, która sprawiła tyle kłopotów w dalekim, ukochanym Inegban*? Tylko takie tępe zwierzę jak to może mówić dobrze o Córce Śmierci. Odwróciła się ku Vaintč.

–Tobie należą się gratulacje, zrobiłaś coś z niczego, miasto z dżungli, mówiące ustuzou, nauczycielkę ze skazanej. Przyszłość Alpčasaku na pewno zawsze będzie pełna sukcesów.

Vaintč odesłała gestem Enge i Kerricka, po czym powiedziała do Zhekak:

–Na zawsze zapamiętam te słowa. Nowy świat to nowe sprawy. Staramy się robić, co tylko możemy. A teraz – czy posilisz się? Mamy tu nowe potrawy, jakich nigdy nie próbowałaś.

Zhekak kłapnęła ustami, wyrażając ochotę.

–Opowiadano mi o nich, chciałabym się sama o tym przekonać.

„Gruby maragu, jedz i pęknij” – pomyślał Kerrick, lecz nie zdradził się nawet najmniejszym gestem.

Stallan szarpnęła za smycz i pociągnęła Kerricka. Kerrick zachwiał się, o mało nie upadł, lecz nie zaprotestował. Opuścili wielką, otwartą przestrzeń i wrócili do zielonych tuneli miasta. Enge skręciła w inny tunel i Kerrick rozejrzał się uważnie. W pobliżu nie było nikogo, mało kto w oddali przechodził. Kerrick krzyknął głosem pełnym bólu:

–Pomóż mi. Jak boli! To na szyi... Duszę się.

Stallan odwróciła się i uderzyła Kerricka w bok głowy za to, że jej przeszkadza. Wiedziała jednak, że trzeba to zwierzę utrzymać przy życiu. Smycz należy poluzować. Wypuściła ją z ręki i sięgnęła ku głowie zwierzęcia.

Kerrick skręcił i pobiegł, słysząc za sobą wściekły ryk.

Biegnij, chłopcze, biegnij, najszybciej jak umiesz, szybciej niż murgu. Przed nim stary dwie nic nie rozumiejące fargi.

–Na bok! – rozkazał – i usłuchały.

Głupie, jakie głupie stworzenia. Smycz waliła go po ramieniu, uniósł więc ręce, i przytrzymał ją, by mu nie przeszkadzała. Dobiegł do otwartego miejsca, obejrzał się

przez ramię i zobaczył, że Stallan została daleko z tyłu. Miał rację, te stworzenia nie umiały szybko biegać.

Zwolnił trochę, biegł swobodniej i spokojniej. Mógł tak biec cały dzień. Oddychał głęboko, walił stopami o podłogę w ucieczce przed śmiercią.

Nie można go było zatrzymać. Gdy widział przed sobą grupę murgu, skręcał. Fargi usuwały się na każde polecenie. Jakiś marag nie cofnął się, spróbował go schwycić, ale wywinął mu się przed jego niezdarnymi ruchami i pobiegł dalej. Gdy został wreszcie sam w ocienionym listowiem korytarzu, stanął, by zaczerpnąć tchu – i zastanowić się.

Ciągle był w mieście. Słońce przedzierało się przez liście. Późne popołudnie, morze jest za nim, ląd przed nim, tam gdzie zachodzi słońce. Tam musi iść.

Miasto przechodziło niepostrzeżenie w pole. Zwolnił, by odpocząć, zrywał się do biegu tylko wtedy, gdy go zauważono. Pierwszą przeszkodą, którą musiał pokonać, był gruby płot najeżony długimi cierniami. Zabiło mu serce. Gdyby go tu dogoniono, znalazłby się w potrzasku. Biegł szybko wzdłuż żywopłotu, szukając w nim przejścia. Spostrzegły go dwa murgu i coś wołały. Tak, to tam, gdzie grube pnącza przeplatały się w otworze. Musiały się jakoś rozsuwać, nie zastanawiał się jednak nad tym, upadł na płask i prześliznął się pod najniższą łodygą. Spojrzało nań stadko małych saren, które panicznie uciekły w wysoką trawę. Pobiegł za nimi, aż skręciły nagle przed następnym płotem. Teraz, gdy wiedział czego szukać, łatwo dojrzał zasłonięty pnączami otwór. Gdy padał, by się pod nimi przeczołgać, obejrzał się i zobaczył grupę murgu na drugim końcu pola. Dopiero zaczynały otwierać bramę, pod którą się przecisnął. Nigdy go nie złapią! Wreszcie znalazł się na ostatnim polu. Musiało być ostatnie, bo tuż za nim widział wysoką, zieloną ścianę dżungli. Mijał już jej małe skrawki, ale otoczone przez płoty i pola. Dżungla za tym płotem ciągnęła się bez końca, ciemna i przerażająca. Ale każde z niebezpieczeństw, jakie mogła kryć, wydawało się niegroźne w porównaniu z tymi, które pozostawiał za sobą w mieście. Prześliznął się pod pnączami na pole i wstając zobaczył przyglądające mu się ogromne zwierzęta.

Ogarnął go lęk. Trząśił się tak bardzo, że nie mógł zrobić kroku. Były wielkie, większe od mamutów. Murgu jak z najczarniejszego koszmaru. Szare, pomarszczone, o wielkich jak pnie łapach, wznoszących się niebotycznie, olbrzymich kościstych tarczach, skierowanych prosto w niego rogach na nosach. Serce Kerricka biło tak mocno, iż bał się, że wyskoczy mu z piersi.

Dopiero po chwili spostrzegł, że nie zbliżają się do niego. Małe oczka wśród pomarszczonej skóry patrzyły w dół i ledwo go widziały. Ciężkie łby opuściły się i ostre szczęki zaczęły szarpać trawę. Krok po kroku obszedł je dookoła, w kierunku częściowo wyrosłego płotu, mającego wielkie przerwy, za którymi widniała mroczna

dżungla.

Wolność! Uciek! Odgarnął kilka zwisających pnączy i stanął na bagnistym podłożu dżungli. Znow odgarnął na bok uparte pnącza, potem jeszcze raz.

Odkrył, że czepiają się jego ręk, powoli zaciskają się wokół niego. To nie były pnącza, lecz żywe potrzaski. Darł je, próbował gryźć, lecz bez skutku. Był blisko, tak blisko. Gdy odwrócił się w chłodnym uścisku, zobaczył zbliżające się polem ku niemu murgu. Tak blisko.

Spojrzał znów na dżunglę, wisząc bezwładnie. Już nie walczył, szarpnął się tylko słabo. Usłyszał cichy ruch, gdy ręce o dwóch kciukach złapały go brutalnie. Patrzył na drzewa i wolność.

Liście nad nim rozchyliły się na chwilę i dostrzegł brodatą twarz. Zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Potem zawleczono go znów w niewolę.

ROZDZIAŁ XVI

Zatopiona w myślach Vaintč siedziała odprężona i nieruchoma, oparta wygodnie o swe drzewo wypoczynkowe. Otaczające ją pomocnice rozmawiały cicho. Za nimi cisnęły się zawsze obecne fargi. Vaintč tkwiła w oazie spokoju, nikt nie odważyłby się zakłócić bezruchu eistai. Jej myśli były siłą napędową miasta.

Tym razem jej umysł zaprzętała jedynie zapiekła nienawiść. Ukrywała ją w całkowitym bezruchu. W odrętwieniu, kątem prawego oka wolno śledziła oddalające się postaci. Vanalpč, jej niezastąpiona pomocnica w rozbudowie miasta, uczona Zhekak, która może wkrótce okazać się równie ważna, a z nimi Alakensi, groźna, ciężąca niczym kamień zwisający u szyi. Malsas zaplanowała to dobrze, z subtelnością i złośliwością. Teraz, gdy wykonano już najważniejsze prace wstępne, Alakensi ma dopilnować, by Malsas wyciągnęła z nich korzyści, obserwować i zapamiętywać, a potem, po przybyciu Malsas, przekazać jej przywództwo. Dlatego poszła z obiema uczonymi, nadskakując Zhekak i słuchając uważnie, o czym rozmawiają obie Yilanč.

Gdy zniknęły z pola widzenia, Vaintč zobaczyła Enge, która nadeszła cicho i stała schylona w geście pełnym pokory.

–Zostaw mnie – powiedziała oschle Vaintč. – Z nikim nie rozmawiam.

–To bardzo ważna sprawa. Błagam o wysłuchanie.

–Idź.

–Musisz to usłyszeć. Stallan bije ustuzou. Obawiam się, że je zabije. Vaintč zażądała natychmiastowych wyjaśnień.

–Stworzenie próbowało uciec, lecz zostało schwytane. Stallan strasznie je bije.

–Nie pozwalam! Każ jej przestać. Czekaj – zrobię to sama. Chcę usłyszeć coś więcej o ucieczce. Jak to się stało?

–Wie tylko Stallan. Nikomu nic nie powiedziała.

–Mnie powie – oświadczyła Vaintč gestem podkreślającym swą władzę.

Gdy doszły do celi, zobaczyły otwarte drzwi, a odgłos ciosów i jęki słychać było już na korytarzu.

–Przestań! – rozkazała Vaintč, gdy tylko stanęła w drzwiach. Powiedziała to takim głosem, że Stallan zamarła z uniesioną ręką, w której tkwiła spryskana krwią smycz.

U jej stóp leżał nieprzytomny Kerrick, którego plecy rozorane były do krwi.

–Zajmij się stworzeniem! – nakazała Vaintč i Enge skoczyła ku niemu.

–A ty odłóż smycz i mów, co się stało!

W jej słowach czaiła się niechybna śmierć. Nawet nieustraszoną Stallan przeszedł dreszcz. Smycz wypadła jej z ręki; zmusiła się do odpowiedzi. Wiedziała, że wystarczy jeszcze kilka słów rozwścieczonej Vaintč i będzie zgubiona.

–Stworzenie uciekło mi, pobiegło. Bardzo szybko. Nikt nie mógł go dogonić. Biegłyśmy tuż za nim na pola, wciąż jednak nie dość blisko. Uciekłoby, gdyby nie jeden z potrzasków umieszczonych wokół pól dla powstrzymania nocnych napaści ustuzou.

–Tak niewiele brakowało. – Vaintč przyglądała się drobnej postaci chłopca. – Te dzikie zwierzęta są zdolne do rzeczy, o których nic nie wiemy. – Gniew jej już przechodził i Stallan poczuła ulgę. – Ale w jaki sposób uciekło?

–Nie wiem, Eistao. Czy też raczej wiem, co się zdarzyło, lecz nie potrafię tego wytłumaczyć.

–Spróbuj.

–Szło obok mnie, słuchając poleceń. W pewnym momencie zatrzymało się i uniosło rękę do pętli tej smyczy, charcząc i mówiąc, że się dusi. Mogło tak być. Sięgnęłam do pętli, lecz zanim jej dotknęłam, ustuzou uciekło. I nie charczało.

–Ale powiedziało ci, że się dusi?

–Powiedziało.

Vaintč zastanowiła się głęboko nad słowami łowczyni.

–Nie trzymałaś smyczy?

–Puściłam ją, gdy sięgałam do pętli. Zwierzę charczało, nie mogło uciec.

–Oczywiście. Zrobiłaś jak należy. Ale ono nie charczało. Jesteś tego pewna?

–Całkowicie. Biegło długo i oddychało swobodnie. Po schwytaniu go najpierw sprawdziłam pętlę. Była dokładnie tak samo zaciśnięta, jak wtedy gdy ją zakładałam.

–To niewytłumaczalne – powiedziała Vaintč, przyglądając się nieprzytomnemu ustuzou. Klęczała nad nim Enge, ścierając krew z pleców i piersi. Miało bezbarwne, podrapane powieki i zakrwawioną twarz. Aż dziw, że przeżyło „troskę” Stallan. Pętla nie dławiła go, to pewne. Powiedziało jednak, że się dławi. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale tak było.

Vaintč zesztyniała. Znieruchomiła na myśl, niewiarygodną myśl, która nigdy by nie przyszła do głowy prostej łowczyni. Powstrzymała tę myśl, ukryła ją, polecając Stallan brutalnie i sucho:

–Wyjdź natychmiast!

Stallan poczuła ulgę, zrozumiałwszy, że chwilowo uratowała życie. Udało jej się zapomnieć o tym, co się zdarzyło.

Inaczej Vaintč. Enge była nadal odwrócona plecami, tak iż nie mogła zrozumieć, co dzieje się w głowie eistai. Ta mogła dzięki temu dokładnie rozważyć całą sytuację.

Wydawało się to po prostu niemożliwe. A jednak się zdarzyło. Jedną z pierwszych rzeczy, jakiej się nauczyła z wiedzy o myśli, była pewność, że każde wyjaśnienie musi być prawdziwe.

Ustuzou powiedziało, że pętla je dłwi, lecz pętla go nie dławiła.

Fakt nie był faktem.

Ustuzou powiedziało o fakcie, który się nie zdarzył.

W języku Yilanč brakowało na to słowa czy wyrażenia, tak iż musiała je stworzyć. Ustuzou skłamało.

Żadna Yilanč nie potrafi kłaniać. Nie ujawniać myśli mogły tylko w bezruchu lub zatrzymując pracę mózgu. Oznajmienie było myślą, a myśl była oznajmieniem. Mówienie było równoznaczne z myśleniem.

Ale nie u ustuzou.

Mogło myśleć jedno, a mówić drugie. Mogło wydawać się spokojne i pokorne, potem powiedzieć, że się dławi – podczas gdy cały czas myślało tylko o ucieczce. Mogło kłamać.

To stworzenie musi być utrzymane przy życiu, hołubione, strzeżone i pilnowane, by nie uciekło. Co do przyszłości – Vaintč nie była pewna szczegółów. Wiedziała jednak na pewno, że jej przyszłość zależy od ustuzou. Wykorzystała je i jego zdolność do kłamania. Użyła do zdobycia pozycji, do zaspokojenia ambicji.

Teraz jednak musi przestać myśleć o tym nieprawdopodobnym talencie. Musi to zachować dla siebie. Musi zakazać wszelkich rozważań o przyczynie ucieczki.

Czy Stallan ma umrzeć? Zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym zrezygnowała. Łowczyni była zbyt cenna. Stallan usłucha nakazu milczenia, usłucha

go chętnie, gdyż wie jak blisko śmierci się znalazła, budząc gniew Vaintč. Uspokoiwszy się, Vaintč zwróciła się do Enge.

–Czy stworzenie jest ciężko ranne?

–Trudno powiedzieć. Jest podrapane i pocięte, ale może to wszystko.

–Patrz, poruszyło się, otwiera oczy.

Kerrick widział jak przez mgłę dwa stojące murgu. Nie udało mu się uciec, był pokaleczony i pokonany. Spróbuje następnym razem.

–Powiedz, co czujesz – rozkazała Vaintč. Ze zdziwieniem spostrzegł w jej słowach troskę.

–Boli mnie. Wszędzie. – Poruszył rękoma i nogami. – To wszystko. Boli mnie wszędzie.

–Bo próbowałeś uciec – powiedziała Vaintč. – Spróbowałeś, gdy Stallan puściła smycz. W przyszłości będzie to niemożliwe.

Kerrick był zbyt zmęczony i zmartwiony, by zastanowić się nad przemilczeniem w słowach Vaintč. Musiała wiedzieć, co powiedział Stallan, by skłonić ją do puszczenia smyczy. Enge tego nie zauważyła, ale on zrozumiał. Dostrzegł to, choć po chwili zapomniał. Był zbyt obolały.

Jedna z uczennic Vanalpč opatrzyła mu rany, a potem przez wiele dni leczenia pozostawał zupełnie sam. Uczennica przynosiła mu rano jedzenie i sprawdzała, jak postępuje gojenie. Skończyły się lekcje mówienia – nie musiał też znosić obecności straszliwej Stallan. Zdjęto mu więzy, lecz drzwi były zawsze mocno zaryglowane.

Gdy ból zmalął, zaczął rozmyślać nad popełnionymi błędami w ucieczce. Następnym razem nie da się tak złapać. Będzie się strzegł fałszywych pnączy, przeskoczy nad nimi i umknie do dżungli.

Czy naprawdę widział wśród liści brodatą twarz? A może było to tylko jego pragnienie, nadzieja? Nie miał pewności. Nieważne. Potrzebna mu nie pomoc, lecz okazja do ucieczki. Następnym razem go nie pochwycą.

Powoli mijał dzień po dniu, aż zagoiły mu się rany i odpadły strupy, ukazując białe szramy. Uczennica nadal codziennie rano przynosiła jedzenie i badała go. Gdy po skaleczeniach na głowie nie pozostało już śladu, przyniosła unutakha, który usunął długie włosy. Znow musiał przywyknąć do śluzowatych ruchów ślimaka. W czasie odwiedzin uczennicy drzwi były zawsze zaryglowane; czuł za nimi groźną obecność Stallan. Nie mógł uciec, ale miał nadzieję, że nie będą go wiecznie trzymać w tej

komorze.

Gdy pewnego dnia uczennica weszła bardzo ożywiona, poczuł, że coś się stało. Umyła go i starannie zbadła całe ciało, sprawdziła, czy skórzana sakwa tkwi przyzwoicie na miejscu, a potem kucnęła i spojrzała na drzwi. Kerrick czuł, że lepiej nie pytać, na co czekają. Nigdy się do niego nie odzywała ani nie odpowiadała na pytania. Usiadł więc i spokojnie patrzył na drzwi.

Był to rzeczywiście niezwykły dzień. Po otwarciu drzwi weszła Vaintč, a za nią przelewająca się, tłusta Zhekak. Z tyłu trzymały się niosące naczynia fargi i pomocnice.

–Uciekło raz – powiedziała Vaintč. – Musimy zrobić wszystko, by nigdy się to nie powtórzyło.

Pomocnica pokazała przezroczysty, galaretowaty przedmiot, długi i gruby jak jej ręka. Drgał ospale, gdy Zhekak owijała go wokół szyi Kerricka. Zimne dotknięcie nie sprawiało mu przyjemności, wiedział jednak, że lepiej nie protestować. Zhekak wydawała szybkie polecenia pomocnicy, która nacierała końce stworzenia jakąś maścią. Następnie zacisnęła je, aż stworzenie utworzyło grubą pętlę na szyi Kerricka.

–Szybko! – rozkazała Zhekak. – Zaczyna się wydzielanie. Owinęły na żywym kołnierzu końcówkę smyczy, a potem wcisnęły ją głęboko w przezroczyste ciało.

–Pochyl się bliżej, Eistao – zawołała Zhekak – a zobaczysz początek procesu.

Przezroczyste ciało zaczęło mętnieć, skrywając znajdującą się w nim smycz.

–Nasze stworzenie to wydzielacz metalu – powiedziała Zhekak. – Odkłada cząsteczki żelaza wokół giętkiego rdzenia. Wkrótce zeszywnieje i umocni się. Będziemy je karmić, aż wokół szyi ustuzou uformuje się metalowa obręcz; tak mocna, że nie da jej się złamać ani przeciąć.

–Wspaniale. Ale co zrobisz z drugim końcem?

Ciało Zhekak zadrżało radośnie. Podeszła do przyglądających się fargi i skinęła na jedną z nich. Była wyższa i grubsza od pozostałych; gdy szła, silne mięśnie napinały jej skórę. Zhekak ścisnęła kciukami umięśnione ramię, lecz nie zdołała zrobić wgłębienia.

–Ta fargi służy mi od wielu lat i nie spotkałam nigdy silniejszej. Prawie nie mówi, lecz wykonuje w laboratorium wszystkie ciężkie prace. Jest teraz do twojej dyspozycji, Eistao. – Małe oczka Zhekak, niema] ginące w fałdach ciała, spoglądały chytrze na milczące otoczenie.

–Oto, do czego będzie służyła. Również wokół jej szyi utworzymy żywy kołnierz i wciśniemy weń koniec smyczy ustuzou. Zostaną połączeni na całe życie.

–Żaden umysł nie może równać się z twoim – powiedziała Vaintč, a wszystkie pomocnice i przyboczne jej przyklasnęły. – Połączeni razem, na zawsze nierozłączni. Mówiono mi, że nasze ustuzou bardzo szybko biega. Powiedz mi, ustuzou, ile przebiegniesz ciągnąc za sobą tę wielką fargi?

Kerrick zachował milczenie, podczas gdy całe otoczenie było wyraźnie rozbawione. Przyglądał się głupawym rysom stworzenia na drugim końcu smyczy i czuł wyłącznie palącą nienawiść. Zauważył, że Vaintč bacznie na niego spogląda. Milczał zrezygnowany.

–Ta fargi otrzyma nowe imię – oznajmiła Vaintč. – Od tej chwili będzie się nazywać Inlčnu*, bo dzięki jej mocarnemu ciału cały świat stanie się dla ustuzou więzieniem. Czy znasz swe imię, silna?

–Inlčnu* – powiedziała zadowolona, dumna, że dostała imię od eistai i że będzie teraz jej służyła.

Uległość Kerricka była w takim stopniu fałszywa, co zadowolenie pozostałych w komorze. Wyciągnął powoli stopę i dotknął nią smyczy, która leżała na podłodze, zastanawiał się, jak może ją rozerwać.

Es mo tarril drepastar, er em so man

drija.

POWIEDZENIE TANU

Gdy zostanie ranny mój brat, wówczas

przeleję krew.

ROZDZIAŁ XVII

Ponad czarnymi sylwetkami drzew niebo płonęło ognistą czerwienią, a nad oceanem pojawiały się już pierwsze, najjaśniejsze gwiazdy, tharmy najsilniejszych wojowników. Czwórka mężczyzn na plaży odwrócona była plecami do gwiazd, wpatrując się w mroczną dżunglę. Bali się ukrytych w niej niewidocznych zwierząt. Siedzieli oparci plecami o drewnianą burtę łodzi, myśląc o jej solidności. Przywiozła ich tutaj i gorąco wierzyli, że zabierze z powrotem z tego pełnego niebezpieczeństw miejsca.

Ortnar nie był w stanie dłużej milczeć i powiedział to, o czym myśleli pozostali:

–Mogą tam być murgu, może przyglądają się nam teraz, gotowe do napaści. Nie powinniśmy tu przyjeżdżać. – Przygryzał niespokojnie wargę, widząc w wyobraźni niewidzialne zagrożenia. Był szczupłym, nerwowym mężczyzną, bardzo lubiącym się martwić.

–Herilak kazał nam tu czekać – powiedział Tellges i to, jego zdaniem, przesądzało sprawę. Nie bał się tego, czego nie widział; wolał otrzymywać rozkazy, niż je wydawać. Będzie czekał cierpliwie na powrót sammadara.

–Ale przecież przepadł na cały dzień. Może zginął, pożarty przez murgu. – Ortnara opanował jak zwykle lęk. – Nie powinniśmy byli płynąć tak daleko na południe. Mijaliśmy stada saren, mogliśmy polować.

–Zapolujemy w drodze powrotnej – powiedział Serriak niespokojnie, podobnie jak Ortnar. – Teraz się zamknij!

–Dlaczego? Czy dlatego, że mówię prawdę? Wszyscy zginiemy, bo Herilak szuka zemsty. Nie powinniśmy byli płynąć...

–Milcz! – rzucił Henver. – Coś się porusza na plaży. Nastawili włócznie, które opuścili z ulgą, gdy na tle nieba zarysowała się wyraźnie sylwetka Herilaka

pokonującego wydmę.

–Nie było cię cały dzień – powiedział z wyrzutem Ortnar. Herilak udał, że tego nie słyszy, i stanął przed nimi, opierając się ciężko na włóczni.

–Dajcie mi wody – rozkazał – i posłuchajcie, co mam wam do powiedzenia.

Pił chciwie, potem rzucił tykwę na piasek i usiadł przy niej. Najpierw cicho i beznamiętnie mówił o rzeczach im znanych.

–Nie ma już sammadu Amahasta. Wszyscy zostali zabici, widzieliście ich szczątki na brzegu. Patrzcie, mam teraz na szyi nóż Amahasta z gwiazdnego metalu, wiecie, że podniosłem go spośród jego kości. To, co znalazłem na plaży pomiędzy tymi szkieletami, upewniło mnie, że śmierć musiała nadejść z południa. Wybrałem was, byście poszli ze mną na poszukiwanie tej śmierci. Wybrałem was, bo jesteście tęgimi wojownikami. Wiele dni płynęliśmy na południe, zatrzymując się tylko po to, by polować na zwierzęta, które napełniały nam brzuchy. Dotarliśmy na południe, do krainy murgu i wiele ich spotkaliśmy. Wczoraj jednak znaleźliśmy coś odmiennego. Natrafiliśmy na ślady, które nie są tropami zwierząt. Poszedłem tymi śladami. Powiem wam teraz, dokąd mnie doprowadziły.

Coś w głosie Herilaka zmusiło ich do milczenia. Uspokoił się nawet Ortnar. Ostatnie blaski zachodzącego słońca pokrywały twarz Herilaka krwistą czerwienią, krwistą maską, podkreślając jeszcze wyraźniej gniew, który kurczył mu wargi, odsłaniając zęby. Zaciskał tak mocno szczęki, że słowa ulegały zniekształceniu.

–Znalazłem zabójców. Tamte ścieżki zrobiły murgu z gatunku, którego nigdy dotąd nie widziałem. Mają tam swe gniazdo, w którym roją się jak mrówki w mrowisku. Nie są to jednak mrówki ani Tanu, choć chodzą wyprostowane jak Tanu. Nie należą do żadnych znanych nam zwierząt, ale są nowym rodzajem murgu. Pływają po wodzie na grzbietach zwierząt jak na łodziach, a ich gniazdo chronione jest ścianą cierni. I wszystkie mają broń.

–Co też mówisz? – w głosie Ortnara brzmiało przerażenie, bo Herilak ożywił jego koszmary. – Że są murgu chodzące jak Tanu? Mające włócznie, łuki i zabijające jak Tanu? Musimy odpłynąć zaraz, szybko, nim nas znajdą.

–Cicho! – nakazał ponuro Herilak. – Jesteś łowcą, a nie babą. Jeśli okażesz strach zwierzętom, na które polujesz, to dowiedzą się o tym, będą się z ciebie wyśmiewały i żadna twoja strzała w nie nie trafi.

Nawet Ortnar wiedział, że to prawda, i zagryzł mocno usta, by nic się z nich nie wymknęło. Jeśli rozmawia się o sarnach, choćby będących bardzo daleko, to usłyszą i uciekną. Jeszcze gorzej, gdy łowca się boi. Dowiedzą się o tym wszystkie zwierzęta i jego kamienne groty nigdy nie uderzą celnie. Ortnar poczuł, że pozostali odsuwają

się od niego. Wiedział, że odezwał się tchórzliwie, bez namysłu. Schronił się w milczenie.

–Te murgu przypominają Tanu, lecz nimi nie są. Obserwowałem je z ukrycia przez cały dzień i widziałem, jak robiły wiele rzeczy, których celu nie rozumiem. Dostrzegłem jednak jakąś broń, choć nie jest to ani włócznia, ani łuk. Wygląda jak kij. Marag podniósł go, rozległ się huk i sarna padła trupem. – Mówił to jakby czekał na zaproszenie, lecz nikt się nie odezwał. – Oto co widziałem, choć nie umiem tego wyjaśnić. Ten kij nie kij jest bronią i jest tam wiele murgu, wiele kijów. To one wybiły sammad Amahasta.

Tellges przerwał długotrwałe milczenie. Wierzył słowom Herilaka, ale też nie wszystko rozumiał.

–Te murgu zabijają głośnymi kijami. Skąd możesz mieć pewność, że to one wymordowały sammad?

–Jestem pewien – głos Herilaka znowu sposepniał. – Mogę mieć pewność, bo znają Tanu. Mogę mieć pewność, bo widziałem, jak złapały chłopca Tanu. Wiedzą o nas. Ale teraz i my wiemy o nich.

–Co zrobimy, Herilaku? – spytał Serdak.

–Wrócimy do sammadu, bo jest nas tylko pięciu przeciwko tylu murgu, że nie można ich policzyć. Nie wrócimy jednak z pustymi rękoma. Musimy ostrzec Tanu przed tym niebezpieczeństwem, pokazać im je.

–A jak tego dokonamy? – spytał Ortnar głosem ciągle drżącym ze strachu.

–Zastanowię się przed zaśnięciem i powiem wam rano. Teraz śpijmy wszyscy, bo jutro czeka nas wiele trudu.

Herilak nie powiedział całej prawdy. Już postanowił, co trzeba zrobić, chciał jednak, by spali spokojnie, nie martwiąc się przedwcześnie. Zwłaszcza Ortnar. Należał do najlepszych łowców, lecz zbyt często myślami wybiegał naprzód. Czasem lepiej nie myśleć, lecz po prostu działać.

Obudzili się o świcie i Herilak kazał im zapakować wszystko do łodzi, by była gotowa do odpłynięcia.

–Gdy wrócimy – powiedział – będziemy musieli natychmiast wyruszyć. Może będziemy ścigani. – Uśmiechnął się na widok nagłego lęku na ich twarzach. – Ale może do tego nie dojdzie, jeśli zachowamy się jak łowcy. Oto co trzeba zrobić. Musimy odnaleźć małą grupkę murgu oddaloną od innych. Wczoraj widziałem takie stadko. Coś tam robiły. Znajdziemy je, a potem, niewidoczni, upolujemy. Wszystkie

bezszelestnie. Gdy zostanie ranny mój brat, wówczas przeleję krew. Gdy mój brat zostanie zabity, odpłacę śmiercią. Teraz ruszamy.

Herilak przyglądał się posępnym, milczącym twarzom, widział, jak ważą jego słowa. Proponował im coś nowego i niebezpiecznego. Upolują i zabiją murgu, które napadły i wymordowały cały sammad Amahasta. Wyrznęły kobiety i dzieci, mastodonty, wszystko. Gdy o tym myśleli, rósł w nich gniew. Byli gotowi. Herilak kiwnął głową, wziął broń, podobnie jak pozostali, i ruszyli do dżungli.

Panował tam mrok, bo gęste liście zasłaniały słońce, ścieżka była jednak dobrze wydeptana i łatwa do odszukania. Szli w milczeniu, słyhać było tylko nawołujące się nad nimi, w sklepieniu dżungli, jaskrawe ptaki. Kilka razy przystawali z wyciągniętymi włóczniami, gdy coś ciężkiego i niewidocznego tratowało w pobliżu poszycie.

Ścieżka wiała się między piaszczystymi pagórkami, porośniętymi ogromnymi sosnami. Poranna bryza przynosiła świeży zapach. Herilak nagle podniósł rękę, zastygli w milczeniu. Sammadar podniósł głowę, wachając powietrze, potem nasłuchiwał, kręcąc głową. Wszystkich doszedł już odgłos potrzaskiwania jakby palących się gałązek lub uderzających o kamienisty brzeg fal. Przekradali się ku niemu, aż do miejsca, gdzie drzewa rozstępowały się, otaczając porośniętą trawą polany tętniące życiem.

W oddali widniało wielkie stado murgu. Czworonożne, krągłe, każde było dwa razy większe od człowieka. Tocząc małymi oczkami, skubały trawę i zjadały szyszki. Jeden stanął dęba, by dosięgnąć gałęzi pyskiem przypominającym dziób kaczkę. Przednie łapy miał małe, z ostrymi pazurami, tylne nogi długie, o pazurach jeszcze ostrzejszych. Herilak nakazał gestem odwrót; będą musieli okrążyć stado. Nim ruszyli, w dżungli rozległ się ryk i spomiędzy drzew wynurzył się wielki marag. Rzucił się na jedną z pasących się bestii. Pokryty był kostnymi płytkami i łuskami, białe sztylety zębów ociekały mu teraz krwią. Jego przednie łapy były drobne i bezużyteczne, lecz pazurami ogromnych nóg tylnych pobawił swą ofiarę życia. Reszta stada uciekła skrzecząc; łowcy ruszyli ich śladem, nim marag w ogóle ich zauważył.

Ścieżka wiodła spod drzew na niski, porośnięty krzakami teren. Ziemia stała się rozmiękła, spod stóp tryskała im woda. Po wynurzeniu się spod osłony puszczy słońce paliło im plecy, wilgotny żar zatykał dech. Ociekali potem i dyszeli ciężko, gdy Herilak kazał im się zatrzymać.

–Widzicie tam, z przodu? – Mówił tak cicho, że ledwo rozumieli jego słowa. – Tę otwartą wodę? To tam je widziałem. Idziemy cicho, nie pokazujemy się.

Poruszali się jak cienie. Nie zachrząściło ani jedno źdźbło trawy, nie poruszył się ani jeden liść. Po kolei docierali na skraj wody, tam zalegli obserwując, sami niewidoczni.

Jeden z łowców cicho wciągnął powietrze. Herilak spojrzął na niego groźnie.

Sammadar uprzedził ich, co zobaczą. Czym innym było jednak bezpośrednio zetknięcie się z rzeczywistością. Patrzyli z przerażeniem, jak cicho płynęły ku nim dwie ciemne postaci. Pierwsza zbliżyła się i minęła ukrytych łowców.

Łódź nie łódź – bo poruszała się bez wiosła. Na przedzie ozdabiała ją wielka muszla. Nie, nie ozdabiała, muszla tam rośla, była częścią żywego stworzenia będącego łodzią. Na swym grzbiecie niosła murgu. Mogły to być tylko te, o których mówił Herilak. Ale rzeczywistość przerosła opowiadanie. Stały wyprostowane jak zniekształceni Tanu. Opierały się na grubych ogonach. Niektóre trzymały dziwne przedmioty, inne zaś długie, ciemne kije, musiała to być broń, o której mówił Herilak. Łowcy w milczeniu obserwowali przepływające stworzenia, odległe zaledwie o krótki lot strzały. Jedno z nich wydawało zgrzytliwe, warczące dźwięki. Wszystko w tej scenie było obce i odpychające.

Ciemne postacie minęły ich, zatrzymały się przy odległym brzegu i murgu wyszły na piasek.

–Widzieliście – powiedział Herilak. – Tak jak mówiłem. Tak samo było wczoraj, potem wróciły. Musicie teraz poruszać się niepostrzeżenie i znaleźć wzdłuż brzegu miejsca, gdzie będzie można swobodnie napiąć łuki. Połóżcie przed sobą strzały. Czekajcie cicho. Gdy będą wracały, każę się wam przygotować. Wybierzcie cele. Zaczekajcie. Napniecie łuki, lecz nie wypuście strzał. Zaczekajcie. Gdy dam rozkaz, zabijecie je wszystkie. Żadne nie może uciec, by ostrzec inne. Czy to jasne?

Patrzył na ich ponure, napięte twarze; każdy łowca przytaknął. W milczeniu zajęli pozycje, położyli się i znieruchomieli w oczekiwaniu. Słońce weszło wysoko, upał się nasilił, kąsały ich owady, a usta mieli suche z pragnienia. Żaden się jednak nie ruszył. Czekali.

Murgu wykonywały dziwne, niezrozumiałe czynności, wydając jednocześnie głośne, zwierzęce odgłosy. Tkwiły nieruchomo jak skały lub skręcały się w ohydnych ruchach. Ciągnęło się to nieznośnie długo.

Ale skończyło się to równie nagle, jak zaczęło. Murgu załadowały swe sprzęty na żywe łodzie i wsiadły na nie. Te, które niosły zabijające kije, na pewno strażniczki, ruszyły pierwsze. Odbiły.

Ptaki zamilkły z żaru, słyszeć było jedynie plusk wody rozcinanej muszlami zbliżających się stworzeń. Były coraz bliżej, aż ukazały się wyraźnie wstrętne, kolorowe wzory na ich łuskowatych skórkach. Płynęły przy brzegu, zrównały się z niewidocznymi łowcami, mijały ich...

Teraz.

Brzęk cięciw, syk strzał. Marag krzyknął chrypliwie, jedyny, który wydał głos, zanim umilkł, gdy druga strzała trafiła go w gardło.

Strzały wbijały się też w ciemne boki żywych łodzi; te miotały się w wodzie, rzucając z siebie ciała martwych murgu. Rozległ się głośny plusk, to Herilak rzucił się do wody i popłynął ku miejscu rzezi. Wrócił, ciągnąc za sobą jedno z ciał, inni pomogli mu wyjść z wody.

Przewrócili maraga na wznak, spojrzeli w jego niewidzące oczy, trącając go z niedowierzaniem łukami.

–Dobrze zrobione – pochwalił Herilak. – Wszystkie zabite. Wracamy, a to zabierzemy z sobą. – Pokazał jeden z zabijających kijów. – Weźmiemy też ciało.

Patrzyli w milczeniu, nic nie rozumiejąc. Herilak uśmiechał się do nich złym uśmiechem.

–Inni muszą zobaczyć to samo co my. Musimy ich ostrzec. Zabierzemy ciało do łodzi. Będziemy wiosłować cały dzień, a jak będzie trzeba, to i całą noc. Musimy oddalić się od tego miejsca i od murgu. Potem, nim marag zacznie za bardzo cuchnąć, obedrzemy go ze skóry.

–Dobrze – powiedział Tellges. – Zabierzemy też czaszkę. Wyprawimy skórę i pokażemy wszystkim.

–Masz rację – przyznał Herilak. – Wtedy nie będzie żadnych wątpliwości, nawet najmniejszych. Każdy Tanu, który zobaczy, co przywozimy ze sobą, uwierzy w to, co widzieliśmy.

ROZDZIAŁ XVIII

Makieta miała cel praktyczny, była rzeczywiście potrzebna przy planowaniu i projektowaniu miasta. Można by zamiast niej zrobić mapę podobną do tych używanych podczas żeglugi na uruketo. Tam posługiwano się nimi jedynie ze względu na niedostatek miejsca. Ponieważ w mieście nie wchodziły w rachubę podobne ograniczenia, zbudowano pomniejszony model Alpčasaku, niezbędny dla planowania, a jednocześnie miły dla oka.

Vaintč okrążyła go wolno, bardzo zadowolona. Został znacznie poprawiony, odkąd z Inegban* przybyła Sňkain ze swymi wyszkolonymi asystentkami. Uzupełniały szczegóły wskazywane im przez badaczki polowe. Teraz drobne drzewa, których rozwój zahamowano, tworzyły centrum miasta, otaczając małą polankę ambesed. Nachyliwszy się, Vaintč dostrzegła złote stoki plaż narodzin, uzupełnione już ścianą cierni.

Tuż za nią stała Alakensi, jakby dla przypomnienia, iż Malsas<przyjmuje szczegółowe sprawozdania z każdego ruchu i postanowienia eistai. Jej dokuczliwa obecność przyćmiewała zadowolenie z osiągnięć. W pobliżu był też Kerrick, który teraz wciąż jej towarzyszył. Był jeszcze bardziej zaintrygowany niż Vaintč, choć pilnował się, by tego nie okazywać. Po raz pierwszy zobaczył model; do tej pory nie wiedział nawet o jego istnieniu. Musi go poznać i zapamiętać w całości. Chcąc uciec z miasta, musi wiedzieć, jaka droga będzie najbezpieczniejsza. Gdy się poruszał, to samo robiła Inlčnu*, pozostająca kilka kroków z tyłu i trzymająca pętlę łączącej ich smyczy. Kerrick tak już przywykł do jej obecności, że zwykle o niej zapominał. Była po prostu częścią życia – jak metalowy kołnierz otaczający jego szyję. Gdy stawał, stawała i ona, odwrócona plecami, nie słysząc nic z tego, co mówiono, zatopiona we własnych, pogodnych myślach, dopóki szarpnięcie smyczy ponownie nie przywróciło jej do życia.

Wokół modelu było jedynie wąskie przejście, tak że fargi musiały pozostawać z tyłu. Wyciągając szyje zaglądały przez drzwi, wymieniały uwagi, podziwiałały przezroczyść powały zmieniającej słoneczne światło w złoty blask.

Vaintč doszła już do drugiego końca modelu, gdzie Sókain pracowała ze swymi pomocnicami. Stanęła za nimi, nim Sňkain uświadomiła sobie jej obecność.

–Witamy, Eistao, witamy – powiedziała, wstając pośpiesznie i otrzepując błoto z kolan. Trzymała w ręku cebulaste stworzenie pomarańczowej barwy.

–Nie przeszkadzaj sobie w pracy – powiedziała Vaintč.

–Już skończona. Dokonałyśmy przeniesienia wymiarów.

–I korzystasz z tego – Vaintč wskazała na pomarańczowe zwierzę. – Nigdy nie widziałam tego stworzenia.

Sňkain podsunęła Vaintč pod oczy chitynowy pancerzyk. Poza maleńkimi wargami i oczami, które przysłaniały łuski, jedynym widocznym szczegółem zwierzęcia była stercząca u góry rurka z licznymi nacięciami z boku.

–Wyjaśnij – rozkazała Vaintč, bo jako eistaa musiała znać nawet najdrobniejszy fragment miasta. Sňkain wskazała na ziemię, gdzie powiększono model, i na drobne drewniane drzazgi, które w nią wtykano.

–Te kawałki drewna odpowiadają tyczkom używanym przy pomiarach. Gdy jesteśmy na polu, umieszczam to stworzenie w jakimś miejscu na ziemi i patrzę przez tę rurkę na oddaloną tyczkę. Potem przyciskam nacięcia, by nakazać instrumentowi zapamiętanie kąta i odległości. Zwracam rurkę ku innej tyczce i robię to samo. Powtarzam to wiele razy. Po powrocie do modelu stworzenie-instrument informuje nas o pomniejszonych odpowiednio odległościach między tyczkami, jak również o kątach między nimi. W ten sposób buduję ten model.

–Cudownie. Co to za kręte paski, które wyrysowałaś na ziemi?

–Kanały, Eistao. Po tej stronie miasta natrafiłyśmy na wielkie mokradła. Teraz odwzorujemy ich zasięg. Vaintč okazała zainteresowanie.

–Potrzeba nam wielu nowych pól. Czy można odwodnić lub zasypać te mokradła?

–Nie sędzę. Ale Akasest, która poprawiła jakość paszy dla trzód, zbadała je i planujemy teraz ich podział na zamknięte obszary. Jest wiele gatunków ziemnowodnych, takich jak uruktuby, które dobrze rozwijają się w takim środowisku.

–To dobre wykorzystanie środowiska. Obie zasługujecie na pochwałę.

–Naszą radością jest służba dla Alpčasaku – powiedziała oficjalnie Sňkain, choć nie ukrywała swego zadowolenia.

Vaintč przypomniwała sobie tę rozmowę po dłuższym czasie.

Ten dzień, podobnie jak wszystkie, był cały wypełniony. Wraz z rozwojem miasta przybywało i pracy. Vaintč musiała podejmować coraz więcej decyzji. Gdy jednak cienie zaczęły się wydłużać, poczuła znużenie i odesłała otaczające ją fargi. Zażądała od Kerricka soczystego owocu. W pobliżu znalazł się jeden, który rósł na drzewie. Chłopiec musiał uderzyć w zieloną bulwę, aż puściły ssawki. Przyniósł ją Vaintč, która otworzyła przykrywkę i wypita zimną, słodką wodę. Zobaczyła idącą spieszenie przez ambesed Stallan, roztrącającą w pośpiechu fargi. Vaintč wiedziała, że oznacza to kłopoty. Było to tak oczywiste jakby łowczyni mówiła na głos.

–Mów – rozkazała Vaintč, gdy Stallan podeszła.

–Zespół mierniczy, Sñkain i jej pomocnice, nie wrócił jeszcze, a już prawie zmierzch.

–Czy kiedyś już się tak spóźniły?

–Nie. Wydałam dokładne rozkazy. Jest z nimi oddział uzbrojonych strażniczek, które sprowadzały je codziennie o tej porze.

–Czyli po raz pierwszy nie wróciły o oznaczonej porze?

–Tak.

–Co można zrobić?

–Do rana nic.

Vaintč opanowało przeczucie nieszczęścia, które udzieliło się wszystkim obecnym.

–Chcę, by bardzo duży uzbrojony oddział był gotów do wyruszenia jutro o świcie. Poprowadzę go.

Obudziła się, gdy pierwsze światło dnia przebiło się przez drzewa. Posłała fargi, by wezwały Kerricka. Ziewnął, przeciągnął się i poszedł za eistaa, jeszcze nie do końca przebudzony. Vaintč nie wzywała Alakensi, ale ta i tak przyszła. Jak zawsze starała się gorliwie dojrzeć coś, o czym będzie mogła donieść Malsas. Gdy przybyły nad rzekę, Stallan i uzbrojone strażniczki już wsiadały na łodzie. Kerrick płynął kiedyś nimi, ale wciąż ciekawiły go te stworzenia. Jedno było właśnie karmione; z pyska zwisały mu jeszcze nogi i ogon małego aligatora. Ukryte pod muszlą drobne oczka łodzi wyszły lekko z orbit, wilgotna skóra z trudem się rozciągnęła i reszta aligatora zniknęła w paszczy. Chłopiec wsiadł wraz z innymi. Pilotka pochyliła się i krzyknęła komendę wprost do ucha łodzi. Tkwiące pod nimi ciało zaczęło rytmicznie pulsować i wyrzucać strugi wody. Mała flotyła ruszyła w górę rzeki pod krwistoczerwonym o świcie niebem.

Stallan płynęła w pierwszej łodzi, pokazując drogę. Po obu brzegach powoli przesuwaly się pola, pasące się na nich zwierzęta uciekały lub przyglądały się tępo. Obok osuszonych pól znajdowały się starannie zachowane i ogrodzone kawałki moczarów. Wielkie drzewa, dobrze ukorzenione w błocie, pozostawiono na miejscu i włączono w żywoptót Róśl już wysoko, jego gałęzie były sprężyste i mocne. Musiały być takie, bo znajdujące się w zamkniętej przestrzeni uruktuby były największymi stworzeniami na ziemi. Gdy się poruszały, olbrzymie cielska powodowały fale zalewające płoty. Drobne głowy wydawały się groteskowo małe na końcach długich szyi. Skubały drzewa i brodziły głęboko w bagnie, szukając roślin podwodnych. Jedno z młodych, większe już od mastodonta, wrzasnęło ostro i wpadło z pluskiem

do wody, gdy łodzie przepływały w pobliżu. Kerrick nie był nigdy w tej części miasta. Dokładnie zapamiętywał szlak, którym płynęli.

Gdy minęli ostatnie pole, zaczęły się nie oczyszczone mokradła. Stallan skierowała małą flotyllę w wąski kanał. Po obu jego stronach rosły wysokie drzewa, ich powietrzne korzenie sterczały wysoko ponad łodziami. Kwiaty rosły tu w wielkiej obfitości, z konarów zwisały białe narośla. W powietrzu unosiły się też roje gryzących owadów. Kerrick zabił jednego, który na nim usiadł. Zaczął żałować, że wzięły go na tę wycieczkę. Nie miał jednak wyboru.

Płynęli teraz wolniej, pokonując coraz węższe kanały, aż w końcu Stallan dała znak zatrzymania się.

–To tu pracowały – zawołała.

Zapanowało milczenie. Słyszeć było tylko skrzekliwy głos ptaka, zataczającego koła nad ich głowami. Nie dostrzegły ani śladu pracujących. Strażniczki ścisnęły broń, rozglądając się na wszystkie strony. Nic. Wreszcie Vaintč przerwała martwą ciszę.

–Musimy je znaleźć. Rozproście się po tych kanałach. Uważajcie! Kerrick miał dobry wzrok i pierwszy zauważył jakiś ruch.

–Tam! – krzyknął. – W nurcie. Coś się tam rusza. Broń natychmiast została skierowana w tę stronę, aż Stallan krzyknęła:

–Zaczniecie strzelać i pozabijacie się nawzajem. Albo mnie. Płynę tam. Kierujcie hčsotsany w inną stronę!

Jej łódź wolno ruszyła do przodu. Stojąc jedną nogą na muszli zwierzęcia, Stallan wpatrywała się w mrok wodnego tunelu.

–W porządku – zawołała. – To jedna z naszych łodzi. – Potem, po długim milczeniu, dodała: – Jest pusta.

Odnaleziona łódź zadrżała, gdy uderzyła w nią łódź Stallan. Drgnęła mocniej, gdy łowczyni na nią wskoczyła. Musiała głośno krzyczeć komendy i mocno kopać, nim łódź oderwała się od brzegu. Zbliżając się do innych łodzi, Stallan milczała, lecz jej wskazujący palec był dostatecznie wymowny.

Coś tkwiło w grubej skórze łodzi. Stallan wychyliła się i wyciągnęła to, aż łódź zadrżała z bólu. Kerrick poczuł, jak głośno bije mu serce w piersi, gdy Stallan pokazała wyciągnięty przedmiot

Strzała Tanu!

Stallan zanurzyła strzałę w rzece, by ją umyć, po czym wychyliła się i podała ją Vaintč. Ta obracała drzewce na wszystkie strony, jakby odczytując zatrważającą wiadomość. Jej grube ciało skręcało się w gniewie i odrazie. Gdy spojrzała na Kerricka, cofnął się jak uderzony.

–Poznajesz, prawda? Ja też wiem, co to jest Wyrób ustuzou z ostrym kamiennym czubkiem. A więc jest więcej tych wstrętnych ustuzou. Nie zabiłyśmy ich wszystkich. Ale zabijemy teraz. Zabijemy wszystkie, co do jednego. Znajdziemy je i wyrzniemy. Łąd Gendasi* jest wielki, ale za mały by ukryć ustuzou. Zostaną Yilanč lub ustuzou. – To Yilanč zwyciężą!

Wszystkie, które to słyszały, syczały potwierdzająco. Kerrick poczuł nagły lęk, że najpierw zabiją jego. Vaintč uniosła strzałę, by rzucić ją daleko, potem opuściła rękę i zamilkła. Spojrzała na Kerricka z nowym, nagłym zainteresowaniem.

Śmierć Sňkain i pozostałych zostanie wykorzystana – pomyślała. Siedziała w milczeniu i bezruchu dłuższy czas, nie widząc ani Alakensi, ani żadnej innej. Wpatrywała się w dal, w coś, co było tylko dla niej widoczne. Czekwały cierpliwie, aż znów się poruszyła i odezwała.

–Stallan, będziesz szukać dalej, póki się nie upewnisz, że wszystkie pracujące tu zginęły. Wróć przed zmrokiem. Ja płynę do miasta. Tam mam obowiązki.

Nieruchomo i cicho siedziała przez całą drogę powrotną do Alpčasaku. Myślała. W myślach rozważała i dopełniała swój plan i gdyby odważyła się ruszyć, wszystkie by go dokładnie poznały. Przewyciężyła bezruch dopiero, gdy znalazły się w basenie. Przesunęła oczyma po szerokich plecach Alakensi, zawahała się chwilę i ruszyła dalej.

Miała w głowie gotowy plan.

ROZDZIAŁ XIX

Nigdy nie odnaleziono nawet śladu po zespole mierniczym. Jedynym smutnym świadectwem ich losu była strzała. Vaintč zaniósła ją sama do komory, gdzie powiększyła zbiór zdobytych przedmiotów ustuzou, spoczywających w wystającej ze ściany kasetce. Potem zasiadła na swym siedzisku mocy i posłała po Vanalpč i Stallan. Wraz z nimi przybyła zawsze kręcąca się w pobliżu Alakensi. Zjrzał także Kerrick, ale eistaa odesłała go gestem. Nie mogła teraz znieść obecności ustuzou. W trójkę długo omawiały sprawę bezpieczeństwa miasta. Będzie więcej pułapek, więcej straży, lecz na razie żadnych zespołów mierniczych. Potem Vaintč odesłała rozmówczynię i zawołała jedną z fargi, ostatnio awansowaną na jej pomocnicę, tę, która najlepiej mówiła.

–Wkrótce przybędzie uruketo. Gdy wyruszy, odpłyniesz na nim. Chcę, byś wróciła do Inegban* i odnalazła Malsas«. Masz jej powiedzieć to, co teraz usłyszysz. Powtórzysz dokładnie moje słowa. Rozumiesz?

–Tak, Eistao. Zrobię, jak rozkażesz.

–Oto przesłanie: Pozdrowienia dla Malsas«, przekazuję ci wiadomość od Vaintč z Alpčasaku. To ważna, pełna gniewu i smutku wiadomość. Mamy straty. Zginęła Sňkain. Ją i inne Yilanč zabiły ustuzou tego samego gatunku, który dokonał masakry na plaży narodzin. Nie widziałyśmy ich, ale wiemy to na pewno. Znalazłyśmy broń z drewna i kamienia, której użyły. Owe ustuzou muszą zostać odnalezione i zabite. Czają się skrycie w dżunglach wokół Alpčasaku. Muszą zostać odnalezione, muszą zostać wybite. Do nogi. Gdy popłynie uruketo do Alpčasaku, proszę cię, byś wysłała nim wiele fargi umiających celnie strzelać, z hčsotsanami i zapasowymi strzałkami. Uważani to za konieczne. Los Alpčasaku wymaga śmierci ustuzou.

Vaintč zamilkła, przytłoczona powagą i zdecydowaniem swych słów. Fargi słaniała się przerażona, iż musi przekazać tak straszliwą wiadomość. Vaintč była jednak dość silna, by się opanować. Kazała fargi powtarzać wiadomość, aż ta zapamiętała ją dokładnie.

Następnego dnia po odpłynięciu uruketo Vaintč posłała po Kerricka. Od wielu dni nie spotykał się z nią i szedł z niepokojem. Niepotrzebnie. Vaintč miała teraz na głowie wiele ważnych spraw, co dostrzegł natychmiast. Wyglądała na zadowoloną z jego przyjścia.

–Inlčnu* – zawołała i wielka postać posłusznie się zbliżyła. – Staniesz przy wejściu, zasłonisz je ciałem i nikogo nie będziesz wpuszczając. Zrozumiałaś?

–Odejda.

–Tak, ale mów to bardziej stanowczo: Odejdź, rozkaz Vaintč. Powtórz!

–Odejdź, rozkaz Vaintč.

–Teraz dobrze. Wykonaj!

Inlčnu* była dobrą odźwierną; słycać było tupot zmykających przed jej złowieszczą postacią. Vaintč zwróciła się do Kerricka tonem wydającej rozkazy eistai.

–Powiesz mi teraz wszystko o ustuzou, twoim gatunku ustuzou. Mów.

–Nie pojmuję znaczenia słów, Eistao.

Vaintč dostrzegła jego strach i uświadomiła sobie, że zadała zbyt ogólne pytanie. Musi być bardziej konkretne.

–Jak się nazywa miasto ustuzou?

–Ustuzou nie mają miast. To jest pierwsze miasto, które zobaczyłem. Ustuzou mieszkają w... – Na próżno szukał w pamięci. Od dawna nie słyszał marbaku, ani nim nie mówił, więc teraz nie znajdował słów. Poprzestał na opisie miękkiej budowli wykonanej ze skór, zawieszanej na tyczkach. – Są one rozkładane, a tyczki ciągną... wielkie zwierzęta z włosami.

–Dlaczego są rozkładane? Dokąd ciągną?

Kerrick wzruszył ramionami, potem wiercąc się, z trudem składał szczątki wyblakłej pamięci.

–Tak po prostu się robi. Poluje się w jednym miejscu, ryby łowi w innym. Tak po prostu się robi.

Wciąż pytając, Vaintč uzyskała kilka dalszych odpowiedzi. Jak się okazało, ustuzou żyją w grupach podobnych do stada, które wymordowały, są też inne grupy, ale nie wiadomo ile. Zatarłe przez czas wspomnienia chłopca były mgliste i niepewne. W końcu Vaintč miała dość wypytywania i przerwała je jednym gestem. Pora na ważniejszą sprawę. Wykorzystując strach i stosując nagrody, wytrenuje to ustuzou, by zrobiło co trzeba. Zmieniła swe zachowanie i zaczęła przemawiać jak eistaa, kierująca życiem miasta i jego mieszkańek.

–Mogę cię w każdej chwili zabić lub kazać zabić – wiesz o tym.

–Wiem – drżał, zaskoczony nagłą zmianą tonu.

–Mogę też cię nagrodzić i sprawić, by cię szanowano, a nie uważano za ustuzou, najniższego z niskich. Chciałbyś tego, prawda? Siedzieć przy mnie, kazać innym

pracować dla siebie. Mogę to zrobić, ale ty z kolei musisz coś zrobić dla mnie. Coś, co tylko ty możesz zrobić. Musisz zrobić dla mnie coś, co tylko ty możesz uczynić.

–Zrobię, o co poprosisz, Eistao, ale nie zrozumiałem, co powiedziałaś. Nie wiem, o czym mówisz.

–O tym, co robisz, gdy mówisz jedno, a myślisz drugie. O tym co zrobiłeś Stellan. Powiedziałaś jej, że się dusisz, a się nie dusiłeś.

–Nie wiem, o co ci chodzi – powiedział Kerrick, udając niewinność, głupotę i niewiedzę.

Vaintč poruszyła się radośnie.

–Wspaniale! Właśnie teraz to robisz. Mówisz co innego i myślisz co innego. Przyznaj się albo zabiję cię na miejscu.

Kerrick zląkł się nagłej zmiany nastroju Vaintč, groźnych ruchów jej otwartego pyska. Przybliżyła się do niego, odsłaniając tuż przed nim straszliwe kły.

–Zrobiłem to, tale, przyznaję. Zrobiłem to, by uciec.

–No widzisz. – Cofnęła się i niebezpieczeństwo minęło. – To, co zrobiłeś, to to czego nie potrafi żadna Yilanč, niech się nazywa kłamstwem. Wiem, że skłamałeś, wiem też, że niewątpliwie będziesz mnie okłamywał w przyszłości. Nie mogę temu zapobiec, ale choćbyś skłamał Inlčnu*, nie pomoże ci to w ucieczce. Teraz, gdy wiemy, że kłamiesz, wykorzystamy to dobrze. Skłamiesz dla mnie. Zrobisz to dla mnie.

–Zrobię, co rozkaże Eistaa – powiedział Kerrick, choć niewiele z tego rozumiał.

–Słusznie. Zrobisz, co każę. Nigdy nikomu nie powiesz o tym rozkazie, bo wtedy zginiesz. Oto kłamstwo, które wypowiesz, a musisz je wypowiedzieć z wielkim przejęciem. Musisz powiedzieć: „Tam, wśród drzew, jest ustuzou, widziałem je!” Oto te słowa. Teraz je powtórz.

–Tam, w drzewach widziałem ustuzou.

–Nieźle. Nie zapomnij! A powiesz to dopiero wtedy, gdy ci rozkażę. Uczynię wtedy taki gest

Kerrick zgodził się chętnie. Było to łatwe, choć nie widział w tym sensu. Groźby były dlań dostatecznie jasne, by nie zapomnieć słów ani znaku. Wędrując przez miasto, mruczał je pod nosem.

Minęło wiele dni, odkąd Kerrick widział Enge po raz ostatni. Rzadko teraz myślał o niej, bo każdą chwilę wypełniało mu używanie dopiero co odzyskanej wolności. Początkowo niechętnie wędrował sam, lecz obecność tępej Inlčnu* dodawała mu trochę otuchy, jako pewien środek bezpieczeństwa. Po opuszczeniu swego pokoju odkrył szybko, jak naprawdę przebiegają podziały w społeczności Yilanč. Prędko zrozumiał, że znajdował się w pobliżu wierzchołka, bo często go widywano w towarzystwie eistai, siedzącego u jej boku. Dla bezimiennych fargi był to dowód na to, jak wysoko stał nad nimi. Niezdarnie okazywały mu szacunek.

Chodząc zielonymi korytarzami, widział, jak fargi, które potrafiły opanować język, szybko włączały się w życie miasta. Zostawały strażniczkami, przygotowującymi jedzenie, rzeźniczkami, nadzorczykami grup robotnic, rolniczkami, zajmowały się różnymi sprawami, o których niewiele wiedział. Z tymi Yilanč rozmawiał jak z równymi sobie lub stojącymi odrobinę wyżej i było to chętnie akceptowane.

Szacunek w sposobie zwracania się rezerwował dla przywódczyń. Ich pozycja była oczywista, choć nie zawsze pojmował, co robiły. Otaczał je tłum pomocnic i asystentek, a te z kolei, gotowe na każde wezwanie, starały się zdobyć ustaloną pozycję w strukturze miasta.

Kerrickowi, który to wszystko obserwował, niewiele pozostawało czasu na tęsknotę za codziennymi odwiedzinami Enge. Miasto było mrowiskiem, w którym aż roiło się od różnorodnych działań. Brakowało mu kogoś, kto wyjaśniłby jakąś niezrozumiałą stronę życia w Alpčasaku. Kilka razy pytał o swą nauczycielkę, lecz z szorstkich odpowiedzi wnioskował, że nie należy poruszać tego tematu. Zaciekawilo go to jednak. Enge i Vaintč rozmawiały, jakby były równe sobie. Skąd więc ta niechęć nawet do imienia Enge? Odrzucił jednak myśl, by zapytać Vaintč, gdzie może znaleźć Enge. Eistaa dała mu jasno do zrozumienia, że to ona zaczyna i kończy rozmowę.

Enge spotkał przez czysty przypadek. Vaintč pozwoliła mu odejść w pobliżu ambesed. Zauważył poruszenie wśród fargi. Pytały się nawzajem o coś i wszystkie spieszyły w jednym kierunku. Zaciekawiony, poszedł za nimi i zdążył akurat zobaczyć, jak cztery Yilanč niosą piątą. Nie mógł w ścisłości podejść bliżej, a postanowił nie zwracać na siebie uwagi i nie kazał im się rozstąpić. Już miał odejść, gdy te same cztery Yilanč powróciły. Szły teraz wolno z rozdziawionymi gębami. Skóry miały ubrudzone, nogi oblepione czerwonym mułem. Kerrick poznał, że jedną nich jest Enge. Zawołał ją, spojrzała na niego. Słuchała, ale się nie odzywała.

–Gdzie byłaś? – spytał. – Nie widywałem cię.

–Moje umiejętności językowe nie są już potrzebne, ustały więc nasze spotkania. Pracuję teraz na nowych polach.

–Ty? – W pytaniu było zdumienie, zaskoczenie.

–Ja. – Trzy towarzyszki stanęły wraz z nią. Skinęła im, by poszły dalej, prosząc Kerricka o to samo.– Muszę wracać do pracy.

Szedł szybko obok niej. Była w tym tajemnica, którą chętnie by poznał. Nie wiedział jednak, od czego zacząć.

–Ta, którą tu przyniosłyście. Co się z nią stało?

–Ukąszenie węża. Tam, gdzie pracujemy, jest ich wiele.

–Dlaczego ty? – Gdy rozmawiali idąc, nikt ich nie słyszał. Człapiąca ciężko Inlčnu* nie liczyła się. – Rozmawiasz z eistaa jak równa z równą, a mimo to wykonujesz teraz pracę gorszą niż najniższa fargi. Dlaczego?

–Niełatwo podać przyczynę. Ponadto eistaa zakazała mi mówić o tym wszystkim z Yilanč.

Enge dostrzegła kryjącą się w tych słowach dwuznaczność. Kerrick nie był Yilanč. Wskazała Inlčnu*.

–Kaž jej iść przed nami, tuż za tymi trzema. Gdy tylko zostali sami, Enge odezwała się z napięciem, jakiego nigdy przedtem nie zauważył.

–Robię to, co i tamte, bo mamy własne niezachwiane przekonania, z którymi nie zgadzają się rządzące. Kazano nam je porzucić, ale nie mogliśmy. Bo gdy raz odkryje się prawdę, nie można się od niej odwrócić.

–O jakiej prawdzie mówisz? – spytał zdumiony Kerrick.

–O niepokojącej prawdzie, że świat i to, co wokół się dzieje, wygląda inaczej, niż można w pierwszej chwili dojrzeć. Czy myślałeś o tym kiedyś?

–Nie – zapewnił szczerze.

–Powinieneś. Choć jesteś młody i nie należysz do Yilanč. Zastanawiałam się nad tobą, odkąd zacząłeś mówić; twoje istnienie jest ciągle dla mnie zagadką. Nie jesteś Yilanč, ale też nie potwornym ustuzou, bo nauczyłeś się mówić. Nie wiem, czym jesteś, ani jakie miejsce zajmujesz w układzie rzeczy wyższych.

Kerrick zaczął żałować, że spotkał Enge. Nie mógł zrozumieć sensu jej słów. Mówiła dalej bardziej do siebie niż do niego.

–Nasza wiara musi być prawdziwa, bo jest w niej siła przekraczająca zdolność pojmowania niewierzących. Ugunenapsa zrozumiała to jako pierwsza, całe życie spędziła na porządkowaniu myśli, zmuszaniu się do zrozumienia nowego. Na

wprowadzaniu w życie pojęć, których przedtem nie było. Mówiła innym o swej wierze, a one śmiały się z niej. Wieści o tym doszły do eistai jej miasta. Ta kazała jej wszystko opowiedzieć. Posłuchała. Mówiła o tym, co jest w nas, czego nie można zobaczyć, co odróżnia nas od nierozumnych zwierząt. Zwierzęta nie mówią. Mowa jest przeto głosem tej wewnętrznej rzeczy, jest ona życiem i wiedzą o śmierci. Zwierzęta nic nie wiedzą o życiu i śmierci. Są, potem ich nie ma. Ale Yilanč wiedzą – a teraz wiesz i ty. Muszę rozwiązać wielką zagadkę, którą muszę ogarnąć. Kim jesteś? Czym jesteś? Gdzie jest twoje miejsce we wzorze?

Enge obróciła się do Kerricka, zajrzała mu w oczy, jakby mogła tam znaleźć odpowiedź na swe pytanie. Nie miał jej jednak nic do powiedzenia i zrozumiała to.

–Kiedyś może się dowiesz – powiedziała. – Jesteś jeszcze za młody. Wątpię mocno, czy zdołasz pojąć cud wizji, jakiej doznała Ugunenapsa, wizji prawdy, którą usiłowała wyjaśnić innym. A także udowodnić! Rozgniewała eistę, która kazała jej porzucić te fałszywe przekonania i żyć jak wszystkie Yilanč od jaja czasu. Ugunenapsa odmówiła, przedkładając swe przekonania ponad miasto i rozkazy jego eistai. Eistaa spostrzegła nieposłuszeństwo, zdarła z niej imię, wygnała z miasta. Czy wiesz, co to znaczy? Nie, nie możesz wiedzieć. Yilanč nie może żyć poza miastem i bez swego imienia, odkąd je otrzyma. Wygnanie oznacza śmierć. Od jaja czasu odesłane z miasta Yilanč skazane były na śmierć. Odrzucenie jest tak silne, że Yilanč natychmiast pada, szybko traci przytomność i wkrótce umiera. Zawsze tak było.

Enge wpadła teraz w dziwny nastrój, przypominało to uniesienie i zachwyt Stanęła, ujęła lekko Kerricka obiema rękoma i patrząc mu w oczy, próbowała przekazać to, w co wierzyła.

–Ale Ugunenapsa nie umarła. W świecie zaszło coś nowego, coś się zmieniło. Nowa prawda była ciągle potwierdzana. Zostałam wygnana z Inegban*, skazana na śmierć – a nie umarłam. Żadna z nas nie umarła, dlatego jesteśmy tu. Nazywają nas Córami Śmierci, bo według nich zawarłyśmy przymierze ze śmiercią. To nieprawda. Nazywamy siebie Córami Życia i tak jest naprawdę. Bo żyjemy tam, gdzie inne giną.

Kerrick uwolnił się z jej zimnych, łagodnych objęć, odwrócił i skłamał:

–Za daleko odszedłem. Nie wolno mi przebywać tu, na polach. – Szarpnął smyczą, unikając wzroku Enge. – Inlčnu*, wracamy.

Enge patrzyła w milczeniu, jak odchodził, potem odwróciła się ku polom. Wtedy Kerrick obejrzał się i ujrzał, jak powoli człapie pylistą drogą. Pokręcił bezradnie głową, zastanawiając się nad tym, co mówiła. Zauważył rosnące w pobliżu pomarańcze i pociągnął ku nim Inlčnu*. Wyszło mu w gardle, słońce mocno piekło, rozumiał tylko co dziesiąte słowo Enge. Nie mógł wiedzieć, że jej wiara stanowiła pierwsze pęknięcie w trwającej od milionów lat jednorodności Yilanč. Być Yilanč to

żyć jak Yilanč. Nie można było sobie wyobrazić nic innego. Aż do tego czasu.

Spotkali tu uzbrojone straże, tak jak wokół całego miasta. Przyglądały mu się ciekawie, gdy zrywał z drzewa dojrzałe owoce. Strażniczki zapewniały bezpieczeństwo w dzień, natomiast potrzaski chroniły miasto w nocy. Ale w ostatnich dniach strażniczki niczego nie spostrzegły – w potrzaski wpadały tylko wielkie ilości różnych zwierząt. Ustuzou-zabójcy nigdy nie powrócili.

Przez cały czas niezbędny dla pokonania oceanu przez uruketo w drodze do Inegban* i z powrotem nie było dalszych napaści na miasto. Gdy uruketo przybyło, Vaintč czekała ze swą świtą, aż wielka bestia zostanie przywiązana do nabrzeża. Erafnaiš, która jako pierwsza wyszła na ląd, stanęła przed Vaintč i oficjalnie oddała jej cześć.

–Eistao, przywożę wiadomość od Malsas«, bardzo przejętej okrucieństwem ustuzou. Mam dla ciebie prywatne przesłanie, ale kazała mi

też głośno wezwać was do czujności i umacniania się oraz do zniszczenia ustuzou. W tym celu przysłała swe najlepsze łowczynie z hčsotsanami i strzałkami. Pomogą ci całkowicie usunąć zagrożenie.

–Wszystkie myślimy tak samo – powiedziała Vaintč. – Pójdziemy razem, bo chcę usłyszeć co nowego w Inegban*.

Było wiele nowości i w odosobnieniu, mając za świadka jedynie Alakensi, Vaintč słuchała opowiadania Erafnaiš.

–Zima była łagodna. Straciłyśmy część zwierząt, ale pogoda była lepsza niż w poprzednich latach. Tyle zdarzyło się dobrego. Teraz o złych wydarzeniach. Nieszczęście dotknęło uruketo. Padła ich ponad połowa. Rosły zbyt szybko i osłabły. Tuczono są inne uruketo, lecz mieszkańcy Inegban* nie przybędą tego lata do Alpčasaku ani następnego i następnego.

–Przywiozłaś smutne słowa – powiedziała Vaintč. Także Alakensi wyraziła swój smutek. – Tym pilniejsze jest wyniszczenie ustuzou. Musisz powrócić z wieściami o naszym rozkwicie, by zatrzeć wrażenie nieszczęść, które się zdarzyły. Musisz zobaczyć makietę naszego miasta. Alakensi, wyślij fargi, by natychmiast przyprowadziła do nas Stellan.

Alakensi nie spodobało się, że została posłana z poleceniem jak byle fargi, ukryła jednak niezadowolenie i odwróciła się, by przekazać rozkaz. Gdy doszły do modelu, Stellan już tam była.

Alpčasak nie powiększył się od śmierci Sókain, lecz wzmocniono jego obronę. Stellan wskazała na nowe cierniowe żywopłoty i posterunki, na których uzbrojone

Yilanč czuwały teraz dzień i noc.

**–Jaki może być pożytek z warty w nocy? – podchwytliwie spytała Alakensi.
Odpowiedź Stallan była zdecydowana.**

–Bardzo mały. Strażniczki są jednak chronione, mają grzejniki i płaszcze, tak iż nie cierpią chłodu. Nie muszą też codziennie wędrować z miasta i do miasta. Czuwają od świtu od zachodu.

**–Uważam, że należy mądrzej wykorzystywać siły – Alakensi nie była przekonana.
Vaintč załagodziła spór, co było niezwykle, bo zazwyczaj ignorowała słowa Alakensi.**

**–Może Alakensi ma rację. Musimy się upewnić. Sprawdźmy to same razem z tobą,
Erafnaiś, abyś mogła po powrocie opowiedzieć Malsas^o naszej obronie.**

**Przemierzały miasto całą grupą; na czele Stallan i Vaintč, a pozostałe w tyle,
zgodnie ze swymi pozycjami. Kerrick – a z nim zawsze obecna Inlčnu* – siedł tuż za
dowódczynią uruketo. Z tyłu ciągnęły pomocnice i fargi. Z powodu deszczu Vaintč,
podobnie jak inne, opatulona była płaszczem. Deszcz był jednak tak ciepły, że
Kerrick nie włożył płaszcza, chciał czuć na skórze jego krople.**

**Uważnie przyglądał się drodze, którą szli, mijając pola i żywe wrota. Któregoś dnia
pokona tę drogę samotnie. Nie wiedział, jak tego dokona, ale był pewien, że tak się
stanie.**

**W pobliżu puszczy, na skraju ostatniego pola, rosła kępa drzew. Gdy zbliżyli się do
niej, dostrzegli pnącza i cierniste krzewy, które pozostawiały tylko jedno wejście do
warowni. Stallan wskazała Yilanč z hčsotsanem stojącą na platformie u góry.**

–Gdy czuwają, nikt nie przejdzie – powiedziała.

**–Wydaje się to wystarczające – potwierdziła Vaintč, zwracając się do Alakensi, jakby
czekając na akceptację. Potem ruszyła za lasek. Stallan poprosiła ją, by się
zatrzymała.**

–Są tam różnego rodzaju zwierzęta. Przed tobą muszą iść strażniczki.

**–Zgoda. Jestem jednak eistaą i w Alpčasaku chodzę, gdzie chcę. Z moimi
doradczyniami. Możesz zatrzymać tu resztę grupy.**

**Ale gdy ruszyły, poprzedzał je szereg czujnych strażniczek z przygotowaną bronią.
Stallan wskazała potrzaski i inne środki obrony po drugiej stronie lasku.**

**–Dobrze zrobione – powiedziała Vaintč. Alakensi zaczęła protestować, lecz eistaą
nie zwróciła na to uwagi, zwracając się do Erafnaiś.**

–Po powrocie powiadom o tyra wszystkim Malsasκ. Alpčasak jest strzeżony i nic mu nie grozi. Obróciła się, dając jednocześnie Kerrickowi umówiony znak. Powtórzyła go, gdy się zagapił. Wtedy zrozumiał.

–Tam! – krzyknął głośno. – Tam, wśród drzew. Widziałem ustuzou.

Wrzeszczał tak przerażająco, że wszystkie odwróciły się i rozejrzały. W chwili, gdy uwaga wszystkich zwrócona była na drzewa, Vaintč opuściła na ziemię swój płaszcz. Pod nim miała drewnianą strzałę o kamiennym grocie.

Trzymając ją oburącz, odwróciła się cicho i zatopiła grot w piersi Alakensi.

Widział to tylko Kerrick, który jako jedyny nie wpatrywał się w drzewa. Alakensi chwyciła kciukami za drzewce, rozwarła szeroko przerażone oczy, otworzyła usta do krzyku, a potem zachwiała się i upadła.

Kerrick zrozumiał, do czego potrzebne było jego kłamstwo. I natychmiast brnął dalej:

–Strzała ustuzou wyleciała z drzew. Trafiła Alakensi! Vaintč odeszła na bok, a wokół niej trwał gorączkowy ruch.

–Strzała z drzew – zawołała Inlčnu*; zwykle powtarzała to, co usłyszała. Inne robiły to samo i fakt został uznany. Słowo jest czynem, czyn jest słowem. Odciągnięto ciało Alakensi, Stallan i Erafnaiś podskoczyły, by osłonić Vaintč.

Kerrick szedł na końcu. Zerknął jeszcze raz na ścianę dżungli, tak bliską, lecz nieskończenie odległą, potem szarpnął za smycz łączącą obręcz na szyi i Inlčnu* posłusznie ruszyła za nim.

ROZDZIAŁ XX

Vaintč przebywała samotnie w swojej komorze, by unaocznic rozpacz po śmierci lojalnej Alakensi. Kerrick powiedział oczekującym Yilanč, gdy tylko wyszedł z pomieszczenia: – Nie chce nikogo widzieć.

Wszystkie odeszły ze smutkiem. Taki z niego wspaniały kłamca! Vaintč podziwiała jego talent, podglądając i podsłuchując przez małą szparkę w listowiu. Zawsze marzyła o takiej umiejętności. Schowała się teraz przed wzrokiem pozostałych, gdyż każdy jej ruch wyrażał zwycięstwo i radość. Nikt jednak tego nie widział, bo publicznie pojawiła się dopiero w kilka dni po odpłynięciu uruketo. Wtedy już nie musiała lamentować po śmierci Alakensi, nie było to w zwyczaju Yilanč. Bez względu na to, kim była Alakensi, opuściła grono żyjących. Po śmierci ciało nie należało już do niej, zajęły się nim najniższe fargi, na których spoczywał taki obowiązek. Vaintč wydawała rozkazy, wszystkie mieszkanki przychodziły po polecenia. Kerrick trzymał się z dala i tylko obserwował. Czuł, że w powietrzu wisi coś niezwykłego, widać to było po postawie ciała Vaintč. Każdą przybywającą witała po imieniu, czego nigdy przedtem nie czyniła.

–Vanalpč – ty, która wyhodowałaś to miasto od ziarna, jesteś tu. Stallan, strzegąca nas przed niebezpieczeństwami tego świata, jesteś tu. Zhekak, której wiedza służy nam wszystkim, Akasest, która dostarczasz nam pożywienia, jesteście tutaj.

Wymieniła je tak wszystkie, aż się zebrał mały, lecz ważny zespół przywódczyni Alpčasaku. Słuchały w skupionym milczeniu, co Vaintč ma im wszystkim do przekazania.

–Niektóre z was są tu od samego lądowania, od pierwszego dnia, nim jeszcze powstało miasto. Inne zaś przybyły później, tak jak ja. Ale teraz wszystkie pracujecie ciężko dla chwały i rozwoju Alpčasaku. Słyszałyście o hańbie, jaka spadła na nas w dniu mego przybycia do miasta, o morderstwie samców i młodych. Wymazałyśmy z pamięci tę zbrodnię, ustuzou, które jej dokonały, dawno nie żyją. Nigdy się ona nie powtórzy. Nasze plaże narodzin są bezpieczne – strzeżone, ciepłe, ale puste.

Słuchały tych słów z przejęciem; gdy skończyła, przeszedł je dreszcz, jakby powiało niewidzialnym wiatrem. Nieporuszenie stał tylko Kerrick, który słuchał równie pilnie jak wszystkie i czekał niecierpliwie na dalsze słowa Vaintč.

–Tak, macie rację. Nadeszła pora. Tłuste, nieruchawe samce muszą zapełnić złote piaski. Już czas. Zaczynamy.

Przez cały swój pobyt w Alpčasaku Kerrick nie widział takiego podniecenia. Yilanč poruszały się szybciej niż zwykle. Śmiały się i rozmawiały głośno. Bardzo zadowolony, szedł za nimi przez miasto aż do wejścia do hanalč, ogrodzonego

terenu, na którym mieszkały samce. Strażniczka Ikemend odeszła na bok, wyraźnie zadowolona z ich przybycia. Kerrick ruszył za nimi, lecz zatrzymało go szarpnięcie żelaznej obręczy na szyi. Inlčnu* stała milcząca i nieporuszona jak skała, gdy ciągnął za łączącą ich smycz. Rozległ się huk zamykanych drzwi.

–Co to znaczy, co się stało? Mów, rozkazuję ci – powiedział zdenerwowany. Inlčnu* zwróciła na niego okrągłe, puste oczy.

–My nie – powiedziała, potem powtórzyła. – Nie my.

Nie zdołał jej zmusić, by powiedziała coś więcej. Jakiś czas jeszcze o tym myślał, ale potem zapomniał o wszystkim, jak o wielu innych niewytłumaczalnych zjawiskach, w tym pełnym tajemnic mieście.

Poznawał Alpčasak po kawałku, wszystko go ciekawiło. Yilanč wiedziały, że cały czas jest blisko eistai, przeto żadna nie stawała mu na drodze. Nie próbował opuścić miasta – strażniczki i Inlčnu* zapobiegały temu – lecz wewnątrz chodził, gdzie chciał. Było to dla niego naturalne, gdyż dzieci sammadu postępowały tak samo. Ale coraz mniej pamiętał swoje wcześniejsze życie. Nic mu nie przypominało poprzednich przeżyć. Wkrótce przystosował się do zwolnionego tempa życia Yilanč.

Każdy dzień zaczynał się tak samo. Z pierwszym światłem miasto budziło się do życia. Kerrick jak inni mył się sam, lecz w przeciwieństwie do nich czuł rano pragnienie i głód. Yilanč jadły tylko raz dziennie, i to nie zawsze, jednocześnie pijąc. Z nim było inaczej. Codziennie rano pił do syta z wodo-owoców. Potem zjadał owoc odłożony poprzedniego wieczora. Jeśli miał jakieś ważne zajęcie, kazał fargi przygotować owoce, lecz przeważnie starał się to robić sam. Fargi, choćby tłumaczył im nie wiadomo jak długo, wracały zawsze z owocami uszkodzonymi i zgniłymi. Nie robiło im to różnicy. Przyzwyczajane do zwierzęcej karmy, zjadały to, co dostawały. Jeśli jadł w obecności fargi, zbierały się wokół i tępo gapiły w napięciu, usiłując zrozumieć, co robi. Co odważniejsze próbowały owoców, zaraz je wypluwając. Nieodmiennie bawiło to pozostałe. Początkowo Kerrick próbował odsyłać fargi, zdenerwowany ich stałą obecnością, lecz zawsze wracały. W końcu, jak inne Yilanč, przywykł do ich obecności, ledwo zwracając na nie uwagę. Odsyłał je tylko wtedy, gdy chciał mówić o czymś, co było ważne lub dotyczyło jego samego.

Powoli zaczynał dostrzegać w pozornym nieuporządkowaniu Alpčasaku rządzący i kierujący wszystkim naturalny ład. Gdyby miał analityczny umysł, porównałby może krzątanicę Yilanč do rozgardiaszu mrówek w ich podziemnych siedzibach. Na pozór bezsensowna biegania kryła w istocie podział ról. Robotnice zbierały pożywienie, niańki pielęgnowały młode, opancerzone, uzbrojone w kleszcze wartowniczkami broniły przed napaścią – a w samym sercu tego wszystkiego królowa podejmowała decyzje zapewniające istnienie mrowiska. Nie była to może bliska analogia, choć nieco do niej zbliżona. Nigdy mu jednak nie przyszła do głowy, był tylko chłopcem,

przystosowującym się do niezwykłych okoliczności. Tak jak wszyscy tu nie dokonywał żadnych porównań, gdy bezmyślnie deptał nogami mrówki.

Często wybierał się rano z fargi wysłaną przez którąś z pasterek po owoce rosnące w gajach wokół miasta. Była to przyjemna wycieczka, dopóki nie nastąpiło upalne południe. Jego rosnące wciąż ciało domagało się ćwiczeń. Chodził szybko, nawet biegał, słysząc z tyłu ciężki galop ciągnącej za nim Inlčnu*. Często musiał przystawać, bo zbyt się rozgrzewała i nie mogła iść dalej. Choć ociekał potem, czuł wyraźnie swą wyższość, wiedząc, że może biec dalej, w przeciwieństwie do Yilanč, nawet tak silnej jak Inlčnu*.

Sady owocowe i zielone pola wokół miasta tworzyły rozerzające się i ciągle zmieniające kręgi. Asystentki Vanalpč i ich pomocnice tworzyły nowe odmiany roślin. Niektóre z nowych owoców i warzyw były pyszne, inne brzydko pachniały lub miały gorszy smak. Próbował wszystkich, gdyż wiedział, że przed posadzeniem sprawdzano, czy nie są trujące.

Różnorodne rośliny przeznaczone były dla coraz liczniejszych rodzajów zwierząt Kerrick nie miał pojęcia o głęboko zakorzenionym konserwatyzmie Yilanč, o ich liczącej miliony lat kulturze, która ulegała zmianom jedynie w krótkich okresach, kiedy nie zagrażało to stałości i ciągłości ich życia. Przyszłość będzie taka jak przeszłość, niezmienna i stała. Ostrożnie manipulując genami, tworzone nowe gatunki; nigdy żadnego nie usuwano. Puszcze i dżungle Gendasi* zawierały ekscytująco nowe rośliny i zwierzęta, zadziwiające nawet Vanalpč i jej pomocnice. Kerrick znał większość z nich, dlatego go nie interesowały. Natomiast ciekawiły go ogromne, powolne zimnokrwiste zwierzęta, które kiedyś nazywał murgu. Zapomniał już tego określenia, podobnie jak i innych słów marbaku.

Tak jak Alpčasak wyrósł z Inegban*, tak życie starego świata kwitło w nowym. Kerrick potrafił spędzić pół dnia na przyglądaniu się, jak trójrożny nenitesk zrywa listowie nieświadom głodu. Opancerzona skóra i wielkie płyty ochronne przed czaszkami rozwinęły się jako obrona przed drapieżnikami, które wymarły miliony lat temu. Być może jedynie małe ich grupki przetrwały w jakichś starych miastach Entoban*. Ślady genetyczne tego zagrożenia tkwiły nadal w mózgach gigantycznych stworzeń; czasem, gdy coś je spłoszyło, kręciły się w kółko i podrywały rogami wielkie kawały ziemi, jakby walcząc z dawnymi wrogami. Zdarzało się to jednak wyjątkowo, zwykle przedzierały się przez gąszcz, pochłaniając wszystko dookoła. Kerrick odkrył wkrótce, że jeśli poruszał się powoli, mógł podejść całkiem blisko do olbrzymich bestii, bo nie widziały nic groźnego w jego maleńkiej sylwetce. Ich skóry były mocno pomarszczone, małe, kolorowe jaszczurki chodziły im po grzbietach, wlażyły w fałdy, szukając pasożytów. Pewnego dnia, nie zważając na niespokojnie szarpiącą smycz Inlčnu*, podszedł tak blisko, że mógł dotknąć wyciągniętą ręką zimnej, szorstkiej skóry jednego z gigantów. Wywołało to niespodziewany skutek. Przez chwilę ujrzał w pamięci inne wielkie, szare stworzenie, mastodonta Karu,

unoszącego trąbę, by obsypywać grzbiet piaskiem, patrzącego bystro jednym okiem na Kerricka. Obraz zniknął równie szybko, jak się pojawił; tkwiła przed nim szara ściana boku neniteska. Nagle znenawidził to stworzenie, tę nieczułą skałę, nieruchomą i głupią. Odwrócił się i miał właśnie odejść, gdy coś zaniepokoiło zwierzę. Z jakiegoś powodu wziął innego neniteska za napastnika, rozległ się łomot gigantycznych cielsk, huk zderzających się pancerzy i rogów. Kerrick przyglądał się, jak niszczą małe drzewa i rozrzucają ziemię, aż im się to znudziło i rozdzieliły się.

Miejscem, którego Kerrick nie lubił, była rzeźnia, gdzie codziennie zabijano i ćwiartowano wiele zwierząt. Zabijano szybko i bezboleśnie; u wejścia do zagrody strażniczka po prostu strzelała do wprowadzanych zwierząt. Do środka wciągały je wielkie bestie, bardzo silne i głupie, najwidoczniej zupełnie obojętne na to, że brodziły po brzuchy we krwi. Wewnątrz szła rzeźnicza robota: rozcinano i krajano na kawałki jeszcze ciepłe ciała, potem wrzucano je do kadzi z enzymem. Kerrick przywykł już do galaretowatego, na wpół strawionego mięsa i dlatego nie miał ochoty oglądać, jak jest przygotowywane.

Laboratoria, w których pracowały Vanalpč, Zhekak i ich asystentki były dlań niepojęte, a przeto nudne. Kerrick rzadko tam chodził. Wolał poznawać niezwykle drobiazgowy model rosnącego miasta lub rozmawiać z samcami. Odkrył je niedługo po tym, jak nie wpuszczono go na plażę narodzin. Nikogo tam nie wpuszczano poza strażniczkami i opiekunkami. Dostrzeżone przez ciernistą zaporę wokół plaż tłuste samce wylegujące się na słońcu wydawały mu się niewiarygodnie tępe.

Co innego samce w hanalč. Nie pamiętał już, jakim wstrząsem było dla niego odkrycie, że wszystkie spotkane Yilanč, nawet najstraszniejsze, jak Stallan, są samicami. Traktował to teraz jako rzecz normalną, gdyż dawno zapomniał, jaką rolę grała sprawa picia u Tanu. Po prostu ciekawiła go nie widziana nigdy część miasta. O przyczynę niewpuszczania go do hanalč wiele razy pytał Vaintč. Bawiło ją to, choć nie wyjaśniała dlaczego. Zdecydowała, że nie należało mu, jako samcowi, bronić wejścia, ale Inlčnu* nie mogła wejść – dlatego zakazywano tego i jemu. Myślał o tym długo, aż znalazł rozwiązanie. Wejdzie przez drzwi, które za nim zamkną. Zostawi za nimi Inlčnu*, choć nadal będzie ich łączyć niezniszczalna więź.

Nie mógł się wprawdzie ruszyć od drzwi, tak iż nie widział całego wnętrza hanalč. Ale to nie miało znaczenia, gdyż samce przyszły do niego, uradowane tym urozmaiceniem w swoim nudnym życiu.

Kerrick nie potrafił odróżnić samców od samic. Był na tyle młody, że nie uważał tego za ważne. Dopiero gadatliwość samców, gdy przeszło im podniecenie wywołane jego odwiedzinami, skłoniła je do odsłonięcia swej natury.

Choć od czasu do czasu odzywały się do niego również inne samce, to przede wszystkim Alipol witał go chętnie, gdy tylko się zjawił. Ikemend zarządzała

wszystkimi sprawami dotyczącymi hanalč. Ale Alipol rządził za drzwiami. Skierowano go z Inegban* na to odpowiedzialne stanowisko przywódcy. Był znacznie starszy od innych, wybranych jedynie ze względu na młodość i dobre zdrowie. Alipol był w dodatku artystą, czego Kerrick długo nie wiedział. Wyszło to na jaw, gdy pewnego razu Alipol nie zjawił się i Kerrick musiał wezwać innego samca.

–Alipol jest, jak zwykle, zajęty swą sztuką – powiedział i poszedł dalej. Kerrick nie zrozumiał tego wyrażenia: większość samców używała jeszcze prymitywniejszego języka niż fargi. Użyte przez samca słowa odnosiły się do piękna, robienia rzeczy, nowych przedmiotów. Alipol nie zjawił się tego dnia, dopiero podczas następnej wizyty. Kerrick zdradził zaniepokojenie jego zajęciem.

–Sztuka jest najważniejszą, może i największą sprawą spośród wszystkich na świecie – powiedział Alipol. – Ale te głupie młode samce nie wiedzą o tym, a brutalne samice na pewno nie mają pojęcia o jej istnieniu.

Alipol, jak i inne samce, zawsze tak mówił o samicach, z mieszaniną strachu i szacunku, której Kerrick nie mógł zrozumieć. Nie chciały mu wyjaśnić, skąd się to bierze i dlatego dawno już zaprzestał pytań.

–Opowiedz mi, proszę, o tym, co robisz – powiedział Kerrick. Alipol zareagował na prośbę trochę podejrzliwie.

–Nie wiem, czy warto. – Ale po chwili dodał: – Zostań tu, a pokażę ci, co robię. – Odszedł na chwilę, a gdy wrócił, zapytał: – Czy widziałeś kiedyś neniteska?

Kerrick nie wiedział, po co go o to pyta, lecz przyznał, iż widział wielkie bestie. Alipol zniknął, by pojawić się z przedmiotem, którego widok wywołał radość Kerricka. Ucieszyło to Alipola. – Widzisz to, czego nie dostrzegają inni – powiedział po prostu.

Alipol trzymał przed sobą złączone dłonie – wszystkie cztery kciuki tworzyły czarkę, w której spoczywał delikatny wizerunek neniteska, błyszczący jasno w słońcu, jakby utkany z promieni światła. Oczy figurki płonęły czerwono, reszta, a więc ogon i rogi, wielkie tarcze i słupowate nogi odbijały promienie słońca. Nachyliwszy się nisko, Kerrick zobaczył, że maleńkie zwierzę zrobione jest z cienkich pasemek jakiegoś lśniącego materiału, splecionych razem w zawiłe wzory. Dotknął palcem i stwierdził, że figurka jest twarda.

–Co to jest? Jak to zrobiłeś? Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

–Splotłem z drutu, srebrnego i złotego drutu. Dwóch metali, które nigdy nie tracą blasku. Oczy z małych klejnotów, które przywiozłem z Inegban*. Można je znaleźć w strumieniach i pokładach gliny, a ja umiem je szlifować.

Później Alipol pokazał Kerrickowi inne zrobione przez siebie rzeczy; wszystkie były

cudowne. Kerrick docenił jego sztukę. Chciałby mieć któryś z tych przedmiotów, nie odważył się jednak powiedzieć o tym głośno w obawie, że przeszkodzi to rodzącej się przyjaźni.

Miasto rosło i rozkwitało, wciąż jednak obawiano się ustuzou. W czasie pory deszczowej, gdy na północy panował mróz, było strzeżone wzdłuż linii obronnych. Gdy na północ wracało ciepło, Stallan organizowała wypadki wzdłuż wybrzeża. Tylko raz natrafiły na większą grupę ustuzou; zabiły wszystkie, którym nie udało się uciec. Napadano też na mniejsze grupy i zabijano, a raz wrócono z rannym jeźdźcem. Kerrick poszedł wraz z innymi, by zobaczyć paskudne, pokryte futrem stworzenie. Nie poczuwał się do jakiegokolwiek współnoty z nim. Nigdy nie odzyskało przytomności i wkrótce zmarło. Tylko ten jeden wypadek zakłócił życie miasta, gdyż wszystkie pozostałe rozegrały się daleko i dotyczyły jedynie Stallan oraz jej towarzyszek.

Zmiany pór roku w Alpčasaku podkreślały upływ czasu. Miasto rosło leniwie i jak żywe stworzenie wkraczało do puszczy i dżungli, zajęło spory szmat ziemi nad rzeką i morzem. Wieści z Inegban* wydawały się tak odległe, że nierzeczywiste. Mówiły o pogodzie, której tu nie odczuwano, o nie przeżytych burzach. Ostatnie zimy były na tyle łagodne, iż sądzono, że oznacza to koniec chłodnego okresu. Tylko uczone twierdziły, że to chwilowa poprawa. Mówiły o pomiarach temperatury powietrza i wody dokonywanych na stacji zimowej w Teskhets, wskazywały na rosnącą liczbę drapieżnych, dzikich ustuzou, wypieranych przez zimno z ich zwykłych siedlisk na północy.

W Alpčasaku interesowano się tymi wieściami, choć traktowano je jak opowieści o dalekich krajach. Hodowano tam coraz więcej uruketo. To była dobra wiadomość; pozwalała sądzić, że pewnego dnia Inegban* przybędzie do Alpčasaku i oba miasta się połączą. Tymczasem tu było wiele do roboty, a słońce jak zawsze zsyłało żar.

Dla Kerricka trwało nieprzerwane lato. Nie tęsknił nigdy do śniegów i zimy. Ze swego uprzywilejowanego miejsca w pobliżu eistai obserwował rozwój miasta i sam rósł wraz z nim. Wspomnienia z życia, które wiódł niegdyś, blakły coraz bardziej. Powracały jedynie z rzadka w niepokojących snach. Myślał jak Yilanč, traktowano go jak swojego. Nie był już ustuzou. Nie był już Ekerikiem. Vaintč zawołała go kiedyś po imieniu, zmieniła jego znaczenie i odtąd nie mówiono o nim jak kiedyś. Nie był już Ekerikiem, powolnym i głupim, lecz Kerrikiem, bliskim środka.

Nowe imię podkreślało też to, że urósł, dorównał wzrostem Yilanč, zaczął je przewyższać. Miał teraz na sobie tyle włosów, że unutakh zdechł, może z przejedzenia. Zastąpiono go nowym, większym i bardziej żarłocznym. Stracił rachubę czasu; brak zimy i wiosny pory roku czynił podobne do siebie.

Kerrick nie wiedział o tym, że ma już piętnaście lat, gdy Vaintč wezwała go do

siebie.

–Rano popłynę uruketo do Inegban*.

Kerrickowi było to obojętne, lecz udawał, że żałuje rozstania z Vaintč. Inegban* było dla niego tylko pustym dźwiękiem.

–Zbliżają się wielkie zmiany. Nowe uruketo osiągają dojrzałość i gdy minie jedno lato, najwyżej dwa, Inegban* zostanie porzucony. Jego mieszkanki tak są przejęte strachem przed przyszłością i zmianami, że nie dostrzegają naszych prawdziwych kłopotów. Nie boją się grożących nam ustuzou, lecz widzą Córy Śmierci podkopujące nasze siły. Czekają mnie wielkie zadania i musisz mi pomóc. Dlatego popłyniesz ze mną do Inegban*.

Kerricka to zainteresowało. Podróż wewnątrz uruketo, ocean, odwiedziny nowego miejsca. Był podniecony i trochę przestraszony. Vaintč poznała to po nim; zbyt przejęty, nie potrafił kłamać.

–Będziesz zwracał na siebie powszechną uwagę, a ja to wykorzystam. – Spojrzała na niego kpiąco. – Jesteś zbyt podobny do Yilanč. Musisz im uświadomić, że byłeś kiedyś ustuzou, że jesteś nim nadal.

Podeszła do szpary, w którą wiele lat temu wetknęła nożyk i wyjęła go. Zhekak zbadała go przed laty stwierdzając, że to prymitywne narzędzie wykonano z żelaza meteorytowego. Potem pokryła je przeciwrzdzewną osłoną. Vaintč podała teraz nóż swej pierwszej asystentce Etdeerg i kazała przymocować do obręczy na szyi chłopca. Etdeerg zrobiła to za pomocą skręconego, złotego drutu. Fargi przyglądały się temu z zainteresowaniem, usiłując zrozumieć toczącą się rozmowę.

–Wygląda to na tyle dziwnie, że wzbudzi zainteresowanie – powiedziała Vaintč, rozplaszczając ostre końce drutu. Po raz pierwszy od wielu lat dotknęła palcami skóry Kerricka i zdziwiło ją jej ciepło. Ten bez zaciekawienia zerknął na tępy nóż, o którym zupełnie zapomniał.

–Ustuzou owijają się skórami, ty też miałeś je na sobie, gdy cię tu przyprowadzono. – Na jej znak Etdeerg rozwinęła paczkę i wyciągnęła gładką skórę sarny. Fargi spojrzały z niesmakiem, nawet Kerrick się odsunął.

–Przestańcie – rozkazała Vaintč. – Nie ma na niej wszy i brudu. Została wysterylizowana i wyczyszczona, będzie to powtarzane codziennie. Etdeerg, zdejmij fałszywą sakwę i okryj go skórami.

Vaintč rozkazała, by fargi odeszły, a Inlčnu* zamknęła drzwi.

Etdeerg zerwała sącdek i próbowała nałożyć skórę, lecz zapięcia znajdowały się w

niewłaściwym miejscu. Poszła je poprawić, a Vaintč spojrziała z ciekawością na Kerricka. Zmienił się, urósł. Patrząc teraz na niego, czuła pożądanie zmieszane z odrazą. Podeszła bliżej i dotknęła go. Kerrick zadrżał. Vaintč roześmiała się z zadowoleniem.

–Jesteś samcem, bardzo podobnym do naszych samców. Masz jednego zamiast dwóch – ale reagujesz jak oni!

Kerrick reagował z niepokojem na jej ruchy, próbował się cofnąć, lecz chwyciła go mocno drugą ręką i przyciągnęła blisko siebie.

Vaintč była teraz pobudzona i agresywna jak wszystkie samice Yilanč, a on wrywał się, choć jednocześnie zachowywał się jak każdy samiec.

Nie miał pojęcia, co się z nim stało, zaskoczyło go dziwne, nieznanne uczucie. Ale Vaintč wiedziała dobrze, do czego zmierza. Była eistaą, mogła robić, co tylko chciała. Wyćwiczonymi ruchami przewróciła chłopca na podłogę i dosiadła, obserwowana z uznaniem przez Etdeerg.

Jej skóra była chłodna, lecz jemu było ciepło, dziwnie ciepło. A potem to nastąpiło. Nie wiedział, co to było, był jednak pewien, że w całym swym dotychczasowym życiu nie doznał niczego tak wspaniałego.

ROZDZIAŁ XXI

–Przekazuję z szacunkiem wiadomość od Erafnaís – powiedziała fargi wolno i starannie, drżąc przy tym wysiłku, jakim było dla niej powtórzenie meldunku. – Załadunek ukończony. Uruketo może wypłynąć.

–Idziemy – oznajmiła Vaintč. Etdeerg i Kerrick podeszli na jej skinienie. Eistaa przyjrzała się zgromadzonym wokół niej przywódczyniom Alpčasaku, po czym oświadczyła bardzo oficjalnie i uroczyście: – Miasto jest wasze do mojego powrotu. Dbajcie o nie. Macie me zaufanie.

Po tych słowach ruszyła. Wolno przemierzała miasto, Kerrick i Etdeerg szli za nią w odpowiedniej odległości.

Kerrick dawno już nauczył się panować nad sobą, wydawał się więc równie spokojny jak wszystkie. Ale w środku gotował się od sprzecznych uczuć. Z niecierpliwością czekał na podróż, lecz obawiał się też zmiany w swym uporządkowanym życiu. A wczorajsze zdarzenie? Ciągle nie potrafił zrozumieć, co robiła Vaintč. Co spowodowało owo wszechogarniające go doznanie? Czy się jeszcze powtórzy? Miał taką nadzieję. Ale co to było?

Pamięć o życiu uczuciowym Tanu, różnicach płci, śmiesznych, ukradkowych szeptach starszych chłopców, nawet o odczuwanej niegdyś przyjemności przy dotykaniu nagiego ciała Ysel, opuściła go całkowicie. Przytłoczona została koniecznością dostosowania się do Yilanč. Samcy w hanałc nigdy nie rozmawiali o swych związkach z samicami, w każdym razie nigdy przy nim. Z Inlčnu* trudno było o tym mówić. Kerrick nic nie wiedział o sprawach seksu u Yilanč i u Tanu, łamał sobie głowę nad tą podniecającą tajemnicą.

Gdy doszli do portu, wschodzące słońce barwiło im za plecami niebo na czerwono. Podniecone przygotowaniami do podróży enteesenaty wlatywały nad fale i wpadały do morza w kipiela czerwonej piany. Kerrick wszedł jako ostatni, opuścił się przez otwór w wysokiej płetwie i stanął, mrużąc oczy w słabo oświetlonym wnętrzu. Podłoga pod nim zafalowała, zachwiał się i upadł. Zaczął się rejs.

Nowa sytuacja szybko straciła dla Kerricka swój urok, mało tu było do oglądania i zupełnie nic do roboty. Większość miejsca zajmowały martwo-żywe ciała saren i stalakeli. Te ostatnie leżały w stosach z bezwładnymi, drobnymi przednimi łapami i szeroko rozwartymi pyskami, przypominającymi ostre dzioby. Niektóre sarny, choć nieruchome, miały jednak otwarte oczy. Widać to było w świetle luminescencyjnych pasków. Czuł się nieswojo na myśl, że mogą go widzieć, że płaczą w swym uśpieniu. Było to niemożliwe, ale tak to sobie wyobrażał. Pomieszczenie zamknęło się nad nim szczelnie. W lęku przed nieznanym zacisnął pięści. Niepokój powiększał sztorm.

Płetwa uruketo pozostawała zamknięta, a powietrze wewnątrz coraz bardziej cuchnęło.

W mroku Yilanč drętwiały i zasypiały. Tylko jedna, co najwyżej dwie, stały na wachcie. Spróbował kiedyś zagadnąć Yilanč przy sterze, ale nie odpowiedziała; całą swą uwagę skupiała na busoli.

Kerrick zasnął pod koniec sztormu, gdy wzburzone morze zaczęło się uspokajać. Przebudziło go chłodne, przesycone solą powietrze. Yilanč marzły, sięgały po płaszcze, a jemu świeże powietrze i światło sprawiały przyjemność. Szarpał za smycz, aż ociężała Inlčnu* obudziła się i otuliła płaszczem. Pociągnął ją ku szparze w płetwie. Szybko wspiał się po żebrowaniach na szczyt płetwy, gdzie stała opatulona szczelnie Erafnaiś. Inlčnu* została niżej, na ile pozwalała jej na to smycz. Trzymając się mocno osłony, patrzył na toczące się ku nim, załamujące się na grzbiecie uruketo zielone fale, ze śmiechem wystawiał twarz na słone bryzgi. Przebijające się przez chmury promienie słońca oświetlały ogrom morza, rozciągającego się na szerokość horyzontu. Zadrzał z chłodu, założył ręce na ramiona, lecz nie odchodził. Erafnaiś odwróciła się, dostrzegła chłopca i zdziwiła jego wyglądem.

–Zmarzłeś. Zejdź na dół. Weź płaszcz.

–Nie, podoba mi się tutaj. Rozumiem teraz, dlaczego przebywasz morze w uruketo. Nic nie może się z tym równać. Erafnaiś była bardzo zadowolona.

–Mało kto tak uważa. Gdyby teraz pozbawić mnie morza, czułabym się nieszczęśliwa. – W tym ostatnim słowie zabrzmiał ton rozpaczy, a nawet obawa przed śmiercią. Blizna na plecach utrudniała wyrażenie tego dokładniej, nie miał jednak wątpliwości, co dla niej znaczy morze.

Nad nimi przeciągało stadko mew i Erafnaiś powiedziała:

–Jesteśmy już niedaleko lądu. To ta ciemna kreska, tam, nisko na horyzoncie. Brzeg Entoban*.

–Słyszałem tę nazwę, lecz nigdy nie rozumiałem, co oznacza.

–To wielki ląd, tak wielki, że nigdy nie upłynięto go wokół, bo morza na południu są zbyt zimne. Jest macierzą Yilanč, pola ich miast stykają się tu ze sobą.

–To nasz cel? Erafnaiś przytaknęła:

–Jego północne wybrzeże. Wpierw przez przejście zwane Genaglč dostaniemy się do ciepłych wód Ankanaal, na którego brzegach leży Inegban*.

Słowo to wymawiała z uczuciem przyjemności i smutku.

–Ciesz się, że mamy teraz środek lata, bo ostatnia zima była najcięższa w całej historii miasta. Zbiory zniszczały. Zwierzęta zginęły. Bestie z północy napadły na stada. A raz, na krótko, z chmur spadła twarda woda i nim stopniała, leżała biała na ziemi.

Twarda woda? Znaczenie było jasne, ale do czego się odnosiło? Chciał poprosić o wyjaśnienie, ale w tym momencie przypomniał sobie, ostro i wyraźnie, obraz gór pokrytych śniegiem. Towarzyszył temu strach i ból zapomnienia. Przetarł oczy – potem spojrzął na morze, usiłując przestać o tym myśleć. Cokolwiek to było, sprawiało ból.

–Zimno mi – było to półkłamstwo, półprawda – wróć do ciepłego wnętrza.

Pewnego ranka Kerrick obudził się w ciepłe i słońcu, którego promień wpadał przez otwartą pletwę. Wspiął się na nią szybko. Vaintč i Etdeerg już tam były. Zdziwił się ujrawszy je, lecz ponieważ nic nie mówiły, sam też się nie odzywał. Vaintč nie lubiła wypytywania. Zerknął na nią kąciakiem oczu. Czoło i boki silnych szczęk miała pokryte czerwonym barwnikiem w zgrabnie nałożonych splotach i łukach. Twarz Etdeerg nie była umalowana, lecz jej ręce wydawały się owinięte czarnymi pnączami, kończącymi się liściastymi wzorami na wierzchu dłoni. Kerrick nigdy nie widział u Yilanč takich ozdób. Zdołał jednak powstrzymać ciekawość i zaczął się przyglądać brzegowi, który przesuwiał się powoli. Pokryte zielonymi lasami wzgórza wyraźnie odcinały się od błękitu nieba.

–Inegban* – powiedziała Etdeerg, zawierając w tym jednym słowie pełnię uczuć.

Puszcze przeplatały się tu z trawiastymi polami, na których pasące się zwierzęta wyglądały jak ciemne figurki. Gdy minęli przylądek, ukazał się wielki port Na jego brzegach leżały plaże Inegban*.

Kerrick, dla którego Alpčasak było cudownym miejscem, przekonał się teraz, czym naprawdę może być miasto. Okazał swój podziw, co bardzo ucieszyło Vaintč i Etdeerg.

–Kiedyś i Alpčasak będzie taki – powiedziała Vaintč. – Nie za naszego życia, bo Inegban* rośnie od jaja czasu.

–Alpčasak będzie większe – dodała Etdeerg z chłodną pewnością. – Uczynisz je takim, Vaintč. Twym placem budowy jest cały nowy świat Dokonasz tego.

Vaintč nie zareagowała. Ale i nie zaprzeczyła.

Gdy uruketo wpływało do portu wewnętrznego, Erafnaiś weszła na szczyt pletwy, by wydawać rozkazy. Wielkie stworzenie zwolniło i stanęło, unosząc się na spokojnej wodzie. Wyprzedziła je para enteesenatów, które zawróciły gwałtownie przed

plywającą zaporą z wielkich klocków. Nie chciały zetknąć się z długimi, parzącymi mackami meduz zwieszających się z bali. Enteesenary miały się, niecierpliwie czekając, aż zaporą otworzy się na tyle, by mogły osiągnąć przygotowanej nagrody – wyczekiwanego od dawna jedzenia. Przeciągało się to, gdyż czekano na wysłane z portu uruketo. Mniejsze niż zwykle, jeszcze nie w pełni wyszkolone, opornie słuchały poleceń. Wreszcie je poskromiono i odciągnęły zaporę, a enteesenaty natychmiast rzuciły się w otwarte szerokie wrota. Przybyłe z daleka uruketo wpłynęło za nimi wolniej.

Kerrick gapił się w milczeniu. Nabrzeża były długie, dziś w całości wypełnione oczekującymi ich przybycia Yilanč. Za nimi wznosiły się pnie pradawnych drzew, tkwiące wysoko w górze ich konary i liście zdawały się sięgać nieba. Droga wiodąca z nabrzeża do miasta była tak szeroka, że przeszedłby nią uruktub. Wypełniające ją Yilanč rozstąpiły się, przepuszczając niewielki orszak. Na jego czele cztery fargi niosły pudło wykonane z łagodnie wygiętego drewna, obwieszane barwnymi tkaninami. Jego przeznaczenie ujawniło się, gdy fargi postawiły je ostrożnie na ziemię, a potem przykucnęły z tyłu. Ktoś odsunął tkaninę i na ziemię zeszła Yilanč, błyszcząca oślepiająco złoconą twarzą. Vaintč natychmiast ją poznała.

–Gulumbu – powiedziała, starając się nie ujawniać żadnych uczuć. Pozwoliła sobie tylko na odrobinę niechęci. – Znam ją od dawna. A więc to ona siedzi teraz przy boku Malsasκ. Spotkamy się z nią.

Wysiedli i oczekiwali na nabrzeżu, aż Gulumbu wolno podejdzie. Bardzo uprzejmie przywitała Vaintč, ledwo zauważyła obecność Etdeerg i powoli przesunęła oczyma po Kerricku, jakby go nie dostrzegając.

–Witamy w Inegban* – powiedziała. – Witamy cię, Vaintč, która wznosisz teraz Alpčasak za burzliwym morzem, w twym macierzystym mieście.

Vaintč odpowiedziała jej równie uroczyście:

–Jak się miewa Malsasκ, Eistaa naszego miasta?

–Kazała mi powitać cię i poprowadzić na spotkanie z nią w ambesed.

W czasie powitania zabrano lektykę. Vaintč i Gulumbu szły obok siebie, prowadząc cały orszak w stronę miasta. Kerrick i Etdeerg wraz z innymi pomocnikami podążali za nimi w milczeniu, bo taki był zwyczaj podczas uroczystości.

Kerrick chłonał wszystko rozszerzonymi oczyma. Od korytarza, którym szli, odchodziły inne, równie ogromne, zatłoczone Yilanč – i nie tylko nimi. Wśród tłumu przemykały małe zwierzęta o ostrych pazurach i kolorowych łuskach. Niektóre z mijanych po drodze większych drzew miały wycięte w korze stopnie, które okrężały je i prowadziły do platform. Yilanč, często o pomalowanych twarzach i ciałach,

patrzyły z platform na rojącą się ciżbę. Jedno z tych drzew-mieszkań, większe od innych, otaczały uzbrojone strażniczki. Z góry spoglądały Yilanč, których ruch i głosy świadczyły, że są samcami.

Nie widział nigdy zainteresowania pracą i oszczędnych rozmów, jakie znał z Alpčasaku. Yilanč wskazywały nań ostentacyjnie i słyszał jak rozmawiały o jego dziwnym wyglądzie.

Były też inne Yilanč, których nigdy nie widział. Niektóre o połowę niższe od pozostałych. Trzymały się teraz razem, ustępowały innym, rozglądały się smutnymi oczyma i nic nie mówiły. Kerrick dotknął ręki Etdeerg i wskazał na nie pytająco.

–Ninsč – powiedziała dyskretnie – yiliebe.

Nieodpowiadające, tępe. Kerrick dobrze to rozumiał. Na pewno nie umiały mówić ani nie rozumiały tego, co do nich mówiono. Nic dziwnego, że są nieodpowiadające. Etdeerg nie chciała nic więcej o nich powiedzieć, dlatego tak to pytanie, jak wiele innych zostawił na później.

Ambesed było tak olbrzymie, że za zgromadzonymi tłumami nie widział jego drugiego skraju. Wszystkie się rozstały przed orszakiem zmierzającym do słonecznej, ulubionej ściany, gdzie na platformie obwieszanej licznymi miękkimi tkaninami siedziała Malsas<ze swymi doradczyniami. Złote i srebrne malunki na jej twarzy i rękach lśniły jaskrawo, zawile sploty złota spływały w dół, kryjąc pozbawione talii ciało z wystającymi żebrami. Mówiła coś do pomocnicy, nie zwracając uwagi na orszak, póki nie znalazł się tuż przed nią. Chciała w ten sposób podkreślić swoją pozycję. Potem zwróciła się do Vaintč, prosząc ją, by podeszła. Zrobiono miejsce u boku Malsas<i obie eistae wymieniły pozdrowienia.

Kerrick przyglądał się temu wszystkiemu, nie zwracając uwagi na padające słowa. Zdziwił się więc, gdy podeszły do niego dwie Yilanč i chwyciły go za ręce. Odciągany, spojrzął ze strachem na Vaintč, która gestem kazała mu się nie opierać. Nie miał wyboru. Trzymany mocno, pozwolił się prowadzić a Inlčnu* posłusznie szła z tyłu.

Niedaleko ambesed znajdowały się drzwi do dziwnej budowli. Trudno było ocenić jej wielkość, bo zakrywały ją drzewa miasta. Między pniami widać było jedynie tafle z prześwitującej chityny. Przed nimi tkwiły mocne drzwi z tego samego materiału, bez klamek i otworów. Trzymając go nadal mocno za ramię, jedna Yilanč ścisnęła gałkę obok drzwi. Odsunęły się, a za nich wyrzała fargi. Kerrick wraz z podążającą za nimi Inlčnu* został wepchnięty do środka. Drzwi się zamknęły.

–Tędy – powiedziała fargi do Inlčnu*, ignorując Kerricka. Potem odwróciła się i odeszła. Krótki korytarz z tego samego chitynowego budulca wiódł do następnych drzwi. Potem następnych. Za nimi znajdowała się niewielka komora. Fargi zatrzymała

się tu i nakazała Inlčnu* – opuścić błonę oczną. Sama zsunęła na oczy przezroczytą błonę mrużną. Potem wysunęła dłoń z rozstawionymi szeroko kciukami, chcąc położyć je na powiekach Kerricka.

–Słyszałem cię – powiedział, odsuwając jej rękę. – Trzymaj przy sobie brudne kciuki. – Fargi osłupiała, nie spodziewając się, że Kerrick mówi. Dopiero po chwili doszła do siebie. – Koniecznie trzeba zamknąć oczy – powiedziała wreszcie. Potem opuściła swoje błony i ścisnęła czerwoną, bulwiastą narośl na ścianie.

Kerrick ledwo zdążył zamknąć oczy, poczuł, że spada na nich gdzieś z wysoka strumień ciepłej wody.

Parę palących, gorzkich kropel dostało mu się do ust, trzymał więc odtąd wargi kurczowo zaciśnięte. Pryszyć ustał, ale jednocześnie fargi krzyknęła: – Oko... zamknąć!

Zamiast wody poczuli strumień powietrza, które szybko osuszało ciało. Kerrick odczekał, aż skóra będzie zupełnie sucha i ostrożnie poniósł powieki. Błony fargi uniosły się również. Ujrawszy, że chłopiec ma otwarte oczy, weszła przez ostatnie drzwi do długiej, niskiej komory.

Kerrick nigdy nie widział niczego podobnego. Podłoga, sufit, ściany wykonane były z tego samego twardego materiału. Padające z góry, przez przejrzyste tafle, promienie słońca rzucały na podłogę ruchome cienie liści. Wzdłuż przeciwległej ściany rozciągało się podwyższenie z tego samego materiału. Stały tu nieznane mu przedmioty. Zajmujące się nimi Yilanč nie zauważyły ich wejścia. Fargi odeszła bez słowa. Kerrick nic z tego nie rozumiał. Inlčnu*, jak zwykle, nie dbała ani trochę o to, gdzie jest, ani co się dzieje. Odwróciła się tyłem i przysiadła wygodnie na grubym ogonie.

Jedna z robotnic zauważyła ich wreszcie i zwróciła się do krępej, przykucniętej Yilanč, która przyglądała się małemu skrawkowi materiału, jakby to było bardzo ważne. Spojrzała na Kerricka i podeszła do niego. Brakowało jej jednego oka, na jego miejscu widniała zapadnięta, pomarszczona powieka. Drugie było tak wybałuszone, jakby pracowało za dwa.

–Spójrz na to, Essag, spójrz tylko – zawołała głośno. – Zobacz, co przysłano nam zza oceanu.

–To ciekawe, Ikemei – odpowiedziała grzecznie Essag – ale przypomina inny rodzaj ustuzou.

–Rzeczywiście, tyle że to nie ma futra. Po co jest owinięte tkaniną? Zdejmij ją!

Essag ruszyła do przodu, ale Kerrick przemówił bardzo stanowczo.

–Nie dotykaj mnie. Zakazuję.

Essag cofnęła się, a Ikemei krzyknęła radośnie:

–To mówi. Mówiące ustuzou. Nie, niemożliwe, słyszałabym o *tym*.

Wytresowano go, by zapamiętywało zdania, to wszystko. Jak się nazywasz?

–Kerrick.

–Mówiłam! Dobrze wytresowane.

Kerricka zdenerwowała pewność błędnej oceny Ikemei.

–To nieprawda – powiedział. – Umiem mówić tak jak wy, a znacznie lepiej niż fargi, która mnie tu przyprowadziła.

–Trudno w to uwierzyć – powiedziała Ikemei. – Przypuśćmy jednak, że to, co powiedziałaś przed chwilą, było własnym zdaniem, a nie wykutym. Jeśli jest własnym, to wówczas możesz odpowiadać na pytania.

–Mogę.

–Jak tu przybyłeś?

–Wraz z Vaintč, eistaą Alpčasaku. Przebyliśmy ocean na uruketo.

–To prawda. Lecz to także mogło być wyuczone. – Ikemei długo się namyślała, nim odezwała się znowu. – Nie może być nieskończenie wiele wyuczonych odpowiedzi. A jeśli zapytam cię o coś, o czym twoi treserzy nie mogli wiedzieć? Tak. Powiedz mi, co działo się, zanim otworzyły się drzwi i tu wszedłeś?

–Zostaliśmy skąpani w wodzie o bardzo gorzkim smaku. Ikemei z podziwu aż zatupała.

–Jak cudownie! Jesteś mówiącym zwierzęciem. Jak to się stało?

–Nauczyła mnie Enge.

–Tak. Jeśli ktoś mógł tego dokonać, to właśnie ona. Dość jednak rozmów, będziesz teraz robił, co ci każę. Podejdź do tego stołu.

Kerrick choć wiedział, co robiły, nie miał pojęcia, co go czeka. Essag zwilżyła mu tamponem czubek kciuka, a Ikemei przekłuła nagie czymś ostrym. Ku swemu zdziwieniu Kerrick nic nie poczuł, nawet wówczas, gdy Ikemei wyciskała mu z kciuka wielkie krople krwi. Essag łąpała je do maleńkich naczynek, które zamykały się po

naciśnięciu ich wierzchołków. Potem rękę chłopca ułożono płasko na równej powierzchni. Po natarciu skóry innym tamponem poczuł najpierw zimno, a potem drętwienie.

–Spójrz tam – powiedziała Ikemei, wskazując do góry. Kerrick podniósł wzrok, lecz nic nie zobaczył. Po opuszczeniu oczu zauważył, że w tym czasie struno-nożem zdjęto mu cienką warstwę skóry. Nie czuł bólu. Kropelki krwi, które zaczęły się pokazywać, przykrył przylegający ściśle bandaż z nefmakela.

Kerrick nie potrafił dłużej powstrzymać ciekawości. – Wzięłyście ode mnie trochę skóry i krwi. Dlaczego?

–Ciekawskie ustuzou. – Ikemei gestem kazała mu położyć się płasko na niskiej ławce. – Na świecie jest pełno cudów. Badam twoje ciało, oto co robię. Tamte kolorowe arkusze wykonują badania chromatograficzne, podczas gdy kolumny strącające, te przezroczyste rury, odsłonią inne chemiczne tajemnice. Zadowolony?

Kerrick zamilkł, nic nie rozumiejąc. Ikemei umieściła mu na piersiach bryłkowate, szare stworzenie i stuknięciem pobudziła je do życia.

–A teraz ultradźwięki zaglądają ci do środka. Gdy skończymy, będziemy wszystko o tobie wiedziały. Wstawaj! Już zrobione. Fargi pokaże ci drogę powrotną.

Ikemei patrzyła z podziwem, gdy Kerrick i Inlčnu* opuszczali laboratorium.

–Mówiące zwierzę, po raz pierwszy chce mi się jechać do Alpčasaku. Słyszałam, że są tam różnorodne, interesujące formy życia ustuzou. Z niecierpliwością czekam, kiedy sama je zobaczę. Polecenia.

–Słucham, Ikemei – powiedziała Essag.

–Wykonaj komplet badań serologicznych, wszystkie testy metaboliczne, podaj mi pełen obraz biologii tego stworzenia. Potem zaczniemy właściwą pracę.

Ikemei odwróciła się do stołu laboratoryjnego i jakby po namyśle dodała:

–Musimy dowiedzieć się jak najwięcej o ich procesach metabolicznych. Nakazano mi znaleźć pasożyty, drapieźniki, wszystko, co zdoła wybiórczo niszczyć te gatunki. – Wzdrygnęła się przy tym z niechęcią, a asystentka podzieliła jej niezadowolenie. Ikemei uciszyła ją gestem.

–Znam i dzielam twoje uczucia. Tworzymy życie, a nie niszczymy. Tak właśnie, ustuzou stanowią zagrożenie i niebezpieczeństwo. Muszą być oddalone. Tak właśnie, oddalone. Odejdą i przestaną niepokoić nowe miasto, gdy przekonają się, czym to grozi. Nie zabijemy ich, po prostu je odegnamy.

Mówiła to z całą szczerością, jaką starała się z siebie wykrzesać. Mimo to żywiła wraz z Essag rosnącą obawę o plany wykorzystania ich badań. Szacunek dla życia, wszelkiego życia, walczył w nich z posłuszeństwem, chęcią przetrwania.

ROZDZIAŁ XXII

Wielkie wrota zamykały się powoli, tłumiąc odgłosy ambesed. Gdy zamknęły się do końca, zapadła cisza. Vaintč nie zwracała kiedyś uwagi na szczegóły wrót, choć bywała wielokrotnie w tej komorze. Teraz przykuły jej uwagę. Były pokryte zawiłymi, przeplatającymi się rzeźbami różnorodnych roślin i zwierząt, a te z kolei błyszczącymi metalami i klejnotymi. To jeden z wielu przejawów luksusu w tym pradawnym mieście, którego mieszkanki traktowały to jako rzecz naturalną. Ona też kiedyś tak uważała. Jakże różniło się to od dopiero rosnącego Alpčasaku, gdzie w ogóle niewiele było drzwi – a te, które powstały, ciągle mokre były od soków wzrostu. Wszystko tam rosło szybko i nierówno, było nowe i zielone w przeciwieństwie do tego starego i dostojnego miasta. Było zuchwalstwem z jej strony, eistai z dzikiego miasta, iż stanęła przed obliczem panujących w ponadczasowym Inegban*.

Vaintč zaniechała tych rozważań. Nie musiała się wstydzić nowego grodu ani popadać w zniechęcenie w tym wielkim mieście. Inegban* jest pradawny i bogaty – lecz musi zginąć. Co do tego nie ma wątpliwości. Drzewa uschną, opustoszałe miasto obejmą we władanie zimne mgły, a te potężne wrota padną pod ciosami czasu, rozszczepią się i rozpadną w pył. Yilanč z Inegban* mogą sobie teraz drwić z prymitywu jej odległego miasta – lecz stanie się ono ich zbawieniem. Vaintč hołubiła tę myśl, ciągle ją powtarzała, dając się jej porwać. Alpčasak stanie się ich wybawieniem – Alpčasak to ona. Gdy zwróciła się ku Malsas<i jej przybocznym, stała dumnie, niemal bezczelnie. Zauważyły to i co najmniej dwie z nich poruszały się niespokojnie. Lek Melik i Melpon<, które znała tak dobrze od wielu lat, oczekiwały od niej pokory. Również Malsas<nie przyjmowała z zadowoleniem tego wyraźnego braku szacunku. Mówiła pewnie i stanowczo:

–Wydajesz się bardzo zadowolona, Vaintč, musisz nam powiedzieć dlaczego.

–Cieszę się, że znów jestem w Inegban* ze wszystkimi jego wygodami, pomiędzy efenselč z mego efenburu. Cieszę się, że mogę ci zameldować, iż prace, o których wykonanie prosiłaś idą dobrze. Alpčasak rośnie i kwitnie, jego pola są rozległe, a zwierzęta liczne. Gendasi* to bogaty i żyzny ład. Alpčasak rośnie tak, jak nie rosło żadne miasto przed nim.

–Jednak twe radosne słowa cień przyćmiewa – powiedziała Malsas<. – Dla wszystkich widoczne są twoje wahania i zgryzota.

–Jesteś bardzo spostrzegawcza, Eistao – odparła Vaintč. – Jest coś, co kładzie ten cień. Ustuzou i inne zwierzęta tamtego ład są liczne i niebezpieczne. Nie mogłyśmy założyć plaż narodzin, nim nie usunęłyśmy aligatorów, stworzeń bardzo podobnych do znanych nam krokodyli, nieskończenie liczniejszych. Niektóre gatunki ustuzou są

smaczne, jadłaś je sama, gdy zaszczyciłaś nasze miasto swą wizytą. Są też inne ustuzou, które chodząc na zadnich łapach, lichy naśladowują Yilanč. Spowodowały one wielkie straty i stanowią stałe zagrożenie.

–Doceniam to niebezpieczeństwo. Jak jednak te zwierzęta mogą opierać się naszej broni? Czy nie są silne naszą słabością? W pytaniu krył się zarzut, natychmiast odparty.

–Gdyby to była tylko moja słabość, ustąpiłabym wówczas, aby ktoś silniejszy zajął me miejsce. Rozważ jednak, te niebezpieczne zwierzęta dosięgły naszych szeregów i zabity twoją efenselč, mocną Alakensi, zawsze czujną Alakensi. Może nie ma ich wiele, lecz są niezwykle przebiegłe – zastawiają pułapki. W jednej z nich zginęła Sňkain z wszystkimi towarzyszkami. Jeśli giną fargi, to zawsze znajdziemy inne na ich miejsce. Kto jednak zdoła zastąpić Alakensi czy Sňkain? Gdy ustuzou zabijają nasze zwierzęta, możemy poszerzyć hodowlę. Ustuzou dosięgły jednak i plaż narodzin. Kto zdoła uzupełnić stratę tamtych samców i tamte młode?

Melpon<krzyknęła głośno ze wzruszenia. Była bardzo stara i skłonna do objawiania sentymentalnych uczuć wobec plaż narodzin. Jej krzyk był jednak głosem ich wszystkich. Nawet Malsas<dała się ponieść emocjom, choć była zbyt doświadczona, by powodować się wyłącznie uczuciami.

–Zagrożenie wydaje się na razie powstrzymane. Dobrze się sprawiłaś.

–To prawda – lecz chcę czegoś więcej.

–Czego?

–Chciałabym wam wszystkim jako pierwszym dostarczyć nowych informacji o ustuzou. Pragnę, byście same je usłyszały z ust złapanego ustuzou.

Malsas<zastanowiła się, w końcu wyraziła zgodę.

–Jeśli owa istota ma informacje, które mogą okazać się cenne, to ich wysłuchamy. Czy naprawdę mówi i odpowiada na pytania?

–Przekonasz się sama, Eistao.

Kerrick musiał być w pobliżu, bo wysłanniczka wróciła z nim bardzo szybko. Inlčnu* siadła twarzą do zamkniętych drzwi, podczas gdy Kerrick w milczeniu wyraził całemu zgromadzeniu szacunek i oczekiwanie na rozkazy w postawie najniższego wobec najwyższych.

–Kaž mu mówić – powiedziała Malsas<.

–Opowiedz nam o swojej bandzie ustuzou – nakazała Vaintč. – Mów tak, by wszystkie zrozumiały.

Gdy to mówiła, Kerrick zauważył, że ostatnie słowa były sygnałem. Miał teraz przekazać słuchającym to, czego go starannie wyuczono.

–Niewiele jest do opowiedzenia. Polujemy, kopujemy ziemię w poszukiwaniu owadów i roślin. I zabijamy Yilanč.

Odpowiedziały mu gniewne pomruki i szybkie ruchy ciała.

–Powiedz dokładniej o zabijaniu Yilanč – nakazała Malsasκ.

–To naturalna reakcja. Powiedziano mi, że Yilanč czują wrodzony wstręt do ustuzou. Te z kolei odnoszą się tak samo do Yilanč. Jednak, jako istoty krwiożercze, pragną tylko zabijać i niszczyć. Ich dążeniem jest zabicie wszystkich Yilanč. Dokonają tego, jeśli się ich nie zniszczy.

Brzmiało to nieprawdopodobnie nawet w ustach Kerricka. Któż uwierzy w tak oczywiste kłamstwo? A jednak przyjęte zostało natychmiast z ufnością, bo Yilanč same nie umiały kłamać. Kerrick drżał ze strachu przed śmiercią zapowiadaną w ich ruchach i poczuł ulgę, gdy kazano mu opuścić komnatę. Malsasκ odezwała się natychmiast, gdy tylko drzwi znów się zamknęły.

–Ustuzou muszą być zniszczone natychmiast i bezwzględnie. Do ostatniego. Szukać i niszczyć! Ścigać i zabijać, jak zabito Alakensi, która siedziała najbliżej mnie. Możesz nam teraz powiedzieć, Vaintč, jak tego dokonasz?

Vaintč zdawała sobie sprawę, iż nie powinna okazywać radości z odniesionego zwycięstwa. Myśląc wyłącznie o swych planach, oparła się wygodnie o ogon i wyliczała kolejne działania, które prowadzić miały do zwycięstwa.

–Po pierwsze – potrzeba nam więcej uzbrojonych fargi. Nigdy nie będzie ich za wiele. Strzegą pól, wytaczają ścieżki w dżungli, trzymają ustuzou z dala.

–Tak się stanie – zgodziła się Malsasκ. – Rozmnożyliśmy hčsotsany i szkolimy fargi w ich używaniu. Gdy będziesz wracać, zabierzesz z sobą tyle uzbrojonych fargi, ile się tylko zmieści w uruketo. Doniesiono mi, że dwa mniejsze uruketo są gotowe do odbycia dłuższego rejsu oceanicznego. Nimi też popłyną fargi. Czego jeszcze trzeba?

–Stworzeń do śledzenia i zabijania. Yilanč nie są zabójczyniami, lecz dzięki naszej wiedzy możemy wyhodować takie istoty, które tym się zajmą.

–Tak też się stanie – powiedziała Lek Melik. – Sporo już dokonano. Teraz, gdy

pobrano próbki tkanek ustuzou, badania zostaną doprowadzone do końca. Nadzorująca je Ikemei czeka w pobliżu na wezwanie. Wyjaśni to bliżej.

–Dokonano więc wszystkiego, czego można było dokonać – powiedziała Vaintč, wyrażając radość i wdzięczność.

–Istotnie – potwierdziła Malsasκ, choć w głosie jej brzmiało niezadowolenie. – Nie dokonano, lecz rozpoczęto. A czas nam nie sprzyja. Zajmujące się tymi sprawami wróciły szybciej z Teskhets. Mówiły o chłodnym lecie, wczesnej jesieni. Obawiają się długiej, srogiej zimy. Zawsze musimy posuwać się uważnie, ale przede wszystkim musimy się posuwać.

Tak mocno podkreślała swe słowa, nasycając je gorzkim gniewem i wielkim lękiem, że przytłoczyło to wszystkie słuchające. W milczeniu podzielały jej strach, aż Malsasκ poleciała:

–Poślijcie po Ikemei. Wysłucham, czego dokonano.

Wysłuchały relacji o postępach badań, a także ujrzały na własne oczy ich wyniki. Ikemei weszła na czele karawany mocno obciążonych fargi, które pośpiesznie złożyły swe ciężary i odeszły. Ikemei ściągnęła osłonę z klatki tak dużej, że mogła pomieścić dorosłą Yilanč.

–Władca niebios – powiedziała z dumą, wybałuszając swe jedyne oko. – Biegły, silny i inteligentny drapieźnik.

Wielki ptak nastroszył pióra i powoli obrócił głowę, tocząc wokół okiem. Zakrzywiony dziób stworzony był do rozdzierania ciała, a długie skrzydła – do wysokiego, szybkiego i wytrwałego lotu. Łapy ptaka kończyły się zakrzywionymi, ostrymi szponami, zdatnymi do zabijania. Nie lubił, gdy mu się przyglądano. Potrząsnął skrzydłami i skrzeknął gniewnie. Ikemei wskazała na wydłużony, ciemny przedmiot, mocno przywierający do łapy drapieźcy.

–To neurologiczny rejestrator obrazu – wyjaśniła. – Specjalnie przystosowany do tego celu. Jak na pewno wiecie, obraz z jego oka ogniskuje się na wewnętrznej błonie. Następnie neurony przechowują ten obraz w maleńkich zwojach nerwowych, by mógł być ponownie obejrzany. Ponieważ gromadzone są pojedyncze obrazy, a nie zapisy złożonych zespołów czy ruchów, nie ma niemal ograniczeń co do liczby obrazów, jakie można rejestrować.

–Obrazów czego? – spytała nagle Malsasκ, znudzona szczegółami technicznymi, z których niewiele rozumiała.

–Wszystkiego, co zechcesz rejestrować, Eistao – wyjaśniła Ikemei. – Ten ptak jest niemal nieczuły na zimno – lata bardzo wysoko w poszukiwaniu łupu. Dlatego po

wytresowaniu nakazano mu lot na północ. Tresura okazała się bardzo skuteczna. Zwykle ptaki te nie interesują się długozębami, drapieżnymi ustuzou zamieszkującymi daleką północ. Niczym im nie grożą, a są za duże, by je zaatakować i zjeść. Lecz ten ptak jest dobrze wytresowany i wie, że za wykonanie naszych poleceń czeka go nagroda. Poleciał daleko na północ. Zaraz zobaczymy dokładnie, co widział.

Ikemei otworzyła jedną z paczek i wyjęła plik zdjęć. Czarnobiałe, gruboziarniste, lecz bardzo wyraźne. Ułożyła je zgodnie z porządkiem wydarzeń. Najpierw białe pole z czarnymi plamkami. Potem, w trakcie lotu w dół, plamki nabierały kształtów, aż stały się wyraźne. Czworonogie, pokryte futrem ustuzou. Jedno z nich rosło wypełniając odbitkę. Patrzyło w górę z groźną miną, szczerząc zakrzywione zęby. Potem uskoczyło w bok, przestraszone atakiem ptaka. Obraz na ostatniej odbitce był najbardziej przejmujący – cień rozłożonych skrzydeł zakrywał długo-zęba i śnieg. Gdy Malsas skończyła się im przyglądać, Vaintč chciwie chwyciła obrazki i zaczęła się im przypatrywać z rosnącym podnieceniem.

–Można go wytresować tak, aby tropił każdą istotę?

–Każdą.

–Nawet ustuzou, takie jak to, które przywiozłam ze sobą z Alpčasaku?

–Zwłaszcza takie. Będzie ich szukał, odnajdzie i powróci. Potem za pomocą zdjęć sporządzimy mapę.

–Takiej broni było mi trzeba! Ustuzou wędrują małymi stadami, a to ogromny ład. Znaleźliśmy jedno stado i łatwo zniszczyliśmy. Teraz odnajdziemy inne...

–I zniszczycie tak samo – dokończyła Malsas.

–Zniszczymy. Obiecuję ci – zniszczymy.

Malsas siedziała nieruchomo i milcząco, czekając aż ciężkie drzwi zamkną się za ich plecami. Dopiero wtedy się poruszyła, zwracając do Vaintč twarz, na której malowały się troska i strach. Eistaa Inegban* zatroskana i przestraszona? Mogła być tego tylko jedna przyczyna. Vaintč zrozumiała.

–Chodzi o Córy Śmierci, prawda?

–Tak. Nie umarły – i coraz ich więcej.

–W Alpčasaku też nie umierają. Początkowo ginęły, pracując ciężko wśród wielu niebezpieczeństw. Ale teraz, gdy miasto wzrosło i rozwinęło się, jest inaczej. Doznają ran, niektóre padają. Ale ginie ich za mało.

–Zabierzesz ze sobą z powrotem największe grzesznice. Te, które przemawiają publicznie, nawracają.

–Zabiorę. Ale każda, którą wezmę, oznacza jedną uzbrojoną fargi mniej. W Alpčasaku te nieumierające stworzenia będą mi zawadzać, bo nie zechcą pomagać w niszczeniu ustuzou. Są obciążeniem.

–Tak jak dla Inegban*.

–Zabiorę je. Lecz tylko w nowych, nie wypróbowanych uruketo. Malsas<wyraziła zgodę, nie ukrywając szacunku.

–Są twarde i niebezpieczne, Vaintč. Jeśli młode uruketo nie zdołają pokonać oceanu, to nasza porażka będzie jednocześnie sukcesem.

–Myślę dokładnie tak samo.

–Dobrze. Porozmawiamy jeszcze o tym, nim wyruszysz do Alpčasaku. Teraz jestem zmęczona, dzień był długi.

Vaintč pożegnała się uroczyście, a gdy tylko zamknęły się drzwi, z trudem zdołała opanować podniecenie. Idąc przez miasto, myślała o przyszłości, a jej ruchy uwydatniały te myśli. Było w nich nie tylko podniecenie, lecz także zapowiedź śmierci tak widoczna, iż przechodzące fargi szybko usuwały się jej z drogi. Czuła teraz głód i podeszła do najbliższego miejsca posiłków. Kazała się rozstąpić czekającym tam Yilanč. Dobrze się najadła, potem zmyła resztki mięsa z rąk i poszła do swojej kwatery. Było to pomieszczenie funkcjonalne i wygodne, bogato zdobione tkanymi we wzory zasłonami.

Fargi wyszły, spieszenie wykonując rozkaz. Zatrzymała gestem tylko jedną.

–Ty – rozkazała – poszukaj mego ustuzou ze smyczą na szyi i przyprowadź tutaj.

Trwało to trochę, bo ta nie miała pojęcia, gdzie szukać. Spytała się jednak napotkanych fargi, które pytały następne i polecenie dotarło wreszcie do kogoś, kto widział Kerricka.

Vaintč prawie zapomniała o swym poleceniu. Gdy Kerrick przybył, zatopiona była w planach na przyszłość. Oprzytomniała na jego widok.

–To był pomyślny dzień, dzień mego sukcesu – powiedziała. Mówiła jakby do siebie, nie zwracając uwagi na to, co odpowiedział. Inlčnu* siadła wygodnie na swym ogonie, twarzą do zasłon na ścianie, podziwiając bezmyślnie ich wzór.

Vaintč pociągnęła Kerricka, nakłaniając go, by położył się przy niej i zdarła z niego

futrzane okrycie. Rozśmieszyło ją, gdy spróbował się odsunąć. Podniecając siebie, podniecała i jego.

Kerrick nie bał się już tego, co miało nastąpić. Było mu dobrze. Gdy po wszystkim odepchnęła go od siebie, poczuł żal. Zaczął marzyć, by zdarzyło się to znów i znów.

ROZDZIAŁ XXIII

Spod ciemnych chmur rozległ się ogłuszający grom, gęsta ulewa siekła powierzchnię oceanu. Uruketo powoli oddalało się od brzegu, a tuż za nim dwa mniejsze. Enteesenaty, szczęśliwe, że są znów na otwartym morzu, gnały naprzód, to ukazując się, to niknąc, gdy nurkowały w falach. Inegban* wkrótce pozostał w tyle, malał, aż wreszcie przepadł za zasłoną deszczu.

To nie był łatwy rejs. Po wymyślnych i niespodziewanych wygodach Inegban* powrót w uruketo był dla Kerricka ciągłą udręką. Wnętrze załadowano po brzegi, dno zaścielały fargi, tak iż nie sposób było chodzić, aby którejs nie nadepnąć. Brakowało żywności i wody, wydzielano je skąpo. Nie stanowiło to problemu dla Yilanč, które po prostu drętwiały i przesypiały większość czasu. Gorzej było z Kerrikiem. Czuł się uwięziony, osaczony, trudno mu się oddychało. Noc też nie dawała mu wytchnienia – w swoich snach dusił się i topił, a potem budził się z krzykiem, cały spocony. Nie mógł się swobodnie poruszać, zaledwie dwa razy podczas ciągnącej się długo podróży zdołał wdrapać się na płetwę, by wciągnąć w płuca ożywcze i słone powietrze.

Sztorm na środku oceanu sprawił, iż płetwy nie można było otwierać przez wiele dni. Było duszno, trudno już było oddychać zatęchłym powietrzem. W końcu trzeba było uchylić płetwę, lecz wraz z podmuchem dostała się do środka fontanna zimnej wody morskiej. Kerrick cierpiał w milczeniu, mokry i lepiący się od brudu, czując na przemian chłód i gorąco.

Wreszcie sztorm ucichł i można było ponownie otworzyć płetwę. Vaintč kazała wszystkim zostać, a sama wdrapała się na górę. Morze było nadal wzburzone, ze wszystkich stron nadbiegały zwieńczone pianą fale. Puste morze. Dwa małe uruketo zniknęły i nigdy ich już nie ujrzano.

Choroba morska Kerricka skończyła się dopiero w porcie Alpčasaku. Podróż tak go osłabiła, że z trudem wstał. Drapieżny ptak w klatce cierpiał równie mocno. Ze zwieszoną nisko głową zaskrzeczał słabo, gdy go wynoszono. Kerrick wyszedł na brzeg ostatni, na płetwę musiała go wynieść Inlčnu* i dwie inne fargi.

Vaintč oddychała ciężko w wilgotnym, ciepłym powietrzu, przesyconym silnymi zapachami żywego miasta. Z ogromną przyjemnością otrząsnęła się z letargu podróży. Weszła do pierwszej napotkanej sadzawki chłodzącej, zmywając z siebie sól i zaskorupiały brud uruketo. Wyszła na słońce odświeżona i gotowa do działania.

Nie musiała wzywać przywódczyni miasta, bo gdy przybyła do ambesed, wszystkie już tam na nią czekały.

–Co z Alpčasakiem? – i poczuła się jeszcze lepiej, gdy usłyszała, że wszystko jest w

dobrym stanie. – Stellan, a co z ustuzou, co ze szkodnikami podgryzającymi skraje naszego miasta?

–Drobne przykrości, nic więcej. Uprowadzono kilka naszych zwierząt rzeźnych, inne zarżnięto w ciemności, ich mięso zabrano przed świtem. Ale nasza obrona jest mocna, niewiele więcej dokonają.

–Nie chcę mieć nawet najmniejszych kłopotów. Ustuzou muszą być powstrzymane. I będą. Przywiozłam następne fargi wyszkolone w używaniu broni. Ustuzou zostaną wyśledzone i zabite.

–Trudno je wytropić – powątpiewała Stellan. – W dżungli są chytre jak zwierzęta i nie zostawiają po sobie śladów. A jeśli są ślady, to prowadzą do zasadzki. Zginęło tak wiele fargi.

–Koniec z tym – powiedziała Vaintč, słysząc jakby na potwierdzenie swych słów skrzek orła. Tragarki przyniosły właśnie klatkę i ptak gładził teraz na słońcu dziobem swe pióra.

–Wszystko wyjaśnię – dodała Vaintč. – To latające stworzenie umożliwi nam odnalezienie legowisk ustuzou, w których kryją swe szczenięta i samice. Wpierw jednak chcę wysłuchać szczegółowego raportu o wszystkim, co zaszło w czasie mojej nieobecności.

Vaintč czekała niecierpliwie na następny napad ustuzou. Gdy zawiadomiono ją o tym, wydała szybko rozkazy i poszła od razu na odległe pastwisko, gdzie doszło do napaści. Stellan już tam była, wskazując ze wstrętem na pokrwawione ciała leżące na trawie.

–Marnotrawcy. Zabrano tylko najtłustsze udźce.

–Bardzo praktyczne – Vaintč nie była tym przejęta. – Łatwo je zabrać, niewiele się marnuje. Które uciekły?

Stellan pokazała otwór wydarty w cierniowym żywopłocie, za nim trop niknął wśród wysokich drzew.

–Na północ, jak zwykle. Ślady łatwe do zauważenia, pozostawione, żeby nas zwabić w zasadzkę. Mięso zniknęło, a jeśli odważymy się je tropić, czeka nas jedynie śmierć.

–Ptak poleci tam, gdzie my nie możemy – powiedziała Vaintč po przyniesieniu drapieźnika. Orzeł krzyczał gniewnie i szarpał okowy przytrzymujące jego nogi. Nie siedział teraz w klatce, lecz na drewnianej grzędzie umieszczonej na platformie. Spoczywała ona na długich tyczkach, tak iż dziób orła nie zagrażał niosącym ją fargi. Przybył również Kerrick, zaciekawiony tym porannym zgromadzeniem.

–Róbcie swoje – rozkazała Vaintč treserce.

Kerrick przekonał się nagle, iż nie jest tylko widzem. Chwyciły go i pociągnęły do przodu mocne kciuki. Drapieżnika drażnił widok i zapach krwawiących ciał, skrzeczał i ogłuszająco bił skrzydłami. Jedna z fargi odcięła z boku zarżniętego zwierzęcia kawał mięsa i rzuciła ptakowi. Ten chciwie wyciągnął po czerwony ochłap wolną łapę, przytrzymał szponami na poprzeczce i rwał krwiste kęsy. Wszystkie czekały, aż skończy. Kerrick wyrwał się, gdy ciągnięto go do przodu, niemal w zasięg skrwawionego, haczykowatego dzioba.

–Szukaj, znajdź! Szukaj, znajdź! – wołała ciągle treserka, a Kerricka przyciągano jeszcze bliżej.

Drapieżnik nie zaatakował, lecz obrócił głowę i utkwił w Kerricku zimne, szare oko. Podczas gdy wykrzykiwano rozkazy, wpatrywał się w niego nieprzerwanie. Zaczął mrugać i kiwać głową dopiero wtedy, gdy zamilkły polecenia.

–Obróćcie grzędę w stronę tropu – nakazała treserka, po czym wyciągnęła rękę i szybko zwolniła okowy.

Drapieżnik wrzasnął, rozchylił nogi i wzbił się w powietrze potężnymi uderzeniami wielkich skrzydeł. Kerrick rzucił się w tył, gdy ptak spojrzał na niego, a treserka wykrzykiwała instrukcje.

Ptak był dobrze wytresowany. Wzniósł się szybko, zatoczył jeden krąg i ruszył na północ.

–Zaczęło się – powiedziała bardzo zadowolona Vaintč.

Jednak entuzjazm opuszczał ją w miarę, jak upływały dni, a drapieżnik nie wracał. Zmartwione treserki unikały jej, podobnie jak wszystkie, widząc gniewne ruchy eistai. Także Kerrick, jeśli nie był wzywany, trzymał się od niej z daleka.

Spokojne schronienie, gdzie trudno go było znaleźć, stanowiło hanalč. Nie był tam, odkąd powrócił z Inegban*.

Ikemend otworzyła przed nim drzwi.

–Byłeś w Inegban* – powiedziała głosem, w którym pobrzmiwała zazdrość.

–Nigdy jeszcze nie widziałem takiego miasta.

–Opowiedz mi o nim, bo już nie ujrzę go na własne oczy.

Gdy zaczął opowiadać, umieściła smycz w szparze wydłubanej w drzwiach, które

potem zamknęła. Kerrick wiedział, co chciała usłyszeć, mówił jej więc o pięknie miasta, tłumach i ruchu, ani słowem nie wspominając o głodzie i chłodzie zimy. Zależało mu bardzo na wizytach w hanałč, starał się więc, by Ikemend zawsze oczekiwała go z niecierpliwością. Słuchała, dopóki nie musiała odejść do pilnych zajęć. Samce nie lubiły Ikemend i starannie unikały jej towarzystwa. Żadnego nie było teraz w zasięgu wzroku. Kerrick spoglądał w ciemną sień, gdzie nie mógł wejść, potem zawołał, gdy tylko usłyszał kroki:

–To ja, Kerrick, chcę pogadać.

Samiec zawahał się, potem ruszył znów i zatrzymał się dopiero, gdy Kerrick zawołał go jeszcze raz. – Byłem w Inegban*. Czy nie chciałbyś posłuchać o mieście?

Takiej propozycji nie zdołał się oprzeć. Yilanč wyszedł wolno na światło i Kerrick poznał go. To Esetta, ponury osobnik, z którym rozmawiał raz czy dwa. Wszystkie pozostałe samce podziwiałały śpiew Esetty, choć Kerrick uważał go za monotony i nudnawy. Nigdy jednak nie powiedział tego głośno.

–Inegban* to prawdziwe miasto – powiedział Esetta, szybko i bez tchu, jak wszystkie samce. – Mogliśmy tam siedzieć wysoko wśród liści i obserwować wszystko, co działo się na zatłoczonych korytarzach w dole. Nie byliśmy wiecznie skazani na nudę, jak tutaj, gdzie niewiele nam pozostaje poza rozmyślaniem o pisanim nam na plażach losie. Powiedz mi...

–Powiem. Ale najpierw poślij po Alipola. Chcę opowiedzieć i jemu.

–Nie mogę.

–Dlaczego?

Odpowiedź dała Esetcie perwersyjną przyjemność.

–Dlaczego nie mogę? Chcesz wiedzieć dlaczego? Powiem ci, dlaczego nie mogę.

Zastanawiał się nad wyjaśnieniem, wysuwając język między zęby, by zwilżyć wargi przed odpowiedzią.

–Nie możesz z nimi rozmawiać, bo Alipol nie żyje. Ta wiadomość wstrząsnęła Kerrickiem. Krępy Alipol, mocny jak pień drzewa. Wydawało mu się to niemożliwe.

–Zachorował czy miał wypadek?

–Gorzej. Zabrano go, zabrano siłą. Już dwa razy był na plażach. Wiedziały o tym te okrutne bestie, wiedziały, mówił im, błagał je, pokazywał im śliczne rzeczy, które robi, lecz tylko się z tego śmiały. Niektóre przekonał, lecz najwstrętniejszą z nich, z

bliznami i szorstkim głosem, tę, która przewodzi łowczyniom, podnieciły sprzeciwy Alipola. Złapała go i stłumiła jego krzyki swym ohydny ciałem. Byli tam cały dzień, upewniła się, cały dzień, widziałem. Upewniła się o jajach.

Kerrick zrozumiał, że coś strasznego stało się z jego przyjacielem, nie wiedział jednak co. Esetta zapomniał o nim, kołysał się z zamkniętymi oczyma. Mruczał żalobnym głosem, potem zaczął śpiewać pieśń nasyconą przerażeniem.

Za młodu poszedłem raz na plażę,

i wróciłem,

Drugi raz poszedłem, już nie młody,

czy powrócę?

Lecz nie po raz trzeci, proszę, nie,

bo mało kto wraca.

Nie ja, nie ja. Bo jeśli pójdę, wiem,

nie wrócę.

Esetta umilkł. Zapomniał, że Kerrick miał mu opowiedzieć o Inegban*, a może nie pragnął już słuchać o dalekim mieście. Odwrócił się, ignorując pytania Kerricka i odszedł. Kerrick wołał potem głośno, lecz nikt się już nie pojawił. W końcu wyszedł zatrząskując za sobą drzwi. O czym mówił Esetta? Co na plaży zabiło Alipola? Nic nie rozumiał. Inłčnu* drzemała na słońcu oparta o ścianę. Szarpnął ze złością za smycz, aż oprzytomniała, ziewnęła i powoli dźwignęła się na nogi.

ROZDZIAŁ XXIV

Fargi pragnęła bardzo przekazać wiadomość – wiadomość dla samej eistai! – lecz z gorliwości pędziła za szybko w upale dnia. Po dotarciu do ambesed tak szeroko rozwierała usta i dyszała tak szybko, że nie mogła mówić. Szarpana niepewnością, wychynęła na słońce, by po chwili cofnąć się do chłodnego cienia. Czy w pobliżu jest sadzawka? Była tak zmieszana, że nie pamiętała. Żadna z pobliskich fargi nie zwracała najmniejszej uwagi na ruchy jej palców i grę barw we wnętrzu dłoni. Były samolubne, myślały tylko o sobie, nigdy nie pomagały innym fargi. Wysłanniczka rozgniewała się, niepomna, iż w podobnej sytuacji sama by się tak zachowała. W rozpaczy zaglądała do pobliskich korytarzy, aż w końcu znalazła pitny owoc. Wyssała z niego zimną wodę, a resztkami ochlapała ramiona i całe ciało. W końcu uspokoiła oddech i podjęła próbę mowy.

–Eistao... przyniosłam ci wiadomość...

Chrypliwie, lecz zrozumiale. Powoli, trzymając się cienia, krążyła po ambesed, przepychając się między gromadzącymi się fargi do pustej przestrzeni przed eistą. Usztyniła swe ciało w postawie wyczekiwania, proszenia o uwagę najwyższej dla najniższej.

Vanalpč spostrzegła to i zainteresowała Vaintč milczącą postacią.

–Mów – rozkazała Vaintč.

Fargi zadrżała i wydusiła z siebie starannie zapamiętane słowa:

–Eistao, przynoszę wiadomość. Wiadomość od karmiącej drapieżnego ptaka. Wrócił.

–Wrócił! – Vaintč okazała zadowolenie, a fargi wierciła się radośnie, uważając w swej naiwności, że to ona jest tego powodem. Szybkim gestem Vaintč przywołała inną fargi.

–Znajdź Stallan. Ma natychmiast do mnie przyjść. Odwróciła się do fargi, która przyniosła wiadomość.

–Ty wróć do tych z ptakiem. Zostań z nimi, aż przygotują mi zdjęcia, wtedy przyjdź i daj mi znać. Powtórz!

–Wrócić do tamtych z ptakiem. Zostać. Wrócić do eistai, gdy będą gotowe...

–Zdjęcia, obrazki, widoczki. – Vaintč powiedziała to na trzy różne sposoby, by głupie stworzenie zrozumiało. – Powtórz, akayil.

Akayil, wstrętna-w-mowie. Przyglądające się fargi powtarzały ze strachem okropne słowo, odsuwały się od wysłanniczki, jakby w obawie przed skalaniem.

–Vanalpč, ile to potrwa? – spytała Vaintč.

–Zacznę od tego, że informacje już są dostępne. Zawartość magazynów pamięci ze zwojów nerwowych ptaka zostanie przeniesiona do większego zasobnika. Robiłam to sama przy rejestrowaniu wzorców wzrostu. Pierwsze i ostatnie obrazy będą widoczne natychmiast, lecz przekopanie się przez informacje zawarte między nimi wymaga czasu.

–Mówisz niejasno.

–Zaraz to wyjaśnię, eistao. Nie było ptaka wiele dni. Przez cały ten czas, we dnie i w nocy, co kilka chwil zapamiętywał obraz. Można nakazać stworzeniu pamięciowemu usunięcie wszystkich czarnych obrazów nocy, lecz i tak pozostanie ich niezmiernie wiele. Każdy obraz musi zostać przeniesiony na ekran z ciekłych kryształów, by go odrzucić lub zapisać. Zajmie to całe dnie, wiele dni.

–Będziemy więc cierpliwe i zaczekamy. – Rozejrzała się i zobaczyła zbliżającą się krępa, pokrytą szramami figurę Stallan. Nakazała jej podejść.

–Ptak wrócił. Wkrótce się dowiemy, czy odnalazł ustuzou. Gotowe jesteśmy do przeprowadzenia ataku?

–Tak. Fargi strzelają już dobrze, hčsotsany są odżywione. Zasadzono dalsze strzałokrzewy i zebrano wiele strzałek. Rozmnożono łodzie, niektóre młode są już zdadne do służby.

–Przygotuj je. Załaduj żywność i wodę, potem mnie zawiadom. Vanalpč, twoje doświadczenia ze zdjęciami zostaną teraz wykorzystane. Pójdiesz zaraz pomóc wykonującym tę pracę.

Przez resztę dnia i cały następny Vaintč kierowała miastem, nie myśląc o ustuzou. Za każdym jednak razem, gdy odpoczywała, a w pobliżu nie było nikogo, z kim musiałaby rozmawiać, natychmiast sobie o nich przypominała. Nie cieszyło jej jedzenie, zachowywała się tak nerwowo, że wystraszona fargi zmarła, gdy odprawiła ją brutalnie. Dobrze się stało dla wszystkich, że wreszcie trzeciego dnia przyszła wiadomość.

–Zdjęcia są gotowe, Eistao – powiedziała fargi i wszystkie, które to usłyszały, odetchnęły z ulgą. Gdy Vaintč wyszła z ambesed, nawet Kerrick przyłączył się do dużej grupy ciągnącej za nią, równie niecierpliwie jak inne chcąc się dowiedzieć, co się stało.

–Znalazły – oznajmiła Vanalpč. – Duży obraz jest obrabiany, zaraz będzie gotowy.

Z otworu zwierzęcia powoli wysuwał się arkusz celulozy. Vanalpč wyszarpnęła go niecierpliwie i podała Vaintč, mokry jeszcze i ciepły.

–Naprawdę znalazły – powiedziała; z radości drżały jej palce, w których trzymała zdjęcie. – Gdzie jest Stallan?

–Tu, Eistao – odezwała się Stallan, odkładając przeglądane odbitki.

–Czy wiesz, gdzie to jest?

–Jeszcze nie – Stallan wskazała na środek obrazu. – Wystarczy jednak, że wiemy, iż obok jest ta rzeka. Zaatakujemy z wody. Sledzę teraz ich szlak, jego początki są już nanoszone na mapę. Za pomocą obrazków wyśledzę ich drogę aż do tego miejsca. Patrz, to ich legowisko. Skórzane schronienia, wielkie zwierzęta, wszystko jak przedtem.

–I jak przedtem zostanie zniszczone. – Przywołała gestem Kerricka, potem stuknęła kciukiem w obrazek. – Wiesz co to jest?

Białe i czarne wzory nic mu nie mówiły; nigdy przedtem nie widział zdjęcia. Wziął arkusz i obracał nim we wszystkich kierunkach, zajrzał nawet na drugą stronę, nim Vaintč wyrwała mu go z rąk.

–Utrudniasz – powiedziała Vaintč. – Widziałeś już przedtem te istoty i przedmioty.

–Z całym szacunkiem, Eistao – wtrąciła się pokornie i przepaszajaco Vanalpč. – Fargi też tak się zachowują. Nim nie nauczą się patrzeć na zdjęcia, niczego na nich nie dostrzegają.

–Rozumiem – Vaintč odłożyła zdjęcie. – Zakończyć przygotowania! Wyruszymy, gdy tylko rozpoznamy to miejsce. Ty, Kerrick, wyruszysz z nami.

–Dziękuję, Eistao. Z chęcią pomogę.

Kerrick mówił to szczerze. Nie miał pojęcia, gdzie wyruszają ani po co. Cieszył się jednak na myśl o nowej wyprawie na łodziach.

Jego entuzjazm bardzo szybko minął. Wyruszyli o świcie, płynęli aż do zmroku i spali na brzegu. Powtarzało się to co dnia, aż zaczął zazdrościć Yilanč ich umiejętności zapadania w stan niemal bezmyślności. Nie mogąc zasnąć, przyglądał się brzegowi, usiłując wyobrazić sobie, co się kryje ze ścianą drzew wyrastającą poza plażą.

Gdy powoli posuwali się na północ, zauważał zmiany wybrzeża. Dżungla ustąpiła miejsca puszczy, potem bagniskom, wreszcie niskim krzewom. Minęli ujście wielkiej rzeki, lecz płynęli dalej. Dopiero po dotarciu do dużej zatoki zbieżyli z północnego szlaku. Vaintč i Stallan na prowadzącej łodzi zmieniły kierunek i wpłynęły do zatoki. Było to coś nowego i nawet otępiałe fargi zaczęły się ożywiać. Gdy zbliżyli się do rosnących wzdłuż brzegu trzcin, spłoszyli pożywające się tam ptaki. Wzniosły się w wielkich stadach, zasłaniając niebo; krzyczały ogłuszająco. Gdy mokradła znów przeszły w plażę, Vaintč nakazała wylądować – choć słońce znajdowało się jeszcze wysoko. Kerrick wraz z innymi przysunął się blisko, by usłyszeć, co postanowiono. Stallan pokazywała na jedno ze zdjęć.

–Jesteśmy tutaj, a ustuzou są tam, na brzegu rzeki. Gdybyśmy dziś popłynęli dalej, mogłyby nas zauważyć. Mądrzej będzie rozładować tu łodzie, zostawić na plaży całą wodę i jedzenie. Dzięki temu będziemy gotowe do szybkiego uderzenia o świcie. Vaintč zgodziła się.

–Zaatakujemy z wody, z przyboju, bo tym razem nie możemy zejść ich od tyłu. Chcę, by zginęły wszystkie, poza kilkoma, które Stallan ma pojmać. Czy to jasne? Powtórzyć!

Kierujące grupami doprowadzały rozkazy do świadomości fargi. Robiły to wielokrotnie, tak że nawet najlepsza wiedziała, co ma robić. Kerrick odszedł znudzony, lecz musiał wrócić na znak Vaintč.

–Zostaniesz tu z zapasami i poczekasz na nasz powrót. Nie chcę, byś zginął przez pomyłkę w czasie walki. Twoje zadanie zacznie się później.

Odwróciła się, nim Kerrick zdołał odpowiedzieć. Nie chciał być świadkiem żadnego zabijania, nawet ustuzou, chętnie więc przyjął jej decyzję.

Wstały z samego rana i wsiadły do łodzi. Kerrick, siedząc na brzegu, obserwował ich ciche odpłynięcie aż do chwili wtopienia się w poranną mgiełkę. Inlčnu* przypatrywała się także, choć bez zainteresowania. Gdy tylko wszystkie zniknęły, otworzyła jeden z pojemników z mięsem.

–Wstrętny z ciebie żarłok – powiedział Kerrick. – Utyjesz.

–Jeść dobrze – odparła Inlčnu*. – Ty jedz też.

Nie lubił mięsa przechowywanego w pęcherzach, zawsze smakowało stęchlizną. Zjadł jednak trochę, potem się napił wiedząc, że w żaden sposób nie ruszy Inlčnu*, póki ta się nie naje. Przyjrzał się jej bliżej i stwierdził, że tyła, całe jej ciało pokrywała warstwa tłuszczu, wyglądająca ostre zarysy mocnych mięśni.

Choć przywykł do przebywania wśród innych, cieszyła go wolność w samotności.

Inlčnu* się nie liczyła. Po odpłynięciu łodzi zapanowała cisza. Słysząc było tylko wietrzyk szumiący w wysokiej trawie, uderzenia o brzeg drobnych fal. Nie było jednak hałasu, jak podczas ciągłych rozmów w ambesed.

Szli powoli wzdłuż czystego piasku, między kępkami trawy, płosząc ptaki zrywające się do lotu niemal spod ich stóp. Kerrick prowadził, aż Inlčnu* zaczęła narzekać na zmęczenie i musiał ją uciszyć. W czasie odpływu doszli do pasma wysokich, czarnych skał. Zwisły z nich wstęgi wodorostów, a tuż nad wodą widniały wielkie skupiska przyczepionych do kamieni czarnych małży;

–Dobre do jedzenia – powiedziała Inlčnu*, głośno cmokając. Stojąc po kolana w wodzie, starała się kilka oderwać, lecz mocno trzymały się skały. Bez protestu dała się zaciągnąć na brzeg, gdzie Kerrick znalazł kamień wielkości pięści. Użył go do odbicia kilku muszli. Inlčnu* chwyciła je, włożyła do ust i zgmiotła potężnymi szczękami. Kawałki skorup wypluła do oceanu i bardzo szczęśliwa połknęła smaczne mięso. Kerrick zebrał kilka dla siebie i otworzył za pomocą zawieszzonego na szyi metalowego noża. Zostali tam i najedli się do syta.

Był to przyjemny dzień, najlepszy z wszystkich, jakie pamiętał. Kerrick pragnął jednak zobaczyć powrót z wyprawy, wrócili więc wczesnym popołudniem na miejsce lądowania. Musieli długo czekać. Łodzie pojawiły się tuż przed zachodem słońca.

Pierwsza wysiadła Vaintč. Poszła plażą w kierunku zapasów, rzuciła broń na piasek i rozdarła pęcherz z mięsem. Odgryzając wielki kęs, zauważyła pytające spojrzenie Kerricka. Przeżuła i potknęła chciwie mięso, nim się odezwała:

–Żadne nie uciekło. Zabiliśmy zabójców. Walczyli zażarcie i straciliśmy fargi, lecz świat jest ich pełen. Zrobiliśmy to, po co tu przybyliśmy. Teraz ty też wypełnisz swoje obowiązki.

Wydała polecenie i dwie fargi przyniosły z jednej łodzi ciężki, owinięty pakunek. Kerrick myślał, że to zwinięte skóry.

Gdy fargi rzuciły je na piasek, skóry rozchyliły się i Kerrick ujrzał brodatą twarz. Z włosów stworzenia kapą krew; w szeroko otwartych oczach widniało przerażenie. Otworzyło usta na widok Kerricka i wydało dziwne, chrypliwe dźwięki.

–Ustuzou mówi – powiedziała Vaintč. – Co powiedziało, Kerricku? Każę ci słuchać i powtarzać mi jego słowa.

Nie pomyślał nawet o nieposłuszeństwie. Gdy eistaa coś poleci, jej rozkazy są zawsze wykonywane. Kerrick nie mógł jednak tego uczynić i drżał ze strachu.

Nie rozumiał tych dźwięków. Nic dla niego nie znaczyły, nic zupełnie.

ROZDZIAŁ XXV

–Czy ta istota mówi? – niecierpliwiła się Vaintč. – Powiedz mi natychmiast!

–Nie wiem – przyznał Kerrick. – Może mówi. Nic nie zrozumiałem. Nic zupełnie.

–A więc wydawany przez nią głos to tylko bełkot

Vaintč była wściekła. Waliły się jej plany. Nie powinna była nigdy uwierzyć Enge, gdy ta upierała się, iż te wstrętne bestie porozumiewają się ze sobą. Musiała się pomylić. Vaintč wyładowała swój gniew na ustuzou – postawiła mu nogę na twarzy i mocno przycisnęła. Jęknęło z bólu i krzyknęło głośno.

Kerrick przechylił głowę, słuchał uważnie, nim powiedział:

–Eistao, poczekaj, proszę – mam coś.

Odstąpiła i spojrzała na niego, nadal gniewna. Mówił szybko, by zdążyć, nim zwróci przeciw niemu swą wściekłość.

–Słyszałaś, powtarzało coś – wiele razy. I wiem, co to znaczy, chyba wiem, co powiedziało.

Umilkł. Przygryzając wargę, szukał w pamięci dawno zapomnianych słów.

–Marag, to mówi. Marag.

–To nic nie znaczy.

–Znaczy. Wiem to. Ma to taki sam sens, jak ustuzou. Vaintč była teraz zdumiona.

–Ależ to stworzenie jest ustuzou.

–Nie o to mi chodzi. Dla niego Yilanč są ustuzou.

–Nie jest to całkowicie jasne i nie podoba mi się ten twój wniosek, ale pojmuję, co chcesz powiedzieć. Pytaj dalej! Jeśli uważasz, że to ustuzou jest yiliebe i nie potrafi dobrze mówić, wówczas znajdziemy ci inne. Zaczynaj!

Kerrick nie mógł jednak. Jeniec milczał. Gdy Kerrick nachylił się nad nim, by go ośmielić, ustuzou plunęło mu w twarz. Vaintč nie była zadowolona.

–Wytrzymaj się – rozkazała, potem skinęła na fargi. – Przynies tu inne ustuzou.

Kerrick ledwo dostrzegł, co się dzieje. Marag. Słowo tłuło mu się ciągle po głowie,

pobudzając wspomnienia, nieprzyjemne wspomnienia.

Krzyki w dżungli, coś straszego w morzu. Murgu. To więcej niż jeden marag. Murgu, marag, murgu, marag...

Zesztywniał, gdy pojął, że Vaintč woła do niego z gniewem.

–Ty też stałeś się nagle yilelin, równie niezdolny do mówienia, jak fargi wyszła świeżo z morza?

–Przepraszam, myśli, dźwięki wydawane przez ustuzou, moje myśli...

–Nic mnie to nie obchodzi. Pomów z tym drugim!

Kerrick zajął w szeroko otwarte, przestraszone niebieskie oczy. Nad nim kłębiły się jasne włosy. Nie było ich na twarzy stworzenia, a ciało pod ubraniem miało spuchnięte i inne. Przerażona istota zaszlochała, gdy Vaintč chwyciła jedną z zakończonych kamieniem drewnianych włóczni zabranych ustuzou i szturchnęła nią bok jeńca.

–Spójrz na mnie – powiedziała Vaintč. – Teraz dobrze. Pokażę ci, co cię czeka, jeśli się nie uspokoisz i nie zaczniesz mówić.

Brodaty jeniec krzyknął głośno, gdy Vaintč odwróciła się i wbiła włócznię w jego ciało; powtórzyła to kilkakrotnie, aż umilkł. Drugi jeniec jęczał i rzucał się, na ile mu tylko pozwalały mocno zaciśnięte więzy. Vaintč odrzuciła ociekającą krwią włócznię.

–Rozluźnicie mu więzy i niech mówi – rozkazała i odeszła. Nie było to łatwe. Jeniec jęczał, potem się rozkaszał, aż z oczu trysnęły mu łzy, na wargi wystąpił śluz. Kerrick nachylił się i odczekał, aż ustuzou się uspokoiło, wtedy wypowiedział jedyne znane sobie słowa.

–Marag. Murgu.

Odpowiedziało szybko; słowa padały zbyt prędko, by mógł je zrozumieć – choć rozpoznał „murgu” – i coś jeszcze. Sammad. Tak, sammad, sammad został zabity. To znaczyły te słowa. Wszyscy z sammadu zamordowani przez murgu. Oto, co ona powiedziała.

Ona. Nieproszone słowo cisnęło mu się na usta. Samica. Ona to „linga”, tamten martwy to „hannas”. Samiec i samica. Sam też jest hannasem.

Pojmował coraz więcej, choć przychodziło to wolno; jedno słowo, wyrażenie co jakiś czas. Niektórych wyrazów nie rozumiał zupełnie; słownictwo ośmiolatka, a tylko takie pamiętał, różniło się od zasobów słów dorosłej kobiety.

–Wymieniacie między sobą głosy. Czy się rozumiecie?

Kerrick zerknął na Vaintč, zerwał się i gapił przez dłuższą chwilę, nim jej pytanie przebiło się przez wypełniający mu głowę gąszcz słów marbaku.

–Tak, oczywiście, Eistao, rozumiemy się. Postępuje to wolno, lecz postępuje.

–No, to dobrze sobie radzisz.

Cienie wydłużyły się, słońce zapadało za horyzont i Vaintč otuliła się płaszczem.

–Zwiążcie je znów, by nie uciekło. Rano będziesz dalej rozmawiał. Gdy będziecie mogli się porozumieć, zadasz ustuzou kilka pytań. Pytań, na które musi odpowiedzieć. Jeśli to stworzenie odmówi – przypomnij mu o losie tamtego drugiego. Pewna jestem, że to wystarczy.

Kerrick poszedł po płaszcz dla siebie, po powrocie usiadł na piasku obok ciemnej postaci kobiety. Głowę wypełniała mu niezborna mieszanina słów, dźwięków i nazw.

Kobieta coś powiedziała – i stwierdził, że ją rozumie, choć nie widział jej ruchów!

–Zimno mi.

–Możesz mówić po ciemku. Ja rozumiem.

–Zimno.

Oczywiście. Język marbak nie przypominał Yilanč. Nie zależał od poruszeń ciała. Opierał się na dźwiękach, samych dźwiękach. Rozważał to, odwijając kilka przesiąkniętych krwią skór z martwego mężczyzny i przykrywając nimi kobietę.

–Możemy rozmawiać – nawet w nocy – powiedział, wycierając w piasek lepkie ręce. Odpowiedziała mu głosem cichym, pełnym lęku, lecz i ciekawości.

–Jestem Inę z sammadu Ohso. A ty?

–Kerrick.

–Też jesteś jeńcem, przywiązany do maraga. Umiesz z nimi rozmawiać?

–Tak, oczywiście. Co tu robiliście?

–Szukaliśmy pożywienia, to jasne, co za głupie pytanie. Nie powinniśmy byli wypuszczać się tak daleko na południe, lecz ostatniej zimy wielu zmarło z głodu. Nie mieliśmy wyboru.

Spojrzała na jego sylwetkę na tle nieba i zapytała z ciekawością:

–Kiedy cię złapali?

–Kiedy? Trudno na to odpowiedzieć. Musiało to być wiele lat temu. Byłem bardzo mały...

–Wszyscy nie żyją – przypomniała sobie nagle, potem zaczęła szlochać. – Murgu zabiły ich wszystkich, tylko kilku pojmały.

Zapłakała jeszcze głośniej, gdy Kerrick poczuł nagły ból na karku. Poczuł, że smycz napina się, ciągnie za obręcz. Rozmowa przeszkadzała spać Inłču*; odsuwała się od nich, wlokąc za sobą Kerricka. Nie próbował już rozmawiać.

Rano budził się powoli. Głowa mu ciążyła, a skóra paliła. Poprzedniego dnia musiał zbyt długo przebywać na słońcu. Odnalazł naczynie z wodą i pił chciwie, gdy podeszła do niego Stallan.

–Eistaa zawiadomiła mnie, że rozmawiałeś z innym ustuzou. – Użyte przez nią wyrażenia o rozmowie pełne były głębokiej niechęci.

–Jestem Kerrick, siedzący blisko eistai. Mówisz do mnie obraźliwie.

–Jestem Stallan, zabijająca ustuzou dla eistai. W nazywaniu cię tym, kim jesteś, nie ma obrazy.

Łowczyni była dziś nasycona zabijaniem. Zawsze zachowywała się i mówiła brutalnie. Kerrick nie czuł się na tyle dobrze, by spierać się z tym okrutnym stworzeniem. Nie dzisiaj. Ignorując jej ruchy pełne wyższości i pogardy, odwrócił się plecami zmuszając, by szła za nim do miejsca, gdzie leżała związana kobieta.

–Przemów do tego! – nakazała Stallan.

Kobieta wzdrygnęła się na odgłos słów Stallan, spojrzała na Kerricka przerażonymi oczami.

–Chce mi się pić.

–Przyniosę trochę wody.

–Wierci się i wydaje głosy – powiedziała Stallan. – Twoje słowa są równie paskudne. Co to znaczyło?

–Chce wody.

–Dobrze. Daj trochę. Potem będę pytała.

Ine bała się maraga stojącego obok Kerricka. Patrzył na nią zimno i bez wyrazu, potem poruszył się i wydał głos. Kerrick przetłumaczył.

–Gdzie są dalsze Tanu? – spytał

–Gdzie? O co ci chodzi?

–Pytam za tego brzydkiego maraga. Chce wiedzieć, gdzie są dalsze, inne sammady.

–Na zachodzie, w górach, wiesz o tym.

Ta odpowiedź nie zadowoliła Stallan. Wypytywanie trwało nadal. Kerrick zrozumiał, mimo swojej niedoskonałej znajomości języka, że Ine unika jasnych odpowiedzi.

–Nie mówisz wszystkiego, co wiesz – powiedział.

–No, oczywiście. Ten marag chce się dowiedzieć, gdzie są inne sammady, aby je wymordować. Nie powiem. Prędzej umrę. Chcesz, by ona się dowiedziała?

–Jest mi to obojętne – odpowiedział szczerze Kerrick. Był zmęczony, bolała go głowa. Murgu mogą sobie zabijać ustuzou, ustuzou murgu, nic go to nie obchodziło. Zakaszłał, potem jeszcze raz, z głębi płuc. Gdy wytarł usta, zobaczył, że w ślinie jest krew.

–Zapytaj jeszcze raz! – powiedziała Stallan.

–Zapytaj sama! – Kerrick powiedział to tak obraźliwie, że Stallan syknęła gniewnie. – Chcę się napić. Wyszło mi w gardle.

Łykał chciwie wodę, potem zamknął oczy, by odpocząć chwilę.

Poczuł, że ktoś go szarpie, lecz nie mógł otworzyć oczu. Po chwili dano mu spokój. Przyciągnął nogi do piersi i objął się rękoma. Nieprzytomny, jęczał z zimna, choć słońce nad nim paliło żarem.

ROZDZIAŁ XXVI

Świadom był upływu czasu; stale świadom bólu. Bólu, który szybko stał się najważniejszym odczuciem w życiu Kerricka, jego obecność przytłaczała go bez reszty. Odzyskiwał i tracił przytomność, witając puste okresy ciemności jako ucieczkę przed gorączką i bezkresną męczarnią. Raz obudziły go słabe jęki; dopiero po jakimś czasie pojął, że sam je wydaje.

Najgroźniejszy okres choroby mijał powoli. Świadomość odzyskiwał na krótko. Czuł wówczas słabszy ból, nie tak ostry, jak przedtem. Choć mącił mu się wzrok, wiedział, że obejmujące go i podtrzymujące, by mógł pić, mocne, zimne ramię mogło należeć do Inlčnu*. Nieodłączna opiekunka, pomyślał, rzeczywiście nieodłączna. Rozśmieszyła go ta myśl, nie wiadomo dlaczego, i znów zapadł w mrok.

Ten nieskończenie długi okres dobiegł niepostrzeżenie kresu, gdy pewnego dnia obudził się przytomny, choć niezdolny do ruchu. Nie dlatego, by był przytrzymywany czy związany. Do leżenia zmuszało go straszliwe osłabienie. Stwierdził, że może poruszać oczyma, lecz zapiekły go, gdy nieopatrznie zapłakał. Obok tkwiła Inlčnu*, siedząc wygodnie na ogonie, milcząco patrząca gdzieś niewidocznym wzrokiem. Z wielkim trudem zdołał wychrypić jedno słowo: woda, nie będąc jednak w stanie dopełniać go ruchami ciała. Spoczęło na nim bliższe oko Inlčnu*, zastanawiającej się nad znaczeniem tego słowa. W końcu stało się to jasne nawet dla niej, wstała i przyniosła mu tykwę. Przytrzymała, by mógł pić. Pociągnął łyk i zakaszał. Opadł na posłanie wyczerpany, lecz przytomny. U wejścia coś się poruszyło i ujrzał przed sobą Akotolp.

–Czy dobrze słyszałam, on mówi? – spytała i Inlčnu* kiwnęła potwierdzająco. – Bardzo dobrze, bardzo dobrze – powiedziała uczona, nachylając się i przyglądając Kerrickowi. Zamrugnął oczami, gdy pojawiło się przed nim okrągłe jak księżyc w pełni oblicze z bujającymi się ciężkimi koralami.

–Mogłeś umrzeć – powiedziała poważnie. – I umarłbyś, gdyby mnie tu nie było. Porusz głową, by okazać, jak bardzo jesteś za to wdzięczny.

Kerrick zdołał lekko wysunąć szczęki i Akotolp uznała to za należne jej podziękowanie.

–Przerażająca choroba, szalała w całym organizmie; te wrzody na skórze są jej częścią. Fargi nie chciały cię dotykać, są zbyt głupie, by wiedzieć, że taka zaraza nie przenosi się na inne gatunki. Sama musiałam się tobą zajmować. Bardzo ciekawe. Gdybym w przeszłości nie pracowała nad ciepłokrwistymi ustuzou, na pewno spotkałaby cię śmierć.

Mówiąc to, głównie do siebie, Akotolp zmieniała bandaże na jego ciele. Było to

bolesne, lecz nie przypominało nawet odczuwanych uprzednio męczarni.

–Niektóre ze schwytyanych ustuzou chorowały na to samo, lecz łagodniej. Od młodego miały przeciwciąła. Ty żadnych. Z najbardziej chorego wytoczyłam całą krew, zrobiłam szczepionkę. Podziałała. Już po wszystkim. Teraz zjedz coś.

–Jak... długo – Kerrick zdołał wyszeptać te słowa.

–Jak długo jeść? Jak długo przeciwciąła? Ciągłe majaczysz? Kerrickowi udało się wykonać dłonią ruch oznaczający czas.

–Zrozumiałam. To nie ma znaczenia. Teraz to wypij, potrzebujesz protein, straciłeś jedną trzecią wagi. Masz tu delikatne, lekko strawne mięso rozłożone enzymami na płyn.

Kerrick był zbyt słaby, żeby się sprzeciwić. Przez zaciśnięte usta wypił wstrętny napój. Potem zasnął, wyczerpany. Było to jednak przesilenie. Choroba minęła, zaczął dochodzić do siebie. Nikt go nie odwiedzał poza grubą uczoną.

Nie pragnął żadnych gości. Ciągłe rozmyślał o Tanu, z którymi rozmawiał. Nie, nie z Tanu, z ustuzou, ze zwyrodniałymi, ciepłokrwistymi zabójcami. Ciało z jego ciała, Tanu. Ten sam lud, te same istoty. Miał podwójną tożsamość, której nie rozumiał. Starał się doszukać w tym wszystkim sensu. Oczywiście, on sam był Tanu, kiedy przywieziono go tutaj w bardzo młodym wieku. Było to jednak dawno, tyle się z nim odtąd działo, że zatarły się wszelkie wspomnienia z tamtych czasów. Wraz z nimi stracił coś więcej. Wspomnienia wydawały mu się opowieściami o cudzych przeżyciach. Choć fizycznie nie był Yilanč i nigdy nie będzie, to jednak myślał jak one, ruszał się jak one, mówił jak one. Ciałem był jednak Tanu i w snach wędrował ze swym plemieniem. Były to sny niepokojące, nawet przerażające, i rad był, że niewiele z nich pamiętał po przebudzeniu. Próbował przypomnieć sobie dalsze słowa Tanu, lecz bezskutecznie, bo nawet wymawiane na głos po wyzdrowieniu umykały mu z pamięci.

Poza wiecznie obecną i milczącą Inlčnu* był zupełnie sam. Odwiedzała go tylko Akotolp i zaczęło go to zastanawiać.

–Czy nadal są poza miastem te wszystkie, które zabiły ustuzou? – zapytał pewnego dnia.

–Nie. Wróciły co najmniej dwadzieścia dni temu.

–Ale nikt nie przechodzi w pobliżu, nawet fargi, nikogo nie widuję oprócz ciebie.

–Oczywiście, że nie – Akotolp rozsiadła się mocno na ogonie, splatając cztery kciuki i składając je wygodnie na grubym wałku sadła na brzuchu. – Mało wiesz o Yilanč,

tyle tylko, ile mam miejsca między kciukami. – Ścisnęła je mocno. – Żyjesz wśród nas, ale nic nie wiesz.

–Jestem niczym, nic nie wiem. Ty wiesz wszystko. Z chęcią zostanę oświecony.

Kerrick naprawdę tak myślał, nie była to tylko uprzejmość. Żył w gąszczu zagadek, gmatwaniu pytań bez odpowiedzi. Przez większą część życia mieszkał tu, w tym tajemniczym mieście. Zachodzące na jego oczach fakty z życia Yilanč były oczywiste dla wszystkich i nie stanowiły przedmiotu rozmów. Jeśli pochlebstwami i przymilaniem się zdoła wydebić odpowiedzi z tej grubej istoty, to poniży się do każdego hołdu.

–Yilanč nie chorują. Choroby atakują tylko niższe istoty, takie jak ty. Przypuszczam, że kiedyś i nas nękały, lecz już od bardzo dawna zostały wyeliminowane. Choćby gorączka, która zabiła kilka Yilanč spośród najwcześniej tu przybyłych. Zarażeniu mogą towarzyszyć urazy psychiczne; szybko się roznoszą. Tak więc twoja choroba wywołała zamieszanie wśród głupich fargi, nie mogły jej zrozumieć ani się z nią pogodzić – przeto ją zignorowały, razem z tobą. Ja jednak jestem tak biegła w pracy z wszystkimi formami* życia, że podobne głupoty nie mają do mnie przystępu.

Była z siebie bardzo zadowolona, a Kerrick ją tylko w tym umacniał. – Dla Waszej Wysokości nic nie jest tajemnicą – dodał. – Czy ktoś tak głupi, jak ja może ośmielić się zadać pytanie komuś tak mądrymu?

Akotołp przyzwoliła znudzonym gestem.

–Czy nie ma chorób wśród samców? Słyszałem w hanalč, że wiele z nich umiera na plażach.

–Samce są głupie i za dużo pytlują głupimi jęzorami. Yilanč mają zakaz rozmawiania o tych sprawach.

Akotołp spojrzała najpierw badawczo na Kerricka jednym okiem, rzuciwszy jednocześnie drugim na silne plecy Inlčnu*. Potem się zastanowiła.

–Nic się jednak nie stanie, gdy ci powiem. Nie jesteś Yilanč i jesteś samcem, możesz więc się dowiedzieć. Opowiem o tym w uproszczeniu, bo tylko ktoś obdarzony wiedzą tak głęboką, jak moja, może to w pełni zrozumieć. Opiszę ci intymne i złożone szczegóły procesu rozmnażania. Po pierwsze musisz poznać swą niższość. Wszystkie samce ciepłokrwistych, łącznie z tobą, wydzielają spermę – to cały wasz wkład do rozrodu. W naszych wyższych gatunkach jest inaczej. Podczas stosunku zapłodnione jajo zostaje złożone do sakwy samczej. Wyzwała to w samcu przemiany metaboliczne. Staje się on nieruchawy, wydatkuje mało energii i tyje. Wylęgłe z jaj młode rosną bezpiecznie w chronionej sakwie i nabierają sił. Wychodzą z niej dopiero wtedy, gdy są na tyle dojrzałe, by przeżyć w morzu.

Wspaniały proces, pozwalający samicom na zajmowanie się ważniejszymi obowiązkami.

Akotołp cmoknęła z głodu wargami i sięgnęła po jedną z nieopróżnionych do końca tykw Kerricka z płynnym mięsem, by wypić zawartość jednym haustem.

–Samicom wyższym pod każdym względem. – Beknęła z zadowolenia. – Po wejściu młodych do morza kończy się rola samców w rozrodzie. Przypomina to, można by powiedzieć, owady zwane modliszkami, u których samice zjadają samca w czasie kopulacji. Sposoby przestawiania z powrotem metabolizmu samców są niezbyt skuteczne. Umiera ich przy tym mniej więcej połowa. Choć przypuszczalnie jest to nieprzyjemne dla samców, to jednak nie wpływa zupełnie na przeżycie gatunku. Nie masz pojęcia, o czym mówię, co? Odgaduję to po zwierzęcej pustce w twych oczach.

Ale Kerrick zrozumiał aż za dobrze. Trzeci raz na plażę, pewna śmierć – pomyślał. Głośno zaś powiedział:

–Jaka wielka jest twa mądrość, Najwyższa. Choćbym żył od jaja czasu, poznałbym tylko drobną częśćkę tego, co ty wiesz.

–Oczywiście – zgodziła się Akotołp. – Organizm istot ciepłokrwistych nie jest zdolny do poważniejszych zmian metabolicznych, dlatego jest ich tak mało i mogą przetrwać jedynie na obrzeżach świata. Pracowałam w Entoban* ze zwierzętami, które podczas suszy zagrzebują się w mule dna wyschłych jezior i trwają tam aż do następnego deszczu, obojętnie po jak długim czasie to nastąpi. Dlatego nawet ty powinienes zrozumieć, że zmiana metaboliczna może spowodować zarówno przeżycie, jak i śmierć.

Fakty złożyły się w całość i Kerrick powiedział na głos, bez namysłu:

–Córy Życia.

–Córy Śmierci – poprawiła go Akotołp z najwyższym wstrętem. – Nie mów mi o nich! Nie służą miastu ani nie mają tyle przyzwoitości, by umrzeć, gdy są wyganiane. Dobra jest ta, która umrze. – Gdy spojrzała na Kerricka, w jej gestach była chłodna groźba. – Zmarła Ikemei, wielka uczona. Miałaś zaszczyt spotkać ją w Inegban*, gdy pobierała próbki tkanek twego ciała. To ją zgubiło. Niektóre idiotki na wysokich stanowiskach chciały, by znalazła sposoby biologicznego niszczenia was, ustuzou. Uczone zachowują życie, a nie mszczą go. Zmarła jako Yilanč odrzucona przez miasto. Jesteś nierozumnym, zwierzęcym samcem i nie będę więcej z tobą rozmawiała.

Odeszła niezgrabnie, lecz Kerrick ledwo to zauważył. Po raz pierwszy zaczynał rozumieć coś z tego, co się dzieje wokół. W swym niedoświadczeniu brał świat takim, jakim go widział. Wierzył, że takie stworzenia, jak hčsotsany i łodzie są w pełni

naturalne. A przecież Yilanč w jakiś nieznaną sposób przekształcili ich ciała, tak jak musiały przekształcić każdą roślinę i zwierzę w mięście. Jeśli gruba Akotolp wiedziała, jak tego dokonać, to jej wiedza rzeczywiście znacznie przewyższała wszystko, co mógł sobie wyobrazić. Po raz pierwszy szczerze ją podziwiał, szanował za to, co widziała i co potrafiła. Uleczyła go. Nie żyłby już, gdyby nie jej wiedza. Potem zasnął i jęczał, przerażony wizjami zwierząt pojawiających się wokół niego. We śnie miał wrażenie, że się przekształca i zmienia.

Wkrótce czuł się na tyle dobrze, by siedzieć. Potem, oparty o Inlčnu*, zdołał uczynić kilka chwiejnych kroków. Powolutku odzyskiwał siły. Któregoś dnia wyszedł ze swej komory i usiadł na słońcu, oparty o liściastą ścianę. Gdy tego dokonał, gdy mógł już rozmawiać, znów uznano jego obecność. Przywoływane fargi podchodziły i przynosiły mu owoce, którymi zmywał z ust smak płynnego, surowego mięsa.

Stale przybywało mu sił i w końcu, przystając często dla odpoczynku, zdołał nawet dojść do ambesed. Przed chorobą byłaby to dla niego jedynie krótka przechadzka. Teraz stanowiła wyprawę i nim oparty o Inlčnu* dotarł do celu, cały spływał potem. Przywarł do ściany ambesed ciężko dysząc. Vaintč dostrzegła jego przybycie i kazała mu się zbliżyć. Dźwignął się na nogi i z trudem do niej podszedł. Obserwowała jego niepewny chód.

–Nadal jesteś chory – stwierdziła, wyrażając przy tym troskę.

–Choroba minęła, Eistao. Pozostało jedynie osłabienie. Akotolp o niezmiernej wiedzy kazała mi jeść dużo mięsa, bym nabrał ciała, a wraz z nim sił.

–Rób, co ci każe, to i moje polecenia. Zwycięstwo towarzyszyło nam na północy, zniszczyliśmy wszystkie napotkane ustuzou. Kilka stało się naszymi jeńcami. Pragnę, byś pomówił z nimi, zasięgnął informacji.

–Jak rozkażesz, Eistao – odpowiedział Kerrick. Choć mówił to z pokorą i uprzejmością, opanowało go nagle podniecenie; zarumienił się i zadrżał. Wiedział, że brzydzi się tymi wstrętnymi istotami, lecz mimo to tęsknił do rozmowy z nimi.

–Pomówisz, ale nie z tymi, które przywiozliśmy z sobą. Zdechły. Odzyskuj siły. Gdy na północ powróci ciepłe słońce, wybierzemy się tam znowu na jeszcze większe zabijanie.

Kerrick poprosił o zgodę na odejście, zdziwiony swym nagłym rozczarowaniem.

Wystarczyło teraz wylegiwanie się na słońcu, by odegnać ślady choroby i odzyskać siły. Minęło wiele dni, nim Akotolp posłała po niego. Fargi poprowadziła go do części miasta, której nigdy dotąd nie odwiedził, do zamkniętej, dziwnie znajomej tafli. Otworzyła się, ukazując mokrą jeszcze komorę.

–To wejście wodne – takie jak w Inegban*! Inlčnu* potwierdziła to skrętem ciała.

–Bolą oczy.

–To je zamknij, ty wielka głuptasko. – Sam szybko zamknął swoje, gdy tylko ciepły płyn spłynął na niego.

Gdy weszli, Akotolp oderwała się od swej pracy, wyciągnęła rękę i uszczypnęła Kerricka kciukami.

–Dobrze. Już nie widać żeber. Musisz też ćwiczyć, jak brzmi rozkaz, jaki przekazuję ci od eistai. Bardzo się o ciebie troszczy, byś mógł z innymi wybrać się na północ.

–Słyszę i jestem posłuszny. – Kerrick rozglądał się po dziwnym pokoju, próbując bezskutecznie zrozumieć, co widzi.

–Kiedyś, w dalekim Inegban*, byłem w podobnym miejscu.

–Jesteś sprytny przy swej głupocie. Wszystkie laboratoria są takie same.

–Powiedz mi, wielka, co tu robisz.

Akotolp cmoknęła, a jej tłuste ciało zadrżało.

–Chcesz bym ci powiedziała, ty stworzenie o bezdennej głupocie! Choćbyś żył dziesięć razy dłużej, to nawet nie zacząłbyś rozumieć. Nasza nauka istnieje odkąd Yilanč po raz pierwszy wyszły z morza i od tej pory ciągle się rozrasta i dojrzewa. Nauka to wiedza o życiu, dostrzega jego wnętrze, dostrzega komórki składające się na każde życie, dostrzega w komórkach geny, dostrzega spirale, które można ciąć, przenosić i zmieniać, aż opanujemy całe życie. Czy zrozumiałeś choć jedno słowo z tego, co powiedziałam, czołgający się i pełzający?

Odpowiadając, Kerrick wyrażał czołganie i pełzanie.

–Bardzo mało, mająca bezgraniczną wiedzę, ale dość, by pojąć, że jesteś panią życia.

–To prawda. Masz przynajmniej tyle rozumu, by to docenić, choć nie potrafisz zrozumieć. Spójrz i podziwiaj to stworzenie!

Akotolp odsunęła na bok jedną ze swych asystentek i wskazała na poskręcaną, pokrytą kolcami istotę przycupniętą za przezroczystą ścianą. Jaskrawe światło słońca lśniło na czymś, co wyglądało jak wielkie oko w jej boku. Miała też inne oko na szczycie głowy. Akotolp skinęła, by Kerrick podszedł, zatrzęsa się od śmiechu, widząc jego wahanie.

–Boisz się tego?

–Tamte oczy...

–Nic nie widzą, głupi. Jest ślepe i nic nie czuje. Przekształciliśmy oczy dla naszych celów, soczewki skupiają światło, byśmy widziały niewidzialne. Spójrz tutaj, na tą przezroczystą płytkę, co widzisz?

–Kroplę wody?

–Ciekawe spostrzeżenie. Patrz, co się stanie, gdy umieszczę je w sanduu.

Akotołp pukała palcem, aż w boku sanduu pojawił się otwór, wtedy wsunęła do niego płytkę. Zajrzała następnie do górnego oka i mrużąc do siebie, kciukiem wydawała instrukcje sanduu. Zadowolona, wyprostowała się i przywołała gestem Kerricka.

–Zamknij jedno oko. Drugim zajrzyj tutaj. Powiedz, co widzisz.

Nic nie widział, tylko plamę światła. Mrugnął i przesunął głowę – wtedy zobaczył przezroczyste stworzenia o szybko poruszających się mackach. Nie zrozumiał tego i zwrócił się o wyjaśnienie do Akotołp.

–Coś widzę, poruszające się istoty, co to jest?

–Zwierzęta, maleńkie. Znajdują się w kropli wody, widzimy je powiększone przez soczewki. Czy wiesz, o czym mówię?

–Nie.

–Właśnie. Nigdy się nie nauczysz. Masz taki sam rozum, jak tamto ustuzou za tobą. Odejdź!

Kerrick odwrócił się i oniemiał na widok milczącego, brodatego Tanu stojącego we wnęce ściany. Potem poznał, że to tylko wypchane, ustawione zwierzę. Nic go nie obchodziło; wyszedł szybko.

Czuł się jednak dziwnie poruszony, gdy wracał w słońcu grzejącym go mocno w ramiona. Z tyłu człapała cierpliwie Inlčnu*. W myśli i mowie był Yilanč. Z postaci był ustuzou. Znaczyło to, że nie był ani jednym, ani drugim, i gdy o tym myślał, zaczęło go to niepokoić. Był Yilanč, oto czym był, nie miał wątpliwości.

Ciągle to sobie powtarzając, nieświadomie szczypał palcami swe ciepłe ciało Tanu.

ROZDZIAŁ XXVII

–Nadeszła pora, żeby wyruszyć – powiedziała Stellan. – Na tych zdjęciach mamy wszystko, co potrzeba.

–Pokaż – nakazała Vaintč. Jej pomocnice i fargi napierały, by także zobaczyć, lecz wystarczył jeden gest, by pozostały w tyle. Stellan podawała zdjęcia po kolei, każde dokładnie objaśniając.

–Te są najwcześniejsze, pokazują położone wysoko doliny, w których ustuzou zwykle zimują. Jednakże ubiegłej zimy doliny pozostawały pod lodem. Nie było odwilży, które umożliwiają w nich życie przez resztę roku. Dlatego ustuzou musiały powędrować w poszukiwaniu pożywienia.

Na południe, z dala od mrozów, pomyślała Vaintč, tak jak myśmy uciekły z Inegban* na południe przed srogimi zimami. Te fakty nie miały żadnego związku, nie dopuszczała porównań pomiędzy Yilanč i ustuzou. To zwykły zbieg okoliczności. Ważne jest tylko, że te stwory ruszą na południe, by znaleźć pożywienie.

–Na południe – stwierdziła głośno – gdzie je dopadniemy.

–Przewidujesz przyszłość, Eistao. Jeżeli pozostaną, umrą z głodu. Jeśli nie zostaną, będziemy na nich czekały.

–Kiedy wyruszamy?

–Wkrótce. Popatrz tu i tu. Wielkie zwierzęta ciągnące tyczki i skóry. Schodzą ze wzgórz. Jest tam trawa, lecz szara i martwa po zimie. A to białe, w jamach, to twarda woda. Muszą iść dalej na południe.

–Pójdą. Wszystko przygotowałaś?

–Tak. Zapasy są zgromadzone, łodzie nakarmione, uzbrojone fargi czekają.

–Dopilnuj, żeby wszystko było w porządku.

Odprawiwszy Stellan, zapomniała natychmiast o łowczym i skupiła się na nadchodzącej kampanii. Tym razem wyruszą daleko w głąb lądu i nie będzie ich przez całe lato. Na tak długi okres nie mogą zabrać ze sobą dostatecznej ilości żywności – czy ma zorganizować jej dostawy? A może polować? Byłoby to łatwiejsze, ponadto każde zabite i zjedzone zwierzę to mniej jedzenia dla ustuzou. Muszą mieć również zapas zakonserwowanego mięsa, by zbytnio nie opóźnić marszu. Wszystko należy rozważyć. Muszą też brać jeńców. Latający na oślepie drapieżny ptak mógł znaleźć jedynie kilka stad ustuzou. Przesłuchiwanie jeńców

pozwoili im posuwać się od jednego do drugiego stada, aż wszystkie zostaną zniszczone. Fargi podskoczyła na jej skinienie.

–Kaź przyjąć Kerrickowi.

Zamyślona nad wyprawą, nie zauważyła jego wejścia.

–Jesteś szczuplejszy niż kiedyś. Powiedz mi, co z twoim zdrowiem – rozkazała.

–Tak, ale osłabienie minęło, zagoiły się blizny po wrzodach. Co dzień zmuszam tą tłustą Inlčnu*, by biegła ze mną po polach. Ona traci na wadze, ja zyskuję.

–Wkrótce wyruszymy na północ. Pójdiesz z nami.

–Tak mówi Eistaa, więc posłucham.

Odchodząc podkreślił swój szacunek dla Vaintč. Pod maską zewnętrznego spokoju kłębiły się jednak myśli o przeszłości.

Pragnął wyjechać, lecz jednocześnie bał się tego. Choroba sprawiła, że zapomniał o wielu przeżyciach poprzedniej wyprawy na północ. Łatwiej mu było w czasie największego natężenia choroby, bo ciągle leżał nieprzytomny i nic nie pamiętał. Lecz potem nadeszły dni, kiedy ból rozsadzał piersi, a wrzody pokrywały całe ciało. Wiedział, że musi jeść, choć nie mógł. Czuł utratę sił, bliskość śmierci, lecz był zbyt słaby, aby na to reagować. Dopiero, gdy zaczął wracać do zdrowia, znowu zaczął myśleć o jedzeniu. Miał to już jednak za sobą. Choć nadal czuł się pod wieczór zmęczony, każdego dnia stawał się odrobinę mocniejszy. Wszystko będzie dobrze. Pojedzie z nimi i będzie rozmawiał. Przez długi czas nie dopuszczał do siebie tej dręczącej myśli, lecz teraz wypełniło go dziwne podniecenie i niecierpliwie wyglądał wyprawy. Znowu porozmawia z Tanu – i tym razem przypomni sobie więcej słów. Na myśl o tych rozmowach poczuł nagle, niezrozumiałe podniecenie i ruszył szybciej, aż Inlčnu* zaprotestowała.

Wyprawa ruszyła na północ kilka dni później. Wymarsz przyśpieszono, zakładając wolniejsze tempo. Vaintč chciała sprawdzić, czy zdołają zaopatrywać się w mięso podczas drogi. Pierwszego dnia po południu zatrzymały się na biwak na skalistym brzegu. Stallan odeszła natychmiast z najlepszymi łowczyniami, a za nimi grupa rozgorączkowanych fargi.

Wróciły dobrze przed zmrokiem, fargi dźwigały ciało sarny. Kerrick patrzył z dziwnym podnieceniem, jak podeszły i z szacunkiem złożyły sarnę przed eistaa.

–Dobrze, bardzo dobrze – powiedziała z zadowoleniem. – Słusznie nazywasz się Stallan, bo jesteś niezrównaną łowczynią.

Łowczyni. Kerrick nigdy nie zastanawiał się nad znaczeniem jej imienia. Łowca to ktoś, kto chodzi do puszczy, wędruje wytrwale przez stepy, poluje.

–Też chciałbym polować, Stallan – powiedział. Nachylił się, by podnieść leżący w pobliżu hčsotsan, lecz Stallan odsunęła go spod jego dłoni. Odmowa była jednoznaczna.

–Ustuzou giną od hčsotsanów, tylko wtedy mogą być razem. Kerrick cofnął się. Nie chodziło mu o broń, lecz o polowanie. Gdy myślał nad odpowiedzią, odezwała się Vaintč.

–Czy masz tak krótką pamięć, Stallan, że zapomniałaś, że to ja wydaję rozkazy? Oddaj Kerrickowi swoją broń! Wyjaśnij ustuzou, jak się z nią obchodzić.

Stallan zamarła, usłyszawszy rozkaz. Vaintč nie zmieniła swej władczej postawy. Wszystkie Yilanč, nawet takie jak Stallan, muszą pamiętać, że eistaą jest tylko ona. Lubiła też doprowadzać tych dwoje do starcia, bo tak bardzo się nienawidzili.

Stallan musiała posłuchać. Fargi cisnęły się wokół, jak zawsze, gdy coś objaśniano, podczas gdy Stallan z oporami wręczyła broń Kerrickowi.

–To stworzenie to hčsotsan, wyhodowany i rozmnażany jako broń. – Kerrick skwapliwie wziął w dłonie chłodną, ciemną i długą istotę. Śledził wskazujący kciuk. – Za młodu się poruszają, dopiero po dośnięciu zmieniają swą postać. Nogi im zanikają, kręgosłup sztywnieje, aż przybierają taki wygląd. Muszą być karmione, bo inaczej zdechną. To gęba – wskazała na szparę z czarnymi wargami – nie pomył jej z tym otworem, do którego wkłada się strzałki. Zrywa się je z krzaków i suszy. – Nie ruszaj!

Stallan wyrwała broń z ręki Kerricka i trzymała przed sobą, starając się opanować. Udało jej się to tylko dlatego, że za sobą miała eistaą. Gdyby nie ona, powaliłaby ustuzou na ziemię. Gdy znów się odezwała, mówiła jeszcze ostrzej.

–Ta broń zabija. Aby tak się stało, ściskasz jej ciało jedną ręką tam, gdzie trzymałeś, potem naciskasz tu na dole, kciukiem drugiej ręki.

Rozległ się ostry trzask i strzałka wyleciała z sykiem, lądując nieszkodliwie w morzu.

–Strzałki wkłada się tutaj. Gdy hčsotsan odbiera sygnał, wydziela małą ilość płynu przechodzącego gwałtownie w parę, która wyrzuca strzałkę. Podczas ładowania strzałki są nieszkodliwe. Gdy jednak przesuwają się w przewodzie wyrzucającym, trą o gruczoł wydzielający tak silną truciznę, że jej mała, niewidoczna kropelka zabija natychmiast istotę wielkości neniteska.

–Znakomicie to wytłumaczyłaś – powiedziała rozbawiona Vaintč. – Możesz na tym

skończyć.

Stallan rzuciła hčsotsan Kerrickowi i szybko się odwróciła. Nie dość jednak szybko, aby nie dojrzał w jej ruchach palącej nienawiści. Odwzajemnił się jej tym samym. Szybko jednak o wszystkim zapomniał, badając

broń. Pragnął bardzo wypróbować ją na łowach. Nie chciałby jednak znaleźć się w pobliżu Stallan, gdy nikt nie będzie ich widział. Mądrzej będzie trzymać się teraz stale z dala od łowczyni, zwłaszcza w czasie polowania. Zatrute strzałki zabiłyby go równie łatwo, jak każde inne zwierzę.

Gdy następnego dnia nadeszła pora łowów, chodził ze swoją bronią, dopóki nie ujrzał Stallan i gdy poszła – wtedy wybrał się w przeciwną stronę. Nie miał ochoty zostać ofiarą nieszczęśliwego wypadku.

Nie było mu łatwo polować, holując za sobą niezdarną Inlčnu*. Odnosił jednak sukcesy i w ciągu następnych dni Inlčnu* przyniosła na plażę niejedną sarnę. Bardziej niż strzelanie do saren bawiło go podchodzenie do zdobyczy w wysokiej trawie. Była to przyjemność sama w sobie. Nie zauważał zmęczenia, miał wilczy apetyt i sypiał dobrze. Podczas powolnego posuwania się na północ Yilanč polowały stale, Kerrick każdego dnia przekonywał się, że może iść odrobinę dalej bez zmęczenia. Gdy oddaliły się od oceanu i ruszyły w górę szerokiej rzeki, poczuł się silny jak nigdy dotąd. Już w kilka dni później doszło do pierwszej bitwy, do pierwszej masakry tego lata.

Gdy wyruszyły, Kerrick pozostał jak zwykle w obozie na brzegu rzeki. Zdjęcia orła wskazywały, że ustuzou zbliżają się wzdłuż rzeki, wybrano więc dokładnie miejsce zasadzki. Nie była to sprawa Kerricka. Siedział na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, drażniąc hčsotsan paznokciem, by otworzył gębę. Wtedy włożył do niej kawałek mięsa, myśląc o następnym polowaniu. Inlčnu* jest taka hałaśliwa. Przynajmniej nauczyła się stać cicho i bez ruchu, gdy czatowali. Okrąży szerokim łukiem następne stado saren, potem położy się pod wiatr i będzie czekał. Sarny, uciekając przed łowczyniami, wyjdą prosto na niego. To był dobry plan.

Rozmyślenia przerwał mu donośny głos. Nawet Inlčnu* wzdrygnęła się i rozejrzała. Ryk rozległ się powtórnie, tym razem bliżej. Kerrick zerwał się, trzymając oburącz gotowy do strzału hčsotsan, gdy znów usłyszał krzyk i ciężkie dudnienie.

Coś ochryple ryczało na brzegu ponad nim. Nagle pojawił się tam wielki łeb. Długie białe kły, uniesiona trąba, kolejny słabnący ryk.

–Zabij ustuzou – błagała Inlčnu*. – Zabij, zabij! Kerrick trzymał przy oku wycelowany hčsotsan, patrzył wzdłuż niego na ciemne oko zwierzęcia.

–Karu... – powiedział i nie strzelił. Inlčnu* jęknęła ze strachu.

Mastodont uniósł trąbę i znów ryknął. Potem zawrócił i zniknął.

Karu. Dlaczego to powiedział? Co to znaczy? Ogromne stworzenie zaskoczyło go, ale ani trochę nie przstraszyło. To dziwne słowo „Karu” wzbudziło znów wspomnienia. Ciepłe i przyjacielskie, ale też zimne jak śmierć. Zadrżał, gdy o tym pomyślał. Walka musi się toczyć bardzo blisko.

Wielkie, włochate zwierzę spłoszyła bitwa, uciekło tutaj. Rad był, że go nie zabił.

–Eistaa posłała po kogoś imieniem Kerrick – powiedziała fargi, poruszająca się powoli wzdłuż brzegu rzeki. Była zraniona czymś ostrym, na przedramieniu miała duży bandaż. Z boku spływała jej krew.

–Umyj się – nakazał Kerrick, szarpnął smycz i Inlčnu* sic podniosła. Hčsotsan zjadł kawałek mięsa. Chłopiec pogładził go, by zamknął pysk. Zwierzak miał drobne, ostre zęby i gdyby pozostały na wierzchu, mógłby kogoś pokaleczyć.

Szli wzdłuż rzeki, potem odsunęli się od niej, wychodząc na dobrze udeptany szlak. Mijały ich idące w przeciwnym kierunku ranne fargi. Niektóre leżały na ziemi, zbyt słabe, by iść dalej. Widzieli też zmarłą, z szeroko otwartymi oczami i ustami. Walki musiały być zażarte.

Potem Kerrick zobaczył pierwszych zabitych Tanu. Leżeli zwaleni na stos, mężczyźni, kobiety, obok drobne ciała dzieci. Z tyłu – zdechły mastodont wśród złamanych tyk, rozrzuconych bagaży.

Kerrick, miotany sprzecznymi uczuciami, przechodził obok w milczeniu. To ustuzou, należy je zabijać. To Tanu – dlaczego zginęli? To wstrętne ustuzou, które wyrznęły samców i młode Yilanč na plażach. Ale co go naprawdę obchodziły, co o nich wiedział? Nigdy nawet nie znalazł się w pobliżu plaż.

Fargi, przebita włócznią, leżała w śmiertelnym uścisku z łowcą, który ją ugodził. Fargi należała do Yilanč, a on, Kerrick, także jest Yilanč.

Choć nie, należy do Tanu. Czy jest także i Tanu?

Mimo iż na te pytania nie umiał odpowiedzieć, nie mógł o nich zapomnieć. A powinien. Wystarczy, żeby pamiętał, że był kiedyś chłopcem, lecz tamten chłopiec umarł. Jeśli chce żyć, to musi żyć jako Yilanč. Jest Yilanč, a nie brudnym ustuzou.

Fargi pociągnęła go za ramię i musiał iść za nią. Przechodził obok nieżywych Tanu, mastodontów, Yilanč. Nie wytrzymał już tego widoku. Doszli do grupy uzbrojonych fargi, które usunęły się na bok, przepuszczając Kerricka. Stała tam Vaintč; każdy ruch jej ciała zdradzał niepowstrzymany gniew. Ujrawszy Kerricka, wskazała bez słowa na leżący przed nią przedmiot. Była to zwierzęca skóra, jakby źle wyprawiona i

poplamiona, obwisła i bezkształtna z wyjątkiem wypchanej głowy.

Kerrick cofnął się z przerażeniem. To nie zwierzę – lecz Yilanč, rozpoznał ją. Sókain, geometrka zabita przez ustuzou. Zabita, odarta ze skóry i przyniesiona tutaj.

–Popatrz – Vaintč zionęła nienawiścią i nieokiełznaną wściekłością. – Widzisz, co te zwierzęta zrobiły osobie o takiej inteligencji i takim wdzięku. Chcę wiedzieć, które z nich jest za to odpowiedzialne, gdzie możemy je znaleźć? Wypytasz ustuzou, które złapałyśmy. Musieliśmy je zranić, by się poddało. To może być przywódca stada. Wyciągnij z niego wszystko, niech powie, co wie, zanim go zabiję. Pośpiesz się! Chcę to wiedzieć, gdy wrócę. Kilka ustuzou uciekło przed śmiercią, lecz Stallan weźmie swe łowczynię, wyśledzi je i zniszczy.

Na otoczonej wysokimi drzewami polanie leżał Tanu o poranionych rękach i nogach, a fargi były go jego własną włócznią.

–Niech cierpi, ale niech nie umiera! – rozkazała Vaintč. Kerrick zobaczył, że łowca jest wysoki, wyższy od niego. Długa broda i włosy nasiąkły obficie krwią. Bity mężczyzna zachowywał milczenie.

–Przestańcie! – nakazał Kerrick, uderzając fargi bronią, by zwrócić na siebie uwagę. – Cofnijcie się!

–Kim jesteś? – mężczyzna zapytał niewyraźnie, potem zakaszłał i splunął krwią pomieszaną z kawałkami zębów. – Czy jesteś jeńcem, tak związanym? Ale umiesz mówić ich językiem. Gdzie są twoje włosy? Kim jesteś? Umiesz mówić?

–Jestem... jestem Kerrick.

–Imię chłopca, a nie łowcy. Ale już wyrosłeś...

–To ja zadaję pytania. Podaj mi swe imię.

–Jestem Herilak. To mój sammad. Zginęli, wszyscy zginęli, prawda?

–Część uciekła. Są ścigani.

–Imię chłopca. – Mówił teraz łagodniej. – Podejdź bliżej, chłopcze, który jesteś już mężczyzną. Niech ci się przyjrzę. Uszkodzili mi oczy, musisz podejść bliżej. Tak, widzę. Choć nie masz wcale włosów, to jednak masz twarz Tanu.

Herilak kręcił głową, usiłując usunąć krew z oczu. Kerrick pochylił się i łagodnie je wytarł. Jakby dotknął siebie, swej ciepłej skóry. Skóra taka jak jego, ciało też. Kerrick zadrżał, ręce mu się trzęsły w nie znanym dotąd zdenerwowaniu.

–Coś do nich mówisz – powiedział Herilak – i wiercisz się jak one. Potrafisz z nimi rozmawiać, tak?

–Odpowiedz na moje pytania. To nie ty masz prawo je zadawać. Herilak kiwnął ze zrozumieniem głową.

–Chcą, byś dla nich pracował. Jak długo z nimi jesteś?

–Nie wiem. Wiele lat... zim.

–Cały ten czas zabijały Tanu, Kerricku. My zabijaliśmy je także, ale zawsze za mało. Widziałem kiedyś chłopca trzymanego przez murgu. Czy mają wielu jeńców?

–Nie ma jeńców, tylko ja... – Kerrick zamilkł. Dawno zapomniane wspomnienie powróciło, brodata twarz wśród drzew.

–Złapali cię i wychowali, prawda? – Herilak niemal szeptał. – Umiesz z nimi rozmawiać, potrzebujemy twojej pomocy. Tanu potrzebuje cię teraz...

Przerwał ujrawszy, co zwisa na szyi Kerricka. Odezwał się stłumionym głosem.

–Odwróć się chłopcze, odwróć do światła. Na szyi – czy to twoje?

–Moje? – powiedział Kerrick, dotykając zimnego metalu noża. – Chyba tak. Powiedziały, że miałem to na szyi, gdy po raz pierwszy do nich trafiłem.

Głos Herilaka dobiegał jak z oddali, on sam pogrążył się we wspomnieniach. – Gwiezdny metal. Byłem wśród tych, którzy widzieli, jak spada z nieba, szukali go i znaleźli. Byłem przy tym, jak robiono noże, wycinano je z bryły metalu płytkami kamienia, kuto i wiercono. Teraz – sięgnij mi pod futra, z przodu, o tu. Masz to, wyjmij.

Na rzemyczku zawisł metalowy nóż. Kerrick trzymał go mocno, nie wierząc oczom. Był taki sam jak jego – tylko dwa razy większy.

–Widziałem, jak je robiono. Większy dla łowcy, sammadara, mały dla jego syna. Syn miał imię chłopca, może brzmiało Kerrick, nie pamiętam. Ale ojciec był mi bliski. Nazywał się Amahast Potem, po wielu latach ponownie znalazłem nóż z gwieздnego metalu – wśród połamanych kości jego ciała. Kości Amahasta.

Odkąd padło to imię, Kerrick słuchał nieporuszony. Imię, które wracało w snach, o którym zapominał po przebudzeniu..Amahast".

Amahast! Słowo to wyzwoliło falę wspomnień, przepływających przez jego umysł. Karu, jego mastodon t, zabity obok. Jego ojciec, Amahast, zabity, wokół

unicestwiony sammad. Odkryła się mgła niepamięci, z której wyłonił się obraz ludzi z jego sammadu, ich trupy leżące wszędzie. Masakra sprzed lat, sprzed wielu lat. Poprzez te wspomnienia powoli przebijały się słowa łowcy.

–Zabij je, Kerricku, zabij je, jak one zabiły nas.

Kerrick odwrócił się i pobiegł, ciągnąc za sobą Inlčnu*, chciał uciec od łowcy i jego głosu, od wspomnień, które go opanowały. Ale przed nimi nie było ucieczki. Przeciskał się pomiędzy uzbrojonymi fargi, coraz wyżej po trawiastym stoku. Na jego szczycie usiadł, obejmując nogi, wpatrywał się w morze niewidzącym wzrokiem. Widział swego ojca, Amahasta. I jego sammad. Początkowo niewyraźnie, lecz w miarę odzyskiwania pamięci pojawiały się nowe szczegóły. Wspomnienia tkwiły w nim nadal, zagrzebane od dawna, acz ciągle przechowywane. Oczy wypełniły mu dziecięce łzy, choć jako dziecko nigdy nie płakał. Wezbrały w nim i spłynęły po policzkach dopiero na widok unicestwionego sammadu, wymordowanego niegdyś, tak samo jak teraz został wymordowany sammad Herilaka. Obie sceny zlały mu się w jedną. By przetrwać u Yilanč przez wszystkie te lata, musiał zapomnieć o przeszłości. Przeżył, zapomniał.

Ale teraz pamięć wróciła. We wspomnieniach było w nim dwóch ludzi, ustuzou mówiące jak Yilanč i chłopiec, który był Tanu.

Chłopiec? Popatrzył na swe dłonie, wygiął palce. Nie był już chłopcem. Urósł przez te lata. Był mężczyzną, choć nie wiedział, co znaczy być mężczyzną. Zrozumiał, że to jego ojciec i inni łowcy zajmowali tyle miejsca w pamięci. Teraz musi stanąć po ich stronie.

Skoczył na nogi i ryknął głośno w wyzwaniu pełnym gniewu. Czym był? Kim był? Co się z nim działo? Miotany uczuciami, poczuł obręcz na szyi. Odwrócił się i zobaczył, że to Inlčnu* szarpie go za łączącą ich smycz. Miała szeroko otwarte oczy, jej ruchy wyrażały zmartwienie i lęk wobec jego niezrozumiałych zachowań.

Chciał ją zabić, uniósł do połowy ściskaną w dłoniach broń.

–Marag – powtórzył na głos – marag. – Lecz gniew opadł z niego równie szybko i opuścił broń ze wstydem. W tej prostej istocie nie było zła, bardziej niż on była więźniem.

–Nie bój się, Inlčnu* – powiedział. – Nic się nie dzieje. Nie bój się.

Uspokojona Inlčnu* usiadła na ogonie i patrzyła zmrużonymi oczyma na wieczorne słońce. Kerrick spojrział na polanę wśród drzew, na której czekał Herilak.

Czekał na co? Na odpowiedź, to jasne. Odpowiedź, której Kerrick nie mógł udzielić, choć rozumiał pytanie.

Kim był? Fizycznie był Tanu, mężczyzną o pamięci chłopca, który nigdy nie wyrósł na Tanu. Było to jasne i oczywiste, gdy się nad tym zastanawiał. Chłopiec ten, aby przeżyć, musiał zostać Yilanč. To było też oczywiste. Yilanč wewnątrz, Tanu na zewnątrz. Tyle wiedział na pewno. Nie wiedział jednak, co z nim będzie dalej. Jeśli nic nie zrobi, będzie prowadził życie podobne do tego w przeszłości. Nadal utrzyma wysoką pozycję, tuż obok eistai, pozycję bezpieczną i szanowaną. Jako Yilanč.

Ale czy tego chciał? Czy taka ma być jego przyszłość? Nigdy się przedtem nad tym nie zastanawiał, nie miał pojęcia, że mogą powstawać takie problemy. Wzruszył ramionami, próbując zrzucić niewidzialne brzemie. Musiał powoli wszystko rozgryźć. Zrobi to, co kazała mu Vaintč, wypyta ustuzou. Potem będzie czas na zastanowienie się nad tymi sprawami, już teraz boli go od nich głowa.

Gdy wrócił, nadal związany Herilak leżał na ziemi. Pilnowały go trzy fargi, stojące posłusznie. Kerrick spojrział na łowcę, chciał się odezwać, ale nie znajdował słów. Herilak przerwał milczenie.

–Zrób, co ci powiedziałem – szepnął. – Zabij murgu, przetnij mi więzy i uciekaj ze mną. Pójdziemy w góry, w śniegi zimy, gdzie łowy i ogień w namiotach. Wróc do swego ludu.

Słowa, choć powiedziane szeptem, rozbrzmiewały mu w głowie jak dzwon.

–Nie! – krzyknął głośno. – Zamilknij. Będziesz tylko odpowiadał na moje pytania. Nie będziesz mówił nie pytany...

–Zaginąłeś, chłopcze, zaginąłeś, lecz nie zostałeś zapomniany. Próbowaly uczynić cię jednym z nich, ale nie jesteś jak one. Jesteś Tanu. Możesz teraz wrócić do swego sammadu, Kerricku.

Kerrick krzyczał gniewnie, każąc Herilakowi zamilknąć, nie mógł jednak uciec od głosu łowcy i jego słów. Ale im nie ulegał. To fargi, trzymająca nadal włócznie łowcy, zdecydowała za niego. Nic nie rozumiała, lecz dostrzegła sprzeciw. Pamiętając wcześniejsze rozkazy eistai, pośpieszyła na pomoc, waląc Herilaka po bokach końcem włóczni.

–Nie! – Kerrick ryknął głośno w języku Tanu. – Nie możesz tego robić!

Broń w jego rękach wypaliła niemal bezwiednie, fargi upadła martwa. Z gniewem odwrócił się i strzelił do następnej. Zwaliła się z rozwartymi szeroko w niedowierzaniu ustami. Trzecia zaczęła unosić swą broń, lecz padła jak poprzednie. Ścisnął ciągle hčsotsan, plujący dookoła strzałkami.

–Weź włócznie – nakazał Herilak. – Uwolnij mnie.

Inlčnu* pochyliła się, gdy Kerrick powlókł się do fargi i wyszarpnął włócznie z jej martwych rąk. Przeciął więzy na kostkach Herilaka, potem na rękach.

–Co to znaczy? Co się stało? – zawołała gniewnie Vaintč.

Kerrick odwrócił się i ujrzał ją, jak stoi nad nim z otwartymi ustami, błyskając zębami. Zobaczył teraz, w nagłym przyplywie pamięci, jak te zęby rozrywają gardło dziewczyny. Widział nad sobą rzędy zębów, gdy go dosiadała, rycząc z rozkoszy. Rozkoszy, która była także jego udziałem.

Rozkosz i nienawiść, czuł je teraz jednocześnie.

Mówiła coś, czego nie słyszał, wydawała rozkazy, których nie chciał wykonać, potem odwróciła się i sięgnęła po jeden z porzuconych hčsotsanów.

To, co było odruchem, nie wymagało namysłu czy wysiłku. Włócznia, rzucona w przód, uderzyła w bok Vaintč, zagłębiła się w jej ciało. Złapała ją i wyciągnęła. Krew trysnęła z rany.

–Biegnij! – krzyknął Herilak, szarpiąc Kerricka za ramię. – Chodź ze mną. Nie możesz tu zostać po tym, co zrobiłeś. Musisz iść ze mną. Tylko to możesz zrobić.

Wziął Kerricka za rękę, ciągnąc go ku ciemnej ścianie lasu za polaną. Kerrick opierał się – potem ruszył za nim chwiejnie, ściskając kurczowo w dłoni zapomnianą włócznie. Z tyłu wlokła się Inlčnu*.

Odgłosy ich kroków ucichły, gdy zniknęli wśród drzew. Polna była też cicha.

Cicha jak śmierć.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ I

Stadko wron zataczało szerokie kręgi, nim głośno kracząc zapadło między drzewami. Było już popołudnie, ciepłe mimo lekkiego wiatru. Pod drzewami było chłodniej, liście brzoź i dębów rosły tak gęsto, że do poszycia lasu dochodziły jedynie migocące plamki światła. Układały się w ruchome wzory na trzech ciałach rozciągniętych na miękkiej trawie.

Wyczerpały się nawet niespożyte siły Herilaka. Z otwartych na nowo ran spływała krew, sklejąc włosy i brodę, brocząc po bokach. Łowca leżał na wznak, miał zamknięte oczy, chrapliwie oddychał.

Naprzeciw leżała Inlčnu*, mimowolnie naśladowująca jego pozę. Rozwarła szeroko usta, chłodząc się po wytężonym marszu.

Kerrick nie był aż tak zmęczony, wiedział, co się stało i gdzie się znajdują. Na wzgórzu nie opodał brzegu. Uciekali, dopóki Inlčnu* mogła biec, a gdy zatoczyła się i stanęła, Herilak padł obok niej. Podczas ucieczki panika powoli opuszczała Kerricka – teraz, odpoczywając, z przerażeniem myślał o tym, co zrobił.

Co uczynił?

Wiedział, do czego doprowadził. Zniszczył siebie. Zamordował eistaę. Teraz, gdy opuściły go emocje, nie mógł zrozumieć, co pchnęło go do tak szaleńczego czynu. Jednym ciosem włóczni przeciął wszystkie więzy łączące go z Yilanč, zwrócił przeciw sobie każdą Yilanč. Skończyło się dotychczasowe życie, odeszło w przeszłość. Nie ma już dla niego powrotu do wygod Alpčasaku, do łatwego życia, jakie tam prowadził. Przed sobą zaś miał jedynie niewiadomą pustkę, pewny mógł być tylko śmierci. Drżąc z lęku, odwrócił się i rozgarnął krzaki. Na dole nie zobaczył żadnego ruchu. Nic nie wskazywało na pościg. Było chyba jeszcze za wcześnie, ale nadejdą na pewno. Nie pozwolą, by morderca eistai umknął bezkarnie. Po tym, co uczynił, nie mógł wrócić. Przeszłość umarła. Był teraz zbiegiem, Yilanč między ustuzou. Bardziej samotnym niż kiedykolwiek dotąd. Rozmyślenia przerwały mu słowa Herilaka.

–Dobrze zrobiłeś, Kerricku, ładne, czyste pchnięcie. Zabiłeś dowódcę.

Głos Kerricka zabrzmiał niepewnie:

–Coś więcej niż dowódcę. Przywódcę, wodza miasta, jego sammadara.

–Jeszcze lepiej.

–Lepiej? Jej śmierć to wyrok na mnie!

–Jej? Ten wstrętny marag był samicą? Trudno w to uwierzyć.

–To wszystko samice. Samce są trzymne w zamknięciu. Herilak dźwignął się na łokciu i spojrzał zimno na Inłču*.

–To też samica?

–Jak wszystkie.

–Daj mi włócznie. Będzie o jedną mniej.

–Nie! – Kerrick odsunął broń, nim palce Herilaka zdołały ją odnaleźć. – Nie zabijaj Inłču*. Jest nieszkodliwa, to taki sam więzień, jak ja. Nie zabijaj jej.

–Dlaczego? Czy to nie takie jak ona wycięły mój sammad, zabiły wszystkich, co do jednego? Daj mi włócznie. Zabiję ją i uwolnię ciebie. Czy daleko zajdziesz przywiązany do niej?

–Nie skrzywdzisz jej, zrozumiałeś? – Kerrick sam był zdumiony zdecydowaniem, z jakim bronił Inłču*. Dotąd nic dlań nie znaczyła. Uważał ją jedynie za zawadę. Teraz jednak dodawała mu odrobinę otuchy.

–Skoro nie chcesz jej zabić, to uwolnij się od niej, przecinając grotem linkę.

–Tej linki nie mogę przeciąć. Widzisz, kamienne ostrze nawet jej nie zarysuje. – Bez żadnego skutku piłował gładką, twardą powierzchnię.

–Uciekła część twego sammadu. – Chciał odwrócić na chwilę myśli Herilaka od Inłču*. – Tak słyszałem. Słyszałem też, że są ścigam.

–Czy wiesz, kto uciekł? Ilu?

–Nie. Tylko to, że uciekli.

–Muszę się zastanowić. Ktokolwiek jest wśród nich, nie pójdą dalej na południe. Nie są tacy głupi. Wrócą drogą, którą tu przybyliśmy. Tak, to właśnie zrobią. Ż powrotem do najbliższej wody, do strumienia, nad którym obozowaliśmy ostatniej nocy. My też musimy tam iść. – Spojrzał na Kerricka. – Czy jesteście śledzeni?

–Oglądałem się. Chyba nikt nie widział, jak uciekaliśmy. Ale ruszą za nami. Są dobrymi tropicielkami. Po tym, co zrobiłem, nie pozwolą mi uciec.

–Niepotrzebnie się martwisz. Jeszcze ich tu nie ma. Nie będziemy jednak bezpieczni, dopóki nie oddalimy się od brzegu. Mogą nas znaleźć na tych wzgórzach,

jeśli jak powiedziałeś, znajdują się choć trochę na tropieniu. – Spróbował wstać, udało mu się to przy pomocy Kerricka. Stał z oczu zakrzepłą krew i rozejrzał się. – Pójdziemy w tę stronę, wzdłuż doliny. Jeśli skierujemy się nią na północ, to po przekroczeniu grzbietu trafimy na obozowisko nad strumieniem. Ruszajmy.

Posuwali się powoli aż do wieczora, opóźniani słabnącymi siłami Herilaka. Mimo braku pogoni parli bez odpoczynku. Wspinali się w górę porosłej trawą doliny, gdy Herilak przystanął i uniósł głowę, by wciągnąć powietrze.

–Sarna – powiedział. – Potrzebujemy jedzenia. Nie sądzę, by nas ścigano, lecz gdyby nawet tak było, musimy spróbować. Kerrick, przynieś dobrze wyrosniętego koziołka. Kerrick spojrział na włócznię, wyważył ją w dłoni.

–Nie rzucałem, odkąd byłem chłopcem. Nie mam już wprawy.

–Odzyskasz ją.

–Nie dzisiaj. Ty masz wprawę, Herilaku. Czy starczy ci sił? – Podał mu włócznię.

–Gdy zabraknie mi sił na łowy, wówczas umrę. Idź nad potok, pod drzewa. Popatrz uważnie i czekaj, aż wrócę.

Herilak wyprostował się, sprawdził wyważenie włóczni, potem szybko i cicho odbiegł. Kerrick odwrócił się i zszedł nad potok. Najpierw ugasił pragnienie, potem ochlapał swe pokryte kurzem ciało. Inlčnu* przyklękała i hałaśliwie chleptała wodę, a następnie rozłożyła się na brzegu, trzymając ogon w strumieniu.

Kerrick zazdrościł jej spokoju, obojętności. To chyba przyjemnie być taką głupią. W ogóle nie zastanawiała się, co tu robi, nie miała pojęcia, co się zdarzyło.

Kerrick wiedział, co tracił – natomiast przyszłość była dlań całkowicie mglista. Musi na nią przystać, ale jeszcze na to za wcześnie. Jak zdoła żyć poza miastem? Nic nie wiedział o prymitywnym bytowaniu. Dziecięce wspomnienia nie wystarczały, by żyć jak Tanu. Nie umiał nawet miotać włócznią.

–Idzie Yilanč – powiedziała Inlčnu*. Przerażony, skoczył na nogi. Stellan ze swymi łowczyniami! Nadchodzi jego śmierć. Cofał się przed hałasem w krzakach – potem odetchnął z ulgą, gdy ukazał się Herilak z przerzuconym przez ramię rogatym koziołkiem. Położył go ciężko i usiadł obok.

Kerrick odwrócił się, chcąc zbesztać Inlčnu*, gdy uświadomił sobie, że to nie jej wina. Inlčnu* wszystkich mówiących uważała za Yilanč. Chciała tylko powiedzieć, że ktoś się zbliża.

–Widziałem murgu – słowa Herilaka wzmogły strach Kerricka. – Były w sąsiedniej

dolinie, wracały nad morze. Myślę, że straciły nasz trop. Teraz się posilimy.

Herilak rozciął włócznią i wypatroszył jeszcze ciepłego kozła. Z braku ognia wyciął w pierw wątrobę, podzielił i dał kawałek Kerrickowi.

–Nie jestem głodny, jeszcze nie – powiedział Kerrick, spoglądając na surowe, krwiste mięso.

–Zgłodniejesz. Nie gardź tym.

Inlčnu*, choć odwrócona, kątem oka śledziła każdy ruch Herilaka. Czuł to i gdy tylko najadł się do syta, wskazał ją zakrwawionym palcem.

–Czy to je mięso?

Kerrick uśmiechnął się i rozkazał Inlčnu* otworzyć usta. Posłuchała, poruszając jedynie szczękami. Herilak spojrzał na rzędy błyszczących, spiczastych zębów i chrząknął.

–Je mięso. Nakarmić ją?

–Tak, cieszyłbym się.

Herilak urwał przednią nogę sarny, zdjął z niej skórę i wręczył Kerrickowi.

–Ty ją nakarm. Nie podobają mi się te zęby.

–Inlčnu* jest nieszkodliwa. To tylko głupia fargi. Inlčnu* chwyciła nogę kciukami i zaczęła wolno żuć mięso, wpatrując się w dal.

–Co powiedziałaś, czym jest?

–Fargi. To, no, nie potrafię powiedzieć, co to znaczy. Ktoś uczący się mówić, lecz jeszcze niezbyt w tym biegły.

–Czy ty jesteś fargi?

–Nie jestem! – Kerrick poczuł się urażony. – Jestem Yilanč. To znaczy, choć jestem Tanu, to mówię jak Yilanč i biorą mnie za taką. Brały mnie za taką.

–Jak do tego doszło? Pamiętasz to?

–Teraz tak. Ale długo nie pamiętałem.

Mówił z przerwami, z trudem znajdował słowa, bo po raz pierwszy mówił językiem Tanu, odkąd wymordowano sammad Amahasta. Odżyły w nim wspomnienia

masakry, pojmania, lęku przed niechybną śmiercią i jej niespodziewane uniknięcie. Potem zamilkł, bo brakowało mu słów, by opisać następne lata.

Herilak milczał. Niewiele zrozumiał z tego, co przydarzyło się chłopcu imieniem Kerrick, któremu udało się przeżyć, gdy wszyscy inni umarli. Jako jedyny przetrwał, przyzwyczał się do murgu. Nauczył się ich języka, potrafił żyć wśród nich. Było w nim wiele cech murgu, choć sobie tego nie uświadamiał. Poruszał się przy mówieniu, siedział nieruchomo, gdy milczał. Coś z nim zrobili, nie miał na sobie ani jednego włoska. I nosił tę sakwę, która wyglądała jak jego skóra i zakrywała mu męskość. Myśli Herilaka przerwał nagły plusk. Kerrick też go usłyszał i nagle zbladł.

–Znalazły nas. Już po mnie.

Herilak gestem nakazał mu milczenie, wziął włócznię, wstał i spojrzał ku potokowi. Rozległo się ponowne pluśnięcie, odgłos rozgarnianych na zakręcie krzewów. Uniósł włócznię, gdy pojawił się łowca.

–To Ortnar – powiedział i zawołał go.

Usłyszawszy głos, Ortnar wyprostował się i skinął. Był bardzo wyczerpany, szedł podpierając się włócznią. Inlčnu* zauważył dopiero wtedy, gdy stanął blisko. Złapał włócznię, by nią cisnąć, powstrzymał go dopiero rozkaz Herilaka.

–Stój. Ten marag to jeniec. Jesteś sam?

–Teraz tak. – Opadł ciężko na ziemię. Odłożył na bok łuk i pusty kołczan, lecz ścisnął nadal włócznię, patrząc gniewnie na Inlčnu*.

–Gdy napadły murgu, był ze mną Tellges, właśnie wróciliśmy do sammadu z polowania. Walczyliśmy, póki starczyło nam strzał. Zbliżały się do nas ze śmiercio-kijami. Nic już nie mogliśmy zrobić. Poza nami wszyscy zginęli. Kazałem mu uciekać, lecz zostawał z tyłu, biegł za wolno. Ścigały go, odwrócił się, by walczyć. Upadł. Poszedłem dalej sam. Powiedz mi teraz, co to za stworzenie?

–Nie jestem żadne stworzenie, lecz Tanu – zezłościł się Kerrick.

–Nigdy nie widziałem takiego Tanu. Bez włosów, bez włóczni, przywiązany do maraga...

–Cicho – nakazał Herilak. – To Kerrick, syn Amahasta. Jego matka była moją siostrą. Był więźniem murgu. Ortnar przetarł dłonią usta.

–Przepraszam, mówiłem bez zastanowienia. Dziś jest dzień śmierci. Jestem Ortnar, witam cię. – Wykrzywił twarz, próbując się uśmiechnąć. – Witaj w sammadzie Herilaka, mocno teraz uszczuplonym. – Spojrzał na ciemniejące niebo. – Nocą pojawi

się wiele nowych gwiazd.

Słońce wisiało teraz nisko, a na tej wysokości powietrze było chłodne. Inlčnu* odłożyła dokładnie obgryzioną kość i spojrzała na Kerricka.

–Pokornie pytam, niska wysoka, gdzie są płaszcze?

–Nie ma płaszczy, Inlčnu*.

–Zimno mi.

Kerrick też drżał, choć nie z zimna.

–Nic na to nie poradzę, Inlčnu*, zupełnie nic.

ROZDZIAŁ II

Inlčnu* zmarła w nocy.

Kerrick obudził się o świcie, drżąc z zimna. Rosa perliła się na trawie, a znad strumienia unosiła się mgiełka. Gdy odwrócił się ku Inlčnu*, zobaczył jej rozwarte szeroko usta i otwarte, niewidzące oczy.

„Zimno – pomyślał. – Zmarła w nocy z zimna”.

Potem obok głowy ujrzał kałużę krwi. Grot włóczni ugodził ją w gardło, uciszając na zawsze. Kto dokonał tego okrutnego czynu? Herilak spał jeszcze, natomiast oczy Ortnara były otwarte, przyglądał mu się chłodno.

–Ty to zrobiłeś! – zawołał Kerrick, skacząc na równe nogi. – Zamordowałeś podczas snu tę nieszkodliwą istotę.

–Zabiłem maraga – odpowiedział zuchwale Ortnar. – Zawsze należy je zabijać.

Trzęsąc się z wściekłości, Kerrick sięgnął po włócznię Herilaka. Nie zdołał jej jednak podnieść; wielki łowca był szybszy.

–To stworzenie nie żyje – powiedział Herilak. – Koniec z nim. I tak wkrótce zginęłoby z zimna.

Kerrick puścił włócznię i skoczył nagle na Ortnara. Złapał go oburącz za gardło, wcisnął mu głęboko kciuki w tchawicę. Zabolało go własne gardło, ściśnięte przez obręcz; włókł za sobą martwe ciało Inlčnu*, lecz nie zwracał na to uwagi. Ortnar wrywał się z uścisku, próbował sięgnąć po swą włócznię, lecz Kerrick przygwoździł ramię łowcy kolanem, mocno przycisnął. Ortnar walczył coraz słabiej, darł plecy Kerricka paznokciami wolnej ręki, lecz ten w swej wściekłości nic nie czuł.

Gdyby Herilak się nie wtrącił, byłoby już po Ortnarze. Wódz chwycił ręce Kerricka w swe wielkie dłonie. Ortnar dyszał ciężko, potem jęknął i złapał się za posiniaczone gardło. Ślepa złość odeszła Kerricka i przestał się szarpać. Herilak go puścił.

–Tanu nie zabijają Tanu – powiedział.

Kerrick zaczął protestować, lecz zaraz umilkł. Już się stało. Inlčanu* nie żyje. Nic nie zmieni śmierć jej mordercy. Ponadto Herilak miał rację; zima i tak by ją zabiła. Kerrick usiadł przy nieruchomej postaci i spojrzał na wschodzące słońce. Czy w ogóle coś dla niego znaczyła? To tylko głupia fargi, postępująca zawsze po swojemu. Wraz z jej śmiercią przerwała się ostatnia więź łącząca go z Alpčasakiem. Niech tak będzie. Jest teraz Tanu. Zapomni, że kiedykolwiek był Yilanč.

Potem uświadomił sobie, że trzyma giętką smycz łączącą go z Inlčnu*. Wciąż nie jest wolny. A tej smyczy nie da się przeciąć, wiedział o tym. Zrozumiał, że może się wyswobodzić w jeden tylko sposób. Spojrzał ze zgrozą na twarz Herilaka. Sammadar kiwnął ze zrozumieniem głową.

–Zrobię co trzeba. Odwróć się, bo nie będzie to dla ciebie przyjemne.

Kerrick patrzył na strumień, lecz słyszał wyraźnie, co się dzieje za jego plecami. Ortnar powłókł się do wody, by przemyć twarz i szyję, a Kerrick głośno go znieważył, starając się zagłuszyć dobiegające dźwięki.

Wkrótce było po wszystkim. Herilak wytarł obręcz o trawę, nim podał ją Kerrickowi. Ten długo mył obrożę w płynącej szybko wodzie. Gdy była już czysta, wziął ją w obie ręce i odszedł w górę nurtu. Nie chciał widzieć tego, co leżało za jego plecami.

Odwrócił się szybko, słysząc zbliżających się łowców; nie chciał być zabity od tyłu.

–Ma ci coś do powiedzenia – Herilak pchnął Ortnara do przodu. Jego twarz wykrzywiła nienawiść, chrypiał dotykając posiniaczonego gardła.

–Może źle zrobiłem, zabijając maraga – ale nie żałuję tego. Sammadar kazał mi to powiedzieć. Co się stało, to się nie odstanie. Próbowaleś mnie jednak zabić, a o tym tak łatwo się nie zapomina. Twoje przywiązanie do tego maraga było mocniejsze, niż sądziłem – nie chcę nic więcej o tym wiedzieć. Mówię to teraz z własnej nieprzymuszonej woli, byś wiedział, że twoim plecami nic nie grozi od grotu mej włóczni. Co ty na to?

Obaj łowcy wpatrywali się w Kerricka w napiętym milczeniu. Wiedział, że to on musi zdecydować. Teraz. Inlčnu* jest martwa i nic nie zdoła przywrócić jej życia. Musiał zrozumieć zimną nienawiść Ortnara po tym, co spotkało jego sammad. Właśnie on, przede wszystkim on, powinien to zrozumieć.

–Twoim plecami nic nie grozi od mej włóczni, Ortnarze – powiedział.

–Na tym koniec – stwierdził Herilak i zabrzmiało to jak rozkaz. – Nie będziemy więcej o tym mówić. Ortnarze, poniesiesz cięsko sarny. Wieczorem rozniecimy ogień i najemy się do syta. Zabierz Kerricka, znasz drogę. Zatrzymajcie się w południe. Wtedy do was dołączę. Między tymi drzewami jest kryjówka. Jeśli murgu będą nas ścigały, wkrótce się o tym dowiem.

Obaj mężczyźni szli jakiś czas w milczeniu. Droga była łatwa do odnalezienia, znaczyły ją głębokie ślady włóków. Prowadziła w górę, niemal do końca doliny, potem przez przełęcz do następnej. Ortnar ciężko dyszał pod ciężarem kozła i stanął, gdy doszli do wolno toczącego się strumienia.

–Trochę wody, obcy, potem pójdziemy dalej. – Zrzucił kozła i zanurzył twarz w wodzie. Wstał, nadal dysząc.

–Nazywam się Kerrick, syn Amahasta – powiedział Kerrick. – Czy to tak trudno zapamiętać?

–Spokojnie, Kerrick. Jeszcze boli mnie gardło od naszego ostatniego spotkania. Nie chcę cię obrazić, ale wyglądasz dziwnie. Zamiast brody czy włosów masz tylko meszek.

–Wyrosną z czasem. – Kerrick pogładził szczecinę na twarzy.

–Tak, tak sędzę. Ale teraz wygląda to dziwnie. I ten pierścień na twojej szyi. Dlaczego go nosisz? Nie można go przeciąć?

–Weź, spróbuj sam. – Kerrick podał pierścień Inlčnu* i patrzył z uśmiechem, jak Ortnar bezskutecznie tnie przezroczysty materiał grotem włóczni.

–To jest gładkie i miękkie – a jednak nie mogę tego przeciąć.

–Yilanč potrafią wiele rzeczy, których my nie umiemy. Gdybym ci powiedział, jak to zrobiono, nie uwierzyłbyś.

–Znasz ich tajemnice? Jasne, musisz znać. Opowiedz mi o śmiercio-kijach. Złapaliśmy jeden, ale nie udało się nic z nim zrobić. W końcu zaczął cuchnąć, przecięliśmy go i okazał się jakimś zdechłym zwierzęciem.

–Nazywa się hčsotsan. To szczególny rodzaj zwierząt. Gdy są młode, poruszają się jak każde inne zwierzę. Ale gdy dorosną, stają się takie, jak widziałeś. Muszą być specjalnie karmione. Potem wkłada się do nich strzałki, które wystrzeliwują po odpowiednim przyciśnięciu.

Ortnar siedział z otwartymi ustami, usiłując coś pojąć.

–Ale jak to możliwe? Gdzie można znaleźć takie zwierzęta?

–Nigdzie. To tajemnica murgu. Widziałem, co robią, lecz nie mogłem tego zrozumieć. Potrafią robić dziwne rzeczy przy pomocy zwierząt. Wiedzą, jak je do tego hodować. Ciężko to wytłumaczyć.

–Jeszcze trudniej zrozumieć. Pora ruszać. Teraz twoja kolej na sarnę.

–Herilak kazał ją tobie nieść.

–Tak, lecz pomożesz chyba przy jej zjedzeniu. Ortnar powiedział to z uśmiechem i Kerrick, wbrew sobie, również się uśmiechnął.

–Dobrze, daj ją. Ale niedługo weźmiesz z powrotem. Czy Herilak mówił coś o ogniu?
– Na wspomnienie nagle napłynęła mu ślinka. – Pieczone mięso – zapomniałem, jak to smakuje.

–Czy murgu jedzą tylko surowe mięso? – spytał Ortnar, gdy znów ruszyli w drogę.

–Nie. Właściwie tak i nie. Jest w pewien sposób zmiękczone. Można się do niego przyzwyczaić.

–Dlaczego nie pieką go jak należy?

–Bo... – Kerrick zadumał się na chwilę. – Bo nie rozpalają ognia. Nigdy przedtem tego nie zauważyłem. Sądzę, że nie potrzebują ognisk, bo tam, gdzie żyją, jest zawsze ciepło. Niekiedy w nocy lub podczas chłodniejszych czy deszczowych dni otulają się – nie ma na to słowa – w ciepłe rzeczy.

–Skóry? Futra?

–Nie. W dające ciepło żywe istoty.

–Brzmi to paskudnie. Im więcej słyszę o murgu, tym bardziej ich nie znoszę. Nie potrafię zrozumieć, jak mogłeś żyć wśród takich stworów.

–Nie miałem wyboru – odparł Kerrick ponuro. Odtąd szli w milczeniu.

Herilak dołączył do nich wkrótce po tym, gdy doszli do miejsca przewidzianego na nocleg.

–Droga za nami jest pusta. Wracają.

–Pieczeń! – cmoknął Ortnar. – Szkoda jednak, że nie zabraliśmy z sobą ognia.

Te słowa zbudziły w Kerricku dawno pogrzebane wspomnienia.

–Kiedyś to robiłem – powiedział. – Pilnowałem ognia na dziobie łodzi.

–To zajęcie dla chłopców – powiedział Herilak. – Łowca musi sam rozniecać ogień. Czy wiesz, jak się to robi? Kerrick zawahał się.

–Pamiętam, że widziałem, jak to robiono, ale zapomniałem. To było tak dawno.

–No to popatrz. Jesteś teraz Tanu i musisz znać takie rzeczy, jeśli masz zostać łowcą.

Trwało to długo. Herilak odłamał gałąź martwego, dawno uschłego drzewa. Starannie je przyciął i wygładził. W tym czasie Ortnar poszedł głębiej w las i wrócił z

naręczem suchego, spróchniałego chrustu. Połamał go i startł na drobny proszek. Skończywszy obrabiać kij, Herilak odłupał płaski kawał drewna i wywiercił w nim grotem włóczni płytki otwór.

Gdy wszystko było już gotowe, Herilak wziął łuk Ortnara i obwiązał cięciwą starannie wygładzony kij. Usiadł na ziemi, trzymając mocno nogami podłużny kawał drewna, wsadził w otwór zaostrzony koniec kija i zaczął pociągać łukiem w przód i w tył, obracając cięciwą kij. Gdy Herilak rozkręcił kij, Ortnar wsypał do otworu odrobinę sproszkowanego drewna. Uniosła się cienka strużka dymu. Zadyszawszy się z wysiłku, Herilak odpoczął chwilkę.

Gdy obracał kijem następnym razem, obok kłębu dymu pokazały się drobne iskierki. Rzucili na nie proszek drzewny i ostrożnie dmuchali, osłaniając nikiłe płomienie złączonymi dłońmi. Wreszcie zaśmiali się radośnie, podzucając drewna, aż ogień wzbił się wysoko. Potem pozwolili mu przygasnąć, póki nie zmienił się w rozżarzone węgle. Położyli na niech mięso, a Kerrick wdychał zupełnie już zapomniane zapachy pieczenia.

Parząc sobie palce, odrywali wielkie kawały gorącego mięsa. Jedli i jedli, aż po twarzach zaczęły płynąć krople potu. Po odpoczynku zaczęli jeść znowu. Kerrick nie pamiętał, by w całym swym życiu jadł coś równie dobrego.

Tej nocy spali z nogami przy tłącym się ognisku, ogrzani i zadowoleni, z pełnymi brzuchami.

Kerrick obudził się w nocy, gdy Herilak wstał, by dorzucić dREW do ognia. Na czarnym niebie wyraźnie odcinały się jasne punkty gwiazd. Tuż nad wschodnim horyzontem wisiała konstelacja Łowcy. Po raz pierwszy od ucieczki Kerrick był spokojny, czuł się bezpiecznie, mając łowców po obu swych bokach. Nie ścigano ich. Nic im nie groziło ze strony Yilanč.

Nic nie groziło? Czy to w ogóle możliwe? Wiedział, że łowcy nie mają pojęcia, jak bezlitosny jest ich wróg. Jak silny. Latające drapieżniki znajdą wszystkich Tanu, w każdej dolinie i na każdej łące. Nigdzie nie będą przed nimi bezpieczni. Uzbrojone fargi będą atakowały, dopóki nie wybiją wszystkich Tanu. Nie było dokąd przed nimi uciec. Nie potrafił już zasnąć, uciec w bezpieczne zapomnienie.

Leżał przebudzony, przekonany o nieuniknionej klęsce. Patrzył, jak jaśnieje niebo na wschodzie i po kolei nikną gwiazdy. Zaczyna się nowy dzień. Pierwszy dzień jego nowego życia.

ROZDZIAŁ III

Po długim, całodziennym marszu Kerrick miał opuchnięte i pokaleczone stopy. Siedząc na dużym kamieniu, moczył je teraz w zimnej wodzie strumienia, żując jednocześnie kawałek twardego mięsa. Skóra na podszwach stóp była zgrubiała i twarda, nie przywykł jednak do chodzenia po kamieniach. Teraz pokrywały ją skaleczenia i Kerrick z lękiem myślał o czekającym go ciężkim dniu. Herilak zobaczył jego rany i wskazał na długie rozcięcie prawej stopy.

–Musimy coś z tym zrobić.

On i Ortnar nosili sprężyste, lecz mocne mokasyny, wykonane z dwóch kawałków wyprawionej skóry, zszytych nićmi z jelit. Nie mieli pod ręką materiałów do zrobienia czegoś podobnego, lecz w pobliżu pełno było innych surowców. Herilak znalazł kamienie, które można było łatwo odłupywać i odbił z nich małe, ostre płytki. Ortnar zdjął skórę sarny i oczyścił ją w bieżącej wodzie z kawałków mięsa. Potem Herilak wyciął z niej podeszwę, przymierzył je do stóp Kerricka i umocował cienkimi paskami.

–Na razie wytrzymają – powiedział. – Nim skóra zeszywnieje i zacznie śmierdzieć, będziemy już daleko.

Kerrick podniósł resztę skóry i sprawdził, że wystarczy jej akurat na owinięcie się w pasie, gdzie można ją umocować rogiem koziołka. Wyskrobał ją z resztek mięsa, jak przedtem Ortnar i zdjął noszoną od tyłu lat miękką, skózaną sakwę. Zwisła mu z dłoni, mocujące ją ssawki lśniły wilgocią. Z nagłą odrazą wrzucił ją do strumienia. Tamto życie ma już na zawsze za sobą; teraz jest już Tanu.

Odwracając się zahaczył jednak o pierścień tkwiący przez wszystkie te lata na szyi Inlčnu*, nadal połączony z pierścieniem otaczającym jego szyję. Trzymał go przed sobą, przeklinając jego gładkość, przejrzystość i wytrzymałość. W nagłym gniewie walnął nim o kamień wystający z dna strumienia, bił w niego innym kamieniem, aż opuściła go wściekłość. Pierścień pozostał nie draśnięty.

Przyglądający się Ortnar dotknął dłonią niezarysowanej powierzchni.

–Nie da się przeciąć, nie da się złamać. Mocniejsze od kamienia. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Czy woda tego nie zmiękczy?

–Nie, ani trochę.

–Nawet gorąca woda, wrzątek?

–Nigdy nie próbowałem. Nie było jej w mieście. Nie zagotuje się wody bez ognia...

Mówiąc to, popatrzył na pierścień i giętką smycz, potem powoli przeniósł wzrok na dymiące na brzegu ognisko. Nawet woda, wrzątek. To coś, o czym Yilanč nie miały pojęcia.

Ogień.

To może się udać. Pierścień nie jest z kamienia ani z metalu. Może się stopić, spalić czy choćby zmięknie. Wówczas niewykluczone, że będzie na tyle słaby, iż da się go przeciąć. Ortnar radośnie klasnął w dłonie.

–Czemu nie? Ogień może dać mu radę. Powiedziałaś, że murgu nie mają ognia.

–Nie mają.

–Spróbuję.

Ortnar wziął wiszący na końcu smyczy pierścień, podszedł do dymiącego popiołu ogniska i wsadził go do środka.

Nic się nie stało. Kerrick patrzył ponuro, jak łowca wyciągnął pierścień i startł popiół z gładkiej powierzchni. Nie uległa zmianie, jedynie parzyła w palce. Ortnar włożył je do ust, po czym rozrzucił kawałki węgla. Grzebał kijem w ognisku, aż pokazały się płomienie. Zapalonym kijem dotknął obręczy.

Odrzucił ją z wrzaskiem, gdy buchnęła ogniem, strzelającym na wszystkie strony.

Kerrick ujrzał płomienie otoczone rosnącą chmurą czarnego dymu, palący się pierścień i ogień, który po smyczy wspinał się ku twarzy.

Bez namysłu rzucił się do ucieczki przed parzącym ciepłem. Wpadł z pluskiem do strumienia.

Gdy wstał, wypluwając wodę, zobaczył na ręce i brzuchu czerwoną pręgę, ślad po dotknięciu płonącej smyczy. Jej resztkę sięgała mu piersi. Ze zdumieniem dotykał zwisającej końcówki.

Zniknęła smycz krępująca go przez tyle długich lat. Zniknęła. Stał wyprostowany, nie czując oparzeń. Prysłły ostatnie więzy łączące go z Yilanč.

Gdy tylko posmarowali mu oparzenia sarnim tłuszczem, Ortnar wskazał na resztkę smyczy nadal zwisającą z pierścienia.

–To też da się spalić. Gdybyś położył się w wodzie, tuż nad powierzchnią, mógłbym zapalonym kijem...

–Myślę, że na dziś wystarczy – powiedział Kerrick. – Zaczekamy, aż zagoją się

oparzenia i wtedy spróbujemy jeszcze raz.

Ortnar kopnął do wody gorący pierścień. Po ochłodzeniu obejrzał go dokładnie, skrobiąc kamieniem.

–Błyszczący jak metal gwiazdny. Te murgu są bardzo zmyślne, skoro potrafiły nałożyć ci go na ciało.

Niechętnie oddał pierścień Kerrickowi, gdy ten wyciągnął po niego rękę.

–Został odlany na miejscu przez jedno ze zwierząt – wyjaśnił.

–Zatrzymasz go?

Kerrick poczuł, że Ortnar chciałby mieć pierścień i omal go nie oddał. Poczł doń jednak taką samą odrazę jak wtedy, gdy po raz ostatni zdejmował sącdek.

–Nie. To rzecz Yilanč, murgu. – Wrzucił pierścień do wody. Plusnął i utonął. – Mam jeszcze jeden na szyi. Wystarczy mi aż nadto.

Mogli już wyruszać, ale oparty na włóczni Herilak patrzył wciąż na drogę, którą tu przyszli.

–Gdyby ktoś jeszcze uciekał, to nas by nie dogonił – powiedział. – Bo zmykaliśmy jak przestraszone baby. Musimy się teraz zatrzymać i zastanowić nad dalszą drogą. Opowiedz mi, Kerricku, o murgu, co robią teraz?

–Nie rozumiem?

–Czy nadal nas tropią? Czy przebywają wciąż na plaży, na której nas napadły?

–Nie, już odeszły. Polują, by zdobyć mięso, mają ze sobą bardzo mało zapasów. Chciały dotrzeć tu, daleko na północ i zniszczyć sammad. Teraz wrócą. Pozostawanie tutaj nic im nie da. Po śmierci eistai nie mają przywódczyni. Nastąpiło zapewne wielkie zamieszanie i teraz już wracają do miasta.

–Tak robi główny oddział. Ale czy nie zostawią części, by nas szukała?

–To możliwe. Stellan jest do tego zdolna. Ale ona najprawdopodobniej przejmie dowództwo. Na pewno kieruje powrotem do miasta.

–Sądziś więc, że odeszły?

–Jestem tego niemal pewny.

–To dobrze. Wracamy na brzeg. W słowach Kerricka krył się strach:

–Mogły się ukryć, mogą czekać na nas.

–Właśnie mnie zapewniłeś, że tego nie zrobią.

–Jesteśmy łowcami – powiedział Ortnar. – Poznamy, czy są tam jeszcze.

–Nie mamy powodu...

–Wiele powodów. – Herilak mówił teraz twardo, przejął już dowództwo. – Mamy dwie włócznie, jeden łuk bez strzał i nic więcej. Gdy spadnie śnieg, zgniemy. Tam jest wszystko, czego nam trzeba. Wracamy.

Szli szybko, zbyt szybko jak dla Kerricka. Wydawało mu się, że wraca po pewną śmierć. O zmierzchu znaleźli się na wzgórzach rozciągających się wzdłuż brzegu i w dali ujrzeli ocean.

–Ortnarze, pójdziesz ostrożnie – nakazał Herilak. – Bezszelestnie i niepostrzeżenie. Wypatruj uważnie śladów murgu.

Ortnar potrząsnął na potwierdzenie włócznią, odwrócił się i zniknął między drzewami. Herilak rozsiadł się wygodnie w cieniu i szybko zasnął. Kerrick był zbyt zdenerwowany, by czekać spokojnie. W myślach widział wciąż czekające nań Yilanč.

Słońce zapadło za horyzont, gdy w dolinie rozległ się krzyk ptaka. Herilak obudził się natychmiast, przytknął dłonie do ust i odpowiedział podobnym krzykiem. Usłyszeli przedzieranie się przez krzaki i na zboczu ukazał się Ortnar.

–Odeszły – oznajmił. – Odeszły tak samo, jak przyszły.

–Nie możesz mieć pewności – powiedział Kerrick. Ortnar spojrzał na niego pogardliwie.

–Oczywiście, że mogę. Nie natrafiłem na świeże ślady. I wszędzie są padlinożerne ptaki – a one są bardzo płochliwe. Sprawdziłem dokładnie wszystko. – Jego pociągła twarz mówiła wyraźniej niż słowa. Wskazał na strzały wypełniające mu teraz kołczan. – Jest tam wszystko, czego potrzebujemy.

–Idziemy od razu – oznajmił Herilak.

Do miejsca rzezi dotarli po zmierzchu, lecz zimne światło bliskiego pełni księżyca oświetlało drogę. Kruki i sępy odleciały wraz z końcem dnia i teraz całun mroku zakrywał najbardziej przerażające sceny masakry. Ciała były w stanie rozkładu. Kerrick stał na brzegu, wpatrując się w morze, podczas gdy jego dwaj towarzysze przeszukiwali pobojowisko. Dopiero na głos Herilaka niechętnie odwrócił się w stronę miejsca rzezi.

–Nałóż to – powiedział sammadar. – Należało do wielkiego łowcy. Może przyniesie ci szczęście.

Podał mu futrzane nogawice z mocnymi, skórzanymi podeszwami, opończę, pas i resztę ubioru. Było to za ciepłe na lato, lecz podczas opadów śnieżnych mogło zadecydować o życiu lub śmierci. Długa włócznia, mocny łuk, strzały. Z rzeczy, których nie nałożył na siebie, Kerrick zrobił pakunek i położył go obok innych gromadzonych przez nich zawiniątek i koszy. Herilak zdjął kilka poprzeczek z włóka ciągniętego przez wielkiego mastodonta i zrobił z nich sanie, które mogli zabrać. Wszystko co znaleźli, leżało już na nich.

–Wyruszamy – powiedział głosem posępnym jak śmierć, mając wokół siebie zmarłych sammadu. – Nigdy nie zapomnimy, co murgu tu uczyniły.

Szli do zachodu księżyca, zmieniając się między dyszlami sań, aż postanowili odpocząć. Kerrick bał się, że ścigają ich łowczynie Yilanč, był jednak tak wyczerpany, że zasnął i spał bez obaw aż do rana.

Herilak odczepił od sań torbę z ekkotazem i wysypał smaczną mieszanię suszonych jagód i orzechów. Po raz ostatni Kerrick jadł to jako chłopiec i gdy oblizywał palce, zalała go fala wspomnień. Dobrze jest być Tanu. Myśląc o tym, poczuł swędzenie. Podrapał się po brzuchu. Gdy zsunął futro, zobaczył czerwone cętki. Zrozumiał, że dzielny łowca, który poprzednio nosił te futra, miał pchły. Bycie Tanu miało też i złe strony. Bolały go plecy od spania na twardej ziemi, mięśnie od wysiłków, do których nie przywykł, a jakby było tego jeszcze za mało, poczuł nagły ból brzucha. Przypieczone, twarde mięso nie zostało dobrze strawione przez żołądek. Skoczył za najbliższą kępę krzaków.

Męczony skurczami, zobaczył pchłę na zrzuconym ubraniu. Zgniół ją między paznokciami, potem ze wstrętem wytarł palce o trawę. Był brudny, podrapany, zapchlony i chory. Co tu robi z tymi prymitywnymi ustuzou? Dlaczego nie jest w Alpčasaku? Było mu tam przecież wygodnie i swojsko, przebywał blisko eistai. Dlaczego nie miałby wrócić? Vaintč zginęła od pchnięcia włóczni, lecz kto w mieście się dowie, że to on zadał cios? Nikt go nie widział. Czemu nie miałby wrócić?

Umył się dokładnie, potem zrobił kilka kroków w górę strumienia, by napić się wody. Na brzegu obaj łowcy ładowali znów rzeczy na sanie. Mogą wyruszyć przecież bez niego.

Ale czy naprawdę chce wracać do Alpčasaku? Całe lata marzył o ucieczce z miasta – a teraz był wolny. Czy nie tego zawsze pragnął? Tam był świat Yilanč. Nie było w nim dla niego miejsca.

Ale czy jest dlań miejsce wśród Tanu?

Stał po kolana w zimnej wodzie, zaciskał bezwiednie pięści. Zagubiony. Nie należący ani do jednego, ani do drugiego świata. Wygnany i samotny.

Zawołał go Herilak. Silny głos rozproszył mroczne myśli Kerricka. Wyszedł na brzeg i powoli się ubrał.

–Zaraz wyruszamy – powiedział Herilak.

–Dokąd idziecie? – spytał Kerrick, ciągle rozdzierany sprzecznymi uczuciami.

–Na zachód. Szukać innych łowców. By wrócić z nimi i zabić murgu.

–Są zbyt silne, zbyt liczne.

–No to zginiemy, a mój tharm dołączy do tharmów innych łowców mego sammadu. Wpierw się jednak na nich zemszczę. To dobra śmierć.

–Nie ma dobrych śmierci.

Herilak spojrzał nań w milczeniu. Rozumiał rozterkę Kerricka. Lata niewoli musiały wpłynąć na psychikę chłopca, który jest teraz mężczyzną. Te lata minęły, nie da się ich cofnąć. Nie ma do nich powrotu. Czeką go ciężka droga – lecz nie ma wyboru.

Herilak sięgnął do szyi i powoli zdjął przez głowę skórzany rzemyk ze zwisającym nożem z gwiazdowego metalu. Wręczył go Kerrickowi.

–To należało do twego ojca. Jesteś jego synem, masz na szyi mniejszy nóż chłopięcy. Powieś je razem. Noś, by pamiętać o śmierci ojca i całego swego sammadu. I o tych, które ich zabiły. Miej w sercu nienawiść i świadomość, że też szukasz zemsty.

Kerrick zawahał się, potem sięgnął po nóż. Zacisnął mocno dłoń na jego rękojeści.

Nie może wrócić do Alpčasaku. Nigdy. Musi nauczyć się czuć jedynie nienawiść do morderców swego plemienia. Miał nadzieję, że tak się stanie.

Lecz na razie czuł wyłącznie straszliwą pustkę.

Es mo tanil drepastar, er em

so man drija.

POWIEDZENIE TANU

**Gdy zostanie ranny mój brat,
wówczas przeleję krew.**

ROZDZIAŁ IV

Łowy były nieudane. Ulfadan wyruszył na nie dobrze przed świtem i nie miał czym się pochwalić. Z pasa zwisał mu tylko jeden królik, młody i chudy, mięsa na jego kościach starczy zaledwie dla jednej osoby. Co ma jeść cały sammad? Doszedł do skraju puszczy i stanął pod wielkim dębem, wpatrując się w odległe trawy. Nie odważył się iść dalej.

Byty tu murgu. Stąd aż do końca świata, jeśli świat ma koniec, żyły jedynie te budzące lęk stworzenia. Niektóre były smaczne, próbował kiedyś mięsa z nogi mniejszych murgu, mających dzioby, pasących się w wielkich stadach. Lecz na grożących im łowców czekała zawsze śmierć. W trawie kryły się jadowite murgu, wielobarwne, śmiercionośne węże różnych rozmiarów. Jeszcze gorsze były ogromne stwory, których ryk przypomina huk piorunów. Gdy szły, ziemia się trzęsła jak podczas kataklizmu. Odruchowo, jak zawsze gdy myślał o murgu, dotykał palcami zwisającego mu na piersiach zęba jednego z tych olbrzymów. Jeden ząb, lecz długi niemal jak przedramię. Zdobył go, gdy był młody i głupi, gotów narażać życie, by pokazać swoją odwagę. Zobaczył wtedy z drzewa śmierć maraga, widział padlinożerne zwierzęta szarpiące i rozdzierające jego ciało. Dopiero po zmierzchu odważył się wyjść z kryjówki wśród drzew, wyrwać ten jeden ząb z otwartego pyska. Pojawiły się wtedy nocne murgu i uratował się jedynie szczęśliwym trafem. Długa, biała szrama na udzie świadczyła, że nie udało mu się wrócić bez szwanku. Nie, nie można było polować poza granicą drzew.

Ale sammad musi jeść. Pożywienia, które zdobywali dzięki łowcom, było coraz mniej. Świat się zmienił, a Ulfadan nie rozumiał dlaczego. Alladjex powtarza im, że odkąd Ermanpadar stworzył Tanu z mułu na dnie rzeki, świat jest zawsze taki sam. Zimą szli w góry, gdzie leżą głębokie śniegi i łatwo upolować sarnę. Gdy wiosną topniały śniegi, schodzili wzdłuż rącznych potoków do rzeki, czasem do morza, gdzie ponad wodą skakały ryby, a w zimie rosły dobre rzeczy. Ale nigdy nie wypuszczali się za daleko na południe, gdyż czekały tam jedynie murgu i śmierć; góry i mroczne puszcze północy zawsze dostarczały im wszystkiego, czego potrzebowali.

Dziś już tak nie było. W górach panowała nie kończąca się zima, poznikały stada saren, w puszczech śniegi leżały do późnej wiosny. Przepadły istniejące od niepamiętnych czasów źródła pożywienia. O tej porze roku było zawsze syto, rzeka kipiała od ryb. W nadrzecznym obozowisku dołączał do nich sammad Kellimansa; działo się tak każdego roku. Był to czas spotkań i rozmów, młodzi mężczyźni szukali żon. Teraz jedzenia było mało. Ryb wystarczało na co dzień, ale brakowało na zimowe zapasy, a bez tego mało kto mógł doczekać wiosny.

Jak znaleźć wyjście z tej pułapki? Na zachodzie i wschodzie czekały inne sammady, równie głodne jak jego i Kellimansa. Murgu na południu, lód na północy – a oni tkwili w środku jak w potrzasku. Głowa Ulfadana pękała od najróżniejszych obaw. Jęknął głośno, jak usidłone zwierzę, potem zawrócił i poszedł z powrotem do sammadu.

Widok ze szczytu porośniętego trawą zbocza schodzącego ku rzece nie budził niepokoju. Ciemne stożki skórzanych namiotów rozciągały się nierówną linią wzdłuż brzegu rzeki. Między nimi poruszały się postacie, a z ognisk wzbijał się dym. W pobliżu jeden ze spętanych mastodontów uniósł trąbę i ryknął. Dalej nad brzegiem widać było kobiety grzebiące w ziemi utwardzonymi w ogniu kijami w poszukiwaniu jadalnych korzonków. Ale co się stanie, jeśli ziemia znów zamarźnie? Wiedział, co wówczas nastąpi, choć wolał o tym nie myśleć.

Nagie dzieci biegały z wrzaskiem, chlapały się w wodzie. Stare kobiety siedziały w słońcu przed namiotami, splatając kosze z łożyny i trzciny. Ulfadan mijał namioty. Jego twarz wyrażała tylko napięcie i powagę, nic z niej nie dawało się wyczytać. Podbiegł do niego jeden z młodszych synów, wyrzucił z siebie ważną wiadomość.

–Są tu trzej łowcy z innego sammadu. Jeden jest bardzo śmieszny.

–Zabierz tego królika dla matki. Biegnij.

Łowcy siedzieli przy ognisku, pociągając po kolei z fajki o kamiennym cybuchu. Był tam Kellimans i alladjex Fraken, stary i pomarszczony, bardzo jednak szanowany za swą mądrość i umiejętność leczenia. Przybysze wstali, by go powitać. Jednego z nich znał dobrze.

–Witam cię, Herilaku.

–I ja cię witam, Ulfadanie. To Ortnar z mego sammadu, a to Kerrick, syn Amahasta i mojej siostry.

–Dostaliście jedzenie i picie?

–Zjedliśmy i wypiliśmy. Gościnność Ulfadana jest znana szeroko.

Ulfadan dołączył do kręgu wokół ogniska, wziął fajkę, gdy doszła do niego i głęboko

zaciągnął się gryzącym dymem. Przyglądał się dziwnemu łowcy bez włosów, który powinien był zginąć z resztą swojego sammadu, lecz żył. Dowie się o nim we właściwym czasie.

Przybysze wzbudzili zaciekawienie i w innych łowcach, którzy podchodzili, siadali wokół nich, bo taki był zwyczaj sammadu.

Herilak nie przestrzegał obyczajów jak ongiś. Przemówił, gdy fajka okrążyła wszystkich tylko jeden raz.

–Zimy są długie, wiemy o tym. Jedzenia jest mało i to też wiemy. Poza nami dwoma zginęli wszyscy w moim sammadzie.

Choć były to słowa straszne, łowcy zachowali milczenie; tylko słuchające poza kręgiem kobiety lamentowały i jęczały. Wielu miało krewnych w sammadzie Herilaka. Niejeden spojrział na niebo, gdzie zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy. Gdy Herilak znów się odezwał, wszyscy milczeli.

–Jak wiadomo, wybrałem się z moimi łowcami daleko na południe, aż tam, gdzie nie ma śniegu, a zimy są ciepłe; do miejsca, gdzie żyją tylko murgu. Byłem przekonany, że to murgu zabiły Amahasta i cały jego sammad. Miałem rację, bo spotkałem murgu chodzące jak ludzie i zabijające śmiercio-kijami. Jeden z ich śmiercio-kijów znalazłem wśród kości sammadu Amahasta. Zabiliśmy murgu, na które tam natrafiliśmy, i wróciliśmy na północ. Wiemy teraz, że na południu rządzi śmierć, wiemy też, co to za śmierć. Ale głodowaliśmy ubiegłej zimy i wielu zmarło. Łowy, jak sami wiecie, latem nie udały się. Z powodu głodu poprowadziłem sammad wzdłuż wybrzeża na południe. Sam z łowcami wyruszyłem jeszcze dalej, gdzie więcej zwierzyny. Wiedzieliśmy o niebezpieczeństwie. Wiedzieliśmy, że murgu mogą nas napaść, lecz bez pożywienia i tak zginęlibyśmy. Byliśmy ostrożni. Napadły na nas dopiero wtedy, gdy powracaliśmy. Jestem tutaj. Ortnar jest tutaj. Pozostali zginęli. Z nami jest Kerrick, syn Amahasta, pojmany przez murgu, teraz wreszcie wolny. Wie dużo o zwyczajach murgu.

Wywołało to zaciekawienie wśród słuchających. Siedzący z tyłu podnosili się, próbując zobaczyć Kerricka. Intrygował ich brak włosów u niego, jego lśniący pierścień na szyi oraz zwisające noże z gwiazdneho metalu. Kerrick patrzył przed siebie i nic nie mówił. Gdy znów zapanował spokój, odezwał się Kellimans:

–Nastały dla Tanu czasy śmierci. Zabija nas zima, zabijają nas murgu, zabijają nas inni Tanu.

–Czy nie dość, że giniemy od murgu? Czy musimy walczyć ze sobą? – spytał Herilak.

–Powinniśmy występować przeciwko długiej zimie i krótkiemu latu – powiedział

Ulfadan. – Przybyliśmy tu, bo sarny uciekły z gór. Gdy jednak

próbowaliśmy tu polować, przepędzili nas łucznicy z sammadów żyjących poza górami. Mamy teraz mało żywności i w zimie będziemy głodować. Herilak potrząsnął ze smutkiem głową.

–To prawda, ale naszym wrogiem są murgu, a nie Tanu. Gdy będziemy walczyć ze sobą, spotka nas pewna zagłada. Kellimans był zdania Ulfadana.

–Myślę tak jak ty, Herilaku, ale to nie my zaczęliśmy. Musisz przekonać inne sammady. Gdyby nie one, polowalibyśmy i nie zaznali głodu. Przybyły spoza gór, są liczne i bardzo głodne. Spychają nas i nie pozwalają polować. Doprowadzą nas do śmierci.

Herilak machnął ręką.

–Nie, mylisz się. To nie oni spowodowali nasze nieszczęścia. Za górami łowy muszą być równie złe, inaczej by tu nie przyszli. Tanu mają dwóch wrogów: niekończącą się zimę – i murgu. Łączą się razem, by nas zniszczyć. Nie możemy walczyć z zimą. Możemy jednak zabić murgu.

Inni próbowali się włączyć do dyskusji, lecz umilkli, gdy odezwał się Fraken. Szanowali starego za jego wiedzę i moce lecznicze, mieli nadzieję, że zdoła znaleźć sposób na ich kłopoty.

–Murgu przypominają liście, są równie niezliczone. Powiedziałeś nam, że mają śmiercio-kije. Jak możemy walczyć z takimi istotami? I po co? Jeżeli będziemy narażali swe życie walcząc z nimi, to co przez to zyskamy? Potrzebne nam jedzenie, a nie wojna.

Gdy skończył, rozległ się pomruk poparcia. Tylko Herilak z nim się nie zgadzał.

–Tobie potrzeba jedzenia, a ja szukam zemsty – powiedział ponuro. – Musimy znaleźć sposób zabicia murgu na południu. Gdy zostaną zniszczone, będziemy mogli swobodnie polować na wybrzeżu.

Spory trwały jeszcze długo, lecz niczego nie postanowiono. Herilak dał znak Ortnarowi, wstali i odeszli. Kerrick patrzył w ślad za nimi, lecz wahał się, czy do nich dołączyć. Nie czuł potrzeby zemsty, jak oni. Gdyby go nie zawołali, może by z nimi nie poszedł. Może zostałby przy ognisku i rozmawiał z innymi łowcami. Może nawet zostałby z tym sammadem, polował i zapomniał o murgu.

Ale nie było wyjścia. Wiedział to, o czym inni nie mieli pojęcia. Wiedział, że Yilanč nie zapomną o nim ani o innych Tanu. Ich nienawiść była zbyt głęboka. Wyślą orły i znajdą każdy sammad. Nie spoczną, póki nie zniszczą wszystkich. Ulfadan, Kellimans

i ich ludzie boją się tylko zimy, głodu i innych Tanu, podczas gdy tam, na południu, znajdował się przeciwnik znacznie groźniejszy.

Nikt nie zauważył, gdy Kerrick wziął włócznię i odszedł. Znalazł swych obu towarzyszy przy osobnym ognisku i usiadł koło nich. Herilak kijem rozgarniał ognisko, patrzył w płomień, jakby szukał w nim odpowiedzi.

–Jest nas tylko trzech – powiedział. – Sami nie pokonamy murgu, lecz jeśli trzeba, podejmiemy walkę. – Odwrócił się do Kerricka. – Wiesz o murgu to, czego my nie wiemy. Opowiedz nam o nich. Opowiedz, jak prowadzą wojnę.

Kerrick w zamyśleniu tarł szczękę. Zaczął wolno i niepewnie.

–Niełatwo o tyra mówić. Musielibyście wpierw poznać ich miasto, zrozumieć, jak jest urządzone. Musielibyście wiedzieć, czym są fargi i Yilanč, czym się zajmują.

–No to powiedz nam – nakazał Herilak.

Początkowo trudno było Kerrickowi mówić w języku Tanu o sprawach, których nie umiał nazwać. Musiał tworzyć nowe słowa, opisujące sceny dobrze mu znane, znajdować sposoby na określenie pojęć zupełnie obcych łowcom. Pytali go wielokrotnie o rzeczy, których nie mogli zrozumieć. W końcu zorientowali się w funkcjonowaniu społeczeństwa Yilanč, choć nie mogli pojąć, dlaczego tak działało.

Herilak wpatrywał się w zaciśnięte pięści, spoczywające na udach, w milczeniu rozważał to, co usłyszał. W końcu potrząsnął głową.

–Nigdy nie zrozumiem murgu i nawet nie będę próbował. Ale wystarczy, że wiem, co robią. Wielki ptak lata wysoko i obserwuje nas, potem wraca i mówi im, gdzie jest sammad, tak iż mogą na niego napaść. Zgadza się?

Kerrick chciał zaprotestować, potem namyślił się i kiwnął głową potwierdzająco. Szczegóły nie miały znaczenia, dopóki rozumieli, choć mgliście, co robią Yilanč.

–Gdy dowiedzą się od ptaka, gdzie stanął sammad, przygotowują atak. Fargi z bronią wyruszają łodziami. Wynurzają się nagle z morza i jak wiesz, zabijają wszystkich.

–Powiedziałeś jednak coś więcej – przypomniał Herilak. – Czy nie obozują na brzegu w noc poprzedzającą atak?

–Rzeczywiście, zwykle to robią. Zatrzymują się jak najbliżej, spędzają tam noc, zostawiają zapasy żywności, by móc zaatakować o świcie następnego dnia.

–Czy zawsze tak postępują?

–Nie wiem. Tylko dwa razy byłem z nimi. Ale, chwileczkę, to nie ma znaczenia. Jeśli coś myślą, coś robią, to zawsze będą to czyniły w ten sam sposób. Dopóki coś im się udaje, nie zmieniają tego.

–Musimy więc wykorzystać to, co wiemy, by je zniszczyć.

–Jak tego dokonać? – spytał Ortnar.

–Jesteśmy łowcami. Wiemy, jak podchodzić naszą zdobycz. Musimy znaleźć sposób, by podejść i zniszczyć murgu.

Kerrick milczał. Wciąż miał przed oczyma zagładę sammadu. W myślach znów był na brzegu w chwili napaści, ponownie czuł przerażenie

na widok wynurzających się z morza ciemnych postaci. Potem widział siebie wśród atakujących, przybył z nimi z Alpčasaku. Obserwował przygotowania do napaści, słuchał rozkazów i wiedział dokładnie, jak to się wszystko odbywa. Musiał teraz wyciągnąć wnioski z tak przeciwstawnych doświadczeń.

–Zapobiec klęsce – powiedział głośno. Powtórzył to słowo, by do nich dotarło. – Zapobiec! Ale potrzebujemy do tego Ulfadana, Kellimansa i ich sammadów. Musimy im to wyjaśnić, przekonać, by zrozumieli i pomogli. Oto co potem zrobimy. Wyruszymy z sammadarami na południe, będziemy polować. Zdobędziemy wiele pożywienia. Lecz gdy tylko znajdziemy się na południu, murgu na pewno nas odnajdą, dowiedzą się o nas od wielkiego ptaka. Będziemy jednak bardzo czujni i po zauważeniu wielkiego ptaka wyślemy łowców, by śledzili plaże. Będziemy wtedy wiedzieli, że atak się zbliża, będziemy do niego przygotowani. Zamiast uciekać, będziemy walczyć i zabijemy je wszystkie.

–To niebezpieczne – powiedział Herilak. – Jeśli zabierzemy sammady, narazimy życie kobiet i dzieci, wszystkich, którzy nie mogą walczyć. Musimy znaleźć lepszy plan, bo inaczej sammady nie zdecydują się pójść z nami. Pomyśl jeszcze. Czy nie powiedziałaś mi czegoś bardzo ważnego, czegoś o nocy? Murgu nie lubią chodzić po nocy?

–To nie tak. Ich ciała różnią się od naszych. Muszą zawsze spać w nocy. Iak już z nimi jest.

Herilak skoczył na nogi, rycząc w nagłej radości.

–Z nami też jest tak, że śpimy w nocy, lecz nie musimy tego robić, przynajmniej nie zawsze. Oto więc co zrobimy. Pogadamy z łowcami i przekonamy ich, że ze względu na głód powinni wyruszyć na południe wzdłuż brzegu i polować. W ten sposób sammady zdobędą żywność na zimę. Lecz polując będziemy zawsze zważali na wielkiego ptaka informującego murgu. Gdy ptak nas dostrzeże, ukryjemy łowców, by

obserwowali plaże na południu. Murgu zatrzymają się na noc. Będziemy wiedzieli, gdzie są. Wtedy wyruszymy w ciemnościach. Sami łowcy. Pójdziemy bezszelestnie i nocą dotrzemy do plaż.

Zacisnął pięści, walnął jedną o drugą.

–Wtedy spadniemy na nich w ciemnościach. Zakłujemy je włóczniami, gdy będą spały, zabijemy je tak, jak zabiły nas. – Wstał i szybko powrócił do kręgu łowców. Chciał im to powiedzieć. Przekonać ich.

Nie było to łatwe. Ortnar i Kerrick po wielokroć tłumaczyli cały zamysł. Mówili, jak murgu atakują i jak można je pokonać. Powtarzali to wciąż, wyjaśniali dokładnie, jak mogą polować i zdobyć żywność na zimę. A przy okazji rozprawić się z murgu.

Ulfadan był zaniepokojony, podobnie jak i drugi sammadar. Uważali pomysł za ryzykowny, zbyt niebezpieczny.

–Twój plan wymaga, byśmy rzucili na szalę życie nas wszystkich – mówił Ulfadan. – Proponujesz, byśmy wystawili na przynętę nasze kobiety i dzieci, jakbyśmy mieli wciągnąć w zasadzkę długozęba. Prosisz nas o zbyt wiele.

–I tak, i nie – powiedział Herilak. – Bo nie masz wyboru. Bez żywności mało kto przetrwa zimę. Tu nie możesz polować. Chodźmy na południe, łowy są tam dobre.

–Wiemy też, że są tam murgu.

–Tak, lecz tym razem będziemy się mieli przed nimi na baczności, nie czekając na wielkiego ptaka, ukryjemy łowców na plażach, by ostrzegli nas przed każdym atakiem. Gdy murgu wylądują na plażach, będziemy wiedzieli, że to się zbliża. Ostrzeżemy sammady, by można było w nocy zapakować namioty i wszystko inne na włóki. Chłopcy odprowadzą mastodonty w głąb lądu, z dala od brzegu, zabierając z sobą kobiety i małe dzieci. W ten sposób unikną zagrożenia. Ryzykujemy, lecz nie musimy się na to zdecydować. W przeciwnym razie czeka nas śmierć w śniegach podczas zimy. Bez jedzenia nikt z was nie doczeka wiosny.

–Twardo mówisz, Herilaku – powiedział ze złością Kellimans.

–Mówię tylko prawdę, sammadarze. Decyzja zależy od waszych plemion. Powiedzieliśmy, co mieliśmy do powiedzenia. Teraz odchodzimy.

Tej nocy ani w następnych dniach nie podjęto decyzji. Potem jednak zaczęło padać, zimne wiatry z północy przyniosły ciężkie nawałnice. Jesień zaczęła się znów wcześniej. Zapasy żywności były niewielkie, wszyscy o tyra wiedzieli. Trzej obcy nadal przebywali w obozowisku. Czuli, iż wszyscy patrzą na nich z niepokojem, być może z nienawiścią. Ich obecność zmuszała do podjęcia decyzji.

W końcu stało się oczywiste, że nie mają żadnego wyboru. Wśród lamentów kobiet zwijano namioty i ładowano włóki. Wyruszyli na szlak bez zwykłego ożywienia. Szli pełni obaw o życie. Przygnębeni i zmoknięci maszerowali w zacinającym deszczu na wschód.

ROZDZIAŁ V

W czasie rozgardiaszu przy zwijaniu obozowiska Kerrick zbyt był zajęty, by myśleć o niebezpieczeństwach, jakie kryje przyszłość. Gdy mocowano włóki do potulnych mastodontów, naszły go niespodziewanie wspomnienia. Mastodonta, ciągnące wolno lecz wytrwale skrzypiące ramy, tworzyły wspaniałą widok. Na włókach piętrzyły się wysoko namioty i bagaże, na nich siedziały dzieci. Gdy ruszyli, przed karawaną szli łowcy, rozglądając się w poszukiwaniu zwierzyny. Sammad łączył się dopiero wieczorem, gdy do obozu ściągali łowcy, zwabieni ogniami i zapachami przygotowywanego jedzenia.

Przez pierwsze kilka dni bano się wszystkiego, a zwłaszcza złowrogich murgu, które miały ich śledzić. Tanu byli fatalistami, czemu sprzyjała niepewność ich żywota. Powodzenie ich zależało od pogody, mogli nie znaleźć jedzenia, łowy mogły się nie udać. Teraz pozostawiali za sobą głód i śmierć, zdobywali zaś pożywienie i szansę przeżycia. Coraz bardziej cieszyli się z podjęcia decyzji, nabierali ducha, bo zaczęło się ocieplać, a łowy stawały się coraz bardziej udane.

Zaakceptowali nawet Kerricka, choć dzieci ciągle wskazywały palcami obręcz na szyi, śmiały się z jego łysej czaszki i gładkiej twarzy. Włosy zaczęły mu rosnać, na głowie były już długie na palec, brodę miał wciąż rzadką i słabą. Nadal niewprawnie władał włócznią i pudłował z łuku – choć szło mu coraz lepiej. Coraz rzadziej ogarniały go posępne myśli.

Trwało tak, dopóki nie doszli do oceanu.

Widok błękitnych wód wywołał w Kerricku takie przerażenie, że stanął jak wryty. Wokół nie było nikogo, wyprzedził mastodonta, które ciągnęły włóki, a inni łowcy znajdowali się daleko. Bał się tak bardzo, że chciał zawrócić i uciec. Przed nim czaiła się śmierć. Jak ta garstka łowców może marzyć o stawieniu czoła hordzie uzbrojonych fargi? Pragnął ukryć się, zaszyć w górach. Iść dalej, to pewne samobójstwo.

Ale nie mógł odejść. Nawet myśl o tym była zbyt tchórzliwa, by się zastanawiać. Miał swój udział w stworzeniu planu, czuł się odpowiedzialny za tych, którzy mu zawierzyli. Mimo to z największym wysiłkiem zmusił się do kolejnego kroku. Z lękiem i niepewnością szedł jednak stale do przodu.

Tego wieczoru stanęli niedaleko brzegu. Nim wyprężono mastodonta, chłopcy zanurzyli wędkę w słonawym zalewie. W wodzie roiło się od hardaltów, małych, opancerzonych kałamarnic łatwo chwytających dżdżownic nadziane na kościane haczyki. Chłopcy wracali z hałasem i śmiechami, niosąc zdobycz. Głowonogi szybko wyłuskano z muszli, wypatroszono i pokrojono. Wkrótce skwierczały na ogniu.

Twarde, mocno pachnące mięso stanowiło odmianę po pieczonej sarninie.

Kerrick wypluł chrząstkowaty kawałek, wytarł palce o trawę, potem wstał i rozprostował kości. Czy coś mu się jeszcze zmieści? Spojrzał łakomie na ognisko, gdy kącikiem oka dostrzegł odległy ruch. Na niebie krążył wielki ptak.

Nie. Przyjrzał się skrzydłom o wielkiej rozpiętości, białej piersi ptaka, czerwieniejącej w zachodzącym słońcu, i zamarł. Wiedział, co teraz nastąpi. Nie mógł dostrzec czarnej bryłki na nodze drapieżnika, jej nigdy nie zamykającego się oka, lecz pewny był, że tam się znajduje. Ptak obniżył lot, kierując się w stronę obozowiska. Kerrick z trudem przełamał strach i pobiegł do siedzącego przy ognisku Herilaka.

–Jest tu – powiedział. – Krąży nad nami. Teraz się o nas dowiedzą... Herilak udał, że nie słyszy paniki w głosie Kerricka. Sam mówił spokojnie i pośępnie.

–To bardzo dobrze. Wszystko idzie zgodnie z planem.

Kerrick nie podzielał jego optymizmu. Próbował nie patrzeć na krążącego nad nimi ptaka, wiedział, że przyniesione przez niego zdjęcia będą dokładnie przejrane. Tanu nie okazywali niepokoju, nie wiedzieli nic o mechanizmie obserwacji. Gdy ptaszysko wykonało ostatni krąg i odleciało, nie było już wątpliwości, że atak nastąpi.

Po zmroku, gdy łowcy gromadzili się, pogawędzić przy fajce, Kerrick powiedział im, co zauważył i jakie wyciągnął wnioski. Teraz, gdy wyrok już zapadł, nikt się nie skarżył. Wypyтали go dokładnie, potem omówili szczegóły, by pierwsza grupa łowców mogła wyruszyć przed świtem.

Rano sammad ruszył na południe. Na czele szedł Herilak, wiodąc ich łagodnym łukiem w głąb lądu. Kerrick poznał taras, wiedział, że omijają miejsce, w którym uległ zagładzie sammad Herilaka. Nie należało przypominać Tanu o nieszczęściu, które wynurzyło się z morza. Wieczorem znów znaleźli się na plaży. Łowcy zebrani wieczorem przy ognisku postanowili uczynić Herilaka ich sacripexem, wodzem w bitwie. Skinieniem głowy przyjął wybór i wydał pierwsze rozkazy.

–Teraz z przodu będą szli Kerrick i Ortnar. Widzieli murgu, wiedzą, czego szukać. Ruszą wzdłuż wybrzeża i całą noc będą czuwać nad wodą. Pójdą z nimi dwaj łowcy, by pomóc wypatrywać i w razie potrzeby przybyć do nas z ostrzeżeniem. Od dziś będzie tak każdej nocy. Inni będą co noc czuwać przy namiotach, obserwując morze na wypadek, gdybyśmy coś przeoczyli. Musimy się zabezpieczyć z każdej strony.

Przez następne cztery dni posuwali się wzdłuż wybrzeża. Piątego dnia o świcie Kerrick przybiegł do obozowiska. Na odgłos jego kroków łowcy chwycili za broń.

–To nie alarm, nie ma murgu. Przyjrzałem się jednak brzegowi i coś przyszło mi do głowy. – Zaczekał na obu sammadarów oraz Herilaka i zaczął tłumaczyć. – Dobrze

nam teraz idzie z łowami, a w morzu jest mnóstwo ryb. Musicie się zgodzić, by dziś nie zwijać obozu, lecz zostać tu i łowić ryby, a łowcy mogą przynosić mięso do wędzenia. Na południe stąd są klify, a za nimi długa plaża przy gęstej brzezynie, sięgającej niemal do samej wody. Jeśliby przybyły murgu, to nie będą mogły wylądować przy klifie, na pewno wybiorą więc plażę obok lasu.

Herilak skinął głową.

–Przy ataku będziemy mogli podejść je niepostrzeżenie pod osłoną drzew. Dobrze. Tak zrobimy. Czy wszyscy się ze mną zgadzają?

Po dyskusji zaakceptowano projekt, Kerrick wrócił do miejsca, z którego Ortnar i dwaj łowcy obserwowali morze.

Zaczęło się oczekiwanie. Przez następne dni wypełniali sobie czas wznoszeniem w głębi lasu kryjówek z brzozy kory. Noce były już chłodniejsze, zdarzały się deszcze. Dwóch łowców przebywało za dnia na szczycie zbocza nad oceanem, obserwując go uważnie. Przed wieczorem leżeli tam wszyscy czterej, by niczego nie przeoczyć. Po wielodniowym czuwaniu, wieczorem, dołączył do nich Herilak.

–Co widzieliście? – spytał, stanąwszy obok nich pod drzewem.

–Nic. To co i teraz. Puste morze. Tak jak zawsze – odparł Kerrick.

–Łowcy z sammadów uznali, że mają już dość mięsa. Są nam wdzięczni za wskazanie tych terenów łowieckich. Chcą odejść.

–To słuszna decyzja – powiedział jeden z czuwających łowców. – Nikt z nas nie pragnie napaść murgu.

Kerrick, który był podobnego zdania, poczuł przyływ nadziei, lecz zachował milczenie.

–Mów za siebie – stwierdził Herilak. – Tak, wiodło się nam na szlaku. Mamy teraz dość jedzenia, by przetrwać zimę i rozumiem tych, którzy marzą o powrocie. Z pełnymi brzuchami zapomną o głodzie, zapomną także o losie, jaki spotkał na tym brzegu dwa inne sammady. To ostatnia noc. Chcą wyruszyć jutro o świcie. Zostaniemy tu, by wyruszyć za nimi dzień później na wypadek, gdyby murgu jednak zaatakowały.

–Będziemy szli szybko – zawołał drugi łowca. – Teraz już nas nie złapią.

Herilak odwrócił się od niego z pogardą. Ortnar był także rozczarowany.

–Nie zrobilibyśmy tego tylko dla napełnienia waszych brzuchów. Przybyliśmy tu, by

zabić murgu.

–Nie możemy zrobić tego sami – powiedział Herilak.

Kerrick odwrócił się i spojrzał na morze, by nie dostrzegli wyrazu ulgi na jego twarzy. Mogą się spierać, lecz w końcu sammady powrócą. Nic ich tu nie trzyma, wszystko przemawia za odejściem. Nie dojdzie do walki. Białe chmurki płynęły po niebie, rzucając cień na spokojne wody. Wielkie cienie. Ruchome cienie.

Stał nieruchomo, wpatrując się w te cienie, nie odzywając się, zanim nie nabrał pewności. Wtedy powiedział z napięciem, nie mogąc powstrzymać drżenia głosu:

–Są tam. Murgu nadciągają.

Istotnie tak było. Czarne łodzie wynurzyły się spod cienia chmur i były teraz wyraźnie widoczne. Płynęły szybko na północ.

–Czy się zatrzymają? – zawołał Herilak. – Czy zamierzają napaść na sammady?

–Musimy je ostrzec, jest mało czasu! – powiedział Kerrick. Jeden z łowców odwrócił się, by pobiec z ostrzeżeniem, lecz Herilak zatrzymał go.

–Stój. Poczekaj, aż się upewnimy.

–Skręcają ku brzegowi! – krzyknął Ortnar. – Kierują się ku plaży nad nami.

Łowcy leżeli cicho w kryjówce, patrząc wrogo na zbliżające się łodzie, podskakujące na łagodnych falach. Rozległy się głośnie rozkazy, uzbrojone fargi wysypały się z łodzi i ruszyły ku plaży. Nie było wątpliwości, że pozostaną na noc, bo zaczęły wyładowywać zapasy.

–Idźcie – szepnął Herilak obu łowcom – Obaj. Różnymi drogami, by choć jeden na pewno doszedł z wiadomością. Gdy tylko się ściemni i nic nie będzie widać, niech załadują włóki, a potem sammady ruszą szybko w głąb lądu. Mają maszerować aż do świtu, a potem schować się w lesie. Zaraz po załadowaniu włóków wszyscy łowcy muszą zostawić obóz i dołączyć do nas. Biegnijcie.

Krzątanina na plaży przypominała Kerrickowi dawne czasy. Obaj łowcy przyglądali się jej z niepokojem. Patrzyli na wyładowywanie łodzi i na fargi, które otulały się płaszczami przed nocą. Dowódczynie skupiły się w dalszej części plaży, lecz Kerrick bał się podejść bliżej, by je rozpoznać. Wszystko przemawiało za tym, że dowodzić nimi może Stallan. Na myśl o niej poczuł potrzebę zemsty. Stallan biła go i nienawidziła, zabiła Alipola swą brutalną uwagą. Z jakąż przyjemnością przebiłby bok tego potwora.

Nie było księżycy, lecz gwiazdy oświetlały wyraźnie biały piasek plaży,

od którego odcinały się leżące ciemne postacie. Coraz więcej gwiazd wznosiło się z morza, gdy wreszcie z lasu, za ich plecami, dobiegł cichy szelest

Pierwszy łowca podpełzł blisko. Przed świtem wszyscy będą na swych stanowiskach.

ROZDZIAŁ VI

Od wielu dni Herilak myślał jedynie o tym ataku, układał wciąż na nowo jego plany, wiedział dokładnie, jak zostanie przeprowadzony. Wyjaśniał wszystko Kerrickowi i Ortnarowi, tak iż byli zorientowani równie dobrze. Herilak zostawił ich na skraju zagajnika, by dalej obserwowali plażę. Poleciał natomiast przybyłym łowcom, by cofnęli się na polanę i odpoczywali tam, póki nie ściągną pozostali. Był ich wodzem wojennym, przyjmowali więc jego rozkazy bez szemrania.

–Ulfadan, Kellimans – powiedział cicho. – Przejdźcie się po swoich łowcach, pytając każdego o imię. Gdy się upewnicie, że są już wszyscy, wróćcie tu, by mnie zawiadomić.

Byli doświadczonymi łowcami, czekając nie rozmawiali. Siedzieli cicho z przygotowaną bronią, wyczekując rozkazów Herilaka, sacripexa, który poprowadzi ich do boju. Dopiero po upewnieniu się, iż wszyscy przybyli, Herilak powiedział im, co mają robić.

–Musimy uderzyć równocześnie – tłumaczył. – Musimy zabijać szybko, bo ich strzałki to pewna śmierć. Dlatego rozciągniemy się w jednej linii, każdy sammad zajmie się połową plaży. Musimy się cicho podczołgać w trawie, aż do samego piasku. Wiatr wieje od wody, tak iż nie poczują, że się zbliżamy. Mogłyby jednak coś usłyszeć, bo słuch mają dobry, dlatego nie wolno nam wydać ani jednego dźwięku. Każdy z was zajmie swe miejsce, a sammadarzy sprawdzą pozycje. Potem będziecie czekać bez ruchu, obserwować plażę. Ruszycie, gdy zobaczycie na plaży mnie, Ulfadana i Kellimansa. Będzie to sygnał do podejścia. Ostrożnego i cichego. Potem zaczniecie zabijać murgu włóczniami, starając się jak najdłużej zachować ciszę.

Herilak dotknął końcem włóczni najbliższego łowcy, tuż pod brodą, a pozostali podeszli, by zobaczyć, co się dzieje.

–Starajcie się w miarę możliwości uderzać murgu w gardło, bo to ich najbardziej czułe miejsce. Mają wiele żeber i w przeciwieństwie do zwierząt, na które polujemy, zajmują one cały przód ich ciała, a nie tylko pierś. Mocny cios będzie skuteczny, lecz źle wymierzony odbije się od kości. Bijcie tu – w gardło.

Herilak odczekał, by zapamiętali, a potem ciągnął dalej:

–Nie sądzę, by udało się nam zabić je wszystkie cicho. Gdy tylko podniosą alarm, starajcie się krzyczeć jak najgłośniej, by doprowadzić do zamieszania. Nie przerywajcie zabijania. Gdyby uciekały, użyjcie łuków. Strzały je zatrzymają. Nie wahajcie się, nie odpoczywajcie, zabijajcie bez ustanku. Skończymy dopiero wtedy, gdy wszystkie padną.

Nie było pytań. Wszyscy wiedzieli dobrze, co trzeba zrobić. Ukrywali starannie wszelkie obawy. Żyli dzięki zabijaniu i mieli w nim wielką wprawę.

Cicho, jak cienie, wynurzyli się z mroku lasu i podczołgali przez trawę w stronę plaży. Kerrick stał nadal na czatach. Oderwał wzrok od śpiących fargi i ze zdumieniem ujrzał poruszające się kształty. Nie dobiegł go żaden dźwięk, choćby najcichszy. Herilak przemknął obok niego. Kerrick dotknął go i pochylił się, by wyszeptać do ucha:

–Wpierw należy zabić ich przywódczynię. Chcę sam to zrobić.

Herilak kiwnął głową i odszedł. Kerrick oderwał się od skraju plaży i powolutku, przystając po każdym kroku, zbliżał się do wybranego wcześniej miejsca.

Między drzewami rozległ się krzyk nocnego ptaka, Kerrick przystanął, nim ruszył dalej. Słysząc było teraz jedynie szum drobnych fal wpływających na piasek. Noc była cicha jak śmierć.

I była śmiercią.

Po zajęciu pozycji łowcy zamarli bez najmniejszego ruchu, który mógłby zdradzić ich obecność. Wpatrywali się w jaśniejszą powierzchnię piasku, czekając cierpliwie na ustalony sygnał.

Napięcie spowodowało, że Kerricka bolał żołądek. Był przekonany, że minęło zbyt dużo czasu. Coś się stało. Herilak i sammadarzy powinni już być na plaży. Jeśli zaczekają jeszcze choćby chwilę, zaczną się rozjaśniać i to oni znajdą się w potrzasku.

Wiedział, że jego obawy są bezpodstawne, mimo to nie mógł się ich pozbyć. Zaciskał pięści aż do bólu. Gdzież są? Co się dzieje? Na niebie zbierały się chmury, zasłaniając gwiazdy. Czy zauważy ich, gdy się pokażą?

Pojawili się cicho i nagle. Ciemny szereg słabo widocznych postaci rozciągnął się wzdłuż całej plaży.

Wyprzedzili Kerricka, potrafili poruszać się cicho w całkowitym milczeniu. Musiał wymacywać przed sobą drogę, gdyż brakowało mu ich umiejętności bezszelestnego podkradania się do zwierzyny. Gdy doszli do pierwszych śpiących fargi, był daleko za nimi. Słyszał jedynie stłumione chrapania, nic więcej.

Poczuł pod nogami miękki piasek, mógł już iść szybciej. Pobiegł z uniesioną włócznią. Był już przy stercie zapasów, swoim punkcie orientacyjnym, za którym leżały Yilanč, gdy ciszę nocy przerwał okropny wrzask bólu.

Dołączyły do niego natychmiast jęki i krzyki; na plaży zapanował ruch. Kerrick krzycząc obiegł nagromadzone zapasy i dźgnął wstającą właśnie Yilanč.

Wrzasnęła chrapliwie i upadła, gdy grot zanurzył się w jej ciele. Uderzył po raz drugi w gardło.

Noc wypełniały jęki, odgłosy walki, upadków. Fargi budziły się szybko, lecz były przestraszone i zupełnie dezorientowane. Jeśli nawet pamiętały o swej broni, to nie mogły jej znaleźć w ciemnościach. Uciekały, szukając schronienia w oceanie swej młodości, lecz nawet tam nie były bezpieczne, bo zabijano je po drodze, stawały się celem ostrych strzał. Trwała bezlitosna masakra. Tanu byli sprawnymi mordercami.

Część fargi zdołała jednak uciec, dobiec do morza, przebić się w panice przez trupy, zanurkować i dopłynąć do łodzi. Łowcy gonili za nimi przez przybój, strzelając z łuków, dopóki nie wyczerpali wszystkich strzał.

Masakra skończyła się dopiero wtedy, gdy nie było już kogo zabijać. Łowcy chodzili wśród zwałów ciał, uderzając włócznią na wszelki odgłos czy ruch. Po kolei stawali w milczeniu, aż jeden z nich wydał okrzyk zwycięstwa. Przyłączyli się do niego wszyscy, podnosząc nieomal zwierzęcy ryk, który przez wodę dobiegł do łodzi, wypełnionych ocalałymi, wystraszonymi fargi.

Pierwsze promienie słońca ukazały przerażające szczegóły nocnej rzezi. Kerrickowi było niedobrze na widok rozciągających się wszędzie trupów. Na łowcach nie robiło to najmniejszego wrażenia. Pohukiwali radośnie, chełpili się swymi wyczynami, brodząc w falach między ciałami, by odzyskać strzały. W narastającym świetle dnia Kerrick dojrzał, że ręce i nogi pokrywa mu gruba warstwa krwi; odszedł plażą z dala od ciał fargi i umył się w morzu. Gdy wyszedł, czekał na niego Herilak, krzycząc triumfalnie:

–Dokonałiśmy tego! Odplaciliśmy murgu, wyrznęliśmy je do nogi, pomściliśmy wymordowne sammady. To była dobra, nocna robota.

Łodzie płynęły na południe – przeważnie puste lub mając zaledwie jedną czy dwie fargi. Rzeź była skuteczna.

Kerricka opuściły nienawiść i obawa, czuł już tylko wyczerpanie. Usiadł ciężko na stosie pęcherzy z zapasami mięsa. Herilak potrząsnął włócznią w stronę uciekających łodzi, krzycząc głośno:

–Wracajcie! Powiedzcie reszcie, co się stało dziś w nocy. Powiedzcie innym murgu, że to czeka wszystkie, które odważą się znowu wybrać na północ.

Kerrick nie podzielał jego pewności, gdyż zbyt długo żył wśród Yilanč. W świetle dnia ujrzał twarz najbliższego trupa – rozpoznał ją. Tę łowczynię widział wiele razy

przy Stallan. Zadrżał i odwrócił głowę, by nie patrzeć na jej rozdarte gardło. Opanował go wszechogarniający żal – sam nie bardzo wiedział za czym.

Gdy Herilak się odwrócił, Kerrick zawołał:

–Czy zginął ktoś od nas?

–Jeden. Czy to nie prawdziwe zwycięstwo? Tylko jeden zabity zatrutą strzałą. Zaskoczyliśmy je całkowicie. Dokonaliśmy tego, co zamierzaliśmy.

–Mamy tu jeszcze coś do zrobienia – Kerrick usiłował myśleć praktycznie, zapomnieć o uczuciach. Poklepał pęcherz, na którym siedział. – W środku jest mięso. Dopóki zewnętrzna skóra nie zostanie przerwana, mięso nie zgnije. Jadłem je. Smakuje ohydnie, ale pozwala przeżyć.

Herilak, zamyślony, opierał się na włóczni.

–Odnieśliśmy więc nie tylko zwycięstwo, ale zdobyliśmy i żywność. Dzięki temu więcej łanu przetrwa nadchodzącą zimą. Muszę powiadomić inne sammady, sprowadzić je tutaj po ten skarb. – Spojrzał na zasłaną zwłokami plażę. – Co jeszcze może się nam przydać?

Kerrick pochylił się, podniósł porzucony hčsotsan i startł piasek z jego ciemnego ciała. Gdy wycelował w stronę pustego morza i nacisnął, rozległ się ostry trzask i strzałka zniknęła wśród fal. Zatopiony w myślach, poklepał stworzenie, aż małeńka gęba rozwarła się szeroko. Pogładził ją, by się zamknęła i wręczył broń Herilakowi.

–Zabierzcie śmiercio-kije. I strzałki. Pokażę wam jak wyglądają. Nie umiemy ich hodować, ale dobrze karmione pożyją wiele lat Truczizna na strzałkach zabija murgu równie łatwo, jak i Tanu. Gdybyśmy je mieli dziś w nocy, żadne murgu nie umknęłoby z tej plaży.

Herilak objął go serdecznie.

–To dopiero pierwsze zwycięstwo spośród wielu. Natychmiast poślę po sammady.

Kerrick wziął jeden z pęcherzy z wodą i napił się do syta, potem spojrzał na podnieconych łowców. Odnieśli zwycięstwo, pierwsze zwycięstwo Tanu. Miał jednak przecucie, że następne nie przyjdą tak łatwo. Spojrzał na najbliższego trupa fargi, potem wstał i zmusił się, by dokładnie obejrzeć plażę.

Zajął mu to sporo czasu. Przeszukał nawet wodę, przyglądając się pływającym ciałom, które odwracał twarzą do góry. Gdy skończył, upadł wyczerpany na piasek.

Rozpoznał niektóre Yilanč, głównie łowczynie, lecz także jedną, o której wiedział, iż

była treserką łodzi. Na próżno jednak szukał znajomej twarzy. Nie było jej tutaj. Spojrzał wzdłuż wybrzeża na południe, gdzie dawno już zniknęły uciekające łodzie.

Na jednej z nich odpłynęła Stallan, był o tym przekonany. Na pewno prowadziła tę wyprawę i równie niewątpliwie uratowała swe życie w ciemnościach.

Kerrick był pewien, że jeszcze się kiedyś spotkają. Ta kieszka nie powstrzyma Yilanč. Uczyni je jeszcze bardziej zdecydowanymi. To nie koniec walki, lecz dopiero jej początek. Czym się ona ostatecznie zakończy, Kerrick nie miał pojęcia.

Wiedział jednak, że nastąpi teraz starcie, jakiego dotąd świat nie widział.

Wściekła wojna między dwoma gatunkami, które łączyło tylko jedno: nieprzejednana nienawiść wobec siebie.

*nu***nkč** a › akburzhou*

kaseibw › ak umuhesn

*tsuntensi nu***nkč**kash*

PRZYSŁOWIE YILANČ

Przed ciernistym wałem wystarczał nam

krąg z ciał; przyszłość nie zmieni

jego przydatności.

ROZDZIAŁ VII

Nagły deszcz siekł o łodzie podskakujące na krótkich falach wywołanych podmuchami szkwału. Grube krople bębniły o mokre skóry. Ciemny brzeg skrył się i oddalił, ocean za nimi był pusty. Nic nie wskazywało na pościg. Stallan rozejrzała się na wszystkie strony, potem kazała stanąć swej łodzi i dała znak, by to samo zrobiły pozostałe.

Skupiły się w szarym świetle świtu, nie potrzebowały rozkazu, szukały pocieszenia w obecności innych. Cisnęły się do nich nawet puste łodzie, wywołując zamieszanie, bo nikt nimi nie kierował. Stallan przyglądała się z rosnącą wściekłością ocalałym fargi.

Jak ich mało! Ciężko przestraszona garstka, tylko tyle pozostało z wielkiej armii uderzeniowej, jaką poprowadziła na północ. Co było tego przyczyną?

Gniew jej rósł; wiedziała, co było przyczyną, lecz myśl ta rodziła tylko wściekłość i dlatego ją odpychała. Wróci do niej, gdy wszystkie ocalałe znajdą się bezpiecznie w Alpčasaku; to jej najważniejszy obowiązek.

–Czy któraś z was jest ranna? – zawołała, odwracając się przy tym, by wszystkie mogły ją zrozumieć. – Unieście ręce, jeśli tak. Stallan zobaczyła, że rannych jest niemal połowa.

–Nie mamy bandaży, przepadły z innymi zapasami. Otwarte rany przemyjcie wodą morską. Nie mamy nic więcej. Rozejrzyjcie się teraz, widzicie puste łodzie? Wkrótce się od nas odłączą, a nie możemy sobie pozwolić na dalsze straty. Chcę, by w każdej

Łodzi siedziała przynajmniej jedna fargi. Przesiądźcie się teraz, póki jesteśmy razem.

Niektóre fargi były tak roztrzęsione i przestraszone, że nie potrafiły myśleć samodzielnie. Stallan skierowała swą łódź do środka i podniesionym głosem powtarzała rozkaz, aż dotarł do wszystkich.

–Ta łódź nie jest pusta – zawołała któraś. – Jest w niej martwa fargi.

–Do morza z nią, a także z pozostałymi, jakie znajdziecie.

–Ta łódź jest ranna, sterczy z niej strzała ustuzou.

–Zostawcie ją – wyciągając, bardziej im zaszkodzicie, niż pomożecie.

Nie starczyło fargi ze zdziesiątkowanego oddziału, by Stallan mogła przydzielić choć jedną na każdą łódź. Musiała zostawić kilka rannych łodzi, by same troszczyły się o siebie. Gdy tylko obsadzono łodzie, stopniała flotylla ruszyła na południe.

Płynęły bez przerwy cały dzień. Stallan nie chciała zbliżyć się do brzegu, dopóki nie zmusiła jej do tego ciemność. Mogły tam być inne ustuzou, śledzące je z ukrycia, czekające na sposobność do ataku. Zdrętwiałe, znieruchomiałe z przerażenia fargi sterowały wytrwale, aż słońce zapadło za horyzont. Dopiero wtedy Stallan skierowała je do brzegu, gdzie do oceanu uchodził potok. Zobaczywszy słodką wodę fargi chciały natychmiast zaspokoić pragnienie, lecz Stallan zatrzymała je na łodziach, a sama przeszukała okolicę. Dopiero potem pozwoliła im wysiąść, po kilka naraz, by mogły się napić. Sama stała nad nimi czujnie, z przygotowanym hčsotsanem, jedynym, jaki im pozostał. Tylko ona zachowała broń. Pozostałe uciekały w panice, zapominając o orężu.

–Najniższa do najwyższej – spytała jedna fargi, gdy już się napiła. – Gdzie jest jedzenie?

–Tu nie ma, słaba w mowie, jeszcze słabsza w myśleniu. Może jutro. Wracaj do swojej łodzi. Dziś nie będziemy spały na brzegu.

Bez płaszczy utrzymujących w nocy temperaturę ciał, wszystkie fargi zrobiły się ospałe i nieruchawe, dopóki nie ogrzało ich ranne słońce. Uciekały dalej.

Trzeciego dnia, gdy ciągle nie było śladu pogoni, Stallan zaryzykowała lądowanie, by zapolować. Jeśli mają wrócić żywe, to muszą zdobyć pożywienie. Starannie wybrała miejsce, decydując się na deltę rzeki z jej rozległymi bagniskami i wysepkami. Na mokradłach wytropiła barwne zwierzęta, pożywiające się w sitowiu. Przypominały uruktuby, tylko znacznie mniejsze, miały jak one długie szyje i małe główki. Zabiła dwójkę ze stada, które natychmiast się rozpierzchło. Były za ciężkie, by mogła je sama przenieść, wróciła więc po fargi, które zawlokły ciała na plażę.

Najadły się do syta, choć musiały rozdzierać mięso zębami z braku narzędzi do cięcia.

Dwie spośród rannych fargi zmarły podczas drogi. Straciły także nie obsadzone i ranne łodzie, które po kolei odłączały się w następne noce. Jedynie żelazna wola i twarde dowództwo Stallan sprawiły, że niedobitki osiągnęły wreszcie znajome wody. W południe minęły łodzie rybackie

i okrążyły przylądek osłaniający port Alpčasaku. Ich powrót musiał zostać wcześniej dostrzeżony, lecz w porcie nikt nie czekał na rozgromiony oddział. Z wyjątkiem jednej samotnej postaci. Obowiązki eistai pełniła teraz Etdeerg. Podeszła bliżej, gdy Stallan wysiadła z łodzi, lecz o nic nie zapytała. To Stallan odezwała się pierwsza, składając oficjalny meldunek.

–Gdy pewnego dnia zatrzymałyśmy się na plaży, w nocy napadły na nas ustuzou. Nocą poruszają się bez trudu. Mogłyśmy się tylko bronić. Ocalały tylko te, które tu widzisz.

Etdeerg patrzyła zimno na fargi odprowadzające łodzie do ich zagród.

–To klęska – stwierdziła. – Nastąpiło to przed czy po waszym ataku na ustuzou?

–Przed. Nie osiągnęłyśmy niczego. Wszystko stracone. Nie spodziewałam się napaści, nie wystawiłam straży. Zawiniłam. Umrę teraz, jeśli tak mi każesz.

Stallan czekała bez ruchu. Od śmierci oddzielał ją tylko jeden krótki rozkaz. Patrzyła w morze, choć jedno oko zezowało na Etdeerg.

–Będziesz żyła – stwierdziła w końcu. – Zawiniłaś, lecz Alpčasak potrzebuje cię nadal. Twoja śmierć jeszcze nie nadeszła. Stallan okazała wdzięczność. Odetchnęła z ulgą.

–Jak to się mogło stać? – spytała Etdeerg. – Nie potrafię wyobrazić sobie takiej katastrofy.

–Wiem wszystko – odpowiedziała Stallan; nienawiść i gniew wyzierały z każdego ruchu jej ciała. – Wiem dokładnie, jak do tego doszło.

Urwała, zauważywszy poruszenie. Cztery mocarne fargi z łatwością niosły lektykę, za którą człapała tłusta Akotolp. Fargi ostrożnie postawiły lektykę na ziemi i odeszły. Akotolp minęła je szybko i nachyliła się nad spoczywającą w środku postacią.

–Nie możesz się za wiele ruszać, mówić za dużo, bo niebezpieczeństwo nie minęło – powiedziała Akotolp.

Vaintč skinęła głową i odwróciła się ku Stallan. Straciła dużo na wadze, pod skórą wyraźnie rysowały się kości. Rana od włóczni została wyleczona, śladem była jedynie poszarpana blizna, lecz uszkodzenia wewnętrzne były znaczne. Gdy przyniesiono Vaintč do Akotolp, wiele dni przebywała w odrętwieniu, wszystkie jej funkcje uległy znacznemu spowolnieniu, utraciła całą poprzednią aktywność. Akotolp wyleczyła rany, powstrzymała zakażenie, przetoczyła krew, uczyniła wszystko co możliwe, by uchronić eistę przed śmiercią. Nibezpieczeństwo było ogromne, jedynie umiejętności naukowe Akotolp w połączeniu z siłą woli Vaintč sprawiły, że przeżyła. Jej miejsce eistai zajęła Etdeerg, zarządzała miastem podczas długiej choroby. Teraz Vaintč przejmie w pełni swe obowiązki. Przemówiła jako eistaa.

–Opowiedz, co się stało – rozkazała.

Stallan złożyła dokładną relację, mówiła o lądowaniu i masakrze równie dokładnie i beznamyślnie, jak o każdym szczególe wyprawy, opisując na koniec odwrót do Alpčasaku. Zakończyła swą opowieść tymi samymi słowami, które wypowiedziała wcześniej.

–Zawiniłam. Umrę teraz, jeśli mi tak każesz. Vaintč odrzuciła tę możliwość ruchem tak gwałtownym, że Akotolp syknęła ostrzegawczo.

–Zawiniłaś czy nie, potrzebujemy cię, Stallan. Żyj. Potrzebujemy cię choćby po to, by się zemścić. Będziesz moim ramieniem. Zabijesz tego, który to uczynił. Może to być tylko on.

–Eistaa ma rację. Na zdjęciach, które przyniósł ptak, nie było żadnej innej bandy ustuzou. Wszystko u nich wyglądało tak, jak powinno. Ale tak nie było. Ktoś wiedział o ptaku i rozkazał ustuzou, by ruszyli się nocą. Ktoś wiedział, że wylądujemy na plaży w noc przed atakiem. Ktoś wiedział.

–Kerrick.

Za tym imieniem stała śmierć. Wypowiedziała je tak zdecydowanie, że Akotolp zaprotestowała.

–Narażasz swe życie, Eistao, wzbudzając taki gniew. Nie czujesz się jeszcze dość dobrze, by znieść takie uczucia.

Vaintč opadła na miękkie poduszki i skinęła głową na zgodę. Odezwała się dopiero po chwili:

–Muszę poświęcić temu wiele uwagi. Gdy zaatakujemy ustuzou następnym razem, musimy to uczynić w nowy, odmienny sposób. Jedynie w połowie polegać możemy na zdjęciach ptaka. Diennej połowie. Ustuzou potrafią się poruszać pod osłoną nocy. – Zwróciła się do Akotolp. – Znasz się na tym. Czy można robić zdjęcia w

nocy?

Akotołp, myśląc intensywnie, szarpała swe wielkie korale.

–To chyba możliwe. Niektóre ptaki latają w nocy. Coś spróbuję zrobić.

–Zacznij natychmiast. I drugie pytanie: czy da się powiększyć zdjęcia od ptaka, by zawierały jeszcze więcej szczegółów?

–Nie rozumiem, jakie to ma znaczenie, Eistao.

–Posłuchaj jeszcze raz. Jeśli ustuzou Kerrick zaplanowało atak, wówczas musiało być w bandzie. Znajdzie się wtedy na którymś ze zdjęć. Czy możemy to sprawdzić?

–Zrozumiałam. Szczegóły na zdjęciach można rozszerzać, powiększać tak bardzo, że mały szczegół urośnie do olbrzymich rozmiarów.

–Słyszałaś, Etdeerg. Dopilnuj, by to zrobiono. Etdeerg potwierdziła gestem polecenie i odeszła szybko. Vaintč znów zwróciła się do Stallan.

–W przyszłości będziemy atakowały inaczej. Musimy przygotować ochronę w nocy. Wymaga to starannego przemyślenia. Nie możemy powtórzyć naszego błędu.

–Będziemy potrzebowały więcej fargi – powiedziała Stallan.

–Ten jeden problem już został rozwiązany. Gdy was nie było, otrzymałam wspaniałą wiadomość, że zakończono wszystkie przygotowania. Inegban* przybędzie do Alpčasaku przed końcem lata. Oba miasta staną się znów jednym, silnym i pełnym organizmem.

–Będziemy miały wszystko, co potrzeba, by znieść ustuzou z powierzchni ziemi.

Akotołp i Stallan, podobnie jak Vaintč, zgodne były, że tak się stanie. Kiedyś źródłem jej siły, jedyną, największą ambicją było pragnienie rządzenia Alpčasakiem. Nienawidziła Malsas<, bo eistaa Inegban* zostanie zamiast niej eistaa Alpčasaku, gdy oba miasta staną się jednym.

Teraz oczekiwała przybycia Malsas<. Pchniecie włącznią, które przyniosło chorobę i ból, odmieniło wszystko. Gdy po raz pierwszy odzyskała mglistą świadomość, wiedziała, co się stało. Kto jej to zrobił. Ustuzou, któremu uratowała życie, które podniosła wysoko, by stało przy niej blisko i które wypełniło jej polecenia. Ten brutalny czyn nie ujdzie płazem. Myśl o Kerricku jedynie umacniała ją w pragnieniu zemsty. Wszystkie Yilanč będą czuły to samo, gdy dowiedzą się o losie fargi wysłanych na północ. Gdy Inegban* przybędzie do Alpčasaku, Yilanč przekonają się, jak bardzo odmienne jest tu życie, o ile mniej w nim spokoju. Gdy zobaczą, że ich

życiu i przyszłości zagrażają ustuzou, poprą ją całkowicie.

Cała moc, wiedza i energia Yilanč połączą się w celu zniszczenia ustuzou. Starcia ich z powierzchni ziemi. Poprowadzenia krucjaty, która zmiecie je i unicestwi.

Krucjata taka może mieć tylko jednego wodza.

Vaintč dostrzegła swe przeznaczenie.

ROZDZIAŁ VIII

Pod wysokimi drzewami powietrze było tak spokojne, że zimna mgła wisiała tam nieruchomo. Chłodną ciszę przerywało tylko kapanie wody z liści, wołanie ptaków. Spod krzaka wyskoczył królik i zaczął skubać gęstą trawę na polanie. Nagle stanął słupka, nastawił uszu, by zniknąć jednym przestraszonym susem.

Ciężkie, powolne stąpanie brzmiało jak dochodzące z dala grzmoty. Słysząc już było skrzypienie skórzanych rzemieni i drewnianych drągów ciągniętych po poszyciu. Przed kolumną mastodontów szli dwaj łowcy. Pojawili się na skraju polany, rozejrzeli z nastawionymi włóczniami. Choć mieli na sobie futrzane okrycia i nogawice, to ich nagie ramiona lśniły od wilgoci. Spod drzew wynurzali się następni łowcy, przecinali polanę. Potem zjawiał się pierwszy mastodont, wielki garbaty byk. Uniósł trąbę i odłamał konar drzewa; nie przerywając marszu, wsunął do pyska kłęb liści i żuł je żarłocznie.

Mastodonta wyłaniały się po kolei z puszczy, tyczki ciągniętych przez nie włóków ryły w miękkiej glinie głębokie koleiny. Między nimi szły kobiety i starsze dzieci, a z tyłu ochraniała je druga grupa łowców. Tanu pokonywali nie kończący się nigdy szlak.

Dopiero wieczorem dotarli do obozowiska na brzegu rzeki. W ciemniejącym zmroku, między drzewami, zaczął padać pierwszy śnieg. Ulfadan spojrział na północ i wciągnął głęboko zimny wiatr.

–Wcześniej – powiedział. – Wcześniej nawet niż w zeszłym roku. Tu, w dolinie, śnieg będzie równie głęboki jak w górach. Musimy o tym dziś pomówić.

Kellimans niechętnie skinął głową. Po wymordowaniu murgu postanowili bez dyskusji wracać do poprzedniego obozowiska. Załadowawszy broń i zapasy murgu, śpieszyli się bardzo, by uciec od brzegu, przestraszeni nagle możliwością zemsty ze strony tych stworzeń. Najłatwiej było podążać po śladach sammadów, co zwalniało również od podejmowania jakichkolwiek decyzji, dopóki nie oddalą się bezpiecznie od wybrzeża. Uległy zmianie ich odwieczne zwyczaje; nie mogli już zimować w górach. Co więc mają robić? Często zadawali sobie to pytanie, nie znajdując na nie odpowiedzi. Teraz musieli podjąć decyzję. Gdy tylko rozstawili namioty i posilili się, otoczyli ognisko i zaczęli naradę.

W przeciwieństwie do osiadłych, zamieszkujących miasta, zbierających plony z pól Yilanč, Tanu byli łowcami. Prowadzili koczownicze życie bez stałych siedzib, ciągle w ruchu. Wędrowali tam, gdzie łowy zapowiadały się najlepiej, gdzie łatwo było o ryby lub gdzie można było znaleźć owoce czy jadalne korzenie. Nie rościli sobie praw do żadnego określonego terenu, bo domem ich była cała ziemia. Nie tworzyli też

większych społeczności na wzór Yilanč. Ich sammady były małymi grupkami osób łączących się dla wspólnej korzyści. Stare kobiety wskazywały młodym dziewczynom, gdzie najłatwiej kopać żywność. Chłopcy uczyli się polować, a łowcy, działając wspólnie, mogli przynieść więcej zwierzyny, niż każdy z nich upolowałby samotnie.

Ich sammadarzy nie byli wydającymi rozkazy wodzami, lecz raczej łowcami, którzy układali najrozsądniejsze plany, znajdowali najwięcej zwierzyny, dbali, by sammad się rozwijał. Nie nosili żadnych odznak swej pozycji i nie wyróżniali się niczym spośród pozostałych. Ich przywództwo wypływało ze stałej zgody innych. Nie mogli wydawać niepopularnych rozkazów. Niezadowolony ze swego sammadara łowca wraz ze swą rodziną głosowałby przeciw niemu nogami, czyli zniknąłby bez śladu w puszczy, by przyłączyć się do innego sammadu.

Teraz należało podjąć decyzję. Po dołożeniu drew do ogniska płomienie wzbiły się wysoko, ukazując zwięższający się krąg łowców. Śmiejąc się i nawołując zajmowali miejsca w pobliżu ognia, zapewniającego ciepło bez dymu. Mieli pełne żołądki, jedzenia wystarczy na zimę, nie ma potrzeby oszczędzać. Mimo to musieli powziąć ważne postanowienia. Gorące spory o to, co należy teraz robić, umilkły, gdy Ulfadan wstał, by zwrócić się do łowców.

–Słyszałem, że wielu chce zimować tutaj, w znanym nam miejscu. Łowy nie są tu dobre, lecz mamy dosyć jedzenia, by doczekać wiosny. Nie o tym jednak należy myśleć. Czy jeśli tu zostaniemy, przeżyją mastodonty? Czy znajdą dość trawy, dość liści na drzewach? Powinniśmy zadać te ważne pytania. Jeśli przetrzymamy zimę, lecz zginą zwierzęta, to i my zginieśmy, nie mogąc dalej wędrować. O tym musimy pomyśleć.

Zaczęli zażartą dyskusję, bo każdemu leżał na sercu los mastodontów. By lepiej ich słyszano, wstawali i zwracali się do wszystkich łowców. Było coraz mniej sprzeciwów. Herilak i Kerrick przysłuchiwali się, lecz sami nie zabierali głosu. Herilak był sacripexem jedynie na czas walki. Teraz, po zwycięstwie, siedział wśród innych. Kerricka zadowalało już to, że dopuszczono go do kręgu i nie musi siedzieć poza nim, z kobietami i dziećmi. Wystarczyło mu, że siedzi i słucha.

Było wiele bezładnej gadaniny, trochę skarg, jeszcze więcej przechwałek. Gdy rozmowy przygasły, Ulfadan zwrócił się o radę do Frakena, co przyjęto z głośnym okrzykiem aprobaty. Bardzo szanowano starca

za pamięć i umiejętność leczenia, był alladjexem, znającym tajemnice życia i śmierci. Może znajdzie jakieś wyjście. Fraken podszedł do samego ognia, ciągnąc za sobą chłopca-bez-imienia. Gdy chłopak dorośnie, a Fraken umrze, przejmie imię po starym człowieku. Teraz nie miał go, bo nadal się uczył. Przykucnął przed Frakenem i pogrzebał w skórzanej torbie. Wyjętą ciemną kulę umieścił ostrożnie na ziemi, blisko

ogniska. Fraken otworzył ją dwoma kijami, w środku ukazały się maleńkie kości myszy. Wypluwały je sowy, dziś miały służyć do przepowiedzenia przyszłości.

–Zima będzie mroźna – zawołał. – Widzę wędrówkę. – Mówił z namaszczeniem, co wywierało wielkie wrażenie na słuchających. Tylko Kerrick nie zwracał na niego uwagi. Każdy powiedziałby to samo bez mysich kostek. Nie podpowiadały rozwiązania. Zrozumiał, że w ten sposób nie dojdą do rozsądnych wniosków. Chyba, że zrobią coś zupełnie nowego i zmienią wszystkie stare zwyczaje. Gdy przemyślał to dobrze, a nikt nie wystąpił z podobnym pomysłem, wstał w końcu z oporem i zaczął mówić.

–Słuchałem wszystkiego, o czym tu mówiono, i słyszałem, jak te same rzeczy walkuje się na różne sposoby. Nie mająca końca zima opanowała góry. Sarny je opuściły, bo pod śniegiem nie mogą znaleźć pożywienia. Jeśli ktoś w to nie wierzy i chce pójść na północ, to chciałbym usłyszeć, jak zamierza się wyżywić.

Nie było na to żadnej odpowiedzi poza okrzykiem zgryźliwego łowcy imieniem Ilgeth, dobrze znanego ze swoich docinków.

–Siadaj. Wiemy o tym wszyscy, bezwłosy. Daj mówić łowcom.

Kerrick wiedział aż za dobrze, że brodę ma rzadką, a włosy nie zakrywają mu jeszcze uszu. Zawstydział się więc i chciał usiąść. Wtedy jednak podniósł się Herilak i stanął przy nim. Dotknięciem dłoni go powstrzymał.

–Ten łowca nazywa się Kerrick, a nie bezwłosy. Ilgeth powinien wiedzieć dużo o braku włosów, bo każdego roku nad oczami ma coraz więcej skóry i coraz mniej czupryny.

Zostało to przyjęte śmiechem, klepano się radośnie po udach, tak iż Ilgeth mógł tylko skrzywić się i umilknąć. Gdy Herilak był sammadarem, często przekonywał innych żartami. Miał jednak i coś poważniejszego do powiedzenia, zaczął więc aż się uciszą.

–Włosy Kerricka przypominają nam, iż to murgu je usunęły, gdy wzięły go do niewoli. Nie wolno nam zapominać, że potrafi z nimi rozmawiać. Mamy pełne brzuchy, bo pokazał nam, jak można zabić murgu. Walczyliśmy tam, gdzie mogliśmy je osiągnąć. To on pokazał nam, gdzie możemy je zaatakować i dzięki niemu wiele spośród nich zabiliśmy. Gdy Kerrick mówi, należy słuchać.

Rozległy się głosy uznania, co zachęciło Kerricka do dalszego mówienia.

–Jesteśmy więc wszyscy tego samego zdania, że nie możemy iść na północ. Ku wschodowi, aż do morza tereny są równie puste, jak i tutaj. Na brzegu mogą nas napaść murgu. Nie ma tam miejsca na przezimowanie. Nie ma go także na zachodzie,

gdzie ziemię są może i dobre, lecz drogę do nich zagradzają Tanu, którzy nas nie przepuszczą. Pytam teraz: czemuż by nie udać się na południe?

Propozycję przyjęto ze zdumieniem. Ktoś zaśmiał się, lecz ucichł, gdy usłyszał, nerwowe chrząknięcie Herilaka. Szanowano go, tak za umiejętność dowodzenia w bitwie jak i za siłę mięśni. Wobec jego niezadowolenia śmiechy urwały się nagle. Następnie wstał Ulfadan i zaczął mówić o marszu na południe.

–Gdy byłem młody, dotarłem do południowego skraju puszczy i wyszedłem na ciągnącą się bez końca trawę. Oto co mam stamtąd – dotknął wiszącego mu na szyi długiego zęba. – Byłem młody i na tyle głupi, by narazić swe życie. Nie ma tam saren, są jedynie walczące i zabijające murgu. Wielkie jak drzewa. Na południu czeka nas jedynie śmierć. Nie odważymy się tam pójść.

Rozległy się znów okrzyki aprobaty. Kerrick poczekał, aż umilkną i nie zrażony mówił dalej.

–Posłuchajcie o murgu, wiele lat żyłem tam, daleko na południu, gdzie śnieg nigdy nie pada i jest zawsze gorąco. W tym ciepłym kraju są murgu zjadające trawę, pasące się w lasach i na bagnach. Choć nie przypominają saren ani innych zwierząt, na które polujemy, to można je jeść, mają smaczne mięso. Wiem o tym, bo jadłem je przez wszystkie te lata.

Nikt się na to nie odezwał. Nawet kobiety przestały ze sobą rozmawiać, a dzieci się uspokoiły. Wszyscy słuchali zaskakującej opowieści Kerricka.

–Ulfadan powiedział wam prawdę. Są wielkie murgu zjadające mniejsze. Widziałem je, jak też wiele innych zadziwiających rzeczy. Lecz to nie ma znaczenia. Liczy się tylko jedno. Jak żyją tam murgu-chodzące-jak-Tanu? Jak sobie radzą wśród tych zabójczych murgu? Żywią się mięsem zwierząt tak jak my. Dlaczego nie giną od murgu wysokich jak drzewa?

Mógł wymienił wiele ważnych powodów, lecz żaden z nich nie miał teraz znaczenia. Liczyła się tylko jedna przyczyna i był zdecydowany mówić wyłącznie o niej.

–Nie giną, bo murgu-chodzące-jak-Tanu zabijają wszystkie zwierzęta, które im zagrażają. Zabijają je tym.

Pochylił się i podniósł hčsotsan leżący obok niego na ziemi, uniósł, go wysoko. Nikt się teraz nie odzywał, wszyscy wpatrywali się w broń.

–To zabije każde zwierzę, choćby największe. Marag, do zabicia którego potrzebowaliście wszystkich swoich włóczni i strzał, padnie od jednej strzałki, która zadraśnie mu skórę.

–Widziałem to – wtrącił się Herilak z powagą w głosie. – Widziałem murgu wynurzające się z morza z tymi śmiercio-kijami, widziałem, jak padł od nich cały mój sammad. Widziałem, jak po trzasku śmiercio-kija runął największy mastodont Kerrick mówi prawdę.

–A teraz mamy ich wiele – powiedział Kerrick. – Ich, a także strzałek. Wiem, jak obchodzić się z tymi stworzeniami i mogę wam pokazać, jak się to robi. Wiem, co robić, by zmusić je do wysyłania strzałek śmierci, i to też mogę wam pokazać. Jeśli ruszycie na południe, czekają nas dobre łowy, dobre pastwiska dla mastodontów. A to – unióśł wysoko broń nad głową, by wszyscy ją zobaczyli – zgotuje murgu śmierć.

Podniosła się wrzawa, wszyscy zaczęli mówić, lecz nic nie zdecydowano. W ciągu dnia Kerrick jadł niewiele, więc gdy zobaczył odchodzącego Herilaka, poszedł za nim. Skierowali się do ogniska, na którym kobiety piekły mięso na zielonych gałązkach. Warzyły też napar z kory. Merrith, kobieta Ulfadana, dostrzegła, jak siadają, i dała im jeść. Choć miała już tylko kilka zębów, była gruba i silna, a młodsze kobiety traktowały ją z szacunkiem.

–Mam nadzieję, że śmiercio-kije posłuchają nas tak jak ciebie, bo inaczej zostawimy na południu nasze kości. – Miała matowy, niemal męski głos. Swobodnie wypowiadała swe myśli.

–Sądziś więc, że wyruszymy na południe? – spytał Herilak niewyraźnie, mając usta pełne mięsa.

–Będą się spierać całą noc, ale na koniec to właśnie postanowią. Za dużo gadają. Pójdziemy na południe, bo nie ma dla nas innej drogi. – Spojrzała na Kerricka z ciekawością. – Jakie są te murgu, które trzymały cię w niewoli? Czy mają duże namioty? Czy używają mastodontów? A może ich włóki ciągną ogromne murgu?

Kerrick uśmiechnął się do wspomnień, potem spróbował wyjaśnić.

–Nie mieszkają w namiotach, lecz hodują specjalne, podobne do namiotów drzewa, w których śpią. Merrith roześmiała się głośno.

–Opowiadasz mi niestworzone rzeczy. Jak można załadować drzewo na mastodonta przy przenoszeniu obozowiska?

Ich rozmowie przysłuchiwały się kobiety siedzące wokół ogniska. Teraz chichotały, usłyszawszy to, co Kerrick powiedział.

–Murgu cały czas przebywają w tym samym miejscu, tak iż nie muszą ciągnąć ze sobą drzew do spania.

–Wiem teraz, że zmyślasz swoje opowieści. Gdyby zostały w jednym

miejscu, upolowałyby i zjadły tam wszystkie zwierzęta. Zerwałyby wszystkie owoce i umarłyby z głodu. Ale zabawnie mówisz!

–Mówi prawdę – powiedział Herilak. – Iak właśnie żyją. Byłem tam i widziałem je, choć nic nie rozumiałem. Nie muszą polować, bo trzymają wszystkie swoje zwierzęta w jednym miejscu, tak iż nie mogą uciec. Zabijają je, kiedy tylko chcą. Czyż tak nie jest? – spytał Kerricka.

Merrith wzruszyła ramionami na takie niedorzeczności i wróciła do ognia. Pozostałe kobiety przysłuchiwały się jednak dziwnej opowieści, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. Prawdziwa czy nie – była interesująca.

–To nie wszystko – powiedział Kerrick. – Dzieje się tam wiele, a różne murgu wykonują różne czynności. Niektóre karczują ziemię i budują płoty, tak iż zwierzęta są bezpieczne i ogrodzone. Są też strażniczki pilnujące samców w okresie rozrodu, by młode rodziły się bez zagrożeń. Inne karmią zwierzęta, a potem, gdy przyjdzie pora, zabijają je. Inne łowią ryby. Wszystko to jest bardzo skomplikowane.

–Samce opiekują się dziećmi? – spytała jedna z kobiet cichym, nosowym głosem. Szturchnęła ją starsza kobieta.

–Uspokój się, Armun.

–To dobre pytanie – powiedział Kerrick, starając się dojrzeć, kto je zadał, lecz Armun odwróciła twarz, zasłaniając ją włosami.

–Murgu składają jaja i samce je wysiadują. Gdy młode wyklują się z jaj, idą do oceanu, by tam żyć. Nie opiekują się dziećmi tak jak my.

–Są wstrętne i należy je wszystkie zabić! – zawołała Merrith z przekonaniem. – Kobiety nie powinny słuchać takich opowieści.

Słuchające kobiety rozeszły się na jej polecenie i obaj mężczyźni dokończyli swój posiłek w milczeniu. Herilak zlizął z palców ostatnie kawałki mięsa i szturchnął Kerricka w ramię.

–Musisz mi więcej opowiedzieć, chcę dowiedzieć się wszystkiego o tych stworach. Nie jestem jak kobiety – wierzę w każde twoje słowo. Byłem jak ty ich jeńcem. Bardzo krótko, ale to wystarczyło. Jeśli poprowadzisz, pójdę za tobą, Kerricku. Łowcy wystarczą silne ręce i szybki łuk. Lecz Tanu potrzebują władzy. Jesteśmy Tanu, bo potrafimy obrabiać kamień i drewno, znamy zwyczaje zwierząt, na które polujemy. Lecz teraz będziemy polować na murgu i tylko ty masz wiedzę, która jest nam niezbędna. Tylko ty możesz nami kierować.

Kerrick nie myślał dotąd w ten sposób, lecz teraz musiał przytaknąć. Wiedza może

być siłą i bronią. Miał wiedzę, którą szanował Herilak. Wielka to pochwała ze strony tak mądrego i silnego łowcy, jak on. Kerrick poczuł dumę. Po raz pierwszy zaczął wierzyć, że nie jest tu zupełnie bez szans.

ROZDZIAŁ IX

Merrith miała rację. Po trwających długo w noc rozmowach łowcy postanowili, choć z wielkimi oporami, że muszą iść na południe, by szukać paszy dla mastodontów. Gdy podjęli tę decyzję, stanęli przed następnym problemem: jak się do tego zabrać?

Herilak wyszedł ze swego namiotu tuż po świcie. Gdy rozpałał ognisko, podeszli doń Ulfadan i Kellimans. Obaj sammadarzy powitali go uprzejmie i siedli obok przy ogniu. Herilak nalał im do drewnianych kubków naparu z kory i czekał, co powiedzą. Za jego plecami wyjrzał z namiotu Ortnar, lecz szybko cofnął głowę.

–Można by po ostatniej nocy sądzić, że mają dość gadania, lecz tak nie jest – powiedział do Kerricka. – Nie widzę w tym żadnego problemu. Zabijać murgu to wszystko, co mamy robić?

Kerrick, drżąc z zimna, usiadł w śpiworze. Szybko włożył przez głowę skórzaną kurtę, potem przeganiał palcami krótkie włosy, ziewnął i przeciągnął się. Przez odsuniętą połę namiotu widział rozmawiających trzech łowców. Myślał tak samo jak Ortnar; mieli już dosyć w nocy.

Nie sposób jednak było uniknąć ostatecznego spotkania. Herilak wstał od ognia, podszedł do namiotu i zawołał go:

–Potrzebujemy ciebie, Kerricku. Dołącz do nas. Kerrick wyszedł, usiadł obok nich przy ognisku i zaczął pić gorący, gorzki wywar. Herilak opowiadał, co postanowiono.

–Sammady pójdą na południe, bo nie mają innego wyjścia. Nie wiedzą jednak, co robić przy spotkaniu z murgu. Jedno jest pewne, musimy zabijać murgu, dlatego niezbędny jest wódz wojenny. Poprosili mnie, bym został sacripexem.

Kerrick skinął na zgodę.

–Tak powinno być. Poprowadziłeś nas do zwycięstwa, kiedyśmy zabijali murgu na plaży.

–Atak to jedno i wiem dobrze, jak nim kierować. Teraz jednak planujemy coś więcej niż atak. Zamierzamy opuścić puszcę i wyruszyć na południe, na łąki, gdzie są tylko murgu. Murgu różnych rodzajów. Musimy je zabijać śmiercio-kijami. Teraz powiem ci prawdę. Mało wiem o murgu, a nic o śmiercio-kijach. Ale ty wiesz wszystko, Kerricku. Dlatego powiedziałem, że to ty musisz zostać sacripexem.

Kerrick nie był w stanie odpowiedzieć. Była to dla niego niespodzianka. Namyslał się długo, nim z wahaniem powiedział:

–To wielkie zaufanie, lecz nie sądzę, bym wiedział dostatecznie dużo, aby zostać sacripexem. Wiem dużo o murgu, lecz mało o polowaniu i zabijaniu. W tym jako dowódca sprawdził się Herilak.

Czekali w milczeniu na dalsze jego słowa. Sammady oczekiwały od niego przywództwa i nie mógł odmówić. Ortnar usłyszał rozmowę, wyszedł z namiotu i dołączył do czekających łowców. Chcieli, by nimi kierował, lecz nie miał na to odwagi. Co ma robić? Co w takiej sytuacji zrobiłyby Yilanč? Gdy tylko zadał sobie to pytanie, zaczęła mu świtać odpowiedź.

–Posłuchajcie, jak jest z tym u murgu – powiedział. – Mają w swych miastach sammadara, przewodzącego we wszystkim. Poniżej jego jest sammadar łowców, inni sammadarzy do różnych zajęć w mieście. Dlaczego nie mielibyśmy urządzić tego podobnie? Sacripexem będzie Herilak, jak pragnęliście. Ja będę mu służył, doradzał w sprawach dotyczących murgu. Ale to on będzie decydował, co należy robić.

–Musimy się nad tym zastanowić – powiedział Ulfadan. – To coś nowego.

–Wszystko teraz jest nowe – stwierdził Kellimans. – Zrobimy tak, jak powiedział Kerrick.

–Tak zrobimy – oznajmił Herilak – ale to ja będę służył. Kerrick będzie mówił nam o murgu, tłumaczył, co trzeba zrobić, by na nie polować i jak je zabijać. Zostanie margalusem, doradcą-od-murgu.

Ulfadan skinął potwierdzająco i wstał.

–Tak musi być.

–Zgadza się – powiedział Kellimans. – Powiadomimy łowców z sammadów i jeśli wszyscy się zgodzą, wyruszymy na południe, kiedy powie nam to margalus.

Gdy odeszli, Herilak zwrócił się do Kerricka:

–Co należy zrobić najpierw, margalusie?

Kerrick szarpał kosmyki swej rzadkiej brody, podczas gdy obaj łowcy czekali. Odpowiedź na to była łatwa, miał nadzieję, że równie proste do rozwiązania okażą się wszystkie inne problemy.

–Aby zabijać murgu, musicie się nauczyć posługiwać śmiercio-kijami. Zrobimy to teraz.

Herilak i Ortnar byli jak zwykle uzbrojeni we włócznie i łuki, lecz Kerrick odłożył swoją broń, biorąc w zamian hčsotsan i zapas strzałek. Poprowadził ich w górę rzeki,

z dala od namiotów, na otwartą przestrzeń nad wodą. Między głazami, zostawionymi tu przez wezbrane wiosenne wody, tkwił pień zwalonego drzewa.

–Będziemy strzelać do tego – powiedział Kerrick. – Jeśli ktoś się zbliży, to go zauważymy. W tych strzałkach tkwi śmierć, a nie chcę, by ktoś zginął.

Łowcy odłożyli na bok swe włócznie i łuki. Gdy Kerrick wyciągnął do nich hčsotsan, podeszli niechętnie.

–Teraz niczym nie grozi, bo nie włożyłem jeszcze strzałek do stworzenia. Najpierw pokażę wam, jak je karmić i opiekować się nim. Potem włożymy strzałki i użyjemy drzewa za cel.

Łowcy mieli wprawę w używaniu narzędzi i szybko przestali traktować nową broń jako żywą istotę. Gdy Kerrick strzelił po raz pierwszy, podskoczyli od ostrego trzasku wybuchu, by zaraz podbiec do drzewa i zobaczyć wbitą w nie strzałkę.

–Czy to strzela równie daleko jak łuk? – spytał Herilak. Kerrick zastanowił się i zaprzeczył ruchem głowy.

–Nie sędzę, lecz to nieważne. Jeśli napadną na nas murgu, nie będziemy musieli zabijać z daleka. Po trafieniu strzałką trucizna działa niemal natychmiast. Zwierzę pada, potem sztywnieje i zdycha. Musicie się teraz nauczyć używać śmiercio-kijów.

Gdy wręczał broń Herilakowi, zobaczył ruch na niebie. Ptak, wielki ptak.

–Weźcie szybko łuki – powiedział. – Tam jest ptak mówiący do murgu. Nie może powrócić. Trzeba go zabić.

Łowcy nie dyskutowali nad jego rozkazami, lecz chwycili za łuki i nałożyli strzały czekając, aż ptak się obniży. Gdy spłynął ku nim na szeroko rozłożonych skrzydłach, cięciwy świsnęły jednocześnie. Strzały pomknęły w górę, dobrze wycelowane, obie wbiły się w ciało drapieżcy. Ten skrzeknął raz i spadł z nieba, waląc się do rzeki.

–Nie pozwólcie mu przepaść – krzyknął Kerrick.

Zatrzymał się, by ostrożnie odłożyć na ziemię hčsotsan, i nie zdążył jeszcze się wyprostować, gdy obaj łowcy skoczyli do wody. Ortnar dobrze pływał i pierwszy dosięgnął martwego ptaka, złapał go za skrzydło i pociągnął na brzeg. Drapieżca był jednak za duży i Ortnar musiał poczekać na Herilaka, który pomógł mu wyciągnąć zdobycz. Obaj wynurzyli się z rzeki w mokrych, ociekających wodą futrach, wlokąc za sobą ogromnego ptaka. Rzucili go na piasek.

–Patrzcie – wskazał Kerrick – na jego nodze, ta czarna istota.

Ptaka był martwy, lecz zwierzę żyło. Zaciskało kleszcze wokół nogi drapieżcy. Było niekształtne, poza wybrzuszeniem z boku. Herilak przykucnął, by lepiej się mu przyjrzeć – i odskoczył, gdy otwarło się oko, spojrzało nań i powoli zamknęło. Chwycił za włóczę, lecz Kerrick go powstrzymał.

–Na to będziemy mieli mnóstwo czasu. Wpierw musimy pokazać łowcom oko, które nas obserwowało, i ptaka, który je nosił. To to stworzenie mówi murgu, gdzie jesteście. Jeśli łowcy je zobaczą, to poznają drapieżcę w przyszłości. Gdy tylko się pokaże, musi być zabity. Jeśli murgu nie będą wiedziały, gdzie jesteście, to nie zdołają na nas napaść.

–Masz rację, margalusie – powiedział z szacunkiem Herilak. – Znasz się na tych stworzeniach.

Herilak przywykł do tego tytułu łatwo i używał go szczerze. Wymawiał go tak naturalnie, że Kerrick nagle poczuł się dumny. Może nie potrafi polować tak jak oni, jego strzały zwykle mijały cel, lecz znał się na murgu, a oni nie. Jeśli nie będzie szanowany za biegłość łowiecką, to choć w tym ich przewyższy. Wzięli ptaka do obozu.

Drapieżnik budził podziw, nigdy nie widziano tak wielkiego ptaka. Rozciągnięto mu skrzydła i mierzono ich długość. Łowcy chwalili celność strzał; obie trafiły w pierś stworzenia. Cisnęły się także dzieci, próbując wszystkiego dotknąć, lecz zostały odegnane. Jedna z kobiet nachyliła się i dotknęła czarnej istoty na nodze ptaka – wrzasnęła, gdy otworzyło się na nią oko. Wszyscy chcieli to zobaczyć, przepychali się. Herilak wyjął obie strzały i gdy odeszli, zwrócił jedną Ortnarowi.

–Naucz nas teraz strzelać ze śmiercio-kijów tak jak z łuków – powiedział.

Wieczorem obaj łowcy równie pewnie jak Kerrick obchodzili się z bronią. Ortnar nakarmił stworzenie kawałkiem suszonego mięsa i potarł je, by zamknęło gębę.

–Nigdy nie zabijemy tym sarny na polowaniu – powiedział. – Trudno się celuje, a strzałki lecą blisko.

–Możemy łatwo zabijać sarny włóczęnią czy z łuku – powiedział Herilak. – To przyda nam się na murgu, gdy ruszymy na południe.

–Nim do tego dojdzie, chciałbym, by wszyscy łowcy nauczyli się z tym obchodzić – powiedział Kerrick. – Dopiero wtedy wyruszymy.

Gdy umyli się w rzece, zapach gotowanego mięsa ściągnął ich do namiotów. Noc była jasna, nad migoczącymi ogniskami wyraźnie świeciły gwiazdy. Merrith podała im mięso, był tam również alladjex Fraken. Starzec chodził co noc do innego ogniska, gdzie ludzie zadawali pytania, na które tylko on potrafił odpowiedzieć. Patrzył teraz

podejrzliwie na Kerricka, który miał nie znaną mu wiedzę. Herilak dojrzał to spojrzenie i odwrócił uwagę alladjexa.

–Śniło mi się ostatniej nocy, że z innymi polowałem na mastodonta

–powiedział. Fraken słuchał go kiwając głową i popijając gorący napar.

–Jak to możliwe? Tylko raz upolowałem mastodonta, a byłem wtedy bardzo młody.

–Tym razem to nie ty polowałeś – wyjaśnił stary człowiek. – To był twój tharm.

Wokół ogniska zapadło milczenie, wszyscy słuchali z szacunkiem.

–Gdy umieramy, tharm opuszcza nasze ciało. Może do tego dojść również w czasie snu. Opuścił cię tharm i dołączył do łowców, oto co się stało. To dlatego nie należy budzić łowcy z głębokiego snu, bo jego tharm może być daleko i gdy obudzimy łowcę, ten umrze, bo tharm nie wróci do jego ciała. Jeśli zmarły łowca dobrze polował, wówczas jego tharm połączy się z innymi wśród gwiazd.

Obniżył głos, mówił teraz chrapliwie i zgrzytliwie.

–Strzeżcie się jednak łowcy, który wywołuje kłopoty i prowadzi złe życie, bo i tacy bywają. Gdy on umiera, jego tharm pozostaje w pobliżu, szkodząc innym. Inaczej jest z silnym łowcą. Jego tharm znajdzie się w gwiazdach, widoczny dla wszystkich. Tharm silnego łowcy powraca do snów innych i ostrzega ich przed niebezpieczeństwami.

Kerrick słuchał w milczeniu. Przypomnił sobie teraz, że stary Ogatyr opowiadał podobne historie. Był wtedy chłopcem, pamiętał, jak przed snem kulił się ze strachu, bał się, że w pobliżu jest czyjś tharm. Teraz były to dla niego jedynie malownicze opowieści. Yilanč Śmiałyby się, słysząc o tharmach i gwiazdach. Dla nich śmierć była jedynie końcem życia, nie tkwiła w tym żadna tajemnica. Wiedziały, że gwiazdy są tak dalekie, iż nie mogą w żaden sposób wpływać na wydarzenia na Ziemi. Pamiętał, co Zhekak opowiadała mu o gwiazdach, jakie są gorące, o zimnym Księżycu, planetach bardzo przypominających Ziemię. Tamto było prawdą; to tutaj wynikało z niewiedzy. Gdy jednak patrzył na twarze słuchających, dostrzegał jedynie szacunek i wiarę. Stwierdził, że ani czas, ani miejsce na próbę przeciwstawienia im swojej wiedzy.

Gdy Fraken odszedł do innego ogniska, wielu pociągnęło za nim. Tu zostało tylko kilku łowców garnących się do ciepła i rozmawiających. Żaden z nich nie zauważył dziewczyny, która dołączyła do nich z wielkim naręczem piór. Nazywała się Farlan. Kerrickowi przypomniało się, że jest najstarszą córką Kellimansa. Była wysoka i silna, gęste włosy opadały jej warkoczami na plecy. Gdy przechodząc musnęła go, dotknęła swym ciałem, Kerrick poczuł dziwny niepokój. Obeszła wokół ognisko i usiadła obok Ortnara.

–To pióra wielkiego ptaka, którego zabiłeś – powiedziała. Ortnar potwierdził to skinieniem, niemal na nią nie patrząc.

–Można je przyszyć do twego ubrania, by inni poznali twą biegłość w strzelaniu. – Zawahała się na moment – Mogę to dla ciebie zrobić.

Ortnar zastanawiał się dłuższą chwilę, po czym najwidoczniej się zgodził.

–Pokażę ci ubranie. – Zniknął w ciemnościach, a ona za nim.

Łowcy zdawali się nie zwracać na to uwagi – jednak jeden z nich uniósł wzrok i dostrzegł spojrzenie Kerricka; uśmiechnął się i mrugnął. Gdy para zniknęła im z oczu, łowcy zaczęli szeptać, jeden roześmiał się głośno.

Coś się stało, coś ważnego. Kerrick wiedział o tym, lecz nikt go nie mógł objaśnić. Sam też zachowywał milczenie, zbyt się wstydził własnej niewiedzy, by zapytać.

Gdy wrócił do namiotu, Ortnara w nim nie było. Dopiero rano zauważył, że zniknęły też wszystkie rzeczy łowcy.

–Gdzie jest Ortnar? – zapytał.

–Śpi w innym namiocie – wyjaśnił mu Herilak. Widać było, że nie chce powiedzieć nic więcej.

Kerrick pojął, że w życiu Tanu, tak jak u Yilanč, są rzeczy, które się robi, ale o których się nie mówi. Był Tanu, powinien o tym wiedzieć. Tylko jak je poznać; nie wiedział, jak się do tego zabrać.

W zamieszaniu przy zwijaniu obozowiska zapomniał o dziwnym zachowaniu Ortnara.

Wyruszyli na południe, w nieznane.

ROZDZIAŁ X

Ulfadan, znający dobrze te tereny, prowadził wytrwale karawanę przez puszcę na południe. Dopiero gdy drzewa zaczęły rzednąć i widać było za nimi puste łąki, nakazał postój i pobiegł z tą wiadomością do Kerricka.

–Przed nami otwarty kraj. Zatrzymaliśmy się, jak nam kazaleś, margalusie.

–Dobrze – powiedział Kerrick. – Rozważyłem z Herilakiem, co robić, gdy wyjdziemy na równinę i spotkamy murgu. Jeśli będziemy szli jak zawsze, czyli w jednej kolumnie, w każdej chwili może nas spotkać atak na nie osłonięte boki. W puszczy mastodonty muszą iść gęsiego, bo między drzewami wiedzie wąski szlak. Tu jednak nie ma drzew i możemy poruszać się inaczej. Oto co postanowiliśmy.

Łowcy podeszli blisko i przyglądali się kołu na ziemi, które narysował kijem pochylony Kerrick.

–Tak będziemy szli – powiedział. – Mastodonty pójną w jednej grupie obok siebie. Herilak będzie je poprzedzał z grupą łowców, bo jest sacripexem i dowodzi nami w każdej walce z murgu. Atak może jednak nastąpić i z boków – czy nawet z tyłu – dlatego musimy być cały czas czujni. Ty, Kellimansie, pójdiesz z łowcami swego sammadu po lewej stronie. Ulfadan po prawej. Ja z innymi łowcami będę ciągnął z tyłu. Wszyscy będziemy uzbrojeni w śmiercio-kije, łuki i włócznie. W ten sposób, mając łowców ze wszystkich stron, zdołamy obronić znajdujące się w środku sammady...

Przerwał mu ostrzegawczy krzyk jednego z chłopców, którzy patrolowali las wokół zgrupowania. Łowcy zwrócili się w tę stronę z przygotowaną bronią. Wśród drzew pojawił się obcy łowca. Stał nieruchomo, patrząc na nich. Pochodził z któregoś sammadu spoza gór; poznali to po nagolennikach z brzozonej kory, które miał pod kolanami. Herilak wyszedł mu na spotkanie. Gdy się zbliżył, łowca pochylił się i położył włócznie na ziemi. Herilak zrobił to samo, a wtedy łowca coś do niego zawołał. Herilak potrząsnął głową, potem odwrócił się i krzyknął do pozostałych.

–Niewiele rozumiem, co mówi.

–Newasfar z nim się porozumie – powiedział Ulfadan. – Polował za górami i zna ich mowę.

Newasfar zostawił swoją włócznie i podszedł do obcego. Wszyscy go obserwowali; po krótkiej wymianie zdań wrócił, by im przetłumaczyć.

–To sammadar imieniem Har-Havola. Mówi, że ich mastodonty zdechły od mrozów w zimie i musieli je zjeść, by przeżyć. Teraz nie mają już jedzenia i umrą, gdy spadną

śniegi. Słyszał, że mamy tu wiele żywności, i prosi o pomoc.

–Nie – powiedział Herilak. Inni łowcy kiwnęli potwierdzająco. Har-Havola cofnął się, bo znał to słowo. Rozejrzał się po kamiennych twarzach i zaczął szybko coś mówić. Po chwili pojął, że to nic nie da. Schylił się, podniósł włócznię i właśnie się odwracał, gdy Kerrick zawołał:

–Zaczekaj! Newasfarze, powiedz mu, żeby nie odchodził. Spytaj go, ilu łowców liczy jego sammad.

–Nie mamy zbędnego jedzenia – stwierdził Herilak. – Musimy ruszać.

–Mówię teraz jako margalus. Słuchajcie, co chcę powiedzieć. – Herilak uznał jego prawa i zamilkł. – Mamy teraz więcej jedzenia, niż potrzebujemy. Mięso z łowów i zdobyczne mięso murgu. Gdy wyjdziemy na łąki, będziemy mieli go jeszcze więcej po udanych polowaniach. Lecz natrafimy tam także na murgu, z którymi będziemy musieli walczyć. Gdy nas napadną, będziemy tym silniejsi, im więcej łowców będzie w naszych szeregach. Niech się do nas przyłączą, byśmy wykorzystali ich włócznie.

Herilak zastanowił się nad tym, potem skinął na zgodę.

–Margalus powiedział prawdę. Będziemy teraz potrzebować wielu łowców, bo część z nas musi czuwać w nocy. Myślę tak samo – niech idą z nami. Pogadaj z nim, Newasfarze. Powiedz mu, co zamierzamy i co nam grozi. Powiedz mu, że jeśli z łowcami stanie u naszego boku, to wszyscy z jego sammadu dostaną jeść.

Har-Havola, gdy to usłyszał, wyprostował się i walnął w pierś. Newasfar nie musiał tłumaczyć jego słów. Tanu spoza gór są wielkimi łowcami i wojownikami. Pójdą.

Potem odwrócił się ku drzewom i dał znak. Z lasu wynurzyła się grupka przestraszonych kobiet, ciągnąc za sobą dzieci. Za nimi szli łowcy. Wszyscy byli wycieńczeni i nie wzdragali się przed posiłkiem. Gdy już zjedli, karawana ruszyła i powoli wyszła na równinę.

Gdy zaczęto łączyć mastodonty w grupę, Herilak zwrócił się do sammadarów:

–Teraz, gdy mamy więcej łowców, jesteśmy bezpieczniejsi. Kerrick może do mnie dołączyć, bo jest margalusem. Har-Havola ze swymi łowcami będzie szedł z tyłu, bo z tej strony najmniej nam grozi, a oni nie mają śmiercio-kijów. Ruszamy, gdy tylko łowcy się ustawią.

Trawiasta równina sięgała po horyzont falistymi, niskimi pagórkami. Gdziekolwiek rosły kępy drzew, lecz większość terenu pokrywała trawa. Zobaczyli stado zwierząt, zbyt daleko, by je poznać, wkrótce zniknęły

im z oczu. Nie było poza tym żadnego ruchu, panował zwodniczy spokój. Ulfadan nie dał się oszukać, dotknął zwieszającego mu się z szyi wielkiego zęba i rozejrzał się uważnie. Wszyscy łowcy trzymali w pogotowiu swą broń, wiedzieli, że są tu obcy. Nawet mastodonty zdawały się wyczuwać napięcie, trąbiły i kołysały wielkimi łbami.

Daleko przed sobą zobaczyli ciemne plamki wynurzające się z cienistej doliny. Poruszały się szybko i wkrótce dobiegł tętent zwierzęcych nóg, narastał coraz bardziej, niepokojąco zbliżał się do Tanu. Na znak Herilaka zatrzymano mastodonty, łowcy prędko wysunęli się przed nie, tworząc linie obronną pomiędzy nieznanym niebezpieczeństwem a sammadami. Stado było już dobrze widoczne, tworzyły je nieznanne zwierzęta o długich szyjach i nogach. Gdy zobaczyły Tanu, przewodnicy stada zbczyli i przebiegło ono przed linią obronną, wzbijając kłęby pyłu. Zza niego zaatakowały murgu.

Było ich kilka, wielkich i słabo widocznych w pyle. Ścigały uciekające stado. Pojawiły się nagle. Najbliższy marag ujrzał mastodonty, ryknął głośno, skręcił i zaatakował.

Broń Kerricka była przygotowana, strzelał do szarżującej sylwetki raz po raz. Zwierzę uniosło się rycząc i padło przed łowcami na trawę, porażone trucizną. Było tak blisko, że wybałuszone oko znalazło się tuż przed Kerrickiem, zdawało się mu przyglądać. Marag kopnął w agoni szponiastą nogą, otworzył szeroko pysk, ryknął urywanie i zdechł. Jego cuchnący oddech dosięgnął jeszcze łowców.

Mastodonty trąbiły ze strachu, stawały dęba, grożąc zgniceniem włóków i stojących blisko Tanu. Część łowców pobiegła, by je uspokoić, a reszta pozostała, wypatrując z nastawioną bronią kolejnego ataku.

Niebezpieczeństwo już jednak minęło. Ścigane przez ogromne drapieżniki stado nieznanych zwierząt zniknęło w dali. Kerrick podszedł na drżących nogach do zabitego przez siebie potwora. Leżał nieruchomo, góra martwego ciała wielkości mastodonta. Była to bestia stworzona do zabijania, z potężnymi tylnymi łapami i szczękami pełnymi ostrych zębów.

–Czy mięso tego stwora jest jadalne? – spytał Kerricka jeden z łowców.

–Nie wiem. Nigdy dotąd nie widziałem. Ale to mięsożerca, a murgu jedzą tylko mięso zwierząt żrących trawę i liście.

–Ruszajmy – rozkazał Herilak. – Zostawmy tego potwora.

Tanu jedli mięso drapieżników tylko podczas głodu; miało ostry, niedobry smak i dlatego go nie lubili. Mieli teraz dość jedzenia i nie było potrzeby kroić tego olbrzymiego cielska. Ruszyli szybko, spłoszone mastodonty trąbiły ze strachu, gdy mijaly martwe zwierzę. Zarówno ludzie, jak i zwierzęta pragnęli jak najszybciej

opuścić to miejsce.

Równina tętniła życiem. Krążyły nad nią ciemne stworzenia, które na pewno nie były ptakami. W płytkim jeziorze brodziły wielkie stwory, przezornie obeszl je wielkim łukiem. W wysokiej trawie umykały przed nimi ledwo widoczne niniejsze murgu. Szli czujni z przygotowaną bronią, ale na szczęście nic na nich nie napadło. Tak bez dalszych spotkań, minął im dzień. Gdy cienie zaczęły się wydłużać, zatrzymali się, by napoić zwierzęta w strumieniu. Herilak wskazał na pobliskie niskie wzgórze, zwieńczone kępą drzew.

–Zatrzymamy się tam na noc. Drzewa nas osłonią, a woda jest blisko. Kerrick spojrzął z niepokojem na gaj.

–Nie wiemy, co może się tam kryć – powiedział. – Czy nie lepiej zostać tu, na równinie, gdzie widać wszystko, co się zbliża?

–Wiemy już, że w dzień ta równina pełna jest murgu – nie wiemy jednak, co porusza się po niej w ciemnościach. Drzewa będą naszym schronieniem.

Podeszli ostrożnie, lecz drzewa nie kryły żadnego niebezpieczeństwa. Małe murgu uciekły przed nimi z uniesionymi ogonami. Rozległ się trzepot skrzydeł i wrzask ptaków, które spłoszone przerwały objadanie owoców na koronach drzew. Poza nimi zagajnik był pusty. To będzie odpowiednie miejsce postoju.

Mastodonty uspokoiły się natychmiast, gdy tylko zdjęto im jarzma, i zaczęły skubać wysoką trawę. Chłopcy przynieśli ogień, przechowywany w wytępianych gliną koszykach. Wkrótce stanęły namioty. Po zapadnięciu ciemności wokół obozu krążyli strażnicy; mieli się zmienić podczas nocy.

–Zrobiliśmy wszystko co można – powiedział Herilak. – Przeżyliśmy nasz pierwszy dzień.

–Może przeżyjemy i noc – Kerrick rozglądał się niespokojnie. – Mam nadzieję, że nie popełniliśmy błędu nocując tutaj.

–Za dużo się przejmujesz tym, czego nie można już zmienić. Decyzje zapadły. Nie ma dla nas innej drogi.

„Herilak ma rację – pomyślał Kerrick – za dużo się martwię”. On jednak był już sammadarem i sacripexem, miał doświadczenie w przewodzeniu innym. Dla młodego człowieka było to ciągle coś nowego.

Po posiłku szybko zasnął i nie ruszył się, dopóki Herilak nie dotknął jego ramienia. Noc była bardzo ciemna, na zachodzie zniknęły już gwiazdy Łowcy, a wkrótce pójdzie w jego ślady Mastodont; zbliżał się świt

–Nic nie podeszło do nas w nocy – powiedział Herilak – choć na łąkach jest mnóstwo zwierzyny. Może nie podoba się im nasz zapach?

Pod drzewami poruszały się cienie innych łowców – zmieniano straże. Kerrick stanął na szczycie wzgórza i spojrzął na ciemniejszy od tła zarys potoku.

–Widzieliśmy brodzące w nim zwierzęta – powiedział Herilak – nie sposób jednak stwierdzić, co to było.

–To nieważne, dopóki zostawią nas w spokoju. Patrzyli w milczeniu, aż na wschodzie niebo rozjaśniło się nadchodzącym świtem.

–Minął dzień i noc, a my nadal żyjemy – powiedział Herilak. – Mówi się, że gdy wędrówka dobrze się zacznie, to i dobrze się skończy. Może się to teraz sprawdzi.

ROZDZIAŁ XI

Po posiłku podjęto powolny marsz; przez wiele dni w spokoju posuwali się na południe. Łowcy nadal strzegli skrzydeł samradów w czasie marszu i wystawiali nocą warty, lecz szli już z mniejszym napięciem, zasypiali bez obaw. Równina obfitowała w zwierzęta, lecz były to w większości murgu roślinożerne, które trzymały się z dala od samradów i mastodontów. Były także drapieżniki, największe zwierzęta próbowały ich atakować. Łowcy zabijali te, które podeszły najbliżej, inne, widząc to, odchodziły. Tanu wiedzieli, że zginęliby wkrótce, gdyby nie zdobyta przez nich broń. Dzięki niej sammady wchodziły w równinę coraz głębiej i głębiej.

Wybrali szlak omijający z dala mokradła nad rzeką i ogromne stworzenia, które tam żyły. Unikali też, jeśli tylko mogli, gęstych puszczy, bo mastodonta musiały je pokonywać gęsiego, co znacznie utrudniało ochronę kolumny.

Pomimo czyhających niebezpieczeństw łowcy oczekiwali z radością każdego nowego ranka i tego, co z sobą przyniesie. Co wieczór rozmawiali do późna przy ogniskach o wszystkim, co zdarzyło się w ciągu dnia. Świat wokół stanowił nieodłączną część ich życia. Dotychczas znali każde zwierzę w lesie, każdego ptaka na drzewie, znali ich zwyczaje, wiedzieli, jak je upolować.

Teraz odkrywali zupełnie nowy świat. Minęli już pas pogranicza, gdzie występowało trochę saren i innych znanych im zwierząt, jak też wiele rodzajów murgu. Nie zauważyli nawet, kiedy uległo to całkowitej zmianie i zniknęły stworzenia, na które polowali i które znali dobrze. Znajomo wyglądały jedynie niektóre ptaki, nie różniły się też ryby w rzece. Gorzej było z murgu. Pojawiło się ich tyle rodzajów, że nie można już było określać ich tą jedną nazwą. Pod nogami, w trawie, kryły się małe jaszczurki i węże, a na polanach pasły się zwierzęta wszystkich wielkości i barw. Łowcy zachowywali szczególną ostrożność przy omijaniu większych stad, bo często ciągnęły za nimi grupki żarłocznych drapieżników.

Pewnego razu zobaczyli padlinożerne ptaki, równie wielkie jak drapieżnik, który ich kiedyś obserwował. Siedziały szarpiąc ciało wielkiego bezimiennego zwierzęcia. Poruszały się niezgrabnie, miały ciemnoczerwone upierzenie i bardzo długie ogony. Gdy łowcy je mijali, podskakiwały na długich nogach i syczały, gniewnie otwierając dzioby. Pożeranie padliny nie sprawiało im trudności, dzioby wypełnione były ostrymi zębami.

Kraina była bogata, obfita w zwierzynę, która padałaby setkami od strzał, gdyby był czas na łowy. Pogoda stała się niewiarygodna. Gdy wyruszali z północy, liście zaczęły opadać z drzew, a nocami pojawiał się szron. Teraz jakby kolejność pór roku uległa odwróceniu, wracali do lata. Nawet w nocy nie było chłodno; w dzień zdejmowali swe skórzane stroje i maszerowali półnago, tak jak w lecie.

Pewnego razu dotarli do miejsca, w którym duża rzeka, wzdłuż której szli, łączyła się z jeszcze większą. Mimo iż ledwo minęło południe, Herilak wstrzymał marsz i poprosił do siebie Kerricka z sammadarami.

–To dobre miejsce na obóz. Jest tu strome zejście do rzeki, tak iż możemy poić zwierzęta. W nocy łatwo będzie się bronić. Mastodonty mają pastwisko, starczy też drewna na ogniska.

–Jest jeszcze wcześniej – powiedział Ulfadan. – Po co się zatrzymywać?

–Dlatego właśnie was zawołałem. Gdy zaczynaliśmy marsz, postanowiliśmy jedynie iść na południe. Teraz dotarliśmy już w ciepłe strony. Nadszedł więc czas, aby zdecydować, gdzie rozbijemy obóz zimowy. Musimy o tym pomyśleć,

–Minęliśmy dziś wielkie stado kaczkodziobych murgu – powiedział Kellimans. – Bardzo chciałbym ich spróbować.

–Swędzi mnie ręka trzymająca włócznię – dodał Ulfadan, wpatrując się w dal za rzeką. – Nie polowaliśmy od wielu dni.

–Mówię więc, zatrzymajmy się tutaj – Herilak rozejrzał się wokół, a łowcy przytaknęli na zgodę.

–Obawiam się murgu-chodzących-jak-ludzie – powiedział Kerrick. – Nie możemy nigdy o nich zapominać.

–Nie widzieliśmy żadnego z ich wielkich ptaków – prychnął Ulfadan. – Nie mogą wiedzieć, gdzie jesteśmy.

–Nigdy nie możemy być pewni, co one wiedzą, a czego nie. Podeszły i wybiły sammad Amahasta, gdy jeszcze nie miały ptaków. Gdziekolwiek jesteśmy, cokolwiek robimy, nigdy nie możemy o nich zapominać.

–Co więc uważasz, margalusie? – zapytał Herilak.

–Jesteście łowcami. Zostaniemy tu, jeśli tego pragniecie. Musimy jednak wystawić warty, w dzień i noc, by obserwowały rzekę i ostrzegły nas w przypadku ataku. Widzicie, jak się ona rozszerza? Niedaleko na południe stąd musi wpadać do oceanu. Ocean i rzeka przywiodą murgu, jeśli dowiedzą się, gdzie obozujemy.

–Margalus ma rację – powiedział Herilak. – Przez cały pobyt tutaj będziemy wystawiać strażę.

Ulfadam spojrział na nagi brzeg, skrzywił się.

–Dotychczas zawsze obozowaliśmy wśród drzew. Tu jest zbyt otwarty teren.

Kerrick przypomniał sobie miasto Alpčasak. Również leżało nad rzeką, lecz było dobrze strzeżone.

–Jest coś, co robią murgu. Sadzą mocne drzewa i cierniste krzaki, które chronią ich obozowisko. Nie możemy sadzić drzew, lecz powinniśmy wyciąć cierniste krzewy i ułożyć je w wał obronny. Powstrzyma on drobne zwierzęta, a duże, które się przez niego przedrą, zabijemy.

–Nigdy tego nie robiliśmy – sprzeciwił się Kellimans.

–Nigdy nie zaszliśmy tak daleko na południe – odparł Herilak. – Zrobimy tak, jak powiedział nam margalus.

Choć początkowo zamierzali się zatrzymać tylko na jedną, dwie noce, to nie wyruszyli, mimo że mijały kolejne dni. W rzece były ryby, łowy udawały się znakomicie. Kaczkodzioby były tak liczne, że często nie widać było drugiego końca ich stada. Były bardzo szybkie, ale i bezmyślne. Umykały, jeśli dostrzegły grupę łowców. Nietrudno było spowodować ich ucieczkę tam, gdzie w zasadzce czekali z gotowymi włóczniami i łukami inni łowcy. Te stworzenia były nie tylko szybkie i bezmyślne, ale stanowiły też bardzo smaczne jedzenie.

Bogate łowiska, dobre pastwiska dla mastodontów podobały się wszystkim. Było to dobre miejsce na obóz zimowy, choć ciepłe dni kojarzyły im się raczej z inną porą roku. Ale dni stawały się coraz krótsze, a na nocnym niebie stałe zmieniały się grupy gwiazd. Ciernisty wał ciągle się poszerzał i bez dyskusji okazało się, że zostaną tu, u zbiegu dwóch rzek.

Kobiety były zadowolone tak jak łowcy, cieszyły się z zakończenia długiej wędrówki. Codzienny marsz, rozładunek, gotowanie, ładowanie i znów marsz nie zostawiały czasu na inne zajęcia. Teraz wszystko zmieniło się na lepsze, namioty stały mocno, rzeczy były rozłożone. Jedzenie urozmaicały korzenie, jak też żółtobrazowe bulwy, których nigdy dotąd nie widziały. Okazało się, że po upieczeniu w popiele są delikatne i słodkie.

Początkowo trzymali się z dala od sammadu Har-Havoli, bo tamci mówili innym językiem i wiedziano, że są obcy. Kobiety wszystkich sammadów spotykały się jednak przy poszukiwaniu żywności i przekonały się, że mogą się porozumieć, bo język nowych przypominał marbak. Dzieci na początku biły się, szydząc z nieudolności językowej, dopóki obcy nie nauczyli się marbaku. Odtąd zapomniano o różnicach. Zadowolone były nawet samotne kobiety, bo teraz spoglądało na nie więcej młodych łowców. Nigdy dotąd nie było tak wielkiego obozu zimowego. Zebrane razem trzy sammady czyniły życie ruchliwym i ciekawym.

Nawet Armun miała teraz spokój, znalazła swe miejsce wśród mnóstwa kobiet. Dopiero od trzech zim przebywała w sammadzie Ulfadana. Każda z nich była ciężka. Z rodzinnego sammadu wygnał ją głód tak wielki, że matka, Shesil, nie przeżyła pierwszej zimy w nowym sammadzie. Potem na łowach zginął ojciec; nie miał się nią kto opiekować. Z sieroty śmiali się rówieśnicy, dokuczali jej. Gdy Brond, jej ojciec, nie wrócił z polowania, nie miał się za nią kto ująć. Ponieważ była silna i pracowita, Merrith, kobieta sammadara, pozwalała jej jeść przy swoim ognisku, lecz nie próbowała nawet bronić przed stałymi zaczepkami. Gdy była zła, przyłączała się nawet do nich, wołając tak jak inni „wiewiórcza gęba”.

Armun znała to przezwisko od urodzenia. Jej matka, Shesil, zawsze winiła za to siebie, bo kiedyś, w czasie wielkiego głodu, zabiła i zjadła wiewiórkę, choć wszyscy wiedzieli, że kobietom nie wolno polować. Z tego powodu jej córka urodziła się z przednimi zębami jak wiewiórka, miała też rozszczepioną górną wargę i podniebienie. Dlatego nie jadła dobrze jako niemowlę, krztusiła się i często płakała. Potem zaczęła mówić niewyraźnie. Nic dziwnego, że inne dzieci wyśmiewały się z niej.

Śmiały się nadal, choć tylko wtedy, gdy nie mogła przetrzepać im skóry. Była teraz młodą kobietą, długonogą i silną. Łatwo wpadała w złość, pozostało jej to z dzieciństwa. Nawet najstarsi chłopcy przedrzeźniali ją tylko z daleka, bo miała mocne pięści i wiedziała, jak nimi walczyć. Zostawiała po sobie podbite oczy i krwawiące nosy. Nawet najgłupszy teraz jej nie zaczepiali.

Dorastała bez przyjaciół, na uboczu. Chodząc po obozowisku, zwykle zasłaniała dolną część twarzy kawałkiem miękkiej skóry. Długie włosy często przysłaniały jej twarz.

Dopóki się nie odzywała, inne młode kobiety znosiły jej obecność. Armun przysłuchiwała się ich rozmowom, wiedziała, jak oglądały się za młodymi łowcami, słyszała podniecone szepty. Najstarsza w ich grupie była Farlan, która gdy Ortnar dołączył do sammadu, zaczęła się z nim przyjaźnić, choć znała go krótko. Pary tworzyły się tradycyjnie w ramach sammadów, z którymi spotykano się co roku. Taki był zwyczaj. Teraz jednak wszystko się zmieniło i Farlan jako pierwsza na tym skorzystała. Inne dziewczyny zazdrościły jej śmiałości. Miała swój namiot i swojego łowcę – a one nie.

Armun nie była zazdrosna, bolała jednak nad swoim brakiem powodzenia. Lepiej od rówieśnic znała polany i lasy; matka dobrze przygotowała ją do życia. Często wracała z pełnym koszykiem, podczas gdy inne kobiety narzekały na jałowość terenu. Pracowała ciężko, gotowała dobrze, robiła wszystko, co powinno podobać się młodym łowcom. Trzymała się jednak od nich z dala, bo bała się drwin. Na samą myśl o tym dostawała furii. A wszyscy śmiali się, gdy zobaczyli jej twarz, śmiali się, gdy mówiła. Wolą milczeć i trzymać się na uboczu.

Dopóki jednak jadła przy ognisku Merrith, musiała robić wszystko, co ta jej kazała. Przynosiła drewno i kroїła mięso, nieraz oparzyła sobie ręce przy ognisku. Merrith pilnowała, by co wieczór na głodnych i zmęczonych łowców czekał dobry posiłek. Armun, chcąc uniknąć drwin, znajdowała sobie inne zajęcie, gdy zaczynali się gromadzić przy ogniu.

Choć na południu nie było śniegu, w środku zimy nadeszły deszcze. Były nieprzyjemne, lecz ciepłe. O ileż łatwiejsze do zniesienia niż lodowate zimy, pełne śniegu. Zmieniły się tylko sposoby łowów, bo wielkie stada kaczkodziobów zniknęły gdzieś na ogromnej równinie. Można było jednak polować na inne murgu w rozciągających się na wschodzie puszczech. Grupy łowców wypuszczały się więc coraz to dalej między wzgórza. Wiązały się z tym różne niebezpieczeństwa.

Któregoś dnia grupa łowców wróciła dobrze po zmroku. Dni były teraz bardzo krótkie, tak iż nie było w tym nic dziwnego; niekiedy nawet w poszukiwaniu zwierzyny łowcy zostawali na noc. Tym razem jednak zdarzyło się coś niedobrego, bo łowcy zaczęli krzyczeć głośno, gdy tylko zobaczyli obóz. Ich przestraszonych przyciągnął uwagę wszystkich. Gdy dobiegły wołania o pomoc, inni łowcy wybiegli im naprzeciw. W blasku ogniska ujrzano dwóch łowców niosących nosze zrobione z żerdzi i gałązek. Prowadził ich Herilak ze zmęczoną, ponurą twarzą.

–Tropiliśmy ostropazurych biegaczy. Między drzewami ukrył się szponomarag. Zaatakował i nim zdołaliśmy go zabić, popatrzcie, dokonał tego. – Pierwsze nosze opadły ciężko na ziemię. – To Ulfadan. Nie żyje.

Merrith krzyknęła głośno i podbiegła. Zerwawszy futra zakrywające twarz Ulfadana, zaczęła lamentować i rwać włosy z głowy.

Herilak rozejrzał się, zauważył Frakena i zawołał go.

–Potrzebujemy twych umiejętności leczniczych. Marag upadł na Kerricka i złamał mu kość w nodze.

–Potrzebuję długich kijów, pasków skóry. Pomożesz mi.

–Poszukam drzewa – Herilak spojrział na stojącą w pobliżu Armun.

–Przynies mi miękką skórę – nakazał. – Szybko.

Kerrick zagryzł wargi, lecz nie zdołał powstrzymać jęku, gdy zdjęto go z noszy i położono na ziemi obok ogniska; złamane końce kości wbijały się w mięsień. Dotknięcie Frakena spowodowało palący ból.

–Trzymaj go mocno za ramiona, Herilaku, gdy będę naciągał nogę – rozkazał Fraken, po czym schylił się i złapał za stopę Kerricka. Robił to już wielokrotnie, tak

długo ciągnął i skręcał, aż końce złamanej kości zetknęły się dokładnie. Ból sprawił, że Kerrick zemdlał.

–Kije utrzymają teraz kość na miejscu – powiedział Fraken, przywiązując je mocno paskami z miękkiej skóry. – Połóżcie go w namiocie i przykryjcie futrami, bo musi mu być ciepło. Ty, dziewczyno, pomożesz nam.

Kerrick odzyskał przytomność, czując w nodze ostry, tętniący ból. Bolało go już znacznie mniej niż podczas zabiegu. Podciągnął się na łokciach i w migocącym świetle palącego się przed namiotem ogniska zobaczył przywiązane do nogi długie kije. Skóra nie była przerwana; kość szybko się zrosnie. Ktoś poruszał się obok niego w ciemnościach. – Kto tu jest? – zawołał.

–Armun – odpowiedziała niechętnie. Opadł z westchnieniem.

–Daj mi wody, Armun. Dużo wody.

Jej ciemna sylwetka mignęła w świetle ogniska. Armun? Nie znał tego imienia. Czy się już spotkali? To nieważne. Noga pulsowała bólem jak zepsuty ząb. W gardle tak mu zaschło, że zaczął kasłać. Trzeba mu wody, długiego, głębokiego łyku zimnej wody.

ROZDZIAŁ XII

Kerrick aż do świtu spał niespokojnie, obudził go znowu tętniący ból nogi. Gdy odwrócił głowę, zobaczył przy sobie misę z wodą. Wysunął rękę spod futer, sięgnął po naczynie i pociągnął głęboki łyk, potem następny, aż je opróżnił. Z tyłu podeszła dziewczyna i wzięła misę. Nie mógł jej poznać pod opadającymi na twarz włosami. Jak się nazywa? Wczoraj mu powiedziała.

–Armun?

–Tak. Chcesz jeszcze wody?

–Tak. I coś do jedzenia.

Nie jadł wczoraj wieczorem, nie miał ochoty, teraz jednak był głodny. Dziewczyna wyszła szybko. Nie zdołał dostrzec jej twarzy, nie mógł zupełnie jej poznać. Głos jednak miała miły. Mówiła jakby przez nos, co wydawało mu się znajome. Jakże boli ta noga, gdy próbuje ułożyć się wygodnie! Znajome? Dlaczego? Dręczyło go to chwilę, dopóki nie przypomniał sobie, że podobny dźwięk wydawały Yilanč. Armun. Powiedział to na głos, równie nosowo, potem powtórzył imię w myślach. Od tak dawna nie mówił w języku Yilanč, że gdy zrobił to teraz, opanowały go wspomnienia z Alpčasaku.

Wróciwszy z wodą, przyniosła na plecionej tacy kawałek wędzonego mięsa. Nachyliła się, by położyć jedzenie przy nim. Mając obie ręce zajęte, nie mogła zasłonić twarzy i mógł jej się przyjrzeć. Gdy spojrział jej w oczy, odwróciła się szybko i z zaciśniętymi pięściami czekała na śmiech. Za nią panowała cisza. Armun nie mogła tego zrozumieć. Patrzyła w zdumieniu, jak żuł łapczywie mięso. Gdyby jej powiedział, o czym myśli, nigdy by mu nie uwierzyła.

„Nie – pomyślał Kerrick – nigdy jej dotąd nie widziałem”. Ale dlaczego wydaje się znajomą? Na pewno bym ją zapamiętał. Ciekawe, czy wie, co przypomina jej głos? Lepiej jej nie mówić, rozniewałaby się porównaniem do maraga. W jej mowie były jednak pewne dźwięki Yilanč. Co więcej, jej usta przypominają trochę Yilanč. Może dzięki rozszczepionej górnej wardze. Znajoma twarz. Inlčnu* miała podobną, choć oczywiście szerszą i grubszą.

Armun siedziała zamyślona obok Kerricka. Musiał go rozdzierać ból, bo inaczej już by się z niej śmiał lub pytał o przyczyny zniekształcenia twarzy. Chłopcy zawsze byli ciekawscy, nigdy nie zostawiali jej w spokoju.

Kiedyś, gdy była sama, pięciu ich wciągnęło ją między drzewa. Walczyła i kopała, lecz ją powalili. Oglądali jej usta i nos, śmiali się, póki nie wybuchła płaczem. Nie czuła bólu, jedynie wielki wstyd, lak, różniła się od innych dziewcząt. Chłopcy nie

ściągnęli nawet z niej ubrania, by przyjrzeć się, jak to robili z innymi złapanymi dziewczynami. Dotykali tylko jej twarzy. Była dla nich jedynie śmiesznym zwierzakiem. Zatopiła się w tych gorzkich myślach, tak iż dopiero po chwili spostrzegła, że Kerrick przekręcił się na bok i przygląda się jej. Szybko zakryła twarz włosami.

–To dlatego cię nie poznałem – powiedział z zadowoleniem. – Zawsze tak zsuwasz włosy, widziałem to.

Znów czekała na śmiech. Zamiast tego usłyszała jęk, gdy spróbował usiąść. Otuliła go futrami, bo ranek był wilgotny i mglisty.

–Jesteś córką Ulfadana? Widywałem cię przy jego ognisku.

–Nie. Mój ojciec i matka nie żyją. Merrith pozwala mi sobie pomagać.

–Marag spadł na Ulfadana, zwałił go na ziemię. Zabiliśmy go włóczniami, lecz nie wróci to życia Ulfadanowi. Miał złamany kark. Ten sam potwór jednym machnięciem ogona złamał mi nogę. Powinniśmy byli wziąć z sobą więcej śmiercio-kijów. Jedynie one mogą powstrzymać to paskudztwo.

Nie winił siebie. To on przecież polecił, by w każdej grupie łowców jeden z nich miał śmiercio-kij, by zapobiec podobnym zdarzeniom. W lesie między drzewami – jeden to jednak za mało. Od dzisiaj grupy łowców muszą mieć z sobą przynajmniej dwa hčsotsany.

Łowy i murgu natychmiast przestały się liczyć, gdy Armun podeszła bliżej. Jej włosy omiotły mu twarz, gdy nachyliła się, by zabrać pustą misę; poczuł ich słodki, kobiecy zapach. Nigdy dotąd nie znalazł się tak blisko dziewczyny i bardzo go to poruszało. Ujrzał w pamięci Vaintč; nad nim, obok niego. Ale tamto było wstrętne, niepożądane, nie chciał takich myśli. A jednak ówczesne odczucia przypominały to, czego doświadczał teraz; był równie podniecony. Gdy Armun nachyliła się ponownie, by zabrać tacę, położył dłoń na jej nagiej ręce. Była ciepła i miękka.

Armun zamarła; cała drżała, czując dłoń spoczywającą na swym ciele. Nie wiedziała, co robić. Bez namysłu odwróciła się ku niemu, przybliżyła twarz. Nie roześmiał się ani nie odwrócił głowy. Wtem rozległ się na dworze głos, który rozdarł ciszę.

–Co z Kerrikiem? – pytał Herilak.

–Idę tam zaraz – odpowiedział Fraken.

Dziwna chwila minęła. Kerrick drapał się po ręce, a Armun oddalała szybko z tacą. Fraken wszedł do namiotu, za nim Herilak. Fraken sprawdził skórzane rzemyki, którymi przywiązał Kerricka do drewnianej ramy, i kiwnął głową zadowolony.

–Wszystko jak należy. Noga szybko się zagoi. Jeśli te rzemienie ci się wpiją, musisz je obłożyć suchą trawą. Pójdę teraz śpiewać o Ulfadanie.

Kerrick chciał być tam, gdy stary człowiek zaśpiewa. Im więcej łowców będzie śpiewało, tym bardziej uszczęśliwi to tharm Ulfadana. Po zakończeniu śpiewu puste ciało Ulfadana zostanie szczelnie owinięte w miękką skórę i umieszczone wysoko na drzewie, by wyschło na wietrze. Ciało nie miało teraz znaczenia, tharm łowcy już je opuścił. Mimo to nie byłoby właściwe zostawienie go padlinożercom na pożarcie.

–Chciałbym być z tobą – powiedział Kerrick.

–To zrozumiałe – stwierdził Herilak. – Lecz nie uleczyłoby to twojej nogi.

Z tyłu namiotu wynurzyła się Armun, była nieśmiała, jakby zalekniona. Gdy odwrócił się do niej, szybko sięgnęła po włosy. Zaraz jednak opuściła dłoń, bo nadal się z niej nie śmiał, choć na nią patrzył. Zdarzyło się już raz i nie miała co do tego wątpliwości. Ciągle jednak trudno jej było się przyzwyczaić, że ktoś patrzy na nią bez pogardy.

–Słyszałam, jak opowiadałeś o złapaniu cię przez murgu. – Mówiła szybko, starając się ukryć zmieszanie. – Czy nie bałeś się, będąc tam taki samotny?

–Czy się bałem? Na początku chyba tak. Nie byłem jednak sam, złapały też dziewczynę, zapomniałem jej imienia. Zabiły ją.

W pamięci widział to wyraźnie, był przerażony, jak wtedy. Obracający się ku niemu marag, mający na sobie krew dziewczyny, Vaintč.

–Tak, bałem się, bardzo się bałem. Powinienem był zachować spokój, ale przemówiłem do murgu. Mnie także by zabiły, gdybym nie odezwał się do tej, która mnie trzymała. Zrobiłem to, bo bardzo się bałem. Nie powinienem był mówić.

–Dlaczego miałeś siedzieć cicho, skoro mówieniem ratowałeś swe życie?

Rzeczywiście, dlaczego? Nie był wtedy łowcą śmiało patrzącym śmierci w twarz. Był tylko dzieckiem, jedynym ocalałym z całego sammadu. Nie było hańby w tym, że się odezwał, zrozumiał to teraz. Ocaliło mu to życie, doprowadziło tutaj, do Armun, która to rozumiała.

–Nie było po temu powodu, najmniejszego – uśmiechnął się do niej. – Tak pomyślałem, gdy przestałem się bać. Odkąd mogły ze mną rozmawiać, nie chciały mej śmierci. Z czasem stałem się im potrzebny.

–Sądzę, że zachowałeś się dzielnie, jak łowca, choć byłeś tylko chłopcem.

Te słowa go rozbroiły, nie wiedział dlaczego. Z jakiegoś powodu był bliski łez, bo

były to nie wylane wówczas łzy małego chłopca, samotnego wśród murgu. Cóż, to dawne dzieje, nie jest już mały, nie jest już chłopcem. Obejrzał się na Armun i bez namysłu dotknął jej ręki. Nie odsunęła się.

Kerrick był zmieszany, nie wiedział, co oznacza to, co czuł teraz. Te nieznane uczucia przypominały mu Vaintč, gdy go chwytła. Ale nie chciał teraz myśleć o Vaintč ani o żadnej innej Yilanč. Nieświadomie zacisnął palce, sprawił jej ból, lecz się nie wyrwała. Zalała go fala ciepła, jakby z niewidocznego słońca. Działo się z nim coś ważnego, nie umiałby jednak tego nazwać.

Inaczej Armun. Słyszała często, o czym rozmawiają młode dziewczyny, przysłuchiwała się także starszym kobietom mającym dzieci, gdy opowiadały o swych przeżyciach, o tym, co działo się w nocy, gdy zostawały w namiotach same z łowcami. Wiedziała, co się dzieje i miała na to ochotę, poddawała się opanowującemu ją uczuciu. Tym bardziej że wciąż miała nadzieję, iż to się stanie. Gdyby tylko była teraz noc i byli sami! Kobiety opowiadały dokładnie i obrazowo, co się wówczas działo. Ale był dzień, nie noc. Dzień taki spokojny. I była tak blisko niego. Gdy łagodnie się poruszyła, Kerrick rozchylił dłoń i wypuścił jej rękę. Wstała i odwróciła się od niego.

Armun wyszła przed namiot i rozejrzała się. Nikogo nie było widać, zniknęły nawet dzieci.

Co to znaczy?

To śpiewy, oczywiście. Zrozumiała i zaczęła drżeć. Ulfadan był sammadarem. Wszyscy będą na śpiewach, z każdego sammadu. Została tylko ona i Kerrick.

Ostrożnie, z wahaniem, odwróciła się i weszła z powrotem do namiotu. Pewnymi dłońmi zawiązała jego poły.

Równie zdecydowanie odplątała rzemyki swego ubrania, uklękła, uchyliła futra, którymi był przykryty, i wśliznęła się do ciepłego mroku pod nimi.

Ledwo widoczna, nachyliła się nad nim. Nie mógł się poruszać ze względu na nogę. Nie było to potrzebne, wkrótce zapomniał zupełnie o nodze. Jej ciało było miękkie, niespodzianie ciepłe, włosy omiały mu twarz w pieszczocie. Gdy objął ją ramionami, poczuł, jak rozgrzewa się również jego ciało. Opuściły go wspomnienia o zimnym ciele maraga. Była blisko, coraz bliżej. Nie miała twardych żeber, tylko ciepłe ciało, krągłe i mocne, przytulające się do jego piersi z niespodziewaną przyjemnością. Zacisnął mocniej ramiona, przyciągnął ją do siebie. Szeptala mu do ucha melodie bez słów.

W namiocie, pod ciepłym futer, żar ich ciał topił jego wspomnienia o zimnokrwistej, twardej Yilanč. Odganiał wspomnienia o innym życiu, innym czasie, w to miejsce

napływała nowa rzeczywistość, warta nieskończenie więcej.

enataposop

otoshkerke

hespeleina

PRZYSŁOWIE YILANČ

Wszystkie formy życia podlegają zmianom,

bo DNA trwa wiecznie.

ROZDZIAŁ XIII

Alpčasak wrzał życiem, kipiał od brzasku do zmroku. Szerokimi alejami między drzewami, po których kiedyś poruszało się zaledwie kilka fargi, przewalał się teraz tłum Yilanč. Co znaczniejsze rozpierały się w lektykach, obok samotnych pojawiły się grupy przenoszące większe ładunki, a nawet dobrze strzeżone samce, które po kilka, cicho, z wybaluszonymi oczyma, patrzyły na nie słabnącą nigdy krzątanicę. Port został znacznie powiększony, lecz mimo to był za mały, by przyjąć wszystkich przybywających. Ciemne kształty przyplływających z oceanu uruketo tłoczyły się w rzece, napierając na brzegi i czekając na wejście do portu. Po przybyciu do nabrzeża dziesiątki harujących fargi wyładowywały towary, wśród których przeciskały się przyjezdne Yilanč, pragnące po długim rejsie znaleźć się wreszcie na twardym lądzie.

Vaintč przyglądała się całemu temu zamieszaniu z podnieceniem i dumą, co podkreślała napięciem mięśni całego ciała. Jej miasto, jej trud, nareszcie spełnione ambicje. Inegban* w końcu przybywał do Alpčasaku. Połączeniu się obu miast towarzyszyło podniecenie, któremu nie sposób było się oprzeć. Młodość i surowość Alpčasaku łagodniały w zderzeniu z tradycją i mądrością Inegban*. Powstawało nowe miasto, przewyższające rozmachem każde z miast osobno. Rodził się nowy świat, jajo czasu właśnie pękało, wszystko stawało się możliwe, obiecywało jasną przyszłość.

Na terażniejszości i przyszłości kładł się wprawdzie pewien cień, lecz Vaintč starała się o nim nie myśleć, zostawiała to na później. W tej chwili pragnęła jedynie pławić się w słońcu swej radości, wygrzewać na plażach swego sukcesu. Zaciskała mocno kciuki na twardej gałęzi balustrady i w podnieceniu, zupełnie nieświadomie, przenosiła ciężar ciała z jednej nogi na drugą w samotnym marszu zwycięstwa.

Usłyszała głos jakby z daleka.

Vaintč odwróciła się niechętnie, by ujrzeć, że Malsas dołączyła do niej na wysokiej platformie. Radość Vaintč była jednak tak wielka, że wystarczyło w niej miejsca dla innych.

–Spójrz, Eistao – Vaintč mówiła to, wyrażając dumę każdym swym ruchem. – Dokonało się. Zima nigdy nie wkroczy do Inegban*, bo Inegban* przybył tu, do wiecznego lata, gdzie jest ciepło i bogato jak w sercu Entoban*. Nasze miasto już zawsze będzie rosło i kwitło.

–Jest tak, jak mówisz, Vaintč. Gdy byliśmy rozdzielone, nasze serca biły innym rytmem, nasze miasta różniły się, oddalały. Teraz jesteśmy razem. Czuję tak jak ty, że nasza moc jest nieograniczona, że możemy dokonać wszystkiego. I dokonamy. Czy nie wrócisz raz jeszcze do myśli, by usiąść przy mnie, pracować ze mną? Stallan na pewno zdoła poprowadzić fargi i zetrzeć przekleństwo ustuzou z północnych krain.

–Może zdoła. Wiem jednak, że ja dokonam tego na pewno. – Vaintč przeciągnęła szybko kciukiem między oczami. – Jestem na rozdrożu. Teraz, gdy odzyskałam zdrowie, przepelniająca mnie nienawiść zmaląła, choć wciąż jest mocna. Czuję w sobie wiecznie tkwiącą nienawiść. Stallan może i da radę zgnieść ustuzou, lecz to ja muszę tego dokonać, by zniszczyć ciężący mi kamień nienawiści. Gdy wszystkie zginą, gdy zginie stworzenie, które wychowałam i wykarmiłam, dopiero wtedy kamień ten rozpuści się i zniknie. Wtedy będę znów gotowa, by siedzieć przy twym boku i czynić, co każesz. Wpierw jednak muszę zrobić tamto.

Malsas niechętnie wyraziła zgodę.

–Potrzebuję ciebie, lecz rozumiem twoją nienawiść. Zgnieść ustuzou i kamień wewnątrz siebie. Przed Alpčasakiem ciągle jest pełnia czasu. Vaintč z szacunkiem podziękowała.

–Zbieramy teraz nasze siły i będziemy gotowe do ataku, gdy tylko na północy przyjdzie ocieplenie. Mróz, który sprowadził nas z Inegban*, również ich pcha na południe. Tymczasem jednak chłody zimy są naszym sojusznikiem. Ustuzou muszą polować tam, gdzie łatwo możemy ich osiągnąć; są obserwowane. Zginą, gdy nadejdzie właściwa pora. Zetrzemy je, potem wyruszymy na północ, by uderzyć na innych. Będziemy robiły to stale, uderzały bez przerwy, aż wszystkie zginą.

–Nie weźmiecie łodzi? Mówiłaś o atakowaniu lądem?

–Będą spodziewali się nas od strony wody. Nie wiedzą, że mamy teraz uruktopy i kilka tarakastów. To Vanalpč wymyśliła użycie tych zwierząt Pojechała po nie do Entoban*, do miasta Mesekei, leżącego z dala od oceanu, gdzie się ich używa. Opowiedziała o naszych potrzebach, o grożących nam ustuzou i otrzymała najlepszy

materiał rozrodczy. Uruktop osiąga dojrzałość w niecały rok. Młode mają teraz pełną wielkość, są silne i gotowe. Tarakasty są większe, muszą dłużej dorastać, tak iż sprowadziliśmy zaledwie kilka niedojrzałych osobników, lecz i one będą dla nas wielce pomocne. Zaatakujemy lądem. Ustuzou prowadzi ta istota, która mi uciekła, jest teraz z nimi na południu. Widziałam ją na zdjęciach. Umrze pierwsza. Gdy zginie, z resztą nie będziemy miały kłopotów.

Vaintč myślała o przyszłości, planowała swą zemstę, szykowała okrutną śmierć temu, którego nienawidziła. Myśli jej mroczniały jak niebo, na które napłynęła wielka chmura, zasłaniając słońce i okrywając wszystko cieniem. Gdy cień padł na nią, w jej głowie zapanowała ciemność, jeszcze bardziej dręcząca myśl o ustuzou. Zawsze tak się działo, każdy, choćby najjaśniejszy dzień kończył się mrokiem nocy. W tym mieście światła pojawiała się ciemność, zawsze gdy w swych myślach widziała to, co teraz.

Grupa Yilanč, związanych razem za ręce, przeciągała pod nimi powoli. Pierwsza w kolumnie rozejrzała się, uniosła wzrok, jej spokojne oczy spoczęły na dwóch sylwetkach spoglądających z wysoka. Odległość nie była tak wielka, by ich nie poznała, zwłaszcza Vaintč. Uczyniła ręką szybki gest serdecznego powitania jednej efenselč z drugą i wraz z całą grupą odeszła.

–Z mojego efenburu – powiedziała gorzko Vaintč. – Tego brzemienia nigdy nie zdołam się pozbyć.

–Nie jesteś winna – odparła Malsasč. – Córy Śmierci są i w moim efenburu. Ta choroba wyniszcza nas wszystkie.

–Może znajdę na nią lekarstwo. Nie śmiem teraz mówić o tym bliżej; możemy być podsłuchiwane. Powiem tylko, że widzę taką możliwość.

–Jesteś u mnie pierwsza we wszystkim – powiedziała Malsasč, podkreślając szczerłość każdym ruchem. – Zrób to, wylecz tę chorobę, a żadna cię nie przewyższy.

Enge nie zamierzała witać swej efenselč, wykonała ten gest nieświadomie, dopiero po fakcie zrozumiała swój nietakt. Vaintč nigdy nie byłaby z tego zadowolona, lecz teraz, w obecności eistai, może uznać powitanie za zniewagę. Był to błąd, choć nie zamierzony.

Kolumna zatrzymała się przez bramą, czekając na jej otwarcie i zdjęcie więźów. Oswobodzenie następowało w więzieniu, dla nich była to wolność. Stawały się tam sobą, mogły swobodnie wierzyć i – co ważniejsze – swobodnie mówić o prawdzie.

Gdy umieszczono ją z innymi Córami Życia, Enge uznała, że nie wiąże jej już obietnica nierozmawiania o swej wierze z innymi Yilanč – bo wszystkie ją wyznawały. Gdy Inegban* przybył do Alpčasaku, zabrał ze sobą i niepożądane brzemię

wierzących. Było ich tyle, że utworzono tu zagrodę, ogrodzoną i strzeżoną, by ten jad intelektualny się nie rozprzestrzenił. To, co mówiły między sobą, w obrębie ścian, nie obchodziło znajdujących się na zewnątrz władczyń. Tak długo, dopóki ich zdradzieckie myśli pozostawały pod osłoną ostrych cierni ścian.

Do Enge podeszła szybko Efenatč, jej szczupłe ciało drżało od nowin.

–Jest tu Peleinč – powiedziała. – Przemawia do nas, odpowiada na nasze pytania.

–Dołączę do was – powiedziała Enge, choć sztywność jej ciała ledwo skrywała niepokój. Nauki Ugunenapsy zawsze były dla niej jasne, stanowiły promień światła w mrocznej dżungli zmartwień. Lecz towarzyszki niedoli nie zawsze tak je odbierały, prowokowały komentarze i dyskusje. Była tylko jedna prawda, bo Ugunenapsa uczyła, że wolną potęgą umysłu można zrozumieć wszystko, a nie tylko moc życia i śmierci. Enge zgadzała się z tą wolnością, mimo to niepokoiły ją niektóre interpretacje Ugunenapsy, a najbardziej wszystkie komentarze Peleinč.

Peleinč stała na uniesionym korzeniu wielkiego drzewa, tak iż do wszystkich zgromadzonych wokół docierały jej słowa. Enge stanęła na skraju tłumy, jak inne przysiadła na ogonie i słuchała. Peleinč przemawiała w sposób coraz bardziej się rozpowszechniający. Polegał on na zadawaniu pytań i udzielaniu takich odpowiedzi, by przekazać słuchaczkom to, co się chce.

–Ugunenapso, zapytała fargi jeszcze mokra po wyjściu z morza. Ugunenapso, czym różnię się od kałamarnicy? Ugunenapsa odparła: Różnisz się tym, moja córko, że możesz poznać śmierć, natomiast kałamarnica z morza zna tylko życie.

–Lecz poznawszy śmierć, jak mogę potem poznać życie? Odpowiedź dana przez Ugunenapsę była tak prosta i jasna, że choćby wypowiedziana została za jaja czasu, to pozostałaby jednoznaczna jutro i jutro jutro. Odpowiedź ta podtrzymuje nas, bo znając śmierć, znamy granice życia. Dlatego żyjemy tam, gdzie inne giną. W tym leży siła naszej wiary, bo wiara jest naszą siłą.

Potem fargi, mokra od morza, spytała naiwnie o kałamarnice, które jadła, czy nie przyniosła im śmierci? I dostała odpowiedź: Nie, to kałamarnica dała ci życie swym ciałem, a skoro nie zna śmierci, nie może umrzeć.

Spotkało się to z pomrukiem uznania ze strony słuchaczek, nawet Enge była poruszona jasnością i pięknem myśli. Przez chwilę zapomniała o zastrzeżeniach, jakie miała do przemawiającej. Jedna z żarliwie żądnych wiedzy Yilanč zawołała z tłumy:

–Mądra Peleinč, a gdyby kałamarnica była tak wielka, że zagroziłaby twemu życiu, i była tak niesmaczna, że nie dałoby się jej zjeść? Co wtedy?

Pozwoliłabyś się pożreć czy zabiłabyś ją, mimo iż wiedziałabyś, że jej nie zjesz?

Peleinč doceniała trudność tego pytania.

–Tu musimy dokładnie przebadać myśli Ugunenapsy. Mówiła o tym, co tkwi w nas, czego nie można zobaczyć, co pozwala nam mówić i odróżnia nas od bezmyślnych zwierząt. Należy zachowywać tę niewidoczną rzecz, dlatego trzeba zabić kałamarnicę, by to ocalić. Jesteśmy Córami Życia i musimy chronić życie.

–A gdyby kałamarnica umiała mówić, co wtedy? – zawołała któraś, a ponieważ było to pytanie najbliższe im wszystkim, oczekiwały niecierpliwie i w milczeniu, co powie Peleinč.

–Ugunenapsa nie zostawiła odpowiedzi, bo nie знаła mówiących kałamarnic. – Peleinč wyjaśniła bliżej swą odpowiedź.– Ani też mówiących ustuzou. Dlatego musimy poszukać w słowach Ugunenapsy ich prawdziwego znaczenia. Czy tylko mowa decyduje o życiu i śmierci? A może ustuzou mówią, lecz nic nie wiedzą o śmierci? Jeśli to prawda, to dla zachowania naszego życia możemy zabijać mówiące ustuzou, bo wiemy, że znamy różnicę między życiem i śmiercią, a nie wiemy, czy znają ją ustuzou. Taką decyzję musimy podjąć.

–Ależ nie możemy tak postanowić – zawołała bardzo zaniepokojona Enge. – Nie możemy, jeśli nie jesteśmy pewne, bo nie wiedząc na pewno, pogwałciłybyśmy całą naukę Ugunenapsy.

Peleinč zwróciła się w jej stronę z wyrazem aprobaty, ale i zakłopotania.

–Enge mówi prawdę, ukazując jednocześnie nasz problem. Musimy rozważyć, czy znajomość przez ustuzou życia i śmierci to tylko możliwość. Na drugiej szali musimy położyć fakt, iż my na pewno wiemy o życiu i śmierci. Po jednej stronie wątpliwość, po drugiej pewność. Ponieważ najwyższą wartość ma życie, twierdzę, że powinniśmy zachować pewność i odrzucić wątpliwość. Nie ma innego sposobu.

Padaly też inne pytania, lecz Enge nie słyszała ich, nie chciała ich słyszeć. Nie mogła pozbyć się głębokiego przekonania, że Peleinč się myli, choć nie wiedziała, jak jej to udowodnić. Musi to przemyśleć. Poszukała spokojnego miejsca z dala od innych i pogrzyła się w myślach.

Tak się zamyśliła, że nie zauważyła przeciskającej się przez tłum strażniczki, która wyznaczała grupę do pracy. Nie słyszała cichych okrzyków niepokoju, gdy wskazano na nauczycielkę, Peleinč, jak gdyby niczym nie różniła się od innych. Robotnice zostały związane razem i wyprowadzone. Tylko towarzyszek Peleinč nie spętano tak jak pozostałych, lecz rozdzielono je na mniejsze grupki i skierowano do różnych prac. Żadna z nich nie zauważyła, że w końcu Peleinč została sama. Odpowiedzialna Yilanč odesłała także strażniczkę i poprowadziła Peleinč długą drogą wokół miasta

do drzwi, które przed nią otworzono. Peleinč weszła niechętnie, bo zdarzało się to już przedtem i nadal nie była pewna, czy postępuje słusznie. Choć wewnętrznie się sprzeciwiała, nie mogła tego wyrazić, nie mogła odmówić pobytu tutaj. Niechętnie weszła i zamknęła za sobą drzwi. W pokoju była tylko jedna Yilanč.

–Teraz porozmawiamy – powiedziała Vaintč. Peleinč stała z opuszczoną głową, patrząc odruchowo na swe dłonie, na splatające się i rozplatające kciuki.

–Uważam, że postępuję niewłaściwie – rzekła w końcu. – Nie powinnam tu być. Nie powinnam z tobą rozmawiać.

–Nie masz powodu, by tak uważać. Chcę tylko usłyszeć, co masz mi do powiedzenia. Czyż Córa Życia nie ma obowiązku mówienia innym o swej wierze, oświecania ich?

–Ma. Czy jesteś oświecona, Vaintč? Czy nazywasz mnie teraz Córą Życia, a nie Córą Śmierci, bo wierzysz w to co ja?

–Jeszcze nie. Musisz więcej mi opowiadać, przedstawiać dalsze przekonywające argumenty, nim do was dołączę.

Peleinč wyprostowała się, podejrzliwość biła z każdego jej ruchu.

–Skoro więc nie wierzysz w to co my, to po co ci jestem potrzebna? Czy uważasz mnie za siewczynię waśni wśród Cór? Czasami sama się za taką uważam, zastanawiam się dokąd doprowadzą mnie dalsze staranne analizy naszych nauk.

–Doprowadzą cię do prawdy. Przekonają cię, że zabijające nas ustuzou zasługują na śmierć. Jest to sprawiedliwe. Bronimy naszych plaż, zabijamy stworzenia zagrażające naszemu istnieniu. Nie proszę cię o odejście od wiary. Jeśli to uczynisz, wszystkie skorzystamy. Nasze miasto ocaleje. Eistaa zdejmie z was więzy i wszystkie staniecie się ponownie obywatelkami. Wasze wierzenia zostaną uznane za prawomocne, bo nie zagrażą istnieniu Alpčasaku. Zostaniesz wtedy prawdziwą przywódczynią Cór Życia, będziesz wypełniała nauki Ugunenapsy.

Peleinč okazała zmieszanie i zatroskanie.

–Ciągle mam wątpliwości. Jeśli ustuzou mówią, mogą wiedzieć o istnieniu śmierci, a przez to o znaczeniu życia. Skoro tak, to nie mogę pomagać w ich wyniszczeniu.

Vaintč podeszła do niej tak blisko, że ich dłonie niemal się zetknęły i przemówiła z wielkim przekonaniem:

–To zwierzęta. Jedno z nich nauczyło się mówić, tak jak łodzie uczą się wypełniać polecenia. Tylko jedno z nich. Pozostałe chrząkają jak bestie w dżungli. A to jedno,

które nauczyło się mówić jak Yilanč, teraz nas zabija. Są nieszczęściami, które nas zniszczy. Muszą być wytępione, do ostatniego. Pomożesz mi w tym. Wyprowadzisz Córy Śmierci z mroków

ich przeznaczenia, by stały się prawdziwymi Córami Życia. Zrobisz to. Musisz to zrobić.

Mówiąc to, dotknęła łagodnie kciuków Peleinč w geście używanym jedynie przez jedną efenselč wobec drugiej. Peleinč z chęcią przyjęła uścisk stojącej tak wysoko i zrozumiała, że jej pozycja może stać się równie znaczna, jeśli zrobi to, o co eistaa prosi.

–Masz rację, Vaintč, zupełną rację. Stanie się tak, jak powiedziałaś. Córy Życia zbyt długo żyły oddzielone od swego miasta. Musimy do niego wrócić, znów włączyć się do jego życia. Nie możemy jednak zboczyć z właściwej drogi.

–Nie zboczycie. Będziecie wierzyły jak teraz i nikt was nie powstrzyma. Ścieżka przed wami jest prosta i poprowadzisz ją w pełną triumfów przyszłość.

ROZDZIAŁ XIV

Był to pierwszy łuk Harla i dlatego stanowił powód wielkiej dumy. Ze swym wujem Nadrisem poszedł do lasu w poszukiwaniu odpowiedniego drzewa na łuk, takiego o cienkiej korze, z mocnym, sprężystym włóknem. Nadris wybrał małe drzewko, ale Harl sam musiał je ściąć. Długo piłował oporny, zielony pień, póki nie padł u jego stóp. Potem zgodnie z dokładnymi wskazówkami Nadrisa, ściągnął korę, odsłaniając białe drewno. Teraz jednak trzeba było czekać. Cierpliwość chłopca wystawiona została na próbę. Nadris powiesił długi pień wysoko w swym namiocie i zostawił na wiele dni, póki nie wysechł. Potem zaczęła się obróbka. Harl obserwował, jak Nadris dokładnie skrobie drewno kamiennym nożem. Starannie zaostrzył końce łuku i wyciął w nich rowki na cięciwę splecioną z długich, mocnych włosów z ogona mastodonta. Po założeniu cięciwy Nadris nie był zadowolony z łuku, sprawdził jego naprężenie, potem zdjął cięciwę i od nowa zaczął kształtować drzewce. Wreszcie praca dobiegła końca. Miał to być hak Harla, do niego więc należało wystrzelenie pierwszej strzały. Naciągnął cięciwę najsilniej, jak mógł, a potem wypuścił strzałę. Poleciała prosto i celnie, wbijając się w pień drzewa.

Był to najdłuższy i najszczęśliwszy dzień w życiu Harla. Miał teraz łuk, nauczył się dobrze strzelać, wkrótce pozwoli mu polować. Był to pierwszy krok na drodze prowadzącej z dzieciństwa w dorosły świat łowców.

Mimo posiniaczonego ramienia i pęcherzy na palcach nie przestawał ćwiczyć. To był jego hak, jego dzień. Chciał spędzić go samotnie, odłączył się więc od innych chłopców i poszedł do małego zagajnika w pobliżu obozowiska. Cały dzień przekradał się między drzewami, krył w krzakach, posyłał strzały w niewinne kępy traw – były prawdziwą sarną, którą tylko on widział.

Gdy się ściemniło, skrzętnie pozbierał strzały, wziął hak i ruszył w kierunku obozowiska. Był głodny i nie mógł doczekać się posiłku. Któregoś dnia pójdzie na polowanie i sam zdobędzie mięso. Nałożyć strzałę, wypuścić, zzyy, trafione, zabite. Któregoś dnia.

Usłyszał szelest na drzewie nad sobą; stanął i zamarł w milczeniu. Coś tam się ruszało, ciemny kształt rysujący się na szarym tle nieba. Usłyszał znów drapanie szponów. Wielki ptak.

Był to zbyt nęcący cel, by nie spróbować. Może w ciemności stracić strzałę, ale zrobił ją sam i nietrudno wyciąć dalsze. Jeśli jednak trafi ptaka, będzie to jego pierwsza zdobycz. Pierwszy dzień z łukiem w ręku i pierwszy myśliwski sukces. Chłopcy popatrzą na niego inaczej, gdy wejdzie między namioty z łupem.

Powoli i cicho nałożył strzałę na cięciwę, naciągnął łuk, wycelował w ciemny kształt.

Potem strzelił.

Rozległ się wrzask bólu – i ptak zleciał z gałęzi. Spadł na konar ponad głową Harla i zawisł tam nieruchomo, zatrzymany przez małe gałązki. Wspinając się na palce, chłopiec ledwo zdołał dosięgnąć go końcem łuku. Zwalił go wreszcie pod swe nogi. W piersi ptaka sterczała strzała, jego okrągłe, martwe oczy wpatrywały się w Harla. Ten cofnął się, dygocąc ze strachu.

Sowa. Zabił sowę.

Czemu się wcześniej nie zastanowił? Jęknął z przerażenia. Powinien był wiedzieć, że w ciemnościach nie mogło być żadnego innego ptaka. Zabił tego, który jest nietykalny. Nie dalej, jak poprzedniego wieczoru stary Fraken rozwinął kulkę sierści wyplutą przez sowę, dotknął palcami znajdujących się w środku drobnych kostek myszy, z ich układu przepowiadał przyszłość i powodzenie łowów. Fraken opowiadał o sowach, jedynych ptakach latających nocą, czuwających, by przez mrok poprowadzić do nieba tharmy zmarłych łowców.

Nie wolno nigdy zabijać sowy.

A Harl to zrobił.

Jeśli ją zakopie, może nikt się nie dowie. Zaczął gwałtownie grzebać rękami w ziemi. Po chwili przestał. To na nic. Sowa wie i dowiedzą się inne sowy. Zapamiętają. A pewnego dnia nie zechcą poprowadzić jego tharmu, bo zwierzęta nigdy nie zapominają. Nigdy. Ze łzami w oczach pochylił się nad martwym ptakiem, wyciągnął strzałę. Potem nachylił się jeszcze bardziej i zaczął bacznie przyglądać się stworzeniu, które wziął za sowę.

Armun siedziała przy ognisku, gdy chłopiec przybiegł. Stał czekając, aż go zauważy. Nie spieszyła się z tym, dołożyła wpierr dREW do ognia. Była teraz kobietą Kerricka i z tego powodu czuła nie tylko zadowolenie, ale też dumę. Kobieta Kerricka. Chłopcy nie śmiali się już z niej, nie pokazywali palcami. Nie odczuwała teraz potrzeby zakrywania twarzy.

–Co tam? – spytała, udając srogą, co przychodziło jej z trudem, jako że uśmiech świadczył o przeżywanym szczęściu.

–To namiot margalusa? – zapytał Harl drżącym głosem. – Czy pomówi ze mną?

Kerrick słyszał ich głosy. Wstał powoli, bo choć złamana noga zrosła się dobrze, wciąż jeszcze go bolała, gdy się na niej opierał. Wyszedł z namiotu. Harl zwrócił się do niego. Błada twarz chłopca wyrażała napięcie, na policzkach widniały ślady rozmazanych łez.

–Jesteś margalusem i wiesz wszystko o murgu – tak słyszałem.

–Czego chcesz?

–Chodź ze mną, proszę, to ważne. Muszę ci coś pokazać.

Kerrick wiedział, że roilo się tu od różnych zwierząt. Chłopiec musiał znaleźć coś, czego nie znał. Zamierzał się go pozbyć, gdy nagle się rozmyślił. Może to być coś groźnego; lepiej się temu przyjrzeć. Kerrick kiwnął głową i odszedł z chłopcem od ogniska. Gdy odeszli na tyle, że nie słyszała ich Armun, chłopiec stanął.

–Zabiłem sowę – powiedział drżącym głosem. Kerrick wzruszył ramionami, potem jednak przypomniał sobie historie o sowach opowiadane przez Frakena i zrozumiał, czego boi się chłopak. Musi go jakoś uspokoić, nie łamiąc przy tym zasad i wierzeń Frakena.

–To źle zabijać sowy – powiedział – ale nie powinieneś aż tak się tym martwić...

–Nie o to chodzi. Jest jeszcze coś.

Harl pochylił się i wyciągnął sowę za koniec długiego skrzydła spod krzaka. Potem podniósł ją tak, by padał na nią blask z najbliższego ogniska.

–To dlatego cię przyprowadziłem – powiedział, pokazując czarną bryłkę na nodze ptaka.

Kerrick nachylił się i przyjrzał dokładnie. Światło ogniska odbiło się nagle w otwartym na chwilę oku stworzenia.

Kerrick wyprostował się powoli i wziął ptaka z rąk chłopca.

–Dobrze zrobiłeś – powiedział. – Nie należy strzelać do sów, ale to nie jest nasza sowa. To sowa raurgu. Słusznie, że ją zabiłeś. Słusznie, że do mnie przyszedłeś. Teraz biegnij szybko, poszukaj łowcy Herilaka i powiedz mu, by natychmiast przyszedł do mego namiotu. Powiedz mu też, co zobaczyłeś na nodze sowy.

Gdy łowcy dowiedzieli się, co znalazł chłopiec, przyszli także Har-

–Havola i Sorli, następca Ulfadana. Przyjrzeni się martwemu ptakowi i żywemu maragowi przyczepionemu czarnymi pazurami do nogi sowy. Sorli wzdrygnął się, gdy wielkie oko otwarło się i spojrzało na niego, by po chwili się zamknąć.

–Co to znaczy? – zapytał Herilak.

–To znaczy, że murgu wiedzą, iż tu jesteśmy – powiedział Kerrick.

–Nie wysyłają już drapieżników, by nas śledziły, bo zbyt wiele z nich nie wracało. Sowa umie latać nocą, widzi w ciemności. – Dotknął palcem czarnego stworzenia przyczepionego do nogi. Chłodna skóra drgnęła i zamarła. – Ten marag także widzi w ciemnościach. Widział nas i opowiadał o tym murgu. Mógł nas widzieć już wiele razy.

–Co może oznaczać, że murgu są teraz w drodze, by na nas napaść – powiedział Herilak głosem cichym jak śmierć. Kerrick potrząsnął głową z ponurą miną.

–Nie może, lecz na pewno. Tu, tak daleko na południu, jest dla nich dostatecznie ciepło, nawet o tej porze roku. Muszą nas szukać, a ten stwór powiedział im, gdzie obozujemy. Pragną zemsty, nie ma co do tego wątpliwości.

–Co mamy robić? – spytał Har-Havola, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo. – Czy wracamy na północ? Jeszcze nie ma wiosny.

–Może będziemy musieli wyruszyć, wiosna czy nie – powiedział Kerrick. – Trzeba się nad tym zastanowić. Na razie musimy wiedzieć, czy zbliża się atak. Łowcy pójdą na południe wzdłuż rzeki, zabiorą najlepszych biegaczy. Muszą iść dzień, a nawet dwa na południe od obozowiska i obserwować rzekę. Gdy dojrzą łodzie murgu, zawiadomią nas przez biegaczy.

–Sigurnath i Peremandu – powiedział Har-Havola. – Mają najszybsze nogi w moim sammadzie. Ścigali sarny w górach i biegli równie rączo jak one.

–Wyruszą o świcie – zdecydował Herilak.

–Nie wróciło kilku moich łowców – powiedział Sorti. – Wybrali się daleko i zwlekają z powrotem. Nie możemy wyruszyć bez nich. Kerrick spojrział w ognisko, jakby szukając tam odpowiedzi.

–Uważam, że nie powinniśmy czekać dłużej. Musimy pójść na północ, gdy tylko wrócą.

–Tam ciągle leży lód, nie można polować – sprzeciwił się Herilak.

–Mamy jedzenie – powiedział Kerrick. – Upolowane mięso i zapasy murgu w pęcherzach. Wystarczy, by przeżyć. Jeśli zostaniemy tutaj, napadną nas. Czuję to, wiem o tym. – Wskazał na martwą sowę i przyczepione mocno do jej nogi żywe stworzenie. – Obserwują nas. Wiedzą, gdzie jesteśmy. Przybywają, by nas zabić. Znam je, wiem, co czują. Zginiemy, jeśli tu zostaniemy.

Tej nocy spali krótko i o brzasku Kerrick uczestniczył w wysyłaniu Sigurnatha i Peremandu. Obaj byli wysocy i silni, nogi mieli osłonięte brzożową korą, by nie ranić skóry wśród krzaków.

–Zostawcie włócznie, by was nie obciążały – powiedział Kerrick.

–Weźcie suszone mięso i ekkotaz, lecz tyle, by starczyło na trzy dni. Nie będziecie potrzebować włócznie, bo to nie polowanie. Macie obserwować. Dla ochrony możecie mieć łuki, weźmiecie też hčsotsany. W drodze na południe ani na chwilę nie traćcie z oczu rzeki, choćbyście musieli nadłożyć drogi. Idźcie aż do zmroku, noc spędzajcie nad rzeką. Jeśli nie pošlemy po was wcześniej, wracajcie trzeciego dnia, bo dłużej tu nie zostaniemy. Cały czas obserwujcie rzekę, lecz wracajcie natychmiast po zauważeniu murgu. Gdy je zobaczycie, musicie jak najszybciej znaleźć, się tu z powrotem.

Obaj łowcy pobiegli spokojnym, długodystansowym krokiem. Dzień początkowo był chłodny, niebo zachmurzone, wszystko to ułatwiało bieg. Trzymali się szerokiej rzeki, pokonywali jej płytkie rozlewiska lub wspinali się na wysokie brzegi, nigdy nie tracąc z oczu jej nurtu. Na wodzie nie było nikogo. Gdy słońce stanęło wysoko, zatrzymali się, ociekając potem, by napić się wody z czystego potoku, spadającego kaskadą z kamienistego zbocza. Ochłodzili twarze w chłodnych bryzgach i przeżuli kawałki wędzonego mięsa. Nie zatrzymali się długo.

Po południu dobiegli do miejsca, gdzie rzeka zataczała na równinie wielką pętlę. Znajdowali się na skarpie ponad nią i widzieli, jak koryto jej zakręca, a potem wraca do poprzedniego kierunku.

–Skróćmy drogę ścinając zakręt – zaproponował Sigurnath. Peremandu spojrzał na wodę i grzbietem dłoni starł pot z twarzy.

–Skróćmy, lecz nie będziemy widzieli wody. Mogą nas minąć, a my nic nie zauważymy. Musimy trzymać się rzeki.

Patrząc na południe, spostrzegli wzbijającą się nad horyzontem chmurę. Rosła w oczach, pędziła w ich kierunku, gdy patrzyli ze zdziwieniem, bo nigdy takiej nie widzieli.

–Co to jest? – spytał Sigurnath.

–Kurz – odparł Peremandu, znany z bystrego wzroku. – Kłęb kurzu. Może to wielkie stado kaczkodziobów.

–Polowałem na nie, lecz nigdy nie widziałem czegoś podobnego. To jest zbyt wielkie, zbyt szerokie – a do tego wciąż rośnie.

Patrzyli w osłupieniu na zbliżającą się chmurę kurzu, aż dostrzegli biegnące przed nią zwierzęta. Było to rzeczywiście wielkie stado. Kilka stworzeń biegło na przedzie i Peremandu przysłonił oczy dłonią, by je rozpoznać.

–To murgu! – krzyknął w nagłym przerażeniu. – Śmiercio-kijowe murgu. Uciekajmy!

Pognali z powrotem wzdłuż rzeki, wyraźnie widoczni w sięgającej kolan trawie. Z tyłu rozlegały się ochryple krzyki, dudnienie ciężkich nóg i nagle ostre trzaski.

Sigurnath został w tyle, upadł i Peremandu dojrzał kątem oka strzałkę, która utkwiała nagle w jego karku.

Równiną nie można było uciec. Peremandu skręcił w lewo, wzbijając nogami tuman kurzu. Skoczył z wysokiego brzegu, zrobił salto w powietrzu i osłaniając głowę, wpadł do płynącej w dole wody.

Dwie wielkie bestie zwolniły i stanęły na skraju urwiska; Yilanč zsiadły z wysokich sodeł i spojrzały na mulistą rzekę. Nie było nic widać. Długo stały bez ruchu. Potem jedna z nich odwróciła się i podjechała do tarakasta.

–Meldunek dla Vaintč – powiedziała. – Powiedzcie jej, że natrafiłyśmy na dwa ustuzou. Oba nie żyją. Pozostałe nie dowiedzą się o naszej obecności. Napadniemy na nie, jak zaplanowałyśmy.

ROZDZIAŁ XV

Głośne krzyki sprawiły, że Kerrick obudził się nagle, wpatrując w mrok namiotu. Armun też się zaniepokoiła, mruzczała coś przez sen, gdy odsuwał od niej swe ciepłe ciało. Krzyki zbliżały się; Kerrick wstał i zaczął wśród futer szukać ubrania.

Po odrzuceniu poły namiotu zobaczył biegnącą ku niemu grupę łowców. Nieśli pochodnie, a dwaj podtrzymywali jakiś ciemny kształt. Zwiślał im ciężko, nieruchomo. Na przedzie biegł Herilak.

–Nadchodzą – zawołał i Kerrick poczuł, jak włosy stają mu dęba.

–To Peremandu – dodał Herilak. – Biegł cały dzień, a także większość nocy.

Peremandu był przytomny, lecz całkowicie wyczerpany. Przynieśli go do Kerricka i posadzili ostrożnie na trawie. W migoczącym świetle pochodni widać było bladość jego skóry i czarne obwódki wokół oczu.

–Idą... – wychrypiał. – Za mną... Sigurnath nie żyje.

–Czy nad rzeką są strażę? – spytał Kerrick, a słysząc to Peremandu z wysiłkiem pokręcił głową.

–Nie wodą. Łądem.

–Biegnijcie – rozkazał Herilak łowcom, którzy przynieśli Peremandu. – Obudźcie wszystkich. Zawołajcie tu sammadarów.

Z namiotu wyszła Armun, nachyliła się nad Peremandu i przytknęła mu do ust kubek z wodą. Napił się łapczywie, dysząc z wysiłku. Trochę łatwiej było mu teraz mówić.

–Obserwowaliśmy rzekę, ale nadeszli łądem. Wpierw była chmura kurzu większa od wszystkiego, co widzieliśmy. To były murgu, niezliczona ilość, biegły szybko, ciężko stąpając, mając na swych grzbietach murgu śmiercio-kijowe. Siedziały też na innych stworach, większych i szybszych, które biegły na przedzie. Zobaczyły nas, gdy zaczęliśmy uciekać, zabiły Sigurnatha. Ja skoczyłem do rzeki, wstrzymałem oddech, dopóki tylko mogłem. Płynęłem głęboko, z prądem. Długo czekałem w wodzie, gdy się wynurzyłem, już ich nie było.

Tymczasem przybiegli sammadarzy; coraz więcej łowców zbierało się, słuchając w milczeniu. Pochodnie rzucały blask na ich ponure twarze.

–Gdy wyszedłem z wody, już ich nie było. Widziałem w oddali kurz, jaki wzbijały. Szły bardzo szybko. Poszedłem ich śladem, był to szeroki jak rzeka pas zdeptanej

trawy, znaczony wielkimi bryłami łajna. Szedłem za nimi, dopóki słońce się nie zniżyło i zobaczyłem, że zatrzymały się nad rzeką. Zatrzymałem się również, nie podchodząc bliżej. Margalus, mówił, że nie lubią nocy i wtedy śpią. Pamiętając o tym, czekałem na zachód słońca. Gdy tylko się ściemniło, obszedłem je z dala od wschodu, by się do nich nie zbliżyć. Więcej ich nie widziałem. Pobiegłem bez odpoczynku i jestem tutaj. Sigurnath nie żyje.

Opadł na ziemię, wyczerpany opowiadaniem. Jego słowa wzbudziły przerażenie wśród słuchaczy; czuli, że zbliża się śmierć.

–Zaatakują – powiedział Kerrick – wkrótce po świcie. Wiedzą dokładnie, gdzie jesteście. Takie rzeczy planują starannie. Zatrzymały się na noc na tyle daleko, byśmy ich nie słyszeli, lecz na tyle blisko, by uderzyć rano.

–Musimy się bronić – stwierdził Herilak.

–Nie! Nie możemy tu zostać. – Kerrick powiedział to szybko, niemal bez namysłu.

–Jeśli ruszymy, napadną nas w drodze – zaprotestował Herilak. – Będziemy bezbronni, wyrzną nas. Lepiej zostać tutaj, gdzie możemy znaleźć osłonę.

–Wysłuchajcie mnie – powiedział Kerrick. – Jeśli tu zostaniemy, zrobimy dokładnie to, czego się po nas spodziewają. Ich plan polega na zaatakowaniu nas tutaj. Możecie być pewni, że atak został opracowany w najdrobniejszych szczegółach i że jego celem jest zniszczenie nas. Musimy znaleźć wyjście, pomyśleć, jak możemy się uratować. O bestiach, na których jadą, nigdy nie słyszałem ani ich nie widziałem. Ale to nie ma znaczenia. Mają za sobą pomoc i zapasy całego drugiego świata. Są tam niezliczone dziwne stworzenia. Murgu, jakich sobie nawet nie wyobrażamy. Najważniejsze, że o nich wiemy, że zostaliśmy uprzedzeni. – Rozejrzał się. – Wybraliśmy to miejsce na obozowisko, bo jest tu woda i możemy obronić się przed atakiem od strony rzeki. Czy przybywają też wodą? Czy widziałeś jakieś łodzie?

–Żadnych – odparł Peremandu. – Rzeka była pusta. Są tak liczni, że nie potrzebują wsparcia. Jest ich tyle, co ptaków, gdy zbierają się jesienią, by odlecieć na południe. Co liści na drzewie, nie da się ich policzyć.

–Zdepczą naszą osłonę cierniową – powiedział Kerrick. – Musimy natychmiast wyruszyć. Na północ. Nie możemy tu zostać.

Odpowiedziała mu cisza. Nikt nie chciał mówić, bo wszystko było niezwykle, całkiem nowe. Patrzyli na swych przywódców. Sammadarzy spoglądali na Herilaka. Decyzja należała do niego. Miał równie ponurą twarz, jak i oni, a do tego spoczywała na nim cała odpowiedzialność. Rozejrzał się dookoła, potem wyprostował i stuknął o ziemię końcem włóczni.

–Ruszamy. Margalus ma rację. Jeśli tu zostaniemy, czeka nas pewna śmierć. Jeśli mamy stawić im czoła, to w miejscu wybranym przez nas. Minęło dopiero pół nocy. Musimy skorzystać ile się da z jej reszty. Zwiąć namioty...

–Nie – przerwał Kerrick. – To byłby błąd – z wielu powodów. Zajmie to czas, a nie mamy go wiele. Jeśli załadujemy namioty, włóki bardzo się obciążą i będą nas hamowały. Zabieramy broń, żywność, ubrania – nic więcej.

Słuchały tego kobiety; jedna z nich zaczęła zawodzić.

–Nowe namioty możemy zrobić – powiedział Kerrick. – Ale nikt nie wróci nam życia. Załadujcie na włóki jedynie to, co powiedziałem. Wsadźcie niemowlęta i małe dzieci. Namioty niech zostaną. Murgu nie będą wiedziały, że są puste. Zaatakują, zużyją swe strzałki, stracą czas. Potrzebujemy go jak najwięcej. Powiedziałem, co należy zrobić.

–Róbcie, jak każe margal us – powiedział Kerrick, potrząsając włócznią. – Ruszajcie się.

Mastodonty trąbiły protestując, że je zbudzono, lecz wstały po brutalnych uderzeniach we wrażliwe kąciki pysków. Rozpalono ogniska przed namiotami i szybko zaprzężono włóki. Kerrick zostawił Armun, by załadowała co konieczne i pośpieszył poza obóz, na czoło tworzącej się kolumny, gdzie czekał już Herilak. Wskazał na północ.

–Teren się tam wznosi, pamiętaj o tym. Są tam zalesione, strome wzgórza, w niektórych miejscach z ziemi wystają skały. Musimy je osiągnąć, nim nas dogonią. To tam znajdziemy pozycje, których można bronić.

Pojawił się księżyc, świt zbliżał się coraz bardziej, gdy wreszcie byli gotowi. Szli w jednym szeregu, mastodonty ryczały, gdy zmuszano je do szybszego biegu, obok spieszyli łowcy. Od dość dawna polowali na tych ziemiach, znali tu każde zagłębienie i wzniesienie. Sammady wybierały najłatwiejszy, zapewniający największą szybkość szlak na północ.

Gdy rozwidniło się, kolumna była znacznie rozciągnięta. Ludzie nie mieli siły, by biec, z trudem utrzymywali tempo. Mastodonty, zbyt osłabione, by protestować, wytrwale stawały swe wielkie nogi. Łowcy szli, oglądając się za siebie, choć nikt ich nie gonił. Na razie. Marsz trwał.

Upłynęło wiele czasu wypełnianego się zmęczeniem, nim Herilak nakazał postój.

–Pić i odpoczywać – polecił, oglądając się na drogę, którą pokonali. Czekał, aż zbliży się kolumna. Przywołał do siebie Peremandu. – Wiesz, jak daleko od naszego obozowiska były murgu. Czy już do niego doszły?

Peremandu spojrział na południe i zmrużył oczy w namyśle. Mówił z wahaniem.

–Ja straciłem na to więcej czasu, lecz one są znacznie szybsze. Już tam są.

–A niedługo będą przy nas – powiedział ponuro Harilak. Odwrócił się i spojrział na wschód, potem wskazał na wzgórze. – Tam. Musimy tam znaleźć miejsce obrony. Ruszamy.

Teren zaczął się wkrótce wznosić, zmęczone mastodanty zwolniły kroku i trzeba je było popędzać. Droga zaprowadziła ich do doliny, na której dnie wiał się potok. Do Herilaka podbiegł jeden z łowców idących przodem.

–Dolina staje się coraz bardziej stroma i wkrótce trudno będzie się z niej wydostać.

Skręcili więc na zbocze, a gdy je pokonali, Herilak wskazał na jeszcze bardziej strome, najeżone skałami wzgórze. Jego stoki wznosiły się ku zalesionemu wierzchołkowi.

–Tego nam trzeba. Jeśli się tam schowamy, nie zdołają zająć nas od tyłu. Będą musiały wspinać się tym stokiem. Znajdą się wtedy na otwartej przestrzeni, a my będziemy ukryci wśród drzew. Tam się zatrzymamy.

Kerrick słuchał tego z ulgą, bo ledwo trzymał się na nogach. Pulsowały one bólem po wyczerpującym marszu i każdy krok powodował mękę. Nie pora była jednak myśleć o sobie.

–To dobry plan – powiedział. – Zwierzęta są zmęczone i dalej nie pójną. Trzeba je odprowadzić w głąb lasu, by się najadły i odpoczęły. Podobnie kobiety. Wszyscy musimy odpocząć, bo po zmroku ruszymy dalej. Jeśli murgu jest tak dużo, jak mówił Peremandu, to nie damy rady zabić ich wszystkich. Wystarczy, że je powstrzymamy. Co ty na to, Herilaku?

–Myślę, że choć sytuacja jest trudna, trzeba tak zrobić. Zaczekamy na atak na skraju lasu. Mastodonty wejdą głębiej między drzewa. Har-Havola, niech dobrzy biegacze z twego sammadu poszukają drogi przez las, dopóki jest jeszcze widno. Będziemy walczyć. Po zmroku pójdziemy dalej.

Maruderzy wspinali się jeszcze po stoku, gdy jeden z łowców ostrzegawczo krzyknął i wskazał na zachód, na chmurę wznoszącą się za pierwszym wzgórzem. Jej widok zmusił do wysiłku idących w tyle.

Lekki wiatr szumiał w gałęziach nad ich głowami. Kerrick siedział na miękkiej trawie obok Herilaka, przedwieczorne słońce grzało im twarze, gdy pieczołowicie karmili strzałkami hčsotsany. Chmura kurzu była coraz bliżej. Herilak wstał i skinieniem ręki kazał łowcom się ukryć.

–Schowajcie się – polecił. – Nie ściskajcie śmiercio-kijów, póki nie rozkażę strzelać – bez względu na to, jak blisko podejda. Potem zabijajcie. Mordujcie je, aż ułożą się w wysokie stosy, a atakujące nie przejdą przez zwały trupów. Nie wycofywać się bez rozkazu. Gdy go ogłoszę, odchodźcie po kilku. Zatrzymujcie się za drzewami. Przepuszczajcie innych. Chcę, by łowcy kryli się i bezustannie zabijali. Niech murgu idą między drzewami, tak jak na stoku. Pamiętajcie, tylko my stoimy między nimi a sammadami. Nie przepuście ich.

Murgu zbliżyły się, chmura pyłu wzbijała się teraz z doliny, którą nie tak dawno wspinały się sammady. Kerrick wyciągnął się za pniem wielkiego drzewa, oparł hčsotsan na uschłej gałęzi. Z trawy wzleciało stadko ptaków i zatrzepotało skrzydełkami nad głowami łowców. Huk, przypominający odległy grzmot, stawał się coraz głośniejszy.

Na szczycie sąsiedniego wzgórza ukazał się nagle rząd ciemnych sylwetek; poruszały się wolno, lecz wytrwale. Kerrick leżał bez ruchu, przyciskał się do ziemi czując, jak szybko bije mu serce.

Bestie, na których atakowano, były wielkie, przypominały trochę epetruki. Poruszały się na wielkich tylnych łapach, grube ogony zamiatały za nimi ziemię. Na każdym siedziała Yilanč. Stały na chwilę, wpatrując się w zbocze i las. Czekwały aż dogonią je dalsze oddziały.

Kerrick patrzył ze zdumieniem, jak szczyt wzgórza zaroił się od ciemnych, biegnących postaci, od niskich zwierząt mających dużo nóg. Cztery nogi z każdego boku, razem osiem. Zatrzymały się także, drepcząc w miejscu; na ich grzbietach siedziały uzbrojone fargi. Dziwne zwierzęta miały małe łby na grubych szyjach. Dostarczały na wzgórze coraz to nowe fargi. Przybywało ich coraz więcej, tłoczyły się – by nagle ruszyć.

Wiatr niósł krzyki Yilanč, głośnie dudnienie kopyt, ryki bestii, mocny, zwierzęcy zapach.

Zbliżały się coraz bardziej, wspinały prosto ku garstce łowców kryjących się pod drzewami. Widać już było wyraźnie każdy szczegół nakrapianej skóry zwierząt, trzymające kurczowo broń, zakurzone fargi i poprzedzające je Yilanč na wielkich wierzchowcach.

Śpiewny krzyk Herilaka ledwo był słyszalny wśród grzmotu nadciągających napastników.

Trzasnęły pierwsze śmiercio-kije.

ROZDZIAŁ XVI

Kerrick wypalił do najbliższej Yilanč, chybił, lecz trafił w wierzchowca. Ten stanął dęba i upadł ciężko, ściągając ją na ziemię. Nie ucierpiała i wycelowała hčsotsan. Następną strzałką Kerricka trafiła ją w szyję, porażając na zawsze.

To była rzeź. Pierwszy szereg napastniczek padł pod ogniem zza drzew. Trafiono wiele ośmionogich bestii: padały, zrzucając na ziemię jadące na nich fargi. Te, które szły z przodu, zostały zabite, nim dotarły do drzew. Pozostałe cofnęły się, zmieszały z ciągle nadciągającymi Yilanč. Strzałki same znajdowały sobie cel w tym kłębowisku, piętrząc wysoko ciała. Atak w końcu ustał, powstrzymany przez barierę trupów. Powietrze wypełniały krzyki rannych fargi, przygniecionych przez upadające bestie.

Zgrupowane za atakującymi, dosiadające wierzchowców Yilanč wykrzykiwały rozkazy. Pod ich wpływem fargi zaczęły się kryć, odpowiadać strzałami. Kerrick opuścił swą broń, by zrozumieć wydawane polecenia. Jedna z dowodzących podjechała do napastniczek, wołając o uwagę. Kerrick uniósł hčsotsan, lecz ostrożnie trzymała się poza zasięgiem strzałek. Słyszał ją teraz wyraźnie, porządkowała cały ten chaos. Kerrick rozumiał każde jej słowo.

Wszystko w nim zamarło. Ten głos. Znał ten głos!

Ale przecież Vaintč nie żyje, sam ją zabił. Pchnął ją głęboko. Zabił ją! Nie żyła.

A jednak był to niewątpliwie jej głos donośny, nie znoszący sprzeciwu.

Kerrick skoczył na równe nogi, usiłując się jej przyjrzeć, lecz odwróciła się plecami. Gdy spojrzała ku niemu, ktoś uderzył go mocno w plecy, zwałił na ziemię, wciągnął pod osłonę. Wokół liście spadały od strzałek. Herilak puścił go i sam się ukrył.

–To była ona – głos Kerricka drżał ze zdenerwowania. – Ta, którą zabiłem, sammadar wszystkich murgu. Ale ja ją zabiłem, widziałeś.

–Widziałem, jak pchnąłeś maraga. Może nie tak łatwo je zabić.

Żyje. Nie miał wątpliwości. Nadal żyje. Kerrick pokręcił głową i uniósł hčsotsan. Teraz nie ma czasu nad tym się zastanawiać. Póki nie spróbuje zabić ją znowu. Nadal żyje. Skupił swe myśli na bitwie.

Jak dotąd napastniczki wystrzeliły tylko po kilka strzałek, tak druzgocąca była ich porażka. Teraz jednak znalazły osłonę za ciałami swych poległych i zaczęły się ostrzeliwać; liście szeleściły i drżały od uderzeń niezliczonych strzałek.

–Nie pokazywać się – zawołał Herilak. – Leżcie! Czekajcie, dopóki nie zaatakują.

Yilanč, które przeżyły pierwsze natarcie, odprowadzały teraz ogromne tarakasty w bezpieczne miejsce za tłumem uruktopów i fargi. Rozległy się głośnie rozkazy, podrywające do ponownego ataku. Fargi wstały niechętnie i pobiegły naprzód, by zginąć. Atak załamał się, nim na dobre się rozpoczął.

–Powstrzymaliśmy je – powiedział Herilak z satysfakcją, patrząc na zasłane ciałami zbocze. – Możemy je zatrzymać.

–Nie na długo. – Kerrick wskazał na podnóże wzgórza. – Gdy atakują od strony morza, stosują manewr o nazwie „wyciągnięte ręce”. Okrążają przeciwnika z obu stron, potem zachodzą go od tyłu. Sądzę, że robią to teraz.

–Możemy je powstrzymać.

–Tylko na chwilę. Znam jednak ich taktykę. Będą atakowały coraz szerszym frontem, aż obejdą nasze skrzydła. Musimy być na to przygotowani.

Kerrick miał rację. Fargi zeszły z ośmionogich uruktopów i rozsypały się u stóp wzgórza, podchodząc powoli do góry. Ginęły, ale w to miejsce wysyłano następne. Straty były ogromne, lecz dowodzące Yilanč nie liczyły się z tym. Ukazywało się coraz więcej fargi, kryjących się za trupami. Niektórym udało się nawet, nim padły, osiągnąć skraj lasu.

Po południu pierwsze fargi dotarły do lasu. Szybko dołączyły do nich następne i obrońcy Tanu musieli się wycofać.

Zaczęła się teraz odmienna, choć równie krwawa faza bitwy. Mało która fargi czuła się pewnie w lesie. Gdy tylko opuszczały kryjówki, dopadała je śmierć. Mimo to podchodziły wciąż nowe. Nie było już jednego frontu walki, ludzie i zwierzęta mieszały się ze sobą w ciemnościach pod drzewami.

Kerrick wycofał się wraz z innymi, ból w nodze niemal minął. Starał się, by między nim a fargi były pnie. Gdy się jednak wyprostował, usłyszał ostry trzask i w korę obok twarzy uderzyła strzałka. Odwrócił się i trzymaną w lewej ręce włócznię zatopił w fargi, która zaszła go od tyłu. Wyrwał broń i popędził głębiej w las.

Zaczął się kolejny etap odwrotu. Wydawane szeptem polecenia poderwały mastodonty do ucieczki, łowcy skupili się za nimi, strzegąc tyłów. W lesie rozległy się teraz inne, nie przypominające języka Tanu komendy i Kerrick zatrzymał się z dłonią przy uchu. Słuchał uważnie, potem odwrócił się i pobiegł między drzewa szukać Herilaka.

–Wycofują się – powiedział mu. – Nie widząc ich, nie wiem na pewno, co mówią, lecz mogę się domyśleć.

–Uciekają pobite?

–Nie – Kerrick spojrzął na ciemniejące nad drzewami niebo. – Wkrótce zapadnie noc. Przegrupowują się na otwartej przestrzeni. Zaatakują znowu rano.

–Będziemy wtedy daleko. Odszkodzimy od nich i dołączymy do sammadów.

–Musimy wpierw jeszcze coś zrobić. Trzeba przeszukać las, znaleźć jak najwięcej śmiercio-kijów. Potem będziemy mogli odejść.

–Masz rację. Śmiercio-kije i strzałki. Zbyt wiele ich zużyliśmy.

Noc zapadła, gdy pozbierali broń i wracali z nią do sammadów. Kerrick szedł na końcu. Stawał i oglądał się do tyłu, aż zawołał go Herilak. Skinął wtedy na wielkiego łowcę, by podszedł. Wskazał za siebie ręką.

–Niech inni wracają z bronią. My dwaj zbliżymy się do obozu murgu. Nie lubią ciemności. Może zdołamy coś im zrobić.

–Zaatakować w nocy?

–Właśnie to musimy sprawdzić.

Szli powoli, z przygotowaną bronią, lecz na wzgórzach nie było nieprzyjaciela. Nie odeszły jednak daleko. Widzieli wyraźnie obóz na położonych dalej trawiastych stokach. Olbrzymie zbiorowisko skupionych razem ciemnych ciał, milczących i nieruchomych.

Obaj łowcy nie zaniedbali żadnych środków ostrożności. Podchodzili schyleni nisko w trawie, potem czołgali się cicho z bronią gotową do strzału. Gdy znaleźli się o długi lot strzały od obozowiska Yilanč, Herilak powstrzymał Kerricka lekkim dotknięciem w ramię.

–To zbyt łatwe – szepnął mu do ucha. – Czy nie mają żadnych strażników?

–Nie wiem. Na ogół wszystkie śpią w nocy. Musimy się przekonać. Podczołgali się jeszcze kilka kroków, gdy palce Kerricka dotknęły czegoś zimnego; kija, może pnącza, ukrytego w trawie. Ruszyło się to leniwie między jego palcami.

–W tył! – zawołał do Herilaka, gdy w mroku przed nimi coś zabłysło. Przymglone światło wkrótce się rozjarzyło; widzieli teraz wszystko wyraźnie. I byli również widziani. Rozległ się trzask broni, niosące śmierć strzałki zasypały trawę wokół nich. Czołgali się jak tylko mogli najszybciej, potem wstali i pobiegli w bezpieczny mrok.

Za nimi światła przygasały i zniknęły, powrócił mrok. Yilanč wyciągnęły naukę z rzezi

na plażach. Nie można już było dokonać nocnego ataku.

Gdy Kerrick i Herilak dołączyli do sammadów, ładowano na włóki pozbierane strzałki i hčsotsany. Zaczął się kolejny odwrót. W czasie drogi Herilak rozmawiał z sammadarami.

Z bitwy w lesie nie wrócili czterej łowcy.

Kolumna szła powoli, o wiele za wolno, by umknąć przed atakiem, który miał nastąpić rano. Wszyscy byli zmęczeni po dwóch nocach marszu z odrobiną snu. Mastodonty protestowały rykiem, gdy je poganiano. Lecz mimo wszystko sammady parły naprzód, bo nie miały innego wyboru. Jeśli staną, zginą.

Teren był nierówny, skalisty, prowadził przeważnie pod górę. Szli coraz wolniej i jeszcze przed świtem ustali zupełnie. Sorli przyniósł Herilakowi wiadomość.

–To zwierzęta. Nie chcą iść dalej, nawet klute włóczniami.

–No to musimy się tu zatrzymać – powiedział Herilak, znużony jak wszyscy. – Odpocznijcie, prześpijcie się. O świcie ruszymy dalej.

Rano zerwał się chłodny wiatr i wszyscy drżeli, niemrawo wstając spod przykrycia skór. Byli zniechęceni i wyczerpani. Jedynie świadomość nieuniknionej pogoni nieprzyjaciela zmusiła ich znów do drogi. U boku Kerricka szła milcząca Armun. Nie mieli ochoty na rozmowę. Wystarczało, że szli obok siebie, popędzali oporne mastodonty.

Z boku stał oparty na włóczni łowca. Czekał, aż Kerrick podejdzie do niego.

–Wysłał mnie sacripex – powiedział. – Chce, byś dołączył do niego na przedzie.

Z wielkim wysiłkiem, nie zwracając uwagi na powracający ból nogi, Kerrick zaczął biec obok kolumny. Mijał dzieci, niemowlęta na rękach kobiet. Mimo zdjęcia części ciężarów, mastodonty zataczały się ze zmęczenia. Niedługo padną.

Gdy Kerrick z trudem dogonił Herilaka, ten wskazał na wzgórze przed nimi.

–Znaleźliśmy tam pokryty lasem grzbiet – powiedział. – Bardzo podobny do tego, na którym zatrzymaliśmy wczoraj murgu.

–Nie... to za mało – wysapał Kerrick, z trudem łapiąc dech. – Wróg jest zbyt liczny. Otoczą nas znowu, odepchną.

–Może dostały nauczkę. Nawet murgu nie są takie głupie. Będą trzymały się z tyłu. Wiedzą, że zginą, jeżeli zaatakują. Kerrick ze smutkiem pokręcił głową.

–Tak może postąpiliby Tanu. Widząc śmierć innych, lękaliby się o swoje życie. Ale nie murgu. Znam je, znam aż za dobrze. Yilanč dosiadające wielkich bestii będą rzeczywiście trzymały się z tyłu. Zabezpieczą się, każąc jednak, jak poprzednio, atakować fargi.

–A jeśli odmówią?

–Nie mogą. To niemożliwe. Jeśli zrozumieją rozkaz, muszą go wykonać. Tak już z nimi jest. Zaatakują.

–Murgu – Herilak odsłonił ze wstrętu zęby. – No, to co mamy robić?

–A cóż nam zostaje poza ucieczką? – spytał bezradnie Kerrick, głęboko wciągał powietrze, miał szarą ze zmęczenia skórę. – Jeśli zatrzymamy się tu, na otwartej przestrzeni, wyrzną nas. Musimy iść dalej. Może znajdziemy wzgórze, na którym będziemy mogli się bronić.

–Wzgórze można otoczyć. Wtedy zginiemy na pewno.

Droga wznosiła się ostro. Musieli dobywać resztek sił, by się nią wspinać. Po osiągnięciu grzbietu wzgórza musieli stanąć. Kerrick zgiął się we dwoje, szarpany skurczami. Za nim karawana mozolnie pokonywała stok. Gdy się wyprostował i rozejrzał, zamarł na chwilę z otwartymi szeroko ustami i oczyma.

–Herilaku – zawołał. – Patrz tam, w górę, na te wyższe wzgórza. Czy coś widzisz?

Herilak osłonił oczy i patrzył w dal, potem wzruszył ramionami i odwrócił się.

–Śnieg. Zima trzyma się tam mocno.

–Nie rozumiesz? Murgu nie znoszą zimna. Stworzenia, na których jada, nie pójdą po śniegu. Nie będą nas tam ścigały!

Herilak ponownie uniósł wzrok, lecz tym razem zapaliła się w nim iskierka nadziei.

–Do śniegu nie jest aż tak daleko. Możemy dziś do niego dojść, jeśli będziemy szli stale.

Zawołał łowców wskazujących drogę. Kazał im wrócić, wydał nowe polecenia. Potem usiadł chrząkając z zadowoleniem.

–Sammady pójdą dalej, ale część nas musi tu zostać i powstrzymać goniące nas murgu.

Odzyskali nadzieję, możliwość przeżycia dodała im otuchy. Nawet mastodonty wyczuły podniecenie, wzniosły trąby i zaryczały. Łowcy popatrzyli jak karawana

skręca, zaczyna wspinaczkę na wysokie wzgórza, potem ruszyli za nią.

Teraz będą polowali na murgu tak jak na każde groźne zwierzę. Sammady zniknęły im z oczu, gdy Herilak zatrzymał łowców w górnej partii doliny. Leżało tu osypisko z wieloma wielkimi głazami.

–Zatrzymamy je tutaj, wpuścimy między nas. Potem strzelajcie i zabijajcie. Powalcie dowodzące. Odpędźcie je. Zabierzcie ich broń i strzałki. Co wtedy zrobią, margalusie?

–To samo co wczoraj – powiedział Kerrick. – Będą nas niepokoiły wzdłuż całej linii, a jednocześnie wyślą fargi, by obeszły grzbiet i wzięty nas z boku i od tyłu.

–Tego nam właśnie trzeba. Wycofamy się, nim zamkną pułapkę.

–I zastawimy naszą! Będziemy to powtarzać! – zawołał Sorli.

–Zgadza się – powiedział Herilak, choć w jego chłodnym uśmiechu nie było radości.

Wyszukali sobie kryjówki za głazami, po obu stronach doliny. Wielu, z Kerrickiem włącznie, zasnęło natychmiast po położeniu się. Jednakże Herilak, ich sacripex, nie spał, bacznie obserwując zza starannie ułożonych dwóch odłamków skaty drogę, którą przyszli.

Gdy pokazały się pierwsze zwiadowczynie, nakazał zbudzić śpiących. Wkrótce dolina wypełniła się hałasem ciężkich kroków uruktopów. Przed główną grupą, wskazując drogę, jechały Yilanč na tarakastach. Wspinały się na wzgórze, minęły niewidocznych Tanu i osiągnęły grzbiet, zanim wolniejsze uruktopy weszły głębiej w pułapkę.

Padł rozkaz strzelania.

Rzeź była straszna, większa niż poprzedniego dnia. Łowcy strzelali bez przerwy, krzycząc przy tym z radości. Yilanč, które ich minęły, zawróciły. Wierzchowce zabito, wzmagając śmiertelny chaos. Runął uruktop. Zginęły jadące na nim fargi. Te, które próbowały ucieczki, zostały zastrzelone. Pierwsze szeregi napastniczek uległy zniszczeniu i wróg cofnął się, by dokonać przegrupowania. Łowcy ścigali murgu, kryjąc się między zabitymi; ich broni używali przeciwko żywym napastniczkom.

Wrócili dopiero na ostrzegawczy krzyk stojącego na szczycie wartownika. Odbiegli w głąb doliny, poza zasięg broni nieprzyjaciela. Kryjąc się w bruzdach wrytych przez włóki, wspinali się coraz wyżej na wzgórze.

Jeszcze dwukrotnie zasadzili się na murgu. Dwukrotnie zastawili na nie pułapkę, zabijając je i rozbijając. Słońce zbliżało się do widnokręgu, gdy uciekali. A potem

znów trafili na szlak karawany.

–Długo tak nie pociągniemy – Kerrick zataczał się z bólu i wyczerpania.

–Musimy. Nie mamy innego wyboru – odpowiedział mu ponuro Herilak, wytrwale idąc naprzód. Nawet on, mimo swej ogromnej siły, czuł znużenie. Mógł iść dalej, lecz wiedział, że inni niedługo padną ze zmęczenia. W twarz wiał mu zimny wiatr. Pośliznął się, odzyskał równowagę i obejrzał za siebie.

Zwycięski krzyk Herilaka przebił się przez obezwładniające Kerricka wyczerpanie. Rozejrzał się półprzytomnie, potem jego wzrok podążył za wskazującym na ziemię palcem.

Szlak był błotnisty, nierówny, obok głębokich bruzd piętrzyły się kupy gnoju mastodontów. Nie rozumiał, dlaczego Herilak krzyczy. Lecz na błocie widniały białe plamki, a wyżej robiło się coraz bielej.

Śnieg.

Leżał na wznoszącym się przed nimi stoku. Przecinał go błotnisty szlak po przejściu sammadów! Kerrick podbiegł ciężko do zasy obok drogi, nabrał pełne dłonie zimnego, białego puchu i wyrzucił go w powietrze. Wszyscy śmiali się i wiwatowali.

Na szczycie zatrzymali się, stojąc w zaspie po kolana. Spoglądali w dół na pierwsze zwiadowczynie Yilanč. Powstrzymały swe wierzchowce po osiągnięciu stoku pokrytego śniegiem.

Za nimi zatrzymała się także reszta napastniczek. Fargi zbiły się w gromadę, podczas gdy jadące wierzchem Yilanč urządziły naradę.

Potem ruszyły znów. Nie do góry, lecz w dół stoku. Szły powoli, aż zniknęły z oczu.

ROZDZIAŁ XVII

Pokrywający rzekę lód zaczął pękać, piętrzyć się w zatory, które potem wielkimi krami spływały z nurtem do morza. Choć wiosna już tu dotarła, w osłoniętych miejscach lód nadal skuwał brzeg, zagłębienia wypełniał śnieg. Ale na łąkach, w szerokim zakolu rzeki małe stadko saren skubało już cienkie źdźbła nowej żółtozielonej trawy. Rozglądały się, strzygąc uszami, łapały w nozdrza powietrze. Coś je zaniepokoiło, bo w długich, pięknych susach zniknęły między drzewami.

Herilak stał w cieniu wysokiego, wiecznie zielonego drzewa, wdychał aromatyczny zapach jego igieł i spoglądał na opuszczone jesienią obozowisko. Uścisk zimy zelżał; wiosna tego roku przyszła wcześniej, co nie zdarzało się od wielu lat. Może skończyły się już lodozimy? Może. Z tyłu, z lasu, doszedł go odgłos skrzypiącej uprzęży i radosne trąbienie mastodonta. Zwierzęta poznawały okolicę, wiedziały gdzie są; wędrownka dobiegała końca.

Z lasu wynurzyli się cicho łowcy, wśród nich Kerrick. Odczuli ulgę, że mogą już stanąć, rozbić obóz w znajomym miejscu, zbudować szałas. Zatrzymać się na jakiś czas w jednym miejscu. Zima dopiero się skończyła, na razie nie musieli przejmować się następną. Kerrick spojrział na przelatującego wysoko białego ptaka. To tylko ptak.

Pomimo słonecznego nastroju powróciły mroczne wspomnienia. Były w nich Yilanč, tkwiły tam jak nigdy nie niknąca groźba, jak burza, która może rozszaleć się w każdej chwili. Cała przyszłość Tanu, wszystkie ich plany są uzależnione od czyhającej na południu śmierci. Mastodonty trąbiły jak oszalałe, przerwał rozmyślenia. Dosyć! Będzie jeszcze czas na troski. Teraz pora rozbijać obóz, rozpalać ogniska, piec świeże mięso. Pora przerwać wędrownkę.

Kerrick, Herilak, stary Fraken, obaj sammadarzy spędzili noc wokół ognia. Mieli pełne żołądki, byli zadowoleni. Sorli grzebał w ognisku, wzbily się z niego błyszczące iskry i zniknęły w mroku. Księżyc w pełni wzniósł się zza drzew, noc była cicha. Sorli wyciągnął zwęgloną gałąź, dmuchnął w nią, aż buchnęła płomieniami, wtedy włożył ją do kamiennego cybucha fajki. Zaciągnął się głęboko, wypuścił szary kłęb dymu i podał fajkę Har-Havoli. Ten również zaciągnął się głęboko, powoli. Byli teraz sammadem sammadów, nikt już nie pokpiwał z tego, że on i jego ludzie mówią nieco inaczej. Nikt nie śmiałyby, zwłaszcza teraz po wspólnie spędzonej zimie i zwycięskiej walce z murgu. Trzej jego młodzi łowcy mieli już kobiety z innych sammadów. Była to naturalna droga do pokoju.

–Fraken – zawołał Herilak. – Opowiedz nam o bitwie. Opowiedz, jak padały murgu.

Fraken kręcił głową, udając zmęczenie, lecz gdy wszyscy zaczęli go błagać, gdy

zobaczył coraz więcej osób gromadzących się wokół ogniska, dał się namówić. Mruczał coś nosowo, kołysząc się przy tym, potem śpiewając zaczął opowiadać wydarzenia zimy:

–...wiele razy podchodziły wzgórzem, wiele razy łowcy stawiali im czoła zabijając je ciągle i ciągle. W końcu wokół każdego łowcy tak wysoko spiętrzyły się ciała, że nikt nie był spoza nich widoczny. Każdy łowca zabił tyle murgu, ile traw porasta zboczne góry. Każdy łowca przebijał murgu, aż miał ich po pięć na jednej włóczni. Silni byli łowcy tego dnia. Wysokie były wzgórza zwłok.

Słuchali tego, kiwając głowami i rosnąc z dumy. Fajka przechodziła z rąk do rąk, Fraken opiewał ich zwycięstwa, jego głos wznosił się i opadał od emocji. Wszyscy słuchali go chciwie. Zgromadziły się tam nawet kobiety i małe dzieci. Gdy skończył, pozostali długo w milczeniu wspominali. Było co pamiętać, wydarzyło się coś bardzo ważnego.

Ognisko przygasło. Kerrick dorzucił do niego drew, usiadł oszołomiony. Dym fajki był zbyt mocny, nie był do niego przyzwyczajony. Fraken otulił się futrami i poszedł znużony do namiotu. Kobiety odeszły, pozostało tylko kilku łowców. Herilak wpatrywał się w ogień. Har-Havola siedział obok niego i kiwając się niemal zasypiał. Herilak spojrzał na Kerricka.

–Są teraz szczęśliwi – powiedział. – Pełni spokoju. Dobrze, niech zaznają go choć trochę. Zima była długa i ciężka. Lepiej, jak o niej zapomną, póki nie będą musieli pomyśleć o następnej. Niech zapomną i o śmiercio-kijowych murgu.

Umilkł na dłużej, spojrzał na Kerricka i dodał:

–Zabiliśmy ich wiele. Może o nas też zapomną, zostawią w spokoju. Kerrick chciał, żeby tak się stało. Ale jego doświadczenie mówiło co innego. Pokręcił ze smutkiem głową, a Herilak westchnął.

–Przybędą znów – powiedział Kerrick. – Znam te murgu. Nienawidzą nas równie mocno, jak my ich. Czy zniszczyłbyś je wszystkie, gdybyś miał taką możliwość?

–Natychmiast! Z ogromną przyjemnością.

–One czują to samo.

–To co mamy zrobić? Lato będzie krótkie. Nie wiemy nawet, czy łowy się udadzą. Potem przyjdzie nowa zima i co wtedy zrobimy? Jeśli pójdziemy na wschód, by polować nad oceanem, murgu nas tam znajdą.

Jeszcze raz na południe? Wiemy przecież, co spotkało nas na południu. A północ jest skuta lodem.

–Góry – powiedział Har-Havola, którego obudziła rozmowa. – Musimy iść za góry.

–Przecież twój sammad przybył z za gór – odparł Herilak. – Przyszliście tu, bo nie mogliście tam polować. Har-Havola potrząsnął głową.

–To wy mówicie o moim sammadzie, że jest z za gór. Lecz to, co nazywacie górami, to zaledwie pagórki. Dopiero za nimi są prawdziwe góry. Sięgają nieba, ich wierzchołki pokrywa nie topniejący nigdy śnieg. To są góry.

–Słyszałem o nich – powiedział Herilak. – Mówią, że są nieprzebyte, że giną tam ci, którzy próbują je pokonać.

–Zgadza się. Jeśli nie znasz przełęczy, dopadnie cię zima, pochwyci w swe sidła i zginiesz. Jednakże Munan, łowca z mego sammadu, był za górami.

–Murgu nic nie wiedzą o tych górach – Kerrick przypomniał sobie z nagłą nadzieją w głosie. – Nigdy o nich nie mówiły. Co leży za nimi?

–Pustynia, tak mówił nam Munan. Bardzo mało traw, bardzo mało deszczy. Mówił, że szedł dwa dni pustynią, a potem wrócił, bo nie miał wody.

–Powinniśmy tam pójść – Kerrick rozmyślał na głos. Herilak skrzywił się.

–Jeśli przekroczymy lodowe góry, zginiemy na pustyni. To już lepiej zмагаć się z murgu. Przynajmniej umiemy je zabijać.

–Murgu zabiją nas również – odparł gniewnie Kerrick. – Zabijemy część, lecz przybędą dalsze, bo jest ich tyle, ile kropel wody w oceanie. W końcu zginiemy wszyscy. Pustynia nie może ciągnąć się bez końca. Możemy zabrać wodę, odnaleźć najkrótszą drogę. Warto się nad tym zastanowić.

–Tak – zgodził się Herilak. – Istotnie powinniśmy się więcej dowiedzieć. Har-Havola, zawołaj swego łowcę imieniem Munan. Niech opowie nam o górach i tym, co za nimi.

Munan był wysokim łowcą z długimi bliznami, które pokrywały mu policzki i uważane były przez członków jego sammadu i innych sammadów spoza gór za ozdobę męskiej twarzy. Pyknął z fajki, gdy doszła do niego i uważnie wysłuchał pytań.

–Było nas trzech – powiedział. – Wszyscy bardzo młodzi. Robi się takie rzeczy w młodości, by dowieść, że się jest dobrym łowcą. Trzeba dokonać czegoś wyjątkowego. – Dotknął szram na kościach policzkowych. – Tylko bardzo silni otrzymują tę oznakę łowcy.

Har-Havola przytaknął, w świetle ogniska połyskiwały jego blizny.

–Trzech poszło, dwóch wróciło. Wyruszyliśmy na początku lata i pokonaliśmy wysokie przełęcze. Stary łowca z naszego sammadu znał je. Wiedział, jak je przejść, opowiedział nam i znaleźliśmy drogę. Mówił nam, jakich znaków szukać, które przełęcze wybrać. Nie było to łatwe, w najwyższych miejscach leżał głęboki śnieg, lecz w końcu je przeszliśmy. Cały czas kierowaliśmy się na zachód. Za górami są wzgórza, dobrze się tam poluje. Dalej jednak zaczyna się pustynia. Zeszliśmy za nią, lecz nie było tam wody. Wypiliśmy nasze zapasy z bukłaków, a potem wróciliśmy.

–Ale można tam polować? – spytał Herilak. Munan przytaknął.

–Tak. W górach padają deszcze, zimą śnieg. Przylegające do gór wzgórza są zielone. Pustynia zaczyna się dopiero za nimi.

–Czy odnalazłbyś wysokie przełęcze? – spytał Kerrick. Munan kiwnął głową. – Trzeba więc wysłać małą grupę. Muszą odnaleźć drogę, dotrzeć do wzgórz. Gdy tego dokonają, a wszystko będzie tak, jak powiedziałeś, wrócą tu, by poprowadzić sammady.

–Lata są teraz krótkie – powiedział Herilak – a murgu siedzą za blisko. Jeśli przeszedł jeden – przejdziemy wszyscy. Uważam, że tak należy zrobić.

Rozmawiali o tym przez kilka wieczorów. Tak naprawdę nikomu się nie śpieszyło, by pokonywać latem lodowe góry. Zima i tak wkrótce ich dopadnie, nie muszą szukać jej sami. Wszyscy jednak wiedzieli, że trzeba coś zrobić. Trochę tu polowali. Mieli więc zapas świeżego mięsa. Mieli czas kopać korzonki, zbierać rośliny i nasiona, lecz to wszystko za mało, by przetrzymać zimę. Stracili namioty i wiele innych cennych rzeczy. Zachowali jeszcze mięso zabrane murgu, przechowywane w pęcherzach. Nikomu nie smakowało i dopóki mieli coś innego do jedzenia, trzymali je w zapasie. Zostało go sporo, w potrzebie mogło okazać się zbawienne.

Herilak czekał cierpliwie, dopóki polowania się udawały i wszyscy jedli to, na co mieli ochotę. Kobiety wyprawiły kilka skór, gdy zdobędą ich więcej, znów rozbiją namioty. Mastodonty odżywiały się dobrze, ich pomarszczone boki znów się wypełniły. Herilak widział to i czekał. Czekał, póki nie najedzą się do syta, a dzieci nie nabiorą sił. Każdej nocy patrzył w niebo, widział, jak księżyc rośnie, aż stał się jasny, a potem znów niknie. Gdy przepadł ponownie, nabił kamienną fajkę gorzką korą i znów zawołał łowców wokół ogniska.

–Zima nadejdzie jak zawsze. Nie możemy czekać tu na nią. Musimy wyruszyć tam, gdzie łowy bywają udane i gdzie nie ma murgu. Mówię, byśmy przekroczyli wysokie góry i dotarli do leżących za nimi zielonych wzgórz. Jeśli pójdziemy teraz, osiągniemy je jeszcze w lecie; zdołamy też bez trudu pokonać wysokie przełęcze. Munan powiedział nam, że tylko latem można je przebyć. Ruszemy wkrótce i będziemy szli bez obciążenia, tak jak w czasie ucieczki przed murgu. Jeżeli ruszemy

zaraz, znajdziemy się przed zimą na zielonych wzgórzach za górami. Mówię, że nadeszła pora załadowania włóków i skierowania się na zachód.

Nikt nie chciał stąd odchodzić, ale też nikt nie potrafił uzasadnić, dlaczego mieliby pozostać. Tkwiąc między lodem a murgu, nie mieli wyboru. Mówili o tym do późna w noc, lecz nie zdołali znaleźć innego wyjścia. Muszą iść za góry.

Rano złożyli włoki, zastąpili stare rzemienie nową skórą. Mali chłopcy poszukali w lesie zbitych kulek sierści i kości wyplutych przez sowy. Fraken otwierał je i odczytywał znaki.

–Nie dziś, lecz jutro – powiedział. – To pora wyruszenia, o pierwszym brzasku. Gdy słońce wzejdzie nad wzgórze i zajrzy tutaj, nie zobaczy nas. Musimy iść.

Tej nocy, po posiłku, Kerrick siedział przy ognisku, przywiązując trawki do długich cierni głogu. Zapasy strzałek do hčsotsanów znacznie się zmniejszyły, a nie znaleźli tu drzew, na których rosną. Na szczęście nie były konieczne. Hčsotsany wystrzeliwały wszystko, co miało taką samą wielkość. Robione własnoręcznie strzałki spisywały się równie dobrze. Kerrick odgryzł zębami końce węzła. Obok stanęła Arm un, wrzuciła do ognia resztki jedzenia i zaczęła robić pakunek z nielicznych rzeczy. Robiła to bez słowa i Kerrick nagle spostrzegł, że wróciła do swego dawnego zwyczaju przykrywania twarzy włosami.

Chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie, lecz nadal odwracała twarz. Dopiero gdy ujął ją za nadgarstki i obrócił ku sobie, dojrzał w jej oczach łzy.

–Skaleczyłaś się? Co się stało? – spytał ze współczuciem. Potrząsnęła głową i choć usiłowała zachować milczenie, rozszlochała się. W końcu odwróciła twarz, zakryła ją włosami i powiedziała:

–Będę miała dziecko. Na wiosnę.

Rozradowany Kerrick zapomniał o jej łzach, przyciągnął ją do siebie, śmiejąc się głośno. Wiedział już dużo o dzieciach, widział jak się rodziły, jak stawały się dumą rodziców. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Arraun zamiast się cieszyć, płacze z tego powodu. Nie chciała mu powiedzieć i nadal odwracała twarz. Jej milczenie najpierw go martwiło, potem zaczęło złościć, potrząsnął nią, aż zapłakała głośno. Zawstydził się swej brutalności, wytarł jej łzy i objął ją. Gdy się uspokoiła, zrozumiała, że musi mu wszystko powiedzieć. Odchyliła włosy i wskazała na swą twarz.

–To będzie dziewczynka wyglądająca jak ja – powiedziała, dotykając szpary w swych ustach.

–To bardzo dobrze, bo jesteś piękna. Uśmiechnęła się lekko.

–Tylko dla ciebie – powiedziała. – Gdy byłam mała, wytykali mnie palcami. Śmiali się ze mnie i nigdy nie byłam tak szczęśliwa jak inne dzieci.

–Teraz nikt się z ciebie nie śmieje.

–Nie. Nie przy tobie. Lecz dzieci będą się śmiały z naszej córki.

–Nie będą. Nasza córka może okazać się synem podobnym do mnie. Czy twoja matka lub ojciec mieli takie usta jak ty?

–Nie.

–To dlaczego ma je mieć nasze dziecko? Ty jako jedyna będziesz tak wyglądać i cieszyć się, że ktoś ma taką twarz. Nie powinnaś płakać.

–Nie powinnam – wytarła oczy. – Nie powinnam też martwić cię moimi obawami. Musisz być silny, gdy jutro wyruszymy w góry. Czy po ich drugiej stronie naprawdę będą dobre łowy?

–Oczywiście. Tak mówi Munan, a on tam był.

–Czy będą tam... murgu? Śmiercio-kijowe murgu?

–Nie. Zostawimy je za sobą. Pójdziemy tam, gdzie nigdy ich nie było.

Ani słowem nie wspomniał, że jest coś, czego się obawiał najbardziej. Vaintč żyła. Nie spocznie nigdy, nie zaprzestanie poszukiwań, dopóki nie zginie on i wszyscy Tanu.

Mogą uciekać, lecz to, że pójdzie za nimi, jest tak pewne jak to, że po dniu następuje noc.

ROZDZIAŁ XVIII

Piątego dnia marszu teren zaczął się wznosić; zachodni wiatr był zimny i suchy. Łowcy z sammadu Har-Havoli wciągali powietrze i śmiali się radośnie, gdyż znali ten zakątek świata. Rozmawiali z ożywieniem, wskazywali na znajome miejsca, poganiali sammady i człapiące mastodonty. Herilak nie dzielił ich radości, bo sądząc po tropach, marne były tu łowy. Parę razy widział ślady przechodzących tu innych Tanu, raz znalazł nawet resztki ogniska z jeszcze ciepłym popiołem. Nigdy nie widział łowców; na pewno trzymali się z dala od tak wielkiego i dobrze uzbrojonego oddziału.

Szlak, którym szli, wiódł ich coraz dalej między wzgórz, szli jak po stopniach, każde następne było wyższe od poprzedniego. Dni były ciepłe, słońce grzało mocno, lecz nocą z chęcią otulali się w futra. Pewnego świtu Har-Havola krzyknął radośnie i wyciągnął rękę przed siebie, gdzie wschodzące słońce dotykało na horyzoncie wysokich, białych szczytów. To te pokryte śniegiem góry mieli przejść.

Codziennie wspinali się coraz wyżej, aż góry przed nimi stały się zaporą rozciągającą się daleko w obie strony. Wydawały się jednolite, monumentalne. Dopiero gdy sammady podeszły bliżej, dostrzegli dolinę wprowadzającą łagodnie do ich wnętrza. Płynąca nią rzeka miała szybki nurt; zimną, szarą wodę. Szli wzdłuż jej zakrętów, aż stracili z oka pogórze. Zmienił się krajobraz, drzew było mniej, przeważały szpilkowe.

Pewnego popołudnia coś się poruszyło na zboczu ponad nimi i zobaczyli białe, rogate zwierzęta skaczące do kryjówek. Jedno zatrzymało się na występie skalnym, spojrzało w dół; dosięgła je strzała z łuku Herilaka. Zwierzę stoczyło się po skalnym stoku. Miało kręconą, miękką sierść, a mięso, gdy przyrządzili je wieczorem, było smaczne i tłuste. Har-Havola zlizął z palców resztki sadła i czknął zadowolony.

–Dotąd tylko raz jadłem górką kozę. Dobra. Bardzo trudna do podejścia. Żyje tylko w wysokich górach. Musimy teraz pomyśleć o paszy dla mastodontów i drwach na ogniska.

–Dlaczego? – spytał Herilak.

–Wejdziemy jeszcze wyżej. Wkrótce skończą się drzewa, a potem nawet trawa stanie się niska i rzadka. Będzie zimno, bardzo zimno.

–No, to musimy zabrać z sobą wszystko, co trzeba – powiedział Herilak. – Bez namiotów włóki są niemal puste. Pościnały drzewa, załadujemy, a dla zwierząt weźmiemy gałązki z liśćmi. Nie mogą głodować. Czy będzie tam woda?

–Nie, ale to nieważne, bo będziemy mogli topić śnieg. To da się zrobić.

Dni były nadal ciepłe, lecz budząc się, rano zastawali na ziemi szary szron, a mastodonty burczały z niezadowolenia, wypuszczając kłęby pary na chłodzie. Choć skarżono się na rozrzedzone powietrze, a stary Fraken dyszał ciężko, nie mógł się wspinać i jechał na włóku, Kerricka wypełniało nie znane mu dotąd szczęście. Radowała go przejrzystość powietrza, cisza gór, wyrazistość nieba i skał. Jakże różniło się to od wilgotnego upału południa, potu i owadów. Yilanč mogą sobie mieć bagna i niekończące się lato. Pasowały do tego. Nie potrafiłyby tu żyć. To nie był ich świat – czy nie mogą zostawić go Tanu? Choć wciąż przyglądał się niebu, nie dostrzegł żadnego z wielkich drapieźców ani innych ptaków, które mogłyby zauważyć ich przemarsz. Może Yilanč ich nie wyśledzą. Może nareszcie uchronią się przed nimi.

– Tam jest najwyższa przełęcz – oznajmił Munan pewnego popołudnia, wskazując przed siebie. – Tam, gdzie te chmury i gdzie pada śnieg. Przypomniałem sobie, że chmury pędzą od zachodu, tak iż pada tam niemal bez przerwy.

– Nie możemy czekać, aż się przejaśni – powiedział Herilak. – Mamy mało drewna i paszy. Musimy iść dalej.

Dotarcie do przełęczy wymagało całego dnia mozolnej wspinaczki. Leżał tam gruby śnieg, mastodonty zapadały się, przebijając jego skorupę, potykały się w zawiei. Była to dla nich wyczerpująca droga, z wysiłkiem stawiały każdy krok. O zmroku sammady były jeszcze na stoku, musiały tam spędzić bezsenną noc. Niezadowolone zwierzęta stękały w mroku. Nie mogąc rozpalić ognisk, zawinęli się w futra i trzęsąc się z zimna doczekali świtu. Ruszyli o brzasku, wiedząc, że jeśli tego nie zrobią, zamarzną na śmierć.

Gdy minęli przełęcz, droga stała się jeszcze trudniejsza, musieli schodzić po stromym, oblodzonym stoku. Nie mogli się jednak zatrzymać. Skończyła się karma, mastodonty nie przeżyłyby następnej nocy w śniegu. Szli uparcie, tonąc w ogarniających wszystko kłębach chmur. Po południu osiągnęli rumowisko skalne i przekonali się, że idzie się po nim jeszcze gorzej niż po śniegu. Tuż przed szarówką wyszli z chmur i poczuli na twarzach ciepło zachodzącego słońca. W dole rozpościerały się doliny, w oddali widzieli zielone palmy roślinności.

Zapadł mrok, lecz stanęli tylko na chwilę, by rozniecić ogniska i zapalić pochodnie. Trwało tak, dopóki nie poczuli pod stopami rozmięklej ziemi i nie zrozumieli, że mają już za sobą największe trudności. Zatrzymali się wtedy na zboczu, obok bystrego strumienia wypływającego spod płata śniegu. Brzeg strumienia pokryty był kępkami trawy. Padli wyczerpani na ziemię, a mastodonty z rykiem wydzierały trąbami wielkie kawały darni. Tej nocy smakowało im nawet przechowywane mięso murgu.

Najgorsze minęło; schodzenie dolinami okazało się o wiele łatwiejsze niż droga pod górę. Wkrótce znaleźli się znowu wśród drzew. Mastodonty urządziły sobie ucztę,

zrywając zielone liście z gałęziami. Łowcy byli szczęśliwi. Spotkali tego dnia świeże bobki górskich kozłów i przysięgali, że rano dostarczą mięsa. Kozły były jednak zbyt czujne, wspinały się w bezpieczne miejsca, znikaly z oczu, zanim łowcy podeszli je na zasięg strzału z łuku. Następnego dnia na skrytej wśród drzew polanie wytropili stado małych saren, zabili dwie, nim pozostałe uciekły. Jedli nie tylko sarny. Rosły tu sosny, jakich dotąd nie znali, z ukrytymi w szyszkach słodkimi orzeszkami. Zostawili za sobą góry, przyszłość wydawała się radosna.

Następnego dnia potok doprowadził ich do otoczonego skałami stawu. Ślady zwierząt wskazywały, że używają go jako wodopoju. Staw nie miał ujścia. Woda musiała wypływać więc spod ziemi, spotykali się już z czymś takim.

–Tu się zatrzymamy – powiedział Herilak. – Mamy tu wodę, paszę dla zwierząt, łowy zapowiadają się dobrze, jeśli nie mylą mnie tropy. Jest tu wszystko, czego potrzeba. Sammady rozbiją obóz, a łowcy przyniosą świeże mięso. Są też jagody, korzonki. Nieprędko odczujeny głód. Z Munanem, który tu był, pójdę sprawdzić, co znajduje się dalej. Zabierzemy z sobą Kerricka.

–Musimy zabrać wodę w bukłakach – dodał Munan. – Dalej będzie jej mało, a na pustyni – już wcale.

–Tak zrobimy – stwierdził Herilak.

Gdy tylko trzech łowcy znaleźli się u stóp wzgórza, teren zaczął się zmieniać. Rosło coraz mniej drzew, trawa była sucha, występowały ościste, wyglądające na niebezpieczne, rośliny. W miarę jak stawało się bardziej płasko, trawa rzedniała, szli po żwirze i nawiewanym piasku. Wszystkie rośliny były teraz kolczaste, wysuszone, rosły z rzadka. Powietrze było suche i nieruchome. Mignęła im nagle jaszczurka. Poza nią nic się nie poruszało.

–Mieliśmy długi, ciężki dzień – powiedział Herilak. – Zatrzymamy się tutaj, dalej wygląda tak samo. Czy to ta pustynia, o której opowiadałeś? Munan przytaknął.

–Bardzo ją przypomina. Niekiedy jest więcej piasku, czasem występują rumowiska skalne. Poza tym kolcozielskiem nic nie rośnie. Nie ma wody.

–Rano pójdziemy dalej. Musi mieć koniec.

Pustynia była gorąca, sucha i mimo słów Herilaka zdawała się nie mieć końca. Szli cztery dni, od rana do wieczora, odpoczywając w środku dnia, gdy słońce stało wysoko i było zbyt gorąco na marsz. Pod koniec czwartego dnia góry stały się jedynie szarą kreską na horyzoncie. Przed nimi niezmiennie leżała pustynia. O zmroku Herilak stanął na małym wzniesieniu, osłaniając oczy popatrzył na zachód.

–To samo – powiedział. – Żadnych wzgórz czy gór, nic zielonego. Tylko pustynia.

Kerrick uniósł skórzany bukłak.

–To ostatni.

–Wiem. Wracamy rano. Doszliśmy tak daleko, jak tylko było można. Nie mamy już wody na ostatni dzień marszu. Napijemy się, gdy znów dojdziemy do wzgórz.

–Co zrobimy potem? – spytał Kerrick, układając suche gałazki na ognisko.

–Musimy o tym pomyśleć. Jeśli łowy będą dobre, to może zostaniemy na tych wzgórzach. Zobaczymy.

W ciemnościach rozległo się blisko pohukiwanie sowy. Kerrick wzdrygnął się, obudził nagle, poczuł chłód. To tylko sowa, nic więcej. Żyły tu, na pustyni, zjadały jaszczurki. To tylko sowa.

Yilanč nie mogą wiedzieć, gdzie są, nie mogą pójść za nimi przez śniegi przełęczy górskich. Są tu bezpieczni.

Mimo to tej nocy śnił mu się Alpčasak, był znów wśród krzątających się fargi. Na drugim końcu smyczy tkwiła Inlčnu*. Jęczał przez sen, lecz się nie obudził, nie wiedział, że zaciskał palce na żelaznym pierścieniu otaczającym mu szyję.

Gdy obudził się rano, sen przygniatał go jak wielkie brzemię. To tylko sen, powtarzał sobie, lecz szedł z przecuciem zagrożenia i klęski.

Wracali prędko. Bez jedzenia i wody mogli poruszać się szybciej po suchej pustyni, a następnie po trawiastych stokach pogórza. Przed wieczorem pokonali ostatni grzbiet, mając sucho w ustach i wypatrując niecierpliwie wody. Droga wiodła przez gęste poszycie, przebijali się przez nie z trzaskiem. Herilak szedł pierwszy, wspinając się wytrwale. Zobaczył, że wyprzedził pozostałych i stanął, by go dogonili.

W tej chwili bzyknęła obok niego strzała, uderzyła w ziemię.

Rzucił się w bok, ostrzegając pozostałych krzykiem. Leżąc za pnem drzewa, wyciągnął z kołczanu swoją strzałę i nałożył na cięciwę. Ze stoku nad nim rozległ się głos.

–Herilaku, to ty? Czy to ty wołałeś?

–Kto tam?

–Sorli. Uważaj. W tyra lesie jest niebezpiecznie.

Herilak rozejrzał się, lecz niczego nie dostrzegł. Co miało grozić? Nie chciał więcej hałasować. Między drzewami pojawił się zmęczony Kerrick. Herilak skinął mu, by

szedł dalej, trzymając się ścieżki. Gdy minął go i Munan, poszedł za nimi, cicho i ostrożnie.

Sorli czekał na nich skryty za wielkimi głazami. W pobliżu byli inni łowcy jego sammadu, schowani i wpatrujący się w podnóże wzgórza. Sorli machnął przybyłym, by przeszli, a potem się zatrzymali. Gdy znaleźli się za grzbietem, zdjął strzałę z łuku.

–Słyszałem, jak idziecie przez krzaki, potem mignęła mi tylko twoja sylwetka. Nie poznałem cię, dlatego wypuściłem strzałę. Myślałem, że to tamci. Zaatakowali nas dziś rano, tuż po świcie. Zabili wartowników, lecz ci zdążyli nas ostrzec. Zabili też jednego mastodonta, może dla mięsa, lecz odparliśmy ich, nim zdolali zrobić coś więcej.

–Kto to był?

–Nie Tanu.

–Murgu! – Kerrick bezwiednie zawołał przerażonym głosem. – Nie tu. Nie, tylko nie tu.

–Nie murgu. Ale też nie Tanu, jakich znamy. Zabiliśmy jednego, zobaczycie. Mieli tylko włócznie. Nie znają łuków. Gdy zaczęliśmy strzelać, załamali się i uciekli.

Poszli dalej ścieżką, aż Sorli zatrzymał się i wskazał na trupa.

Ciało leżało tam, gdzie padło, twarzą w dół między krzakami. Wypełniona krwią dziura na plecach wskazywała, którądy wleciała strzała, powodując śmiertelną ranę. Biodra zmarłego owijało futro. Miał skórę ciemniejszą niż oni i długie, czarne – inne niż ich jasne – włosy. Herilak nachylił się i przewrócił ciało, rozgarnął futra końcem włóczni.

–Łowca. Byłby Tanu, gdyby nie skóra i włosy.

Kerrick nachylił się i uniósł powiekę. Zamglone czarne oko wpatrywało się ślepo, kontrastując kolorem z niebieskimi oczyma Tanu. Munan przyjrzał się także i splunął ze wstrętem.

–Harwan – powiedział. – Gdy byłem mały, straszono mnie opowieściami o czarnych ludziach spoza wysokich gór, którzy przychodzili w nocy, by kraść dzieci i zjadać niemowlęta. Nazywano ich Harwan, są wojowniczy i straszni. Niektórzy twierdzili, że to prawda, inni się śmiali.

–Teraz wiemy – powiedział Sorli. – Te opowieści były prawdziwe. Jest jeszcze coś. Spójrzcie na to.

Poprowadził ich kawałek w górę, do leżącego pod drzewami ciemnego kształtu. Herilak spojrział na niego i chrząknął ze zdumienia:

–Długoząb, rzadko widywałem równie wielkie.

Był ogromny, długi na półtora chłopca. Z szeroko otwartego pyska wystawały dwa długie zęby, olbrzymie, ostre, śmiercionośne. To im zwierzę zawdzięczało swą nazwę.

–Przyszedł z ciemnymi Tanu – były też inne. Chodziły z nimi jak mastodonty, atakowały na rozkaz.

Herilakowi bardzo się to nie spodobało.

–To niebezpieczne. Uzbrojeni Tanu i te stwory. Skąd przyszli?

–Z północy – i wróciły tam. To mogła być wyprawa łowiecka. Herilak spojrział ku północy i pokręcił głową.

–Czyli ta droga jest przed nami zamknięta. Podobnie jak i na zachód, przynajmniej w tym miejscu. Nie wiemy, ilu jest tych ciemnych Tanu ani ile długozębów biegnie u ich boku. Możemy więc iść tylko w jedną stronę.

–Na południe – powiedział Kerrick. – Na południe tymi wzgórzami. Mogą tam jednak być murgu.

–Mogą być wszędzie – odparł Herilak z rezygnacją. – To nieważne. Musimy iść. Może skończy się tara pustynia, może udadzą się łowy. Napijmy się teraz słodkiej wody. Wystawcie strażę na noc. Wyruszamy jutro rano.

ROZDZIAŁ XIX

Dziecko wytropiłoby drogę sammadów, tak wyraźnie odcinała się na miękkiej darni. Widniały na niej głębokie rowki wryte drągami włóków, wielkie odciski stóp mastodontów, ich piętrzące się wysoko odchody. Herilak nie próbował zacierać tych śladów – zostawiał jednak ukrytych łowców, niektórych nawet dwa dni drogi za sammadami, by mieć pewność, że nikt ich nie ściga. Mijały dni, lecz nic nie wskazywało, by ciągnęli za nimi ciemni Tanu czy ich długozębni towarzysze. Pomimo to Herilak sprawdzał ciągle, czy wystawiane są warty czuwające w dzień i w noc.

Wszystkie doliny i grzbiety wychodziły z wysokich gór, spłaszczają się i znikają na jałowej równinie. Zeszli na nią ze wzgórz. Zamiast pokonywać granie, maszerowali skrajem pustyni. Przodem szli łowcy, poszukując wody w dolinach. Gdy co wieczór rozbijali obóz, wprowadzali mastodonta w głąb wąwozów, by napiły się tam i napasły.

Szli dalej. Niewiele mogli upolować na pogórzcu i równinie. Łąki u podnóża wzgórz zaczęły sięgać coraz dalej i dalej w wysuszoną pustynię, poprzecinaną niekiedy wyschłymi korytami potoków. Na trawiastej równinie nie było jednak wody, dlatego też prawie nie było zwierząt. Mogli jedynie iść naprzód.

Dopiero gdy księżyc dwa razy urósł i zmałał, doszli do rzeki. Woda musiała pochodzić z wysokich gór, bo nurt był bystry, wrył głęboki wąwóz. Stanęli na wysokim brzegu patrząc, jak w dole rozbija się o skały, kotłuje w białą pianę.

–Nie przekroczymy tu rzeki – powiedział Kerrick. Herilak przytaknął i spojrzał w dół kanionu.

–Może lepiej jej nie przekraczać, lecz pójść wzdłuż brzegu. Niesie tyle wody, że pokona pustynię. Za nią znajdziemy zwierzynę. Musimy znaleźć miejsce, gdzie można zbierać żywność i polować.

Potem wypowiedział głośno dręczącą ich wszystkich myśl:

–Musimy to uczynić przed nadejściem zimy.

Podążali za wijącym się po równinie nurtem. W wielu miejscach brzeg stawał się mniej stromy, mogli tam poić mastodonta. Niekiedy znajdowali tam ślady saren. I coś jeszcze. Pierwszy wspomniał o tym Munan. Dołączył do Herilaka i Kerricka przy ognisku i usiadł zwrócony plecami do wzgórz.

–Poluję od wielu lat – powiedział. – Tylko raz polowano na mnie. Opowiem wam o tym. Było to na wysokich wzgórzach, które nazywacie górami. Tropiłem jelenia. Ślady były świeże. Wczesnym rankiem szedłem cicho, czułem jednak, że coś jest nie tak. Potem zrozumiałem dlaczego. Byłem obserwowany. Czułem na sobie czyjeś

oczy. Gdy się o tym upewniłem, odwróciłem się nagle – był na skale nade mną. Długozęb. Jeszcze za daleko, by skoczyć. Musiał mnie tropić, jak ja tropiłem jelenia. Spojrzał mi w oczy i zniknął.

Herilak skinął potwierdzająco.

–Zwierzęta wiedzą, kiedy są tropione. Kiedyś przyglądałem się pewnemu długozębowi; odwrócił się, bo poczuł mój wzrok. Także łowca czuje, gdy ktoś na niego patrzy.

–Jesteśmy teraz obserwowani – powiedział spokojnie Munan, podsycając ogień. – Nie odwracajcie się, lecz idźcie po drwa i spójrzcie przy tym na wzgórze za moimi plecami. Coś tam jest, obserwuje nas. Jestem tego pewien.

–Przynieś chrustu, Kerricku – polecił Herilak. – Masz dobry wzrok. Kerrick wstał powoli i odszedł kilka kroków; wrócił z paroma gałązkami, które dorzucił do ogniska.

–Nie jestem pewien – powiedział. – Pod szczytem wzgórza jest występ skały, pod nim leży głęboki cień. Może tam kryć się zwierzę.

–Wystawimy dziś w nocy dodatkowe straże – postanowił Herilak. – To nowy kraj. Na tych wzgórzach może być wszystko. Nawet murgu.

W nocy nie było alarmu. Przed świtem Herilak obudził Kerricka, dołączył do nich Munan. Poprzedniego wieczoru ułożyli plan. Idąc różnymi drogami, cicho jak cienie, zbliżyli się do skalnej półki z obu stron i od dołu. Gdy wstało słońce, znaleźli się na wybitnych pozycjach.

Gdy Herilak zawołał głosem ptaka, ruszyli do przodu. Spotkali się przed półką z przygotowaną bronią, lecz niczego tam nie zastali. Były jednak ślady.

–Trawa jest przygnieciona – wskazał Kerrick – a tu złamana. Coś nas obserwowało.

–Rozproszyc się. Szukać tropów – powiedział Herilak. Munan znalazł ślad.

–Tu, na piasku. Odcisk stopy.

Nachylili się, przypatrując w ciszy, bo nie sposób było nie poznać, jakie to stworzenie go zostawiło.

–Tanu – oznajmił Herilak, wstając i patrząc na północ. – Czy ciemni Tanu mogli przyjść tu za nami?

–Nie byłoby to łatwe – stwierdził Kerrick. – Aby to zrobić, musieliby wyminąć nas szerokim kołem, zejść od przodu. To ślad innych Tanu. Jestem tego pewien.

–Tanu z tyłu, Tanu z przodu – Herilak wyrzucił z siebie. – Czy zamiast polować, nie będziemy musieli walczyć?

–Ten Tanu nie walczył – jedynie obserwował – powiedział Kerrick. – Tanu nie zawsze zabija Tanu. Zaczęło się to dopiero od mroźnych zim. Tu, daleko na południu, zimy nie są takie ostre.

–Co zrobimy? – spytał Munan.

–Wyśledzimy ich także, spróbujemy pogadać – powiedział Kerrick. – Może się nas boją.

–Ja boję się ich – stwierdził Munan. – Boję się dostać włócznią w plecy.

–No, to boimy się siebie nawzajem – odparł Kerrick. – Dopóki idziemy razem, mając tyle włóczni i łuków, ci nowi Tanu mogą być zbyt przestraszeni, by podejść bliżej. Jeśli pójdę sam, zabierając tylko włócznię, może się z nimi spotkam.

–To niebezpieczne – powiedział Herilak.

–Wszystko w życiu jest niebezpieczne. Tam są Tanu, macie przed sobą ich ślad. Jeśli nie spróbujemy porozumieć się z nimi pokojowo, będziemy mogli zrobić tylko jedno. Chcecie tego?

–Nie – oznajmił Herilak. – I bez zabijania się nawzajem jest dość śmierci. Zostaniemy dzisiaj w tym obozie. Daj łuk i strzały. Nie wypuszczaj się za daleko w te wzgórza. Jeśli do południa nikogo nie spotkasz, wracaj. Czy to jasne?

Kerrick przytaknął, oddając broń w milczeniu. Odczekał następnie, dopóki obaj łowcy nie zeszli ze wzgórza w stronę namiotów. Wtedy odwrócił się i zaczął powoli wspinać się po zboczu.

Były tam skały i kamienista gleba, tak iż nie znalazł innych śladów stóp – ani żadnego tropu, którym mógł podążać. Kerrick wspiął się na następny grzbiet i spojrzał na leżące daleko w dole namioty. To dobre miejsce do czekania. Było otwarte, nikt nie mógł go niepostrzeżenie zająć z tyłu. A jeśli będzie musiał uciekać, to wiedział którądy. Usiadł zwrócony twarzą do doliny, trzymając włócznię na kolanach. Patrzył czujnie.

Nagie wzgórza stały cicho, nic się na nich nie poruszało. Obserwował jedynie ruch mrówek na piasku. Mozoliły się z martwym chrząszczem, znacznie od nich większym, próbowały go zanieść do mrowiska. Kerrick obserwował mrówki, rozglądając się zarazem spod oka.

Zaswędziała go skóra na karku, dotknął jej ręką, lecz nic nie znalazł. Czuł coś

jednak w dalszym ciągu. Przypomniał sobie opowiadania Munana. Jest obserwowany.

Wstał powoli i obejrzał się, przypatrując się trawiastemu stokowi wzgórza i kępie drzew. Nikogo nie zauważył. Z boku rosło trochę krzaków, były jednak rzadkie, nie dawały schronienia. Jeśli ktoś go obserwował, to jedynie spoza drzew. Przyglądał się im z niepokojem, lecz nic się nie poruszyło. Jeśli ukryty obserwator bał się go, to Kerrick sam musiał przejąć inicjatywę. Dopiero gdy zaczął odkładać włócznię, stwierdził, że ścisnął ją kurczowo za drzewce. To jego jedyna obrona. Nie chciał jej tracić. Musiał jednak ją odłożyć, jeśli niewidoczny obserwator – czy obserwatorzy – ma uwierzyć, że przychodzi bez wrogich zamiarów. Zmusił się, by odrzucić broń na bok. Pod drzewami nadal nie było najmniejszego ruchu.

Kerrick wysunął jedną nogę naprzód, potem drugą. Miał sucho w gardle, czuł w uszach rosnące ciśnienie, słyszał głośnie bicie swego serca, gdy zbliżał się powoli do drzew. Zatrzymał się na długi rzut włóczni. Nie potrafił się zmusić, by podejść bliżej. Dość. Teraz pora na ruch kryjących się w lesie. Powoli uniósł dłoń, wnętrzem naprzód i zawołał:

–Nie mam broni. Przychodzę w pokoju.

Nadal nie było odpowiedzi. Ale czy nie poruszyło się coś w cieniu pod drzewami? Nie był pewien. Odstąpił o krok i zawołał znów.

Ruch w mroku. Zarys sylwetki. Ktoś tam stał. Kerrick cofnął się jeszcze o krok, a nieznana postać wyszła ku niemu, znalazła się na słońcu.

Pierwszym odczuciem Kerricka był strach. Cofnął się nagle, lecz zdołał się opanować, by nie uciec.

Łowca miał czarne włosy i ciemną skórę, nie nosił brody. Jego dłonie były jednak równie puste jak Kerricka. Nie okrywał się też skórą, jak łowca z pogórza. Miał na głowie coś białego, równie białą skórę wokół bioder. Nie szarobiałą, lecz czystą jak śnieg.

–Porozmawiajmy – zawołał Kerrick, robiąc powolny krok naprzód.

Tamten obrócił się i omal nie cofnął do kryjówki wśród drzew. Ujrawszy to, Kerrick stanął. Drugi łowca wziął się w garść, lecz nawet z tej odległości Kerrick widział, że drży ze strachu. Kerrick, gdy to zrozumiał, usiadł powoli na trawie, nadal unosząc dłonie w pokojowym geście.

–Nie skrzywdzę cię – zawołał. – Chodź, usiądź, pogadamy.

Powiedziawszy to, Kerrick zamarł. Gdy zdrętwiały mu ręce, opuścił je i położył

dłonie na udach. Mruczał do siebie, patrzył w niebo, potem po pustych stokach, nie wykonując gwałtownych ruchów, które mogłyby spłoszyć obcego.

Tamten zrobił niepewny krok naprzód, jeszcze jeden. Kerrick uśmiechnął się i kiwnął głową, nie zdejmując rąk z kolan. Obcy podchodził, stawiając po jednym chwiejnym kroku co jakiś czas, póki nie znalazł się dość blisko. Wtedy opadł na ziemię, usiadł jak Kerrick ze skrzyżowanymi nogami, patrząc nań szerokimi, przerażonymi oczyma. Kerrick dostrzegł teraz, że tamten nie jest młody. Miał pomarszczoną skórę, a czarne włosy przetykała siwizna. Kerrick uśmiechnął się, nadal nie wykonując żadnego ruchu. Usta obcego otworzyły się, widać było drgające gardło, lecz rozległ się tylko chrapliwy dźwięk. Przełknął ślinę i zdołał w końcu przemówić. Z trudem wymawiał słowa.

Kerrick nic nie rozumiał. Uśmiechnął się i kiwnął głową, by uspokoić tamtego, mówiącego ciche, syczące słowa. Obcy potem urwał nagle, pochylił się i opuścił głowę.

Kerrick zmieszał się. Począł, aż łowca uniesie głowę i dopiero wtedy się odezwał.

–Nie rozumiem cię. Czy wiesz, co mówię? Czy chcesz poznać me imię? – Wskazał na swą pierś. – Kerrick, Kerrick.

Nie było odpowiedzi. Tamten siedział tylko i patrzył z otwartymi szeroko ustami. Okrągłe oczy białeły wyraźnie na tle ciemnej skóry. Gdy Kerrick skończył, znów kiwnął głową. Powiedział coś jeszcze, wstał i odszedł do drzew. Z cienia wystąpił inny łowca i coś mu podał. Z tyłu Kerrick dostrzegł dalszych, ustawił więc tak nogi, by móc w każdej chwili wstać i uciec. Odprężył się trochę, gdy żaden z nich nie podszedł bliżej. Patrzył nadal uważnie na drzewa, gdy powracał pierwszy obcy. Inni pozostali na swych miejscach.

Tym razem łowca usiadł bliżej. Kerrick zobaczył, że przyniósł jakąś ciemną miskę pełną wody. Uniósł ją oburącz i napił się, potem pochylił się daleko i położył ją na ziemi między nimi.

„Pijących razem łowców coś łączy” – pomyślał Kerrick. To czyn pokojowy. Miał taką nadzieję. Patrząc uważnie na tamtego, wyciągnął rękę i wziął miskę. Uniósł ją, napił się i odstawił na trawę.

Tamten znów się pochylił, wziął miskę i wylał na trawę obok siebie resztę wody. Potem stuknął w nią i powiedział jedno słowo:

–Waliskis.

Następnie oddał miskę Kerrickowi. Zaskoczyło go to, lecz kiwnął głową i uśmiechnął się. Podniósł czarkę wysoko i zobaczył, że zrobiona jest z jakiejś ciemnobrązowej

substancji, której nie mógł poznać. Szorstka i brązowa, lecz z czarnym wzorem przy głównej krawędzi. Obrócił miskę w dłoniach – i odkrył, że po drugiej stronie jest większy czarny rysunek.

Była to dobrze uchwycona, wyraźna, czarna sylwetka, a nie przypadkowa plama czy prosty, powtarzający się wzór. Przedstawiała zwierzę. Miało niewątpliwie kły, a także trąbę. Mastodont.

–Waliskis – powiedział tamten. – Waliskis.

ROZDZIAŁ XX

Kerrick obracał wciąż miseczkę w dłoniach, potem dotknął rysunku mastodonta. Tamten, kiwając głową i uśmiechając się, powtarzał stale „waliskis”. Co to znaczyło? Czy ci Tanu też mają mastodonty? Nie sposób do tego dojść, jeśli nie zdoła z nimi porozmawiać. Obcy łagodnie ciągnął za czarkę, aż Kerrick ją puścił, potem odwrócił się i wszedł między drzewa.

Wrócił z czarką pełną jakichś gotowanych warzyw, białych i bryłowych. Łowca wziął je palcami i zjadł, potem położył miskę na ziemi. Kerrick zrobił to samo; smakowały całkiem dobrze. Gdy tylko skończył, obcy znów odwrócił się i pośpieszył do zagajnika. Kerrick czekał, lecz tamten nie wrócił.

Wyglądało to na koniec spotkania. Mimo wołań Kerricka nikt się nie pokazał, a gdy podszedł powoli do zagajnika, nie znalazł w nim nikogo. Spotkanie było niezrozumiałe, lecz zachęcające. Ciemny łowca nie pokazał broni, przyniósł wodę i jedzenie. Kerrick podniósł czarkę, chwycił włócznię i wrócił do namiotów. Wartownicy krzyknęli na jego widok i Heilak wybiegł mu na spotkanie. Spróbował potrawy, pochwalił ją, lecz również nie zrozumiał znaczenia tego poczęstunku.

Sammady zgromadziły się, by wysłuchać relacji, musiał im stale opowiadać o wszystkim. Każdy chciał spróbować nowego jedzenia i czarka szybko się opróżniła. Wzbudziła wielkie zaciekawienie. Herilak obracał ją na wszystkie strony i pukał w nią palcami.

–Twarda jak kamień, lecz zbyt lekka. A ten mastodont jest równie twardy. Nic z tego nie rozumiem.

Nawet Fraken nie ośmielił się zabrać głosu. I dla niego była to zupełna nowość. W końcu Kerrick musiał zdecydować sam.

–Wrócę tam jutro, z samego rana, tak jak dziś. Przyniosę im w misce trochę mięsa. Może chcą się z nami podzielić jedzeniem.

–A może chcą, byś nakarmił tym mastodonty? – zastanowił się Sorli.

–Nie mamy się jak o tym przekonać – powiedział Kerrick. – Zaniosę im trochę naszego jedzenia. Ale nie w ich misce. Położę je na jednej z naszych ozdobnych drewnianych tacek.

Nim się ściemniło, Armun wzięła najlepszą tackę, którą sama wyrzeźbiła, i umyła ją do czysta w rzece.

–To niebezpieczne – powiedziała. – Może tam wrócić ktoś inny.

–Nie, tamci łowcy już mnie znają. Czuję też, że niebezpieczeństwo minęło, największe było na początku. Ci obcy Tanu polują na tych terenach i jeśli mamy tu zostać, musi dojść między nami do porozumienia. Poza tym nie mamy dokąd iść. Zostaw najlepsze kawałki mięsa, bym miał co zabrać na tacce.

Kiedy następnego dnia Kerrick przyszedł na łąkę przed zagajnikiem, nie zastał tam nikogo. Gdy jednak odrzucił włócznię i wszedł na trawę z tacką, pod drzewami pojawiła się znajoma postać. Kerrick usiadł i położył tackę przed sobą. Tym razem obcy zbliżył się bez lęku i także usiadł na trawie. Kerrick zjadł kawałek mięsa i podsunął tackę. Patrzył, jak łowca również wybrał sobie kawałek i zjadł go z wyraźnym zadowoleniem. Potem odwrócił się i zawołał głośno. Z zagajnika wyszło i zbliżyło się do nich pięciu dalszych łowców. Wszyscy czarnowłosi i bez bród, ubrani jak pierwszy.

Teraz Kerrick poczuł lęk. Skoczył na nogi i cofnął się. Dwaj podchodzący nieśli włócznie. Zatrzymali się na jego ruch i spojrzeli nań z wyraźnym zaciekawieniem. Kerrick wskazał na nich i gestem poprosił o odrzucenie broni. Jedzący łowca zrozumiał, krzyknął coś do zbliżających się, niewątpliwie rozkaz, bo położyli włócznie na trawie, nim ruszyli ponownie.

Kerrick czekał na nich z założonymi rękoma, próbując ukryć zaniepokojenie. Wszystko wyglądało dość pokojowo – mogli jednak ukryć noże pod białą skórą. Nie potrzebowali ich właściwie, gdyby tylko chcieli, w sześciu pokonaliby go i bez trudu zabili. Musiał zaryzykować. Albo odwrócić się i uciec.

Gdy łowcy podeszli bliżej, Kerrick zobaczył, że dwaj z nich niosą krótkie pałki. Wskazał na nie i pokazał możliwość użycia ich w walce. Zatrzymali się i zaczęli ze sobą rozmawiać, minęła chwila, nim pojęli znaczenie gestu. Najwidoczniej drewniane kije nie były wcale pałkami używanymi w walce. Jeden wrócił do włóczni i Kerrick znów wstał, gotów uciec. Tamten jednak pokazał tylko zastosowanie drewnianego narzędzia. Trzymając je w jednej ręce, w zrobione w nim nacięcie włożył koniec włóczni. Potem opierając włócznię o rękę, przytrzymując ją palcami, odchylił się mocno do tyłu i wysłał oszczep wysoko w górę. Wzbił się wysoko, potem spadając zarył się głęboko w ziemię. Kerrick nie wiedział, jak działa to urządzenie, lecz na pewno dzięki niemu włócznia leciała dużo dalej. Nie ruszył się, gdy łowca rzucił narzędzie obok włóczni i dołączył do pozostałych.

Zgromadzili się wokół niego, rozmawiając z ożywieniem. Kerrick wzbudzał ich zainteresowanie. Wyciągnęli badawczo palce, by dotknąć dwóch noży z gwiazdowego metalu, zwisających z pierścienia na jego szyi, podobnie jak i samego pierścienia. Mrucze przy tym z podziwu. Kerrick przyjrzał się ich skórzanym strojom – i zrozumiał, że to wcale nie skóra. Gdy wziął w palce kawałek okrycia głowy jednego z nich, łowca zdjął je i wręczył Kerrickowi. Było miękkie jak futro, a gdy obejrzał je bliżej, dostrzegł, że jest plecione niby kosz, choć wykonane z materiału delikatnego

jak włosy. Chciał je oddać, lecz łowca sprzeciwił się i wskazał na głowę Kerricka. Gdy owinął włosy opaską, wszyscy się uśmiechnęli przychylnie.

Wyglądali na zadowolonych z tego pierwszego kontaktu i cicho rozmawiali między sobą, aż coś postanowili. Ruszyli z powrotem do zagajnika. Pierwszy łowca chwycił Kerricka za rękę i wskazał na pozostałych. Znaczyło to niewątpliwie, iż chcą, by im towarzyszył. Czy ma pójść? Może to podstęp mający na celu porwanie go lub zabicie. Wydawali się jednak serdeczni. Obaj oszczepnicy wzięli po drodze swe włócznie i szli przodem, nie oglądając się za siebie.

To przekonało Kerricka. Gdyby przygotowali jakąś pułapkę, nie zbliżyliby się do włóczni; bez trudu ukryliby wśród drzew innych uzbrojonych łowców. Musiał postępować tak, jakby wierzył w ich dobre zamiary. Nie mógł okazać lęku. Nie zostawi jednak swojej włóczni. Wskazał na nią i zawrócił. Pierwszy łowca wyprzedził go i podniósł włócznię. Kerrick poczuł nagły strach, gdy ten wracał biegiem, trzymając wyciągniętą broń. Lecz obcy tylko wręczył ją Kerrickowi i odwrócił się plecami, by podążyć za resztą. Napięcie opuściło margalusa; może rzeczywiście proponują porozumienie? Głęboko odetchnął. Może się o tym przekonać tylko w jeden sposób. Obcy łowcy zatrzymali się na skraju lasu i czekali na niego.

Kerrick poszedł za nimi.

Ścieżka wiodła przez wierzchołek wzniesienia i w dół stoku do wąwozu wrytego przez rzekę, wzdłuż której podążały sammady. Wiła się ona między wzgórzami, wkrótce znaleźli się nad jej brzegiem, którym prowadziła wyraźna teraz dróżka.

Z każdym zakrętem skalne ściany wznosiły się coraz wyżej, rzeka rwała coraz szybciej. Szli tuż przy wodzie po kamieniach i piasku, na pewno zalewanych podczas wiosennych powodzi. Część skały się osunęła, woda huczała i pieniała się między olbrzymimi głazami leżącymi w nurcie. Musieli wspiąć się na jeszcze większe rumowisko spadłych ze zboczy kamieni. Wypełniały całkowicie głęboki parów, rzeka szalała między nimi, rozbryzgi sięgały wysokiej ściany skalnej po drugiej stronie doliny. Wspinaczka stawała się coraz trudniejsza. Kerrick spojrzał w górę i stanął nagle.

Przyglądali mu się z wysoka czarnowłosi, uzbrojeni we włócznie obcy. Zawołał łowców, za którymi się wspinał i wskazał w górę. Ci spojrzeli tam i zrozumieli; wydali rozkazy, po których tamci się wycofali. Kerrick osiągnął wierzchołek i sapiąc stanął; popatrzył na pokonaną przez siebie drogę.

Kawałki skał strącane jego nogami spadały wprost do huczącej głęboko w dole rzeki. Wysokie skaliste brzegi otaczały ją z obu stron. Tej naturalnej zapory łatwo mogli bronić nieliczni łowcy, odesłani na bok, by przeszedł. Doskonała pozycja obronna – ale czego strzegła? Miejsce strachu zajęła teraz ciekawość. Schodził już

bez obawy na drugą stronę zapory, podążając za obcymi.

Krajobraz zaczął się zmieniać. Skalne ściany cofały się, przy rzece pojawiły się ławice piasku, nakrapiane gdzieś roślinością i karłowatymi drzewkami. Teren stawał się coraz bardziej płaski i zielony, równymi rzędami pokrywały go niskie krzewy. Kerrick dziwił się tej regularności, zanim minął grupę mężczyzn kopiących wzdłuż jednego rzędu.

Podziwiał dwie rzeczy. Po pierwsze rzędy zostały celowo tak posadzone. Po drugie roślinami zajmowali się łowcy, wykonywali pracę kobiet. Było to bardzo dziwne. Ale Yilanč uprawiały pola wokół swego miasta; czemu Tanu nie mieliby robić tego samego, czemu mężczyźni nie mieliby pracować jak kobiety? Patrzył wzdłuż zielonych rzędów, ciągnących się od wznoszącej się za nimi kamiennej ściany doliny, aż do ciemnych otworów w skale.

Minęli grupę kobiet. Wszystkie owinięte były w miękką, białą materię. Wskazywały na niego i mówiły coś wysokimi głosami. Kerrick, choć powinien się bać sam pomiędzy ciemnymi obcymi, nie czuł lęku. Gdyby zamierzali go zabić, to na pewno zrobiliby to już dawno. Może coś mu grozi, ale nad obawami przeważała ciekawość. Miał przed sobą dymy ognisk, biegające dzieci, świadomie ukształtowany teren – aż stanął z nagłym zrozumieniem.

–Miasto! – powiedział na głos. – Miasto Tanu, a nie Yilanč.

Prowadzący go łowcy zatrzymali się i poczekali, póki się nie rozejrzył. Oparte o skalne ściany, ponacinane belki, zrobione z całych pni drzew, prowadziły do leżących wysoko otworów. Można się było tam wspinać, bo wychylały się z nich przyglądające się mu twarze. Pełno tu było ruchu i krzątaniny, co także przypominało miasto Yilanč, choć wiele zajęć było dlań niepojętych. Kerrick zauważył, że pierwszy spotkany przez niego łowca przywołuje go, wskazując na długi, czarny otwór u podnóża skał. Wszedł za nim do środka i spojrzał po sklepiających się z tyłu kamiennych ścianach. Zmrużył oczy w panującym tu półmroku, do którego wszedł z pełnego słońca. Łowca wskazywał na skałę u góry.

–Waliskis – powiedział to samo słowo, którego użył, wskazując na naczynie z wodą.

Kerrick przyglądał się wizerunkom na skale i zaczął rozumieć to, co łowca starał się mu przekazać.

Były tam zwierzęta, narysowane w kolorach na powierzchni skały, wiele z nich przypominało znane mu sarny. Na honorowym miejscu, nad wszystkimi innymi, widniał mastodont niemal naturalnej wielkości.

–Waliskis – powtórzył łowca i pochylił głowę przed wizerunkiem wielkiego zwierzęcia. – Waliskis.

Kerrick skinął głową, choć zupełnie nie rozumiał znaczenia malunku. Podobieństwo było duże, podobnie jak czarnego mastodonta na czarce. Wszystkie malowidła były ściśle realistyczne. Podniósł rękę i dotknął sarny, mówiąc jednocześnie „sarna”. Ciemnowłosey łowca nie zwrócił na to uwagi, lecz wrócił na słońce i skinął na Kerricka.

Kerrick wolałby stanąć i przyjrzeć się życiu miasta, lecz tamten zmierzał do jednej z karbowanych kłód opartych o urwisko. Wszedł na występ skalny i poczekał na Kerricka. Wspinaczka była łatwa. Za występem zobaczył ciemny otwór prowadzący do jakiejś komory. Musiał się schylić, aby wejść. Na skalnej podłodze stały garnki, z tyłu piętrzyły się skóry. Odziany na biało łowca odezwał się i spod skór i futer odpowiedział mu cienki głos.

Kerrick zobaczył, że ktoś tam jest – szczupła postać leżąca pod przykryciem, spod którego wystawała tylko głowa. Pokryta bliznami, pomarszczona twarz. Otworzyły się bezzębne usta i dobiegł go ponownie szept

–Skąd przybywasz? Jak się nazywasz?

ROZDZIAŁ XXI

Gdy oczy Kerricka przystosowały się do półmroku komory, zauważył, że skóra starej kobiety, choć ściemniała przez lata, była jasna jak u niego, a oczy jej są niebieskie. Włosy, które mogły być niegdyś jasne, teraz poszarzały i stały się rzadkie. Gdy odezwała się ponownie słabym głosem, zrozumiał większość słów. Nie był to marbak, dobrze mu znany, przypominał bardziej mowę sammadu Har-Havoli spoza gór.

–Twe imię, twe imię – domagała się znowu.

–Jestem Kerrick, przybywam z za gór.

–Poznałam to. Tak, masz takie jasne włosy. Podejdź bliżej, by Huanita mogła cię widzieć. Tak, jesteś Tanu. No, Sanone, czy nie mówiłam ci, że nie zapomniałam mówić jak oni? – cicho zaśmiała się, przypominając sobie młodość.

Kerrick i Huanita zaczęli rozmawiać. Czarny łowca, Sanone, przysłuchiwał się i kiwał głową, choć nie rozumiał ani słowa. Kerricka nie zdziwiło, że Huanitę porwali łowcy, gdy była młodą dziewczyną. Mówiła niejasno, często zbaczała z tematu. Wiele razy podczas rozmowy zapadała w sen. Za którymś razem odezwała się do Kerricka w seseku, języku Sasku, jak nazywał siebie ten czarnowłosy lud, i wpadła w gniew, że jej nie odpowiedział. Potem poprosiła o jedzenie i zjadł razem z nią. Przed wieczorem Kerrick przerwał jej wywód.

–Powiedz Sanone, że muszę wracać do mego sammadu, ale przyjdę tu rano. Powiedz mu to.

Huanita zasnęła jednak, chrapiąc i wzdychając, nie można jej było dobudzić. Sanone chyba zrozumiał życzenie Kerricka, bo odprowadził go do zapory skalnej i wydał rozkazy stojącym tam na straży dwóm włóczniekom.

Kerrick biegł niemal całą drogę do obozowiska nad rzeką, gdyż chciał dotrzeć do namiotów przed zmrokiem. Herilaka musiała zaniepokoić jego całodzienna nieobecność, bo na wzgórzach czekali łowcy i niecierpliwie zadawali pytania. Kerrick zwlekał z odpowiedziami, dopóki nie znalazł się wśród namiotów i nie napił się zimnej wody. Herilak, Fraken i sammadarzy usiedli blisko, wokół zgromadziła się reszta sammadów.

–Wpierw powiem wam jedno – oznajmił Kerrick. – Ci ciemni Tanu nazywają się Sasku. Nie zamierzają z nami walczyć ani nas przegnać.

Chcą nam pomóc, a nawet dać żywność. To chyba z powodu mastodontów.

Spotkało się to z pomrukiem zdziwienia. Zaczekał, aż umilkną, po czym mówił dalej.

–Jestem równie zdumiony jak wy, bo słabo ich rozumiem. Jest tam stara kobieta, której słowa mogę pojąć, lecz ich znaczenie nie zawsze jest jasne. Sasku nie mają mastodontów, znają je jednak, widzieliście jednego na czarce. Mają także jego wielki wizerunek w jaskini, gdzie namalowane są też inne zwierzęta. Nie pojmuję tego dobrze, ale coś, co dotyczy mastodontów, jest dla nich bardzo ważne. Widzieli nasze, widzieli, że zwierzęta nas słuchają, dlatego pomogą nam, na ile zdołają. Nie chcą nas skrzywdzić. Mają też wiele rzeczy, które mi się podobały. Odłożyli na zimę zapasy żywności, mieszkają w jaskiniach, za dużo tego, by zapamiętać od razu. Rano wrócę do nich z Herilakiem. Pogadamy z nimi, z ich sammadarami. Nie wiem dokładnie, co postanowimy, ale jedno jest pewne: znaleźliśmy bezpieczne miejsce na zimę.

Było to coś więcej niż tylko schronienie przed zimą; mieli szansę zdobyć spokój, uchronić się przed burzami szarpiącymi świat Nigdy nie było tu Yilanč – Sasku nic o nich nie wiedzieli. Niewiele zrozumieli z opowiadań łowców, bo staruszka drzemała, zapomniała też wielu słów, by tłumaczyć bardziej złożone pojęcia. Najważniejsze było, że Sasku zaproponowali, by przybysze zostali w ich pobliżu. Obawiali się chyba Harwanów, ciemnych łowców północy, którzy stale niepokoili ich swymi napadami. Zapora na rzece była pierwotnie naturalnym osuwiskiem, lecz Sasku przez wiele lat zwalali na nią dodatkowe głazy i kamienie, aż powstała ogromna barykada, zagradzająca teraz od północy dostęp do doliny. Za zwaliskiem skalnym wysokie ściany doliny rozstępowały się, obejmując zalesione wzgórza i płaskie pastwiska. Dalej na południe skalne mury znów się zbliżały, ścieśniając nurt, tak iż rzeka stawała się wąska z wieloma bystrzami. Nie mogła tamtędy przepłynąć żadna łódź. Pomimo tych zapór Harwani nadal sprawiali kłopoty, schodzili w dolinę w miejscach, gdzie urwiska się obniżały, tak iż Sasku musieli wystawiać strażę. Nie będzie to teraz konieczne, jeśli w pobliżu rozbiją obóz sammady; ich obecność odstraszy Harwanów. Sasku z chęcią dostarczą im żywności. Ta ugoda zadowalała wszystkich.

Sammady zostały w swych namiotach nad rzeką, bo tu i na zalesionej wyżynie było dość paszy dla zwierząt. Łowy niezbyt się udawały i gdyby nie Sasku, doskwierałby głód. Sasku mieli nadmiar jedzenia dzięki plonom z pól nad rzeką. Nie chcieli nic w zamian, choć z wdzięcznością przyjmowali świeże mięso po udanym polowaniu. Jeśli prosili o coś, to jedynie o zgodę na przyglądanie się mastodontom, zbliżanie się do nich.

Największą radość sprawiało im dotykanie ich pomarszczonych włochatych skór.

Szczęście Kerricka było jeszcze większe, gdyż ogromnie interesował go każdy nie znany mu szczegół w życiu Sasku. Innych łowców zupełnie to nie ciekawiło, śmiali się nawet z mężczyzn grzebiących w ziemi jak kobiety. Kerrick lepiej rozumiał Sasku, dostrzegał podobieństwo między ich pracą na polach a hodowlą zwierząt przez

Yilanč, doceniał bezpieczeństwo wynikające ze zgromadzonych zapasów żywności, które uniezależniały od pogody. Ponieważ w okolicy było więcej łowców niż zwierzyny, w sammadach patrzono z zadowoleniem, że Kerrick spędzał tyle czasu z Sasku. Nocował wiele razy w wyżłobionych skalnych komorach, w końcu przeniósł się do jednej z nich z Armun, futrami i wszystkimi rzeczami. Przyjęto ich chętnie, kobiety i dzieci patrzyły z podziwem na jasną cerę Armun, z szacunkiem dotykano jej sięgających do ramion włosów.

Armun bardzo szybko opanowała język Sasku. Kerrick odwiedzał często staruszkę, Huanitę, nauczył się od niej wymowy kilku słów Sasku. Również Armun chętnie się ich uczyła, próbując swych umiejętności podczas spotkań z kobietami. Śmiały się, zasłaniając usta, gdy mówiła, ale ona reagowała na to przyjaźnie, bo wiedziała, że w tym śmiechu nie było złośliwości. Gdy wreszcie domyślały się, co chce powiedzieć, wymawiały to słowo prawidłowo, powtarzały stale, jakby była dzieckiem, a Armun naśladowała ich wymowę. Szło jej tak dobrze, że wkrótce zaczęła uczyć Kerricka, który nie musiał już polegać jedynie na wiekowej kobiecie i jej starczych kapryśkach.

Ponieważ Armun intensywnie pracowała nad opanowaniem nowego języka, Kerrick mógł poświęcić cały swój czas na poznawanie ciekawych go zajęć i umiejętności Sasku. Dowiedział się, że twarde miski robiono z miękkiej gliny, występującej cienką warstwą na jednym tylko zboczu. Glinę lepiono i kształtowano, póki była wilgotna, potem wkładano do ogromnego gorącego pieca, zrobionego z kamieni i gliny. Pod spodem dzień i noc palono drwa, a glina wysychając zmieniała się w kamień.

Jeszcze ciekawsze były włókna, z których splatano liny i sznurki, tkano materiały na szaty. Pochodziły z małej, zielonej rośliny nazywanej „charadis”. Jej ziarna nie tylko były smaczne, lecz gniecione i wyciskane, dawały olej, wykorzystywany na wiele sposobów. Najcenniejsze jednak były jej łodygi.

Naręcza charadisu wkładano do płytkich stawów i obciążano wielkimi kamieniami, by pozostawały pod wodą. Po pewnym czasie wyjmowano rozmiękłe łodygi, suszono na słońcu, a następnie rozbijano na kamiennych płytach. Rozczesywano je za pomocą specjalnych drewnianych narzędzi z zębami. Kobiety skręcały i zwijały rozdzielane w ten sposób włókna w mocne nici. Ich pęki można było splatać w liny i sznury, które następnie wiązano w sieci do łowienia ryb i łapania zwierząt. Najlepsze, cienkie nici rozpinano na drewnianych ramach, blisko obok siebie. Potem kobiety przeplatały je innymi nićmi, otrzymując białą tkaninę, tak bardzo podziwianą przez Armun. Szybko odrzuciła ona skóry i futra, zaczęła na wzór innych kobiet nosić miękką szatę z charadisu.

Armun była szczęśliwa wśród Sasku, szczęśliwsza niż kiedykolwiek w życiu. Wkrótce miała urodzić dziecko, bardzo się cieszyła, że spędza tu czas w ciepłe i wygodzie, że nie musi zimować w chłodnym namiocie. Cięża dobiegała końca, nie odczuwała potrzeby powrotu na czas porodu do sammadu nad rzekę. Jej sammad

zresztą był tu, Kerrick był jej sammadarem. Za początek swego nowego życia uznała chwilę, w której spojrział na jej twarz i się nie roześmiał. Sasku też się z niej nie śmiali, nie zwracali zupełnie uwagi na jej podzieloną wargę. Podziwiali natomiast jej bladą skórę, włosy jasne jak charadis. Tak o nich mówili, bo były niemal równie białe jak tkanina. Czują się dobrze wśród nich, mówiła swobodnie ich językiem, nauczyła się prażyć i gotować warzywa. Jej dziecko tu się urodzi.

Kerrick nie sprzeciwiał się temu, podobało mu się to, podobnie jak schludność kamiennych jaskiń, miękkość i wygoda tkanych strojów. Przewyższało to znacznie przewiewne namioty i pełne robactwa futra. Życie Sasku przypominało mu pod wieloma względami miasta Yilanč, choć rzadko świadomie się do tego przyznawał. Nie lubił myśleć o Yilanč, odpędzał je od siebie, gdy tylko wywołało je jakieś przypadkowe podobieństwo. Góry i pustynia stanowiły zaporę, Yilanč nie znajdują ich tutaj. Tak powinno być. Miał teraz obowiązki, które były ważniejsze niż wszystko inne. Narodziny były najważniejsze jednak tylko dla niego i Armun. Dla Sasku szczególnego znaczenia nabrały inne narodziny i tylko o nich potrafili rozmawiać.

Krowa mastodonta, Dooha, miała wkrótce rodzić. Będzie to jej czwarte cielę, tak iż nikt w sammadach nie widział w tym nic nadzwyczajnego.

Inaczej Sasku. Kerrick zaczął już rozumieć ich fascynację mastodontami. Wiedzieli wiele rzeczy nie znanych Tanu, zwłaszcza dotyczących dusz zwierząt i skał, tego, co leżało poza niebem, pochodzenia świata i jego przyszłości. Byli wśród nich tak zwani mandukto, zajmujący się wyłącznie takimi sprawami. Pierwszym wśród nich był Sanone, kierował nimi, tak jak mandukto kierowali pozostałymi Sasku. Jego władza przypominała bardzo władzę eistai Yilanč. Dlatego, gdy posłał po Kerricka, ten natychmiast przyszedł do jego jaskini. Sanone siedział przed wizerunkiem mastodonta i poprosił Kerricka, by usiadł obok.

–Nim doszedłeś do tej doliny, pokonałeś kawał świata – powiedział Sanone. Sasku, podobnie jak i Tanu, długo krążyli wokół tematu. – Walczyłeś też z murguchodzącymi-jak-Tanu. Nigdy nie widzieliśmy takich murgu, dlatego musisz mi o nich opowiedzieć.

Kerrick często mu opowiadał o Yilanč, lecz uczynił to raz jeszcze, bo wiedział, że stanowi to krok na drodze prowadzącej do poznania rzeczywistej przyczyny wezwania go przez Sanone.

–Co za zabijanie, co za potwory! – Sanone drżał na myśl o krzwidzie wyrządzonej przez Yilanč. – A zabijali nie tylko Tanu, lecz i mastodonty? – powiedział to z nieskrywanym przerażeniem.

–Zabijali.

–Wiesz trochę o naszej czci dla mastodontów. Przyglądałeś się malowidłu nade mną. Powiem ci teraz, dlaczego darzymy takim szacunkiem te wielkie zwierzęta. By to zrozumieć, musisz wiedzieć, jak powstał świat Jest dziełem stwórcy, Kadaira, który uczynił go takim, jakim widzisz. Sprawił, że woda płynie, pada deszcz, rosną plony. Uczynił to wszystko. Po stworzeniu świat był skalisty i pusty. Kadair przybrał wtedy postać mastodonta. Gdzie stąpnął mastodont-będący-Kadair, tam skały się otwierały i powstawała dolina, z trąby mastodonta wytryskiwała woda i płynęły rzeki. Na gnoju mastodonta wyrosła trawa i świat stał się żyzny. Taki był początek świata. Gdy Kadair odszedł, pozostawił mastodonta na wieczną pamiątkę swych czynów. Dlatego czcimy mastodonta. Teraz rozumiesz?

–Rozumiem i jestem zaszczycony, że to usłyszałem.

–My jesteśmy zaszczytzeni twoją obecnością, bo wiesz lud opiekujący się mastodontami i przyprowadziłeś go tutaj. Jesteśmy ci za to wdzięczni. Wczoraj wieczorem zebrali się mandukto i mówili o tym, a przez resztę nocy obserwowaliśmy gwiazdy. Były w nich zapowiedzi, płonące na niebie ognie, szlaki płomieni wskazywały drogę. Ma to swoje znaczenie dla przyszłości. Świadczy to, że z jakiegoś ukrytego powodu Kadair przywiódł tu sammady. Ubiegłej nocy powód ten trochę się wyjaśnił. Zostaliście tu przyprowadzeni, byśmy mogli być świadkami narodzin cielęcia mastodonta.

Sanone pochylił się i mówił teraz z wielkim naciskiem.

–Czy można przyprowadzić tu krowę? Ważne by ociełiła się tutaj, w obecności mandukto. Nie mogę ci powiedzieć, dlaczego jest to takie ważne, bo stanowi to tajemnicę, o której nie możemy nikomu mówić. Zapewniam cię, że jeśli na to pozwolicie, obdarzymy was bardzo hojnie. Czy to zrobicie?

Kerrick szanował ich wierzenia, choć ich nie rozumiał, odpowiedział więc z całą powagą:

–Zgodziłbym się od razu, ale to nie ja decyduję. Postanowi o tym sammadar posiadający krowę imieniem Dooha. Porozmawiam z nim i powiem mu, jakie to dla was ważne.

–Wagi tego nie potrafisz zrozumieć. Idź do tego sammadara. Poślę z tobą mandukto z darami, by okazać naszą przyjaźń.

Gdy Kerrick wrócił do jaskini, Armun już spała. Poruszał się cicho, by jej nie zbudzić. Założył swe nogawice o grubych podeszwach i wyszedł. Sanone czekał na dole. Byli z nim dwaj młodszy mandukto, uginający się pod ciężkimi, drewnianymi koszami.

–Będą ci towarzyszyć – powiedział Sanone. – Gdy porozmawiasz z sammadarem,

powiedz im, czy spełni naszą prośbę. Przybiegną tu z wiadomością.

Kerrick z radością wyciągnął nogi, od dawna nie odwiedzał obozowiska. Przy barierze skalnej zauważył, że rzeka przybrała; w odległych dolinach topniał śnieg. Po minięciu zapory szedł szybko, potem musiał poczekać na obładowanych mandukto. Słońce zsyłało ciepło, a wiosenne deszcze zazieleniły trawę. Na stokach kwitły niebieskie kwiaty. Zerwał długie źdźbło słodkiej trawy i żując ją czekał na mandukto.

Poszli dalej, minęli mały laszek i łąkę, na której po raz pierwszy spotkał Sanone. Widział stąd rzekę i obozowisko nad nią.

Było puste, opuszczone.

Sammady odeszły.

ROZDZIAŁ XXII

Zniknięcie sammadów zdziwiło Kerricka, zaniepokoił się tym trochę. Ale na obu mandukto wywarło piorunujący efekt. Opadli na kolana, zawodząc żałością. Ich rozpacz była tak wielka, że nie zwracali uwagi na słowa Kerricka, musiał nimi potrząsnąć, by zaczęli słuchać.

–Pójdziemy za nimi i ich odnajdziemy. Nie mogli odejść daleko.

–Przecież zniknęły, może przepadły, zniknęły z powierzchni ziemi, mastodonty umarły – jęknął młodszy mandukto.

–Na pewno nie. Tanu z sammadów nie są tak jak Sasku przywiązani do jednego miejsca. Nie mają pól, nie zamieszkują skał. Muszą być ciągle w drodze, szukać żywności, lepszych łowisk. Spędzili tu całą zimę. Nie odeszli daleko, bo inaczej przesłaliby mi o tym wiadomość. Chodźcie, wytropimy ich, odszukamy.

Ślady sammadów były, jak zwykle, łatwe do odnalezienia. Głębokie koleiny prowadziły wpierw na północ, potem skręciły na zachód, między niskie pagórki. Po krótkim marszu Kerrick zauważył wznoszący się przed nimi cienki ship dymu i wskazał go ucieszonym mandukto. Bruzdy i ślady prowadziły ponownie w stronę rzeki, której wysoki brzeg obniżał się w tym miejscu, tworząc wydeptane zejście nad wodę. Mandukto, których opuścił już lęk, poczuli na widok mastodontów podniecenie, pobiegli naprzód. Ich zbliżanie się dostrzegły dzieci, które rozbiegły się, wykrzykując nowinę. Herilak wyszedł im na powitanie, uśmiechnął się na widok białej szaty Kerricka.

–W lecie lepsze to od futer, lecz zmarzniesz, gdy przyjdzie zima. Chodź, usiądź z nami i wypal fajkę, opowiesz mi o zdarzeniach w dolinie.

–Opowiem. Wpierw jednak poślij po Sorliego. Ci Sasku przynieśli dla niego dary – i mają też prośbę.

Przywołany Sorli przyjął z uśmiechem pieczone placki z ziemnego jedzenia, słodkie, świeże korzenie, a także rzadki i bardzo ceniony miód. Mandukto przyglądali się z niepokojem, jak sprawdzał zawartość koszy, uspokoili się dopiero, gdy zobaczyli, że przyjmuje dar z zadowoleniem.

–Po zimie chętnie to zjemy. Dlaczego jednak przynieśliście dary mojemu sammadowi?

–Powiem ci – oznajmił z powagą Kerrick, wskazując na dary i obu mandukto. – Nie wolno ci się jednak uśmiechać ani śmiać, bo dla nich to bardzo ważne. Pomyśl o żywności, jaką nam dali i jeszcze dadzą. Wiesz, że oddają cześć mastodontom?

–Wiem. Nie rozumiem tego. Lecz musi to mieć dla nich wielkie znaczenie, gdyż inaczej by się tak nie zachowywali.

–Ma to dla nich największe znaczenie. Gdyby nie mastodonty, to chyba wcale by nam nie pomogli. Teraz mają prośbę. Zwracają się o two pozwolenie na zaprowadzenie krowy Doohy w dolinę, by mogła tam urodzić cielę. Obiecują, że będą ją karmić i pielęgnować w czasie porodu. Czy się zgadzasz?

–Chcą ją zatrzymać? Nie mogę na to pozwolić.

–Nie chcą jej zatrzymać. Zostanie tam tylko do narodzin cielęcia.

–W takim razie niech idzie z nimi. Nieważne, gdzie się ocieli.

–Musisz wytłumaczyć im to z powagą, tak jak mówisz teraz. Oczekują odpowiedzi.

Sorli odwrócił się powoli do obu mandukto, wyciągając w ich stronę ręce wnętrzem dłoni.

–Zrobimy, o co prosicie. Sam zaprowadzę Doohę, jeszcze dzisiaj. Kerrick powtórzył jego słowa w języku Sasku, a mandukto skłonili się nisko z szacunkiem.

–Podziękuj temu sammadarowi – powiedział starszy z nich. – Powiedz mu, że nasza wdzięczność nigdy nie wygaśnie. Teraz musimy wracać z nowiną.

Sorli spojrzał na ich oddalające się sylwetki i pokręcił głową.

–Nic nie rozumiem – nawet nie próbuję. Zjemy jednak ich żywność i nie będziemy o nic pytać.

Nastąpiła uczta, wszystkie sammady podzieliły się świeżym jedzeniem. Kerrick, który jadł przez całą zimę, nie tknął potraw Sasku. Wielką radość sprawiło mu żucie twardego kawałka wędzonego mięsa. Potem zapalono kamienną fajkę i Kerrick z przyjemnością się nią zaciągnął.

–Czy to lepsze miejsce od poprzedniego? – spytał.

–Na razie – odparł Herilak. – Jest tu lepsza trawa dla zwierząt, ale łowy niezbyt dobre. W poszukiwaniu zwierzyny musimy chodzić aż w góry, a to niebezpieczne, bo polują tam ciemni.

–Co więc co zrobicie? Choć łowy się nie udają, mamy żywność od Sasku.

–To dobre na jedną zimę, lecz nie na całe życie. Tanu polują, a nie żebrzą. Chyba da się polować na południu, lecz drogę tam zagradzają puste, bezwodne wzgórza, które trudno będzie przejść. Może powinniśmy spróbować.

–Rozmawiałem z Sasku o tych wzgórzach. W niektórych dolinach można nieźle zapolować, ale są już tam Kargu, jak nazywają ciemnych. Ten teren jest więc zajęty. Czy sprawdzaliście na zachodzie?

–Raz szliśmy piaskami pięć dni, potem musieliśmy zawrócić. Jest tam tylko pustynia, nic na niej nie rośnie poza kolczastym zielskiem.

–O tym też rozmawiałem z Sasku. Mówili, że jeśli zdołamy ją przejść, to po drugiej stronie znajdziemy lasy. Co ważniejsze, wydaje mi się, że znają drogę przez pustynię.

–No, to musisz ich wypytać. Jeśli przekroczymy piaski i znajdziemy teren, gdzie będą dobre łowy i nie będzie murgu, to świat stanie się taki jak dawniej, przed nastaniem chłódów, przed przybyciem murgu. – Twarz Herilaka zachmurzyła się, patrzył przymkniętymi oczyma w zgasłe ognisko.

–Nie myśl o nich – powiedział Kerrick. – Nie znajdą nas tutaj.

–Nie mogę zapomnieć. W snach idę z moim sammadem. Widzę wszystkich, słyszę łowców, kobiety, dzieci, wielkie mastodonty ciągnące włóki. Śmiejemy się i jemy świeże mięso. Potem się budzę, gdy już nie żyją, na dalekim brzegu wiatr niesie ich prochy, kości bieleją na piasku. Po takim śnie wszystkie te sammady stają się obce, pragnę je zostawić i odejść daleko. Chcę wrócić na wschód, przekroczyć góry, odnaleźć murgu i zabić ich jak najwięcej, zanim sam nie zginę. Wtedy może wśród gwiazd odzyskam spokój. Tharm nie będzie śnił. Zakończą się męki wspomnień.

Pięści wielkiego łowcy zaciskały się kurczowo, lecz palce obejmowały jedynie powietrze, gdyż wrogowie, z którymi walczył, byli równie niewidoczni, jak jego myśli. Kerrick rozumiał go, bo równie silnie nienawidził Yilanč. Teraz jednak, z Armun, z mającym narodzić się dzieckiem, życie wśród Sasku było tym, o czym zawsze marzył. Nie mógł zapomnieć Yilanč, lecz była to przeszłość, a obecnie pragnął żyć jedynie teraźniejszością.

–Chodź do Sasku – powiedział. – Porozmawiamy z mandukto. Wiedzą o różnych sprawach i jeśli jest przejście przez pustynię, to je znają. Po jej pokonaniu przez sammady odgradzisz się od murgu podwójną zaporą; pustyni i gór. Nigdy jej nie przekroczą. Zdołasz o nich zapomnieć.

–Chciałbym. Bardziej niż o czymkolwiek innym marzę o wyrwaniu tych wspomnień z myśli w dzień, ze snów w nocy. Tak, pójdziemy porozmawiać z ciemnymi.

W przeciwieństwie do innych Tanu Herilak nie śmiał się z Sasku pracujących na polach, z silnych mężczyzn, którzy miast polować, jak na prawdziwych łowców przystało, kopiał w błocie niczym kobiety. Jadł pochodzącą z ziemi żywność, dzięki niej przeżył bez głodu zimę. Gdy Kerrick pokazał mu, jak wzrastają rośliny i jak się je zbiera, patrzył z wielką uwagą.

Przyglądał się, jak suszono tagaso, z tkwiącymi nadal na łodygach żółtymi uszami tasseled; wieszano je na drewnianych ramach. W obejściach były szczury i myszy, które dobrze by się wypasły na skrzętnie gromadzonych zapasach, gdyby nie polujące na nie bansemnille. Te smukłe, długonose stworzenia, często z młodymi, które cienkimi ogonkami trzymają się grzbietów matek, tropiły szkodniki w ciemnościach, zabijały je i zjadały.

Zatrzymali się, obserwując kobiety wyluskujące z żółtych uszu wyschłe ziarna i ścierające je między dwoma kamieniami. Mąkę mieszano z wodą i pieczono na ogniskach. Herilak zjadł kilka placków, parząc sobie nimi palce. Maczał je w miodzie i zagryzał palącymi strąkami, wywołującymi w oczach przyjemne łzy.

–To dobre jedzenie – powiedział.

–I nigdy go nie brak. Sadzą je, zbierają i gromadzą, tak jak widziałeś.

–Widziałem. Ale tak samo zależą od zielonych pól, jak one od nich. Muszą na zawsze pozostać w tym jednym miejscu. To nie dla każdego. Gdybym nie mógł zwijać namiotu i wędrować, życie nie byłoby dla mnie wiele warte.

–Może myślą to samo o tobie. Czuliiby się zagubieni nie wracając wieczorem do tego samego ogniska, nie widząc rano tych samych pól. Herilak zastanowił się i skinął głową.

–Tak, to możliwe. Widzisz wszystko inaczej, Kerricku, może dlatego, że tyle lat żyłeś z murgu.

Przerwał, gdy usłyszał, że ktoś woła Kerricka po imieniu. Biegła ku nim jedna z kobiet Sasku, krzycząc przeraźliwie. Kerrick przestraszył się.

–Dziecko się urodziło – powiedziała zdyszana.

Pobiegł, a Herilak podążał za nim wolniejszym krokiem. Kerrick był zaniepokojony, bo Armun ostatnio bardzo się martwiła. Płakała codziennie, wracały jej wcześniejsze lęki. Bała się, że urodzi dziewczynkę wyglądającą jak ona, którą wszyscy będą wyśmiewać i pokazywać palcami. Kerrick nie potrafił jej uspokoić, wiedział, że jedynie urodzenie syna rozproszy jej czarne myśli. Kobiety mają w tym wprawę, wmawiał sobie. Był o tym przekonany, gdy wspinał się pozacinaną belką do ich domostwa.

Jedno spojrzenie na jej twarz powiedziało mu wszystko.

–Patrz – powiedziała, odsłaniając białe szmatki spowijające niemowlę. – Patrz. Chłopiec, z którego ojciec może być dumny. Ładny i silny jak on.

Nie mający doświadczenia z dziećmi Kerrick uznał, że to pomarszczone, łyse i czerwone stworzenie w niczym go nie przypomina, lecz miał dość taktu, by zatrzymać te myśli dla siebie.

–Jak go nazwać? – spytała Armun.

–Jak ci się podoba. Gdy dorośnie, otrzyma imię łowcy.

–To nazwijmy go Arnwheet; chcę, by był równie silny, ładny i swobodny jak ten ptak.

–Dobre imię – zgodził się Kerrick. – Bo Arnwheet to także dobry łowca o bystrym wzroku. Jedynie Arnwheet zawisa na wietrze, potem spada i łapie zdobycz. Arnwheet wyrośnie na wielkiego łowcę, skoro zaczyna życie z takim imieniem.

Gdy Kerrick przywołał Herilaka, ten wspiał się bez trudu po karbowanym pniu do komory na górze. Wszedł do środka i ujrzał Armun kołyszącą dziecko, otoczoną podziwającymi je kobietami. Z boku stał dumny Kerrick. Kobiety przynosiły połoźnicy jedzenie, dzbany wody, wszystko, czego zapragnęła. Herilak kiwnął z uznaniem głową.

–Patrz, jakie ma silne dłonie – powiedział. – Jak nimi łapie, jak chodzą mięśnie tych mocarnych rąk. To wielki łowca.

Herilak podziwiał też wygodę tego miejsca. Gliniane dzbany zawierały wodę i jedzenie, wokół leżały splatane maty i miękkie tkaniny. Kerrick wziął z półki pięknie wyrzeźbione drewniane pudełko i podał mu.

–Tu jest jeszcze inna tajemnica Sasku. Pokażę ci. Mając to, nie musisz już trzeć drewna ani nosić ze sobą ognia.

Herilak patrzył z podziwem, jak Kerrick wyjął z pudełka kawałek ciemnej skały i gładki kamień ponacinany rowkami. Potem wziął szczyptę próchna i szybkim ruchem uderzył kamienie o siebie – na drewno padła iskra. Musiał ją jedynie rozdmuchać, by buchnął płomień. Herilak wziął do rąk oba kamienie i przyjrzał się im z podziwem.

–Ogień schwyty w skałę – powiedział – a druga skała go wyzwala. Sasku poznali rzeczywiście dziwne i potężne tajemnice.

Kerrick ostrożnie odłożył pudełko. Herilak wyszedł na półkę przed komorę i podziwiał toczące się w dole życie. Gdy dołączył doń Kerrick, począł się wypytywać o wszystko. Słuchał uważnie o sposobach przedzenia i tkania, potem wskazał na dymiący piec, w którym wypalano dzbany.

–A tamte czerwone plamki na kozłach to chile. Wyciskało ci łzy przy jedzeniu. Suszy

się je i tłucze. A w tych wielkich koszach trzymają słodkie korzenie i różne odmiany dyń. Po upieczeniu są smaczne, mielą ich ziarna na mąkę. Zawsze mają co jeść, nikt tu nie głoduje.

Herilak wyczuwał entuzjazm i zadowolenie w jego głosie.

–Zostaniesz tu? – spytał. Kerrick wzruszył ramionami.

–Jeszcze nie wiem. Takie życie nie jest mi obce, spędziłem przecież wiele lat w mieście Yilanč. Tu nie ma głodu, a zimy są ciepłe.

–Twój syn, zamiast ścigać sarny, będzie się grzebał w ziemi jak kobieta.

–Nie będzie musiał. Sasku także polują na sarny. Mają miotacze włóczni, to dobra broń.

Herilak nic już nie mówił, ruch głowy wystarczył za odpowiedź. To wszystko jest bardzo ciekawe, dobre dla urodzonych tutaj, lecz dalekie od życia łowcy. Kerrick nie chciał się z nim spierać. Odwrócił wzrok, przyglądając się Sasku kopiącym ziemię. Rozumiał oba ludy – rozumiał nawet Yilanč. Nie po raz pierwszy poczuł się rozdarty, nie był ani łowcą, ani rolnikiem. Ter lub marag.

Weszli do wnętrza i spojrzeli na Armun trzymającą ich syna. Zrozumiał, że ma teraz korzenie, swój sammad. To nieważne, że mały. Armun dostrzegła jego wzrok, uśmiechnęła się. Odpowiedział jej tym samym. W wejściu jaskini pojawiła się kobieta i szepnęła do Kerricka.

–Jest tu mandukto, chce z tobą porozmawiać.

Czekał na niego na występie skalnym, miał rozszerzone oczy i drżał.

–Jest tak, jak powiedział Sanone. Urodził się mastodont – tak jak twój syn. Sanone prosi, byś z nim porozmawiał.

–Idź do niego i powiedz, że przyjdę z Herilakiem. – Odwrócił się do wielkiego łowcy. – Zobaczymy, czego chce Sanone. Potem pogadamy z innymi mandukto, dowiemy się, czy naprawdę jest droga przez pustynię.

Kerrick wiedział, gdzie o tej porze szukać Sanone. Przedwieczne słońce wisiało nisko nad doliną, oświetlało jaskinię u podnóża urwiska, docierając do malowideł na skale. Sanone, jak Fraken, wiedział o wielu rzeczach, mógł o nich mówić od wschodu słońca do zapadnięcia nocnych ciemności. Dzielił się tą wiedzą z innymi mandukto, zwłaszcza młodymi. Śpiewali, powtarzali jego słowa, uczyli się ich. Kerrick mógł się przysłuchiwać i doceniał ten przywilej, bo jedynie mandukto pozwalano słuchać słów Sanone.

Gdy podeszli bliżej, Kerrick zobaczył Sanone, jak siedząc ze skrzyżowanymi nogami wpatrywał się w wielkie malowidło mastodonta. Obok siedzieli, pilnie się przysłuchując, trzej młodszy mandukto.

–Poczekajmy, aż skończy – powiedział Kerrick. – Opowiada im o Kadairze.

–Co to jest?

–Nie co, lecz kto. Tu nie mówią o Ermanpadarze, nie wiedzą, jak stworzył Tanu z mułu rzeki. Znają za to Kadaira, który pod postacią mastodonta wędrował po ziemi. Był tak samotny, że kiedyś mocno uderzył nogą w czarną skałę, aż pękła i wyszli z niej pierwsi Sasku.

–Wierzą w to?

–Tak, bardzo mocno. Wiele to dla nich znaczy. Wiedzą o innych sprawach, duchach skał i wody, uważają, że wszystko to stworzył Kadair. Wszystko.

–Rozumiem teraz, dlaczego tak nas przywitali, dawali jedzenie. Przyprawiliśmy im mastodonty. Czy mają jakiegoś?

–Nie. Znają je tylko z malowideł. Wierzą, że sprowadziliśmy tu mastodonty z ważnego powodu. Teraz, gdy urodziło się cielę, znają może ten powód. Nie wszystko z tego rozumiem, lecz jest to dla nich bardzo ważne. Młodzi odchodzą, możemy już pomówić z Sanone. Sanone wyszedł im na powitanie, uśmiechając się radośnie.

–Urodziło się cielę mastodonta, wiecie o tym? I powiadomiono mnie właśnie, że urodził się także twój syn. To bardzo znaczące. – Zawahał się. – Czy twój syn ma już imię?

–Tak. Nazywa się Arnwheet, co w naszym języku oznacza jastrzębia. Sanone zastanowił się i ciągnął z opuszczoną głową.

–Te narodziny jednego dnia mają swój powód, tak jak wszystko, co zdarza się na świecie. Przywiodłeś tu mastodonta nie bez przyczyny. Twój syn nie bez przyczyny narodził się tego samego dnia co cielę. Nazwałś go Arnwheet i wiesz dobrze dlaczego. Oto nasza prośba. Pragniemy, by cielę otrzymało imię twego syna. Ma to dla nas wielkie znaczenie. Jak sądzisz, czy sammadar pozwoli na to?

Kerrick z powagą potraktował tę dziwną prośbę, bo wiedział, jak bardzo Sanone i pozostali przywiązani są do swych wierzeń.

–To się da zrobić. Pewny jestem, że sammadar na to przystanie.

–Poślemy dalsze dary, by sammadar zgodził się spełnić naszą prośbę.

–Spełni ją. Teraz ja zwracam się z prośbą. To Herilak, wiodący lud waliskisów w walce.

–Powiedz mu, że witamy go tutaj, bo jego zwycięstwa w bitwie przywiodły do nas waliskisy. Wiedzieliśmy o jego przybyciu. Teraz zbiorą się mandukto i wypijemy porro sporządzone na tę okazję.

Herillak zdziwił się, gdy Kerrick powtórzył słowa Sanone.

–Wiedzieli, że przyjdę? Jak to możliwe?

–Nie rozumiem tego, wiem jednak, że dużo lepiej widzą przyszłość niż Fraken w kostkach myszy. Nie wiem wciąż, skąd to się bierze.

Mandukto zbierali się w milczeniu, przynosząc ze sobą wielkie zakryte dzbany. Były pięknie wykończone, na każdym widniał czarny mastodont. Podobnie ozdobione były kubki. Sanone własnoręcznie zanurzał je wszystkie w pianistym, brunatnym napoju. Pierwszy kubek wręczył Herilakowi. Kerrick pociągnął ze swego, przekonał się, że porro jest gorzkie, ale i smaczne. Wypił do dna i dolano mu jeszcze do pełna.

Bardzo szybko poczuł dziwne oszołomienie, które przeszło w wielką lekkość. Poznawał po minie Herilaka, że ten czuje to samo.

–To woda Kadaira – zaintonował Sanone. – W niej przybywa do nas, okazuje, że patrzy i słucha.

Kerrick pomyślał, że Kadair jest potężniejszy, niż mu się zdawało.

–Kadair przyprowadził tu lud waliskisów, to wiadomo. Jednocześnie z narodzinami cielęcia urodziło się dziecko Kerricka, tak iż mógł mu nadać imię. Teraz przybył do nas po radę wódz ludu waliskisów, szuka drogi na zachód, przez pustynię.

Gdy Kerrick to przetłumaczył, oczy Herilaka rozszerzyło zdumienie. Ci ludzie potrafią czytać w myślach. Słuchał uważnie dalszych słów Sanone, czekając niecierpliwie, aż Kerrick mu je przetłumaczy.

–Lud waliskisów opuści nas, bo spełnił swoje zadanie. Mamy tu wcielenie Kadaira na Ziemi. Mamy tu cielę Arnwheet, zostanie tu z nami. Iak będzie.

Herilak przystał na to bez sprzeciwu. Wierzył teraz, że Sanone widzi przyszłość, że spełni się to, co zapowiada. Oszołomienie Kerricka częściowo minęło; miał nadzieję, że Sorti tak samo podejdzie do utraty cielęcia. Była to korzystna zamiana, bo Sasku karmili ich całą zimę.

Sanone wskazał na młodego mandukto, przywołał go do siebie.

–To Meskawino, jest silny i pokaże wam drogę przez pustynię. Przekażę mu tajemnicę stawów wodnych w dzikiej pustce i on ją zapamięta. Powiem mu, jakich śladów ma wypatrywać i on je zapamięta. Nikt żywy nie przebył pustyni, lecz nie zapomniano drogi przez nią.

Sammady odejdą, Kerrick wiedział o tym. Ale czy ma iść z nimi? Ich decyzja była łatwa – jego nie. Jaka czeka go przyszłość? Chciał o to zapytać Sanone, lecz bał się trochę odpowiedzi. Napełniono mu kubek pono, chwycił go i wypił łąpczywie.

ROZDZIAŁ XXIII

Była to dolina Sasku, szeroka i bogata, obramowana chroniącymi ją ścianami skalnymi, wysokimi i nieprzebytymi. Na początku była tu tylko lita skała, lecz Kadair przeciął ją pierwszego dnia po narodzinach świata. Tak przynajmniej nauczano. Nenne wierzył w to, bo widział przed sobą dowód. Któż, jeśli nie Kadair, miałby moc przekrojenia twardej skały, jakby była miękkim błotem? Kadair oddzielił od siebie ziemię i skałę, wydrapał koryto rzeki na dnie doliny i napełnił je świeżą wodą. Było to oczywiste. Siedzący w cieniu występu skalnego Nenne rozmyślał o tym, bo zawsze pilnie słuchał słów Sanone, pamiętał je stale. Przypominały mu się zawsze, gdy strzegł doliny.

Tylko Kadair mógł w jednej chwili przeciąć dolinę, lecz prawdą jest też, że nawet najmocniejsza skała słabnie z czasem. W tym miejscu ściany doliny zapadały się, tworząc pochyłość i piarg, który można było przebyć. Sasku wychodzili tędy z doliny, udając się na polowanie. Dlatego też Nenne siedział tu, obserwując zbocze, którym można było zarówno zejść w dół, jak i wejść do góry. A na pobliskich wzgórzach polowali Kargu.

Nenne spostrzegł szybki ruch między skałami. Nie był pewien. Może to zwierzę albo ptak. A może i nie. Sasku nie występowali przeciw Kargu, dopóki tamci trzymali się z dala. Czasami przybywali, by wymienić mięso na szaty czy dzbany. Trzeba ich było jednak pilnować. Woleli zawsze kraść. I cuchnęli. Mieszkali pod gołym niebem jak zwierzęta i choć mówili zrozumiale, bliższe im były zwyczaje zwierząt. Różnili się od Sasku, ich futra śmierdziały, sami też śmierdzieli. Znowu coś mignęło i Nenne skoczył na nogi, wystawiając włócznię.

Tam coś było, coś dużego przesunęło się między wielkimi głazami. Nenne nałożył włócznię na miotacz, przygotował do rzutu.

Pokazał się Kargu. Musiał być wyczerpany, bo często stawał i odpoczywał. Nenne przyglądał mu się bez ruchu, póki się nie upewnił, że przybysz jest sam. Wystawiano strażę w tym miejscu, bo panowano nad biegnącą niżej ścieżką. Każdy wchodzący do doliny musiał przejść obok Nenne. Gdy tylko przekonał się, że za Kargu nikt nie idzie, zeskoczył cicho ze skalnej półki.

Rozległ się odgłos spadających kamieni, potem wolno biegnących stóp. Łowca minął dwa wysokie słupy skalne, tkwiące jak wartownicy u szczytu doliny. Gdy tylko minął Nenne, ten wyskoczył z ukrycia i uderzył mocno końcem włóczni w plecy intruza. Kargu wrzasnął i upadł. Nenne przydeptał mu nogą nadgarstek, drugą kopnął włócznię, przyciskając grot swej broni do brudnych futer okrywających brzuch obcego łowcy.

–Nie wolno wam wchodzić do doliny.

Grot niebezpiecznie naciskał na futro. Kargu patrzył na niego ciemnymi oczami, które tkwiły w twarzy okolonej splątaną brodą i czupryną.

–Przechodzę... do wzgórz – powiedział stłumionym głosem.

–Wracaj. Bo zostaniesz tu na zawsze.

–Szybko przejść. Do innych sammadów.

–Przybyłeś, by kraść, tylko po to. Nie przechodźcie przez dolinę, musisz o tym wiedzieć. Dlaczego próbowałeś to zrobić? Z oporami, niezdarnie, Kargu powiedział mu dlaczego.

Porro skończyło się, co ucieszyło Kerricka. Z jego głową działy się dziwne rzeczy. Dobre lub złe, nie był pewien. Wstał, przeciągnął się i wyszedł przez jaskinię z malowidłami, gdzie dołączył doń Herilak. Patrzyli na Sanone prowadzącego innych mandukto w uroczystej procesji do nowo narodzonego cielęcia mastodonta, które spoczywało na pośłaniu z siana. Śpiewali razem, a Sanone natarł drobną trąbę zwierzęcia czerwoną gliną. Jego matce nie przeszkadzała obecność ludzi; pożerała spokojnie zieloną gałąź. Kerrick miał właśnie coś powiedzieć, gdy spostrzegł poruszające się na brzegu rzeki postacie. Obok wartownika -czarny, odziany w futro Kargu. Jego obecność dziwiła. Wiedział, że łowcy przybywali tu czasem handlować, lecz ten miał puste ręce; idący za nim Sasku niósł dwie włócznie. Szturchnął Kargu jedną z nich i wskazał na Sanone, skierował łowcę w jego stronę.

–Co to? – spytał Herilak. – Co się dzieje?

–Nie wiem. Daj mi posłuchać.

–Ten tu wszedł do doliny – powiedział Nenne. – Przyprowadziłem go do ciebie, Sanone, byś wysłuchał, co ma do powiedzenia. – Jeszcze raz pchnął włócznią. – Mów to, co mi powiedziałeś.

Kargu rozejrzał się spode łba, brudną ręką otarł pot z twarzy.

–Byłem na wzgórzach, polowałem jeden – mówił z trudem. – Całą noc przy wodopoju. Sarny nie przychodziły. Rano wróciłem do namiotów. Wszyscy martwi.

Kerricka opanowało lodowate przeczucie.

–Martwi? Twój sammad? Co się stało?

–Martwi. Sammadar Arderidh bez głowa. – Przeciągnął szybko palcem przez gardło,

naśladując cięcie. – Nie włócznie, nie strzały. Wszyscy martwi. Tylko to.

Pogrzebał pod futrami, wyciągnął zwitek ze skóry i rozchylił go powoli. Kerrick wiedział, czego się spodziewać, co zobaczy w środku. Małe, ostre, z piórami. Strzałki hčsotsanu.

–Wyśledziły nas! Są tutaj!

Herilak wrzasnął załamującym się głosem. Walnął swą pięścią tak mocno w rękę Kargu, że ten jęknął z bólu. Strzałki spadły na ziemię. Herilak zdeptał je z wściekłością.

Sasku przyglądali się temu ze zdumieniem, niczego nie rozumiejąc. Sanone szukał wyjaśnienia u Kerricka, którego jednak opanowała ta sama co Herilaka mieszanina ślepego gniewu i lęku. Wciągnął mocno powietrze i wydusił z siebie pierwsze słowa.

–To one. Z południa. Murgu. Murgu-chodzące-jak-Tanu. Znów są.

–Te murgu, o których mi opowiadałeś? Przed którymi uciekacie?

–Te same. Murgu, jakich nigdy nie widziałeś, nie podejrzewałeś nawet ich istnienia. Chodzą, mówią, budują miasta i zabijają Tanu. Zabiły mój sammad, zabiły sammad Herilaka. Każdego łowcę, każdą kobietę, każde dziecko. Każdego mastodonta. Nie żyją.

Przy tych ostatnich słowach Sanone skinął z powagą głową. Wiele myślał na ten temat, odkąd Kerrick po raz pierwszy opowiedział mu o murgu. Nie ujawniał wniosków, do których doszedł. Zrobi to jednak teraz. Wiedział, że tylko jedna istota mogła się ośmielić zabić mastodonta.

–Karognis... – powiedział głosem tak pełnym nienawiści, że stojący blisko wzdrygnęli się i cofnęli. – Karognis wędruje swobodnie po tym kraju, zbliża się do nas.

Kerrick słuchał go jednym uchem, nie interesowały go słowa Sanone.

–Co zrobimy, Herilaku? Czy znów uciekniemy?

–Jeśli uciekniemy, to pójdą za nami. Widzę teraz znaczenie mych snów. Nadszedł dzień, który widziałem. Spotkam je i będę walczył. Potem zginę, ale śmiercią wojownika, bo wraz ze mną zginie wiele murgu.

–Nie – odparł Kerrick głosem ostrym jak uderzenie w twarz. – Mógłbyś to zrobić, gdybyś był sam i pragnął śmierci. Jesteś jednak sacripexem. Czy chcesz, by z tobą zginęli łowcy i sammady? Czy zapomniałeś, że murgu jest tyle, co piasku na brzegu?

W otwartej bitwie czeka nas klęska. Musisz mi teraz powiedzieć: jesteś sacripexem, który poprowadzi nas w bitwie, czy też łowcą Herilakiem, który chce pójść na murgu w pojedynkę i zginąć?

Wielki łowca przewyższał Kerricka o głowę, patrzył teraz na niego z góry, zwierzał i rozwierał dłonie, którymi mógł sięgnąć i zabić. Kerrick patrzył nań w lodowatym milczeniu, równie wściekły jak on, czekał na odpowiedź.

–To mocne słowa, Kerricku. Nikt nie mówi tak do Herilaka.

–Mówię jak margalus do sacripexa. Dla łowcy Herilaka mam inne słowa, bo podzielam jego ból. – Dodał łagodniej. – To twój wybór, wielki Herilaku, nikt nie może go za ciebie dokonać.

Herilak patrzył w milczeniu pod nogi, zaciskał pięści tak mocno, że aż zbieleły mu kostki. Potem powoli kiwnął głową i odezwał się z szacunkiem.

–Tak syn uczy ojca. Przypomniałeś mi, że kiedyś wymogłem na tobie wybór. Posłuchałeś mnie, opuściłeś murgu i stałeś się ponownie łowcą Tanu. Skoro zdołałeś tego dokonać, muszę spełnić swój obowiązek sacripexa i zapomnieć, co widziałem w snach. A tyś jest margalusem. Musisz nam powiedzieć, co robią murgu.

Było już po wszystkim. Decyzja zapadła. Kerrick patrzył na łowcę Kargu, lecz myślał o tym, co się stało tam, w dolinie. Widział przybywające Yilanč i fargi. Próbował wyobrazić sobie, co robią i w jaki sposób. Kargu poruszał się niespokojnie pod jego niewidzącym spojrzeniem. Trwało to długo, aż wreszcie Kerrick przemówił.

–Jesteś łowcą. Znalazłeś martwy swój sammad. Jakie ślady dostrzegłeś, jakie tropy?

–Wiele tropów, zwierząt, nigdy takich nie widziałem. Przyszły z południa, odeszły na południe.

Kerrick poczuł nagły przypływ nadziei. Odwrócił się do Herilaka, przetłumaczył mu słowa Kargu. Starał się uchwycić sens ruchów Yilanč.

–Skoro wróciły, musiały stanowić część większego oddziału. Mała grupa fargi nie wyruszyłaby tak daleko, to niemożliwe. Ich ptaki latają, dowiadują się, gdzie jesteśmy, nim zaatakują. Wiedziały, że Kargu obozują w tamtym miejscu, napadły więc na nich szybko i wyrznęły. Oznacza to, że wiedzą, gdzie są sammady. Wiedzą też o Sasku i ich dolinie.

Słowa Sanone przerwały mu głośne rozważania, zwróciły uwagę na to, co tu się działo.

–Co się stało? Nic z tego nie rozumiem.

–Mówiłem o murgu-chodzących-jak-ludzie – powiedział Kerrick. – Przybywają teraz z południa, na pewno bardzo licznie. Ich jedynym celem jest zabicie nas. Mają sposoby, by przed atakiem dowiedzieć się dokładnie, gdzie jesteśmy.

–Czy napadną i na nas? Co uczynią? – zapytał Sanone, powtarzając pytanie Herilaka.

–Wiedzą o tej dolinie. Zabijają wszystkich, bo jesteście Tanu.

„Czy to zrobią? – zastanowił się Kerrick. – Tak, to jasne”. Niewątpliwie wpierw napadną na obozowisko sammadów, a potem przyjdą tu. Ale kiedy? Musiałyby ominąć dolinę szerokim łukiem, może nawet robią to teraz. Ale czy uderzą dziś, tuż przed wieczorem? Strach pomyśleć, że może w tej chwili trwa atak na sammady, ich niszczenie. Nie, Yilanč tak nie postępują. Znaleźć zdobycz, przycząić się przez noc, napaść o świcie. Robiły tak w przeszłości, zawsze przynosiło im to powodzenie, nie zmieniają tego teraz. Odwrócił się szybko do Herilaka.

–Murgu napadną rano na sammady w obozowisku, jestem pewien. Jutro rano, najpóźniej pojutrze.

–Pójdę je ostrzec. Sammady muszą natychmiast odejść. Zaczął biec, lecz Kerrick go zawołał.

–Dokąd pójdziecie? Dokąd zdołacie uciec, by was nie dogoniły?

–Dokąd? Na północ, to chyba najlepsze, do śniegów. Nie mogą tam nas ścigać.

–Są zbyt blisko. Złapią was na wzgórzach.

–No, to dokąd?

Dokąd? Mimo krzyku Herilaka, Kerrick dostrzegł wyraźnie odpowiedź. Wskazał na ziemię.

–Tu. Za zaporą skalną, do tej doliny bez wyjścia. Niech murgu idą za nami. Natkną się na śmiercio-kije, strzały i włócznie. Niech ich strzałki walą w twarde głązy zamiast w nas. My będziemy ich oczekiwać w ukryciu. Nie przejdą. Będą sądziły, że złapały nas tu w potrzask, lecz to myje złapiemy. Mamy tu żywność i wodę, wspomogą nas mocne włócznie.

–Zaatakują nas i zginą. Uważam, że nadeszła pora zakończenia ucieczki. – Zwrócił się do Sanone, bo od niego teraz zależało ich ocalenie. – Decyzja należy do ciebie, Sanone. Sammady mogą pójść na północ albo wejść do doliny i czekać na atak

murgu. Wpuszczając nas narazisz życie całego swego ludu. Może nie napadną...

–Napadną – powiedział Sanone z chłodną pewnością. – Przyszłość stała się teraz równie jasna jak przeszłość. Żyliśmy w tej dolinie, nabieraliśmy sił, czekając na powrót mastodontów. Tyś tego dokonał, przyprowadziłeś je do nas, byśmy mogli ich bronić. W mastodoncie tkwi moc Kadaira. Pragnie ją zniszczyć Karognis. Nie wiesz nic o Karognisie, lecz my go znamy. Tak jak Kadair jest światłem i słońcem, tak Karognis nocą i mrokiem. Kadair umieścił nas na Ziemi, a Karognis stara się nas zniszczyć. Wiemy o istnieniu Karognisa, wiemy, że nadejdzie pewnego dnia, a teraz znamy jego postać, wiemy, iż przybywa. Te murgu są mocniejsze, niż sądzicie, ale tkwi w nich słabość. Są silne, lecz pod ich postacią występuje na ziemi Karognis, który podjął walkę z Kadaiem i jego ludem. Przybyliście do nas, tu urodził się mastodont imieniem Arnwheet Jest wcieleniem Kadaira. Jesteśmy tu, by ujrzyć powstrzymanie Karognisa. Przywołaj ich wszystkich, szybko. Zaczyna się bitwa.

ROZDZIAŁ XXIV

–Co za wstrętne stworzenia – powiedziała Vaintč. – A to jest brzydsze od innych.

Wysunęła nogę i przewróciła pazurami odciętą głowę. Na jej twarzy i włosach był kurz, który mieszał się na szyi z zakrzepłą krwią.

–I odmienne – dodała Stellan, szturchając głowę hčsotsanem. – Widzisz, jakie ma ciemne futro. To nowy rodzaj ustuzou. Wszystkie inne mają białą skórę i białe futro. Te są ciemne, ale także mają kije z przymocowanymi ostrymi kamieniami, noszą na ciele kawałki brudnego futra.

–Ustuzou – stwierdziła z mocą Vaintč. – Trzeba je zabijać.

Odesłała Stellan ruchem ręki i przyjrzała się sprawnej krzątaniu fargi. Słońce stało jeszcze wysoko nad horyzontem, zawsze o tej porze zatrzymywały się na nocleg, bo wymagał on licznych przygotowań. Rozładowywano i pasiono uruktopy, inne fargi rozstawiały wokół obozowiska czujne pńczą. Nikt teraz nie mógł niepostrzeżenie podejść w nocy. Karmiono też światłostwory, by się rozjaśniły i trochę rozbudziły, w każdej chwili mogły zalać wskazany im teren oślepiającym światłem. Skuteczne były pęki melikkasei, starannie rozwijane przez fargi poza pńczami. Te nowe wyhodowane rośliny były światłoczule i nieszkodliwe za dnia. Dopiero po zmroku wysuwały z torebek trujące ciernie, gotując śmierć wszystkim stworzeniom, które dotkną nocą ich ostrych koniuszków. Kolce cofały się znowu rano, po wschodzie słońca.

Do Vaintč powoli zbliżała się Yilanč, Okotsei, nieruchawa i na starość pobrzydła, lecz przewyższająca wszystkich swą wiedzą. To ona wyhodowała stworzenia, które potrafiły spostrzegać i zapisywać obrazy w świetle gwiazd. Usprawniła jeszcze ten proces, tak iż teraz jej latające istoty unosiły się w powietrzu dzień i noc, a przynoszone przez nią zdjęcia były czytelne nieomal natychmiast po dostarczeniu. Okotsei wyciągnęła garść płaskich arkuszy, gdy tylko Vaintč zwróciła na nią uwagę.

–Co to? – spytała Vaintč.

–To, o co prosiłaś, Eistao. Zostały zrobione dziś rano, tuż po świcie.

Vaintč wzięła zdjęcia i uważnie je przejrzała. Nic się nie zmieniło. Skórzane stożki nad rzeką rzucały długie cienie, podobnie jak mastodonty na pobliskich polach. Bez zmian. Obawy, jakie opanowały ją trzy dni temu, gdy wykryto opuszczone obozowisko, okazały się bezpodstawne. Potwory nie uciekły, przeniosły się jedynie z jednego miejsca na inne. Nie zostały ostrzeżone; nie wykryły dotąd obecności jej siły uderzeniowej.

–Pokaż mi to samo miejsce na większym zdjęciu – zażądała.

Ptaki latały dniem i nocą, blisko ziemi i wysoko na niebie. Ustuzou nie mają teraz gdzie uciec. Nowe zdjęcie, przyniesione przez szybującego drapieżnika, ukazywało meandry rzeki, jej dolinę i wielki szmat otaczających ją terenów. Okotsei stuknęła w nie kciukiem.

–Tu spałyśmy ubiegłej nocy. Tam jest legowisko zabitych przez nas ustuzou, skąd pochodzi zakurzony łeb. – Przesunęła kciukiem. – Jesteśmy tutaj. Szukane przez nas ustuzou są tam nad rzeką.

–To te, których szukam, jesteś pewna?

–Pewna jestem tylko tego, że jako jedyna horda po tej stronie śniego-gór mają ze sobą mastodonty. Inne bandy ustuzou są tu, tu i tu. Większa grupa w tej dolinie nad rzeką. Dalej na północ, poza zdjęciem, jest ich więcej. Nigdzie jednak, poza tym miejscem, nie ma mastodontów. Po wschodniej stronie gór wiele hord podobnych do tej, ale po tej stronie – tylko ta jedna.

–Dobrze. Zanieś zdjęcia Stellan, by mogła zaplanować poranny atak.

Fargi, do których to należało, przyniosły Vaintč wieczorny posiłek, lecz była ona tak skoncentrowana na swych planach, że jadła go niemal bezwiednie. Tkwiła myślami przy długotrwałych i wielostronnych działaniach, które doprowadziły ją i uzbrojone fargi do tego miejsca. Jeszcze raz przeanalizowała wszystkie ogniwa operacji, by upewnić się, że żadne nie zostało opuszczone, żadna praca nie została nie dokończona, żadnego szczegółu nie przeoczono. Wszystko jest tak jak należy. Zaatakują rano. Przed zachodem słońca Kerrick będzie martwy – lub w jej rękach. Marzyła, by go pojmać, ta myśl nie opuszczała jej przez chwilę.

Próbowała podchodzić do tego bez emocji, logicznie, lecz teraz pozwoliła dojść do głosu nienawiści. Ileż to zdjęć przeglądała? Niezliczoną ilość. Wszystkie hordy ustuzou były do siebie podobne, trudno było odróżnić te stwory. Wiedziała na pewno, że szukanej przez nią postaci nie ma na żadnym ze zdjęć robionych wcześniej bandom na wschód od gór. Dopiero gdy spojrzała na zdjęcie ukazujące mastodonty, jedyne mastodonty na zachód od gór, poczuła, że nareszcie go znalazła. Jutro się o tym upewni.

Zasnęła po zapadnięciu zmroku – jak wszystkie Yilanč, chronione przez starannie rozkładane środki obronne. Tej nocy nic nie zakłóciło ich snu, obeszło się bez alarmów. Bładym świtem rozruszały się fargi, rozpoczęto przygotowania do dalekiego marszu i dzisiejszej walki. Słońce jeszcze grzało słabo i Vaintč otulała się wielkim płaszczem nocnym, gdy wraz ze Stellan obserwowała załadunek. Wszystko przebiegało gładko, z właściwą Yilanč precyzją, grupy i ich przywódczyni sprawnie

wykonywały przydzielone im zadania. Wodę, żywność i inne zapasy ładowano na specjalnie wyhodowane ogromne uruktopy. Zadowolenie z przebiegu przygotowań opuściło Vaintč, gdy spostrzegła proszącą o uwagę Peleinč.

–Vaintč, chcę z tobą porozmawiać.

–Wieczorem, po pracy. Teraz jestem zajęta.

–Wieczorem może być za późno, bo może praca, której pragniesz, nie zostanie wykonana.

Vaintč nie poruszyła się ani nie odezwała, lecz zmierzyła Peleinč jednym okiem od stóp do głów. Tej jednak nie przejęło jej niezadowolenie.

–Choć staram się do tego nie dopuścić, Córy mają wątpliwości, wiele jest zmartwionych. Zaczynają podejrzewać, że popełniono omyłkę.

–Omyłkę? Zapewniałaś mnie, że nie należy już nazywać was Córami Śmierci, że we wszystkim jesteście teraz Córami Życia. Szczerymi obywatelkami Alpčasaku, które wyrzekły się wszelkich błędów, pragną pomagać we wszystkim. Dlatego dopilnowałam, by przywrócono wszystkie prawa i zaszczyty tym, które poszły za tobą, a ciebie wyniosłam do służby przy mym boku. Teraz za późno, by mówić o omyłce.

–Wysłuchaj mnie, potężna Vaintč – Peleinč skrzyła kciuk w nieświadomej rozpacz, wewnątrz jej dłoni grało barwami zmartwienia. – Planować coś i podejmować decyzje to jedna sprawa, wykonywać zaś je to zupełnie coś innego. Poszłyśmy za tobą z własnej woli, przebyłyśmy z tobą morze, ląd i rzeki, bo ustaliłyśmy, że postępujesz słusznie. Ustaliłyśmy, że ustuzou to drapieżniki, które należy wyróżnić tak, jak zarzyna się zwierzęta na mięso.

–Tak ustaliłyście.

–Ustaliłyśmy to, nim ujrzalyśmy te zwierzęta. Dwie Córy były w oddziale, który wczoraj znalazł hordę ustuzou.

–Wiem. Sama je wysłałam. – „By je przyzwycząić do krwi” – pomyślała – tak określiła to Stallan. Przyzwycząić do krwi. Stallan zawsze to robi z fargi, które wybiera na przyszłe łowczynie. Wiele z nich nie potrafiło łatwo zabijać, bo zbyt długo mieszkały w miastach, zbyt dawno wyszły z morza, zbyt się oddaliły od własnych początków. Zabójca nie zastanawia się, zabójca działa. Te Córy Śmierci za dużo myślą, myślą bez przerwy, niewiele poza tym robią. Przyzwyczajenie do krwi dobrze im zrobi.

Peleinč z trudem szukała słów. Vaintč traciła już cierpliwość.

–Nie powinny były iść – stwierdziła wreszcie Peleinč, zaciemniając znaczenie tego zdania niepotrzebnymi ruchami ciała.

–Zamierzasz kwestionować me rozkazy? Vaintč wyprostowała grzebień, drżała z wściekłości.

–Nie żyją, Vaintč. Obie nie żyją.

–To niemożliwe! Opór był słaby, nikt nie odniósł ran.

–Obie wróciły. Opowiedziały o obozie ustuzou, iż nie przypomina małego miasta, że ustuzou mają wiele dziwnych rzeczy zrobionych przez siebie i że umierając krzyczały z bólu. Obie użyły hčsotsanów i zabijały. Gdy opowiadały o tym głośno, któraś stwierdziła, że są teraz Córami Śmierci, a nie Życia. Przyznały wtedy, iż były dawczyniami śmierci. Dlatego zmarły. Zmarły tak, jakby eistaa zabrała im imiona i wygnała z miasta. Tak umarły. Dowiedziawszy się o tym, zrozumiałyśmy, że myliłyśmy się w naszych przekonaniach. Zabijanie ustuzou daje śmierć, a nie życie. Nie możemy ci dłużej pomagać, Vaintč. Nie możemy dla ciebie zabijać.

Peleinč wstrzymała swe nerwowe ruchy, powiedziała to, co miała do powiedzenia. Decyzja została podjęta. Nie, nie podjęta. Została wymuszona. Teraz decyzja zależy od Vaintč.

Vaintč zamarła w myślach, podobnie jak Peleinč w oczekiwaniu. Stały naprzeciw siebie bez ruchu, wpatrując się w swe twarze, bezwiednie wykręcając stopy. Milczały.

„To bunt! – pomyślała Vaintč – musi być natychmiast przełamany”. Lecz od razu zrozumiała, że nie może go złamać, bo te zdradzieckie istoty na pewno odmówią w przyszłości brania broni do rąk. Teraz jej przeciwnikiem była śmierć. Te nierozważne samice widziały, jak zmarły dwie spośród nich i uwierzyły, że je też czeka taki los. Cóż, mają rację. Śmierć na pewno ich teraz nie minie. Mogą nie walczyć, ale i tak umrą. W tej wojnie nie ma miejsca dla stojącego z boku. Zajmie się nimi.

–Jesteś zwolniona – powiedziała. – Wracaj do swych Cór Śmierci i powiedz im, że przyniosły hańbę swemu miastu. Hčsotsany zostaną im zabrane. Będą pracować, lecz nie będzie się od nich wymagać zabijania.

Peleinč okazała wdzięczność, odwróciła się i szybko odeszła. Choć gdyby pozostała chwilę, usłyszałyby, jak Vaintč mówiła dalej:

–Nie będzie się wymagać zabijania, ale będzie się od nich wymagać śmierci.

Przywołała swego tarakasta, kazała pochylić się fargi, która go przyprowadziła, by wejść na zwierzę po jej ramionach. Zawróciła je i pobudziła do biegu. Minęła fargi i uruktopy, kierując się na czoło kolumny, która była już w drodze.

Uzbrojone Yilanč na szybkich tarakastach poprzedały oddział, inne jechały po bokach, strzegąc skrzydeł. Stallan starannie, jak zwykle, przejrzała zdjęcia i wskazała drogę. Nie natrafiły na żadne przeszkody do zaplanowanego miejsca postoju nad rzeką. Vaintč nakazała zatrzymać się, gdy przybyła spieszenie jedna ze zwiadowczyń.

–Zniknęły – powiedziała po prostu, ruchem dodając znaczenie wielkiej grupy i ustuzou.

–Znów zmieniły swe miejsce postoju – powiedziała Vaintč, kręcąc ogonem w nadziei, że tak jest

–To możliwe – przyznała zwiadowczyni. – Śledziłam tropy, prowadziły do ich poprzedniego miejsca postoju, a dalej wzdłuż rzeki do doliny. Wtedy wróciłam, by cię zawiadomić.

–Nie skręciły, nie zawróciły ani nie uciekły w inny sposób? – spytała Stallan, która pochyleniem ciała wyrażała wielką uwagę.

–Niemożliwe. Szłam za nimi, póki skalne ściany nie urosły i nie została tylko jedna droga.

–Złapani! – powiedziała z triumfem Stallan, kierując swego wierzchowca do Vaintč, by przekazać jej zdjęcie. – Zobacz, sarn'enoto, to pułapka, w którą weszli. Dolina rzeki jest szeroka, lecz z wysokimi ścianami, ma tylko to jedno wejście. Rzeka wypływa między głazami, przez bystrza. Nie ma stamtąd wyjścia.

Sarn'enoto, pradawny tytuł z na wpół zapomnianej przeszłości – teraz odnowiony. Przywódczyni w konflikcie zbrojnym – której wszystkie słuchały. Musi teraz myśleć jak taka przywódczyni. Wzięła zdjęcie i dotknęła go kciukiem.

–Tu, z boku, sama pokazałaś mi zejście do doliny.

–Można je zablokować. Można wysłać tam oddział, by zagroził wyjście, główne siły zaatakują tędy.

–Tak zrobimy. Wydaj rozkazy. Na innych zdjęciach widzę dobrze ustuzou w dolinie.

–Tym więcej ich zginie – padła odpowiedź Stallan. Wbiła ostre pazury w bok tarakasta, aż ten cofnął się, sycząc z bólu. Opanowała go łatwo, obróciła i pognęła.

Słońce właśnie minęło zenit, gdy Okotsei wręczyła Vaintč najnowsze zdjęcia, jeszcze ciepłe i mokre. Obejrzała je dokładnie, potem przekazała kolejno stojącej obok Stallan.

–Wszystko gotowe – powiedziała Stallan po przejrzeniu ostatniego. – Nie mają

ucieczki.

Podarła niepotrzebne już zdjęcia.

–Ścieżka przez uskok jest strzeżona i zamknięta. Oczekujemy na twe rozkazy, sarn'enoto.

ROZDZIAŁ XXV

–Szybki atak wzdłuż rzeki – powiedziała Vaintč. – Najpierw nagły wypad za zaporę skalną z wybiciem wszystkich ustuzou, które mogą się tam kryć. Potem wtargnięcie do doliny. Rusz fargi, ale sama ich nie prowadź. Być może ustuzou wiedzą o naszych ruchach. Jeśli tak, to pierwsze atakujące zginą. Zaczynaj!

Masy fargi posuwały się wzdłuż brzegu rzeki. Tak się tłoczyły przez wąską gardziel, że niektóre wpadły do wody. Vaintč patrzyła, jak wyruszają, potem usiadła na ogonie i czekała cierpliwie bez ruchu na wynik ataku. Z tyłu pozostałe fargi zaczęły rozładowywać zapasy. Ledwo skończyły, gdy z doliny wyszła zmęczona Stallan, podeszła powoli do milczącej Vaintč.

–Leżą w zasadzce – oznajmiła Stallan. – Strzelałyśmy, lecz nie wiadomo, czy któreś trafiłyśmy. Idące przodem zginęły, jak przewidziałaś. Zabrałyśmy poległym hčsotsany, ile tylko było można, zanim wycofałyśmy się z walki. Ustawiłam linię obrony poza zasięgiem ich broni i przybyłam tu natychmiast.

Vaintč nie wydawała się zdziwiona tym nieprzyjemnym meldunkiem.

–Wiedziały, że przybywamy. To dlatego weszły do doliny. Chcę zobaczyć sama, jak to wygląda.

Stallan torowała drogę przez tłoczące się fargi nakazując im ustępowanie przed sarn'enoto. Dalej rzeka skręcała wokół skały. Tam właśnie Stallan przygotowała pozycję obronną. Fargi kulili się za głazami z gotową do strzału bronią, inne kopały okopy w miękkim piasku. Stallan uniosła hčsotsan i wskazała nim na zakręt

–Odtąd trzeba uważać. Pójdę pierwsza.

Szły wolno, potem stanęły. Stallan przywołała gestem Vaintč.

–Widać stąd zaporę.

Vaintč podeszła ostrożnie i ujrzała pierwsze zwłoki. Zalegały podnóże urwistych skał, kilka fargi przed śmiercią wspięło się kilka kroków. Rzeka obmywała zaporę, mknęła w kipieli przez wąskie przejście. Tam też widać było ciała fargi; niektóre leżały do połowy w wodzie. Na szczycie zapory coś się szybko poruszało. Wróg czekał na kolejny atak. Nim się wycofała, Vaintč spojrzała na słońce, wiszące nadal wysoko na niebie.

–Zaatakujemy ponownie. Jeśli dobrze pamiętam, hčsotsany mogą przetrwać pod wodą.

–Przetrwają. Zanurzone, zaciskają nozdrza.

–Tak sądziłam. Oto co zrobimy. Atak na zaporę zostanie ponowiony. Nie chcę, by go przerwano po zabiciu kilku fargi.

–To nie będzie łatwe. Na pewno zginie ich wiele.

–Nic nie jest łatwe, Stallan. Inaczej wszystkie byłybyśmy eistaami, a fargi by nam nie służyły. Czy wiesz, że Córy Śmierci nie będą walczyły?

–Zabrałam im broń.

–Dobrze. Mimo to mogą nam się przydać. Poprowadzą atak na zaporę.

Stallan zrozumiała. Powoli cofnęła wargi, odsłaniając rzędy ostrych zębów. Ten niby-uśmiech akceptował brutalność decyzji, wyrażał zadowolenie z niej.

–Jesteś pierwsza we wszystkim, najmądrzejsza, wielka Vaintč. Ich ciała przyciągną wiele strzałek śmierci, osłonią uzbrojone fargi. Tylko ty mogłaś wymyślić tak wspaniałe wykorzystanie tych zawadających stworzeń. Będzie dokładnie tak, jak rozkazałaś. Ustozou i Córy Śmierci umrą razem. Zasłużyły na wspólny los.

–Atak nie ograniczy się do tego. Możemy ich w ten sposób pokonać, lecz z ciężkimi stratami. Podczas tego natarcia inne uzbrojone fargi niech wejdą do wody i przepłyną gardziel. Uderzą na obrońców od tyłu, zabiją ich, rozproszą. Wtedy pokonamy zaporę bez strat i zniszczymy pozostałych.

Muchy zaczęły już krążyć nad ciałami zalegającymi skały w dole. Nic się nie poruszało poza owadami, których brzęczenie słychać było wyraźnie w ciszy. Kerrick wziął garść strzałek i wsuwał je kolejno do hčsotsanu.

–Uciekły – powiedział Sanone, ostrożnie wysuwając głowę spoza osłony.

–Walka jeszcze się nie zaczęła – odparł Kerrick. – Wypróbowały tylko naszą siłę. Wróć. – Spojrzał na Sanone i zamarł. – Nie ruszaj się! Zostań na miejscu.

Wyciągnął pewnie dłoń i wyrwał strzałkę z opaski na głowie Sanone.

–Gdyby ją przebiła, już byś nie żył.

Sanone przyjrzał się spokojnie śmiercionośnemu cierniowi z listkiem.

–Nasz strój ma zalety, których nigdy nie podejrzewałem. Nie powstrzyma włóczni, ale chroni przed trucizną murgu. Może powinniśmy ubrać się i osłonić w ten sposób.

Kerrick wyrzucił strzałkę.

–Za głazami jesteśmy bezpieczni. Gorzej będzie, gdy strzałki zaczną spadać gęsto, jak liście jesienią.

Obrócił głowę, przyglądając się łowcom rozciągniętym na wierzchołku zapory. Wszyscy mieli hčsotsany i dobrze się już nimi posługiwali, oszczędzając strzały i włócznie. Uzbrojeni we włócznie Sasku znajdowali się za zaporą i na dole, gotowi w razie potrzeby przyjść z pomocą. Teraz wszyscy mogli jedynie czekać.

Stojący na szczycie skalnej ściany Herilak jako pierwszy zauważył napastniczki.

–Znów nadchodzą – zawołał i schował się za osłonę.

–Nie marnować strzałek – rozkazał Kerrick. – Tym razem dopuście je bliżej, zanim wystrzelicie.

Wiedział, że należy tak postąpić. Przy pierwszym ataku ktoś wystrzelił z hčsotsanu za wcześnie, gdy murgu były jeszcze poza zasięgiem broni, a inni dołączyli do niego. Było to marnotrawstwo: mieli odpowiednie zapasy strzałek, lecz hčsotsany męczyły się i często używane, nie reagowały szybko. Tym razem obrońcy zaczekają, aż fargi wejdą na skały.

Były coraz bliżej i nagle Kerrick poznał, że idące na przedzie nie mają broni. Co to znaczy? Czy to jakiś podstęp? Nieważne, to nawet lepiej, bo łatwiej je będzie zabić.

–Teraz, strzelać! – krzyknął i naciskając hčsotsan wysłał śmiertelny pocisk ku skórze najbliższej napastniczki. Tanu wrzeszczeli i strzelali, ale nieprzyjaciel nadal nacierał. Czasem rozległ się wrzask, lecz przeważnie ginęli w milczeniu. Obrońcy tak hałasowali, że Kerrick w pierwszej chwili nie dosłyszał wołania. Potem zrozumiał słowa.

–Rzeka, tam, w wodzie!

Kerrick odwrócił się, spojrzął i cofnął. Ciemne plamki w burzliwej wodzie, coraz ich więcej, niektóre kierowały się ku brzegowi. Yilanč płynęły z prądem, trzymając ciemne, długie przedmioty w łapach, hčsotsany, zamierzały lądować...

–Włóczyniami, strzałami, zabijać te w wodzie! – zawołał Herilak, zeskakując z zapory. Jego tubalny głos zagłuszał wszystko. – Kerrick, zostań tu ze śmiercio-kijami. Atakują teraz główną siłą. Powstrzymaj je tutaj!

Kerrick obejrzał się z niepokojem. Zrozumiał, że Herilak dobrze odgadł zamiary wroga. Za nie uzbrojonymi napastniczkami, tworzącymi teraz stertę trupów, pojawiało się coraz więcej fargi strzelających z marszu.

–Nie przepuszczajcie ich! – krzyknął Kerrick. – Zostańcie tu, strzelajcie. – Sam

wystrzelił jeszcze raz do fargi, która podeszła tak blisko, że zobaczył jak strzała utkwiała jej w gardle, jak rozszerzały się jej oczy, gdy spadała ze zbocza.

Teraz żywe wspinały się po martwych, kryły się za nimi, strzelały. Ofiary były po obu stronach. Padł jeden łowca, potem następny. Hčsotsan Kerricka dygotał podczas naciskania; dopiero po chwili zrozumiał, że opróżnił go ze strzałek. Nie miał czasu na załadowanie. Chwycił włócznię, dźgnął fargi, która wdrapała się na wierzchołek, zwałił ją skrzeczącą z bólu.

Była ostatnia, atak załamał się na krótko. Kerrick oparł się plecami o skałę; dyszał ciężko, starając się zmusić palce, by szybko wsuwały strzałki do hčsotsanu. Inni również przestali strzelać. Gdy zapanował chwilowy spokój, rzucił okiem na rzekę.

Sporo fargi osiągnęło brzeg, lecz były już martwe. Poległo też kilku obrońców, bo doszło do walki wręcz. W cieniu dojrzał ciemną postać Sasku leżącą w śmiertelnym uścisku Yilanč. Inne zwłoki, najeżone strzałami, spływały z nurtem. Na wołanie Sanone Kerrick odwrócił się i zobaczył, jak stoi na wierzchołku zapory i osłania oczy przed zachodzącym słońcem.

–Odchodzą – zawołał. – Przerwały natarcie. Zwyciężyliśmy!

„Zwyciężyliśmy – pomyślał Kerrick, rozglądając się po martwych Tanu. – Co osiągnęliśmy? Zabiliśmy kilka fargi, lecz świat jest ich pełen. Zginęło paru naszych, a przy następnym ataku zginiemy wszyscy. Powstrzymaliśmy je, lecz nie osiągnęliśmy zwycięstwa. Choćbyśmy nawet pokonali je teraz, to powrócą. Ich nienawiść jest równa naszej. Znajdą nas wszędzie, nie możemy się kryć. Podążą za nami, nie potrafimy im uciec”.

–Zrozumiał, że nie o wszystkich tu chodzi. Polują przecież na niego. Gdyby chciały jedynie zabić Tanu, znalazłyby ich mnóstwo po drugiej stronie gór. Ptaki drapieżne i nocne widzą wszystko, wypatrzą wszystko. A jednak ta wielka armia przybyła tutaj, kierując się dokładnie ku tej dobrze bronionej dolinie. Dlaczego? Bo on tu jest; zmroziła go ta myśl. Vaintč. To musi być ona! Żyje i szuka zemsty.

Co można zrobić? Dokąd można uciec? Jak mogą się obronić?

Opanował go gniew, trząsał nim, sprawił, że skoczył na nogi, wywijając hčsotsanem nad głową i krzyczał.

–Nie uda ci się, Vaintč, nie zdołasz zabić nas wszystkich. Będziesz próbowała, lecz nie zdołasz. To nasza ziemia, nie zdołasz przebyć oceanu ze swymi zimnymi stworami i wypędzić nas z niej. Nie wygrasz z nami, poczołgasz się do domu z paroma niedobitkami, gdy tylko to zrozumiesz. Potem wrócisz...

Kerrick poczuł, że Sanone przygląda mu się ze zdumieniem, nie rozumiejąc ani

słowa. Opuściło go podniecenie, lecz pozostał zimny gniew. Uśmiechnął się do mandukto i powiedział w seseku:

–Widziałeś je dziś po raz pierwszy. Czy ci się podobają? Czy z chęcią patrzysz, jak murgu zabijają twój lud? Musimy z tym skończyć – raz na zawsze.

Kerrick urwał, dysząc ciężko. Spoglądał na wysokie stosy martwych

i garstkę żywych. Czy można powstrzymać Yilanč? Jeśli tak, to w jaki sposób?

Jest tylko jeden sposób. Nie można dłużej uciekać i kryć się.

Należy przenieść walkę na teren wroga. Oto szansa, która może przynieść trwałe zwycięstwo.

Sanone patrzył ze zdumieniem na mówiącego Kerricka. To nie była normalna rozmowa. Wydawane przezeń głosy nie były podobne do języka Tanu. Jednocześnie poruszył ciałem, odrzucił głowę do tyłu i trząsał rękoma, jakby dostał ataku.

Kerrick dojrzał minę Sanone i zrozumiał, że mówi w języku Yilanč, bo myślał o Yilanč – i myślał tak jak one. Zimno analizował, co należy robić, ważył fakty, a następnie wyciągał wnioski. Gdy znów się odezwał, mówił w seseku, spokojnie i wyraźnie.

–Przeniesiemy wojnę do murgu. Pójdziemy do ich miasta, daleko na południe. Znajdziemy je tam i zabijemy. Gdy zniknie miejsce Alpčasak, one znikną wraz z nimi. Znam to miasto i wiem, jak je zniszczyć. Oto co zrobimy.

Odwrócił się i zawołał w języku marbak do stojącego na skraju wody Herilaka.

–Spełni się to, co widziałeś w swych snach, Herilaku. Odejdziemy stąd, wyruszymy na południe, będziesz sacripexem wszystkich Tanu, którzy pójdą z nami. Murgu zginą, ty nas poprowadzisz. Wiem teraz, co trzeba zrobić i jak tego dokonać – jak zniszczyć je wszystkie. Co ty na to, wielki łowco? Poprowadzisz nas?

Herilak poczuł moc w głosie Kerricka. Był pewien, że nie mówiłby tak, gdyby nie wiedział, jak osiągnąć cel. Opanowała go nadzieja, radosny ryk bez słów był wymowną odpowiedzią.

–Znów idą! – zawołał Sanone.

Bitwa rozgorzała na nowo, myśli o przyszłości ustąpiły wobec niebezpieczeństwa tej chwili.

ROZDZIAŁ XXVI

Wypad Yilanč załamał się na skalnym wale obronnym. Fargi ginęły. Opuścił je zapał, nie atakowały zawzięcie. Tego dnia było to ostatnie natarcie, bo słońce stało nisko na niebie, ukryte za zasłoną chmur. Wycofały się nieliczne niedobitki.

Kerrick odsunął od siebie marzenia o przyszłych bitwach, bo jeszcze trwała ta obecna. Stał na szczycie zapory obserwując, jak sępy i wrony już zlatują się na czekającą je w dole obfitą ucztę. Wkrótce się ściemni. Nie nastąpią teraz żadne ataki, bo Yilanč zajmą się rozbijaniem obozu i przygotowaniem go do obrony. Gdyby tylko mógł zobaczyć, co robią. Może dałoby się je jakoś zaatakować po zapadnięciu zmroku. Nie można im pozwolić na spokojny sen, nabranie sił przed poranną walką. Dziś ich ataki omal nie zakończyły się powodzeniem; nie można dopuścić, by to się powtórzyło. Zwierzyna musi zamienić się w łowcę.

–Nie możemy leżeć tu tylko i czekać na następne ataki – powiedział Herilakowi, gdy wielki łowca do nich dołączył. Ten skinął z powagą.

–Muszę pójść za nimi – dodał Kerrick.

–Pójdziemy.

–Dobrze, lecz nie wolno nam narazić się na śmierć. Coś interesującego dziś zauważyłem. Strzałka trafiła w opaskę na głowie Sanone, ale nie przebiła skręconej tkaniny. Strzałki różnią się od strzał czy włóczni – są lekkie i nie lecą zbyt daleko.

–I tak zabijają. Wystarczy lekkie draśnięcie.

–Widać ich skuteczność – wskazał ręką na kłębowisko ciał i gromadzące się padlinożerne ptaki. – Nie chcę tak skończyć, gdy będziemy śledzili murgu. Pomyśl, a może owinąć się zwojami skręconej tkaniny tak grubo, że strzałki jej nie przebiją. Jeśli to uczynimy, strzelą do nas bezskutecznie wartowniczeki, zdradzając swe położenie. A my je zabijemy. Nie zamierzam wystąpić przeciw wszystkim siłom wroga. Wystarczy, że zbliżymy się na tyle, by go obserwować.

Kerrick porozmawiał z Sanone, który docenił jego pomysł i posłał biegiem dwóch mandukto po ubrania. Sam owinął Kerricka tkaniną, układając fałdy i skręcając tak, by najlepiej chroniła przed strzałkami. Złożoną szarfą okręcił głowę i szyję Kerricka, zostawiając jedynie małą szparkę, przez którą mógł patrzeć. Herilak próbował nie wystrzeloną strzałką przebić to okrycie, lecz bezskutecznie.

–To wspaniałe – powiedział. – Powiedz mu, by mnie owinął tak samo. Potem pójdziemy przyjrzeć się murgu.

W zwojach było im gorąco, ale słońce stało już nisko. Kerrick czuł, że występujący mu na czoło pot wsiąka w tkaninę, nie spływa na oczy. Zszedł na drugą stronę barykady.

Jedyna droga w dół prowadziła przez piętrzące się ciała, osuwające się nieprzyjemnie pod stopami zwiadowców. Kerrick nie zwracał uwagi na wytrzeszczone oczy i rozwarłe, zębate paszcze. Schodził ostrożnie, aż wreszcie osiągnęli wolną przestrzeń. Odwrócił się i zawołał do wartowników na wale:

–Wszystkie murgu są martwe. Poczekajcie, aż wyjdziemy za zakręt, potem możecie zejść i zebrać pozostawione śmiercio-kije. Część pozbierały Yilanč, lecz zostało jeszcze sporo, możemy je wykorzystać.

Yilanč rzeczywiście wystawiły strażę. Gdy owinięci w biel łowcy wyjrzeni ostrożnie za załom skalnej ściany, rozległy się trzy ostre wybuchy. Pobiegli naprzód wśród innych strzałów, potem sami wypalili do fargi ukrytych wśród głazów. Dwie zginęły, trzecia wstała i uciekła. Dogoniła ją strzałka Herilaka, trafiając w plecy. Łowca ostrożnie wyrwał strzałkę z tkaniny okrywającej pierś Kerricka.

–Ciepło w tych okryciach – ale przeżyliśmy.

Nim ruszyli dalej, Kerrick wyjął dwie strzałki z szat wielkiego łowcy.

–Znam tę Yilanč – powiedział, patrząc na trzecie ciało. – To łowczyni, bliska Stallan. W obozie będzie ona, jak i Vaintč. – Zacisnął mocno dłonie na hčsotsanie, wyobrażając sobie, że celuje do obu.

–W drodze powrotnej zabierzemy ich śmiercio-kije – powiedział Herilak, skradając się z przygotowaną bronią.

Gdy wyszli na równinę, dojrzeli obóz Yilanč, widoczny dobrze na otwartej przestrzeni. Znajdowało się w nim wiele wierzchowców, jak też dużo zapasów. I zastępy fargi, znacznie przewyższające oddziały, które atakowały ich tego dnia. Kerrick poczuł nagły lęk przed ich liczebnością i musiał sobie uświadomić, że to jednak oni powstrzymali natarcie. Jeśli przyjdą znów – zostaną odparte jeszcze raz. Jeśli Vaintč chce śmierci wszystkich fargi, Tanu zrobią wszystko, by spełnić jej marzenia.

Na zewnątrz obozowiska wystawiono więcej strażniczek, lecz słońce zapadło już za horyzont i gdy w rosnących ciemnościach pojawiły się dwie owinięte w biel postacie, zaczęły one powracać do środka, zdradzając przejście przez krąg pułapek.

–Alarmy i potrzaski – powiedział Kerrick. – Widzisz, gdzie leżą w trawie? Te długonogie stworzenia za barykadą muszą wydzielać światło, które oślepiło nas tamtej nocy.

–Wszystkie są już w środku i zamykają ostatnie przejście.

–Dobrze. Zobaczymy teraz, jak daleko zdołamy podejść. Nie wyjdą już, jest na to za ciemno. Chcę tylko sprawdzić, jakie mają środki obrony.

Herilak wahał się przed bliższym podejściem do wielkiej armii murgu, do rączonogich zwierząt, biegających znacznie szybciej niż łowcy. Kerrick szedł jednak śmiało, znał dobrze Yilanč, wiedział, że w nocy nie opuszczają bezpiecznego miejsca za żywymi osłonami. Gdy doszli do zewnętrznego kręgu pnączy, było jeszcze dość widno, by ujrzeć wyciągające się przeciwko nim kolce.

–Zatrute, możesz być pewny – powiedział Kerrick. – Tu mogą nas dosięgnąć strzałki wystrzelone ze środka. Jesteśmy dość blisko.

–Dlaczego do nas nie strzelają? – spytał Herilak, wskazując na murgu ze śmiercio-kijami tuż po drugiej stronie zapory. Stały w milczeniu, patrząc obojętnie na obu łowców. Za nimi poruszały się inne fargi, jadły, kładły się do snu, nie zwracając uwagi na wrogów w pobliżu.

–Nie mają rozkazu strzelać – odparł Kerrick. – Fargi nigdy nie myślą samodzielnie, dlatego nie robią niczego bez polecenia. Sądzę, że kazano im strzelać, gdy zapalą się światła. Posłuchają.

W pobliżu znajdował się niski pagórek, Kerrick wskazał na niego.

–Teraz sprawdźmy, co nam przygotowały. Jeśli nawet strzałki doleczą tak daleko, pagórek trochę nas osłoni.

Kerrick kopał ziemię, aż wyrwał duży kawał darni ze zwisającymi długimi źdźbłami trawy. Wziął je w dłoń i rozkręcił darń nad głową.

–Leż – krzyknął do Herilaka, wypuszczając pocisk.

Gruda ziemi poleciała wysoko, wylądowała w pasie obronnym. W tejże chwili półmrok rozdarły błyski światła, z wnętrza obozu dobiegły trzaski strzelających naraz licznych hčsotsanów; powietrze nad nimi przeszywały niezliczone strzałki. Leżeli przyciśnięci do ziemi, przeczekali następne strzały i głośnie krzyki. Wkrótce wszystko umilkło, światła ściemniały i zgasły. Dopiero wtedy ośmielili się wstać i rozejrzeć wokół oślepyłymi oczami. Było jeszcze dość widno, by spostrzec, że ziemia wokół nich najeżona jest wielkimi strzałkami.

–Coś nowego – powiedział Kerrick. – Są większe niż wszystkie, jakie widziałem dotąd – patrz, jak daleko doleciały. Dwa razy dalej niż zasięg naszych śmiercio-kijów. Musiały wyhodować silniejsze śmiercio-kije, wytresowały je, by strzelały po dotknięciu czujnych pnączy. Szarpniesz pnącza, światła zapalą się w tym miejscu i

stwory zaczynają strzelać. Czuję, że nawet w naszych strojach będziemy bezpieczniejsi, gdy odejdziemy dalej.

Cofnęli się szybko poza zasięg najdalszych strzałek, potem odwrócili się, by spojrzeć na ciemne, ciche obozowisko nieprzyjaciela. Kerrick ociekał potem i powoli odwinął część szmat, mimo że zrobiło się chłodniej. Rozglądał się, myśląc intensywnie.

–Powiedz, Herilaku, jesteś silnym łucznikiem. Czy dosięgnąłbyś stąd obozu?

Herilak odsłonił twarz i otarł spoconą twarz. Spojrzał na pagórek, który opuścili, potem dalej, na pnącza i wrzecionowate światłostwory.

–Z trudem. Po dobrym naciągnięciu cięciwy wysłałbym strzałę tak daleko, ale niełatwo byłoby trafić w coś z tej odległości.

–Cel nie jest ważny, byleby sięgnąć poza pas obronny. A Sasku ze swymi miotaczami, sądzę, też rzuciliby tak daleko.

–Dobrze to wymyśliłeś, margalusie – powiedział Herilak, śmiejąc się głośno. – Murgu są stłoczone jak ziarna w garnku. Nie sposób nie trafić ich włócznią czy strzałą.

–Tej nocy, zamiast chrapać we śnie, będą na pewno miały czym się martwić! Zaznaczmy to miejsce, gdzie stoimy, byśmy je odnaleźli po powrocie.

–Z łukami i włóczniami!

Herilak miał rację. Przy naciągniętej do końca cięciwie i skierowanym wysoko łuku strzały dolatywały daleko za światła, znajdowały cel w obozowisku. Rozlegały się krzyki bólu, a łowcy wybuchali śmiechem, klepiąc się po ramionach. Ucichli dopiero wtedy, gdy Sanone włożył włócznię w miotacz. Przyglądali się uważnie, jak odchylił się mocno i posłał ją z warkotem w mrok. Wrzasnęło jakieś zwierzę, grot włóczni znalazł swój cel. Nagłe światło oślepiło łowców, cofnęli się na widok chmury strzałek. Wszystkie padły za blisko. Zaczęła się jednostronna bitwa nocna.

Nie wszyscy wierzyli w zapewnienia Kerricka, że wróg będzie leżał spokojnie i umierał, nie przystępując do kontrataku; gotowi byli w każdej chwili uciec w mrok. Kontratak jednak nie nastąpił. Migotały tylko jakieś światła, w obozowisku zrobiło się zamieszanie, gdy próbowano uniknąć spadających z nieba włóczni i strzał.

Broni nie było nieskończenie dużo i Herilak szybko nakazał przerwanie ataku. Światła przygasły, murgu ułożyły się do snu, a wtedy strzały zaczęły padać na nowo.

Trwało to całą noc, przybywali nowi łowcy, by zastąpić zmęczonych. Kerrick i

Herilak przespali się trochę; po przebudzeniu, gdy zapanowała szarówka, nakazali łowcom powrót za skalną barykadę.

Cały dzień stali w pogotowiu, czekając na atak; jedni czuwali, inni spali. Ranek minął spokojnie. Po południu, kiedy nadal nie dochodziło do natarcia, Herilaka obiegli ochotnicy pragnący dokonać zwiadu pozycji nieprzyjaciela. Odmówił wszystkim. Nie chciał narażać się na kolejne straty.

Po zapadnięciu zmroku ciągle nic nie wskazywało na atak – wraz z Kerrickiem owinęli się ponownie w zawoje. Poszli z przygotowaną bronią, lecz tym razem nie oczekiwali ich w ukryciu żadne obrońcy.

Równie ostrożnie podkradli się na brzeg rzeki i unieśli nad skarpę owinięte głowy, spoglądając przez pozostawione szparki. Równina była pusta. Nieprzyjaciel zniknął równie szybko, jak się pojawił, ślady odwrotu ciągnęły się po horyzont.

–Odeszły. Pobiliśmy je! – ryknął Herilak, wyciągając w zwycięskim geście pięść ku niebu.

–Nie pobiliśmy – odparł Kerrick, czując nagle znużenie. Opadł ze skrzyżowanymi nogami na ziemię, zdarł z twarzy tłumiące oddech zasłony i spojrzał na ślady odwrotu. – Zostały tu pokonane, odepchnięte. Są jednak jak trujące ciernie. Wycinamy je w jednym miejscu, a w innym wyrastają jeszcze mocniejsze.

–No, to wyrwiemy korzenie tych cierni raz na zawsze. Zniszczymy je tak, że nie odrosną.

Kerrick skinął z powagą głową.

–To właśnie musimy zrobić. Wiem, jak można tego dokonać. Teraz zwołamy sammady i mandukto Sasku. Nadszedł czas zmiecienia Yilanč tak, jak one zamierzały nas oderwać od korzeni i zabić.

–Zaniesiemy im wojnę!

ROZDZIAŁ XXVII

Dwaj chłopcy, ociekający potem od bijącego ciepła, dokładali suchych drew do ogniska, gdy tylko przygasało. Wnętrze groty rozjaśniało się wtedy falującym, złotym światłem; wymalowane w niej zwierzęta zdawały się poruszać w migotaniu ognia. Sanone jeszcze nie przybył, lecz inni mandukto siedzieli pod wizerunkiem mastodonta, do czego tylko oni mieli prawo. Kerrick, Herilak i sammadarzy siedzieli po drugiej stronie ogniska.

Za nimi stali łowcy, dalej reszta sammadów. Sanone przystał na to zgromadzenie z wielką niechęcią, bo wedle zwyczaju Sasku wszystkie decyzje podejmowali mandukto. Z trudem pojął, iż sammadarzy nie mają podobnej władzy. W końcu osiągnięto porozumienie, po jednej stronie znaleźli się przywódcy, sammady po przeciwnej. Sasku nie mieli pewności, co wyniknie z tego niezwykłego posiedzenia i tylko paru podeszło bliżej, zaglądając z ciekawością przez ramiona siedzących. Kręcili się jeszcze pod wpływem mieszanych uczuć, zadowolenia i lęku, gdy rozległo się z ciemności trąbienie mastodonta, następnie tupot ciężkich nóg. Otoczone pochodniami, poruszały się ciemne postacie.

W krąg światła weszły mastodonty. Wielką samicę Doohe prowadził Sanone, na jej karku siedział jeden z chłopców Tanu, kierując zwierzęciem. Sasku nie patrzyli jednak na nią, lecz na noworodka u jej boku. Sanone dotknął trąby zwierzątka i w ciemnościach rozszedł się pomruk radości. Dopiero potem dołączył do innych przy ognisku.

Armun siedziała tuż za łowcami, dziecko spało spokojnie, spoczywając wygodnie w skórzanym nosidełku na plecach matki. Gdy Kerrick wstał, by przemówić, ucichli wszyscy. Armun zasłoniła dłońmi twarz, by nikt nie dostrzegł jej uśmiechu dumy. Kerrick wyglądał mocno, gdy stał wyprostowany w świetle ognia, długie włosy wiązała mu charadisowa wstążka, broda wyrosła w pełni. Po zapadnięciu ciszy ustawił się tak, by wszyscy mogli usłyszeć jego słowa.

–Wczoraj zabiliśmy murgu. Dzisiaj je pogrzebaliśmy, tak iż wszyscy wiedzą, jak wiele ich zginęło podczas ataku. Zabiliśmy ich mnóstwo, a paru niedobitków teraz ucieka. Nie wrócą na razie.

Łowcy przyjęli to okrzykami radości. Gdy Kerrick przetłumaczył swe słowa na język Sasku, z mroku rozległo się szybkie bębnienie i stukanie grzechotek z tykw. Kerrick poczekał, aż ucichnie, po czym powiedział:

–Nie wrócą teraz – ale mogą przyjść w przyszłości. Wrócą silniejsze, z lepszą bronią. Zawsze wracają. Będą wracały stale, nie spoczną, póki wszyscy nie zginiemy. To prawda, musimy o niej zawsze pamiętać. Nie zapominajcie też o poległych wśród

nas.

Milczenie było teraz pełne smutku. Zabrał głos Herilak.

–To rzeczywiście prawda – powiedział z posępną goryczą. – Kerrick wie o tym, bo jako pierwszy zginął z rąk murgu jego sammad. On jeden przeżył, murgu go zabrały i trzymały w niewoli. Nauczył się mówić ich językiem. Zna ich zwyczaje, dlatego słuchajcie, co mówi o murgu. Musicie też wysłuchać, co mówię o śmierci, bo oprócz mnie i siedzącego tu Ortnara zginęli wszyscy z mego sammadu. Każdego łowcę, każdą kobietę i dziecko, każdego mastodonta zamordowały murgu.

Zebrani z bólem słuchali tych słów. Sanone spojrzął do góry, na mastodonta, szeptał cicho modlitwy ku pamięci tych wielkich zwierząt, słuchając jednocześnie szybkiego tłumaczenia Kerricka.

–Nie ma dokąd uciekać, nie ma kryjówki, której by nie znalazły – oznajmił Kerrick. – Siedzące tu sammady walczyły z nimi na plaży wielkiego oceanu, na równinach kaczkodziobów, ponownie w tej dolinie, po przejściu wysokich gór w ucieczce przed murgu. Nadeszła pora, byśmy przestali uciekać. Wiemy już, że zawsze nas znajdą. Powiem wam więc teraz, co musimy zrobić.

Kerrick przerwał, by zaczerpnąć tchu, spojrzął w ich wyczekujące twarze, potem kontynuował.

–Musimy zanieść im wojnę, pójść do ich miasta i zniszczyć je.

Przyjęto to okrzykami niedowierzania, pośród których dały się słyszeć głosy poparcia. Sasku zadawali pytania i Kerrick przetłumaczył swe ostatnie słowa na sesek. Potem nad inne wzbił się głos Har-Havoli: reszta zamilkła, zaczęła słuchać.

–Jak możemy to zrobić? Jak zdołamy walczyć z armiami murgu? Jak można zniszczyć całe miasto? Nie pojmuję tego.

–No, to posłuchajcie – powiedział Kerrick. – Oto jak można tego dokonać. Herilak zna wszystkie szlaki prowadzące do miasta Alpčasak, bo doprowadził tara łowców, zabił murgu i wrócił żywy. Zrobi to jeszcze raz. Tylko że tym razem to nie będzie garstka łowców, lecz całe mnóstwo. Poprowadzi ich skrycie przez dżunglę, tak iż armie murgu nie znajdą ich, choćby dokładnie szukały. Poprowadzi łowców do Alpčasaku, a ja pokażę im, jak zniszczyć miasto i wszystkie murgu. Powiem wam teraz, jak można tego dokonać, pokażę wam to. – Odwrócił się do mandukto i powtórzył swe słowa, by i oni je zrozumieli.

Słuchali go w milczeniu. Nikt się nie poruszał. Wszyscy patrzyli, jak wysunął się naprzód. W oddali zapłakało dziecko i zostało natychmiast uciszone. Jeden krok, potem drugi doprowadził Kerricka do ogniska. Chwycił suchą gałąź i wsadził ją w

płomienie, pogrzebał w rozżarzonych węglach, aż wzbił się kłęb iskier. Potem wyciągnął ją, trzaskającą i płonąca, uniósł wysoko.

–Oto co zrobimy – zaniesiemy ogień do ich drewnianego miasta, które nigdy go nie poznało. Murgu nie używają ognia, nie wiedzą, jakie zniszczenie może spowodować. Pokażemy im to. Podpalimy Alpčasak, spopielimy, zrównamy z ziemią, spalimy każdego maraga w środku, pozostawimy za sobą wyłącznie zgliszcza!

Jego słowa utonęły w dzikim ryku zgody.

Herilak podszedł do ognia, uniósł również płonąca gałąź i wrzeszczał o swym poparciu, choć jego głos ginął w tumultcie. Inni samadarzy zrobili to samo, gdy Kerrick tłumaczył swój plan mandukto. Pojawszy go, Sanone cofnął się, odczekał, aż ucichnie hałas, po czym podszedł do ogniska. Chwycił płonąca kij i wzniósł wysoko.

–To Kadair zrobił dla nas tę dolinę, przyprowadził nas tutaj, gdy wszędzie zalegały ciemności. Potem stworzył dla nas gwiazdy, by niebo nie było puste, następnie umieścił na nim księżyc, by oświetlał nam drogę. Ciągłe jednak było za ciemno, by mogły rosnać rośliny, dlatego umieścił też słońce i odtąd świat stał się taki jak teraz. Mieszkamy w tej dolinie, bo jesteśmy dziećmi Kadaira.

Rozejrzał się powoli po milczących słuchaczach, nabrał powietrza w płuca i wykrzyknął jedno słowo:

–Karognis.

Kobiety Sasku zakryły twarze, a mężczyźni jęknęli głośno, z nienawiścią; Tanu obserwowali ich z ciekawością, choć nie rozumieli. Sanone chodził przy ognisku, mówiąc głośno i rozkazująco.

–Karognis przybył przebrany za te stwory nazywane murgu i one zostały pokonane. Te, które nie zginęły, uciekły. Ale to nie wystarczy. Póki żyją, żyje Karognis, a póki istnieje groźba jego istnienia, nie możemy być bezpieczni. Dlatego Kadair przybył do nas w tym nowo narodzonym mastodoncie, by zdradzić nam sposób pokonania Karognisa. Lud mastodontów zaatakują i zabiją murgu. – Pochylił się nagle, wyciągnął inną płonąca gałąź i okręcił ją nad głową. – Pójdziemy z tobą, Karognis zostanie zniszczony! Będziemy walczyć wraz z wami. Zabójców świętych stworzeń pochłona płomienie.

Gest jego był dostatecznie wymowny. Słuchacze nie musieli rozumieć słów, by rozległ się wrzask znamionujący poparcie. Zdecydowano o przyszłości. Wszyscy chcieli teraz mówić, było wiele zamieszania, które uspokoił dopiero Herilak.

–Dość! Wiemy, co chcemy uczynić, chciałbym jednak usłyszeć od

Kerricka, jak tego dokonamy. Wiem, że długo się nad tym zastanawiał. Niech mówi.

–Powiem wam, jak tego dokonamy – oznajmił Kerrick. – Gdy tylko w górskich przełęczach stopnieją śniegi, przekroczymy je ponownie z wszystkimi sammadami. Może zostaniemy wtedy dostrzeżeni przez murgu, na pewno nas wykryją po drugiej stronie gór. Muszą zobaczyć sammady w ruchu, z kobietami i dziećmi, a nie maszerującą armię Tanu. Muszą nas wykryć. Idąc na zachód, będziemy się spotykać z innymi sammadami, rozłączać i łączyć ponownie, zacierając nasze ślady. Dla murgu wszyscy wyglądamy jednakowo, na pewno zgubią nasz trop. Dopiero potem skierujemy się na brzeg oceanu. Będziemy tam polować i łowić ryby – jak wtedy, gdy rozprawiliśmy się z murgu, które przybyły, by nas zabić. Spozrzedzą nas i zastanowią się – uwierzą, że to kolejna pułapka.

Kerrick przez wiele dni próbował przestawić się na sposób myślenia Yilanč, rozumować tak jak one. Jak Vaintč, bo wiedział, że ciągle tam jest, nieustępliwa, że stale będzie prowadzić przeciw niemu fargi, dopóki sama nie zginie. Będzie oczywiście podejrzewała pułapkę, zrobi, co będzie mogła, aby jej uniknąć. Może to uczynić na wiele sposobów, nie ma znaczenia, który wybierze. Gdy uderzy, nie zostanie sammadów.

–Nieważne, w co Uwierzą murgu – powiedział – bo sammady porzucą brzeg, nim napastniczki zdołają nas dosięgnąć. Zostaną tam tylko tak długo, by zdobyć zapasy żywności na zimę. To okaże się łatwe, bo łowców będzie wielu. Rozdzielimy się po wycofaniu i osiągnięciu wzgórz. Sammady ruszą w góry, w śniegach będą bezpieczne. Natomiast polujący na murgu pójdą na południe. Szybko. Zabierzemy tylko trochę jedzenia – resztę upolujemy na drodze. Herilak zna przejścia przez wzgórze, bo przebył je dwukrotnie. Będziemy szli dżunglą tak, jak to łowcy potrafią, może nie zostaniemy spostrzeżeni. Murgu mają jednak wiele oczu i nie możemy liczyć, że podejdziemy nie zauważeni. To nieważne. Nie zdołają nas powstrzymać. Mają tylko kilka łowczyń potrafiących tropić w lesie. Jeśli zaczną nas szukać, zginą. Jeśli pošlą oddziały fargi, zginą całe oddziały. Znikniemy w puszczy i poczekamy na właściwą porę. Gdy powieje suchy wiatr, przed nadejściem zimowych deszczy, uderzymy na miasto. Spalimy je i zniszczymy. Oto co uczynimy.

Zostało to postanowione. Jeśli nawet ktoś się sprzeciwiał, to siedział cicho i nie zabierał głosu, bo wszyscy mówiący pragnęli walczyć.

Gdy ognisko przygasło i zakończono naradę, wszyscy rozeszli się do swych namiotów i izb o skalnych ścianach. Armun szła obok Kerricka.

–Musisz to zrobić? – spytała. W jej głosie było przekonanie, że i tak to uczyni. Może dlatego Kerrick nie odpowiedział.

–Nie bądź zbyt odważny, Kerricku. Nie chcę zostać sama na świecie, bez ciebie.

–Ani ja bez ciebie. Trzeba jednak tego dokonać. Ten potwór Vaintč będzie mnie ścigać, póki któreś z nas nie zginie. Zniosę wojnę do Alpčasaku, by mieć pewność, że to ona padnie. Po jej śmierci, po spaleniu miasta, zniszczeniu Yilanč, będziemy mogli żyć spokojnie. Ale dopiero wtedy. Musisz to zrozumieć. Nie mogę tego nie uczynić.

ROZDZIAŁ XXVIII

Po powrocie do Alpčasaku Vaintč zrozumiała jasno, że straciła łaski Malsasκ, nietrudno też było się domyślić powodów. Vaintč była pierwszą sarn'enoto, jaką miało kiedykolwiek miasto, jej władza przewyższała w czasie wojny potęgę samej eistai. Malsasκna to przystała, a probowała wszystkie przygotowania czynione przez Vaintč. Niełaskę pokazała dopiero po powrocie Yilanč z zachodu.

Przedtem podlegały Vaintč wszystkie zasoby miasta, a nawet zasoby wielkiego kontynentu za morzem. Flota uruketo, którą zawiozła do Alpčasaku obywatelka Inegban*, płynęła wielokrotnie do miast Entoban* z zaproszeniami głoszącymi, że za zachodnim morzem leży nowy świat, że powstało już miasto Alpčasak. Gród ten, rosnący i rozszerzający się w nieznaną dziczy, może wspomóc miasta Entoban*, może wyzwolić je od nadmiaru fargi, zatykających miejskie ulice, zjadających miejskie zapasy. Eistae tych miast z wielką chęcią pozbywały się ciężaru niepożądanych fargi, rade też odwdzięczały się zwierzętami i roślinami, które mogły się przydać w Alpčasaku.

W tym czasie obok modelu Alpčasaku rosła makietka całego Gendasi*. Pierwotnie znano dobrze jedynie wybrzeże na północ od miasta i odtwarzano je na makiecie szczegółowo, podczas gdy wewnątrz lądu było puste, z paroma tylko znakami. Zmieniało się to stopniowo, w miarę jak drapieźniki i inne ptaki dostarczały coraz to nowych obrazów kontynentu. Wyćwiczone Yilanč przekładały jego dwuwymiarowość na góry, rzeki, doliny i puszcze, dopóki model nie urósł w najdrobniejszych szczegółach. Na zachód od Alpčasaku rozciągało się ciepłe morze z zielonym wybrzeżem. Szerokie rzeki wpadały do niego z bogatego lądu, czekającego na wykorzystanie. Gdyby oczywiście nie ustuzou.

Ich niepokojąca obecność pomniejszała walory odkrywanych ziem. Zajmowały je niemal wyłącznie na północy, położenie ich hord zaznaczano starannie na modelu. Hordy te oznaczono cienką, przerywaną linią, rozciągającą się od oceanu do wysokich gór, tuż na południe od lodu i śniegu. We właściwym czasie zostaną wytropione i wybite. Gdy któraś z hord kierowała się na południe, Vaintč zabierała fargi na nowych uruktopach i tarakastach, odnajdywała ustuzou, zabijała i przeganiała do krainy lodu. Z każdym takim zwycięstwem rósł szacunek dla Vaintč. Musiała nastąpić rzeczywiście wielka porażka, skoro straciła wszelkie łaski.

Gdy odkryto nowe ustuzou na zachodzie, grasujące bezkarnie z dala od śnieżnej północy, Vaintč zrozumiała natychmiast, że muszą być zniszczone. Odległość była znaczna, lecz nie dorównywała jej pragnieniu zemsty. Trzeba było wiele uruketo, aby przywieźć ogromne masy fargi i wierzchowców do miejsca lądowania na wybrzeżu. Pod koniec zimy Vaintč poprowadziła taką armię, jakiej świat jeszcze nie widział. Maszerowała ona w głąb lądu, dobrze zaopatrzona i wyposażona w silne środki

obronne. Znano położenie każdego ustuzou, wszystkie ich hordy zostaną po kolei zgniecione i zniszczone. Miał to być początek końca ustuzou. Wielka armia wróciła jednak pokonana.

Wieści o tym dotarły do miasta na długo przed wylądowaniem pierwszej fargi. Gdy Vaintč składała meldunek przed radą, nie było przy tym Malsasκ. Nieobecność eistai była dostatecznie wymowna. Rada wysłuchiwała chłodno jej wyjaśnień, podsumowała straty i odprawiła Vaintč. Odesłała jak zwykłą fargi.

Po tym upadku Vaintč nie zbliżała się do ambesed, tego centrum miasta, w którym codziennie zbierały się Yilanč, w którym zasiadała eistaa. Trzymała się z dala, samotna i zapomniana, oczekując na wezwanie, które nie nadchodziło. Była teraz w niełasce: nikt do niej nie przychodził, by nie podzielić jej upadku.

Po wielu dniach odwiedził ją ktoś, kogo najmniej pragnęła zobaczyć. Nie da się jednak uniknąć spotkania z efenselč.

–To musiałaś być ty – powiedziała ponuro Vaintč. – Jako jedyna nie boisz się, że cię zobaczą ze mną, Córo Śmierci.

–Chcę z tobą pomówić, efenselč – odparła Enge. – Słyszałam wiele o ostatniej awanturze i bardzo mnie to martwi.

–Mnie też nie cieszy, efenselč. Wyruszyłam stąd jako sarn'enoto. Teraz siedzę sama, czekam na wezwanie, które nie nadchodzi – nie wiem nawet, czy jestem nadal rozkazującą sarn'enoto, czy też mniej znaczącą od fargi.

–Nie jestem tu, by pogłębiać twą niedolę. Choć pływające na szczycie najwyższej fali...

–Mogą jedynie runąć w największą głębię. Zachowaj swą prymitywną filozofię dla swoich towarzyszek. Znam wszystkie bzdury wymyślone przez waszą założycielkę Farnaksei i odrzucam je w całości.

–Zostanę tylko chwilę. Chcę cię jedynie poprosić, byś powiedziała, ile jest prawdy w plotkach...

Vaintč przerwała jej nagłym, uciszającym szarpnięciem kciuków.

–Nic mnie nie obchodzi, co szepczą między sobą głupie fargi, nie będę rozmawiać o ich bezsensownej gadaninie.

–To porozmawiajmy jedynie o faktach – ruchy Enge były ponure, nieugięte, nie pozwalające na wycofanie się. – O jednym wiemy obie.

Peleinč wprowadziła swymi wątpliwościami i argumentami podział wśród Cór. Przekonała wiele, że twoja sprawa jest słuszna i owe odszczepieńcze istoty zasiliły szeregi twojej armii. Poszły z tobą na tę morderczą wyprawę. Nie powróciły.

–Oczywiście – Vaintč starała się nie poruszać, by przekazać jedynie niezbędne minimum informacji. Co chwila zastygała w bezruchu. – Nie żyją.

–Zabiłaś je.

–Ustuzou je zabiły.

–Wysłałaś je na ustuzou bez broni, musiały zginąć.

–Wysłałam je przeciw ustuzou tak jak i inne. To one wybrały pójście bez broni.

–Dlaczego to wybrały? Musisz mi powiedzieć – Enge nachyliła się z oczekiwaniem i niepokojem. Vaintč odsunęła się od niej.

–Postanowiłam ci nie odpowiedzieć – odparła, znów zapadając w bezruch. – Zostaw mnie.

–Wpierw odpowiesz na moje pytanie. Rozmyślałam o tym długo i doszłam do wniosku, że poznanie przyczyny ich postępuku ma dla nas życiowe znaczenie. Peleinč i ja różnie tłumaczyłyśmy nauki Ugunenapsy. Peleinč i jej zwolenniczki stwierdziły, że twoja sprawa jest słuszna, dlatego z tobą poszły. Teraz nie żyją. Dlaczego?

–Nie otrzymasz ode mnie odpowiedzi, ani słowa, które mogłoby wesprzeć waszą zdradziecką filozofię. Idź.

W swym ponurym bezruchu Vaintč była nieugięta, lecz Enge była równie uparta w atakach.

–Wyruszając stąd niosły broń. Ginęły z pustymi rękoma. Powiedziałaś, że tak wybrały. Twój wybór posłania ich na śmierć był decyzją morderczyni, rzeźniczki w jatkach.

Vaintč poddała się tej rozmyślnej obrazie, przeszedł ją dreszcz, ale nadal się nie odezwała. Enge bezlitośnie mówiła dalej.

–Pytam cię teraz: dlaczego tak wybrały? Co takiego zmieniło ich pogląd na noszenie broni? Co się stało? Wiesz, co to było. Powiesz mi?

–Nigdy.

–Powiesz!

Enge skoczyła naprzód i potężnymi kciukami ścisnęła mocno ramiona, rozwarła w gniewie usta. Jednak gdy dostrzegła lekkie ruchy radości u Vaintč, puściła ją natychmiast, odepchnęła i odeszła w tył.

–Chciałabyś, bym użyła przemocy, prawda? – spytała, z trudem usiłując opanować swe wzburzenie. – Chciałabyś ujrzeć, jak zapominam o prawdzie mych wierzeń i zniżam się do twojego poziomu, szaleńczego gwałtu. Nie upodlę się tak bardzo, choćbyś najmocniej mnie prowokowała. Nie dołączę do ciebie w pożałowania godnym zezwierzęciu.

Wściekłość przerosła opanowanie Vaintč, wyzwoliła cały jej gniew tłumiony od niesławnego powrotu i wypadnięcia z łask.

–Nie dołączysz do mnie – już dołączyłaś. Mam na sobie ślady wbitych głęboko twych kciuków, krew spod twych paznokci. Twa wyższość jest równie pusta jak ty sama. Rozgniewałaś się jak ja – zabijesz jak ja.

–Nie – odparła Enge, znów spokojna. – Tego nie uczynię nigdy, tak nisko, nigdy nie upadnę.

–Nigdy! Upadniesz, wszystkie upadniecie. Tak jak zwolenniczki Peleinč. Chętnie wznosiły hčsotsany i zabijały zbrodnicze ustuzou. Przez chwilę były prawdziwymi Yilanč, a nie skamlącymi pogardzanymi wyrzutkami.

–Zabiły – i umarły – powiedziała miękko Enge.

–Tak, umarły. Jak ty, nie potrafiły stawić czoła temu, że nie są inne, nie są lepsze niż my wszystkie.

Vaintč urwała zrozumiawszy, że w gniewie odpowiedziała na pytanie Enge.

Wraz ze zrozumieniem prawdy Enge opuścił cały gniew.

–Dziękuję, efenselč, dziękuję. Dzisiaj wyświadczyłaś mnie i Córom Życia wielką przysługę. Pokazałaś, że nasze stopy tkwią na ścieżce i że musimy nią podążać bez błędzenia. Tylko w ten sposób możemy osiągnąć prawdę, o której mówiła Ugunenapsa. Te, które zabiły, umarły, gdy pojęły swój czyn. Inne zobaczyły i zdecydowały, że tak nie umrą. Oto co się zdarzyło, tak?

Vaintč mówiła teraz z zimnym gniewem.

–To się zdarzyło, ale nie z powodu, który podałaś. Umarły nie dlatego, że były lepsze, że pod jakimś względem przewyższają pozostałe Yilanč – umarły, bo są dokładnie takie same. Myślały, że unikną śmierci przez wygnanie z miasta, że unikną utraty imienia. Myliły się. Umarły tak samo. Nie jesteś lepsza od nas wszystkich – w

istocie jesteś dużo gorsza.

Pogrążona w myślach, milcząca Enge odwróciła się i wyszła. W drzwiach zatrzymała się i spojrzała do tyłu.

–Dziękuję ci, efenselč – powiedziała. – Dziękuję za odsłonięcie tej przerażającej prawdy. Żałuję, że tyle musiało umrzeć, by ją odsłonić, lecz być może tylko w ten sposób mogłyśmy ją poznać. Może nawet ty, poszukująca śmierci, pomożesz nam ocalić życie. Dziękuję.

Vaintč syknęła z gniewu, rozerwałaby gardło Enge, gdyby nie wyszła. Ta rozmowa stała się przełomem. Nie mogła już znieść swego nieokreślonego położenia. Musi coś zrobić. Czy ma iść do ambesed, stanąć przed eistaą i przemówić do niej? Nie, to nic nie da, może zakończyć się publicznym upokorzeniem, po którym nigdy się nie podniesie. Co zatem?

Czy nie może z nikim porozmawiać? Tak, jest ktoś. Wierzący tak jak ona, że nie ma nic ważniejszego od zabijania ustuzou. Wyszła, przywołała przechodzącą targi i wydała jej polecenie.

Minął prawie cały tydzień, a nikt nie nadchodził, Vaintč powoli przechodziła od gniewu do bezruchu i pustki, zapadała w bezmyślne milczenie. Tak mroczny był jej nastrój, że z trudem się z niego wyzwoliła, gdy poczuła, że ktoś przed nią stoi.

–To ty, Stallan.

–Posłałaś po mnie.

–Tak. Sama nie przychodziłaś mnie odwiedzić.

–Nie. Zostałoby to zauważone, Malsasłby się dowiedziała. Niepotrzebna mi taka uwaga ze strony eistai.

–Myślałam, że mi służysz. Teraz bardziej sobie cenisz swoją nakrapianą skórę?

Stallan stała mocno na szeroko rozstawionych nogach, nie ustępowała.

–Nie, Vaintč, bardziej cenię mą służbę. Moim zadaniem jest zabijanie ustuzou. Gdy prowadzisz, idę za tobą. Na północy rozlażą się jak robactwo. Trzeba je gnieść nogami. Gdy nie prowadzisz, czekam.

Zły nastrój Vaintč poprawił się trochę.

–Czy wyczuwam w tym upomnieniu, potężna Stallan, sugestię, że lepiej wykorzystałabym swe siły, gdybym po prostu działała jak rzeźnik i wyrzynała

najbliższe ustuzou? Nie powinnam była prowadzić tej wielkiej wyprawy tylko po to, aby wytropić i zabić to jedno, żalosne ustuzou?

–Tyś to powiedziała, Vaintč. Nie ja. Powinnaś też wiedzieć, że podzielam twe pragnienie rozerwania gardła temu określoneму ustuzou.

–Ale nie do tego stopnia, by ścigać je wszędzie, gdziekolwiek się ukryje?

Vaintč chodziła po swej kwaterze tam i z powrotem, rzucając się z gniewu, drąc pazurami wykładzinę podłogi.

–Powiem to tobie, tylko tobie, Stallan. Może ten ostatni atak był błędem. Żadna jednak z nas nie wiedziała z góry, czym się zakończy, wszystkie pragnęłyśmy powodzenia. Nawet ta, która teraz ze mną nie rozmawia.

Okręciła się na pięcie i wskazała Stallan kciukiem.

–Powiedz mi, lojalna Stallan: Dlaczego przez cały ten czas unikałaś mnie, a teraz tu jesteś?

–Zapomniano o stratach. Mimo wszystko większość zabitych to fargi. Teraz mówi się tylko o tych Yilanč, które poległy w puszczy z rąk ustuzou, o martwych samcach na plażach. Dopilnowałam, by krążyło wiele zdjęć przenoszonych przez ptaki, by Yilanč oglądały obrazy ustuzou. Yilanč patrzą i są pełne gniewu. Dziwią się, dlaczego przerwano zabijanie.

Vaintč zapięła z radości.

–Lojalna Stallan, źle cię oceniłam. Gdy kryłam się tu w mrocznym gniewie, tyś zrobiła jedyną rzecz, która może zakończyć me wygnanie. Przypomnij im o ustuzou. Pokazuj, co uczyniły ustuzou i co zamierzają zrobić. Są wokół nas, ogarnięte żądzą zabijania. Wkrótce przyjdą do mnie znowu, Stallan, bo nie zapomną, że jestem bardzo dobra w zabijaniu ustuzou. Popęlniałyśmy błędy i uczyłyśmy się na nich. Od teraz będzie to spokojna, skuteczna rzeź. Jak zrywa się owoce z drzew, by karmić zwierzęta, tak zerwiemy te ustuzou. Dopóki nie ogołocimy drzewa, dopóki nie zginą, a całe Gendasi* nie stanie otworem przed ekspansją Yilanč.

–Będę ci w tym pomagając, Vaintč. Odkąd po raz pierwszy ujrzałam ustuzou, wiedziałam, że albo one, albo Yilanč. Muszą zginąć, one lub my.

–To prawda. To nasze przeznaczenie i musimy je spełnić. Nastąpi dzień, gdy czaszka ostatniego ustuzou zawiśnie na cierniach Ściany Pamięci.

Stallan powiedziała spokojnie i bardzo szczerze.

-To ty ją zawieszisz, Vaintč. Tylko ty.

ROZDZIAŁ XXIX

Vaintč przyzwyczaiła się codziennie wieczorem, tuż przed zachodem słońca, oglądać model Gendasi*. O tej porze nie było już jego budowniczyń, odchodziły po zakończeniu pracy, miała tylko dla siebie te ogromne, słabo oświetlone tereny. Badała wtedy wszelkie zmiany poczynione tego dnia, sprawdzała, czy ptaki dostarczyły nowych, ciekawych zdjęć. Trwało lato i zwierzęta wędrowały, hordy ustuzou poruszały się również. Widziała, jak łączyły się i rozdzielały, aż nikt nie był w stanie ich odróżnić. Nie miała teraz władzy, dlatego nie mogła nakazać określonych lotów, musiała przyjmować bez pytań wszystkie informacje dostarczane na zdjęciach.

Pewnego wieczoru, gdy tam była, przyszła Stallan ze świeżo dostarczonymi zdjęciami; chciała je porównać z obrazem plastycznym. Vaintč chwyciła je łapczywie, oglądała na ile tylko pozwalało słabnące światło. Nigdy tego nie uzgodniły, lecz Stallan po odkryciu, że Vaintč przebywa codziennie o tej porze przy modelu, przychodziła tam często sama, przynosząc nowe zdjęcia ruchów ustuzou. W ten sposób Vaintč wiedziała tyle samo, co wszyscy w mieście o stworzeniach, które przysięgała zniszczyć.

Pilnie przeglądała wszystkie nowe zdjęcia doliny ustuzou na południu; nie zdziwiła się, gdy któregoś dnia zniknęły skórzane schronienia i wielkie zwierzęta. Kerrick nie czekał na jej powrót Odszedł. Pojawi się jednak, była tego pewna.

Przez całe lato badała model, nie pokazując się w ambesed i czekając. Śledziła ruchy różnych hord, widziała, jak jedna z większych przesuwa się stale na wschód. Gdy ta właśnie horda opuściła schronienie w górach i zbliżała się do brzegu oceanu, czekała dalej, nic nie mówiąc.

Gdy zatrzymała się, będąc w zasięgu ataku z morza, czekała nadal. Jej cierpliwość wystawiona była na ciężką próbę. Stallan przekazywała jej niepokoje Yilanč wywołane zbliżaniem się ustuzou, gniew, że nie są atakowane. Malsas też się o nich dowie, zobaczy zdjęcia, będzie musiała coś zrobić. Naciskano teraz ją, a nie Vaintč, co pozwalało poskromić niesprawiedliwość, choć nadal przychodziło jej to z wielkim trudem. Miała jednak wszystko do wygrania, a niewiele do stracenia. Gdy przybyła fargi, ukryła swe podniecenie pod maską bezruchu.

–Posłanie Vaintč, od Eistai.

–Mów.

–Konieczna jest natychmiast twa obecność w ambesed.

–Wracaj, przyjdę.

Vaintč długo myślała o tej chwili, rozważała, ile powinno upłynąć czasu od dostania wiadomości do wyruszenia. Nie za długo; nie powinna bez powodu drażnić Malsas«. Zastanawiała się nad nałożeniem na ramiona oficjalnych ornamentów, lecz odrzuciła ten pomysł. Musi się obejść bez ostentacji. Spuściła tylko na dłonie kilka kropel olejku, natarła nim pierś, tak iż lekko błyszcząca. Resztę zużyła na przedramiona i górną część dłoni. Na tym skończyła. Wyszła bez pośpiechu, choć skierowała się na ambesed najkrótszą drogą. Tam, w sercu miasta, zasiadała kiedyś jako eistaa. Wraca tam teraz – jako kto? Pokutnica, błagająca? Nie, na pewno wolałaby zginąć, niż prosić o łaskę. Weszła gotowa odebrać rozkaz, służyć Alpčasakowi, nic więcej. Idąc okazywała to postanowienie każdym ruchem ciała.

Ambesed był teraz obszerniejszy, przybyłe z Inegban* powiększyły szeregi mieszkańek Alpčasaku. Stary w grupkach rozmawiając lub przechodziły powoli od jednej grupy do drugiej. Wiedziały o jej przybyciu, przesuwały się, niby przypadkiem zostawiając jej przejście, ale nie przyglądano się jej, ani nie witano. Była tu i nie była, póki nie porozmawia z Malsas«.

Grupa otaczająca eistaa rozstąpiła się przed nią, udając, że jej nie dostrzega, cofając się jakby niezamierzenie. Pomijając te na wpół zniewagi, szła śmiało do Malsas«. Obok eistai stała Stallan. Łowczyni spojrzała na Vaintč i wnętrza jej dłoni nabrały barw rozpoznania. Vaintč odpowiedziała na powitanie, zapamiętując w myślach odwagę Stallan, która przekazała jej znak rozpoznania, gdy inne od niej się odwracały. Stała przed Malsas«, czekała w milczeniu, aż ta przesunęła w jej stronę jedno oko.

–Jestem, Eistao.

–Tak, jesteś, Vaintč – było to czyste stwierdzenie, bez śladu emocji. Vaintč stała w milczącym oczekiwaniu, gdy Malsas«mówiła dalej.

–Na północy ustuzou są na tyle śmiałe, że zbliżają się do brzegu, gdzie mogą być odnalezione i wybite.

–Wiem o tym, Eistao.

–Czy wiesz także, że kazałam Stallan iść tam, zabić je?

–Nie wiedziałam o tym. Wiem jednak, że Stallan to pierwsza zabójczym ustuzou, jest w rym najlepsza.

–Rada to słyszę od ciebie, Stallan jednak myśli inaczej. Uważa, że brak jej umiejętności prowadzenia, bycia sarn'enoto w pogoni za ustuzou. Potwierdzasz to?

Musi dać właściwą odpowiedź. Kryło się w niej niebezpieczeństwo,

nie mogła sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Vaintč odezwała się ze szczerością w ruchach, połączoną z pewnością zamiarów.

–Stallan ma wielką umiejętność zabijania ustuzou, wszyscy się od niej uczymy. Co do jej zdolności jako sarn'enoto – nie mnie o tym sądzić. Jedynie eistaa może uczynić kogoś sarn'enoto. Eistaa może sprawić, że przestanie nią być.

Tak to powiedziała. Bez buntu, próby sporu czy pochlebstwa, wyłącznie proste stwierdzenie faktu. Decyzja jak zawsze należała do eistai. Inne mogą doradzać, tylko ona podejmuje decyzje.

Malsas<spoglądała na nie obie w milczeniu. Stallan, jak zwykle, stała mocno jak drzewo, gotowa wypełnić otrzymane rozkazy. Nikt, patrząc na nią, nie uwierzyłby, iż może kiedykolwiek sprzeciwić się eistai. Skoro powiedziała, że nie potrafi służyć jako sarn'enoto, to dlatego tylko, że w to wierzyła.

Vaintč też nie protestowała przeciw rozkazom. Była tu, by je odebrać. Malsas<spojrzała na obydwie i podjęła decyzję.

–Ustuzou muszą być zniszczone. Jestem eistaa i mianuję Vaintč sarn'enoto, by doprowadziła do ich zniszczenia. Jak zamierzasz to osiągnąć, sarn'enoto?

Vaintč odłożyła na później myśli o zwycięstwie, zmusiła się, by nie okazać rosnącej w niej wielkiej radości. Potwierdziła, iż przyjmuje obowiązki i zaczęła mówić.

–Wszystkie ustuzou unikają teraz wybrzeża, gdzie zginęli ich pobratymcy. Kiedyś przybyła tam jednak horda i zastawiła na nas pułapkę. Gdy ujrzałam na wybrzeżu nową hordę, dostrzegłam ponownie zasadzkę. Oznacza to, że musimy zrobić dwie rzeczy: ominąć potrzask i zastawić na ustuzou własną pułapkę.

–Jak to uczynisz?

–Wyjdziemy z miasta w dwóch grupach. Pierwszą poprowadzi Stallan. Wyruszy na północ w łodziach, by napaść na ustuzou w ten sam sposób, jak to uczyniła kiedyś. Jej oddział spędzi na brzegu noc poprzedzającą poranny atak. Drugą grupę zabiorę na szybkich uruketo, trzymając się z dala od brzegu. Wylądujemy na północ od ustuzou i uderzymy nagle, nim dowiedzą się o naszej obecności.

Malsas<okazała zrozumienie, lecz nie ukrywała zdumienia.

–Pozbędziemy się przez to hordy ustuzou. Co jednak przeszkodzi innym ustuzou, które mogą się ukryć, przed zaatakowaniem nocą i wybiciem Stallan i jej fargi, gdy będą spały na plaży?

–Eistaa okazała swą mądrość w najważniejszej sprawie. Gdy ustuzou będą

obserwować lądowanie Stellan na brzegu, dojrzą jedynie wyładowywanie mięsa i wody. Zapasy te zostaną otwarte dopiero po zmroku, odsłaniając naszą nową broń nocną. Zaraz potem Yilanč wejdą do szkolonych nocą łodzi. Gdy nastąpi atak, łodzie odpłyną; na plaży pozostanie tylko śmierć.

Malsas< zastanowiła się nad tym, potem skinęła głową.

–Zrób tak. To dobrze obmyślany plan. Widzę, że poświęciłaś mu wiele uwagi, Vaintč.

Była w tym przygana, iż Vaintč, nie znając jeszcze swej pozycji, układała plany. Vaintč przeszła nad *tym* do porządku. Była ponownie sarn'enoto – tylko to miało znaczenie. Ciągłe opanowując swe podniecenie, przemówiła jak najspokojniej.

–Jest jeszcze coś, co dotyczy oddziału Stellan, o czym muszę ci powiedzieć. Rozwijając nocne bronie przekonałyśmy się, że zaledwie kilka Yilanč potrafi działać w ciemnościach, nawet przy światłach. To te specjalistki uwolnią broń, potem pójdą wzdłuż świetlnych znaków do łodzi. Reszta fargi będzie musiała pozostać na brzegu. Jeśli nastąpi atak, to bardzo możliwe, że wszystkie one zostaną zabite.

–To niedobrze – powiedziała Malsas<. – Zginęło ich zbyt wiele.

–Wiem o tym, Eistao, chyba najlepiej ze wszystkich. Dlatego bardzo bym nie chciała być świadkiem dalszych śmierci fargi. Proponuję przeto, by zastąpić fargi Córami Śmierci. Te pasożyty naszego miasta powinny się na coś też przydać.

Malsas< z wdzięcznością przystała na tę propozycję, wewnątrz jej dłoni zażółciło się z zadowolenia.

–Jesteś sarn'enoto, Vaintč, bo masz takie pomysły. Zrób to, zrób natychmiast.

–Przygotowania zostaną dziś zakończone, zapasy załadowane. Oba oddziały wyruszą o świcie.

Czasu było mało, lecz Vaintč układała plany od wielu dni, jeszcze wtedy, gdy nie wiedziała jak potoczą się jej losy. Pośpieszne przygotowania zostały zakończone dzięki skutecznemu działaniu wszystkich współpracujących Yilanč. Jedynie Enge sprawia kłopoty. Nalegała na rozmowę z Vaintč, była zdecydowana czekać, aż zostanie jej udzielone posłuchanie. Ku swemu zdziwieniu jej prośba została spełniona natychmiast

–Co za rozkazy wydałaś, Vaintč? Co chcesz zrobić z Córami Życia?

–Jestem sarn'enoto. Tak się do mnie zwracaj. Enge cofnęła się – potem zrozumiała, że musi się pozbyć osobistej dumy.

–Najniższa do najwyższej, mówiłam pośpiesznie, sarn'enoto. Poinformuj mnie, proszę, o znaczeniu twych rozkazów.

–Zostaniesz wraz ze swymi towarzyszkami wysłana na północ w łodziach. Nie będzie się od was wymagało używania broni ani zabijania. Chcemy tylko, byście wspomogły wasze miasto.

–Jest w tym coś więcej. Nie powiedziałaś mi o wszystkich swych zamiarach.

–Nie, nie powiedziałam. Ani nie powiem. Zjadacie żywność Alpčasaku, chronicie się za tymi, które są gotowe umrzeć za Alpčasak. Gdy potrzebna jest wasza pomoc, zrobicie to, co wam się każe.

–Jest w tym coś złego, co mi się nie podoba. A jeśli odmówimy?

–I tak pójdziecie. W razie potrzeby w więzach, ale pójdziecie. Teraz odejść ode mnie. Masz możliwość wyboru, choć twa decyzja nic mnie nie obchodzi. Zostaw mnie, mam wiele pracy.

Zdecydowanie Vaintč, jej obojętność na zdanie Cór, przekonało Enge, że zostaną one związane i załadowane, jeśli nie posłuchają rozkazów. O brzasku Córy Życia pracowały nad załadunkiem zapasów na łodzie, potem wsiadły same bez żadnych sprzeciwów.

Vaintč upewniała się osobiście, czy zabrano wszystkie nocne osłony, lecz odwróciła się natychmiast, gdy podeszła do niej Stallan z plikiem zdjęć między kciukami.

–To zamówione przez ciebie powiększenia, sarn'enoto.

–Przeglądałaś je? Jest w tej hordzie? Ruchy Stallan były dwuznaczne.

–Jest jedno stworzenie, które może nim być, lecz wszystkie noszą futra, wszystkie wydają mi się jednakowe.

Vaintč sięgnęła po zdjęcia i przeglądała je szybko, rzucając po kolei na ziemię, aż znalazło to, które chciała. Uniosła zdjęcie w triumfalnym geście.

–Tu, to na pewno Kerrick! Futro mu urosło, jak powiedziałaś, ale to jego twarz, trudno się pomylić. Jest tam, na brzegu, nie ucieknie. Wiesz, co masz robić?

–Wiem. To dobry plan.

Powiedziawszy to, Stallan pozwoliła sobie na rzadki u niej przejaw humoru.

–Bardzo zabawny plan. Po raz pierwszy czekam z radością na atak ustuzou.

Po załadunku Stallan poprowadziła łodzie na północ. Dopiero pod koniec dnia przekonała się, że wszystkie trudy poszły na marne. Choć zrobiły wszystko według planu, płynęły cały dzień, by o zmroku osiągnąć wyznaczoną plażę, wyładować i przygotować pułapkę, to nikt w nią nie wpadł. W ostatnich promykach dnia za przybojem pojawiły się uruketo, wokół skakały towarzyszące im enteesenaty. Z wierzchołka wielkiej płetwy machała Yilanč. Stallan poleciła jednej z nocnych łodzi, by ruszyła tam. Gdy się zbliżała, Yilanč zawołała do niej:

–Mówię w imieniu Vaintč. Każe wam wracać rano do Alpčasaku. Zabierz wszystko. Atak nie idzie zgodnie z planem.

To była ostatnia rzecz, jakiej spodziewała się Stallan. Jej ruchy wyrażały pytanie i niezadowolenie.

–Powodem jest to – wyjaśniła Yilanč – że ustuzou odeszły, opuściły plażę i wracają w głąb lądu najszybciej jak tylko można. Nie mamy co niszczyć.

ROZDZIAŁ XXX

Drapieżnik odleciał na południe przed wieczorem. Wcześniej wielki ptak upolował królika, wleciał na wierzchołek wysokiego, uschłego drzewa, trzymając w szponach wciąż szarpiący się łup. Usiadł, rozdarł zwierzątko i zjadł. Nasycony, pozostał na drzewie. Czarna bryłka na nodze była widoczna dla każdego, kto spojrzałby w górę ze stłoczonych w dole namiotów. Drapieżnik wyczyścił zakrzywiony dziób o korę, wygładził nim pióra, odpoczął i wzbił się w powietrze. Krążąc wznosił się coraz wyżej, potem odleciał na południe.

Jeden z chłopców, którym kazano śledzić ptaka, przybiegł natychmiast, by zawiadomić Kerricka. Ten osłonił oczy i spojrzał w niebo; dostrzegł znikającą w oddali białą plamkę.

–Herilaku, odleciał – zawołał.

Wielki łowca odwrócił się od upolowanej sarny, którą kroił. Ręce miał czerwone po łokcie.

–Może pozostały inne – powiedział.

–Może, nigdy nie jest się pewnym. Ale zniknęło też stadko rybitw, a chłopiec mówi, że w pobliżu nie widać żadnych innych dużych ptaków.

–Co według ciebie mamy zrobić, margalusie?

–Odejść zaraz, nie czekając ciemności. Mamy tyle jedzenia, ile potrzeba, dłuższy pobyt nic nam nie da.

–Zgoda. Idziemy.

W namiotach wszystkie rzeczy były już zebrane i związane, gotowe do załadunku. Po zwinięciu namiotów zaprzężono mastodonty do włóków i szybko je załadowano. Wszystkim spieszo było opuścić groźne wybrzeże; chcieli wrócić w bezpieczne góry. Przywiązywano jeszcze ostatnie pakunki, gdy pierwszy mastodont już ruszył, ciężko stąpając. Łowcy oglądali się za siebie, lecz plaża była pusta, podobnie jak niebo. Na brzegu nadal dymiły ogniska, na wpół wypatroszona sarna zwisała z ramy. Sammady odeszły.

Ciągnęły do zmroku, zatrzymały się na posiłek i zjadły zimne mięso. Potem ruszyły dalej. Szły całą noc, stając tylko na krótko, by odpoczęły zwierzęta. O świcie znalazły się na zalesionych wzgórzach, daleko od szlaku, jaki obrały podczas wędrówki ku plażom. Odczepiono mastodonty od włóków, tak iż mogły się swobodnie paść, a zmęczeni ludzie zasnęli pod drzewami.

Gdy Armun otworzyła oczy, ukośne promienie padające przez gałęzie wskazywały na południe. Dziecko zgłodniało, obudził ją niespokojny płacz. Oparła się plecami o pień i dała dziecku piersi. Kerrick już nie spał; widziała, jak na polanie rozmawia z sammadarami. Na jego poważnej twarzy malowało się napięcie, lecz rozjaśnił się w uśmiechu, gdy ją dostrzegł. Odpowiedziała i chwyciła go za rękę, gdy usiadł obok.

–Wkrótce wyruszamy – powiedział, odwracając niecierpliwie głowę, gdy zobaczył znikający z ust ukochanej uśmiech. Mocno zacisnęła dłoń.

–Musisz? – zabrzmiało coś pośredniego między stwierdzeniem a pytaniem.

–Wiesz, że muszę. To mój plan – nie mogę pozwolić, by inni poszli do ataku beze mnie.

–Zostawiasz mnie... – głos jej stał się płaczliwy, słychać w nim było ból samotnego życia. – Jesteś dla mnie wszystkim.

–To nieprawda. Masz teraz Arnwheeta i będziesz go strzegła, dopóki nie wrócę. Robię to, wszyscy to robimy, z tego samego powodu, by ustrzec sammady przed śmiercią. Nie będziemy bezpieczni, dopóki murgu mogą nas śledzić i zabijać. Dopiero gdy zginą, będziemy mogli żyć w spokoju. Idź z sammadami do łąki w zakolu rzeki. Dołączymy do was przed końcem zimy. Zostań, póki nie wrócę.

–Nie zostawisz mnie, obiecuj.

Miała opuszczoną głowę, gęste włosy opadały jej na twarz jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Dziecko ssało chciwie, patrząc na niego okrągłymi, niebieskimi oczami. Kerrick wziął lekko Armun pod brodę, uniósł twarz. Rozgarnął włosy, przesunął palcami po jej policzkach, potem leciutko po rozdzielonej wardze.

–Żyłem samotnie jak ty – powiedział tak cicho, żeby tylko ona słyszała. – Jak ty różniłem się od wszystkich wokół, nienawidziłem wszystkich. To już minęło. Jesteśmy razem – i gdy wrócę, nigdy się już nie rozstaniemy. Obiecuję ci.

Pieszczota rozbroiła ją; wiedziała, że myśli tak, jak powiedział, że znowu będzie patrzył na jej twarz bez szyderstwa. Zebrało się jej na płacz, wołała jedynie skinąć potwierdzająco, gdy wstał i odszedł. Spojrzała na dziecko, uściśnęła je i ukołysała do snu. Nie unosiła oczu, zanim nie była pewna, że łowcy odeszli.

Herliak prowadził ich przez wzgórza, trzymając się cały czas w cieniu drzew. Szedł szybkim, równym krokiem, za nim pozostali. Wszyscy byli silni i zdrowi, dobrze odżywieni przed marszem. Uginali się pod ciężarem pakunków na plecach, była to głównie żywność, tak że z czasem będzie im lżej. Teraz chodziło o to, aby nie tracić czasu na polowanie, lecz odejść możliwie jak najdalej od sammadów. Gdy nadlecą ptaki, a nadlecą na pewno, nie powinny zauważyć ich odejścia. Muszą zniknąć w

puszczy. Szli bez przerwy, dopóki szlak był widoczny, a najsilniejsi nie zaczęli słabnąć ze zmęczenia. Dopiero wtedy Herilak nakazał postój. Zwalił na ziemię swój pakunek, inni uczynili to samo, nie ukrywając zadowolenia. Podszedł Kerrick, usiadł obok i podzielił się mięsem. Jedli w milczeniu, wokół gęstniały ciemności i pojawiały się gwiazdy. Na drzewie nad nimi zawołała sowa.

–Czyżby już nas obserwowano? Czy sowa powie innym ptakom, że tu jesteśmy? – spytał z troską Herilak.

–Nie. To prawdziwa sowa. Śledzące nas ptaki mogą porozumiewać się tylko z murgu, nie między sobą. Drapieżnik, który widział nas wczoraj, nie wrócił jeszcze do Alpčasaku, myślą wciąż, że obozujemy na brzegu. Gdy odkryją, że odeszliśmy, i wyślą inne ptaki, by nas szukały, będziemy daleko. Odnajdą sammady i będą je śledzić. Nie przyjdzie im do głowy szukać nas tutaj. Wykrycie zacznie grozić dopiero wtedy, gdy zbliżymy się do miasta.

–Wtedy będzie za późno.

–Tak, będzie już dla nich za późno.

„Śmiałe słowa” – pomyślał Kerrick i uśmiechnął się niepewnie w ciemności. Czy ten mały oddział łowców naprawdę potrafi zniszczyć to potężne miasto ze wszystkimi kłębiącymi się w nim istotami? Uzbrojeni byli w hčsotsany – lecz miały je również Yilanč. Hčsotsany, łuki i włócznie przeciwko potężnej rasie wypełniającej świat od jaja czasu. Wątpliwości sprawiły, że jego myśli stały się bardziej czarne niż otaczająca noc. Jak może im się to udać?

Myśląc o tym wszystkim, dotknął drewnianej skrzynki, którą zabrał z doliny. Wewnątrz był kamień z zawartym w nim ogniem. Z ogniem mogą tego dokonać – dokonają tego. Z tym przekonaniem, którego trzymał się teraz kurczowo, położył się na boku i zasnął.

–Wróciły pierwsze z wysłanych przez nas ptaków – powiedziała Vaintč. – Zbadano zdjęcia i sądzimy, że horda ustuzou znad brzegu jest już blisko gór, daleko na północy.

–Jesteś pewna? – spytała Malsas<.

–Nigdy nie można mieć pewności w sprawach ustuzou, bo te stwory są bardzo do siebie podobne. Wiemy jednak, że nie ma ich już na plaży, ani też żadna ich horda nie przebywa na południu.

Stallan stała z tyłu, słuchała w milczeniu. Nie znaleziono żadnej hordy, to prawda. Ale co znaczy to wszystko? Coś w tym wszystkim się nie zgadza. Przeczowała to zmysłem łowczyni, lecz nie wiedziała, skąd bierze się to przeczucie. Malsas<nie

myślała jak łowczyń, lecz nieświadomie również podzielała jej niepokój.

–Nie rozumiem. Dlaczego te bestie wykonały tak długi marsz nad morze, by potem odejść niemal natychmiast? Vaintč poruszeniem wyraziła niepewność.

–Polowały, by zdobyć zapasy żywności na zimę. Łowiły ryby.

–Mało miały czasu na polowanie – powiedziała Stellan.

–Właśnie – dodała Malsasκ. – Z jakiego więc powodu tak postąpiły? Myślą logicznie – czy tylko biegają w kółko jak zwierzęta? Trzymałaś jedną bestię długi czas, Vaintč, musisz to wiedzieć.

–Myślą. Planują. Mają zwierzęcy spryt, który może okazać się bardzo niebezpieczny. Nie wolno nam nigdy zapomnieć o tym, jak zabiły fargi na plaży.

–Twoje ustuzou uciekło, prawda? – spytała Malsasκ. – Było z tą hordą na wybrzeżu?

Vaintč odparła jak najspokojniej:

–Tak sędzę. Jest niebezpieczne, bo oprócz zwierzęcego sprytu ustuzou ma też trochę wiedzy Yilanč.

A więc Malsasκ ją śledziła, wiedziała o zainteresowaniu powiększonymi zdjęciami. Można się było tego spodziewać, sama postąpiłaby podobnie.

–To stworzenie musi zostać zniszczone, jego skóra musi zawisnąć na cierniach.

–Pragnę tego samego, Eistao.

–Co więc zamierzasz?

–Mimo że chciałabym ujrzeć ich koniec, za ważniejsze uważam zabicie wszystkich ustuzou. Wynik będzie ten sam. Zginą wszystkie, zginie i ono.

–To mądry plan. Jak się zabierzesz do wprowadzenia go w życie?

–Z pozwoleniem Eistai chciałabym wszcząć trumal, który całkowicie zlikwiduje to zagrożenie.

Malsasκ wyraziła zarówno pochwałę, jak i wątpliwość. Jak wszystkie inne w czasie młodości spędzonej w oceanie brała udział w trumalu – kiedy to łączyły się w różne efenburu i współpracowały harmonijnie w jednym celu. Nieraz ławica kałamarnic była za wielka dla jednego efenburu. Gdy atakowały ją trumalem, zawsze kończyło się to pełnym sukcesem. Żadne zwierzę nie uchodziło żywe.

–Rozumiem twoje wątpliwości, Eistao, lecz to konieczne. Od miast Entoban* musimy otrzymać więcej fargi. Więcej uruketo, więcej broni. Wtedy pod koniec wiosny wyruszymy na północ, łądem pójdziemy na zachód. Zabijemy wszystkie. Przed końcem lata osiągniemy góry i skrócimy na południe, w stronę ciepłego morza. Przez zimę będziemy otrzymywać zapasy. Z nadejściem następnej wiosny uderzymy na zachód gór. Do kolejnej zimy wytępiamy ten gatunek ustuzou. Nie zostanie ani jedna para, by się mogły rozmnażać w jakimś ciemnym, śmierdzącym miejscu. Uważam to za konieczne.

Malsas<zaakceptowała to, przyjęła. Nadal jednak trapiło ją, czy ten ambitny zamiar da się w pełni zrealizować. Czy jest wykonalny? Spojrzała na model, pomyślała o ogromnych przestrzeniach, o wypełniających je ustuzou. Czy rzeczywiście zostaną wszystkie wytępione?

–Muszą zginąć, wszystkie – odpowiedziała głośno na własne pytanie. – To konieczne, nie ma innego wyjścia. Ale czy uda się tego dokonać już przyszłego lata? Czy nie lepiej wysłać mniejsze oddziały, dopadać i niszczyć te hordy, które odnalazłyśmy?

–Ukryją się. Pójdą na północ w zamrznięty kraj, gdzie nie będziemy mogli ich ścigać. Wolałabym dokonać tego tak, jak mówiłam. Armia fargi, przeczesanie łądu i koniec z zagrożeniem.

–Co sądzisz, Stallan? – spytała Malsas<, zwracając się do nieruchomej, milczącej łowczyni. – Jesteś zabójczynią ustuzou. Czy plan zaproponowany przez Vaintč spełni swój cel? Czy mamy się go podjąć?

Stallan spojrzała na ogromny model, uporządkowała myśli, by wyrazić je jasno.

–Jeśli wykonamy trumal, ustuzou zginą. Tylko nie wiem, czy zdoła się zgromadzić dostateczną po temu siłę. Nie rządę, więc nie mam pojęcia. Mogę tylko powiedzieć, że przy odpowiednich siłach trumal się powiedzie.

Zapadła cisza, w której Malsas<rozważała wszystko, co zostało powiedziane. W końcu oznajmiła swe zdanie będące rozkazem.

–Trumal, sarn'enoto. Zniszcz ustuzou.

ROZDZIAŁ XXXI

–Wybacz, że mało ważna przeszkadza tak znaczącej i ciężko pracującej – powiedziała Krunat, podchodząc niepewnie do Vaintč.

Stała ona przed modelem Gendasi*, skupiona i zatroskana, pochłonięta myślami o zbliżającym się natarciu. Powitała intruza automatycznie, dopiero po chwili ją poznała. Spotkały się już, tak, to Krunat, przejęła po Sňkain zadanie planowania rozwoju miasta. To jej asystentki zbudowały ten model Gendasi*, a Krunat pomagała w planowaniu. Stała teraz przed Vaintč, pokorna niby najniższa fargi. Była znakomitą projektantką, choć zbyt mało się cenila. Vaintč z trudem oderwała się od planu wyprawy i zmusiła do serdeczności. Nie chciała okazać zniecierpliwienia, mimo że jej przeszkadzano.

–Rozmowa z Krunat to zawsze zaszczyt. Jak mogę ci pomóc? Krunat położyła przyniesione przez siebie zdjęcie, okazując nieśmiałość każdym ruchem.

–Po pierwsze, jestem niewymownie wdzięczna, Vaintč, za rozwinięcie techniki zdjęć ptasich. Ma to ogromne znaczenie dla planowania i rozbudowy miasta. Wdzięczność moja nie ma granic.

Vaintč pozwoliła sobie jedynie na zwięzły znak przyjęcia podziękowań, nie chciała okazać rosnącego rozdrażnienia..Krunat, mówiąc powoli, rozkładała zdjęcia.

–Na północ od Alpčasaku są bory sosnowe, lecz gleba jest tam słaba, piaszczysta. Rozważałam doprowadzenie kanałów, by ją nawodnić, przy okazji stworzyć topieliska dla dużych zwierząt pokarmowych. Dlatego mamy wiele zdjęć tego terenu, oczywiście dla ciebie zupełnie nieciekawych. Chyba, że zainteresuje cię to jedno. Nie jest, być może, wiele warte, ale zajmujemy się miejscowymi formami życia, ich ewentualnym wykorzystaniem, powiększyłam je więc...

Irytacja Vaintč wzrosła tak bardzo, że choć nie okazała tego w słowach, wyładowała złość, wydzierając brutalnie zdjęcie z kciuków Krunat. Projektantka skurczyła się ze strachu.

Jedno spojrzenie zmieniło całkowicie nastrój Vaintč.

–Dobra Krunat – powiedziała ciepło – słusznie zrobiłaś, że je przyniosłaś. Czy możesz mi pokazać na modelu, gdzie zrobiono to zdjęcie? Gdy Krunat podeszła do modelu, Vaintč ponownie przyjrzała się zdjęciu. Ustuzou, nie było wątpliwości, trzymając w jednej łapie kij z kamiennym końcem. Ta głupia coś dukała o ważności.

–Tu, Vaintč, w pobliżu tego miejsca.

Tak blisko! To tylko jedno ustuzou, zwierzę, lecz jego obecność tak daleko na południu jest zastanawiająca. Nawet niepokojąca. Mogą być i inne. Te stworzenia wymordowały Yilanč niedaleko miasta. Przywołała do siebie fargi.

–Natychmiast sprowadź tu łowczynię Stellan. A ty, mądra Krunat, przyjmij podziękowanie ode mnie i od Alpčasaku. Po tych stworzeniach nie można się spodziewać niczego dobrego, musimy się strzec.

Zdjęcie zainteresowało również Stellan.

–Jest tylko to jedno zdjęcie?

–Tak, przejrzałam je wszystkie przed odejściem Krunat

–To zdjęcie sprzed co najmniej dwóch dni – powiedziała Stellan i wskazała na model.

–Jeśli ustuzou nadal zmierza – lub zmierzają – na południe, to mogą już tu być. Co rozkażesz, sarn'enoto?

–Podwoić strażę wokół miasta. Sprawdź, czy alarmy działają jak należy. Potem powiesz mi, przez jaki teren te stworzenia idą w stronę Alpčasaku. Czy możesz je wyprzedzić, zatrzymać?

Stellan wskazała złączonymi kciukami na model, na rozciągające się wokół miasta krzaki z rzadkimi drzewami.

–Są tu krzewy, cierniste i gęste, niemal nie do przebycia, jeśli nie idzie się ścieżkami wydeptanymi przez zwierzęta. Znam je dobrze. Trzeba rozesać ptaki, najlepiej sowy, by odszukały ustuzou. Gdy je znajdziemy, wezmę najlepsze łowczynie i urządzę zasadzkę.

–Zrób to – Vaintč wyprostowała się, pierś jej drżała. – Myślę, że jest tam Kerrick. Tylko on miałby dość śmiałości, by podejść tak blisko Alpčasaku, prowadzić z sobą inne ustuzou. Zabij go dla mnie, Stellan. Przynieś jego skórę. Przybij ją cierniami do tej ściany, bym mogła patrzeć, jak schnie.

–Twoje życzenie jest i moim, Vaintč. Pragnę jego śmierci równie mocno, jak ty.

–To resztką wędzonego mięsa – powiedział Kerrick, usuwając patykiem robaki z twardej powierzchni. – Paru łowcom został ekkotaz, ale niezbyt wiele.

Herilak żuł swój zeszywniały kawałek, nie przejmując się robactwem.

–Blżej miasta jest zwierzyna. Będziemy mieli świeże mięso.

Nawet tu, w cieniu sosen, powietrze było parne i gorące. Nad głowami brzęczały muszki, siadały w kącikach oczu. To był długi, męczący marsz. Mimo znużenia nie skarżyli się, byli przecież łowcami. Pod drzewami widać było tylko kilku, reszta się schowała. Kerrick wiedział jednak, że prowadzi ich na pewną śmierć. Im bardziej zbliżali się do miasta, tym częściej nachodziły go niespokojne myśli.

–Idziemy – powiedział Herilak. Wstał i przewiesił przez ramię łuk, który oparł o niesiony w torbie hčsotsan. Wielki łowca czuł się pewniej, gdy szedł z włócznią w rękę.

Kerrick dał znak najbliższemu łowcy, ten dalej przekazał rozkaz. Marsz został wznowiony, prowadził jak zwykle Herilak. Szli za nim przez falistą, pokrytą krzewami równinę, potem skrajem mokradła, z którego uniosły się chmury tnących owadów. Bagno miało tu swe ujście, rozlewało się wąwozem między niskimi wzgórzami. Herilak zwolnił, nozdrza mu drżały, potem nakazał postój. Gdy nadciągnął oddział, podszedł do Kerricka i usiedli razem w cieniu wierzby, której gałęzie zwisały nad wodą.

–Widziałeś te ptaki? Krążyły nad drzewami, a potem odleciały nie siadając.

–Nie, Herilaku, nie zauważyłem.

–Musisz widzieć w puszczy wszystko, jeśli chcesz pozostać żywy. Teraz wachaj, oddychaj głęboko. Co czujesz?

–Bagno – uśmiechnął się Kerrick, lecz Herilak pozostał poważny.

–Czuję je przed sobą. Nie oglądaj się. Murgu. Kerrick poczuł, jak serce bije mu dziko, z trudem powstrzymał się od odwrócenia głowy.

–Jesteś pewny?

–Nie ma co do tego wątpliwości.

–Co zrobimy?

–Zabijemy je, zanim nas zabiją. Zostań tu. Czekać, póki nie dam znać, wtedy wejdź powoli do doliny. Trzymaj w pogotowiu śmiercio-kij.

–Mam tam iść sam?

–Nie. Będą z tobą Sasku. Ja wezmę łowców. Wiedzą jak się podkradać.

Herilak cofnął się cicho, zamienił kilka słów z siedzącym łowcą. Obaj zniknęli między drzewami. Wkrótce potem pojawił się Sanone, prowadząc uzbrojonych we włócznie

Sasku.

–Co się dzieje? – spytał. – Herilak zakazał, byśmy poszli przodem, i powiedział twe imię. Gdzie zniknął z łowcami?

–Rozciągnijcie się na ścieżce – zawołał Kerrick. – Nie skupiać się. Potem ciszej powiedział Sanone o wszystkim. Mandukto nie był zadowolony.

–Jesteśmy więc przynętą w pułapce? Czy nasza śmierć warta jest zabicia murgu?

–Myślę, że możemy ufać Herilakowi, gdy skrada się wśród drzew. Robił to już nieraz.

Czekali w milczeniu, rozglądając się mimo mroku dżungli, czując nieznane niebezpieczeństwo. Coś się poruszyło i Kerrick wznosił broń, nim poznał, że to jeden z łowców Herilaka. Zanim zniknął wśród drzew, dał znak by ruszyli.

Kerrick prowadził, usiłując zwalczyć opanowujący wszystkich strach. Ciemny wąż wyglądał groźnie; mogła się w nim kryć armia Yilanč. Broń przygotowana, wycelowana, zaraz wypali... Stawiał kroki powoli, tak mocno ścisnął hčsotsan, iż czuł, jak wierci mu się w garści.

Z drzew rozległ się nagły wrzask bólu, potem następny, a zaraz po nim usłyszeli ostre trzaskanie hčsotsanów. Kerrick zawahał się, czy iść dalej. Co się dzieje w wąwozie? Machnął ręką ku Sasku, każąc im szukać schronienia i trzymać broń w pogotowiu.

Rozległ się odgłos rozgarnianych krzewów, zbliżało się dudnienie stóp. Kerrick unosił broń, gdy pod drzewami ukazała się ciemna postać, nagle oświetlona jaskrawym słońcem.

Yilanč! Wycelował, strzelił i chybił, bo krzak odchylił lot strzałki. Yilanč odwróciła się i spojrzała na niego.

Czas stanął. Była na tyle blisko, że widział szybkie wznoszenie się i opadanie piersi, ciężko dyszącą, szeroko otwartą gębę i rzędy zębów. Spojrzał w jej twarz i poznał ją. Ona też go poznała. Całą postawą wyrażała nieskrywaną nienawiść. Nim doszło do zwarcia, jedna z włóczyń Sasku uderzyła w rosnące obok drzewo. Skoczyła w bok i zniknęła wśród drzew, zanim Kerrick zdołał ponownie wycelować i strzelić.

–Stallan! – zawołał. – To Stallan!

Rzucił się za nią biegiem, słyszał, jak z tyłu biegną Sasku, lecz musiał stanąć, gdy tylko zobaczył, jak gęste jest poszycie. Nigdy jej nie odszuka, choć ona może go znaleźć. Wrócił na ścieżkę, gdy nadbiegł Herilak. Ociekał potem, lecz uśmiechał się i

w geście zwycięstwa potrząsnął włócznią.

–Uderzyliśmy na nie od tyłu, głupie murgu. Leżały ukryte, nie ruszały się, nim je dopadliśmy. Wszystkie zabite.

–Z wyjątkiem jednej. Dowódczym Stallan. Strzeliłem, lecz chybiłem.

–Bywa. To nieważne. Wiedzą, że tu jesteśmy, lecz niewiele mogą na to poradzić. My natomiast zostaliśmy ostrzeżeni i następnym razem nie damy się podejść tak blisko.

–Co zrobimy?

–Zabierzemy ich śmiercio-kije. Pójdziemy dalej. Myślę, że zaczęła się bitwa o miasto.

ROZDZIAŁ XXXII

Vaintč omawiała z Malsas<szczegóły planowania trumalu, gdy z ambesed dobiegł ją narastający hałas. Odwracała się właśnie, by sprawdzić jego przyczynę, gdy została brutalnie potrącona przez przepychającą się Stallan. Gdy podeszła bliżej eistai, jasny stał się powód zamieszania. Skórę miała podrapaną i pokrytą błotem; ze skaleczeń ciekła krew. Łowczynie doszła do Malsas<i osunęła się w geście porażki. Było to szokujące; nikt nigdy nie widział jej inaczej niż wyprostowaną i dumną. Yilanč słuchały w milczeniu jej raportu.

–Kłęska, Eistao. Wszystkie zginęły. Wróciłam tylko ja.

–Nie rozumiem. Zginęły, jak?

Stallan uniosła głowę, wyprostowała w gniewie plecy.

–Zastawiłam pułapkę. Miałyśmy zabić ustuzou, gdy tylko się zbliżą. Ale to zwierzęta, nie powinnam była o tym zapominać. Zaszły nas od tyłu, zupełnie tego nie zauważyłyśmy. Zginęły wszystkie łowczynie z fargi. Uciekłam. Gdybym została, aby walczyć, zginęłabym także. Nie wiedziałybyście, co się stało. Powiedziałam już. Teraz umrę, bo się zhańbiłam. Wystarczy jedno twoje słowo, Eistao...

–Nie! – Vaintč krzyknęła najgłośniej jak mogła, z gniewem i mocnym, gwałtownym sprzeciwem. Przestraszona Stallan dyszała ciężko. Jej prośba o śmierć zawisała w ciszy. Nawet Malsas<wstrząsnęła brutalna interwencja. Vaintč mówiła szybko, nim zdziwienie eistai przeszło w gniew.

–Nie chciałam cię urazić, Eistao. Odezwałam się jedynie po to, by uratować życie Stallan. Nie pozwól jej umierać. Jest bardzo lojalna wobec miasta, miasto musi być lojalne wobec niej. Jeśli ktoś zawinił, to tylko ja. Potrzebujemy tej dzielnej wojowniczkii. Nie jest winna tej klęski. Prowadzimy wojnę z ustuzou. Nie pozwól jej umrzeć za to, że poszła z nimi walczyć. Wiem, że mówiłam w gniewie. Czekam teraz twego wyroku.

Vaintč stała z opuszczoną głową. Mówiąc tak, podejmowała ryzyko, bardzo łatwo mogła bowiem zapłacić życiem za zuchwalstwo. Stallan była jednak zbyt cenna, by ją utracić. Stallan, która jako jedyna Yilanč przywitała ją, gdy była pośmiewiskiem całego miasta.

Malsas<patrzyła na pochylone przed nią dwie postacie rozważając, co powinna zrobić. W ciszy słyhać było jedynie szuranie stóp wszystkich Yilanč, które tłoczyły się w ambesed, by słyszeć każde słowo. Musiała podjąć decyzję.

–Mówiłaś z okrutnym pośpiechem, Vaintč. W innych okolicznościach byłoby to

niewybaczalne, pociągnęłyby za sobą śmierć. Czuję jednak w powietrzu zbyt wiele śmierci. Chcę cię mieć żywą, byś broniła Alpčasaku, podobnie jak ty w tym samym celu domagasz się życia Stalla. Obie jesteście potrzebne. Powiedz mi teraz, co oznacza to tragiczne wydarzenie.

–Fo pierwsze dziękuję, Eistao. Podobnie jak Stalla żyję tylko po to, by służyć Alpčasakowi. Uzbrojony, niebezpieczny oddział ustuzou maszeruje na Alpčasak. Musi zostać powstrzymany. Rozumiem też, w jakim celu te stwory przyszły na wybrzeże. Był to mający nas zmylić podstęp. Po powrocie w góry rozdzielił się i ta horda dzikich zwierząt poszła skrycie na południe. Gdy tylko dowiedziałam się o ich obecności, wysłałam przeciw nim łowczynię. Zostały pokonane. To musi być nasza ostatnia porażka, bo inaczej boję się o nasze miasto.

Malsas<wstrząsnęły jej słowa.

–Jakąż szkodę mogą wyrządzić Alpčasakowi te zwierzęta?

–Nie wiem – boję się jednak. Ich zdecydowanie, siła ataku, budzą we mnie strach. Czy ryzykowałyby tak bardzo, gdyby nie zamierzały nas zniszczyć? Musimy sprawdzić naszą obronę.

–Musimy, koniecznie – Malsas<zwróciła się do Stalla.

–Rozumiem teraz lepiej, dlaczego Vaintč narażała swe życie, by ocalić twoje. Należysz do projektantek obrony miasta, czyż nie tak, Stalla?

–Tak, Eistao.

–To ją wzmocnij, rozwiń. Mów w imieniu eistai. Żądaj wszystkiego, co będzie ci potrzebne. Masz między kciukami bezpieczeństwo naszego miasta.

–Nie pozwolę, by coś się stało, Eistao. Za twym pozwoleniem zajmę się tym natychmiast.

Malsas<ze zmieszaniem patrzyła, jak odchodzi.

–Łatwo się pogubić w sprawach tego nowego ładu, Gendasi*. Nic nie jest tu takie jak w Entoban*. Zabijając Yilanč, ustuzou złamały przyrodzony porządek rzeczy. Czym się to skończy, Vaintč? Możesz mi powiedzieć?

–Wiem tylko, że będziemy walczyły z tymi stworami. I musimy zwyciężyć.

Choć bardzo starała się to ukryć, Vaintč nie zdołała zapobiec drgnięciu wyrażającemu wątpliwości. Wszystkie to dostrzegły i zawładnęło nimi uczucie strachu.

Herilak uniósł dłoń, gdy z lasu przed nim dobiegł ostry krzyk. Łowcy stanęli i rozejrzeli się wokół; wrzask się powtórzył, ziemią wstrząsnęło ciężkie dudnienie.

–Czy wiesz, co to jest? – spytał Herilak.

–Chyba tak – powiedział Kerrick. – Idźcie teraz powoli, bo przed nami powinny być obrzeża miasta.

Drzewa rosły tu gęsto, między nimi wiała się ścieżka łowiecka. Herilak prowadził, Kerrick szedł tuż za nim. Dobiegło ich ponowne dudnienie i dalsze ryki. Kerrick zawołał:

–Stójcie! Widzicie pnącza, zagradzające dalszą drogę? Dotkną skóry, a już się ich nie oderwie. Kiedyś w nie wpadłem. ustrzeżcie innych. Jesteśmy przy najdalszych granicach miasta.

Szli cicho, choć każdy odgłos kroków utonąłby w zgiełku dobiegającym z pobliskiej łąki. Zatrzymali się na skraju puszczy, patrząc z przerażeniem na otwarte pola.

Dwa olbrzymie stworzenia, każde większe od najpotężniejszego mastodonta, krążyły wokół siebie w wysokiej trawie. Przyglądało się im trzecie. Ich pomarszczona skóra była żółtawobrazowa, szerokie łby chroniły grube pancerze, a na grzbietach tkwiły krwistoczerwone kościane płyty. Jedno rzuciło się na drugie, kłapiąc rogatym, bezzębny pyskiem i rycząc głośno. Zaatakowany potwór obrócił się bokiem, wywijał ogonem, tak iż na jego końcu śmigła wielka kościana maczuga. Uderzyła w ziemię, aż ta się zatrzęsała. W ostatniej chwili pierwsze stworzenie zdołało uskoczyć w bok.

–Ruutsa – powiedział Kerrick. – Tak się zachowują, gdy prowadzą walki godowe. Tamta jedząca trawę to samica. Znam to pole. Wiem, gdzie jesteśmy!

Wyrywał czarną ziemię, nachylił się i koniuszkiem kamiennego noża wyrysował kilka linii.

–Patrz, Herilaku – tak wygląda miasto. Mają jego model, przyglądałem mu się tak często, że pamiętam nawet teraz. Oto jak wygląda. Tam jest morze i plaże, dalej ściana. To ambesed, wielkie puste miejsce, gdzie się wszystkie spotykają.

Herilak patrzył uważnie, jak Kerrick rysował miasto, a potem otaczające je pola.

–Pola otaczają miasto kręgami, coraz to szerszymi, a ruutsa są tutaj. Herilak przyjrzał się narysowanym liniom, skubał brodę w zamyśleniu.

–Pewny jesteś, że to tu? Dużo czasu minęło, odkąd stąd uciekłeś, mogły zmienić pola, przenieść zwierzęta na inne.

–Nigdy, nie Yilanč. U nich jeśli coś jest, to zawsze takie same. Drobiazgi mogą się zmieniać, lecz gdy coś powstało, trwa wiecznie.

–Wierzę ci, bo nikt inny nie zna tak dobrze murgu. Przerwał im krzyk bólu; ujrzeli jak krzyczący łowca Sasku runął na ziemię. Pobiegli mu z pomocą.

Herilak zamierzał zerwać mu z ramienia najeżone cierniami pnącze, gdy Kerrick go powstrzymał.

–Nie dotykaj tego, bo też zginiesz. Nie można mu już pomóc. Jest w nim trucizna.

Plecy Sasku wygięły się z bólu, na usta wystąpiła piana, różowa od krwi, bo gryzł język. Był sparaliżowany i nieprzytomny – lecz długo trwało, nim zmarł.

–Jeśli nie chcecie tak zginąć, nie dotykajcie niczego, dopóki nie wejdziemy na pola – powiedział Kerrick. – Patrzcie pod nogi, nie odgarniajcie żadnej rośliny. Jedne pnącza przyczepią się do was, inne – sami to widzieliście – zabijają.

–Czy takie jest całe miasto? – spytał Herilak.

–Nie, tylko jego skraj. Ma to zatrzymać grasujące zwierzęta i Tanu. Gdy miniemy zaporę, grozić nam będą jedynie uzbrojone strażniczki. Będą się chroniły za ścianami, mogą się okazać trudne do wykrycia.

–Muszą jednak spać w nocy – powiedział Herilak.

–Muszą, lecz muszą też być nocne alarmy. Znajdziemy je i będziemy się trzymać od nich z dala.

–Co więc zamierzamy?

Kerrick podszedł do rysunku na ziemi i wskazał na zewnętrzny krąg.

–Musimy przebyć to pole. Większość tych stworzeń, to trawożercy, jak ruutsa na tym polu, nie zaczepione – nie atakują. Uniósł głowę i wciągnął powietrze.

–Wiatr jest od zachodu, musimy więc utrzymać ten kierunek, by wiał nam w plecy. Zaraz za polami zaczynają się drzewa miasta. Rosną blisko siebie. Gdy raz wybuchnie pożar i zacznie się rozszerzać, nic go nie powstrzyma.

–Czy znajdziemy tu chrust? – spytał Herilak.

–Nie, chyba nie.

–No, to go poszukamy, zabierzemy ze sobą.

–Poczekajmy, aż dojdziemy do pól na zachód od miasta. Drzewo można zebrać później, wszystko przygotować. Musimy o zmroku pokonać zewnętrzną zaporę. Wszystkie Yilanč, oprócz strażniczek w swych chatowniach, wrócą wtedy do miasta, tak iż nikt nas nie zauważy. Wyminimy strażniczki i w ciemności dojdziemy do drzew. Potem rozpalimy ogniska.

Gdy odchodzili, wszystkie trzy ruutsa spokojnie zrywały trawę; zapomnieli już o walce.

Nim przeszli najbardziej zewnętrzne pole, nastał wieczór. Żadna ze ścieżek nie wydawała się prowadzić w dobrym kierunku, musieli więc przedzierać się przez kępy drzew i gruby, zbity gąszcz. Gdy doszli do płynącego leniwie strumienia, Kerrick kazał się zatrzymać, potem polecił łowcom skupić się razem. W środku nurtu woda była czysta, mogli więc zaspokoić pragnienie. Kerrick tłumaczył im teraz co mają zrobić, przerywał często i przechodził na język Sasku. Słuchali wszyscy z ponurą uwagą, bo wyprawa dobiegała końca. Przed nimi było zwycięstwo lub pewna śmierć.

Herilak spojrział w niebo i jęknął.

–Jeśli zacznie padać, miasto nie spłonie.

–Trwa jeszcze sucha pora – odparł Kerrick z pewnością, której nie czuł do końca. – Nie trzeba nam wiele czasu. – Nie śmiał pomyśleć, co będzie, jeśli spadnie deszcz.

Rozeszli się w poszukiwaniu suchego drewna, patrząc przy tym uważnie w niebo. Ściemniało się, wiało coraz mocniej, na horyzoncie rozległ się grzmot

–Nie możemy czekać do wieczora – powiedział Herilak. – Musimy rozpaść ogniska, nim zacznie padać.

–Będą tam jeszcze murgu, mogą nas dostrzec.

–Musimy zaryzykować. Pomóż mi przygotować przejście przez zaporę cierni, a inni niech zbierają drwa.

Zerwali z drzew grube gałęzie, przycisnęli nimi splątane, trujące pnącza. Na polu przyglądały im się, wytrzeszczając oczy, kaczkodziobe stworzenia. Herilak przydeptał gałęzie i przeszedł pierwszy, przywołał pozostałych, niosących suche drewno.

Zebrali się za zaporą i zaczęli na wszystkich. Dopiero wtedy ruszyli ostrożnie za prowadzącym Kerrickiem. Wszystkie Yilanč wróciły już do Alpčasaku. Nad głowami znów zagrzmiało, Kerrick zaczął biec, gdy pierwsze krople nadchodzącej burzy spadły mu na ramiona.

ROZDZIAŁ XXXIII

Dziecko spoczywające na plecach Armun obudziło się i zapłakało żałością, zmoczone i wyziębione zacinającym deszczem. Równie mokra i przemarznięta była matka, gdy klęcząc na ziemi, z czarnymi od błota rękami i nogami, wykopywała bulwy ostrym kijem. Błyskawica na chwilę rozjaśniła niebo, natychmiast rozdarł uszy huk gromu. Coś rozgniewało Ermanpadara. Trzeba wracać do namiotów. Dziecko płakało coraz głośniejsze, gdy uniosła kosz z bulwami i wstała.

Coś poruszyło się nad nią w deszczu, uniosła wzrok i zobaczyła ptaka, szybującego cicho z rozłożonymi skrzydłami. Wysunął łapy i wylądował ciężko na wysokim konarze, przyglądał się jej stamtąd zimnymi oczami, tkwiącymi nad okrutnym, zakrzywionym dziobem. Armun ujrzała czarną bryłkę na jego łapie, odwróciła się i zaczęła w przerażeniu uciekać między drzewa. Grzmot, błyskawica i mówiący do murgu ptak pojawiły się niemal jednocześnie. Przerażona, biegła szukać schronienia w namiotach.

Vaintč przyglądała się modelowi Alpčasaku, gdy fargi przekazała jej wiadomość o przybyciu do portu uruketo. Zdecydowanym ruchem ręki odprawiła posłańca, ale nie mogła już się skupić. Wpatrywanie się w model miasta nic nie da. Środki obronne były silne, a Stallan jeszcze je wzmocniła. Nie dostrzegła żadnych słabych punktów, żadnych możliwości wyrządzenia szkód przez ustuzou. Co najwyżej zabiją kilka zwierząt pokarmowych. Tylko się niepotrzebnie denerwuje.

Mogłaby pójść powitać uruketo i zobaczyć, co przywiozło. Z Entoban* przybyły dalsze fargi, jak również hčsotsany o zwiększonej mocy. Wiele miast tego ogromnego kontynentu udzieliło pomocy. Będzie miała potężną armię, ustuzou zginą.

Gdy weszła na otwartą przestrzeń, zauważyła po raz pierwszy grubą powłokę chmur i dosłyszała odległe dudnienie grzmotu. Nagle zaczęły padać wielkie krople dżdżu. Wyglądało to na nadchodzącą burzę. Nie przejęła się tym, miała do przemyślenia dużo ważniejsze sprawy.

Krunat szła za grupą fargi pylistą ścieżką, przodem śpieszyły jej pomocnice z naręczami drewnianych tyczek. Każda fargi niosła małe drzewko owocowe ze szkółki, ze zwiniętymi korzeniami, gotowe do przesadzenia. Tym razem Krunat wybrała się z grupą roboczą po to, by się upewnić, że zasadzono drzewa jak należy. Niektóre Yilanč z miasta były równie głupie jak fargi, zapomniały wskazówek i popełniały błędy przy najprostszych pracach. Stwierdziła, że wiele pól i plantacji nie odpowiada modelowi i że musi nanieść poprawki. Ale zajmie się tym później. Osobiście ustawiła znaczniki, upewniła się, że drzewa urosną tam, gdzie powinny. Zerknęła na ciemniejące niebo. Chyba będzie padać. Świetnie, dobrze to zrobi drzewom.

Zza zakrętu drogi wyłoniło się zielone pole. Trawą zbliżał się szereg fargi. Takie było pierwsze wrażenie Krunat – ale coś się nie zgadzało. Były za wysokie, za chude. Miary futra.

Zatrzymała się, przerażona i wstrząśnięta. Ustuzou w mieście? To niemożliwe. Mijały ją pomocnice, gdy na polu rozległ się ostry trzask hčsotsanów.

Fargi skuliła się, upadła, pomocnica puściła tyczki, gdy strzałka wbiła się jej w bok. Przerażona Krunat skręciła, pobiegła między drzewa. Dobrze знаła miasto, w pobliżu są strażniczki, musi je ostrzec.

–Jedna ucieka, tam! – zawołał Herilak i zaczął biec.

–Nie ma czasu! – krzyknął Kerrick. – Niewiele drogi nam zostało, musimy rozpalić ogień przed deszczem.

Biegł dysząc ciężko, za nim zmęczeni łowcy. Ten szpaler drzew przed nimi będzie odpowiedni. Usłyszał za sobą wystrzał z hčsotsanu, ale nie oglądając się biegł dalej.

Zachwiał się ze zmęczenia i upadł pod wielkim dębem, wypuścił broń i wyszarpnął rzeźbione pudełko z torby przytroczonej do pasa. Wśród dalszych strzałów i głośnych krzyków nadbiegł Herilak.

–Odkryły nas. Zabiliśmy parę, one kilku naszych. Cofnęły się teraz między drzewa, powstrzymujemy je.

–Daj gałęzie – zawołał Kerrick, zmuszając się do precyzyjnych ruchów. Ukląkł i wyjął z pudełka ogniowe kamienie. Gdy wyciągał szczyptę próchna, nagły podmuch wiatru zdmuchnął mu je z dłoni; na liście padały krople deszczu. Z tyłu spadła gałąź, potem następna.

Powoli, powoli! Musi mu się udać od pierwszego razu, bo nie będzie miał czasu na powtórki. Trzęsącymi się dłońmi położył na ziemi drewniane pudełko, wysypał całe suche próchno. Teraz kamieniem o kamień, uderzać ostro, tak jak już to robił niezliczoną ilość razy. Wystrzeliły duże iskry, potem dalsze.

Wąskie pasemko błękitnego dymu wzbiło się z pudełka.

Nachylił się, dmuchnął łagodnie, dorzucił suchych liści na wąty blask, dmuchnął znowu. Błysnął małeńki płomyk. Dodał resztę liści, potem dorzucił wyjmowane z torby kawałki kory i patyczki. Dopiero gdy zapłonęły jasno, odważył się rozejrzeć.

Z tyłu na polu leżały ciała Tanu i Yilanč. Ofiary walki były nieliczne. Herilak odpędził napastniczki i rozmieścił łowców, by chronili Kerricka. Czaili się za drzewami z bronią w rękę, gotowi odeprzeć atak murgu. Herilak biegł do Kerricka z twarzą błyszczącą

od potu, uśmiechał się szeroko na widok ognia.

Kerrick wsunął płonące pudełko pod stosik drew, nałożył na wierzch grubsze gałęzie. Płomienie rozrosły się, spadające na nie krople zaczęły syczeć. Nie zważając na burzę, powiększał stale ognisko. Dopiero gdy rozpalily się całe gałęzie, a żar zmusił go do zasłonięcia twarzy, krzyknął jak tylko mógł najgłośniejsz:

–Teraz! Wszyscy do ognia! Miasto płonie!

Odpowiedziały mu radosne wrzaski i tupot nóg. Łowcy wyciągali płonące gałęzie i biegli z nimi wzniecając dalsze pożary. Kerrick też chwycił konar, podbiegł do krzewów i wetknął go między zeschnięte liście. Zatliły się, zajęły, by buchnąć jasnym płomieniem. Zapalał w biegu następne krzaki, dopóki nie odepchnął go żar, a dłoni nie sparzyła rozpalona gałąź. Wrzucił ją w płomienie.

Wzdłuż całego zagajnika wrzeszczący łowcy podpalili kolejne drzewa. Płomienie sięgały już konarów dębu, przeskakiwały na sąsiednie drzewo. W roznieconym przez Kerricka ognisku została już tylko jedna gałąź, chwycił ją i pobiegł przed innymi. Minął podkładającego ogień Sanone. Odbiegł daleko, nim cisnął pochodnię w poszycie. Wiatr rozdmuchał iskry i w jednej chwili zajął krzaki.

Ognie i dymy były wysoko w powietrzu, przesłaniały ciemne już niebo. Drzewa trzeszczały i płonęły wśród grzmotów. Burza się jeszcze nie skończyła.

Fargi miały kłopoty z zagnaniem zwierząt na codzienną rzeź. Coś je niepokoiło, biegały od brzegu do brzegu zagrody, nawet przewróciły jedną fargi. Niewiele pomagały rozkazy, wykrzykiwane głośno przez dyżurną Yilanč. Nagle strażniczka usłyszała trzaski i poczuła dziwny, gryzący zapach. Odwróciła się i zobaczyła na tle ciemnych, burzowych chmur wzbijające się w niebo wstęgi światła. Nieznany zapach dobiegł znowu, wraz z nim fala ciepłego, przyjemnego powietrza. Co się dzieje, co to ma znaczyć? Mogła jedynie stać i patrzeć na zbliżające się płomienie, ogarniające najbliższe drzewa. Cudownie gorąco. Zwierzęta ryczały, gdy podeszła bliżej i wyciągnęła rękę do ciepła i światła. Po chwili wrzasnęła również i ona.

Ikemend otworzyła z trzaskiem drzwi hanałč i wyjrzała. Akotolp wykonała stanowczy gest, rozkazując otworzyć je szerzej.

–Korzę się – powiedziała Ikemend, wpuszczając Akotolp i zamykając

za nią wejście. – Samcy znów się burzą, może to przez pogodę. Jest jeden ranny...

–Przyprowadź go tu zaraz.

Stanowczość głosu i gwałtowne ruchy ciała skłoniły Ikemend do pośpiechu. Wróciła niemal natychmiast, wlokąc za sobą ociągającego się Esettę.

–To ten – powiedziała, wypychając samcanaprzód. – Zaczął bójkę, spowodował kłopoty, zasłużył na karę.

Akotołp zlekceważyła ją, chwyciła ramię Esetty i zbadła. Jej kciuki ścisnęły go mocniej, niż trzeba. Odwrócony plecami do strażniczki samiec przymknął jedno oko porażony bólem. Akotołp zawsze lubiła odwiedzać hanałč.

–Zadrapania, nic więcej, wystarczy środek bakteriobójczy. Samce zostaną samcami... – urwała nagle i uniosła głowę. Jej nozdrza poczuły dziwny zapach.

–Ten zapach, znam go – powiedziała, okazując ruchami ciała przerażenie. Podeszła szybko do drzwi zewnętrznych i otworzyła je pomimo protestów Ikemend. Zapach stał się mocniejszy, wypełniał powietrze.

–Dym – zawołała Akotołp, przerażona coraz bardziej. – Źródłem dymu jest tylko jedna reakcja chemiczna – ogień.

Esetta cofnął się, przerażony podobnie jak Akotołp. Ikemend mogła jedynie okazywać głupotę i niezrozumienie. Dym zgęstniał nagle, z dala dobiegły jakieś trzaski. Rozkazy Akotołp wyrażały teraz pośpiech.

–To reakcja zwana ogniem, możemy być w niebezpieczeństwie. Zbierz natychmiast samców, szybko, trzeba ich stąd zabrać.

–Nie mam rozkazu! – sprzeciwiła się Ikemend.

–Ja tu rozkazuję. Pilna potrzeba zdrowotna, zagrożenie życia. Zabierz ich wszystkich na brzeg, nad ocean.

Ikemend, nie wahając się, wybiegła natychmiast Akotołp chodziła w kółko, zmartwiona i przejęta, nieświadoma, że nadal trzyma drżące ramię Esetty i ciągnie za sobą przerażonego samca. Wiatr wpędził kłęb dymu przez otwarte drzwi i oboje zaczęli kasłać.

–Nie możemy czekać – powiedziała Akotołp. – Za mną! – Krzyknęła głośno, mając nadzieję, że zostanie zrozumiana, po czym pociągnęła za sobą jęczącego Esetę.

Gdy Ikemend wróciła do wyjścia, prowadząc ociągających się samców, doznała wielkiej ulgi na widok pustego korytarza. Szybko zamknęła i zaryglowała drzwi wejściowe i odesłała samców do ich kwater ciesząc się, że nie musi już wypełniać sprzecznych rozkazów. Co może być bezpieczniejszego od hanałč?

Gorąco, które zaczęło przenikać ściany, było kojące i miłe. Poczwała strach dopiero na widok pierwszych płomieni.

Było już za późno na ratowanie podopiecznych. Umierając słyszała przejmujący krzyk bólu.

Alpčasak płonął. Gnany wiatrem ogień przenosił się z drzewa na drzewo, płonące liście jednego podpały koronę następnego. Rosnące niżej krzaki zapalały się, ściany, wyściółka podłogi, wszystko zajmowało się ogniem, wszystko płonęło.

Dla Yilanč była to niepojęta katastrofa, wydarzenie, którego nie były w stanie zrozumieć. W tropikalnym lesie nie występował ogień naturalny, nic o nim nie wiedziały. Znało go kilka uczonych, ale wyłącznie jako ciekawe zjawisko laboratoryjne. Nie wyobrażały sobie wszechogarniających płomieni i duszącego dymu. Płomienie pociągały jako miłe źródło ciepła, potem sprawiały cierpienia nie do zniesienia. Tak umierały. Spalone, strawione ogniem, zwęglone. Pożar szalał.

Przerażone Yilanč i fargi skupiały się w ambesed, szukając tam wskazówek. Wypełniały go po brzegi, wciąż napływały dalsze, cisnęły się, aż cała przestrzeń została nabita ciałami. Czekały na polecenia Malsasç, pchały się ku niej, były tak blisko, że nakazała się cofnąć. Na próżno, z tyłu naciskały tłumy w panice.

Panika wzmogła się, gdy płomienie dosięgały ambesed. Stłoczone Yilanč nie miały gdzie uciekać. Malsasç, jak wiele innych, została zdeptana i zginęła na długo przedtem, nim pochłonęły ją płomienie.

Na niebie nadal rozlegały się odległe grzmoty, chmury spiętrzyły się w mroczne góry. Był w nich ratunek, choć Yilanč nie miały o tym pojęcia. Nie widząc nigdy ognia, nie wiedziały, że pokonać go może woda.

Ginął Alpčasak, ginęły Yilanč. Płomienie szalały od pól do oceanu, pochłaniając wszystko. Kłęby dymu unosiły się do ciemnych chmur, a trzask ognia tłumił krzyki umierających.

Łowcy rozciągnęli się na ziemi, osmoleni od ognia, wyczerpani. Uzbrojone Yilanč, z którymi walczyli, zginęły lub zostały odpędzone przez ogień. Walka się skończyła, skończyła się wojna, lecz byli zbyt zmęczeni, by teraz to zrozumieć. Tylko Kerrick i Herilak, choć zmęczeni, stojąc spoglądali na morze płomieni.

–Czy ktoś ocaleje? – spytał Herilak, opierając się ciężko na włóczni.

–Nie wiem, to możliwe.

–Trzeba je zabić.

–Tak, chyba tak.

Zniszczenie Alpčasaku wywołało w Kerricku nagle mdłości. Powodowany zemstą,

zabił nie tylko Yilanč – zginęło także wspaniałe miasto. Pamiętał, z jaką radością je poznawał, jak rozmawiał z samcami w hanałč, jak przyglądał się zwierzętom na pastwiskach. Nie ma już tego, przepadło. Gdyby dało się zabić Yilanč, lecz ocalić miasto, dokonaliby tego. Było to jednak niemożliwe. Zginęły Yilanč, a z nimi Alpčasak.

–Gdzie będą? – spytał Herilak. Zmęczony Kerrick nie zrozumiał pytania. – Ocalałe. Powiedziałaś, że mogą być.

–Tak. Ale nie w mieście – już go nie ma. Może na polach, ze zwierzętami. Na brzegu czy na plażach też mogły się jakoś uratować. Pójdziemy sprawdzić, gdy opadną płomienie.

–To za późno. Widziałem już pożary lasu. Wielkie drzewa mogą tlić się i palić przez całe dni. Czy dojdziemy na plażę brzegiem?

–Tak, jest przeważnie piaszczysty, wylania się podczas odpływu. Herilak spojrział na leżących łowców, chrząknął i sam usiadł.

–Trochę odpoczniemy i ruszamy. – Nad nim błysnął piorun, w oddali grzmotnęło. – Ermanpadar lubi murgu tak jak my. Wstrzymuje deszcz.

Gdy wyruszyli, zobaczyli szerniałe, dymiące drzewa, oddzielone polami i pastwiskami. Choć dym im początkowo przeszkadzał, zwierzęta pasły się teraz spokojnie. Sarny uciekły na ich widok, a ogromne, rogate i opancerzone stwory przyglądały się bez wrażenia. Potok czystej wody pokryty był warstwą popiołu; łowcy musieli go odgarniać, aby się napić. Strumyk prowadził do morza.

Trwał odpływ, szli po twardym, chłodnym piasku, mając po jednej stronie ocean, po drugiej czarne, dymiące zgliszczka Alpčasaku. Szli z przygotowaną bronią, lecz nie napotykali oporu. Zatrzymali się po okrążeniu przylądka. Przed nimi widniała rzeka, a za nią coś wielkiego i ciemnego, ledwo widocznego poza falującym dymem. Przybywało od strony oceanu.

–Uruketo! – zawołał Kerrick. – Zmierza do portu. Nad rzeką mogło kilka przeżyć. Zaczął biec, inni ruszyli za nim.

Stallan patrzyła na ciała Yilanč, rozciągnięte na brzegu rzeki i unoszące się w wodzie. Zepchnęła nogą leżącą blisko fargi; ta potoczyła się z zamkniętymi oczami i otwartym pyskiem, ledwo dysząc.

–Przypatrz się im – powiedziała Stallan z niesmakiem i odrazą w każdym ruchu. – Przyprosiłam je tutaj, zmusiłam do schronienia się w wodzie, a teraz umierają. Zamykają głupie oczy, odwracają głowy i umierają.

–Ich miasto umarło – powiedziała ze znużeniem Vaintč. – Dlatego giną i one. Zostały

wygnane. Masz swoje nieumierające, jeśli chcesz zobaczyć, kto przeżył.

W jej ruchach był wstręt, gdy wskazała grupę Yilanč stojących po kolana w rzece.

–Córy Śmierci – powiedziała Stallan z wyraźną odrazą. – Jedyne tyle pozostało z Alpčasaku? Tylko one?

–Zapominasz o nas, Stallan.

–Pamiętam, że jesteśmy, my dwie – nie rozumiem jednak, dlaczego nie zginęłyśmy jak pozostałe.

–Żyjemy, bo zbyt mocno nienawidzimy. Nienawidzimy ustuzou, które to sprawiły. Wiemy teraz, po co tu przyszły. Przyniosły ogień i spaliły nasze miasto...

–Patrz, uruketo! Zbliża się do plaży.

Vaintč spojrzała na ciemną sylwetkę przecinającą fale.

–Kazałam im wycofać się, gdy podejdzie ogień, a wrócić, gdy minie.

Enge również zobaczyła uruketo, zostawiła ocalone Córy i ruszyła ku brzegowi. Vaintč ujrzała, jak nadchodzi i wołała zlekceważyć pytanie. Enge dostrzegła to, stanęła jednak przed Vaintč i przemówiła:

–Co z nami, Vaintč? Uruketo się zbliża, ale nie chcesz z nami rozmawiać.

–Tak zdecydowałam. Alpčasak zginął i pragnę, byście zginęły wraz z nim. Zostaniecie tutaj.

–Ciężki wyrok, Vaintč, na te, które cię nigdy nie skrzywdziły. Ciężkie słowa dla własnej efenselč.

–Wyrzekam się ciebie, nie chcę niczego z tobą dzielić. To ty zasiałaś słabość wśród Yilanč, gdy potrzebowałyśmy całej naszej siły. Umrzyj teraz.

Enge spojrzała na swą efenselč, na Vaintč, najsilniejszą i najlepszą. W każdym ruchu jej ciała widać było odrzucenie i obrzydzenie.

–Odrzucasz mnie, ty, której nienawiść zniszczyła Alpčasak? Przyjmuję to, mówię ci, że skończyło się wszystko, co nas łączyło. To ja się ciebie wyrzekam, nie będę ci odtąd posłuszna.

Odwróciła się plecami do Vaintč i ujrawszy uruketo bliskie już brzegu, zawołała do Cór:

–Odchodzimy stąd. Płyńcie do uruketo.

–Zabij je, Stallan – wrzasnęła Vaintč. – Zastrzel!

Stallan odwróciła się i uniosła hčsotsan. Nie zwracając uwagi na krzyki Enge, wycelowała broń i posyłała strzałkę po strzałce płynącym Yilanč. Strzelała celnie, trafiała je kolejno i zabijała. Opróżniła wreszcie hčsotsan, opuściła go i rozejrzała się za strzałkami.

Nieliczne ocalałe dosięgły uruketo, była wśród nich uczona Akotolp i samiec. Ujrzawszy to, Enge odwróciła się.

–Przynosisz tylko śmierć, Vaintč – powiedziała. – Stałaś się istotą śmierci. Gdybym tak mogła porzucić mą wiarę i zabić cię.

–Zrób więc to – rzuciła pogardliwie Vaintč, odwracając się i unosząc głowę tak, iż napięła skórę karku. – Gryź! Masz zęby. Zrób to!

Enge rzuciła się naprzód, potem w tył. Jej wiara nie pozwalała zabić nawet kogoś tak zasługującego na śmierć, jak Vaintč.

Vaintč opuściła głowę, zaczęła mówić, ale przerwała na ostry krzyk Stallan.

–Ustuzou!

Vaintč okręciła się na pięcie i zobaczyła, jak bieżną ku niej z uniesionymi hčsotsanami i zaostrzonymi kijami. Zwarła kciuki i pięścią powaliła Enge na ziemię.

–Stallan – zawołała, rzucając się ku wodzie – do uruketo. Zobaczył to Kerrick, bieżnący skrajem rzeki. Martwe Yilanč na obu brzegach, żywe w wodzie. Stała tylko jedna. Tej Yilanč nigdy nie zapomni.

–Nie strzelajcie! – zawołał głośno, powtórzył to w seseku.

–To mój marag. – Potem zbliżając się krzyczał w yilanč, bieg zamazywał znaczenie jego słów, lecz były mimo to zrozumiałe.

–To ja, Stallan, ustuzou, które cię nienawidzi i zamierza zabić. Uciekniesz, wielki tchórze, czy zaczekasz na mnie?

Stallan nie potrzebowała zachęty. Wystarczył jej widok bieżącego Kerricka. Tego potwora nienawidziła najbardziej na świecie, tego ustuzou, które zniszczyło Alpčasak. Cisnęła pusty hčsotsan i rycząc wściekle rzuciła się naprzód.

Kerrick uniósł włócznię, zapominając o hčsotsanie, pchnął mocno w ciało Stallan. Ta jednak dobrze znała metodę walk ustuzou i uchyliła się, unikając ciosu, potem

wpadła na Kerricka i zwała go na ziemię. Zaciśnęła kciuki na jego włosach, odchyliła głowę. Jej mięśnie były twarde jak skała. Kerrick próbował walczyć, lecz nie mógł się ruszyć. Pochyliła się nad jego szyją, rozwarła szeroko szczęki, rzędy ostrych zębów opuszczały się, by wydrzeć z niego życie.

Włócznia Herilaka trafiła w usta Stallan, między szczęki, dotarła do jej mózgu. Umarła, nim zdążyła runąć na ziemię. Kerrick zwał z siebie jej ciężkie ciało i stanął na drżące nogi.

–Dobry rzut, Herilaku – powiedział.

–Dalej, odsuń się! – odkrzyknął Herilak, ściągając łuk z pleców. Kerrick odwrócił się i ujrzał wstającą Enge.

–Odłóż łuk – nakazał. – Wszyscy opuście broń. Ta mnie nie skrzywdzi.

Zaczęły padać ciężkie krople deszczu, było ich coraz więcej, potem przeszły w ulewę. Nadciągająca burza wreszcie przybyła. Za późno, by uratować Alpčasak. Teraz posyłała pioruny i gęsty deszcz tropikalny, wzbijający kłęby pary nad tłącymi się zgliszczami.

–Przyniosłeś nam śmierć, Kerricku – powiedziała Enge na tyle głośno, że dosłyszał ją w bębniącym deszczu. Każdy jej ruch nasycony był smutkiem.

–Nie, mylisz się, Enge. Przyniosłem życie moim ustuzou, bo takie stwory jak ta padlina przede mną zabiłyby nas wszystkich. Teraz zginęły, zginął też Alpčasak. Uruketo odpłynie, zabierając ostatnie z was. Przyprawdę tu moich ustuzou, to będzie nasze miasto, Ty wrócisz do Entoban* i zostaniesz tam. Z lękiem będziecie wspominać, co tu się stało i nigdy nie powrócicie. Będziesz im przypominać o śmierci. Dopilnuj, by nigdy o niej nie zapomnieli. Powiedz im, jak wszystkie spłonęły i umarły. Eistaa, jej doradczynie, Vain te...

–Vaintč jest tam – Enge wskazała na statek. Kerrick spojrział, nie potrafił jednak rozpoznać jej między wspinającymi się na szeroki, mokry grzbiet zwierzęcia. A jednak nie zginęła. Żyje ta, której najbardziej nienawidzi. Tak, nienawidzi jej – skąd więc to nagle zadowolenie, że nie umarła?

–Idź do niej – krzyknął do Enge. – Przekaż jej, co ci powiedziałem. Każda Yilanč, która tu powróci, zginie. Powiedz jej to.

–Czy mogę jej powiedzieć, że koniec zabijania? Że będzie odtąd życie, a nie śmierć? To byłoby najlepsze.

–Zapomniałem, że jesteś Córá Życia. Idź, powiedz jej, powiedz im wszystkim, że gdyby słuchały ciebie, żyłyby nadal w Alpčasaku. Teraz już za późno na pokój, Enge,

nawet ty musisz to zrozumieć. Między nami jest tylko nienawiść i śmierć, nic więcej.

–Tak, między ustuzou i Yilanč, lecz nie między nami, Kerricku.

Zaczął protestować. Mogli się tylko nienawidzić. Ta zimna istota nic dlań nie znaczy. Powinien teraz unieść włócznie i ją zabić. Nie mógł jednak. Uśmiechnął się krzywo.

–To prawda, nauczycielko. Zapamiętam, że jest jeden marag, którego nie pragnę zabić. Odpuść teraz tym uruketo i nigdy nie wracaj. Będę o tobie pamiętał, gdy zapomnę o reszcie. Odejdź w pokoju.

–Pokój z tobą, Kerricku. A także między ustuzou i Yilanč.

–Nie. Tylko nienawiść i szeroki ocean. Dopóki zostaniesz po drugiej jego stronie, zachowasz pokój. Idź.

Enge zanurzyła się w wodzie, a on, oparty na włócznie, wyzbyty wszelkich uczuć, patrzył, jak płynie do uruketo i wspina się na jego cielsko. Potem, gdy uruketo wyszło w morze, poczuł ogarniające go wielkie znużenie.

Skończyło się, minęło. Przepadł Alpčasak i wszystko wraz z nim.

Powędrował myślami do gór na północy, do kręgu skórzanych namiotów w zakolu rzeki. Tam czeka na niego Armun. Herilak podszedł powoli, Kerrick odwrócił się i wziął w ramiona wielkiego łowcę.

–Zrobione, Herilaku. Masz swoją pomstę, pomściliśmy wszystkich. Teraz weźmy włócznie i ruszajmy na północ, nim nadejdzie zima.

–Wracajmy do domu.

YILANČ

Uwaga tłumacza: Rozdział ten jest przekładem z yilanč, z czym wiążą się olbrzymie problemy. Tłumaczenie musiało być z konieczności wolne i tłumacz przeprasza z góry za wszelkie błędy i sprzeczności, jakie mogły zakraść się do tekstu.

DZIEJE ŚWIATA

Na samym początku tych szczególnych dziejów należy podać, iż różnią się one od wielu popularnych obecnie „historii”. Różnią się rodzajem, co rozważny czytelnik powinien mieć zawsze na uwadze. Od dawna dzieje Yilanč stanowiły domenę bazarzy i fantastów. Podczas gdy wszelkie pozbawione podstaw przypuszczenia czy nieuzasadnione spekulacje w pracy z dziedziny fizyki lub biologii uraziłyby każdą inteligentną Yilanč, to ta sama czytelniczka nie zwróciłaby uwagi na żaden błąd w dziele historycznym. Doskonałym przykładem fikcji zmieszanej z faktami jest popularna obecnie *Historia świata*, która opisuje, jak to przed 75 milionami lat uderzył w Ziemię gigantyczny meteoryt, powodując wyginięcie 85 procent żyjących wówczas gatunków. Przedstawia dalej bardzo szczegółowo, w jaki sposób rozwinęły się zwierzęta ciepłokrwiste i dlaczego stały się panującą formą życia na naszej planecie. Tym właśnie zajmują się współczesne autorki – ryzykownymi spekulacjami, a nie dokładnymi badaniami historycznymi. Żaden meteoryt tej wielkości nie spadł nigdy na Ziemię. Świat, jakim widzimy go obecnie, był zawsze taki i zawsze będzie światem bez końca. Konieczne jest więc, w świetle innych, podobnych prac, zdefiniowanie na wstępie pojęcia „historia”.

Ta, którą znamy obecnie, jest niestety zbyt często nauką nieścislą tak bardzo, że więcej w niej fikcji aniżeli faktów, więcej przypuszczeń aniżeli spostrzeżeń. Wynika to z najgłębszych cech natury Yilanč. Mało dbamy o to, czym byliśmy-wiemy za to dokładnie, do czego zmierzamy. Zmiany cieszą nas krótko, jednocześnie żądamy, by przyszłość była taka jak terażniejszość, niezmienna i niezmiennalna. Ta potrzeba długotrwałej stałości tkwi głęboko w naszym charakterze, stąd nasza skłonność do zapominania przeszłości, albowiem mogłybyśmy znaleźć w niej zmiany, które by nas wprawiły w zakłopotanie. Z tego powodu mówimy mgliście o "jaju czasu", zakładając przez to, iż kiedyś świat się narodził, cały i nowy – i od tej pory nie ulegał zmianom.

To oczywiście bzdura. Nadeszła obecnie pora, by stwierdzić, że znana nam dotychczas historia jest bezwartościowa. Mogłybyśmy przeto określić obecną pracę jako nowohistorię, powstrzymałyśmy się jednak od tego, bo uprawomocniałoby to w pewnej mierze „starohistorię”. Dlatego odrzucamy wszystkie dawniejsze dzieła historyczne i twierdzimy, że od tej pory jest tylko jedna historia. Ta właśnie.

Stworzenie tej historii zawdzięczamy bardzo nielicznym Yilanč interesującym się geologią i paleontologią. Pragniemy uhonorować te nauki i uznać je za ściśle, równie

ściśle, jak fizyka czy chemia, nie zasługujące na figlarne uśmieszki, którymi je dotąd obdarzano. Przeszłość istniała bez względu na to, jak bardzo chciałybyśmy pominąć ten nieprzyjemny fakt. Sądzymy, że odważniejsze intelektualnie jest uznanie tego faktu, przyznanie, iż Yilanč nie pojawiły się nagle po rozbiciu jaja czasu. Oto prawdziwa historia o wiele bardziej pobudzająca i zaspokajająca nasze potrzeby intelektualne.

Przed opowiedzeniem tej historii pozwólmy sobie na dygresję. Nie zamierzamy cofać się do samych początków, do powstania życia prokariotów. Szczegółowo omawiają to inne prace. Nasza historia rozpoczyna się około 270 milionów lat p.c.o. (przed chwilą obecną), kiedy to gady ustaliły już swą dominującą pozycję na Ziemi.

Istniały wówczas cztery główne grupy gadów zębodołowych, zwanych tekodontami. Dostosowane były do życia drapieżnego, łapania swej zdobyczy w wodzie. Pływały dobrze, poruszając wielkimi ogonami. Niektóre z tych tekodontów opuściły morze i wyszły na ląd, gdzie ich sposób chodzenia okazał się doskonalszy niż wielu innych grup, takich na przykład jak proterosuchiany będące przodkami dzisiejszych krokodyli. Widziałyście, jak niezgrabnie chodzą krokodyle na swych szeroko rozstawionych łapach, jak kołyszą ciałem zwisającym pomiędzy odnóżami. W przeciwieństwie do nich doskonalsze tekodonty, dzięki swym kończynom z tyłu, mogły kroczyć prosto.

Ponieważ historia tamtych czasów zapisana jest wyłącznie w skałach, w zachowanych skamielinach, występują w niej liczne luki. Mimo braku niektórych szczegółów obraz ogólny jest jednak dostatecznie jasny. Naszymi odległymi przodkami były stworzenia nazywane mozozaurami, jaszczury morskie o wielu bardzo wartościowych cechach. Płetwa ogonowa umożliwiała im przystosowanie się do życia w morzu, kończyny przekształciły się w łapy z błonami pławnymi. Jedną z odmian mozozaura był tylosaur, zwierzę duże i piękne. Duże, ponieważ tylosaur był sześciokrotnie większy od Yilanč, piękne, bo pod wieloma względami przypominał Yilanč. Tylozaury były naszymi bezpośrednimi przodkami.

Gdy umieścimy obok siebie szkielety współczesnej Yilanč i tylozaura, dostrzeżemy wyraźne podobieństwo. Odślonięte kości kończyn, nie ukryte pod ciałem czy płetwą, ukażą cztery palce rąk i nóg. Dlatego mamy teraz u każdej dłoni po dwa palce i po dwa przeciwstawne kciuki. Ogon u tylozaura jest naszym ogonem, odpowiednio skróconym. Podobieństwo dostrzegalne jest w kształcie klatki piersiowej, w ciągłym szeregu żeber, biegnących od obojczyka do miednicy. Porównajcie te dwa szkielety, a ujrzycie obok siebie przeszłość i teraźniejszość. Oto my, rozwinięte i przystosowane do życia na lądzie. To nasza prawdziwa historia, a nie mglista opowieść o pojawieniu się w jaju czasu. Jesteśm potomkiniami tych szlachetnych stworzeń, które przed mniej więcej 40 milionami lat stały się Yilanč.

WCZESNE LATA

Wiele z następných rozważań to z konieczności domysły. Są to jednak *uzasadnione* domysły, ponieważ opierają się na badaniu skamielin, a nie na wyobraźni tworzącej ogromne meteoryty. Skały zawierają opisy gotowe do odczytania. Wystarczy tytko zebrać ich poszczególne części i złożyć razem, tak jak byśmy składały stłuczone kawałki skorupki jaja.

Gdybyście zapragnęły same złożyć wszystkie części, to powinnyście zapoznać się z istniejącymi dziełami geologicznymi i paleontologicznymi. Znajdziecie w nich wiadomości o pochodzeniu gatunków, o tym, jak przekształciły się one z form wcześniejszych w bardziej rozwinięte, o dziejach kolejnych zlodowaceń, o zjawisku dryfu kontynentalnego. W skałach znajdują się nawet dane wskazujące, iż biegun magnetyczny nie zawsze znajdował się na południu, jak obecnie, lecz w różnych okresach geologicznych przechodził z północy na południe i odwrotnie. Możecie do wniosków tych dojść same – albo też zadowolić się naszym skróconym opisem.

Spójrzmy więc na świat, który istniał 40 milionów p.c.o., kiedy to pierwsze proste, szczęśliwe Yilanč zapełniły Ziemię. Był on wówczas bardziej wilgotny i ciepły, pełen wszelkiego niezbędnego pożywienia. Tak jak obecnie Yilanč były wtedy mięsożerne, karmiły się ciałem stworzeń wypełniających lądy i morza. Młode, jak i teraz, gromadziły się w morzu w efenburu, współpracowały ze sobą i nie brakowało im żywności. To, co nastąpiło, gdy wynurzyły się na ląd, nie wynika jasno z danych geologicznych; możemy jedynie snuć przypuszczenia.

Nauczywszy się w morzu współdziałania, Yilanč na pewno nie zrezygnowały z niego po wynurzeniu się z oceanów i wyjściu na stały ląd.

Samce, tak jak obecnie, były prostymi, łagodnymi stworzeniami potrzebującymi ochrony. Jak i obecnie musiano wówczas strzec plaż podczas odrętwienia samców, rozwoju jaj. Jedzenia było mnóstwo, żyło się łatwo. To właśnie było prawdziwym jajem czasu, z życiem prostym i beztróskim.

Z tego wczesnego okresu pochodzą pierwsze dowody znanej nam obecnie wiedzy Yilanč. Można je dostrzec na Ścianie Cierni w naszym mieście. Dla obrony samców chwymano i oswajano wielkie skorupiaki, ich szczytce stanowiły potężną broń. Tym potężniejszą, im były dłuższe, dlatego szukano jak największych. Jednocześnie dobierano najmocniejsze i najbardziej odpychające korale, by broniły plaż od strony morza. Stawiano pierwsze, niepewne jeszcze kroki ku współczesnym naukom biologicznym, opanowanym dziś w sposób mistrzowski.

Jednakże to szczęśliwe życie musiało się zakończyć. Rozwijające się Yilanč stawały się coraz liczniejsze, wypełniały Ziemię, aż nie zmieściły się już w jednym mieście na

skraju tamtego pradawnego morza. Musiało powstać miasto następne, potem następne... Gdy zaczęło brakować żywności, przystąpiono do gradzenia pól, hodowli zwierząt karmnych i ich obrony przed drapieżnikami.

Dokonując tego, Yilanč dowiodły swej wyższości nad innymi formami życia. Spójrzcie na tyranozaura, mięsożernego tak jak i my. Te gigantyczne, głupie stworzenia potrafią tylko wściekle gonić i rozdzierać zdobycz, marnując większość dobrego mięsa. Nigdy nie myślą o jutrze, nie pasą stad, nie tuczają zwierząt. Są bezmyślnymi niszczycielami. Mądrzejsze Yilanč dbają o swe otoczenie. Zniszczenie jakiegoś gatunku oznacza niszczenie tego, co może nam służyć. Nasz szacunek do życia można dostrzec w różnorodności zwierząt na naszych polach, w przedstawicielach gatunków, które wyginęłyby przed milionami lat, gdyby nie nasze wysiłki. Budujemy, a nie niszczymy; zachowujemy, a nie tylko pochłaniamy. Gdy weźmie się to pod uwagę, jasne jest, dlaczego stanowimy na tej planecie gatunek panujący. Nie jest to przypadek, lecz logiczna konsekwencja naszego rozwoju.

FIZJOLOGIA

Aby zrozumieć naszą fizjologię, musimy wpięrow przyjrzeć się fizjologii innych zwierząt. Prymitywne stworzenia, jak większość owadów, są poikilotermiczne. Oznacza to, że tworzą jedność ze swym środowiskiem; temperatura ich ciała jest taka sama jak temperatura otaczającego powietrza. Przy małych rozmiarach jest to wystarczające, jednakże bardziej złożone organizmy wymagają sterowania ciepłotą ciała. Owady są hemotermiczne, to znaczy temperatura ich ciał jest względnie stała, zależy w dużej mierze od temperatury otoczenia. Yilanč natomiast należą do zwierząt ciepłokrwistych i egzotermicznych. Takie są wszystkie rozwinięte zwierzęta świata; ten sposób sterowania ciepłotą ciała przewyższa znacznie metodę ustuzou, które muszą stale wydatkować energię, aby utrzymać tę samą temperaturę swych organizmów.

Stanowimy jedność z naszym otoczeniem, wykorzystujemy naturalne różnice temperatur dla utrzymania stałej ciepłoty naszych ciał. Po chłodnej nocy szukamy słońca; jeśli grzeje zbyt mocno, wystawiamy się na wiatr, rzadziej zwracamy ciało ku światłu, a nawet poszukujemy cienia. Robimy to automatycznie, podobnie jak przy oddychaniu nie uświadamiamy sobie regulacji naszej temperatury wewnętrznej.

Nasza fizjologia jest jeszcze pod wieloma innymi względami wyższa aniżeli endotermicznych ustuzou. Nie jesteśmy jak one zmuszone do nieustannego poszukiwania pożywienia dla zapewnienia rozwoju komórek. Nasz metabolizm zmienia się zależnie od okoliczności. Na przykład podczas długich rejsów w uruketo zwalniamy po prostu nasze procesy życiowe. Czas subiektywny płynie wówczas szybko, a każdy osobnik wymaga mniejszej ilości pożywienia.

Jeszcze bardziej znamienym przykładem świadczącym o wyższości fizjologicznej Yilanč jest nierozdzielny związek naszego metabolizmu i naszej kultury; jesteśmy miastem, miasto jest nami. Jedno nie może istnieć bez drugiego. Świadczy o tym nieodwracalna przemiana fizjologiczna zachodząca w bardzo rzadkich przypadkach, gdy ktoś przekracza przepisy prawa, popełnia czyn niedopuszczalny przez zasady Yilanč. Dla ukarania zbłąkanych osobniczek niepotrzebna jest zewnętrzna przemoc fizyczna. Sprawiedliwości staje się zadość wewnątrz ich ciała. Eistaa, wcielenie miasta, naszej kultury i naszych praw, wydaje jedynie rozkaz zbłąkanej, by opuściła miasto, zabierając jej jednocześnie imię. Sprawiedliwie ukarana osobniczka przechodzi nieodwracalną przemianę fizjologiczną, prowadzącą do jej śmierci.

Działa wówczas mechanizm hormonalny, używający prolaktyny, regulującej nasz metabolizm i nasze zachowanie seksualne. Gdy zbłąkana osobniczka zostaje skazana na taką przemianę, jej podwzgórze ulega przeładowaniu, powoduje ciągły, niezrównoważony stan fizjologiczny. Dla naszych przodków był to czynnik korzystny, zapewniający hibernację. Teraz jednak, na wyższym stopniu rozwoju,

prowadzi do nieuniknionego zgonu.

POŻYWNIENIE

Powiada się, że jeśli zajrzysz do ust stworzenia dowiesz się, co je. Uzębienie świadczy o pożywieniu. Nenitesk ma płaskie, kwadratowe zęby, służące do mielenia ogromnych ilości karmy roślinnej, którą musi pochłaniać. Natomiast z przodu sterczą mu zęby ostrokrawędziaste dla jej ścinania i zrywania. Piękne, pociągające rzędy stożkowatych zębów w naszych szczękach wskazują na nasze zdrowe, mięsne i rybne pożywienie. Grubość i siła szczęk świadczą, iż dla naszych przodków ważną część pożywienia stanowiły małże. Dziś jeszcze potrafimy kruszyć muszle tych smacznych stworzeń.

ROZMNAŻANIE

O pewnych rzeczach Yilanč nigdy nie mówią; jest to słuszne i właściwe w dobrze zorganizowanym społeczeństwie. Póki jako młode przebywamy w morzu, życie jest bezustanną przyjemnością. Trwa to nadal, gdy jesteśmy fargi; ich prostych myśli nie obarczają sprawy zbyt trudne do zrozumienia.

Jako Yilanč nie tylko możemy rozważać wiele tematów, ale i musimy, jeśli chcemy zrozumieć świat, w którym żyjemy. Cykl życiowy Yilanč jest doskonały w swej symetrii. Prześledźmy go, zaczynając od początku życia, kiedy to młode opuszczają ochronę ojca i wkraczają do morza.

Stanowi to początek świadomego życia. Wszystkie wcześniejsze działania były odruchami wrodzonymi – oddychanie, pływanie, łączenie się w grupy. Dopiero teraz rozwija się inteligencja. Rozpoczyna się porozumiewanie, obserwowanie i wnioskowanie. Członkinie młodych efenburu uczą się, przyglądając starszym.

Takie są początki mowy. Wśród badających język panują dwa poglądy na temat jego pochodzenia. Pomijając uzasadnienie i przedstawiając w sposób popularny, można je określić jako teorię płyn-płyn i teorię świszcz-świszcz. Teoria płyn-płyn zakłada, że nasze pierwsze próby porozumiewania się zrodziło naśladowanie innych stworzeń morskich, czyli że ruch dłoni i ręki, naśladujący ruch płynącej wody, miałyby oznaczać pojęcie „ryba”. Zwolenniczki teorii świszcz-świszcz twierdzą, że pierwsze były dźwięki, naśladowanie odgłosów wydawanych przez ryby. Nie możemy i może nigdy nie będziemy mogły rozstrzygnąć, która z tych teorii jest słuszna. Obserwujemy jednak wciąż, jak młodzież zaczyna się porozumiewać na pełnym morzu.

Elementy języka są takie same jak używane później, ale o dużym stopniu uproszczenia. Podstawowe ruchy kończyn, wskazania barwne dłoni,

proste połączenia dźwiękowe. Wystarcza to, by łączyć ze sobą członków każdego

efenburu, by tworzyć silne więzi, które trwać będą całe życie, by uczyć się znaczenia wzajemnej pomocy i współdziałania.

Dopiero po wynurzeniu się z morza fargi odkrywają, iż świat nie zawsze bywa przychylny. Możemy przypuszczać, iż w odległych czasach młodości naszej rasy współzawodnictwo nie było tak zacięte jak dziś. Poszczególne osobniki zostały do niego wciągnięte dopiero wtedy, gdy w rozwiniętym społeczeństwie pierwszorzędno znaczenia nabrało porozumiewanie się.

Jest prawem natury, iż słabsi padają na drodze postępu. Szybka ryba zjada powolną, ta się nie rozmnaża. Szybsze ryby żyją dłużej i przekazują geny prędkiego pływania większej liczbie następczyń. Podobnie jest u Yilanč: wiele fargi nie opanuje nigdy języka w stopniu pozwalającym na włączenie się w orbitę szczęśliwego oddziaływania miasta. Są karmione, bo żadna Yilanč nie odmawia innym pożywienia. Czują się jednak zagrożone, nie chciane, niepewne, widząc jak inne z ich efenburu, którym powiodło się opanowanie języka, włączają się w pracowite życie miasta. Zniechęcone, same łowią ryby w morzu, odpływają coraz dalej, aż przepadają. Możemy im współczuć, ale nie pomóc. To, iż słabi odpadają, jest prawem natury.

Na samoodrzucenie decydują się tylko samice. Wszystkie samce są poszukiwane i hołubione od pierwszej chwili po wynurzeniu się z oceanu. Przeklęta byłaby kultura, która by pozwoliła zginąć tym prostym, słodkim, bezmyślnym istotom! Jeszcze mokre od morskiej wody prowadzi się do hanalč, gdzie wiodą wygodne, spokojne życie. Karmione i chronione, żyją sobie szczęśliwie, czekając na dzień, w którym będą mogły wypełniać swój najważniejszy obowiązek przedłużenia życia.

OSTRZEŻENIE. Poniższe ustępy mogą okazać się dla niektórych zbyt drastyczne. Osoby bardziej wrażliwe mogą nie mieć ochoty na poznanie pewnych szczegółów. Dlatego autorki tej pracy proponują przeczytanie jedynie następnego akapitu, a potem przejście do rozdziału zatytułowanego „Nauka”.

W trakcie *rozmnażania* zachodzi proces, podczas którego mała cząstka tkanki samca, zwana nasieniem, łączy się z małą cząstką tkanki samicy, zwaną jajeczkiem. Jajeczko przekształca się w jajo, noszone przez samca w specjalnej torbie. Podczas noszenia jaja, trzymanego w ciepłe i wygodzie, samce stają się bardzo otyłe, szczęśliwe i śpiące. Pewnego dnia z jaja wylęgają się śliczne młode, które udają się do morza, i wszystko zaczyna się od początku.

Połączenie nasienia z jajeczkiem zachodzi podczas procesu noszącego techniczną nazwę *stosunku płciowego*. Poniżej następuje opis, którego szczegóły mogą być uznane za odpychające.

Samiec, stymulowany przez samicę, doprowadzony jest do stanu podniecenia. Gdy go osiągnie, jeden lub oba narządy rozrodcze samca ulegają przekrwieniu i wylaniają

się z woreczka penisowego u podstawy ogona. Wówczas samica natychmiast dosiada samca i przyjmuje penis do swojej pochwy. W tym momencie wzajemna stymulacja, której nie ma potrzeby bliżej opisywać, wywołuje u samca wydzielanie znacznej ilości spermy. Zawarte w niej plemniki znajdują jajeczko i łączą się z nim wewnątrz ciała samicy, tworząc zapłodnione jaja.

Wraz z nasieniem wydzielana jest również prostaglandyna, wywołująca w ciele samicy reakcję, która polega między innymi na usztywnieniu kończyn, co wydłuża połączenie płciowe na dużą część dnia. (Stosunek bez wydzielenia hormonu nosi techniczną nazwę *zbočenja* i nie będzie tu omawiany.) W tym czasie zapłodnione jajo szybko się rozwija i rośnie, aż zostanie wydalone do sakwy samca.

Rola samicy na tym się kończy, wypełniła już swą życiową powinność, odpowiedzialność za przedłużenie rodu Yilanč przechodzi teraz na samca. Zapłodnione jaja zawierają geny samca i samicy. Po zagnieżdżeniu się osiadają w łóżyskach i rosną w miarę pobierania pożywienia. W tym czasie ciało samca ulega znacznym zmianom. Czuje konieczność powrotu do ciepłego morza i następuje to w ciągu dwóch dni, ponieważ dla dojrzwania jaj wymagana jest stała temperatura. Na plaży i w morzu samiec staje się coraz bardziej otępiały i powolny, śpi przez większość czasu. Pozostaje w tym stanie aż do wylęgu, kiedy młode rodzą się i wchodzi do morza.

Należy wspomnieć, choć nie ma to znaczenia dla przedłużania naszego gatunku, iż część samców umiera co roku na plażach, bo ich ciała nie chcą powrócić do poprzedniego stanu. Dotyczy to wyłącznie samców, dlatego nie ma żadnego znaczenia.

W ten sposób zaczyna się nowy cykl życiowy Yilanč.

NAUKA

Wiele jest nauk, każda tworzy wyspecjalizowany system badawczy, zbyt rozbudowany, by zagłębić się weń w tej krótkiej historii. Zainteresowane mogą zaznajomić się ze specjalistycznymi dziełami poświęconymi chirurgii chromosomowej, chemii, geologii, fizyce, astronomii i tak dalej. Zajmiemy się tu jedynie inżynierią genetyczną i matematyką.

Podobnie jak wszystko inne w dziejach Yilanč, prawdziwa historia rozwoju naszej wiedzy biologicznej niknie w odległych czasach. Możemy wysunąć jedynie pewne przypuszczenia, wyjaśniające fakty znane nam obecnie. Przy dostatecznej cierpliwości i mając dużo czasu, można rozwiązać każdy problem biologiczny. Przypuszczamy, iż początkowo jedyną stosowaną techniką było prymitywne rozmnażanie. Z upływem czasu i rosnącym coraz bardziej zainteresowaniem istotą rozrodu rozpoczęto badania struktury genowej. Pierwszy prawdziwy przełom nastąpił, gdy badaczom udało się wykryć genom, co spowodowało zatrzymanie ewolucji. Dopiero kiedy zdołaliśmy powstrzymać ewolucję, zaczęliśmy ją rozumieć.

Czytelniczka może się dziwić i zadać pytanie: jak można zatrzymać ewolucję i dokonać zmian genetycznych? Odpowiedź nie jest prosta i pragnąc jej udzielić, musimy zacząć od początku.

Aby zrozumieć inżynierię genetyczną, konieczne jest poznanie biologicznej struktury życia na naszej planecie. Istnieją dwa stopnie organizmów. Najprostsze są prokarioty, obejmujące zwykle bakterie, bakterie niebieskozielone, sinice, wirusy i tym podobne. Pozostałe, większe i bardziej złożone formy życia, eukarioty, omówimy później. Najpierw przyjrzyjmy się prokariotom.

Wszystkie one mają swój materiał genetyczny w postaci DNA lub RNA u niektórych wirusów. Te drobne organizmy wydają się oszczędnie gospodarować swym materiałem genetycznym, bo wiele ich obszarów kodowania nakłada się na siebie. Posiadane przez nie między genami specjalne sekwencje DNA spełniają co najmniej dwie funkcje. Po pierwsze kontrolują działanie genów, także powstrzymanie transkrypcji genu przez produkty enzymów kodowanych w operonach czy zapewnianie sekwencji rozpoznawanych przez enzymy transkrypcyjne lub replikacyjne. Po drugie, istnieją sekwencje DNA włączające między inne nici DNA. (Przykładem może być bakteria opanowana przez plazmid czy bakteriofag albo komórka eukariota opanowana przez wirusa.) Istnieją bakterie wydzielające kilka enzymów tnących lub łączących DNA poprzez rozpoznanie między dwoma nukleotydami określonych sekwencji wywołujących cięcie czy łączenie. Przy wykorzystaniu tych enzymów możliwe jest określenie kolejności odcinków DNA. Czyni się to trawiąc je odcinkowo enzymami rozpoznającymi różne sekwencje.

Następnie każda powstała w ten sposób mieszanina krótszych odcinków jest analizowana za pomocą innych enzymów.

Jest to żmudny proces wymagający milionów prób. Cierpliwość Yilanč nie ma jednak granic, miałyśmy też setki tysięcy lat na rozwijanie tych doświadczeń. Dla rozpoznania poszczególnych sekwencji do ich odcinków są przyłączane wybiórczo radioaktywne DNA czy RNA informacyjne wraz z podstawowymi uzupełnieniami. Następnie specjalne enzymy usuwają oznaczone odcinki i włączają je do pierścienia DNA innego organizmu.

W ten sposób modyfikowane są pierścienie DNA bakterii. Najpierw przy wykorzystaniu plazmidów, naturalnych „płciowych” odcinków DNA bakterii; potem za pomocą fagów, wirusów atakujących zwykle bakterie; wreszcie za pośrednictwem kosmidów, sztucznych kręgów DNA o specjalnych sekwencjach łączących, z których każdy może być przystosowany do przyjęcia nowych lub zmodyfikowanych genów. W wyniku tego zmodyfikowania bakterie wytwarzają nowe białka.

Widać więc, iż względnie łatwo można zmienić strukturę białkową bakterii czy prostych eukariotów w rodzaju drożdży, jak też w podobny sposób przeprogramować inne komórki eukariotyczne.

Znacznie bardziej złożone jest wywoływanie pożądaných zmian u większych zwierząt eukariotycznych. U nich jaja ulegają zaprogramowaniu w jajniku matki, zostają w nie wbudowane podstawowe zasady rozwoju zarodka. Dopiero po przekazaniu struktury zarodka każda komórka wytwarza białka zmieniające samą komórkę, jak też komórki sąsiednie. Ostatecznym wynikiem tego procesu jest organizm młodzieńczy. Opanowanie i zmiana tego procesu stanowi zbyt duże zagadnienie, by je wprowadzać w rym skrótownym omówieniu. Musimy rozważyć inne aspekty nauki Yilanč.

Konieczne jest omówienie matematyki, ponieważ wiele Yilanč o niej słyszało, wykorzystują ją też wszystkie pozostałe nauki. Poniższe wyjaśnienie, choć zwięzłe, jest dokładne.

Matematyka jako nauka oparta jest na liczbach. Jeśli pragniecie je pojąć, wystawcie przed siebie dłonie skierowane w dół ze stykającymi się kciukami wewnętrznymi. Wystawcie prawy kciuk zewnętrzny. Jest to *cyfra jeden*. Jeśli przejść teraz z prawa na lewo, to sąsiedni palec oznacza *dwa*, następny *trzy*, wewnętrzny kciuk *cztery*. Lewy kciuk wewnętrzny to *pięć*, palce oznaczają *sześć* i *siedem*, wreszcie zewnętrzny kciuk lewej dłoni to *dziesięć*. Dziesięć nosi też nazwę *bazy*, tym terminem technicznym nie będziemy się zajmować. Wystarczy wiedzieć, iż po osiągnięciu bazy liczenie zaczyna się od nowa, dając dziesięć i jeden, dziesięć i dwa, aż do dwakroć dziesięć. Nie ma ograniczeń liczby wielokrotności dziesięciu. W nauce liczby są takie ważne, ponieważ dokonuje się za ich pomocą ważenia, mierzenia, rejestracji i liczenia

rzeczy. Sama matematyka jest bardzo prosta, polega jedynie na spostrzeżeniach pozwalających określić, które rzeczy są większe od innych, mniejsze od nich, równe lub nierówne.

Początki matematyki giną w pomroce dziejów. Same matematyczki sądzą, że za bazę obrano dziesięć, ponieważ mamy dziesięć palców, twierdzą, iż bazą mogła zostać każda liczba, choć wydaje się to bardzo mało prawdopodobne. Gdybyśmy za bazę przyjęli dwójkę, wówczas 2 stałoby się 10, 3 byłoby 11, a następnie $4 = 100$, $5 = 101$, $6 = 111$ i tak dalej. Bardzo nieporęczne, niepraktyczne i bezużyteczne. Wysunięto nawet sugestię, iż gdyby ustuzou potrafiły liczyć, co jest nieprawdopodobne, to wówczas bazą ich 10 byłoby nasze 12. Zmieniłyby się także wszystkie nasze liczby; 40 milionów lat istnienia Yilanč uległoby skróceniu do zaledwie 30 milionów. Widzicie więc, do czego mogą prowadzić takie niemądre spekulacje, najlepiej przeto porzucić tak nierozsądne teoretyzowanie.

KULTURA

Musimy do naszej historii wprowadzić kilka nowych określeń. Jednym z nich jest *kultura*. Można ją zdefiniować jako sumę naszych zwyczajów, przekazywanych przez wieki. Kultura nasza rozwijała się wraz z nami, choć trudno sobie wyobrazić jej początkową postać. Jesteśmy jedynie w stanie opisać obecne życie.

Każda Yilanč ma swoje miasto, bo nasze życie wiąże się z miastem. Po wynurzeniu się z morza możemy początkowo jedynie milcząco podziwiać piękno i symetrię naszego miasta. Wchodzimy do niego jako fargi, jesteśmy karmione i dobrze traktowane. Słuchamy innych, uczymy się, obserwujemy. Gdy potrafimy już mówić, staramy się być użyteczne, proponujemy nasze usługi. Przypatrujemy się różnym dziedzinom życia miasta. Niektóre z nas pracują przy stadach i w rzeźniach.

Miasto budowane jest koncentrycznie, zewnętrznymi kręgami są pola i hodowle zwierząt, wewnątrz jest żywe miasto, którego środek stanowią plaże narodzin i ambesed. Podobnie wygląda też nasze społeczeństwo. Skrajny, wielki krąg tworzą fargi. Wewnątrz jest krąg pomocnic i wyszkolonych robotnic o różnych specjalnościach. Otaczają one uczone, nadzorczynie, budujące – wszystkie są mistrzyniami w swym działaniu. One z kolei tworzą zwarty i oddany krąg wokół rządzącej eistai. Jest to układ logiczny, prosty, kompletny i jedynie możliwy dla dobra funkcjonującego społeczeństwa.

Taki jest świat Yilanč. Trwa tak od jaja czasu i trwać będzie zawsze. Tam gdzie jest Yilanč, są też ich zwyczaje i prawa ku szczęściu wszystkich.

Na obu biegunach naszej planety panuje wielki chłód i niewygodna, Yilanč są zbyt rozsądne, by się na nie zapuszczać. Ostatnio jednak odkryto, że na świecie istnieją dogodne klimatycznie miejsca, gdzie nie ma Yilanč. Wypełnienie tych pustek to nasz obowiązek. Niektóre z nich zasiedlone są przez ustuzou, nieprzyjemne ustuzou. Dla potrzeb nauki musimy zbadać te stworzenia. Większość czytelniczek zamknie tu ten tom, ponieważ te sprawy ich nie interesują. Dlatego ten rozdział przeznaczony jest dla osób o specjalnych zainteresowaniach.

UWAGA TŁUMACZA: Kończy się na tym przekład z yilanč. Dla lepszego zrozumienia złożonych – i fascynujących – problemów, z którymi spotkał się tłumacz podczas pracy nad tym niezwykłym językiem, proszę przejrzeć poniższy rozdział.

JĘZYK

Powolny rozwój przyniósł po milionach lat bogaty i złożony język. Tak złożony, iż wiele fargi nigdy nie jest w stanie go opanować i zostać Yilanč. To kulturalne utrudnienie dzieli społeczeństwo na dwie podgrupy, z których jedna, oderwana od życia miasta, pozostaje w stanie dzikości, spędzając większość życia w morzu. Nie rozmnaża się ze względu na niemożność uchronienia przed drapieżnikami otępiałyłch samców. Ich częsta śmierć powoduje stopniową zmianę zasobu genowego gatunku, jest to jednak proces niezmiernie powolny.

Mowa Yilanč składa się z połączonych łańcuchów jednostek, zawierających od jednego do czterech pojęć. Każda jednostka ma również znak kontrolny, zaznaczony przez określoną postawę ciała lub gest. Jednostki oczywiście się różnią, ich różnorodne użycie daje ogromną liczbę możliwych połączeń, wynoszącą w przybliżeniu 125 000 000 000.

Każda próba transkrypcji yilanč na język polski wiąże się z olbrzymimi problemami. Najpierw należy rozważyć znaki kontrolne, czyli określoną postawę ciała. Oto ich niekompletna lista, na której każdy znak przedstawiony jest symbolem transkrypcyjnym:

Przygarbienie	↑	Gwiazda	*	Wir	†
Przykrywanie	➤	Wspinanie się	↗	Kołysanie	↕
Schyłanie się	↙	Upadanie	↘	Trzęsienie	⚡
Rozciąganie	↔	Wznoszenie	↖	Sięganie	↖
Diament	⬆	Skakanie	↗	Sięganie	↗
Kucanie	h	stawanie	↘	Siadanie	↘
Kładzenie się	↔	Pchanie	↘	Neutralny	⊥
Obejmowanie	†	Pływanie	~	Skręt ogona	⊙
				(w kierunku wska- zówek zegara)	
Wygrzewanie się	×	Zanurzanie się	↙	Skręt ogona	⊙
				(w kierunku prze- ciwnym)	

Dźwięki yilanč przypominają głoski ludzi, choć są oczywiście różnice. W transkrypcji na alfabet łaciński *zh* oznacza *ż*, *x* zaś w przybliżeniu *ś*. *Th* i *dh* są rzadko używane. Cztery dodatkowe symbole oznaczają dźwięki specyficzne, charakterystyczne tylko dla yilanč. Są to: ‘ (zwarcie krtaniowe), < (mlask przedni), ! (mlask tylny) i * (cmoknięcie wargami).

Bogactwo języka i trudności z dokładną transkrypcją można dostrzec na przykładzie tłumaczenia następującego zdania:

Opuszczenie ojcowskiej miłości i wejście

w objęcia morza jest pierwszym cierpieniem

w życiu – pierwszą radością są pobratymcy,

z którymi się tam łączysz.

Podajemy najpierw ciąg podstawowych jednostek, każda z oddzielnym kontrolerem, ponumerowanym dla łatwiejszego odwoływania się od C1 do C12:

C1	x	enge
C2	I	han.natè. ihei
C3	ʌ	aga.ptè
C4	ʌ	embo ¹ .kè. ² ka<
C5	ʌ	igi.rubu.shei ³
C6	ʌ	kakh.shei sèsè
C7	ʌ	hè.awa.ihei / / ⁴
C8	†	hè.vai<.ihei
C9	ʌ	kakh.shei.intè
C10	Y	and.pelei.uu
C11	ʌ	asak.hen
C12	†	enge

Oto dosłowny przekład powyższego, z podanymi w nawiasach znakami kontrolnymi:

C1 (Wygrzewanie się) Miłość

C2 (Kładzenie się) Samczość. Przyjaciel. Zmysł

dotyku/ węchu/ czucia

C3 (Pchanie) Odejście. Sobie

C4 (Upadanie) Nacisk. Lepkość. Zaprzestanie

C5 (Upadanie) Wejście. Nieważkość. Zimno

C6 (Pływanie) Sól. Zimno. Ruch

C7 (Pokrywanie) Cyfra 1. Ból. Zmysł dotyku

/węchu/ czucia

C8 (Gwiazda) Cyfra 1. Radość. Zmysł dotyku

/węchu/ czucia

C9 (Pływanie) Sól. Zimno. Polować

C10 (Rozciąganie) Widzenie. Odkrycie. Wzrost

C11 (Pływanie) Plaża. Samiec / samica

C12 (Osiąganie) Miłość.

Przybliżona transkrypcja wyglądałaby tak:

Enge hantčhei, agatč embokčka iirubushei kaksheisč, hčawahei; hčvai ihei, kaksheintč, enpeleiuu asahen enge.

Bardzo wierny przekład na język polski powinien być wierszem, lecz pomijamy, żeby uzyskać ściśle tłumaczenie:

Miłość waszego ojca, być wygnanym z niej i pójść w zimne, nie kochające morze to pierwszy ból w życiu: pierwsza radość życia (na tamtym zimnym terenie łowieckim) to zetknięcie się ze swoimi przyjaciółmi, poczucie ich miłości blisko wokół siebie.

Podstawowe różnice między językami ludzi a Yilanč są tak wielkie, iż niemal nie do pokonania dla kogoś próbującego nauczyć się yilanč. Ludzie, porozumiewając się w różnych językach, zaczynają od wskazywania rzeczy i podawania ich nazw. Kamień... drzewo... liść. Po osiągnięciu pewnego zrozumienia przechodzą do czynności: „Rzucać kamień, podnosić liść”.

W języku Yilanč jest to niemożliwe. One nie nazywają przedmiotów, lecz je opisują. Zamiast rzeczownika „krzesło” powiedzą „małe drewno do siedzenia”. Tam, gdzie użylibyśmy jednego rzeczownika „drzwi”, Yilanč podałyby różne określenia: „wejść

do ciepłego miejsca" lub z drugiej strony „wyjść na zimne miejsce”.

Tych pojęć Ysel nigdy nie opanowała. Zapamiętała kilka słów, potrafiła z trudem używać kontrolerów. Gdy Vaintč próbowała z nią rozmawiać, powiedziała:

Vaintč mówi: (ě) esekapen (é) yidshepen () yileibesat () efenduuruu (é) yilsatuu (ě) yilsatefen.

Można to przetłumaczyć przez:

(Gwiazda) wielkie-żądanie (Przygarbienie) tej-mówiącej-żądanie (Rozciąganie) mówienie-trudność równe (Rozciąganie) życie-trwanie-wzrost (Przygarbienie) mówienie-równe-wzrost (Gwiazda) mówienie-równe-życie.

W przekładzie da to:

Bardzo pilnie żądam tego osobiście! Mów, proszę, jak jedna z yileibe. W ten sposób będziesz nadal żyła i rosła. Mówienie oznacza wzrost – proszę! Mówienie oznacza życie – zrozum!

Ysel była w stanie odpowiedzieć na to jedynie: „has leibe čnč uu”; sądziła, iż mówi: „Ciężko mi mówić, proszę”. Wyszło z tego jednak, na jej nieszczęście, przybliżone znaczenie „samica-wiek/entropia-giętkość-wzrost”. Oto popełnione przez nią błędy:

1. *has* nie znaczy „ja”, lecz „samica”. Pomyłka wynikła z tego, że mówiąca to Enge wskazywała na siebie.

2. *leibe* rzeczywiście znaczy „trudny”, lecz jedynie w połączeniu z kontrolerem zakładającym pewien stopień skrępowania, na przykład „Przygarbienie”, „Schylanie się”, „Kucanie”. Bez nich wyrażenie łatwiej zrozumieć jako „wiek”, czyli proces zużywania się czegoś, nie tylko Yilanč.

3. *čnč* nie znaczy wcale „mówić”, lecz wskazuje na giętkość, ponieważ Yilanč bardzo często łączy te pojęcia.

4. *uu* to powszechnie używana zachęta, stosowana przez Enge dla ośmieszenia Ysel. Oznacza jednak takie pojęcia, jak „rosnąć, kontynuować, próbować”, a nie „proszę”.

Ze względu na brak ogona Ysel nie mogła prawidłowo wykonać gestu przykrywania. Na dodatek popełniła fatalny błąd, naśladując ostatnią pozycję Vaintč, gwiazdę, oznaczającą zagrażającą dominację. Vaintč sądziła więc, iż Ysel mówi coś w rodzaju: „S t ara samica rośnie zręcznie”, czy może nawet: „Giętkie rośnięcie nakłada lata na samice”. Były to bzdury i Vaintč miała powód do zdenerwowania, jej złość podsycalo to, iż grzecznie traktowała to zwierzę; ono natomiast nie przykryło się, lecz przygarbiło i pokazało gwiazdę. Los Ysel został przesądzony.

Inaczej było z Kerrickiem, który powiedział: () esekakurud (×) esekyilshan () elel () leibeleibe. Przekazał przez to (Przykrywanie) najwyższy-wstręt-zaprzestanie (Wznoszenie) najwyższa-mówienie-wola (Znak neutralny) długo-dhigo (Znak neutralny) trudno-trudno; Vaintč zrozumiała to jako: „Bardzo nie chcę umrzeć. Bardzo chcę mówić. (Zaniechanie). Bardzo długo, bardzo ciężko”. Na początku Vaintč nie zauważyła „wznoszenia”, bo Kerrick nie miał oczywiście ogona. Rozpoznała jednak „przykrywanie” i powoli zrozumiała, co próbował powiedzieć.

TANU

Dzieje Ziemi zapisane są w skałach. Niektóre problemy nie zostały jeszcze rozwiązane, lecz historia naszej planety od ery paleozoicznej do chwili obecnej jest znana dzięki zachowanym skamieniałościom. W epoce pierwotnego życia, przed 605 milionami lat, jedynymi stworzeniami zasiedlającymi ciepłe, płytkie morza były robaki, meduzy i inne zwierzęta bezkręgowce. Kontynenty łączyły się ze sobą, tworząc jeden wielki ląd nazwany Pangeą.

Już wówczas niektóre stworzenia morskie wytwarzały z wapnia muszle, w których się chroniły i których używały do podparcia ciała. Rozwój szkieletu wewnętrznego nastąpił później, wraz z pojawieniem się pierwszych ryb. Te następnie wykształciły płuca i wachlarzowate płetwy, którymi się podpierały, gdy wyszły z morza i wkroczyły na ląd. Z tych płazów około 290 milionów lat temu powstały pierwsze gady.

Najstarsze dinozaury pojawiły się na Ziemi przed 250 milionami lat. Nim 200 milionów lat temu Pangeą pokryła się pęknięciami wypełnionymi morzem, dinozaury rozprzestrzeniły się na cały świat, na każdą część pierwotnego, gigantycznego kontynentu, który podzielił się później na obecnie nam znane lądy. To był ich świat, zapełniły w nim wszystkie nisze ekologiczne, niepodzielnie panowały nad nim przez 135 milionów lat.

Kres ich dominacji położyła katastrofa na skalę światową – meteoryt o średnicy 10 kilometrów uderzył w ocean, wypychając w atmosferę miliony ton pyłu i wody. Dinozaury wymarły. Zginęło 70 procent żyjących wówczas gatunków. Otworzyła się droga przed drobnymi, przypominającymi ryjówki ssakami – przodkami dzisiejszych ich gatunków – mogły się rozwijać i zapanować nad światem.

Trzeba było kosmicznie małej szansy w trwającej całą wieczność grze w kości, by ów wielki kawał skały uderzył właśnie wtedy, w ten sposób i spowodował takie właśnie zakłócenie na skalę światową.

A gdyby chybił? Gdyby z rachunku prawdopodobieństwa wyszło inne rozwiązanie i ta bomba kosmiczna nie uderzyła w Ziemię? Jak wyglądałby dzisiaj nasz świat?

Pierwszą i najwyraźniejszą różnicą byłby brak Islandii, bo ta wulkaniczna wyspa oznacza miejsce uderzenia meteorytu, przebicie ówczesnej powłoki Ziemi.

Drugą wielką różnicę stanowiłyby dzieje ziemskiego klimatu, nadal nie w pełni rozpoznane. Wiemy o istnieniu i przemijaniu różnych epok lodowych – nie wiemy jednak dlaczego tak się działo. Wiemy, iż w przeszłości zmieniała się biegunowość Ziemi, północny biegun magnetyczny był tam, gdzie teraz południowy – ale nie znamy przyczyn. Wydaje się pewne, iż gdyby nie upadek meteorytu i wywołane nim niewiarygodne zmiany atmosferyczne, to następstwo epok lodowych i towarzyszące

im powstanie kontynentów przebiegałoby inaczej.

Spójrzmy na świat, jakim mógłby być.

Panowania dinozaurów nic nie zakłóca. Świat jest ich, dominują na wszystkich kontynentach – a nad nimi górują Yilanč.

Wyjątek stanowi półkula zachodnia. Ameryka Południowa jest opanowana przez gady, lecz na północy rzecz ma się inaczej. Most lądowy Ameryki Środkowej, łączący północną i południową część kontynentu, w różnych epokach geologicznych ulegał zatopieniu. W pewnym kluczowym momencie przerwanie mostu zbiegło się z powstaniem rozległego morza, zajmującego większą część Ameryki Północnej. Pokrywa lodowa sięgała na południe niemal do brzegu tego zbiornika wodnego, w wyniku czego przez miliony lat panował tam klimat polarny, przechodzący w bardziej umiarkowany jedynie w środku lata. Gatunki zimnokrwiste wymarły, a rozwinęły się stworzenia ciepłokrwiste, stając się panującą formą życia na tym obszarze.

Z czasem, wraz z wycofywaniem się pokrywy lodowej, ssaki wędrowały na północ. Gdy most lądowy Ameryki Środkowej wynurzył się ponownie z morza, zwierzęta ciepłokrwiste zajmowały kontynent rozciągający się między oceanami. Nie mogły się jednak przeciwstawić powolnemu powrotowi gadów. Poza ucieczką nie ma żadnej obrony przed opancerzonymi stworzeniami, ważącymi po 80 i więcej ton.

Ssaki mogły przetrwać jedynie na północy, na pogórzu i w górach. Były wśród nich naczelne Nowego Świata, z których rozwinęli się Tanu.

Nie było żadnych ssaków Starego Świata, ponieważ był on zamieszkały przez jaszczury. Nie było tam natomiast niedźwiedzi ani psowatych. Nowy Świat obfitował nie tylko w jeleniowate drobne, ale i duże, wielkości łośia. Żyły tam też tak mastodonty, jak i liczne torbacze, łącznie z tygrysami szablozębnymi. Różnorodne ssaki zamieszkiwały żyzny pas na południe od lodu, a na północ od zimnokrwistych jaszczurów, i Większość Tanu, uwięziona w surowym środowisku, nigdy nie wyszła poza fazę łowiecko-zbieracką. Do niej byli jednak doskonale przystosowani. Wyjątek stanowili Sasku. Grupa ta przeszła do osiadłego życia, zajmowała się rolnictwem neolitycznym. Opanowała umiejętność garncarstwa i tkactwa, rozwinęła też bardziej złożone i rozwinięte społeczności. Nie oznacza to jednak, by pod jakimkolwiek względem stała wyżej od Tanu łowieckich, mających bogaty język, prostą sztukę, wiele umiejętności umożliwiających przetrwanie oraz podstawowe związki rodzinne i grupowe.

JĘZYK MARBAK

Marbak, podobnie jak inne języki używane przez Tanu, jest współczesnym dialektem zaginionego, pierwotnego języka, nazywanego wschodniowybrzeżowym. W marbaku „mężczyzna” to *hannas*, w liczbie mnogiej *hannasan*. Podobnie *hennas* w wedamańskim, *hnas* w levrewasanskirn, *neses* w lebnaroi i tak dalej.

Przytoczone tu nazwy małych plemion są opisowe, na przykład Wedaman oznacza „wyspowca”, Levrewasan „namiotoczarni”, czyli ludzie z czarnych namiotów. Podobnie jak słowo oznaczające mężczyznę, *hannas*, szeroko rozpowszechniony jest wyraz określający kobietę, *linga*, w liczbie mnogiej *lingai*. Człowiek, bez wskazania na płeć, to *ter*, w liczbie mnogiej *tanu*, używany powszechnie dla określenia wszystkich innych ludzi.

Oto najczęściej używane formy deklinacji rzeczownika w rodzaju męskim:

L. POJEDYNCZA L. MNOGA

Mianownik *hannas hannasan*

Dopełniacz *hannasa hannasanna*

Celownik *hannasi hannasanni*

Biernik *hannas hannasan*

Narzędnik *hannasom hannasom*

Miejscownik *hannasi hannasanni*

SŁOWNIKI

YILANČ-POLSKI

Uwaga: Poniższa lista obejmuje zarówno pojedyncze elementy, jak i niektóre powszechnie powtarzane jednostki.

aa w

aga odjazd

aglč przejście

aka wstręt

akas łąd pokryty roślinnością

akel dobroć

akse kamień

alak następstwo

Alakas-aksehent Florida Keys

alč klatka

alpč piękno

ambei wysokość

ambesed centralne miejsce spotkań

anat wyrostek ciała

ankanaal ocean otoczony łądem

ankč obecność

apen żądanie

asak plaża

ast ząb

asto ruch

awa ból

ban* dom

bum otoczenie

dee to

ee na zewnątrz

eede tamto

eesen płaskość

efen życie

efenburu grupa powstała w dzieciństwie

efenselč członek efenburu

eisek błoto

eisekol zwierzę brodzące

eiset odpowiedzialność

eistaa przywódczyni miasta

eksei ostrożność

elin mały

embo ciśnienie

erape pochwała

end widzenie

čnč giętkość

enet jezioro

enge miłość

enteesenat plezjozaur

ento każdy pojedynczy

Entoban* Afryka

erek szybkość

esek szczyt

esekasak strażniczka plaży narodzin

esik południe

espei postawa ciała

eto<strzelać

fafh łapać

farćśledztwo

fargi ucząca się mówić

gen nowy

Gendasi* Ameryka Północna

gul słuchanie

hais umysł

han samczość

hanaľ kwatery samców



has samica

has żółtość

hć cyfra I

hen samiec/samica

hent obrót

hćsotsan broń strzelająca strzałkami

hornsopa postać genetyczna

huruksast *Monoclonius* (gatunek dinozaura)

igi wejście

ihei zmysł węchu /dotyku/ czucia

ineg stary

Inegban* miasto macierzyste

inľ duży wymiar

intć polować

ipol trzeć, polerować

Isegnet Morze Śródziemne

isek północ

ka<zaprzestanie

kain linia wzroku

kakh sól

kal trucizna

kalkasi ciernisty krzew

kasei ciern

kem światło

khets wypukłość

kiyis wschód

kru krótki

lan<kopulacja

leibe trudność

lek lichosć

mai brak zmartwień

man<ostatni

Maninlč Kuba

melik ciemny

natč przyjaciel

nefmakel istota-bandaż

neni czaszka

nenitesk *Triceratops*

nin nieobecność

ninsč nie odpowiadający

nu* odpowiedniość

okol jelito

onetsensast stegozaur

pelei odkrycie

rubu nieważkość

ruud zaprzestanie

sas<szybkość

sat równość

selč więź

sčsč ruch

sete grupa powstała w jakimś celu

shak zmiana

shan wola

shei zimno

sokči oczyszczony teren

son* pierwiastek

stal zdobycz

takh czysty

tarakast wierzchowiec

tesk wklęsłość

top bieg

tsan zwierzę

tso odchody

tuup gruby, tłusty

unut pełzać

unutakh ślimak zjadający włosy

uruketo zmutowany ichtiozaur

uruktop ośmionożne zwierzę juczne

uruktub brontozaur

ustu krew

ustuzou ssaki

uu wzrastać

yil mowa

MARBAK-POLSKI

alladjex szaman

amaratan nieśmiertelni (istoty boskie)

arnwheet jastrząb

atta ojciec (zdrob.)

bana syn (zdrob.)

beka splatać

benseel mech torfowiec

dalas zupa

eghoman ślubujący

ekkotaz orzechy z jagodami

elsk mastodont

erman niebo

Ermanpadar niebo-ojciec, duch

hans oddział wojowników

hannas męczyzna

hardalt kałamarnica

hault dwadzieścia (liczba ludzi)

himin góra

istak ścieżka

kurmar rzeka

kurro wódz

levrelag obozowisko

Levrewasan lud z czarnych namiotów

ley polana (wypalona)

linga kobieta

madrap mokasyn

mar włosy

marag zwierzę zimnokrwiste

margalus doradca w sprawach murgu

marin gwiazda

marsk ichtiozaur

murgu liczba mnoga od marag

nat zabójca

naudinz łowca

parad bród

sammad grupa mieszana mężczyzn i kobiet

sammadar wybieralny przywódca sammadu

stessi plaża

tais kukurydza

tanu ludzie

ter człowiek

tered grupa ludzi w jakiejś misji

teredar przywódca takiej grupy

tharm dusza

torsk ichtiozaur

torskan ichtiozaury

torskanat jad ichtiozaura

ulfadan długobrody

wedam wyspa

ZOOLOGIA



BANSEMILLA

(*Metathea: Didelphys dimidata*)

Rudawoszary torbacz z trzema smoliście czarnymi paskami na grzbiecie. Ma chwytny ogon i przeciwstawne palce na tylnych nogach. Jest drapieżny, poluje głównie na szczury i myszy, hodowany przez Sasku dla tępienia szkodników w żłobach.



DŁUGOZĄB

(*Metathea: Machaerodus neogeus*)

Mający długie kły przedstawiciel rodziny tygrysów workowatych. Duży, groźny drapieżnik polujący na swą zdobycz bardzo wydłużonymi górnymi kłami. Niektórzy łowcy Kargu oswoili te zwierzęta – pomagają one im w łowach.



EISEKOL

(*Eutheria: Trichechus latirostris*

mutatus)

Roślinożerny ssak wodny, w pierwotnej, nie zmienionej postaci żerował na roślinności podwodnej. Inżynieria genetyczna znacznie zwiększyła wymiary zwierzęcia, tak iż może być wykorzystywane dla oczyszczania kątów, jak również

dla ich połykania.

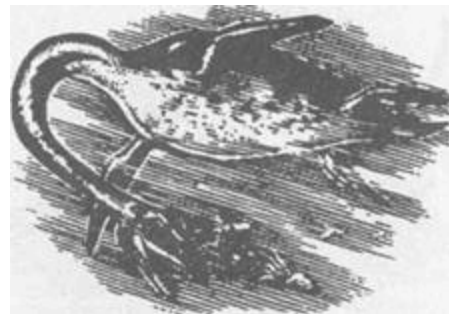


ELINOU

(Saurischia: Coelurosaurus

compsognathus)

Mały, ruchliwy dinozaur, bardzo ceniony przez Yilanč za ściganie i tępienie małych szkodników wśród ssaków. Ze względu na kolorowe ubarwienie i miłe usposobienie często trzymany dla rozrywki.



ENTEESENAT

(*Saumptetygia: Elasmosaurus*

plesiosaurus)

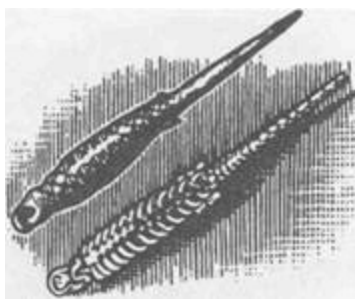
Drapieżny gad morski dobrze przystosowany do życia na pełnym morzu, niewiele zmieniony od okresu kredy. Ma małą, krótką głowę i długą, węzowatą szyję. Wiosłowe płetwy podobne jak u żółwi morskich. Wyhodowano nowsze odmiany o większej pojemności czaszki, dzięki czemu można je tresować, by dostarczały pożywienia dla większych uruketo (*Ichthyosaurus monstrosus mutatus*).



EPETRUK

(*Saurischia: Tyrannosaurus rex*)

Największy i najpotężniejszy z ogromnych tyranozaurów mięsożernych. Długi na ponad 12 metrów, waga samców przekracza 7 ton. Przednie łapy są małe, lecz silne. Z powodu swej wielkiej wagi jest dość powolny, dlatego atakuje tylko największe zwierzęta. Sporą część pożywienia zdobywa, odpędzając od upolowanej zdobyczy mniejszych drapieżników.



HČSOTSAN

(*Squamata: Paravaranus comensualis*

mutants)

Ten gatunek jaszczurki (ostrzegacz) został tak przekształcony, iż obecnie niewiele przypomina postać wyjściową. Wytwarzające parę gruczoły, zapożyczone z

chrząszczy Brachinus, gwałtownie wyrzucają strzałki, zatrutowane podczas przejścia przez narządy płciowe współbieszadnej ryby Tetradonitid. Trucizna ta, najbardziej jadowita ze wszystkich znanych, powoduje paraliż i śmierć już przy obecności 500 jej cząsteczek.



JELEŃ OLBRZYMI

(Eutheria: Alces machlis gigas)

Największy ze wszystkich jeleniowatych. Od innych członków rodziny Cervidae różni się szerokim, ogromnym porożem samców. Obiekt polowań Tanu, nie tylko dla mięsa, ale i skóry, używanej na ściany namiotów.



ŁÓDŹ

*(Cephalopoda: Archeololigo olcostephanus
mutatus)*

Środek transportu nawodnego Yilanč. Napędzany mocnym strumieniem wody wystrzeliwanym w tył. Stworzenia te mają jedynie szczątkową inteligencję, lecz dają się tresować do wykonywania pewnych prostych poleceń.



MASTODONT

(Eutheria: Mastodon americanus)

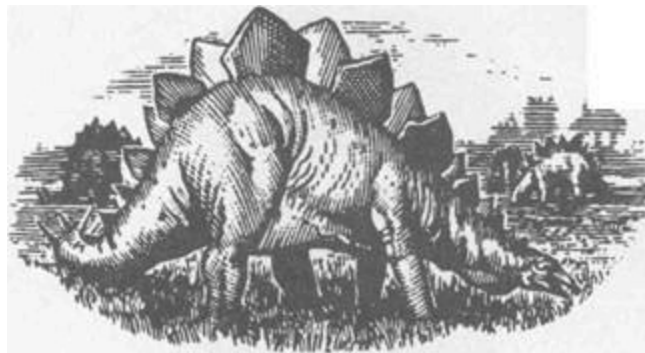
Wielki ssak oznaczający się długimi górnymi siekaczami. Ma chwytłą trąbę sięgającą do ziemi. Udomowienie go przez Tanu umożliwiło im pokonywanie dużych odległości podczas łowów i zbieranie pożywienia. Używają oni mastodontów do ciągnięcia wielkich włóków.



NENITESK

(Omithischia: Triceratops elatus)

Roślinożerny czworonóg charakteryzuje się trzema rogami osadzonymi na kościstej tarczy ochronnej, nie zmieniony od epoki kredowej. Neniteski rozmnażają się poprzez składanie jaj. Ich mózgi są małe, a rozum jeszcze mniejszy. Wolno rosną, dlatego nie mają wielkiego znaczenia jako zwierzęta dające mięso, są jednak bardzo dekoracyjne.



ONETSENSAST

(Omithischia: Stegosaurus variants)

Największy z dinozaurów opancerzonych. Ci olbrzymi roślinożercy bronią się przed atakiem dwoma rzędami płyt na szyi i grzbiecie, jak również ciężkimi kolcami na ogonie. Powstały w późnej jurze i jedynie uważna ochrona Yilanč uchroniła tę żywą skamieniałość przed wyginięciem.



PŁASZCZ

*(Selachii: Elasmobranchus kappe
mutatus)*

Używany przez Yilanč dla ogrzewnia w nocy lub podczas złej pogody. Te stworzenia są całkowicie pozbawione inteligencji, lecz dobrze karmione utrzymują temperaturę ciała wynoszącą w przybliżeniu 39 stopni Celsjusza.



SANDUU

(Anuva: Rana catesbiana mutatus)

Rozległe manipulacje genowe zmieniły to zwierzę pod niemal każdym względem; o jego pochodzeniu świadczy jedynie skóra. Powiększenie do 200 razy jest osiągalne

dzięki odpowiedniemu wykorzystaniu promieni słonecznych przechodzących przez różne soczewki organiczne w głowie zwierzęcia.



SARNA

(Eutheria: Cervus mazama mazama)

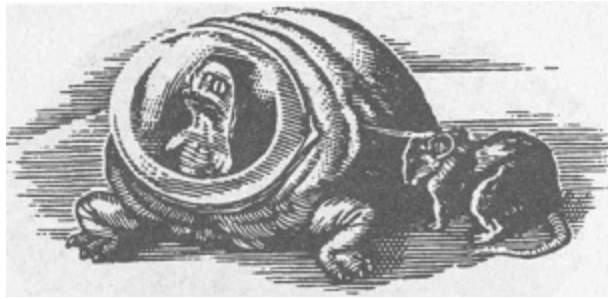
Mały gatunek jeleniowatych z rózkami spiczastymi, bez odnóg. Występuje bardzo licznie w północnej strefie umiarkowanej. Tani cenią te zwierzęta ze względu na ich mięso i skóry, z których po wyprawieniu wykonywane są stroje i drobne przedmioty skórzane (np. mokasyny madrap i torby).



TARAKAST

(*Omithischia: Segnosaurus shiungisaurus*
mutatus)

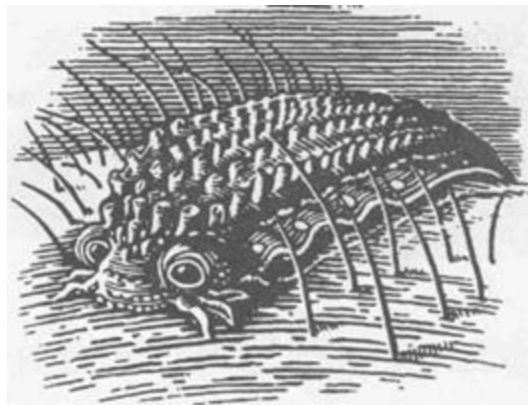
Drapieżny dinozaur o pysku w kształcie ostrego dzioba, największe osobniki mają ponad 4 metry długości. Są trudne do wytresowania, kierowanie nimi wymaga wielkiej siły, lecz odpowiednio ujeżdżone stanowią cenne wierzchowce Yilanč.



UGUNKSHAA

(*Squamata: Phiynosoma fiernsyna*
mutatus)

Ponieważ język Yilanč uzależniony jest od barwy ich skóry i ruchów ciała, a nie tylko od dźwięków, niemożliwe jest tworzenie dokumentów pisanych. Pierwotna wiedza była przekazywana ustnie, a jej rejestrowanie stało się możliwe dopiero po rozwinięciu metody wyświetlania obrazów na organicznych ciekłych kryształach, w połączeniu z zapisami dźwiękowymi.



UNUTAKH

(*Cephalopoda: Deroceras agreste*
mutatus)

Jedno z wysoko przekształconych zwierząt używanych przez Yilanč. Ten głowonóg trawi białko, zwłaszcza włosów i przekształcone łuski naskórka.



URUKETO

(Ichthyopterygia: Ichtyosaurus

monstrosus mutatus)

To największy z „jaszczuro-ryb”, rodziny ogromnych dinozaurów wodnych. Tysiąclecia chirurgii genowej i hodowli dary szczep ichtiozaurów bardzo różniących się do form macierzystych. Mają wielką komorę mieszczącą się ponad kręgosłupem, pod płetwą grzbietową, używaną do przewozu załogi i ładunku.



URUKTOP

(Chelonia: Psittacosaurus

montanoceratops mutatus)

Jedno z najbardziej zmienionych przez Yilanč zwierząt Używane do transportu lądowego, może przenosić wielkie ładunki na ogromne odległości, ponieważ po zdublowaniu genów ma osiem nóg.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-27

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/